



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

Slay
7123
2

Harvard College
Library



FROM THE LIBRARY OF

Archibald Cary Coolidge

Class of 1887

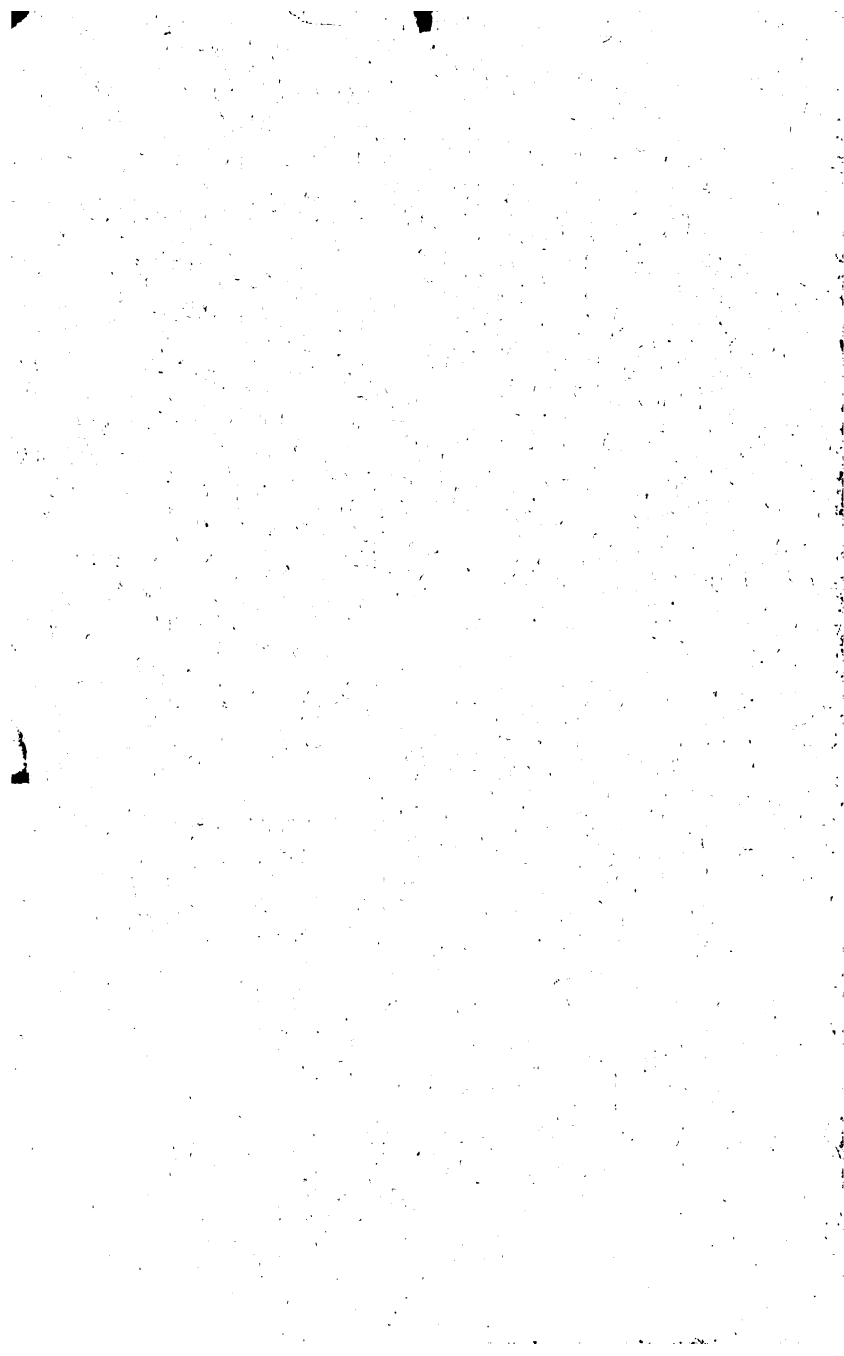


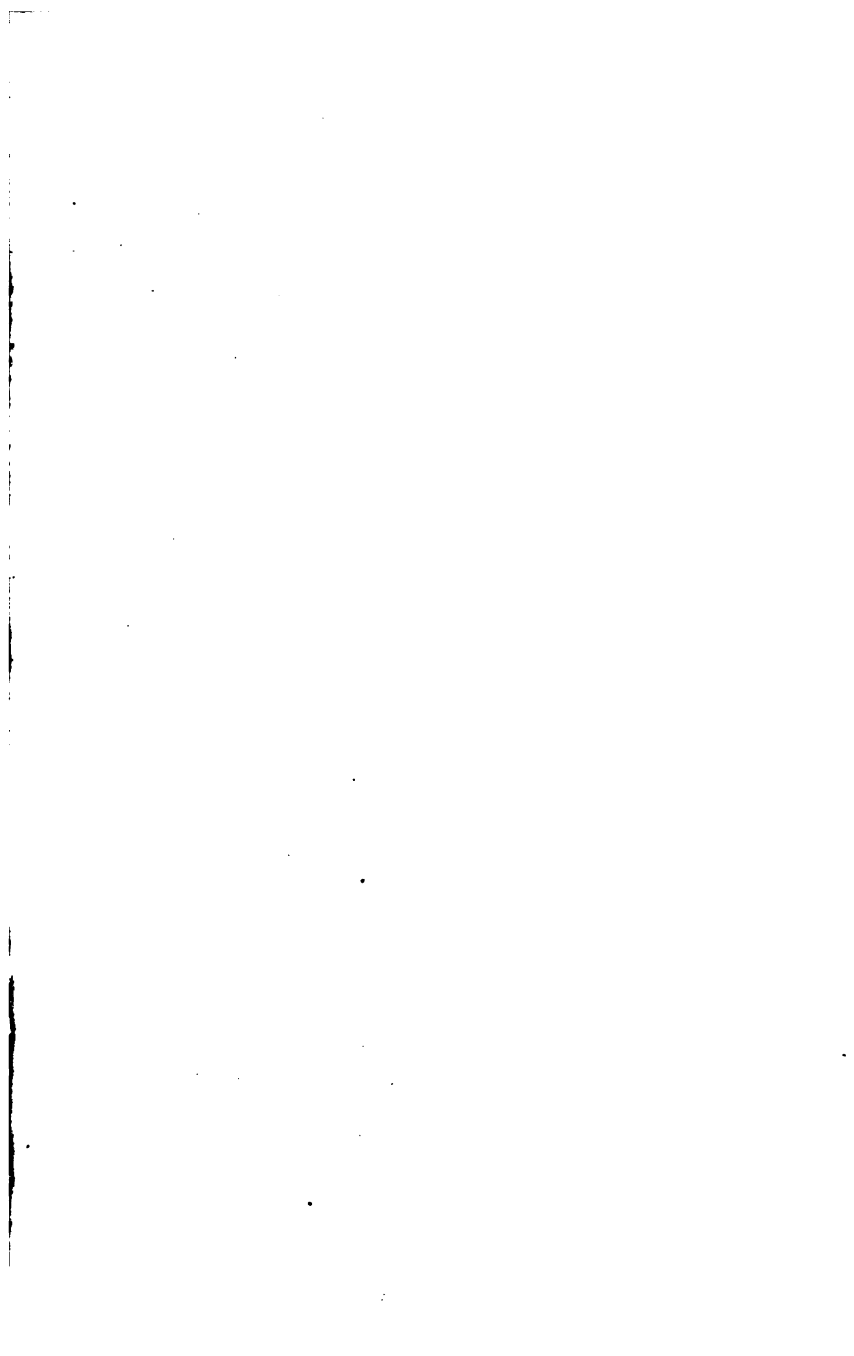
THE GIFT OF

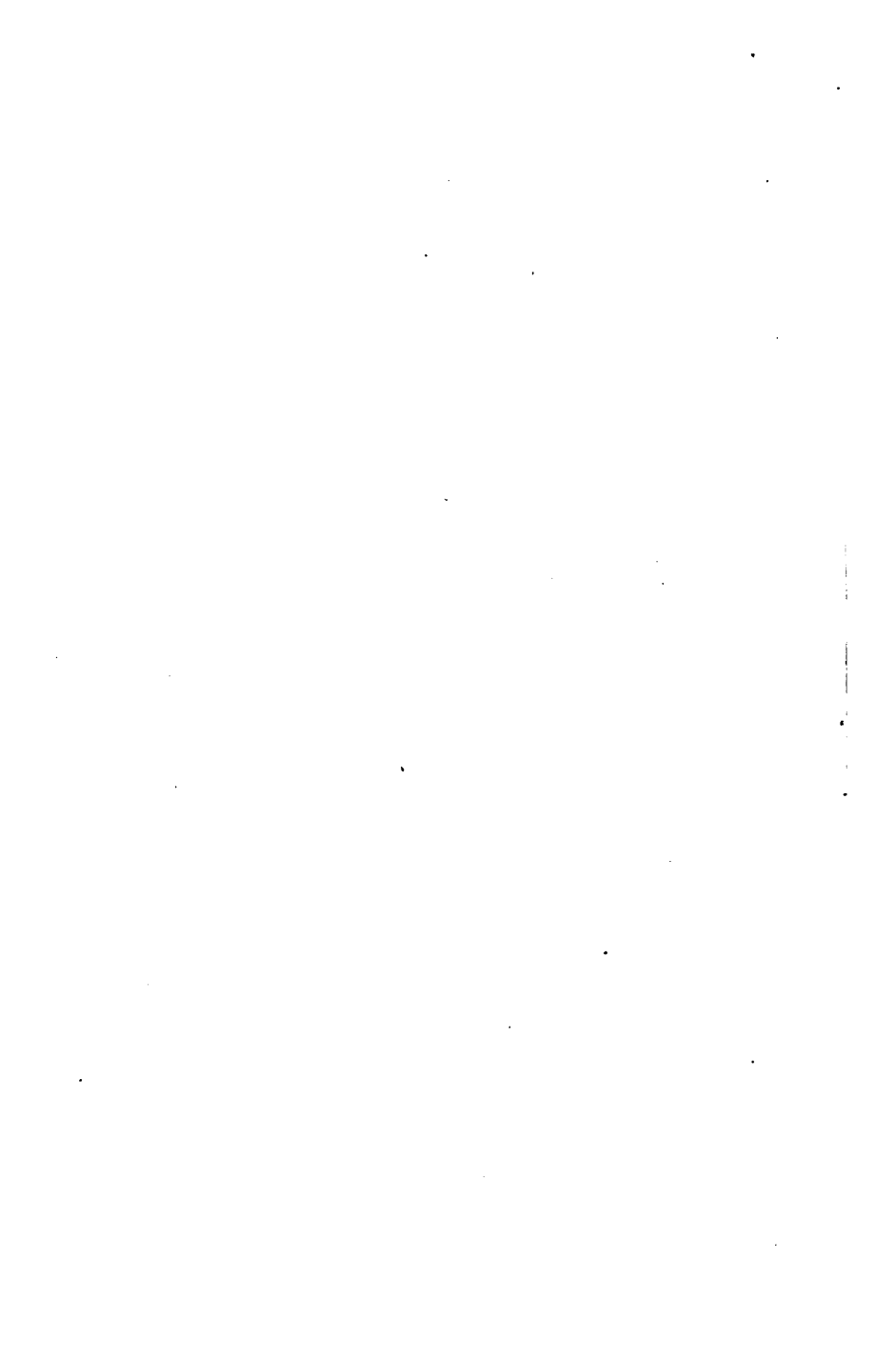
Harold Jefferson Coolidge

Class of 1892



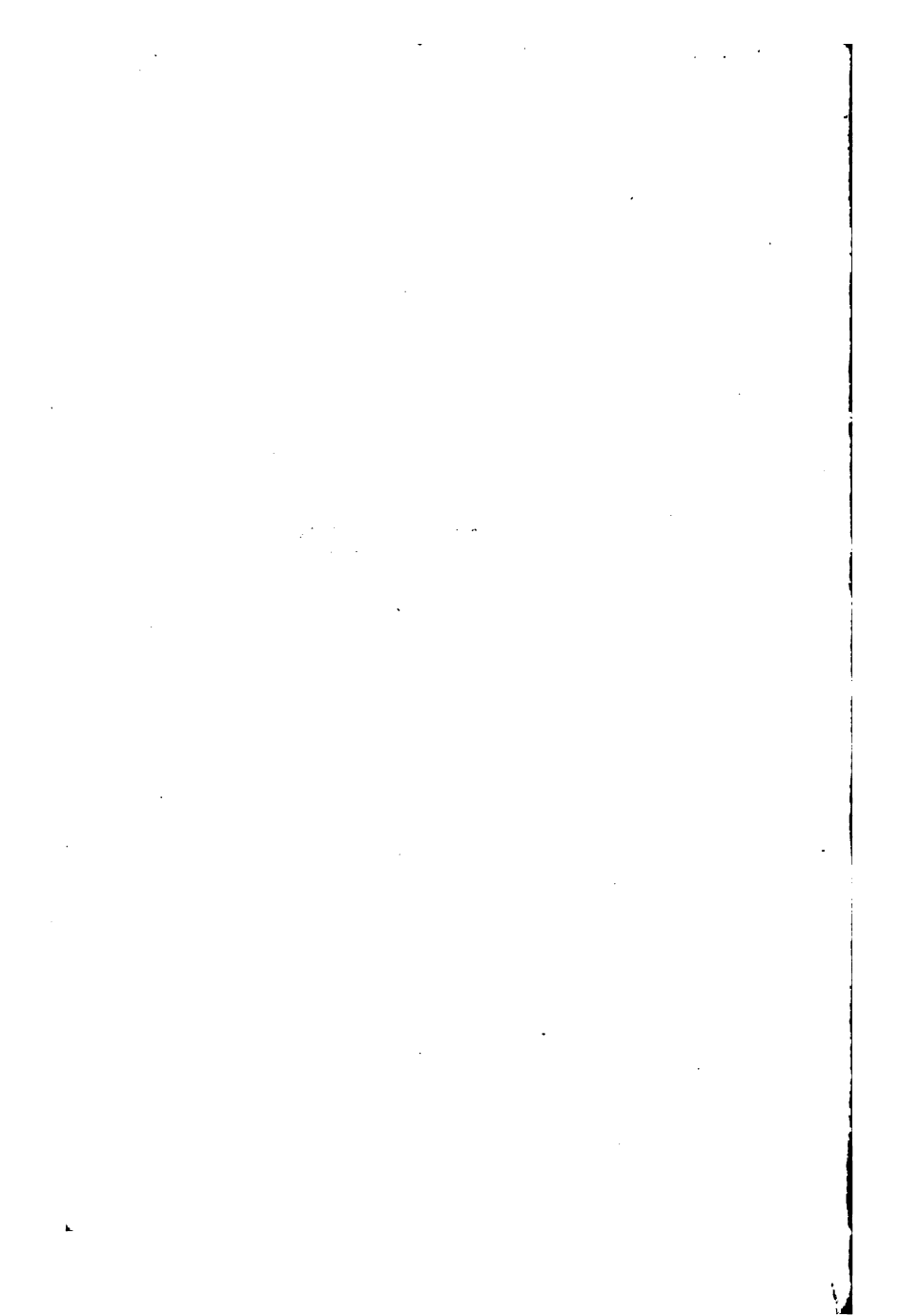






BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM IV.



0

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM TRZECI.

2



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

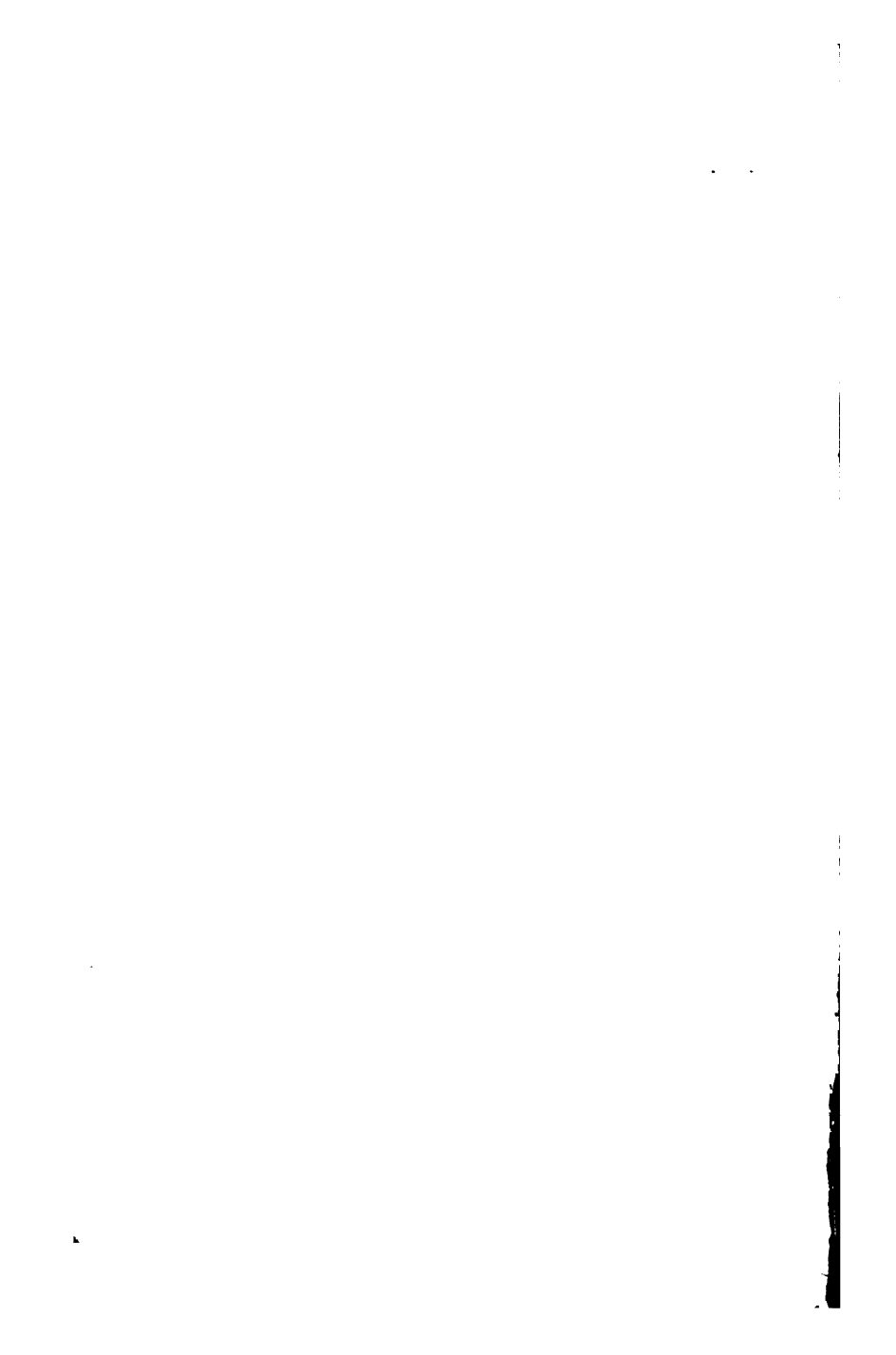
—
1894.

NS/av 7123.2

HARVARD COLLEGE LIBRARY
FROM THE LIBRARY OF
ARCHIBALD CARY COOLIDGE
THE GIFT OF
HAROLD JEFFERSON COOLIDGE
APR 2 1928

SPIS RZECZY.

	Strona
Autorowi Irydiona	1
BALLADA. Tragedja w pięciu aktach	5
Do autora Irydiona list drugi	153
LILLA WENDA. Tragedja w pięciu aktach	159
WIERZSE.	
List do Aleksandra H.	261
Ułamek z greckiej podróży. Grób Agamemnona	267
BENIOWSKI	271



KOCHANY POETA RUIN!

Pozwól, że pisząc do ciebie zacznę od Apologu, który mi opowiedziano nad Salimy zatoką.

Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał że szum ów pochodził od zgiewku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi: a kiedy skończył, zadziwił się że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie, i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc że najpiękniejszy Rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął.

Kochany Irydioniel! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do Balladyny przedmowę. Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia Kirkor, pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnię Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłej kochanki. Niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy. A jeżeli to wszystko ma wewnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw Boskich, jeżeli na-

tehnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy która szepcze do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy, we śnie nawet, nie widziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nic-raz tę lub ową rzecz potępił: to Balladyna wbrew rozwadze i historii, zostanie Królową Polską, a piorun który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

Uśmiechnij się teraz Irydionie, bo oto naśladowując francuskich poetów: powiem ci że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu, w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedji czyli kronik dramatycznych. Już różne cienie ludzi nie byłych, wyszły ze mgły przed-stworzenia i otaczają mię ciżbą gwarzącą: potrzeba tylko aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postacię piramidalne wypadków, a jedną po drugiej garstkę na świat wypychać będą. I sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów, nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie «niestety!» A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. — O! nie mów mi że z dzwonek polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta: bo choć różę rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzы, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Kolloseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła.

Tak więc, kiedy ty dawne posągowe Rzymian postacię napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego — ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie — i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, Dantejskiej chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i Ariostyczne obłoki; pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie, nie będzie walką ale tylko grą kolorów i cieni,

z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura większym wichrem gnana, i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki rostrąci i pochłonie.

Doniosły mi Sylfy, żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną: posłałem natychmiast Skierkę aby ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad tobą zapalił; za to przez wdzięczność, stanąwszy na szczycie Wulkanu, spojrzuj na mórz rozległe błękity, i pomyśl że niedawnemi czasy przez te zwierciadła wędrował okręt mój jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas śpiewali hymn do Najświętszej Panny, a ja stałem z wlepionemi w ogień Etny oczyma, smutny że mnie fala znów tylko do Europy odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznej, czy echo tego hymnu który mi serce uciszał, nie drga dotąd w kryształowej atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i w powietrzu nie słychać, to znajdź mię w sercu twojem, i niech ja będę jeszcze z tobą przez jedną godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy latać myślą do siebie w odwiedziny.

Rzypisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

AUTOROWI IRYDIONA

NA PAMIĄTKĘ

BALLADYNE.

POŚWIĘCA

JULJUSZ SŁOWACKI.



B A L L A D Y N A.

TRAGEDJA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

PUSTELNIK, Popiel III, wyguany.

KIRKOR, Pan zamku.

MÁTKA WDOWA.

BALLADYNA } jej córki.
ALINA }

KANCLERZ.

WAWEL, dziejopis.

PAŻ.

POSEŁ ZE STOLICY GNIEZNA.

OSKARŻYCIEL SĄDOWY.

LEKARZ KORONNY.

FILON, pasterz.

GRABIEC, syn zakrystjana.

FON KOSTRYN, naczelnik straży w zamku Kirkora.

GRALON, rycerz Kirkora.

Pany — rycerze — służba zamkowa — wiesniacy — dzieci.

OSOBY FANTASTYCZNE.

GOPLANA, Nimfa, Królowa Gopla.

CHOCHLIK.

SKIBKA.

Za czasów bajecznych koło jeziora Gopla.

A K T I.

SCENA I.

(Las blisko jeziora Gopła — chata pustelnika uszrojona kwiatami i bluszczem. — Kirkor wchodzi w Saraceńskiej zbroi — bogato ubrany, z orlemi skrzydłami.)

KIRKOR, sam.

Rady zasięgnąć warto u człowieka
Który się kryje w tej zaciszy leśnej.
Pobożny starzec — ma jednak w rozumie
Niecc szaleństwa. Ilekroć mu prawisz
O zamkach, królach, o królewskich dworach,
To jak szalony od rozumu błądzi,
Miota przekleństwa, pieni się, narzeka —
Musiał od królów doznać wiele złego,
Więc teraz został przyjacielem gminu.

(Stuka do celi.)

Puk! puk! puk!

GŁOS Z CELI.

Kto tam?

KIRKOR.

Kirkor.

PUSTELNIK, wychodząc z celi

Witaj synu. —

Czego chcesz?

KIRKOR.

Rady.

PUSTELNIK.

Zostań pustelnikiem.

KIRKOR.

Gdybym podstarzał dziesiątym krzyżykiem
 Możebym w smutne schronił się dąbrowy.
 Ale ja młody, pan cztero-wieżowy,
 Przemyślam dzisiaj jakby się ożenić —
 Poradź mi starcze?

PUSTELNIK.

Lat dwadzieścia z górą
 Jak żyję w puszczy. —

KIRKOR.

Cóż stąd?

PUSTELNIK.

Więc ocenić
 Ludzi nie mogę — ani wskazać którą
 Weźmiesz dziewicę.

KIRKOR.

Te co rozkwitały
 Z dzieciństwa pączków, gdyś ty żył na świecie,
 Są dziś pannami — czerwony li biały
 Pączek na róży, taka będzie róża. —
 P zypomnij kiedyś najpiękniejsze dziecię:
 Białą, jak w ręku anielskiego stróża
 Kwiat lilijowy — niech jej słowik śpiewny
 Zazdrości głosu, a synogarlica
 Wiernością zrówna — gdzie taka dziewica? —
 Wskaż mi o starcze! Mówią że królewny
 Słyna wdziękami?

PUSTELNIK.

Nieba! to ród węża,
 Żona zbrodniami podobna do męża,
 Córki do ojca, a do matek syny;
 Jak w jednym gnieździe skłębione gadziny.
 O bogdaj piorun —!

KIRKOR.

Nie przeklinaj.

PUSTELNIK.

Młody

Przeklinaj ze mną — oni klątwy warci.
 Bogdaj doznali co pomór i głody!
 Bogdaj piorunem na poły pożarci,
 Padając w ziemi paszczę rozdziawioną,
 Proch mieli płaszczem, a węża koroną! —
 Bogdaj — —! Klnąc zbójcę, potargałem siły,
 Wściekłem się jako brytan uwiązany.
 Bo też ja kiedyś byłem pan nad pany,
 Stu-tysięcznemu narodowi miły;
 Żyłem w purpurze, dziś noszę lachmany —
 Muszę przeklinać. Miałem dziątek troje,
 Nocą do komnat weszli brata zboje,
 Różyczki moje trzy z łodygi ścięto!
 Dziecinki moje w kołyskach zarżnięto!
 Aniołki moje! — wszystkie moje dzieci!

KIRKOR.

Któż jesteś starcze?

PUSTELNIK.

Ja? — Król — Popiel trzeci. —

KIRKOR, schyla kolano.

Królu mój!

PUSTELNIK.

Któż mię z żebraki rozezna? —

KIRKOR.

Uzbrajam chamy, i lecę do Gniezna
 Mścić się za ciebie —

PUSTELNIK.

Młodzieńcze, rozważ!

KIRKOR.

Bezprawie gorzej od Mojżesza plagi
 Kala tę ziemię i pręduje się szerzy;
 Popiel skalany dzieci krwią niewinną,
 Niegodny rządzić tłumowi rycerzy.
 Niech więc się stanie co się stać powinno
 Pod okiem Boga, na tej biednej ziemi.

PUSTELNIK.

Czy ty skrzydłami anioła złotemi
 Z nieba zleciałeś?

KIRKOR.

Na barkach orlicy,

Para tych białych skrzydeł wyrastała.
 Gdy na rycerskiej są naramienicy,
 Będiesz li rycerz mniej niż owa biała
 Ptaszyna, ludziom użyteczny? — Ma-li
 Gadom przepuszczać rycerz uskrzydłony
 Orła piórami?

PUSTELNIK.

O mężu ze stali!

Ty jesteś z owych którzy walą trony.

KIRKOR.

Ty wiesz jak nasza ziemia wszeteczeństwem
 Króla skalana, Wiesz jak Popiel krwawy
 Pastwi się coraz nowem okrucieństwem? —
 Zaczerwienione krwią widziałem stawy.
 Król żywi karpie ciałem niewolników,
 Nieraz wybiera dziesiątego z szyków
 I tnąc w kawały, ulubionym rybom
 Na żer wyrzuca; resztę ciał wymiata
 Na dworskie pola — i czerwonym skilbom
 Ziarno powierza. Sąsiad ziemię kata
 Na pośmiewisko zwie Rusią czerwoną!
 Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
 Bóg dawał żniwo szczęścia niezasiane,
 Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane
 Pomory, głody sypie Boża ręka.
 Ziemia upałem wysuszona, pęka;
 Wiosenne runa złocą się, nim ziarno
 Czoła pochyli, a wieśniacy garną
 Sierpami próżne tylko kłosa żyta.
 Ta sama Polska niegdyś tak obfita,
 Staje się co rok szarańczy szpichlerzem:
 Niegdyś tak bitna, dziś bladym rycerzem
 Z głodami walczy i z widmem zarazy.

PUSTELNIK.

Ach! jam przeklęty! przeklęty, trzy razy!
 Przeklęty! winien jestem nieszczęść ludu.

KIRKOR.

Jako, tyś winien? —

PUSTELNIK.

Z rozlicznego cudu

Korona Lecha sławną niegdyś była!
 W niej szczęście ludu, w niej krainy siła
 Cudem zamknięta — oto ja wygnany,
 Lud pozbawiłem tej korony —

KIRKOR.

Starcze!

PUSTELNIK.

Korona brata mego jak liczmany
 Fałszywa — moja pod spruchniałe karcze
 Lasu wkopana — miałem ją do grobu
 Ponieść za sobą.

KIRKOR.

Skądże tej koronie

Cudowna władza?

PUSTELNIK.

Ku ojczystej stronie,

Wracali niegdyś od Betleem żłobu,
 Święci królowie. — dwóch Magów, i Scyta.
 Ów król północny zaszedł w nasze żyta,
 Zabłądził w zbożu jak w lesie — bo zboże
 Rosło wysokie jak las w kraju Lecha.
 Więc zabłądziwszy rzekł — «wyprowadź Boże!»
 Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
 Królewskiej chaty — bo Lech mieszkał w chacie —
 Wszedł do niej Scyta i rzekł: «Królu! bracie!
 Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
 Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
 Aż tu zawiodła.» — Lech rzekł: «zostań ze mną.
 Kraina moja szczęśliwa i bitna —
 Jeśli chcesz to się tą ziemią z tobą
 Dzielę na poły» — Scyta rzekł: zostanę,
 Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane,
 Rozgraniczają się krwią i żalobą

Dzieci i matek.» Więc razem zostali — —
Ale to długa powieść —

KIRKOR.

Mów! mów dalej!

PUSTELNIK.

Więc jako dawniej czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki;
A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę — stąd nasza korona.
Zbawiciel niegdys wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona;
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał «caca!» i na brylant biały,
Różanych ustek perelkami świecił.

KIRKOR.

O! biedny kwiatku! na tóż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ówiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą!
Zbawiłbym Zbawcę — lub wyrąbał krocie
Zbójców, na zemstę umarłemu —

PUSTELNIK.

Synu!

Bóg weźmie twoją pochopność do czynu,
Za czyn spełniony. Wróćmy w nasze czasy.
Gdy mię brat wygnał, uniosłem w te lasy,
Świętą koronę —

KIRKOR.

Wróci ona! wróci!

Przysięgam tobie! — Lecz —

PUSTELNIK.

Co chcesz powiadać!

KIRKOR.

Nim Kirkor w przepaść okropną się rzuci,
Szukając zemsty — chcę chciałbym cię badać
Na jakim pieńku zaszcześcić rodowe
Drzewo Kirkorów, aby kiedyś nowe

Plemię rycerzy tronu twego strzegło?
Kogo wprowadzić w podwoje zamkowe,
Z żony imieniem?

PUSTELNIK.

Tylu ludzi ubiegło

Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconej z żebra swego kości.
Postąp inaczej. — Ty szlachetny, młody —
Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże
Pod jaką belką gniazdo ulepiła;
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze,
A dach słomiany, tam jest twoja miła.
Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo
I lepiej będzie, niżbyś miał z królowną. —

KIRKOR.

Tak radzisz starcze?

PUSTELNIK.

Idź synu na pewno

Do biednej chaty — niechaj żona karna,
Miła, niewinna —

KIRKOR.

Jaskółeczko czarna!

Ptaszyno moja, gdzie mię zaprowadzisz? —

PUSTELNIK.

Słuchaj mię synu —

KIRKOR.

Starcze, dobrze radzisz. —

Prowadź jaskółko!

(Odechodzi.)

PUSTELNIK, sam.

O! ci młodzi ludzie,

Odechdzą od nas i wołają głośno:
Idziemy szukać szczęścia. Więc my starce
Cośmy przebiegli po tej biednej ziemi,
A nigdy szczęścia w życiu nie spotkali;

Możemy tylko szukać nie umieli? —
Idź! idź! idź starcze do pastelnej celi. —

(Chce wchodzić do celi — i zatrzymuje się na progu.)

(Wchodzi Filon, pasterz zamyślony — fantastycznie we wstążki i kwiaty ubrany.)

FILON, z zachwytem.

O złote słońce! drzewa ukochane!
O ty strumieniu, który po kamykach
Z płaczącym szumem toczysz fale szklane,
Rozmiłowane w jęczących słowikach!
Róże wiosenne! — z wami Filon skona!
Bo Filon marzył los Endymiona. —
Marzył, że kiedyś po blasku miesiąca
Biała Bogini, różami wieńczona,
Z niebios błękitnych przyplynie, i drżąca
Czoło pochyli, a koralowemi
Ustami usta moje rozplómieni.
Ach! tak marzyłem! Ale na tej ziemi
Nie ma Dianny! Samotny uwiednę,
Jako fiołek — albo kwiat jesieni.

PUSTELNIK.

Co znaczą owe narzekania zrzędne?
Młody szaleńcze, gdzie zimny rozsądek?
Wywracasz świata Boskiego porządek!
A że ty chciwy Akteona wanian,
Czekasz na ziemi anielskiego bóstwa:
Dla tego tyle zestarzałych panien,
Dotąd się mężów swych nie doczekały! —
Szukaj kochanki na ziemi!

FILON.

Świat cały

Napróżno zbiegłem, przeglądając mnóstwa
Dziewic śmiertelnych. Nieraz wzrok łakomy
Śledził z pod złotej kapeluszków słomy
Zniwiarek twarze, podobne czerwienią
Makom zbożowym. Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią

Słońcu podane; rojąc serca szalem
 Że z bieli płócien, jako z morskiej piany,
 Alabastrowa miłości Bogini
 Wyjdzie na słońce. Ach! tak obłąkany,
 Żyłem na świecie, jako na pustyni:
 Nienasycony, dumający, rzewny.
 Byłem na dworach, widziałem królowny,
 Podobne gwiazdzie Wenus, co wynika
 Wieczorem z nieba różowego, zorzą
 Zaczerwioniona — ale bez promyka!
 Serca nie mają, a sercem się drożą
 Więcej, niż koron brylantami.

PUSTELNIK.

Głupcze!

Niedoścignionych gwiazd szalonych kupcze!
 Ty, co na dworach szukałeś kochanki:
 Precz; precz odemnie kwiecie beznasienny!
 Studniom niezdatny jak stłuczone dzbanki,
 Światowi, jako słońca blask jesienny
 Bezżyteczny. Skoro na tron wrócę,
 Zamknę cię w szpital szalonych, lub rzucę
 Na bakalarską ławę między dzieci.

FILON.

Mój dobry ojcze! niechaj ci Bóg świeci!
 Mosisz buć chory, gadasz nieprzytomnie.

PUSTELNIK.

Wszyscy szaleńcy zlatują się do mnie,
 A wszyscy marzą o królewskich dworach,
 Mysłą o królach, a kryją się w borach,
 I jęczą, jęczą jak ośleple sowy! —

FILON.

Wsadź starcze głowę w strumień kryształowy,
 Może ochłonie.

PUSTELNIK.

Woda nie obmyje

Na mojem czole czerwonego pasu.
 Widzisz! czy widzisz jak korona ryje?

Dwudziestoletnie życie w głębi lasu
 Nie zagoiło rany. Pas na czole,
 A drugi taki pas mi serce płata;
 Ten od korony (pokazując na serce), ten od mieczów kata.
 O moje dzieci! o sieroctwa bole!
 O moja przeszłość! —

FILON.

Nudzi mię ten stary!
 W głowie ma jakieś bezcielesne mary —
 Pewnie oszalał samotnością, postem.

PUSTELNIK.

Cierpienie myśli jest kolącym ostem,
 Lecz rzeczywistość — o! tak jak żelazo
 Rani, zabija —

FILON.

O tem inną razą
 Mówić będziemy, a przekonam ciebie
 Że smutek serca —

PUSTELNIK.

Niechaj cię pogrzebie
 Mdlawa istoto. «Nic» niech «nic» zabije;
 A twój grobowiec zamknie «nic.»

FILON.

O luba!
 Nieznaleziony twój obraz (pokazując na serce) tu żyje!
 Nieznalezienie gorsze niżli zguba —
 Jam cię nie znalazł a widzę przed sobą!
 Idę do lasu, gdzie będę sam — z tobą —
 Błogosławiony wyobraźni cudzie,
 Ty mię ocalasz!

(Odechodzi w las.)

PUSTELNIK.

Jak szaleją ludzie!

(Wchodzi do celi.)

SCENA II.

(Inna część lasu — widać jezioro Gopło. — Skierka i Chochlik, wchodzą.)

SKIERKA.

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

CHOCHLIK.

Śpi jeszcze w Gople.

SKIERKA.

I woń sosnowa,

I woń wiosenna nie obudziła
 Królowej naszej! woń taka miła!
 Czyliż nie słyszy jak skrzydełkami
 Czarne jaskółki biją w jezioro
 Tak, że się całe zwierciadło plami
 W tysiące krążków.

CHOCHLIK.

Zanadto skoro

Zbudzi się jędra, i zanadto będzie
 Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie
 Wkładać jaja motylic — to pomagać mrówkom
 Budującym stolice, i drogi umiatać
 Do mrownika wiodące — to majowym krówkom
 Rozwiązywać panczerze aby mogły latać —
 To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
 Czytać prawa ulowe, lub rotę przysięgi
 Na wierność matce pszczelnej, od zrodzonej pszczółki —
 To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki,
 I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
 Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
 Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
 Na przekor ptasznikowi; już to pani sroce
 Ciągłe trąbić do ucha naukę: nie kradnij —
 Albo wróblowi wmawiać że pięknie świegoce,
 Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą. —
 Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
 A zimą śpij u chłopa za brudnym przypiekiem,
 Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem! —

SKIERKA.

Bo też ty jesteś leniwy Chochliku!

(Patrzy na jezioro.)

Ach patrz! na słońca promyku
 Wytryska z wody Goplana;
 Jak powiewny liść ajeru,
 Lekko wiatrem kołysana;
 Jak łabędź, kiedy rozwinię
 Uśnieżony żagiel steru,
 Kołysze się — waha — płynie.
 I patrz! patrz! lekka i gibka
 Skoczyła z wody jak rybka;
 Na niezabudek warkoczu
 Wiesza się za białe rączki,
 A stopa po fal przeżrocza
 Brylantowe iskry skrzesza.
 Ach czarowna! któż odgadnie
 Czy się trzyma fal obrączki?
 Czy się na powietrzu kładnie?
 Czy dłonią na kwiatkach się wieszca?

CHOCHLIK.

Ona ma wianek na głowie —
 Czy to kwiaty? czy sitowie?

SKIERKA.

O nie — to na włosach wróżki,
 Uspione leżą jaskółki.
 Tak powiązane za nóżki,
 Kiedyś, w jesienny poranek,
 Upadły na dno rzeczulki:
 Rzeczulka rzuciła wianek,
 Wianek czarny jak hebany,
 Na złote włosy Goplany.

CHOCHLIK.

Radzę ci, uciekajmy mój Skierko kochany,
 Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.
 Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
 Biednemu młynarzowi; lub każe spowiadać
 Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
 Za kradzież słodkich miódów — lub malować pawie.

SKIERKA.

Więc uciekaj — ja się bawię —
 Promienie słońca przenikły
 Jaskółeczek mokre piórka —
 Ożyły — pierzchły i znikły,
 Jak spłoszonych wróbli chmurka.
 Królowa nasza bez ducha
 Zadziwiona stoi, słucha —
 Nie śmie wiązać i zaplatać
 Kos rozwianych, nie wie czemu
 Wianeczkowi uwiędłemu
 Przyszło ożyć? skąd mu latać?
 Goplano! Goplano! Goplano!

(Wchodzi Goplana.)

GOPLANA.

Narwij mi róż Chochliku! poleciał mój wianek.

CHOCHLIK.

Już się zaczyna praca.

(Chochlik odchodzi mrucząc.)

GOPLANA.

Czy to jeszcze rano?

SKIERKA.

Pierwsza wiosny godzina.

GOPLANA.

Ach! gdzież mój kochanek?

SKIERKA.

Co mi rozkażesz królowo?

Zadaj piękną jaką pracę.

Zwijać tęczę kolorową,

Albo budować pałace;

Powojami wiązać dachy,

I opierać kwiatów gmachy

Na kolumnach malw i dzwonów

Lazurowych.

GOPLANA, zamysłona.

Nie!

SKIERKA.

Chcesz tronów

Z wyplakanych nieba chmurek?
 Czy ci przynieść pereł sznurek,
 Z owych pereł, które dają
 Lep na ptaszki; ale mają
 Takie blaski, takie wody,
 Jak kałakuckie jagody.
 Chcesz? lecę na trzęsawice
 Dojrzę — dogonię — pochwycę --
 Błędnego moczar ognika;
 I zaraz w lilijkę białą,
 Oprawię jak do świecznika,
 I nakryję białym dzwonkiem
 By ci świecił. — Czy to mało?
 Rozkaż pani! co pod słońkiem,
 Co na ziemi wszystko zniosę.
 Drzewa, kwiaty, światło, rosę —
 Co nad ziemią, w ziemi łonie,
 Dźwięki, echa, barwy, wonie,
 Wszystko, o czym kiedy śniły
 Myśli twoje, w jezior burzy
 Kołysane —

GOPLANA.

Skierko miły

Ja cię kocham

SKIERKA.

W czym? czy w róży
 Bez-cierniowej? czy w kalinie?
 W cztero-listnej koniczynie?
 Może w kwiatku «niech Bóg świeci»,
 Który posadzi macocha
 Na grobie mężowskich dzieci?
 Może w Magdaleny nitce,
 Co bez wiatru leci płocha?
 Może w białej margarytce,
 Co piątym listkiem «nie kocha» —
 Zabiła młodą pasterkę.
 W czym się kochasz? — Poszlij Skierkę!
 A przyniesie ci kochanka,

I wplecie do twego wianka,
I będziesz go wiecznie miała,
Pieściła i całowała
Do przyszłej wiosny poranka —
Do drugiego kwiatów wieku.

GOPLANA.

Ach! ja się kocham, kocham się w człowieku.

SKIERKA.

To ludzkie czary.

GOPLANA.

Tej zimy, gdym usnęła
Na skrysztalonem łożu, światło mię jakieś
Z głuchego snu gwałtownie ocuciło.
Otwieram oczy — patrzę — płomień czerwony
Jako pożaru łuna bije przez lody,
I słychać głuchy huk. Rybacy to rąbali
Przełomkę biednym rybkom zdradliwą. — Nagle --
Okropny krzyk — w przełomkę człowiek pada! —
Na moje upadł łoże — a czy to światło
Podobne barwie róż, które świeciło
W moim pałacu szklistym? — czy też prawdziwie
Róże, na jego licach śmiercią mdlejące? —
Ale się piękny wydał — ach! piękny tak, że chciałam
Zatrzymać go na wieki w zimnych pałacach,
I nie rozwiązać z wieńca ramion, i przykuć
Łańcuchem pocałunków. W tem zaczął konać —
Musiałam wtenczas, ach! musiałam go wypuścić!
Gdybym przynajmniej mogła była go wynieść
Z wody na rękach moich, usta z ustami
Spoić, i życie wlać w ostygłe jego piersi!
Ale ty wiesz, co to za męka dla nas,
Kiedy podobne kwiatom, musimy składać
Rumieniec nasz i piękne barwy wiosny,
I do kamieni białych podobne, leżeć
W głębiach jeziora. Taką ja wtenczas byłam.
Musiałam leżeć na dnie, ani się płocho
Na światło dnia wyrwać. Na pół martwego
Wyniosłam drżącą ręką, i patrz otwory

W lodzie wybite rzucam — sama boleśnie
 Wracam na puste łoże, na zimne łoże;
 A serce moje rozdarł okrzyk rybaków,
 Którzy witali wtenczas kiedy ja żegnałam! —
 Jakżem czekała wiosny! — Przyszła nareszcie.
 Z miłością w mojem sercu budzę się — kwiaty
 To nic przy jego licach — gwiazdy gasną
 Przy jego jasnych oczach — Ah! Kocham! Kocham!

SKIERKA.

Ktoś idzie tutaj lasem.

GOPLANA.

To on! to on! mój miły.

Bądź niewidomym Skierko.

(Skierka odchodzi. — Wchodzi na scenę Grabiec — rumiany — w ubiorze wieśniaka.)

GRABIEC.

Ach cóż to za panna?

Ma twarz, nogi, żołądek — lecz coś mi szklanna.
 Co za dziwne stworzenie z mgły i galarety! —
 Są ludzie co smak czują do takiej kobiety;
 Ja widzę coś rybiego w tej dziwnej osobie.

GOPLANA.

Jak się nazywasz piękny młodzieńcze?

GRABIEC.

Nic sobie —

GOPLANA.

Miły! nic sobie? —

GRABIEC.

Jukżeś głupia mościa pani —

Nic sobie, to się znaczy, że nic nie przygani
 Mojej piękności — to jest żem piękny. — A zwię się
 Grabiec.

GOPLANA.

Cóż cię za anioł obłąkał w tym lesie?

GRABIEC.

Proszę, co za ciekawość w tym wywiędłym schabku! —

GOPLANA.

Proszę cię panie Grabiec!

GRABIEC.
Wolno mówić: Grabku!

Panie Grabku! —

GOPLANA.
Któż jesteś —

GRABIEC.
Aśki panny sługa —
A pytasz kto ja jestem? — to historja długa,
W naszym kościółku stały ogromne organy —
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił! —
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w Sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił kiedy golił, a pił kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. W tem kogut zaśpiewał,
I mój ojciec małżeństwem z żoną się zespolił.
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda —
Grała więc po tatusiu, i dopóty grała,
Aż go na smętarczyku wiejskim pogrzebała.
Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty,
Jestem, jak mówią, ojca wizerunek czysty,
Bo lubię stary miodek i kocham gorzonną —
I uciekam od matki —

GOPLANA.
Słowa jego wonne
Przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha —
O luby! ja cię kocham —

GRABIEC.
Cóż to za dziewucha?
Obcesowo zaczyna. Wprawdzie to nie dziwy.
Ilekróć przez wieś idę, to serca jak śliwy
Lecą pod moje nogi — wołają dziewczęta!
Panie Grabku! Grabiątko? niech Grabiec pamięta
Że jutro grabim siano — pomóż Grabku grabić,

A to znaczy że za mnie dalyby się zabić —
I to że się na sieni dadzą pocałować.

GOPLANA.

Czy mię kochasz mój miły —?

GRABIEC.

He? — trzeba skosztować —

Naprzykład: — Daj całusa —

GOPLANA.

Stój! — pocałowanie

To ślub dla czystych dziewic. Na dziewiczym wianie,
Za każdym pocałunkiem jeden listek spada.
Nieraz dziewica czysta i smutkami blada,
Dla tego że spadł jeden liść u serca kwiatu,
Nie śmie kochać i daje pożegnanie światu.
I do mogiły idzie nigdy nie kochana.

GRABIEC.

Coś Waćpanna jak mniszka —!

GOPLANA.

Raz pocałowana,

Będę twoją na wieki — i ty mój na wieki —

GRABIEC.

Ha pocałunek bliski, a ten «mój» daleki.

(Całuje.)

GOPLANA.

O mój luby! —

GRABIEC.

Dalibóg — pfu! — pocałowałem

Niby w pachnącą różę — pfu — róża jest ciałem,

Ciało jest niby róża — nie smaczno —!

GOPLANA.

Mój drogi!

Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi

Musisz do mnie przychodzić. Będziemy błędzili

Kiedy księżyc przyswieca, kiedy słowik kwili —

Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem,

Będziemy razem marzyć przy księżycu —

GRABIEC, do siebie.

Nie wiem

Co odpowiedzieć babie —

GOPLANA.

Ty smutny? ty niemy?

O! my z sobą będziemy szczęśliwi!

GRABIEC.

Będziemy,

Lecz nie wieczorem — i nie przy jeziorze —

GOPLANA.

Czemu?

GRABIEC,

Bo ja nie lubię wody jak wściekły.

GOPLANA.

Mojemu

Kochankowi rwać będę poziomki, maliny.

GRABIEC.

Lecz ja nie lubię malin — a kiedy dziewczyny
Niosą dzbanek na głowie, nieraz zrzucam dzbanek,
Ale to nie dla malin — —

GOPLANA.

Lecz ty mój kochanek!

Ty musisz lubić kwiaty. — Więc przyjdź co wieczora.

GRABIEC.

A to już tego nadto! — Co za nudna zmora!
Nie przyjdę w żaden wieczór —

GOPLANA.

Dla czego?

GRABIEC.

Za borem

Pewna dziewczyna czeka na Grabka wieczorem.

GOPLANA.

Dziewczyna?

GRABIEC.

Tak — dziewczyna —

GOPLANA.

Czy piękna dziewczyna?

GRABIEC.

Ha! — co pannie do tego? — zwie się Balladyna —

GOPLANA.

Siostra Aliny? — córka wdowy? — ale ona
Złe ma serce —

GRABIEC.

Waćpanna widzę coś szalona —
 Nie wierzę w babskie dziwy, sądy i przestrożki,
 Wszystkie dziewczęta, które mają małe nóżki,
 To mają piękne usta i — serca — a właśnie
 Ona piękną ma nóżkę —

GOPLANA, zapalając się.

Niech słońce zgaśnie,

Jeśli mi ciebie kto wydrze kochanku.
 Ty jesteś moim! moim! moim wiecznie!
 Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścioneł,
 Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamie —
 Zagaszę księżyc który cię prowadzi
 Do pocałunków, do kochanki domu!
 Ach bądź mi wiernym! błagam cię! zaklinam!
 Na twoje własne szczęście! — Ach! zaklinam!
 Bo zginiesz luby — nie — razem zginiemy,
 Ale ty zginiesz także gdy ja zginę —
 Więc nie chcę zginąć, abys ty nie zginął.
 Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
 Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam — ja każe! —

GRABIEC.

A któż ty jesteś co każesz?

GOPLANA.

Królowa!

Królowa fali — Goplana! —

GRABIEC.

Ej! — w nogi!

Jezus Maria! a tom popadł w biedę!
 Szatana żona chce być moją żoną! —

(Grabiec ucieka.)

GOPLANA, sama.

Niech słońce gaśnie! niechaj gwiazdy toną
 W bezdrożne niebo! niechaj róże więdną! —
 Co mi po słońcu, po kwiatach, po gwiazdach?
 Wolę je stracić niż kochanka stracić! —
 Co mam potęgi, co nadprzyrodzonej
 Siły nad światem, to obróć na to

Aby to serce podbić i mieć mojem. —
Skierko! Chochliku! —

(Skierka przybiega.)

Czy słyszałeś Skierko

Moją rozmowę z kochankiem? aniołem?

SKIERKA.

Nie karz — ciekawość — szczera moja skrucha,
Biały powoju kwiatek uszczyknąłem
I końcem różka włożywszy do ucha
Słyszałem — przez kwiat —

GOPLANA.

Gdzie Chochlik?

SKIERKA.

Leniwy

Ciągnie się z wiankiem —

(Wchodzi Chochlik z wiankiem.)

GOPLANA.

A wstydz się Chochliku!

Patrz, coś ty narwał chwastu i pokrzywy —
Brzydkich piołunów, koniczyn, trawniku!

SKIERKA.

Pozwól mi Pani, niech ja go wysickę
Za taki wianek —

CHOCHLIK.

Ej! — ja cię urzekę —

GOPLANA.

Słuchajcie teraz mię cicho djabliki:
Oto Chochło polecisz za moim kochankiem;
Idź przy nim, przed nim, za nim, jak skoczne ogniki,
I błąkaj po murawiach, tak, by przed porankiem
Nie trafił do mieszkania — ani do tej chaty,
Gdzie mieszkają dwie piękne dziewczęta — dwa kwiaty,
Córki wdowy. — Rozumiesz — a o wschodzie słońca
Tu miłego przyprowadź.

CHOCHLIK.

Będę go bez końca

Błąkał i sadzał w błocie — ha! ha! ha! ha! ha! ha!

(Chochlik odchodzi.)

GOPLANA.

A ty, mój Skierko, leć na mały mostek,
 Gdzie jest mogiła samobójcy stracha.
 Ukryj się w łozy zarostek:
 Za godzinę przez ten mostek
 Będzie jechał pan bogaty,
 Ustrojony w złote szaty,
 Jak do ślubu. — Bez oręży —
 I kareta złotem błyska,
 I pięć rumaków w zaprzęży;
 Cztery karych, i klacz biała
 Przodem lecąc, iskry ciska.
 A na mostku wypruchniała
 Leży belka drżąca, śliska —
 Czy rozumiesz?

SKIERKA.

Wywrócić?

GOPLANA, skłaniając głowę.

Ani ludziom ni koniom —

SKIERKA.

A potem?

GOPLANA.

Tego pana w płaszczu złotym,
 Hymnem wiatru czułym, tkliwym,
 Zaprowadzić aż do chaty
 Gdzie mieszka uboga wdowa,
 I dwie młode córki chowa.
 Uczyn tak, by pan bogaty
 Wziął tam żonę i we dwoje
 Odjechał złotą kareta. —
 Luby Skierko! dziecię moje!

SKIERKA.

Dziewczyna będzie kobietą,
 Nim dwa razy słońce zaśnie,
 Nim dwa razy księżyc zgaśnie.

(Odlatuje.)

GOPLANA, sama.

Więc rozesłałam Sylfy; niechaj pracują
 Na moje nieszczęście. Teraz nie idzie oto,

Aby wojskami kwiatów zdobywać niwy! —
 Nie kwiatów strzedz mi teraz, nie tęczę winąć,
 Ani słowiki uczyć piosenek, ani
 Budzić jaskółki wodne — kocham! — ginę! —
 A jeśli on mię kochać nie będzie? Cała
 W mgłę się rozplynę białą, i spadnę łzami
 Na jaki polny kwiat — i z nim uwiednę.
 (Rozplywa się w powietrzu.)

SCENA III.

(Chata Wdowy. Wdowa i córki jej Balladyna i Alina wchodzą z sierpami.)

WDOWA.

Zakończymy dzień pracy, moja Balladyno!
 Twoje rączki od słońca całe się rozplyną
 Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
 Z Alinką na poletku doźniemy ostatka;
 A ty moje dzieciątko siedź sobie za ścianą —

ALINA.

Nie! nie! nie! jutro odpoczywa matka,
 A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
 Słoneczko lubi twoją główkę siwą
 I leci na nią, by natrętna osa
 Do białych kwiatów — ani go od włosa
 Liściem odpędzić. Że też nigdy chmurki
 Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła —
 O! biedna matko!

WDOWA.

Dobre moje córki

Z wami to nawet ubożyzna miła,
 A kto posieje dla Boga, nie straci.
 Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
 Bogatym mężem — a kto wie? a może
 Już o was słychać na królewskim dworze?
 A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
 Jaki królewicz — niech i kuchta dworu
 Albo konjuszy — zajeżdża karetą —
 I mówi do mnie: Pocziwa kobieto,

Daj mi za żonę jedną z córek! — Paniel!
 Weź Balladynę, piękna jak dziewczanna. —
 Tobie się także Alino dostanie
 Rycerz za męża — ale starsza panna
 Powinna prędszej zostać panną młodą.
 W rzeczulkach woda goni się za wodą —
 Mój królewiczu żęń się z Balladyną.

BALLADYNA.

Gdzie ty mój grzebień podziałaś Alino —
 Co ty tam słuchasz jak się matce marzy.

ALINA.

Wiesz Balladyno że to jej do twarzy,
 Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha —

MATKA, do Balladyny.

Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
 A mnie się marzy Bóg wie nie co. — Ale
 Bogu się także w wiekuistej chwale
 Musi coś marzyć — a gdyby też Bogu
 Chciało się matce dać złotego zięcia —

BALLADYNA.

Ach! słyhać jakiś turkot na rozłogu
 Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
 Pięć koni — złota kareta — ach kto to? —
 Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto
 Między drzewami błyska! Ach mój Boże
 Co im się stało? — śród naszego mostu
 Powóz prr — stanął — i ruszyć nie może —

WDOWA.

Pewnie chcą konie napoić.

BALLADYNA.

Ot właśnie

Pan poi konię na drodze po prostu —

WDOWA.

Ha! jeśli pić chcą —

ALINA.

Już słoneczko gaśnie —

Trzeba zapalić sosnowe łuczyno —

BALLADYNA, biegnąc od okna.

Ach lampę zaświeć — ach lampę — co — żywo —!
O! gdzie mój grzebień?

(Słychać pukanie do drzwi.)

WDOWA.

Cóż to? co? — ktoś puka —

Otwórz Balladyno —

BALLADYNA.

Niech siostra otworzy —

WDOWA.

Prędeż otwórzcie — ktoś do chaty stuka!

ALINA.

Ach! ja się boję —

WDOWA.

Niech wszelki duch Boży

Boga wychwala — ja odemknę chatę —

(Patrzy przez dziurkę od klucza.)

O jakie stroje złoćisto bogate.

(Otwiera)

Czy w imię Boga? —

(Kirkor wchodzi.)

KIRKOR.

Tak, z Boga imieniem.

Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem,
Szukam schronienia —

WDOWA.

Proszę — po za stołem

Mój królewiczu siadać — proszę siadać.

Chata uboga — raczyłeś powiadać

Że powóz — O! to nieszczęście! — Dziewczęta!

To moje córki jasny królewiczu —

A to już dawno człowiek nie pamięta

Takich przypadków, chyba przy księżycu

Młynarz, co jechał przeszłej wiosny —

BALLADYNA.

Matko

Dosyć — daj panu mówić —

(Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów.)

KIRKOR.

Przed tą chatką

Słyszałem dźwięki luteń — czy to córki

Wasze grywają na lutni?

WDOWA.

Prepraszam —

Nie — królewiczu —

SKIERKA.

Z niewidzialnej chmurki

Sympatycznymi kwiaty poukraszam

Obie dziewice, bo moja królowa

Nie powiedziała do której nakłonić

Serce Kirkora. — Muzyka echowa

Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;

A wieniec kwiatów taką woń rozleje,

Że serce tego człowieka omdleje —

Że jednym sercem dwa serca pokocha.

(Wkłada wieniec kwiatów na głowy dziewczynom. — Słychać muzykę.)

WDOWA.

Może królewicz chce odpocząć trochę —

KIRKOR, z zadziwieniem i niespokojnością.

Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne —

Słyszę. — Dziewice! wasze są to pieśni? —

Słyszę śpiewanie —

ALINA.

Czy się panu nie śni?

Tu w chacie — cicho —

KIRKOR.

Ach! jakże mi nudno

Wspomnienie zamku pustego!

SKIERKA, na stronie.

Czar działa —

KIRKOR.

Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?

To pewno wasze wieniec uroszone

Lzami wieczoru, dają takie wonie?

BALLADYNA.

Lecz my nie mamy wienców.

(Wchodzi sługa Kirkora bogato ubrany.)

SŁUGA.
Naprawione

Koło w powozie —

KIRKOR.
Wyprowadź z dyszla konie!

Ja tu zostanę —

(Sługa odchodzi.)

WDOWA.
Cóż to za zjawienie?
Królewicz w chacie! Na jakim on sienie
Spać będzie? — Jego listki róży cisną —

KIRKOR do siebie.
Prawdę wróżyłeś pustelniku stary:
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany —

SKIERKA. do siebie.
Zakończono czary —

KIRKOR, do Wdowy.
Słuchaj no matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa. — O! gdybym dwa trony —
Ach powiem raczej — gdybym miał dwa serca! —
Lecz zdaje mi się że dwa serca noszę —
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jedną tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać. — Czemuż losu fala
Rozbiła serce moje o dwie skały?
Ach czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umię
Wybrać —

WDOWA.
Ja ciebie panie nie rozumię —

KIRKOR.
Proszę o rękę jednej z córek. — Może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,

Złocisty powóz, konie i rycerze —
 Na swych usługach? — Otóż Kirkor — to ja —
 Proszę o jedną z córek —

WDOWA.

Córka moja?

Ja dwie mam córki — ale Balladyna —

KIRKOR.

Czy starsza?

WDOWA.

Tak jest — a młodsza Alina

Także jak anioł —

KIRKOR, do siebie.

Jaki wybór trudny!

Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny —

Niby listkami brzoza przyodziana —

Ta z alabastrów, a ta zaś różana —

Ta ma pod rzeszę węgle — ta fijołki —

Ta jako złote na zorzy aniołki —

A ta zaś jako noc biała nad rankiem.

Więc jednej mężem — drugiej być kochankiem!

Więc obie kochać, a jedną zaślubić?

Lecz którą kochać! którą tylko lubić? —

Niech się przynajmniej z ust różanych dowiem,

Która mię kocha? — (Do dziewic.) Moje smukłe łąnie!

Czy mię kochacie?

BALLADYNA.

Ach! ja ci nie powiem —

Nic — ale nie śmiem wymówić — tak panie —

Ale ty zgadniesz choć będę milczała. —

Zgadnij rycerzu.

KIRKOR, do Aliny.

A ty różo biała?

ALINA.

Kocham —

KIRKOR.

Obiedwie kochają.

WDOWA.

Zapewne

Że muszą kochać! — tożby to dopiero

Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąć sobie królowną!
Piękny i śmiały. —

KIRKOR.

Któraż z was, dziewice,
Będzie mię więcej kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić co ja lubię? —
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice? —

BALLADYNA.

O panie! jeśli w zamku są czeluście
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć — wskoczę. Jeśli na odpuscie
Książd nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, któremi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę —
Czegoż chcesz więcej? —

WDOWA.

Weź! weź Balladyne! —

Szczerą jak złoto.

KIRKOR do Aliny.

A ty młodsza dziewo

Co mi przyrzekasz?

ALINA.

Kochać i być wierną.

KIRKOR.

Ach! nie wiem której oddać rękę lewą,
Jako szwagierce — a której z pierścionkiem! —
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przed-sterną,
Co wiodła króle do dzieciątka żłobu! —
Serce mam jedno, a ciągnie do obu.
Którą odrzucić? której być małżonkiem?
Obie kochają, więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tkliwość,
W obojgu miłość jednaka zasługą —
Którą tu wybrać?

ALINA

Jeśli mię wybierzesz

Szlachetny panie, to musisz obiecać
 Że mię do zamku twójgo zabierzesz
 Z matką i siostrą. — Bo któż będzie matce
 Gotować garnek? kto ogień rozniecać? —
 Ona nie może zostać w biednej chatce,
 Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
 Patrz, ona siwa jak różyczka biała.
 O! widzisz panie — musisz także ze mną
 I matkę zabrać.

KIRKOR.

O! jakąż tajemną

Roskoszą serce napełnia — o miła —!

WDOWA.

Lecz Balladyna to samo mówiła
 W sercu i w myśli. — Wierzaj mi rycerzu
 I Balladyna kocha matkę starą.

KIRKOR.

Jużem był wybrał i znów mi w puklerzu
 Dwa serca biją —

BALLADYNA.

Byłabym poczwarą,

Niegodną twojej ręki, ale piekła,
 Żebym się matki kochanej wyrzekła.
 Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.

KIRKOR.

Oślepionego chyba losu ręce
 Wskażą mi żonę —

SKIERKA, śpiewa do ucha Wdowy.

Matko w lesie są maliny,
 Niechaj idą w las dziewczyny.
 Która więcej malin zbierze,
 Tę za żonę pan wybierze.

WDOWA.

Coś matce staruszce

Przyszło do głowy. — Mój ty królewiczu,
 Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,

To ci poradzi piękny krasno-licu.
 Oto niech rankiem idą w las dziewczyny!
 A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny;
 I niechaj malin szukają po lesie,
 A która pierwsza dzban pełny przyniesie
 Świeżych malinek — tę weźmiesz za żonę.

KIRKOR.

Wyborna rada. — O złota prostoto!
 Ty mi dasz szczęście niczem nie skłóconc,
 Dnie roskoszami przeplatane z cnotą! —
 Tak moja matko — niech o słońca wschodzie,
 W las idą córki z dzbankami na głowie.
 A my w lipowym usiadziemy chłodzie:
 Która powróci pierwsza, ta się zowie
 Hrabini Kirkor. — Sądz sam wielki Boże.

WDOWA.

Królewicz znajdziesz w tej chateczce łoże,
 Pachnące siano zakryte bielizną.
 Wierzaj mi panie, żabki się nie wślizną
 Do twego sianka. — Proszę do alkowy.

KIRKOR klaszcze, wchodzi sługa.

Przynies z powozu puchar kryształowy,
 Wino i zimne żubrowe pieczywo —
 (Sługa odechodzi.)

Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone —
 (Odechodzi do alkowy, poprzedzany przez Wdowę.)

ALINA.

Siostrzyco moja! — o jakież to dziwo!
 O jakie szczęście! —

BALLADYNA.

Jeszcze nie złowione
 To szczęście, siostro, może nie dla ciebie —

ALINA.

O! moja siostro — wszakże to na niebie
 Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową:
 Jeśli nie będę panią Kirkorową,
 To będę pani Kirkorowej siostrą.
 A tobie jutro trzeba wziąć się ostro

Do tych malinek, bo wiesz że ja zawsze
 Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
 Nie wiem czy na mnie jagody łaskawsze,
 Same się tłoczą — czy tam — twój kochanek —
 BALLADYNA.

Milcz! —

ALINA.

Ha! siostrzyczko? a ja wiem dla czego
 Malin nie zbierasz —

BALLADYNA.

Co tobie do tego.

ALINA.

Nic — tylko mówię że jabym nie chciała
 Rzucić kochanka ani dla rycerza,
 Ani dla króla. — A gdybym kochała,
 Wzajem kochana, rolnika pasterza,
 To jużby żaden Kirkor —

BALLADYNA.

Nie chcę rady

Od głupiej siostry —

(Słychać klaskanie za oknem. — Balladyna zapala świeczkę i zakrywszy ją
 w dłoni, wychodzi.)

ALINA.

Ha, zaklaskał w borze —

Wyszła ze świeczką. — O mój wielki Boże!
 Co tam pan Grabek powie na te zdrady? —
 Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,
 A jam widziała na kwiatkach ugora,
 Ba! i pod naszą osiną słyszałam
 Sto pocałunków — przebacz mi, o Chryste!
 Że sędzę miłość, której ach! nie znalazłam —

(Klęka.)

Widzisz mój Boże! ja mam serce czyste,
 A przysięgając nie złamię przysięgi —
 Boże! ptaszęta u twojej potęgi,
 Mogą uprosić o wisienkę czarną!
 Jaskułkom w dziubek dajesz muszkę marną.
 Jeśli ty zechcesz Boże mój jedyny,
 Gdzie stąpię — wszędzie czerwone maliny —
 (Siada na ławie i usypia.)

SKIERKA, śpiewa.

Niech sen szczęścia połączany
Zamyka oczy dziewczyny —
A ja lecę do Goplany —

(Odechodzi.)

ALINA, przez sen.

Wszędzie maliny! maliny! maliny!

A K T II.

SCENA I.

(Las przy jeziorze Gople. — Wschód słońca. Chochlik i Grabiec, w czerwone błoto trzęsawie uwalany i dobrze podpiły.)

GRABIEC.

Nie pójdę krokiem dalej.

CHOCHLIK.

Ale tu już blisko

Do twojego domostwa.

GRABIEC.

Moje czarne psisko

Nie wierzę tobie — bo mię błąkasz, sadzasz w błocie
I wykręcasz ogonem. — Nie, mój czarny kociel
Chciałem ciębie pogłaskać a ogień wytrysnął —
Spać chcę.

CHOCHLIK.

Zażyj tabaki —

GRABIEC, trzymając się dębu.

Patrz — dąb mię uściskał —

I nie dziw, dąb przyjaciel grabiny. — Mój dębie,
Wierz mi że cię szacuje, co w sercu to w gębie! —

CHOCHLIK.

Chodźmy dalej —

GRABIEC.

Znalazłem dęba przyjaciela.

Choćbys mi raj pokazał, gdzie Bóg wróble strzela,

To nie porzucę dęba co się cały chwije,
 I potrzebuje wsparcia. — Patrz biedaczek mdleje.
 Tu psie! tutaj z latarnią! zgubiłem dębinę.
 Ha! dąb uciekł — nie poznał mnie — obrosłem w trzcinę —
 Siedząc w błotach noc całą —

CHOCHLIK:

Chodź do karczmy.

GRABIEC.

Na to

Masz ze mnie przyjaciela — na to jak na lato.
 Nie — to już nie przystoi — jeśli karczma dama,
 Kocha mię jak ja kocham, to nadejdzie sama —
 Głupstwo chodzić do dziewcząt. — Skąd ty masz tabakę?

CHOCHLIK.

Od pana Lucyfera.

GRABIEC.

Ty mi świecisz bakę.

Psie mój miły poszukaj zajęcia — a strzelę.

CHOCHLIK.

Czem? —

GRABIEC.

Gromem — bōśmy z sobą dobrzy przyjaciele. —
 Przepraszam ciebie bardzo, żem cię zawiōdł w błota.
 Siedzieliśmy w kałuży po uszy jak cnota,
 I kichali — kichali — mój nos w nos waćpana.

CHOCHLIK.

Pamiętasz co nam trzcina mówiła.

GRABIEC.

Kochana! .

Przyszła na pomoc —

CHOCHLIK.

Trzcina ratowała dudę —

GRABIEC.

Ja zawsze obwiniałem trzciny o obłudę —

CHOCHLIK.

Chodź dalej —

GRABIEC.

Spać chcę —

CHOCHLIK.

Lepiej wleź na dąb —

GRABIEC, śpiewa.

Na dębie

Siedzą gołębie,

Na stawku pływają kaczki —

Jeżeliś przyjacielem, to zanieś do praczeki

Moje spodnie —

CHOCHLIK.

Co? jak to? chcesz spać bez szlafmicy?

GRABIEC.

Nie chcesz? to idź do djabła kocie czarownicy!

CHOCHLIK.

Dobrej nocy —

GRABIEC.

Dobranoc — dobranoc psie miły.

Szedłbym jeszcze do karczmy ale nie mam siły.

Dobranoc —

(Zasypia.)

CHOCHLIK.

Co za głupie stworzenia ci ludzie!

Spił się, cały w czerwonej umazgał się rudzie,

I śpi, niech sobie teraz nadchodzi Goplana.

(Goplana wchodzi ze Skierką.)

GOPLANA.

Gdzie on? ach zasnął. — Niech zorza różana

Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;

Lecz niech się zorza na poły zasmuci,

I płaczem rosy słońce tak przesłoni,

Aby łagodne, powiek nie raziło —

A ty Chochliku weźmij z hojnej dłoni

Twoją nagrodę —

CHOCHLIK, biorąc dar.

Orzech świstun, zgnił

Pełny tabaką — dzięki ci królowo,

Przez dwa dni będę częstował hiszpanką

Chłopstwo pijane.

GOPLANA, do Skierki.

Któraż jest kochanką

Kirkora?

SKIERKA.

Obie —

GOPLANA.

O szalona głowo!

SKIERKA.

Przyjdą do lasu szukać malin obie,
Jak ci mówiłem —

GOPLANA.

Poradz mi co zrobisz?

SKIERKA.

Spuść się na czarne Balladyny serce. —
Zazdrość widziałem w małej iskierce —
Więcej niż zazdrość —

GOPLANA.

Cóż robiły w nocy?

SKIERKA.

Alina, boskiej wzywając pomocy,
Usnęła cicho, marząc o malinach;
A Balladyna zapaliła świecę
I wyszła, bo ktoś zaklaskał w osinach.
Leciałem za nią śledzić tajemnicę
Nocnej przechadzki. — Jako mgliste mary,
Szła po murawach i drżąc i cicha:
A płomyk świecy przez różowe szpary
Białych paluszków, jak z róży kielicha,
Błyskał i gasnął — to błyskał to gasnął.
Zbudził się ptaszek w osinach i zasnął,
Tak cicho przeszła wietrzniemi poloty,
Tak cicho przeszła. — Ómy wianeczek złoty
Zwinał się, leciał nad dziewicy głową.
Stanąła — słucham — ona ciche słowo
Wnięszała w szmery listeczków osiny
Ktoś odpowiedział —

GOPLANA.

Może Balladyny

Drużka?

SKIERKA.

Nic pani.

GOPLANA.

Kto?

SKIERKA.

Mamże powiedzieć?

GOPLANA, pokazując na śpiącego Grabka.

On?

SKIERKA.

Tak —

GOPLANA, do Chochlika.

Chochliku! — kazałam ci śledzić —

Przeszkodzić —

CHOCHLIK.

Djabel kochankom przeszkodzi.

GOPLANA.

Zamknij Chochlika, Skierko, w muszli żabiej

I na jezioro puść, by kota w łodzi.

CHOCHLIK.

O pani! pani! lepiej ty mię zabij —

GOPLANA.

Zabić nie mogę lecz mogę ukarać —

SKIERKA.

Pójdź panie Chochło o łódkę się starać.

(Chochlik przekrzywając się jak krasnórne dziecko, odchodzi za Skierkę.)

GOPLANA, sama.

Więc on ją widział — on ją widział nocą —

Przekleństwo! wczoraj widział ją w osinie.

Niechaj te gwiazdy nigdy się nie złocą,

Co im świeciły! Niech ten miesiąc ginie!

Niechaj anielskiej drogi mleczne stopnie

W proch się rozsypią! — On był tam? — okropnic!

Żeby ta dziewa jedno mi spojrzenie

Przedała dzisiaj za brylanty światów —

Jak go ukarać? Ach ja się zamienię

W błękitny powój i węzłami kwiatów —

Na śmierć uścisknę. — O nie — z tego wianka

Kochanek żywy wyjdzie, a kochanka,

Rozpłomieniona miłością, omdleje.

Jak go ukarać? — Niechaj wrośnie wszystek

W płaczącą wierzbę, korą się odzieje —
 Niech się na drzewie skłoni każdy listek,
 Jakoby smutny przewinieniem spadał —
 I płakał. — Luby! gdy cię tak zobaczę,
 Że będziesz płaczem na płacz odpowiadał,
 To będę płakać, ach! że wierzba płacze.

(Skierka wraca.)

SKIERKA.

Zamknięty w muszli po strumykach skacze,
 I na jezioro wyjeżdża w powozie
 Nieboszczki żaby.

GOPLANA.

Wytnij różgę w łożu.

(Skierka podaje Goplanie pręcik.)

Obudź się teraz! obudź się kochany!
 Powiedz dla czego —?

GRABIEC, senny.

Śpię — jestem pijany.

GOPLANA.

Powiedz dla czego, jak miłośny słowik,
 Piosnką wieczora —

GRABIEC, śpiąc na pół.

Podaj mi borowik

I włoż pod głowę za poduszkę — a nie?
 To idź do stawu rybo, koczkodanie!

GOPLANA.

Więc poznaj władzę Goplany!
 Wrośnij w ziemię, i z tej ziemi
 Wyrośnij, korą odziany,
 I liśćmi płaczącemi.

(Grabiec tonie w ziemię, wierzba na tem miejscu wyrasta.)

Rośnij wierzbo płacząca!
 Skarż się, gdy ptaszek trąca,
 Gdy cię strumyk podrywa;
 Kiedy wietrzyk rozniesie,
 Twoje listki po lesie. —

Skierko! przyślij słowika, niech tej wierzbie śpiewa
 Słowa miłosne, i niech ją nauczy
 Kochać i płakać.

Ale niech żaden dziób kruczy,
 Nie śmie nad nią smutnie krakać
 Pieśni pogrzebu —
 Bo ta wierzba nie umarła.

SKIERKA.

O! jakże piękne listki rozpostarła!
 Jak się kłania kwiatom, niebu.
 Wierzba wyrosła z człowieka,
 I piękniejsza niż był człowiek.

GOPLANA.

Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka,
 Niechaj sęgowem okiem z pod korzanych powiek
 Upatruje dziewicy —

SKIERKA.

Widzę dwie dziewczyny.
 Niosą na głowach czarne dzbanki z gliny —
 Szukają malin.

GOPLANA.

Skryjmy się w gęstwiny.
 (Goplana i Skierka kryją się. — Alina wchodzi z dzbankiem na głowie.)

ALINA.

Ach! pełno malin — a jakie różowe!
 A na nich perły rosy kryształowe —
 Usta Kirkora takie koralowe
 Jak te maliny. — Fijołeczki świeże
 Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
 Zrywać fijołków — bo siostrzyczka zbierze
 Dzban pełny malin i powróci z lasu
 I weźmie męża; a ja z fijołkami
 Zostane panną. — Choćbyście wy były,
 Fijołki moje, złotemi różami,
 Wolę maliny.

(śpiewa, szukając malin.)

Mój miły! mój miły!
 Złoty, wielki pan.
 Mojemu miłemu,
 Niosę malin dzban.

Bo on woli mój kochanek,
Taki pełny malin dzbanek,
Niż zbożowy łan. O!
Niż zbożowy łan.

(Ochodzi w las. Wchodzi Balladyna z dzbankiem na głowie.)

BALLADYNA.

Jak mało malin! a jakie czerwone!
By krew. — Jak mało — w którą pójde stronę?
Nie wiem — a niebo jakie zapalone —
Jak krew. — Czemu ty słońce wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek.
Gdzie moja siostra —? Musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek;
A ja śród jagód chodzę obłąkana,
Jakąś rozpaczą, i łzy gubię w rosie,

ALINA, z głębi lasu.

Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana!
A gdzie ty?

BALLADYNA.

Jaki uśmiech w Aliny głosie.
Musi mieć pełny dzbanek —

(Alina wchodzi.)

ALINA.

Cóż siostrzyczko?

BALLADYNA.

Co? —

ALINA.

Czy masz pełny dzbanek?

BALLADYNA.

Nie —

ALINA.

Balladyno

Cóż tu robiłaś!

BALLADYNA,

Nic —

ALINA.

To źle różyczko —

Ja mam dzban pełny mniej jedną maliną.

BALLADYNA.

Weź tę malinę z mego dzbanka.

ALINA.

Miła! —

Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieś była?
 Wyszliśmy razem, miałaś dosyć czasu;
 Wszak ja ci siostró nie ukradłam lasu.
 Dlaczegoż teraz z taką bladą twarzą?
 I z przyciętymi ustami —

BALLADYNA.

Wyłażą.

Z twojego dzbanka maliny jak węże,
 Aby mię kąsać żądłami wymówek.
 Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże
 Jak wół do pługa — będzie tłoczyć olej
 Z kołących siemion i z brzydkich makówek.

ALINA.

A wstydź się siostró — proszę cię, nie boleję
 Nad mojem szczęściem.

BALLADYNA.

Ha! ha! ha!

ALINA.

Co znaczy

Ten śmiech okropny? siostró! czy ty chora!
 Jeżeli wielkiej doznajesz rozpaczy
 To powiedz. — Ale ty kochasz Kirkora?
 Ty bardzo kochasz? Siostró! powiedz szczerze?
 Bo widzisz rybko, są inni rycerze,
 Jak będę panią, to ci znajdę męża —

BALLADYNA.

Ty będziesz panią? ty! ty!

(Dobywa noża.)

ALINA.

Balladyna!

Cóż ten nóż znaczy?

BALLADYNA.

Ten nóż — to na węża

W malinach —

ALINA.

Siostró! jesteś biała, sina.
 Kalinko moja! co tobie? co tobie?
 Czemu ty biała? ach! jak to okropnie!
 Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie,
 I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
 Jak dwie siostrzyczki. (siadając na murawie). Ja kocham Kirkora
 Ach! nie dla tego że Kirkor bogaty,
 Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
 Że ma karetę złotą, złote szaty! —
 A jednak miło mi że chodzi w złocie,
 Że miecz ma jasny, służebników krocie:
 Bo to, jak rycerz w bajce, co się rodzi
 Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
 Jakąś zaklętą królownę.

BALLADYNA, wstając z pomięszaniem.

Och! —

ALINA, wstając.

Miła! —

Co tobie? —

BALLADYNA, ze wzrastającym pomięszaniem.

Gdybym cię siostró zabiła.

ALINA.

Co też ty mówisz? —

BALLADYNA.

Daj mi te maliny!

ALINA.

A kto wie siostró? gdybyś poprosiła,
 Pocałowała usteczka Aliny?
 Możebyś dała! — Spróbuj Balladynko —

BALLADYNA.

Prosić! —

ALINA.

Inaczej żegnaj się z malinką.

BALLADYNA, przystępując.

Co? —

ALINA.

Bo też widzisz siostró że ten dzbanek,

To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złota i mój ślubny wianek,
I wszystko moje — —

BALLADYNA, z wściekłością natrętną.
Oddaj mi ten dzbanek.

ALINA.

Siostro! —

BALLADYNA.

Oddaj mi — bo! —

ALINA z dziecinnem naigraniem się.

Bo! — i cóż będzie?

Bo? — Nie masz malin, więc suche żołądzie
Uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście?
I tak — ja prędeż biegam, i przez miedzę
Ubiegnę ciebie — —

BALLADYNA.

Ty?

ALINA.

A oczywiście,

Że ciebie w losie siostrzyczko wyprzedzę.

BALLADYNA.

Ty!

ALINA.

O! nie zbliżaj się do mnie z takimi
Oczyma. — Nie wiem — ja się ciebie boję.

BALLADYNA, zbliża się i bierze ją za rękę

I ja się boję — połóż się na ziemi —
Połóż! — — ha!

(Zabija.)

ALINA.

Puszczaj! — o! — konam —

(Pada.)

BALLADYNA.

Co moje

Ręce zrobiły? — O! —

GŁOS Z WIEŻY.
Jezus! Maria! —

BALLADYNA, przerażona.

Kto to? — zawołał ktoś? — czy to ja sama
 Za siebie samą modliłam się? — Żmija,
 Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
 Tu — i tu — i tu (pokazując czoło, plami je palcem). I tu! Któż zabija
 Za malin dzbanek siostrę? — Jeśli z bora
 Kto tak zapyta? Powiem — ja. — Nie mogę
 Skłamać i powiem — ja! — Jak to, ja? Wczora
 Mogłabym przysiąc że nie. — W las! w las! w drogę —
 Wczorajsze serce niechaj się za ciebie
 Modli. — Ach! jam się wczoraj nie modliła! —
 To źle! źle! dzisiaj już nie czas. — Na niebie
 Jest Bóg — zapomnę że jest — będę żyła
 Jakby nie było Boga.

(Odbiega w las. — Goplana i Skierka wchodzą. — Alina leży zabita.)

GOPLANA.

Ach, okropność!

Ludzie tak siebie zarzynają nożem!
 Nie wiem jak ludzka poczyna roztropność
 W takim zdarzeniu? — My duchy nie możemy
 Znać owych ziółek, które rany leczą!
 A ona ciepła, może jeszcze żywa?
 Pustelnik nieraz ziółka w lesie zrywa —
 Więc może, gdyby miał koło niej pieczę,
 Do życia wróci. — Ach, Skierko mój drogi!
 Sprowadź tu pustelnika.

(Skierka odbiega.)

Wy ciernie i głogi,

Jeżeli zbójczyni padnie na kolana,
 Bądźcie pod jej kolanami.
 Niech leci wiatrem ścigana,
 Przerażona strumyka mruczącego łzami,
 Jak siostry płaczem — —

(Patrzając w las.)

Widzę tego pasterza, co się zwie tułaczem,
 Wgnyanym z kraju szczęścia i po całym świecie
 Szukał próżno kochanki — dziś kocha się w kwiecie,
 W słońcu, w gwiazdach — w jutrzence — niech ujrzy to ciało.

(Ochodzi w las. Wchodzi Filon, patrząc w niebo.)

FILON, z przesadą.

Po co mi świecisz, małżonko Tytana,
 Twarzą, co przeszła z różowej na białą?
 Po co mi świecisz Febie? Tyś od rana
 Miłością konał na Tetydy łonie,
 A teraz puszczasz rozhukane konie,
 I z szat wilgotnych srebrną trzęsiesz rosę —
 Szczęśliwy Febie! — Tam błąda Dianna,
 Patrząc na twoje czoło złoto-włose,
 Przed Endymjonem kryje się w błękanie,
 Do głębi serca promieniami ranna.
 Miłość — to światło, to niebo, to życie!
 A jam nie kochał! — o biada mi! biada!

(Spostrzega ciało Aliny.)

Cóż to za bóstwo? — Jak marmury błąda!
 Nie żywa! — Boże! a taka podobna
 Do nieśmiertelnych bogiń — i nie żywa — —
 Jak nad nią płacze ta wierzba żałobna!
 A moja dusza, na marzenia tkliwa,
 Łez dla niej nie ma? — Samotność popsuła
 Źródło łez moich! — Jaka postać cudna! —
 Jak ona wczoraj musiała być czuła!
 Jak do niej wianek przypadał weselny!
 Jak mogła kochać! — A dziś śmierć obłudna
 Życie wydarła, a wdzięk jej pośmiertny
 Na moją zgubę nieżywej nadała!
 O mój aniele! ty śmierci kochanka!
 O! jak miłośnie twoja ręka biała
 Ujęła czarny dzbanek — z tego dzbanka
 Płyną maliny — a z alabastrowej
 Piersi wytryska drugi taki strumień,
 Piękniejszy barwą od krwi malinowej.
 Ach! twój zabójca od dwu będzie sumień
 Ścigany, za te dwa strumienie krwawe! —
 Nie — to zwierz leśny musiał zabić ciebie,
 Człowiek by nie mógł — — Boże! oto rdzawe
 Leży żelazo — to człowiek! — Ach, w niebie
 Szukać schronienia przed tłumem tych ludzi!

Śpij, moja luba! ciebie nie obudzi
 Ten pocałunek — a mnie niech zabije — —
 (Całuje usta umarłej i podnosi ją. — Pustelnik nadbiega.)

PUSTELNIK.

Stój! stój zabójco! — On żelazo rzyje
 Do swoich piersi — —

FILON.

Ojczy! patrzaj na nią!
 Znalazłem przecie kochankę — nieżywą.

PUSTELNIK.

Czyjesz to miecze takie kwiaty ranią?
 Któż te pustynie krwią czerwieni żywą?
 Czy tu król Popiel zawitał i plami
 Białe lilije naszych lasów? —

FILON.

Łzami

Krew tę obmyję — —

PUSTELNIK.

Wstydz się łez!

FILON.

Ach! ona

Zmarła — patrzaj tu! tu! tu! niebieski
 Kwiatek — znak śmierci wśród białego łona — —
 Gwiazdeczka śmierci — —

PUSTELNIK.

Ty młody i rześki,
 Podnieś umarłą i weź na ramiona,
 Ja ci pomogę dźwigać lekkie ciało;
 W celi mam ziółka.

FILON.

Ty duszę omdlałą
 Krzepisz nadzieją; ty podajesz ramię
 Duszy nieszczęsnej, która się już kładła
 W mogiłę żalu. Pozwól że ułamię
 Gałąskę z wierzby, pod którą upadła
 Kochanka moja, okropnie zabita —
 Tum ją zobaczył — tu pokochał — stracił —
 Wprzód nim pokochał. — Ach! w przeszłości świta

Szczęście stracone! jam się nie zbogacił,
A skarb znalazłem — —

(Urywa gałąskę z wierzby.)

GŁOS Z WIERZBY.

Nie trącaj, bom pjany.

FILON.

Ta wierzba gada —

PUSTELNIK.

W lesie są szatany —

Ja znam się z nimi; nieraz mi do celi
W okna stukają.

FILON.

W lesie są anieli —

Ale umarli — —

PUSTELNIK.

Chodź z twoim aniołem.

(Filon bierze na ramiona ciało Aliny i odchodzi z pustelnikiem — Goplana
i Skierka wychodzą z gęstwiny.)

GOPLANA, wskazując na wierzbę.

Przekłęci ludzie! jakim oni czołem
Śmieli ułamać gałąź tego drzewa?
On musi cierpieć — —

SKIERKA.

Ach! coś się wylewa

Gorzkiego z rany — ta zapewne woda
Z ziarnek pszenicy ogniem wymęczona,
Którą ci ludzie piją.

GOPLANA.

Lza stracona —

Ach! każdej łąski brylantowej szkoda,
Kiedy nie dla mnie płynie ze źrenicy.
Jutro ty będziesz wolny, mój kochanku!
Jutro wymawiać będziesz okrutnicy,
Że cię dręczyła z ranka do poranka!
Ukryj się, Skierko! — patrzaj Balladyna
Zbłąkana w lesie, tu nadchodzi, sina,
Okropnie blada z rozpuszczonym włossem.
Ja twarz zakryję i pod wierzbą siedę:

Będę mówiła do niej siostry głosem,
I obłąkaną gryźć będę — gryźć będę —
(Skierka odchodzi.)

BALLADYNA, wbiega na scenę obłąkana,

Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja? —
Chciałam krew obmyć — z błękitnego źródła
Patrzała twarz jej blada i milcząca —
O! — gdzie ja przyszła? — To wierzba płacząca,
Ta sama, gdzie ja — siostra moja! — żywa! —

GOPLANA.

Siostro!

BALLADYNA.

Okropnem wołasz mię imieniem!
Trup — trup — trup na mnie białą dłonią kiwa --
Wszystkie mi włosy przesiągły sumieniem,
I ciągną nazad, wstając z głowy — ale
Nogi przykute.

GOPLANA.

Czy ci smutne żale
Nie mówię, siostro, żeś ty źle zrobiła?
I gdyby siostra twoja żyła?

BALLADYNA.

Żyła?

GOPLANA.

Mogłażbyś ty ją zabić po raz drugi?

BALLADYNA, szukając koło siebie

Zgubiłam mój nóż.

GOPLANA.

Ach, nie dosyć długi
Nóż twój był, siostro! —

BALLADYNA.

To nie moja wina.

GOPLANA.

Siostro! lecz jeśli przebaczy Alina!
Jeśli zapomni i powie: — Siostrzyczko!
Miałam sen taki: Do chaty wieczorem,

Nim wyszłaś w ciemne osiny ze świeczką,
 Przyjechał rycerz. Rycerz był upiorem —
 Upiór dwie siostry pokochał szalenie,
 I obie wysłał na maliny. — Śniłam,
 Że gdybyśmy zaszły w głucho lasu cienie,
 Siostra mnie nożem — — W tem się obudziłam.
 Chodźmy do wróżki, niech sen wytłumaczy.

BALLADYNA, zamysłona.

To sen — ach! prawda — i mnie się wydaje
 Że to sen, siostró — —

GOPLANA.

Ten sen nic nie znaczy.

BALLADYNA.

To sen — —

GOPLANA.

I tylko matka nas połaje,
 Żeśmy się długo zabawiły w borze.

BALLADYNA.

A rycerz?

GOPLANA.

Zniknął — to sen — —

BALLADYNA.

Być nie może —

Co? ha, okropnie! rycerz jak sen zniknął?

GOPLANA.

Ale ja żyję!

BALLADYNA.

Bogdajbyś umarła!

To sen — to sen — ha! — rozum już przywyknął
 Do twojej śmierci. Skoro bym otarła
 Krew z mojej ręki, byłabym szczęśliwa.

GOPLANA, odkrywa twarz.

Bądź nią, szatanie! Twa siostra nie żywa.

BALLADYNA.

O wielki Boże! a co ty za widmo?

GOPLANA.

Bańka z kryształu, którą wichry wydma
 Z błękitu fali — i barwami kwiatu

Malują zorze. — Ale bądź spokojną,
 Ja nie wyjawię tajemnicy świata.
 Zostawię ciębie przeznaczeniem spojną,
 Z ręką rycerza i ze zbrodni ręką;
 A ręka zbrodni dalej zaprowadzi.
 Usychaj wiecznie tajemnicy męką —
 Każda malina może ciębie zdradzi.

Ta wierzba ciębie widziała,

Korą wyspiewa —

Lękaj się drzewa!

Lękaj się kwiatu!

Każda lilija albo róża biała,

I na ślubie i po ślubie,

Będzie plamami szkarłatu,

Na wszystkich liściach czerwona.

Idź — weź ten dzbanek — ja ciębie nie zgubię.

Ale natura zbrodnią pogwałcona

Mścić się będzie — idź do chaty.

(Balladyna bierze z rąk Goplany dzbanek Aliny i odchodzi milcząca.

Odeszła i splamione krwią obmyje szaty.

Ale na czole plama zostanie czerwona;

Nie ostrzegłam jej, próżno byłoby ostrzegać —

Ta plama nie zejdzie z czoła.

Ja zaś idę po fali kryształowej biegać!

Rzucę ten ciemny obraz zbrodni w jasne koła

Zwierciadlanego Gopla. — O blasku miesiąca

Wrócę słuchać jak szumi ta wierzba płacząca.

(Odchodzi.)

SCENA II.

(Ganek przed chatą wdowy, ocieniony lipą — Wdowa i Kirkor siedzą na ławie.)

KIRKOR.

Nie widać córek — —

WDOWA.

Wróć pani! wróć —

Jedna za drugą jak dwie gąski białe,

Jedna za drugą. Ach! lży mi się rzuć

Ze starych oczu, na Chrystusa chwałę,
Gdy je zobaczę.

KIRKOR.

Któraż pierwszą będzie?

Czy Balladyna?

WDOWA.

Pewnie Balladyna.

Wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie
Pierwsza — z organem piosenkę zaczyna
Alina także pierwsza.

KIRKOR.

Więc Alina

Może powróci?

WDOWA.

Ha! może Alina —

Bogu to wiedzieć.

KIRKOR.

Czy wiesz, moja stara,
Żem niespokojny o twoje dziewczęta?

WDOWA.

To i ja właśnie — jakaś niby mara
W głowę mi wlała. Choć nikt nie pamięta,
Aby na wiosnę kiedy tu nie było
Malin — a gdyby się też przytrafiło
Że nie ma malin — tak marzyłam wczora,
Nim sen przyleciał — gdyby też wśród bora
Nie było malin? — Potem sama sobie
Mówiłam: Głupiaś — wszakże koń przy żłobie
Gdy nie ma owsa, to zajada siano!
Jeśli dziewczęta malin nie dostaną,
To nazbierają poziomek. — Wy króle,
Może wam w zamkach nie znać co poziomek,
A co malina, co siano a słomka,
A co są dziuple, a co pszczelne ule.
Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto.

KIRKOR.

Ach! nie wierz temu — nieraz my zgryzotą
Trapieni, w zamkach dnie pędzimy liche.

Po stokroć matko wolę twoje ciche
I wiejskie życie. — Miło na tym ganku
Czekać wieśniaczej małżonki. — Jak lubo
Kołysze sercem ten powiew poranku —
Ty taka dobra, choć masz szatę grubą!

WDOWA.

To mój świąteczny przecie ubiór — proszę!
Cyrowa suknia! tylko w święto noszę
Takie ornaty. — Wraca Balladyna.

KIRKOR.

Gdzie?

WDOWA.

O! nie widać — lecz matce wiadomo.
Patrz, panie! oto jaskółeczka sina
Zamiast wylecieć, kryje się pod słomą
I cicho siedzi. — Gdyby zaś Alina
Wracała z gaju, to byś ty, mój panie,
Usłyszał w belkach szum i świegotanie,
Jedna za drugą pyrr — pyrr — leczą z gniazdek
Do tej dziewczynki i nad nią się kręcą,
Niby chmureczka małych, czarnych gwiazdek,
Nad białą gwiazdką.

KIRKOR.

Dla czegoż się nęca,
Ptaszki do młodszej córki?

WDOWA.

Któż to zgadnie? —
Idzie Balladyna — widzisz?

KIRKOP

Jak jej ładnie
Z tym czarnym dzbankiem na głowie.
(Balladyna wchodzi ze spuszczoną głową)
Dziewico!

Oddaj mi dzbanek, a ja ci nawzajem
Daję pierścionek. —

(Bierze dzbanek. Balladyna odwraca głowę — Kirkor kładzie jej na palce
pierścionek.)

WDOWA.

Brylanciki świecą.

KIRKOR.

Oby nam życie było słodkim rajem.
 Idź do komnaty, starym obyczajem:
 Niechaj ci warkocz zaplatają swatki,
 Niechaj świeżemi przetykają kwiatki —
 A za godzinę drżąca, uwieńczoną,
 Wezmę z rąk matki, i będziesz mą żoną,
 Kareta czeka, po księdza pojadę.

(Odchodzi Kirkor)

BALLADYNA.

Och!

WDOWA.

Czegoż wzdychasz? i coś niby blade
 Usteczka ściskasz?

BALLADYNA.

Matko moja droga,
 Nie wiem jak wyznać?

WDOWA.

Cóż, córeczko miła?
 Czy ty już drżąca, od łożnicy proga
 Chciałabyś uciec jak sarneczka?

BALLADYNA

Siła

Złego nam donieść.

WDOWA.

Co?

BALLADYNA.

Ach! nie dasz wiary!
 Ale Alina — — Ach! ta siostra młoda
 I tak kochana! — Ach! jaka jej szkoda!

WDOWA.

Co, córko?

BALLADYNA.

Bo też psułaś ją bez miary.
 Twoja to wina że dziś — —

WDOWA.

Mów — bo skonom.

BALLADYNA.

Lękam się mówić, może nie przekonam
 Ślepej miłości, matki przywiązania.
 Lecz któżby myślał że ta młoda łania
 Ucieknie?

WDOWA.

Córko! — Alina?

BALLADYNA.

Uciekła.

WDOWA.

Gdzie? — jak? z kim? — Boże! matki się wyrzeka?

BALLADYNA.

Ach, przewidziałam dawno że tak będzie!
 Jakiś obdarty młokos chodził wszędzie
 Za tą dziewczyną, szeptał jej do ucha —
 Napominałam. Wiesz jak ona słucha
 Kazań od siostry! — I dziś z nim uciekła.

WDOWA.

Wyrodne dziecko! Więc idź aż do piekła!
 Nie pomyślałam na te stare oczy,
 Że będą płakać — dobrze, bo nie będą
 Płakać po tobie. Bo matka ma smoczy
 Płód zamiast serca — można serca krajać,
 Co się w kawałki węża znowu sprzedą
 Jak płótna kawał. — Chciałabym ją łajać —
 Przeklinać — dręczyć. — Ot wiesz, że te oczy
 Jak noże, ot tak — wlepiłabym w łono,
 Jak noże — tylko bez tej łyzy co mroczy.
 Możebyś ty mnie widziała szaloną —
 Ale co płakać — — Nie! nie! nie!

(Płacze łkając.)

BALLADYNA.

Mój Boże!

I tak zasmucić!

WDOWA.

O! i tak zasmucić!

BALLADYNA.

Zasmucić matkę starą!

WDOWA.

O, mój Boże!

Tak starą. — Ale ona może wrócić.

Kto wie! — Nieprawdaż, ona wrócić może?

Jak sama kiedy siądzie przy oświatce

Nocą — pomyśli: gdzie matka? A jużby

Serca nie miała, żeby też o matce

Nie pomyślała nigdy.

BALLADYNA.

Idą drużby. —

(Słychać wesołą muzykę.)

WDOWA.

Jak oni grają smutnie i wesoło! —

Ty teraz skarbem moim — daj mi czoło,

Niech pocałuję. — Cóż to! jakaś plama,

Jak krew czerwona?

BALLADYNA, z przerażeniem.

Krew?

WDOWA.

To od maliny

Może — daj — zetrę —

BALLADYNA, ścierając.

Matko — zetrę sama.

WDOWA.

Jeszcze jest.

BALLADYNA, trąc czoło.

Teraz?

WDOWA.

Jeszcze — jak rubiny

W twoim pierścionku pięknie sobie świeci.

BALLADYNA, na nowo usiłując zetrzeć.

A teraz? —

WDOWA.

Jeszcze jest — by na osieci

Listek czerwony.

BALLADYNA.

O! o! to okropnie!

WDOWA.

Daj mi tu czoło, a zetrę roztropnie.
Może to ranka —

(Wspina się na palcach.)

BALLADYNA.

Matko! nie dotykaj

Tej plamy! —

WDOWA.

Czy cię co boli?

BALLADYNA.

Nie — nie boli.

WDOWA.

Przyniosę wody z pod owej topoli,
Gdzie piją wróble.

(Wdowa odchodzi.)

BALLADYNA.

Plamo krwawa znikaj! --

(Wchodzą swaty i drużki, uestojeni, z muzyką; zbliżają się do Balladyny
ta odwraca twarz.)

SWATY, śpiewają.

Nie odwracaj czoła,
Wstydliva dziewczyno!
Mąż na ciebie woła,
Młodzintka kalino!
Nie odwracaj czoła.

DZIEWICE, śpiewając.

Chcą nam ciebie wydrzeć swaty;
Niech cię bronią białe kwiaty,
Twego wianka.

SWATY, śpiewając.

Kwiaty ciebie nie obronią,
Ni białością, ani wonią,
Od kochanka.

(Dziewice podają Balladynie kosze z kwiatami.)

BALLADYNA.

Precz! precz! — Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże
Z czerwonymi plamami? — Wyniescie te kosze —!

(Balladyna ucieka do chaty.)

JEDNA Z DZIEWIC.

Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę —
Ja, dawna przyjaciółka.

JEDEN Z MŁODZIENCÓW.

Patrzcie! w pyłu chmurze
Błyska złota karetą; jedzie Kirkor z księdzem.

DRUGI Z MŁODZIENCÓW.

Przł tej karecie słońce zdaje się mosiędzem.

A K T III.

SCENA I.

(Dom wdowy dopalający się — przed pogorzeliiskiem garstka wieśniaczego ludu.)

PIERWSZA KOBIEȚA.

Oj widzicie! jak djably ludziom szczęście noszą —
Ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą,
W złotej karecie błotem na nas biednych bryzga.

DRUGA KOBIEȚA.

Oj prawda, że tu gorzko; nam się to wyślizga,
Co się drugim dostało.

STARZEC.

A ja wam powiadam
Że staruszka poczciwa — sam nasz ojciec Adam
Mógłby ją wziąć za żonę — lepiej mu przypadła,
Niż Ewa.

PIERWSZA KOBIEȚA.

Bo bez zębów, jabłek by nie jadła.

STARZEC.

Pamiętajcie że ona ubogie leczyła —
Ty sama, co tu wrzeszczysz, moja pani miła,

Już by się dawno szatan pojął do swej chwały,
Gdyby nie ta staruszka.

DRUGA KOBIETA.

I mój Stasiak mały

Także jej winien życie, więc jej nie zazdroścę —
Dalibóg, nie zazdroścę; wóz sianem wymoszczę,
I pojedę w zamczysku odwiedzić staruszkę.

DZIEWCZYNA.

I Balladynie miło będzie widzieć drużkę —
Pojadę z tobą, matko!

DRUGA KOBIETA.

Jak chcesz, moje dziecię!

To narwijże róż polnych i bławatków w życie
Na wianek dla tej pani.

STARZEC.

Oj! nie jedź, kobieto!

Widzisz ten pożar?

DRUGA KOBIETA.

Cóż stąd, że słomą podbitą
Chatę spalili — cóż stąd?

STARZEC.

Widać że się wstydzą

Chaty, słomy, bławatków — i nas.

PIERWSZA KOBIETA.

Na to zgoda —

A mówiłam, że oni z biednych chłopków szydzą.

STARZEC.

Dajcie im święty pokój.

DZIEWCZYNA.

A ta panna młoda

Tak zadzierała nosa! — Widzieliście wczora.
Wstążkę czarną na czole miała zamiast wianka —
Wszystko by się odróżnić — a w kosach równianka,
Nie z białych róż, ze złotych. Twarz niby upiora
Błada. — A uśmiech hardy, a kiedy się śmieje,
To ząbków ani widać.

DRUGA KOBIETA.

Nim słońce dogrzeje,

Jedźmy dziewczyno wozem do zamku Kirkora. —

DRUGA DZIEWCZYNA.

Nie jedź! nie jedź. —

DZIEWCZYNA.

Nie jadę.

DRUGA KOBIETA.

Stara wóz wymości

I pojedzie. — jak do nich mówić po godności?

STARZEC.

Grzecznie mówić.

DRUGA KOBIETA.

Pojadę.

DZIEWCZYNA.

Tego im i trzeba!

Każą ci na dziedziniec wynieść kawał chleba,
A ty się kłaniasz nisko jak wieko u skrzyni;
A pani z okna plunie. — Ha! mościa grabini
Przyniosłam ci kosz jajek. — Wiecie wy że ona
Była już na grabinę z dawna przeznaczona,
Bo miała wziąć za męża Grabka pijanicę!
Wiecie o tem? — na Boga! — to nie tajemnice —
Zwąchali się z Grabiczem — to dziw gdzie on siedział?
Nie było go na ślubie —

PIERWSZA KOBIETA.

Może się dowiedział —

I poszedł do jeziora z rozpaczy.

DZIEWCZYNA.

Nie łatwo

Wisusowi utonąć. —

PIERWSZA KOBIETA.

Otóż Grabiec pędzi

Z lasu, jak zwykle wiejską otoczony działwą,
Niby kania od wróbli —

(Grabiec wpada na scenę — za nim tłum dzieci.)

DZIEWCZYNA.

Niech z wami gawędzi,

Jeśli dotąd nic nie wie, nie mówcie o niczem;
Narwę grochu na wianek.

(Ochodzi.)

DZIECI.

Z Grabiczem! — z Grabiczem
Tańczymy! tańcz Grabku!

GRABIEC.

Precz bachury!

STARZEC.

Gdzieżeś to bywał? czemu tak ponury?

GRABIEC.

Co? gdzieś ja bywał?

DZIEWCZĘTA.

I coś robił?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIEWCZĘTA.

Co ty powiadasz?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIECI.

On był osłem!

Grabiec był osłem. —

GRABIEC.

Milcz przekłety tłumie,

Bo mi się zdają że liśćmi szumię! —

Gdybym przynajmniej miał tyle gałązek

Co miałem wczora; nie szczydziłbym wiązek

Na wasze plecy —

DZIECI.

Co pan Grabek plecie?

GRABIEC, do starca.

Powiedz mi starcze, czy to można w lecie —

Czy można to być? — Dotąd korą świerzbę! —

Być wierzbą? —

STARZEC.

Wierzbą można zostać wierzbie,

Ale Grabinie to nie. —

GRABIEC.

A ja byłem

Wierzbą. —

STARZEC.

Co mówisz? —

GRABIEC.

Mówię co mówiłem.

Bogdaj was djabeł pozamieniał w łozy,
Córki te wierzby, i piekielne kozy
Wypuścił na was. — Ale ja w rozpaczy —
Ja byłem wierzbą —

STARZEC.

Jednak to coś znaczy —

A byłeś w karczmie?

GRABIEC.

Wprzód nim wierzbą byłem,
To byłem w karczmie.

STARZEC.

I piłeś? —

GRABIEC.

A piłem. —

STARZEC, śmiejąc się.

Więc to sen panie Grabku wierzba owa! —

GRABIEC, pokazując na pogorzeliśka.

A gdzie ta chata?

DZIEWCZYNA.

Jaka? —

GRABIEC.

Ta, gdzie wdowa

Żyła z córkami? —

DZIEWCZYNA.

A toż chata stoi. —

GRABIEC.

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Ty pijany! —

GRABIEC.

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Tu! —

GRABIEC.

Niech was poi

Rosą djablica jak mnie napoiła,
Jeśli tu chata. —

DZIEWCZYNA.

Chata się zmieniła

W twój nos czerwony, kiedyś ty się zmienił
W płaczącą wierzbę.

GRABIEC.

Bogdaj cię ożenił

Sztokfisz w habicie z djablem — a gdzie ona?

DZIEWCZYNA.

Kto? —

GRABIEC.

Balladyna?

DRUGA DZIEWCZYNA, wchodzi z grochowym wiankiem.

Także przemieniona

W ten grochowy wianuszek, w grochowy wianuszek.

(Rzuca na głowę Grabkowi wianek.)

DZIECI.

Ha! ha! ha! groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek! —

Ha! ha! ha! panie Grabku! Grabku! gdzieś ty bywał?

W tu słowik kochance mężulka wyśpiewał! —

DZIEWCZYNA.

A pan Grabek był wierzbą!

DZIECI.

Grabek rosnął w lesie!

DZIEWCZYNA.

A żoneczka w łocistej smyknęła koleście! —

Ha! ha! ha! —

DZIECI.

Żeń się Grabku z miotłą czarownicy!

Ha! ha! ha! —

STARZEC, bierze Grabka za rękę.

Chodź do karczmy, przy miodu szklanicy

Ja ci wszystko opowiem.

(Wyprowadza Grabka.)

DZIECI, lecąc za Grabkiem.

Gil, wróbel i dzierzba

Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam wierzba.
 Nuż z niego kręcić dudy. — Smyknęła dziewczyna!
 Ha! ha! ha! wierzba, wierzbie, wierzbiatko, wierzbina.
 (Dzieci i cały tłum wychodzą za Grabkiem.)

SCENA II.

(Sala pyszna w zamku Kirkora. — Balladyna wchodzi zamysłona w bogatej szacie — z wstążką czarną na czole.)

BALLADYNA sama.

Więc mam już wszystko — wszystko — teraz trzeba
 Używać — pańskich uczyć się uśmiechów,
 I być jak ludzie, którym spadło z nieba
 Ogromne szczęście. — Wszakże tylu ludzi
 Większych się nad mój dopuścili grzechów
 I żyją. — Rankiem głos sumienia nudzi,
 Nad wieczorami dręczy i przeraża;
 A nocą ze snu okropnego budzi. —
 O! gdyby nie to! — Cicho. — Mur powtarza:
 O! gdyby nie to. —

(Wchodzi Kirkor zbrojny z rycerstwem.)

KIRKOR.

Moja młoda żono!

Jakże ci w mojem zamczysku?

BALLADYNA,

Spokojnie.

(Wchodzi Fon Kostryn.)

KOSTRYN.

Rycerze zbrojni czekają przed broną.

BALLADYNA.

Grabia! dla czego tak rano i zbrojnie?

KIRKOR.

Kochanie moje, odjeżdżam —

BALLADYNA.

Gdzie?

KIRKOR.

Droga!

Przyśiągłem święcie taić cel wyprawy.

BALLADYNA.

Odjeżdżasz! ach ja nieszczęsna! —

KIRKOR.

Na Boga!

Nie płacz najmilsza — bo ci będzie łzawy
 Głos odpowiadał nie rycerskim echem. —
 Ani mię trzymaj przymileń uśmiechem,
 Bo moje oczy olśnione od słońca,
 Drogi nie znajdą. — Niech pierś uniesiona
 Ciężkiem westchnieniem, z krągłego robrońca
 Czarów nie rzuca — niech twoje ramiona
 Wiszą ku ziemi jak uwiędłe bluszcze.

BALLADYNA, rzucając się na szyję.

Gdzie jedziesz? Mężu? — ja ciebie nie puszczę!
 Dla czego jedziesz? czyś poprzysiągł komu?

KIRKOR.

Sobie przysiągłem.

BALLADYNA.

Bogdaj ogień gromu

Bóg rzucił tobie przed konia podkową;
 Może piorunem twój koń przerażony,
 Piorunem w bramę powróci zamkową.
 Więc ty na długo chcesz zaniechać żony?

KIRKOR.

Za trzy dni wrócę. —

BALLADYNA.

Czyś ty kiedy liczył

Ile w dniu godzin? ile chwil w godzinach?

KIRKOR.

Niechaj wie człowiek że mu Bóg pożyczył
 Życia na krótko, niechaj odda w czynach
 Co winien Bogu.

BALLADYNA.

Lecz ty winien żonie

Pozostać z żoną. —

KIRKOR.

Nic mię nie zatrzyma!

Muszę odjechać — daj mi białe skronie.

(Ciągnie w czoło.)

Przed ludzi okiem ty wiesz że prawdziwe
 Pocałowania dają się oczyma —
 A biedne usta tak jako pierzchliwe
 Jaskółki, muszą w lot z białego kwiatka
 Chwytać miodową pocałunku muszkę —
 Bądź zdrowa żono. — Gdzie jest nasza matka?
 Może śpi jeszcze, pożegnaj staruszkę:
 Nie mogę czekać.

(Odprowadzając na stronę.)

W skarbcu masz pieniądze,
 Szafuj i baw się — daj mi czoło białe,
 Jeszcze raz — żono! Nie lubię tej wstążki!
 Czoło należy do mnie, czoło całe,
 Rozwiąż tę wstążkę. —

BALLADYNA.

Mężu, uczyniłam

Ślub. —

KIRKOR.

Ślub po siostrze — tak — lecz gdy powrócę
 To wadź się z Bogiem, ale mi się wylam
 Z takiego ślubu. —

BALLADYNA.

Tak. —

KIRKOR.

Bo się pokłócę
 Z tobą kochanko — i to nie na żarty. —
 Bądź zdrowa. — Chamy na koń! — niechaj warty
 Czuwają w zamku. — (Do Balladyny.) Wspominaj mnie. —
 (Odchodzi Kirkor i wszyscy prócz Balladyny.)

BALLADYNA, sama.

Mężu!

Odjechał — po co? Gdzie? — Sumienia wężu!
 Ty mi powiadasz: oto mąż odjechał
 Szukać Aliny — ona w grobie — w grobie?
 Lecz jeśli znajdzie grób? — Tak się uśmiechał,
 Jakby chciał mówić: przywiozę ją tobie,
 A zdejmiesz wstążkę jak przywiozę.

(Fon Kostryn wchodzi.)

KOSTRYN.

Pani! —

Hrabia zaklina, abys mu przez okno

Posłała uśmiech. —

(Balladyna staje w oknie i uśmiecha się.

Mężowie żegnani

Żon uśmiechami, sami we łzach mokną.

BALLADYNA. odchodząc od okna.

Pojechał — (do Kostryna.) Ktoś ty rycerzu? —

KOSTRYN.

Dowódzca

Warty zamkowej. —

BALLADYNA.

Nagrodzę ci hojnie

Czułość i wierność. —

KOSTRYN.

Nie potrzeba bodźca

Temu, kto służy rycersko i zbrojnie

Tobie grafini. — Otośmy dostali

Zamkowi temu obronę tajemną.

Ach! my oboje będziemy czuwalni,

Ja nad aniołem — ty Anioł, nademną.

BALLADYNA.

Jak się nazywasz?

KOSTRYN.

Fon Kostryn. —

BALLADYNA.

Nie z lachów?

KOSTRYN.

Z niemieckich książąt rodzę się,

BALLADYNA.

Wynany?

KOSTRYN.

Ja biedny ptaszek z pod płonących dachów

W lot się puściłem. — Dziś obcy — nieznanym

Własnej ojczyźnie, sługa w obcym kraju;

Niech to nie będzie mojem potępieniem —
Ty także obca. —

BALLADYNA.

Co?

KOSTRYN.

Ty jesteś z raj.

(Ochodzi.)

BALLADYNA, sama.

Jak się ja prędko poznałam spojrzaniem
Z tym cudzoziemcem. — Ja mu nic nie winna —
Szukałam okiem przerażonem w tłumie
Kogoś. — Wierzyłam że tu być powinna
Bratnia mi dusza — dusza moja — z moją. —
Zacząć — jak? spojrzeć — jeżeli zrozumie —
Przemówić. — Dziwnie, że się ludzie boją
Ludzi — Jak Boga i więcej niż Boga. —
Będę odważną z ludźmi — —
(Wchodzi wdowa, ubrana jak w drugim akcie w świątecznym ubiorze.)

WDOWA.

Córko droga!

Co to się stało? Królewicz odjechał?

BALLADYNA.

Cóż stąd? —

WDOWA.

Nazajutrz po ślubie zaniechał
Żoneczki młodej — czyś go zagniewała?
To by źle było! Jakże ty dziś spała
Gołąbko moja? wszak mówią że trzeba
Pamiętać zawsze sen na nowem łożu.
Otóż ja śniłam że do mnie aż z nieba
Przyszła Alina, ot tak niby w morzu
Płynąc w obłoczkach — i rzekła —

BALLADYNA.

Różaniec

Mów lepiej matko.

WDOWA.

Czy ty chcesz kaganiec

Włożyć na usta matce?

BALLADYNA.

Matko stara!

Zamek nie chata — tu zatrudnień chmara,
Tu nie snów słuchać. —

(Wechodzi sługa.)

SŁUGA.

Jakaś tam hołota

Stoi przed bramą i wykrzyka hardo,
Aby ją puścić przez zamkowe wrota.
A straż, złożoną na krzyż halabardą
Zamknęła bramy. — Ta chłopianka stara
Z drabiniastego wozu, bez ustanku
Krzyczy żołnierzom: powiedz mój kochanku,
Matce Kirkora żony, że Barbara
Jej przyjaciółka zjeżdża w odwiedziny.

WDOWA.

To moja kuma — jakie tam nowiny? —

BALLADYNA.

Odprawić ten wóz.

WDOWA.

Balladyno? —

BALLADYNA.

Matko!

Czy ci się sprzykrzył zamek? — dobra droga,
Możesz odjechać z tą starą.

WDOWA.

Co? — klatką?

Tym drabnistym wozem? — A! na Boga —
Córko, co mówisz?

BALLADYNA

O! to żarty — żarty —

Każ matko wóz ten wyprawić —

WDOWA, z westchnieniem.

Wyprawcie —

Powiedzcie że śpię.

BALLADYNA, do sługi.

A jeśli uparty

Wóz nie odejdzie, rozumiecie — warty
Czuwają w zamku —

WDOWA, do sługi.

Tylko nie nabawcie

Biedy — to stara. (sługa odchodzi.) Prawda córko moja,
Gdyby przyjmować, toby tu jak z roja
Sypało chłopstwo. — Niechaj nas kochają
Zdaleka — prawda? Córki rozum mają!
Ty nie głupiutka; kiedy zaczniesz prawić
To księdza nawet nie zrozumie głowa.
Moja córuniu! każ ty przecie sprawić,
Sukienkę matce, bo już ta cycowa
Ma blade kwiatki, a jak tu kobiecie
W szarak się ubrać? Córko! moje życie!

BALLADYNA.

To jutro matko przypomnij. — A tobie,
Starej kobiecie, lepiej nie wychodzić
Z ciepłej komnaty —

WDOWA.

Ach! nudno jak w grobie
Tak samej siedzieć. — Czy ty chcesz zagrozić
Zamek matuli? —

BALLADYNA.

Nie — nie —

WDOWA.

Balladyna

Kocha mię! — prawda córko? A malina
Na twojem czole — ta plama? — o pokaż! —
Czy boli ciebie? Ty nigdy nie kwokasz
Kurko, choć boli — a to może boli? —

BALLADYNA.

Dosyć już matko —

WDOWA.

Woda z pod topoli
Obmyć nie mogła — o! córko kochana
To jakaś dziwna i okropna rana!
Bładniesz by o niej wspomnieć —

BALLADYNA.

Więc dla czego

Wspominasz matko? —

WDOWA.

To z serca dobrego —

Z dobrego serca. —

BALLADYNA.

Wierzę! wierzę! wierzę!

Matko, idź teraz do siebie na wieżę —

WDOWA.

Do mojej ciupy? —

BALLADYNA.

Tam ci jeść przyniosą —

I pić przyniosą —

WDOWA.

I pić jak ptaszkowi? —

BALLADYNA.

Idź matko!

WDOWA.

To już z moją siwą kosą

Będę się bawić. — Tylko służalcowi

Każ mi jeść przynieść — nie zapomnij. —

(Ochodzi.)

BALLADYNA, sama.

Piekło!

Mięszam się — bladnę. — Ja się kiedyś zdradzę

Przed matką, mężem. — Wszystko się urzekło

Na moją zgubę. Ludzie jako szpaki,

Uczone mowy przez okropną władzę

Sprawiedliwości, nie myśląc o mowie,

Tak mówią, jakoby tajnemi szlaki

Dążyli ciągle w głąb serca. Surowie

Kładą sędziego pytanie: czyś winna —

Krętami słowy. — Matka, mąż — oboje —

I mąż i matka — ta kobieta gminna —

Trzeba ją kochać — to matka.

(Kostyru wchodzi na scenę.)

KOSTRYN.

Pokoje

Kazałem suto osnuć w złotogłowy.
 Dziś dzień poślubny — dziś na dwór zamkowy
 Zjadą się liczne pany i rycerze —
 Wasale twoi —

BALLADYNA.

Trzeba zamknąć wieżę

Gdzie mieszka moja — mamka — ona chora
 Snu potrzebuje.

KOSTRYN.

Jakto — ta potwora

Mlekiem poiła twoje usta śliczne?
 Ach nie! — Ta chyba bogini niebieska,
 Co na błękity łała drogi mleczne;
 Tak że się każda białych piersi łąska,
 W gwiazdę mieniła — i dziś ludziom płonie!
 Ta sama chyba na śnieżystem łonie
 Ukołysała ciebie. —

BALLADYNA.

Mój rycerzu

Złote masz usta —

KOSTRYN.

Ty diamentowe

Serce. — Kazałem na Gopła pobrzeżu
 Zapalić smolne beczki i ogniowe
 Słupy; do ognia weselnego lecą
 Weseli goście. Czy pochwalasz pani?

BALLADYNA.

Czyń co przystoi.

KOSTRYN.

Wieżę się oświecą

Jasnym kagańcem, i tylko wybrani
 Goście do zamku mają być przyjęci.
 Właśnie dziś jakiś prostak bez pamięci
 Wdzierał się tutaj, kazałem go psami
 Poszczwac za wrota. — Śmiałek nad śmiałkami,

Psom odszczekiwał ciągle że znał ciebie,
A w takich ustach to bluźnierstwo srogie.

BALLADYNA.

Któż by to mógł być? —

KOSTRYN.

Któs z tych, co po chlebie

Pańskim się włóczę, a szaty ubogie
Łatają nitką wyskubaną z płaszczu
Panów — gdy nadto blisko przypuszczają
Taką hołotę — wyszczekana paszczą.
O! ty go nie znasz — twe usta nie mają
Zgłosek na takie imię — jakiś gbura —
Grabiec —

BALLADYNA.

Co? Grabiec? Tego chłopstwa chmura

To jak szarańcza —

KOSTRYN.

Przebac im Grabini.

Królowa kwiatów napróżno obwini
Chłopianki ulów, że koło niej brzęczą!
Albo się obwiń niewidzialną tęczę
Przed ludzi okiem; albo znoś cierpliwie
Nasze wejrzenia.

BALLADYNA.

O! ty syn książęcy,

Mięszasz się próżno z temi co na niwie
Wiejskiej wyrosli — z tysiąca tysięcy
Możesz być pierwszym, byleś tajemnicy
Umiął dochować.

(Kostryn przyklęka i całuje kraj szaty.)

Chodźmy do skarbnicy

Zaczerpnąć nieco złota, aby godnie

Gości przyjmować —

KOSTRYN.

Poniosę pochodnie.

(Kostryn poprzedza z pochodniami Balladynę. — Wychodzą.)

SCENA III.

(Las przed chatą Pustelnika. — Kirkor sbrojny. — Pustelnik z koroną w ręku.)

PUSTELNIK.

Kirkorzel! oto złocista korona —
Więc może kiedyś za twoją pomocą,
Wróci na Gniezno, i niezakrwawiona
Błyśnie ludowi.

KIRKOR.

Widzisz jak ją złocą
Promienie słońca? — Dobra wróżba.

PUSTELNIK.

Boże!

Świeć naszej sprawie. — Dam ci jedną radę --
Młodziutką żonę pojąłeś Kirkorze?

KIRKOR.

Pełna prostoty — spokojny odjadę.

PUSTELNIK.

Wtenczas w kobiecie całą ufność kładą,
Jeżeli wolna od wad matki Ewy.
Doświadcź ją. Poszlij zapieczętowaną
Skrzynię małżonce, i srogiemy gniewy
Zagroź, jeżeli znajdziesz rozłamaną
Pieczęć małżeńską —

(Wynosi żelazną skrzynię.)

KIRKOR.

Dobrze, niech tak będzie
To moja pieczęć — dwa złote żołędzie
W paszczy dzikowej. Pójdź sam wierny sługo.

(Wchodzi sługa.)

Zanieś to żonie, a jakkolwiek długo
Będę się bawił, niechaj nie otwiera,
Bo ja tak każę. (Sługa odchodzi.) Ona taka szczerą!
Ach ty mi szczęścia pokazałeś drogę,
Czynami tylko zawdzięczyć ci mogę!
Żegnaj mi starcze. — Królem cię powitam.

PUSTELNIK.

Na twojem czole już zwycięstwo czytam.

KIRKOR.

Na koń rycerze!

(Odchodzi Kirkor. Słychać tentent oddalających się koni.)

PUSTELNIK.

Czemu się ten rycerz

Dwudziestu laty pierwej nie urodził —

Byłem na tronie, to kraj cały płodził

Same poczwary; jak niezdatny snycerz,

Który w kamieniach szuka ludzkiej twarzy

I czyni ludziom podobne kamienie,

Ale bez duszy! — Czyli przyrodzenie

Nim stworzy, długo o stworzeniu marzy,

Długo próbuje, naprzód tworząc karcze.

A potem ludzi jak Kirkor? —

(Wchodzi Filon fantastycznie ubrany.)

FILON.

O starcze!

Gdzie jest kochanka moja?

PUSTELNIK.

Nie ożyła.

FILON.

Ach to mi pokaż gdzie leży mogiła

Serca mojego? — Niechaj widzę, jakie

Kwiaty wyrosły z posianej nadziei.

Blade być muszą —

PUSTELNIK.

O! wieczna płacznico!

Czemu beczynny błądzisz w leśnej kniei?

Biegnij z Kirkorem — twoje złote włosy

Odziej żelazną rycerza przyłbicą;

I na tę szatę, która ludzkie losy

Waży na ziemi, rzuć ziarko makowe

Twojego życia — może los przeważy.

FILON.

Gdzie jej mogiła? — gdzie?

PUSTELNIK.

Gliny surowe

Piers już wyjadły, a po białej twarzy
Robactwo łazi —

FILON.

O nie: ona w ziemi

Jako rzek Nimfa, na glinianym dzbanku
Dłonią oparta, dzban malinowemi
Leje gwiazdami, i w różowym wianku
Trzyma zakłęta na malin ruczajek
Biała jej postać — zbudzić się nie może! —
Oczki aż listkiem niezapominajek
Z grobu wyrosną, w rubinowe zorze
Mogily patrzą gwiazdami błękitu —
W grobie się błyszczy.

PUSTELNIK.

W grobie tyle świtu

Co nad kołyską marzeń. —

FILON.

A cień błądy

Nieraz tam błądzi, gdzie zwieszono smutnie
Nad grobowcami, brzozy jako lutnie,
Od słowikowej trącane gromady,
Płaczą i szumią listkowemi struny! —
Nieraz ją srebrne uplącą piołuny,
Nieraz rozkwitły zatrzyma bławatek;
Nieraz jak dziecko staje — i westchnieniem
Zdmucha cykorji opuszony kwiatek.
Ciało jej leży pod zimnym kamieniem;
Duch na promykach księżycowych pływa,
I nieraz płocho te kwiatki obrywa,
Co każdym listkiem liczą szczęścia chwile! —
Ach! powiedz starcze — więc ludzie w mogile
Marzą o szczęściu? —

PUSTELNIK.

Umrzyj — to się dowiesz.

A jeśli wrócisz z grobu, to opowiesz
O tych marzeniach sumieniom zbrodniarzy;
A może będą spali cicho w łożu —

FILON.

Pójdę — i stanę na leśnym rozdrożu.
 Jeżeli jaka jaszczurka zielona
 Pobiegnie w prawo, to w grobie się marzy —
 Jeżeli na lewo — to człowiek nie — kona —
 I nie śni —

(Odchodzi Filon.)

PUSTELNIK.

Ileż rodzajów nędzarzy
 Na biednym świecie! — Ziemia, to szalona
 Matka szalonych — któż to znówu?

(Balladyna wbiega pędka.)

Kto ty? —

BALLADYNA.

Pani z bliskiego zamku.

PUSTELNIK.

Czego żądasz?

BALLADYNA.

Wiem że znasz ziółek lekarskie przymioty
 Że leczysz rany —

PUSTELNIK.

Zdrowo mi wyglądasz.

Pokaż zranione miejsce.

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Lekarz

Powinien widzieć —

BALLADYNA.

Czy ty mi przyrzekasz

Wyleczyć?

PUSTELNIK.

Pokaż tę ranę —

BALLADYNA.

Na czole —

Patrz! — co? —

PUSTELNIK.

Niby miesiąc w mglistem kole
 Krwi — twoja rana — czerwona i sina.

Powiedz mi sama, jaka straszna wina
Przyczyną? —

BALLADYNA.

Żadna.

PUSTELNIK.

Lekarz musi wiedzieć

Wprzód nim wyleczy —

BALLADYNA.

Czerwona malina

Splamiła czoło.

PUSTELNIK.

Musisz mi powiedzieć

Kiedy to było?

BALLADYNA.

Wczora.

PUSTELNIK.

Wczoraj rano?

BALLADYNA.

Tak —

PUSTELNIK.

Daj mi ręką posłuchać uderzeń
Twojego serca — Czy pod zapłakaną
Wierzbą nie rosły maliny? Mów śmiało —
Żądam od ciebie spowiedniczych zwierzeń.
Czy ta malina była kiedyś białą?
A tyś ją może sama szcerwieniła?
Przyłóż do serca tę co cię zraniła —
Malinę —

(Odpycha ją gwałtownie.)

Biada tobie! — serce twoje

Wydalo —

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Tyś siostrę zabiła!

BALLADYNA.

Nie nie — masz złoto — jeszcze tyle troje
Przyniosę —

PUSTELNIK.

Słuchaj! — za co płacisz?

BALLADYNA.

Nie wiem —

PUSTELNIK.

Ta rana ciebie piekielnym zarzewiem —

Pali? — ha! —

BALLADYNA.

Pali —

PUSTELNIK.

I spalaś dziś?

BALLADYNA.

Spalam.

PUSTELNIK.

Z ta raną? —

BALLADYNA.

Starcze — ja nic nie wyznałam! —

PUSTELNIK.

Nic! o przekłeta! a za coś płaciła?

BALLADYNA.

Za twoje leki.

PUSTELNIK.

Bogdaj ranagniła,

Aż cienie śmierci na całą twarz padną!

A moje ziółka piekła nie ukradną

Żadnego bólu —

BALLADYNA.

Starcze, biada tobie!

PUSTELNIK, z ironją.

Co? ty mi grozisz, kiedy ja chorobie

Obmyślam leki? czary piekiel trudzę,

Aby tę ranę zmasać z twego czoła! —

Chcesz? siostrę twoją umarłą obudzę.

BALLADYNA.

Obudzisz?

PUSTELNIK.

Siostra niech siostry zawoła,

Umarła wstanie i tę ranę zmaże! —
Chcesz? —

BALLADYNA.

Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy,
Wolę je nosić aż do Boga sądu —
Niż —

PUSTELNIK.

Milcz zbrodniarko! teraz my się znamy
Do głębi serca! — Niechaj z tego trądu
Lęgną się w mózgu gryzące robaki,
W sumieniu węże! — niech kłuszą wiecznie,
Aż umrzesz wewnątrz, a zgnilemi znaki
Okryta, chodzić będziesz jako żywe
Trupy. — Precz! precz! precz! ty musisz koniecznie
Czekać, co Boga sądy sprawiedliwe
Uczynią z tobą. — A coś okropnego
Bóg już przeznaczył — może jutro spełni.
Może odmówi chleba powszedniego,
Może ci włosy kołtunami zwelni —
Potem zabije niewypowiadaną
Ogniem niebieskim! — Biada! jutro rano
Na murach zamku ujrzysz Boga palec!
Ty jesteś jako zjadliwy padalec,
A jeszcze gorszą plamę masz wrytą
Na twojem sercu, niż na twojem czole.
Co? — Czyś ty martwa? — Obudź się kobieto —
Obudź się — słuchaj —

BALLADYNA, jak ze snu.

Co to? ha? wyrzekłeś
Że siostra moja zbudzi się? — ja wolę
Umrzeć. — Dla czego ty się starcze wściekłeś!
Biada ci! biada! —

(Ucieka.)

PUSTELNIK, sam.

W smutnej lasów ciszy,
Zbrodnia jak dzieciół w drzewa bije suche;
A cięcie noża daje takie głuche

Echo, jak topór kata — kiedy rąbie
 Głowy na pniaku. Bóg to wszystko słyszy,
 Wszystko zamyka w tej okropnej trąbie,
 Co kiedyś będzie na sąd wołać ludzi.

(Słychać śmiech w lesie.)

Wszelki duch! — W lesie śmieją się szatani!
 Wiedźma Goplańska z djablików orszakiem
 Śmieszny ponure dęby, a z płaczących
 Brzóz się najgrawa.

(Słychać odgłos łowów i psów łajanie.)

To łowice umarły

Mglistemi psami mgliste pędzi tury,
 Błyskawicowym wichrem oślepięne.
 Pójdę — i łowy przeżegnam — niech giną
 Na wieki wieków. — Lecz to nierozsądek,
 Sąsiedztwo djabłów mienić w nieprzyjaciół.

(Słychać dzwony podziemne.)

Cóż to? — zalane przed wiekami miasta,
 Wołają z Gopła do Boga o litość
 Płaczem wieżowym. — Może jaki krzyżyk
 Wieży sodomskiej między lilijami
 Widać na fali? — pójdę — nie wytrzymam —
 Pójdę przeżegnać miasto potępione.
 Może spokojne pod modlitwą starca,
 Snem cichym zaśnie w pogrobowej fali;
 Jak potępiony człowiek, za którego
 Dziecię się modli! —

SCENA IV.

(Łas, jak poprzednio.)

SKIERKA i CHOCHLIK.

CHOCHLIK. .

Poleciał — głupi jako wrona —

SKIERKA, bierze porzuconą na kamieniu koronę.

Patrz oto starca korona.

Niechaj na włosach Goplany,
 Od księżycowych promyków

Błyska jak wianek ogników,
Związany włosiem, i wlany
W gniazdeczko złotych warkoczy.

CHOCHLIK.

Patrz, nasza pani tu kroczy.

(Grabiec i Goplana wchodzi na scenę.)

GRABIEC.

Moja najmilsza wiedźmo, deszczowa panienko!
Tobie jezioro łożem, a chmura sukienką —
Gdy po lesie przechodzisz, każdy kwiat i drzewo
Wolać by cię powinien: chodź panno ulewo —
Oraczowi by ciebie mieć nad suchą niwą.
A gdybym ja był kwiatkiem, gorczycą, pokrzywą,
Albo rumiankiem — wtenczas wieczną tobie miłość
Przysiągłbym, w małżeńską wstąpiłbym zażyłość!
Ale je na nieszczęście nie kwiat, ani ziele;
Człowiek mięsny, panienko, a moje piszczele
Skórę wychudłą podra jak ostre nożyce,
Jeśli je mgłą napoję, gwiazdami nasycę —
Więc kłaniam uniżenie! —

GOPLANA.

O! biada mi, biada!

Dziś moja róża na pieńku opada —
Dziś jakiś rybak otruł złotą stynkę,
Pieszczotę moją! dziś miłą ptaszynkę
Co mi śpiewała nocą nad jeziorem,
Na srebrnej brzozie, chłop zabił toporem,
I drzewo zrąbał —

GRABIEC.

Dzisiaj mię sowito

Wierzbami pod zamczyskiem Kirkora obito,
To prawdziwe nieszczęście, plecy świerzbią! — Ale
Skoro w tym zamku biją, to karmią wspaniale.
Gdy z odkręconych dzióbków ą rynien w rynsztoki
Płynie jasna gorzalka; więc każą wyroki,
Abym przystał na służbę do kuchni Kirkora.

GOPLANA.

Co? zawsze do niej! do niej! — Jeszcze wczora

Widziałeś serce tej kobiety. Miły
 Czego zażadasz? — władzy, bogactw, siły,
 Zmienionej twarzy — chociażby kamyka
 Co sprawia cudem że przed ludźmi znika
 Człowiek, jak widmo rozplynione we śnie?
 Wszystko mieć będziesz! — Jakże mi boleśnie
 Czarami twoje zakupować serce!
 Chcesz li mieć owe skrzydlate kobierce,
 Co noszą ludzi gdzie myślą zażądać?
 O miły, powiedz! — Czy pragniesz wyglądać
 Jako ów rycerz zjawiony na chmurze
 Szykom Lechitów? w złocie i lazurze
 Od stóp do głowy.

GRABIEC.

Więc od stóp do głowy
 Miłoby mi wyglądać jako król dzwonekowy,
 W koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na prawicy.

(Na stronie.)

Jak się teraz wywikła wiedźma z obietnicy?

(Głośno.)

Niech mam berło, koronę, płaszcz, złote trzewiki,
 Od stopy aż do głowy — jak pan król —

GOPLANA.

Djabliki!

Lećcie u zorzy
 Prosić purpury —
 Perłę u róży,
 Szafiru u chmury,
 U nieba błękitu,
 A złota u świtu;
 A może gdzie zawieszona
 Na niebie tęczowa nić,
 To tęczę wzięść na wrzeczona,
 I wić i wić i wic.

(Skierka i Chochlik odbiegają. Do Grabka.)

O jakiej zamarysz postaci,
 Zakreślony w czarów kole,
 Taką moc Goplany da ci
 Postać, szaty, rysy, dolę —

GRABIEC.

W mojej myśli dzwonkowe szastają się króle.

GOPLANA, zakreśla koło.

Stój cicho — nie wychodź z koła.
 Słyszysz jak szumi puszcza wesoła,
 Jak po gałąskach sosen, leszczyny,
 Zlatują na dół śpiewne ptaszyny,
 Złociste wilgi, gile, słowiki? —
 Z niemi ciekawe słońca promyki,
 Spływają do nas przez listki drżące.
 Ale się wkrótce niebo zachmurzy,
 We mgłę przelecą złote miesiące.
 I gwiazdy blade, jak tuman burzy
 Z błyskawicami.

(Skierka i Chochlik niosą szaty i koronę.

SKIERKA.

Wszystko gotowe.

GRABIEC, poziewa.

A! a! spać chcę —

GOPLANA.

Pochyl głowę,
 Zaśnij — obudzisz się, skoro
 We śnie cię duchy ubiorą,
 Na miarę twego marzenia.

GRABIEC, kładąc się.

Cudy! — Dobranoc panie Grabku — do widzenia
 Na tronie — dobrej nocy synu organisty,
 Polecam się pamięci, i afekt strzelisty
 Łączę — (poziewa) A! a! a! cudy —

(Zasypia.)

GOPLANA.

Czuwajcie nad sennym

Ja czary piekiel zamówię.

(Ściemnia się — czerwone chmury przechodzą i widma otaczają Goplana
 odwróconą.)

SKIERKA.

Okryć go płaszczem promiennym,
 Wdziać mu złociste obuwie.

(Ściemnia się zupełnie. — Na głowie Goplany pokazuje się półksiężyc.)

Perła rosy z płaszcza kapie;
Zbierz te perełki po trawie,
I znów przyszyj na rękawie.

CHOCHLIK.

Król dobrodziej w dobre chrapie,
Na drugi bok się przewraca.

SKIERKA.

Goplano, niech światło wraca,
Już się twój miły przetworzył.

(Goplana daje znak — księżyc z jej czoła znika — światło wraca.)

GOPLANA, patrząc na śpiącego.

Jaką on sobie dziwną postawę wymarzył.

(Grabek wstaje z ziemi jak król dzwonkowy.)

GRABIEC, poziewając.

A — a — a — a — dobry dzień — a — piękna pogoda
Co to? włosy na brodzie — Djablo! — siwa broda
Co to znaczy? w co znowu przewierzgnęły biesy?
Jaki płaszcz! jakie dziwne na piersiach floresy.
Śniło mi się. — Dalibóg nie wiem co się śniło —
Karczma podobno, piwo z beczek się toczyło,
I był potop, w potopie pływałem jak ryba.
Sztuczka djabła! — zrobili ze mnie wieloryba,
Lewiatana w złocistym płaszczu, z brodą siwą!
Ha! chodź tu moja wiedźmo, moje szklanne dziwo,
Powiedz, kto mię tak złotem i brodą ozdobił?
Powiedz, co się zrobiło ze mnie?

GOPLANA.

Król się zrobił,

GRABIEC, sięga do głowy, znajduje koronę.

Więc niech się nie odrabia to, co już zrobione.
Sięgnęła ręka głowy, znalazła koronę —
Cudy! —

GOPLANA.

Nosisz prawdziwą koronę Popielów.

GRABIEC.

Widzę że służy ludziom do tych samych celów
Co czapka — kryje uszy. A to?

(Pokazuje berło drewniane.)

GOPLANA.

Berło twoje.

GRABIEC.

Jak chcesz, miły węgorzu, ja sobie uroję
 Że to berło; niech oko rozumowi sprzyja
 I powie że to berło. — Skąd wy tego kija
 Wzięli djabliki moje?

CHOCHLIK.

Gdy cię Grabkiem zwano.

GRABIEC, ze wzgardą.

Nie mów mi o tym Grabku.

CHOCHLIK.

Gdyś był wczora rano

Obywatelem lasu, wierzbą: z królo-drzewa
 Filon ułamał gałąź.

GRABIEC.

I ta ręka lewa,

Nosi tę samą korę, którą ja porastał —
 I ta kora jest berłem. — Ha! to będę szastał
 Tym berłem po grzbiecinach. — Ach! wielka mi szkoda
 Że się do nieba dostał ojciec golibroda,
 Wrazby oszastał długie kędziory na brodzie! —
 Moja wiédźmo, co chodzisz jak święta po wodzie,
 Nie możesz ty mię z łaski swojej brody zbawić?
 Nie? — basta — jaki balwierz potrafi się wslawić
 Na tej królewskiej brodzie. — Ha — a jeszcze warto
 Dać mi jabłko do ręki, a z dzwonkową kartą
 Będę chodził po świecie jako ze zwierciadłem.

SKIERKA.

Na jabłko królewskie skradłem
 Chłopakom z bliskiego siola,
 Bańkę z mydła; a do koła
 Tak piekło słońce, że z głową,
 I z nogami, w kryształową
 Siadłem kulkę — Lecę, lecę —
 W tem banieczka moja złota,
 Na błękitnej siadła rzece;
 I konik polny — niecnota!

Kiedy pod tęczowem szkiełkiem
 Usnąłem spokojnie w łódce:
 Zbił ją gazowem skrzydełkiem
 I uciekł — a ja rozespan,
 Na niebieskiej niezabudce
 Ocknąłem się —

GRABIEC.

Djabliku, to znaczy że jespan
 Głupi jak but — bo jabłko, choć jabłko królewskie,
 To jabłko, nie zaś żadne migdały niebieskie.

(Chochlik daje mu jabłko.)

Dzięki składam waszeci — dobrze — a czy winne?

(Kosztuje.)

Więc mam wszystko, co król ma. Ach! ach! A gdzie gminne
 Szoldry? poddani moi, którym ja panuję? —

GOPLANA.

Wszystko co na tej ziemi moją władzę czuje:
 Ptaszyny, drzewa, rosy, tęcze, każdy kwiatek,
 Jest twojem —

GRABIEC.

Trzeba zaraz nałożyć podatek.

Słuchajcie mię — a kodeks niech będzie wykuty
 W spruchniałej jakiej wierzbie. Odtąd brać w rekruty,
 I żubry i zające, i dziki i łosie.

Kwiaty, jeżeli zechcą kąpać listki w rosie,
 Niech płacą — rosę puszczam w odkupy żydowi;

Niech mi wódką zapłaci. Każdemu szpakowi
 Kazać nie myśleć wtenczas kiedy będzie gadał —

Zabronić aby sejmik jaskółczy usiadał

Na trzcinach i o sprawie politycznej sądził.

Wróblów sejmy rozpędzić; ja sam będę rządził

I wieszal i nagradzał. — Jaskółkom na drogę

Dawać paszporta: w takich opisywać nogę,

Dziób, ogonek i skrzydła i rodzinne znaki.

Odtąd nie będą dzieci swych posyłać ptaki

Do niemieckich zakładów, gdzie uczą papugi.

Wyjęte sroki, które oddają usługi

Ważne — mowie ojczystej. Z cudzych stron osoby

Jak to: kanarki — śledzić. Na obce wyroby

Nakładam clo. — Od łokcia tęczy wyrobionej
 W kraju słońca, księżycy, białej — lub czerwonej
 Albo fioletowej, byleby jedwabnej,
 Płacić po trzy złotniki — a od sztuki szwabnej
 Płótna z białych pajęczyn —

GOPLANA.

O czem gadasz drogi?

GRABIEC.

Co? — króluję — króluję — skarb łatam ubogi.
 Róża płaci od pączka, od kalin kalina,
 Od każdego orzecha zapłaci leszczyna,
 Czy to pusty, czy pełny — mak od ziarek maku,
 Nie od makówek. — Głowa na mnie nie dla znaku —

GOPLANA.

Zostawiam ci Chochlika, Skierkę — niechaj służą;
 Niechaj zrywają kwiaty, a strzęsioną różą
 Osypia, kiedy zaśniesz. — Bądź zdrow, do wieczora.
 Będę cię czekała nad brzegiem jeziora,
 I płacząc, piosnką płaczu wabiła słowika.

(Goplana odchodzi.)

GRABIEC.

Aż mi lżej że ta rybia galareta znika!
 Hej poddani! — (Do Chochlika.) Ty jesteś królewskim ministrem,
 Boś głupi. (Do Skierki.) A ty drugi djable z oczkiem bystrem.
 Błaznem — śmiesz mię łajdaku! — aż z radości pęknę.
 Ministrze, gdzie mój powóz? —

CHOCHLIK.

Cztery konie piękne,

Czarne — księżycowemi wierzgają podkowy;
 I wóz na ciebie czeka Mefistofelowy;
 Ale nie mów Goplanie —

GRABIEC.

Dla czego?

CHOCHLIK.

Bo ona

Nie chce pożyczać z piekła.

GRABIEC.

Szalona! szalona!

Jeśli djabeł pożyczca — bierz, bo takie wozy
 Oszczędzają ci butów — (do Skierki.) Ty będziesz wiózł z kozy.
 Minister za forysia — teraz jechać pora.

SKIERKA.

Gdzie Król jedzie?

GRABIEC.

Na ucztę ślubną do Kirkora.
 (Odechodzą wszyscy.)

SCENA V.

(Sala w zamku Kirkora.)

KOSTRYN, sam.

Za pustelnika całą, drzewami ukryty,
 Słyszałem tajemniczą spowiedź tej kobiety.
 O szczęście! teraz panem złotej tajemnicy! —
 Mógłbym ją z pałacowej rozkrzyzczyć wieżycy,
 Albo mojemu panu wiernie opowiedzieć,
 Albo okropną powieść wyrazami cedzić,
 Jako piasek klepsydry, w pani trwożne ucho —
 Aż zobaczę skarbnicę tego zamku suchą,
 Jak czoło Araratu. — Wraca Balladyna.
 Mogę mieć ją i skarby! — Szczęśliwa godzina.

(Staje na stronie.)

BALLADYNA, wchodzi głęboko zamysłona.

O wszystkim wie ten człowiek stary — powie drzewem —
 Drzewa będą rozmawiać o tem w głuche noce,
 Aż straszna wieść urosnie. — O! biedneż wy myśli,
 Jak dzieci nierozumne cieniów się lękacie!
 Ten starzec słowa moje łączy, składa, zbiera,
 I mówi: być nie może — ta kobieta młoda
 Nie zabiła. A jeśli nie, jeżeli pewny — —
 A któż w taką rzecz może uwierzyć jak w pacierz?
 Ale jeśli uwierzył — jeśli przechodniowi
 Zbłąkanemu opowie straszną zbrodnię pani —
 Nim wymówi nazwisko, złąknie się jak prostak
 Zemsty możnego pana. — A może — jeżeli

Dobre ma serce starzec, na końcu języka
 Znajdzie litośną radę: Na co ludziom szkodził? —
 A może już zapomniał, a ja nierozsądna
 Myślę, o czem ten starzec myśleć już przestał —
 Bo i czemuż je jestem aby mną się ludzie
 Zajmowali, śledzili, chcieli gubić? — Piekło!
 Tysiącem słów nie mogę zabić tego słowa:
 «On wie» — Na cóżem poszła to tego człowieka?
 Straciłam się — szatańska ręka mię zawiiodła!
 I pomyśleć? że gdyby nie te odwiedziny,
 Starzec byłby jak owe ludzi miliony,
 Których nigdy na świecie nie spotkałam. Myśleć!
 Że ta sama godzina trwożnych myśli pełna,
 Byłaby jak wczorajsze godziny, i może
 Spokojniejsza; bo wszakże wiele by się strachu
 Przez jeden dzień zatarło tajemniczą ciszą! —
 Teraz wszystko na nowo odradza się z twarzą
 Okropniejszą. — Zazdroszczę tej, co dzisiaj rano
 Mną była.

(Kostryn zbliża się.)

KOSTRYN.

Pani! od Grafa przysłany
 Z darami goniec — na rozkazy czeka —

BALLADYNA.

Dary od męża? Zawołaj człowieka —
 Niech je tu złoży. Stój! — czy tobie znany
 Ów żebrak, który mieszka w lesie, stary?

KOSTRYN.

Pustelnik? —

BALLADYNA.

Nie wiem czemu się nawinał
 Na myśl — gdzie goniec z przysłanemi dary?
 Zapewne drogie?

KOSTRYN.

Pan Graf zawsze sływał
 Szczodrobliwością — i był nakształt słońca
 Co wszędy żywe rozsypuje blaski —

BALLADYNA.

Ciekawa jestem nowej męża łaski.
Zawołaj zaraz — zawołaj tu gońca —

(Kostryn odchodzi.)

Gdyby te dary, gdy nie przerażona
Myśl — Na co było pytać się Kostryna
O tego starca?

(Wchodzi Kostryn i Gralon.)

GRALON.

Przezemnie Gralona,

Kirkor pozdrawia —

BALLADYNA.

Zdrów?

GRALON.

Zdrów jak malina.

BALLADYNA.

Czy mąż ci kazał taką osłodzoną
Przynieść odpowiedź? —

GRALON.

Graf dał polecenie

Abym tę skrzynię z pieczęcią czerwoną
Przyniósł do zamku, i nakazał żenie,
Tobie Grafini, abyś nie ruszała
Pieczęci jego, ni kłódek u wieka,
Aż sam powróci —

BALLADYNA.

Bogdajbym skonała

Jeśli rozumiem głos tego człowieka!
Powtórz!

GRALON.

Graf Kirkor —

BALLADYNA.

Wiem. — Ale dla czego

Skrzynię okutą, i przysylaną w darze,
Kazał mi chować aż do dnia sądnego
Zamkniętą? —

GRALON.

Mówił pan: bo ja tak każe —

Nic więcej —

BALLADYNA.

Głupcze! Twoją głowę ciasną
 Nosisz na karku w skorupie blaszanej,
 Aby w niej wróble jak w dziurawym garnku
 Gniazdo winęły! — Skrzyni okowanej
 Nie ruszać? Ha! ha! w Kirkora podarku
 Widzę nieufność, nie zaś wierną miłość! —
 Ty podły chłopie, (do Gralona) choć długa zażyłość
 Łączy cię z Panem, nie miałbyś odwagi
 Ruszyć tej skrzyni? bo ty ohłosty, plagi
 Czujesz na grzbiecie. — Ale ja, małżonka —
 Jeżeli zechcę! — Gdyby mi szepnęła
 Mucha — ha! gdyby cichego skowronka
 Głosek podszeptął: otwórz! a od dzieła
 Szatan odpędzał ognistemi skrzydły,
 To wiesz, ty podły służalcze obrzydły,
 Że wola moja —?

KOSTRYN.

Grafini —

BALLADYNA.

Ty może

Chcesz przypominać, że mój mąż ma prawo?
 Więc niech doświadcza! co mi tam! — Mój Boże!
 Gdybym ja była jak inne ciekawą,
 To — ale wy mnie nie znacie, przysięgam!
 Ja tak trwożliwa, że nawet w ogrodzie
 Po jabłko z drzewa upadłe nie sięgam.
 Jeśli mąż zechce, o chlebie i wodzie
 Żyć będę, zawsze wesola jak wrona,
 Na cudzym płocie. Anim teraz w złości — —
 Masz stary (do Gralona). Oto złotówka czerwona —
 Weź ją i przepij, albo przegraj w kości,
 I goń za panem. — Powiedz że go czekam
 Z niecierpliwością, że łyżę po nim ronię;
 Że jedwabiami złotemi wywlekam
 Szarfę dla niego. — Gdzieżes ty Gralonie
 Odjechał Pana?

GRALON.

W nad-goplańskim borze.

BALLADYNA.

Nie zatrzymywał się nigdy po drodze?

GRALON.

U pustelnika stanął w celi.

BALLADYNA.

Boże!

U pustelnika? — Mów — ja ci nagrodzę
 Za każde słowo garścią złota — ale
 Chcę wiedzieć wszystko — rozumiesz? wspania'e
 Nagrodzę cię, ale mów otwarcie.
 Choćby co było okropnego — powiedz! —

GRALON.

W borze przez głucho zarosły manowiec
 Pan jechał przodem na koniu lamparcie,
 A my gęsiora jechali za panem —
 W tem nagle pański koń dał w górę słupa,
 Jakby się spotkał z ognistym szatanem.
 A pan Graf z konia rzekł: czuć w lesie trupa —

BALLADYNA, z wyrazem przerażenia.

I z konia zsiadł — i —?

GRALON.

Krzyknął: za mną służba,
 I pieszo z mieczem pod wierzbą poskoczył.
 Na mchu trup leżał — a piersi mu toczył
 Wianek żelaznych gadzin —

BALLADYNA.

O!!!

GRALON.

To wróżba

Naszej wyprawy — rzekł Graf — oto leży
 Przed nami ścierwo zabitego tura.

BALLADYNA, oddychając.

Ach!

GRALON.

Dobra wróżba dla mężnych rycerzy
 Mówił Graf Kirkor — my krzyknęli urra!
 i znówu na koń —

KOSTRYN.

Mówiłeś Gralonie

Że trup pod wierzbą? a na białem łonie

Trupa, żelazne leżały gadziny?

GRALON.

Na ścierwie tura —

KOSTRYN.

eszcześliwa łania!

GRALON.

To był tur samiec.

KOSTRYN.

Gdzie wierzba się kłania?

Po nad strumieniem? gdzie rosną maliny?

Wszak ta? —

GRALON.

Tak panie.

KOSTRYN.

Blisko starca chaty?

GRALON.

Tak —

KOSTRYN.

I ty mówisz że tur rosochaty

Leżał pod wierzbą?

GRALON.

Tak.

KOSTRYN.

Przysiąż!

GRALON.

Dla czego?

KOSTRYN.

Bo ja przysięgnę na szatana złego

Że nie tur — ale — broń kłamstwa żelazem!

(Do Balladyny, dobywając miecza.)

Tego człowieka trzeba zabić!

BALLADYNA, z pomięszaniem

Trzeba.

KOSTRYN, napadając.

Broń się —

GRALON, broniąc się.

Co znaczy?

(Biją się — Balladyna zdejmuje miecz ze ściany i zachodzą z tyłu zabija Gralona.)

BALLADYNA.

Masz!

GRALON.

O jasne nieba! —

Zbrodnia!!!

(Kona.)

KOSTRYN.

Grafini! napadliśmy razem

Na tego starca: czy wiesz co to znaczy?

BALLADYNA.

Wiem! o mój Boże!

KOSTRYN.

Ja biorę połowę

Twojego strachu, tajemnic, rozpaczy —

BALLADYNA.

Co teraz robić Kostrynie?

KOSTRYN.

Mieć głowę —

A K T IV.

SCENA I.

(Sala w zamku Kirkora. — Uczta. — Przez okna widać błyskawice. Grabiec ubrany jak król siedzi na pierwszym miejscu. — Balladyna, Kostryn, szlachta, służka zamkowa. Chochlik i Skierka stoją za krzesłem Grabka.)

JEDEN Z SZLACHTY.

Zdrowie jasnego króla!

GRABIEC, do Chochlika.

Podziękuj ministrze.

CHOCHLIK, ze śmiesznym gościem.

Król dziękuje.

GRABIEC.

Mój błaznie, kaź, niech pieczo-mistrze
Przynoszą nowe danie —

SKIERKA.

Już kuchta zamkowy
Nie ma nic na półmisek prócz cielejącej głowy,
Lecz ta niedopieczona, na królewskim karku.

GRABIEC.

Widziałem dwa chodzące pawie na folwarku —
Upiec je i dać na stół, ja poczekam na nie.

KOSTRYN.

Służba! przed jasnym królem, na ostatnie danie
Postawcie złotnikami napełnioną tacę!

GRABIEC, bierze z tacy złotniki, rozdaje Chochlikowi, Skierce — a potem
sam napełnia kieszenie.

Ministrze! za rok usług z góry ci zapłacę,
A nie drzyj tak poddanych — tobie miły błaznie
Za tysiąc żartów, złotnik — spraw nam śmiechu łaźnię. —
Sobie także za ciężkie placę panowanie.
A to — to mi schowajcie jutro na śniadanie —

BALLADYNA.

Honor to dla mnie, że gość tak dostojny
Raczył nawiedzić mój zamek i stoły — —
Pijcie panowie!

(Do Kostryna, który ją za rękę ścisła, mówi cicho.)

Chłopcze! siedź spokojny
Na Boga! patrzą — odgadną — zginiemy!
(Do innych.)

Pijcie panowie! Panie Chrząszcz z Jemioły
Pij waść! Dla czego Pan Gryf siedzi niemy?
Proszę wynaleźć wesołą rozmowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Mówmy o herbach —

GRABIEC.

Ja mam w herbie: króla
Złote trzewiki, koronę i głowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Ja mam dwie trzaski.

DRUGI ZE SZLACHTY
A ja mam pół ula

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

A ta grafini?

BALLADYNA.

Ja? —

KOSTRYN.

Pani! wszak byłaś

Księżniczką możnej Trebizonty.

GRABIEC.

Proszę!!!

Najświętsza Panno! co ty narobiłaś
Książąt na ziemi! — Miałaś aśćka grosze?

BALLADYNA.

Ja? — o! wspomnienie! — Wuj nielitościwy
Wygnał mię z państwa, zagrabił dzielnięę —
Przez niego bracia moi królewice
Zamordowani —

GRABIEC.

Proszę! co za dziwy!

Ktoby uwierzył? —

BALLADYNA.

I mnież odmówicie

Wiary? — Nie proszę o pożałowanie.
Ach, ja szczęśliwsza, ja uniosłam życie;
Lecz matka moja! — Matkę moją, Panie,
Zamurowano w pałacu framudze.

GRABIEC.

Biedna starzyzna!

BALLADYNA.

Ale ja was nudzę

Proszę pić! proszę? Gdzie krajczy? podstoli?
Niech daje wina! — Wy czar dolewajcie —
Bądźcie weseli —

GŁOS SŁUGI Z KULISĄ.

Stój matko!

GŁOS WDOWY ZA KULISĄ.
Puszożajcie!

BALLADYNA.

Gdzie ja się skryję?

WDOWA wpada, przebijając się przez służbę i staje w środku sali, dygając pomieszana.

Kłaniam pięknie moi

Rycerze. — Córko! ha! to się nie godzi
Zapomnieć o mnie! —

BALLADYNA.

Co się babie roi?

Co to za stara kobieta?

WDOWA.

Wy młodzi

Hulacie? dobrze — ale też o matce
Warto pomyśleć! — A to mnie jak w klatce
Zamknięto — stara czeka, czeka, czeka —
Ani przysłała kawałeczka chleba.
A to głód córko! A przynajmniej mleka
Kropelkę dajcie — wszak tu nanna z nieba
Padać nie będzie dla biednej staruszki.

BALLADYNA

Co to się znaczy, to jakaś szalona.

WDOWA.

A daj mi córko te złote dzbanuszki!
Matce się pić chce —

BALLADYNA.

Czemu tu wpuszczona

Ta stara? —

KOSTRYN.

Wziąć ją! — Idź z Bogiem! — Mój królu!
To obłąkana —

WDOWA, do Balladyny.

A powiedz «matula»

Do twojej matki — nie nazywaj: stara —
Stara — ta stara —

BALLADYNA.

Wziąć ją! wyprowadzić!

GRABIEC.

Ha! ha! ha! — jaka to chłopska maskara! —
Dajcie jej pokój! trzeba ją posadzić
Z nami do stołu! —

WDOWA.

To mi to pan dobry! —
Widzicie! dajcie ławkę! niech usiądę.
Tak, tak, tak trzeba mój rycerzu chrobry,
Czcioć starą matkę. — Czy to ja uprzedę
Piękniejszą sobie suknię z pajęczyny?
To wina mojej kwoczki, Balladyny,
Że ja w łachmanach, rada, czy nie rada.
Niech się nie dziwi żaden z was acanów
Że ot (pokazując na suknie) nie złoto, lecz kilka łachmanów
Ze starych kości, na proszek opada. —
Proszę wybaczyć córce mojej —

BALLADYNA.

Piekło!

Jak tu wpuszczono tę żebraczkę wściekłą?
Powiedz, jak weszłaś do złotych pokoi?
Ja ciebie nie znam —

WDOWA.

O! święci anieli!

Nie znasz? — ty matki nie znasz! matki twojej?

GRABIEC.

Ha! ha! ha! — uszy królewskie weseli
Taki rozhovor —

WDOWA.

Powtórz córko, śmielej,
Ty matki nie znasz? twojej własnej matki?

BALLADYNA.

Czy wy ją znacie panowie? powiedźcie
Co to za wiedźma?

WDOWA.

Świećcie mi! — ach świećcie
Niebieskie gwiazdy! — Wy mi bądźcie świadki
Jeśli z was który ojcem? — O ty jędzo
Ach okropnico córko! to ja ciebie
Nie znam! —

BALLADYNA, do Kostryna.

Każ, niech ją za wrota przepędzą.

Szczeka za głośno.

WDOWA.

Urodziłam z siebie.

Trumnę dla siebie — o Boże mój! Boże!

(Służalce na znak dany przez Kostryna chwytają za ręce wdowę.)

Puszczajcie! — córko! — niech pomyśli — córko! —

O córko! — pomyśl — ale tam na dworze

Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką

Czeka na siwy włoszek by uderzył! —

Patrzaj przez okno — grom nie będzie wierzył,

Jak mię zobaczy samą w taką burzę,

Że ja nie jestem jaką zabójczynią,

Co się po nocy błąka —

(Ociągnę ją na znak gniewliwy Balladyny.)

Powiem chmurze

Niech bije w zamek gromem! Nie targajcie —

Ja pójdę sama! Świat teraz pustynią

Dla starej matki —

BALLADYNA.

Chleba kawał dajcie.

WDOWA.

Bodaj cię chleb ten zadławił! zadławił!

O! nie targajcie; bo i tak podarta

Sukienka moja — wiatr się będzie bawił

Z lachmanem starej matki. O! to czarta

Córka! nie moja! nie moja! nie moja!

(Wychodzi — wyprowadzona przez służbę.)

BALLADYNA, po długim milczeniu.

Czemuście smutni? Wszak pod uczyty koniec

Ludzie szczebioczą co język przyniesie.

A wy milczycie jak w zamczysku zbója?

(Słychać tentent.)

Co to za tentent?

SŁUGA.

Przybył Grafa goniec

BALLADYNA.

Niech wejdzie —

(Goniec wchodzi.)

Jakież od męża nowiny?

GONIEC.

Pan Graf pozdrawia —

BALLADYNA.

A kiedy z powrotem?

GONIEC.

Burza go w bliskim zaskoczyła lesie.
 Konie ognistym przerażone grzmotem.
 Grzęzły po bagnach; sosny się jak trzciny
 Gięły z okropnym hukiem i łoskotem.
 Nie można było dotrzeć do zamczyska
 I pan Graf czeka w pustelnika celi,
 Aż się ta burza wygrzmi i wybłyska.

BALLADYNA.

Cóżście z panem nowego widzieli?

GONIEC.

Pan Graf pomyślnej dokonał wyprawy.
 Zaledwieśmy wjechali w Gnieźnieńskie ulice,
 Koło czerwonej bramy spotkaliśmy orszak
 Rycerzy uzbrojonych; na ich czele Popiel
 Jechał konno. Koń jego dumny, piął się nieraz
 I zawieszał w powietrzu żelazne kopyta,
 Nad głowami pokornie klęczącego ludu.
 Wtem Kirkor — któżby myślał? — Kirkor samotrze
 Chwyta dłonią koniowi królewskiemu cugle,
 Krzycząc: srogi tyranie: trzema zabójstwami
 Doszedłeś aż do tronu! idź w piekło! To mówiąc,
 Mieczem rozciął przyłbicę ukoronowaną,
 I za szaty chwyciwszy podniósł, wstrząsnął trupa,
 I ludowi pokazał. Lud zrazu oniemiał;
 Potem w niebo ogromnym uderzył okrzykiem;
 Nie można było wiedzieć: pochwalał czy ganił.
 Nagle się cały ku nam rzucił szumną falą,
 Chwila — a już nas jako trzy maleńkie mrówki
 Zalał, strzaskał, zdruzgotał. Kirkor jedną ręką

Trzymał trupa; a drugą swój miecz zakrwawiony! —
 My zaś, jego rycerze, pełniąc rozkazanie,
 Mieczów nie dobywali. Wtem tłok ludu, jako
 Bałwan rzucony wiatrem, zniżył się kolanem
 Przed olbrzymią postawą Kirkora i wołał:
 Niech żyje ludu mściciel! Kirkor król niech żyje!

BALLADYNA.

Co mówisz Kirkor królem?

GONIEC.

Racz końca wysłuchać. —

Gdy lud głosił go panem, Kirkor miecz błękitny
 W trupiej ocierał szacie; widać że głęboko
 Dumał, jakimi słowy myśl wyrazić zdoła.
 Nakoniec rzekł: O Lachy! ja nieznanzy rycerz,
 Nie mogę przesławnemu władać narodowi;
 Com uczynił, czyniłem nie dla wyniesienia
 Głowy mojej — czyniłem to dla szczęścia ludu.
 Jam stworzony do ciszy wiejskiej i prostoty!
 Dla mnie za ciężka nawet była godność Grafa,
 I zniżyłem ją szczeblem, pojąwszy w małżeństwo
 Zamiast jakiej królowej ubogą chłopiankę.
 Ona zamiast herbowych znaków, połączyła
 Z herby mojemu dzbanek pełny malin; ona
 Nie podobna królowej; ani państwa pany
 Zechcą chłopianki dzieciom na przyszłość podlegać.

BALLADYNA.

Niegodne kłamstwo! kłamstwo! to kłamstwo! —

GONIEC.

I dalej

Kirkor tak rzecz prowadził: — Ogłosicie po kraju
 Bezkrólowie — a kto się na zamku pokaże,
 Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
 Koroną w której znany brylant «zmije-oko»
 Między dwoma rubiny, na trzech perłach leży;
 Tego królem obierzcie. Lud zgodnym okrzykiem
 Przyzwolił na tę mowę, i osierocony
 Czeką, aż się ukaże król, dziedzic korony.

GRABIEC, na którego wszyscy patrzą.
Czemu ci ludzie patrzą na mnie jak gawrony?

SZLACHTA.

Kłękamy wszyscy przed tym ukoronowanym —
On królem —

GRABIEC.

Co, ja królem? gdybym nie był pijanym
Upiłbym się z radości. Los głupi jak rura!
Wyskoczyłbym ze skóry, gdyby moja skóra
Nie była teraz skórą królewską.

SZLACHTA.

Żyj długo —

GRABIEC.

Sto lat! Sto lat żyć będę; wziąłem skórę drugą
Jak wąż — jak wąż panowie mam oko z brylanta.
Puściłbym się po sali z grafinią kuranta,
Gdyby nie godność, prawda? która siedzieć każe.
Tak się w mój tron złocisty królowaniem wrażę,
Że nie oderwą ludzie od tronu człowieka.
Proszę! co za dziw! —

BALLADYNA, do Kostryna.

Słyszysz jak burza się wścieka? —

Dzwonią deszczowe rynny. W tej okropnej burzy
Umarłych. — Lej mi wina. — Wszystko się tak splata.
Słyszę głosy płaczące —

KOSTRYN.

To krzyk nocnych stróż.

BALLADYNA.

Nie — to są jakieś głosy inne jak ze świata
Że chyba się powiesić! —

GRABIEC.

Teraz po obiedzie

Trzeba wymyślić wesołą zabawę.
Kaźcie tu wpuścić kuchenne niedźwiedzie
Co kręcą różnem — niech tańczą! —

PIERWSZY ZE SŁUG.

Kulawo,

Pan Graf podstrzelił je —

GRABIEC, do Choćlika.

Więc ty ministrze

Weź moje berło wierzbowe i na niem
 Graj jak na dudzie — a zatykaj bystrze,
 Dziurki palcami, jeśli pomysł nowy,
 Dążący prosto ku uszczęśliwieniu
 Przyszłych poddanych, wymknie ci się z głowy!
 Przez głupie wrota. Słuchajcie w milczeniu —
 Graj!

CHOĆLIK.

Co grać panie?

GRABIEC.

Kładź palce na dziury,

To berło, z mojej wykręcone skóry,
 Wie co ja lubię.

SKIERKA.

Graj! — a do wtóru

Zawołam echa ciemnego boru,
 Co rzecz widziały —

(Choćlik gra na flecie smutną pieśń wiejską, a zamięszane głosy w powietrzu poczynają śpiewać. Śpiew.)

Obie kocha pan,

Obie wzięły dzban;

Która więcej malin zbierze,

Tę za żonę pan wybierze.

Ha! ha!

(Pieśń niknie jak echo.)

BALLADYNA.

Co to się znaczy? kto śpiewał, i taką
 Pieśń skończył śmiechem?

KOSTRYN.

Cyt — to przywidzenie!

BALLADYNA.

Ktoś śpiewał—(do Choćlika) Proszę graj! (do Kostryna. A ty Kostrynie
 Patrz w twarz ludzi, a jeśli dostrzeżesz
 Z których ust wyjdzie pieśń, powiedz — obmyśl
 Co z tym człowiekiem stanie się. (do Choćlika.) Dudarzu!
 Zagraj mi jeszcze wieśniaczą balladę,

I obudź echa wiszące nademną
W kopule sali. — Objaśnić pochodnie! —
(Chochlik gra.)

ŚPIEW DUCHÓW.

Tobie szatan stróż,
Włożył w rękę nóż,
Siostra twoja rwie maliny.
A ty? a ty? Nóż twój siny
Poczerwieniał krwią. — O! —
(Pieśń kończy się echowemi jękami.)

KOSTRYN.

Przestań! grafini mdleje! —

BALLADYNA.

Nic — ja żywa --

Śpiewajcie — jeszcze — Objaśnić pochodnie —
(Chochlik gra.)

ŚPIEW DUCHÓW.

Na twojej czarnej brwi,
Niby krople krwi.
Kto wie z jakiej to przyczyny?
Od maliny? lub kaliny?
Może — ha! —

(Pieśń kończy się echem.)

BALLADYNA, daje znak ręką.)

Dalej —

PIERWSZY Z PANÓW.

Co znaczy takie obłąkanie

W oczach Grafini? Czy prosta piosenka,
Którą wieśniacy przy grabionem sianie
Nucają na fletnikach, tak ją biedną nęka.

BALLADYNA.

Dalej!

PIERWSZY Z PANÓW.

Ocuć tę kobietę bladą!
Ona zasnęła — i śpi z otwartemi
Oczyrna --

KOSTRYN, do Balladyny.

Pani!

PIERWSZY Z PANÓW.

Rozkaż, niech ją kładą

W gorące łożę — skościła jak drewno —

(Grom bije głośny. — Balladyna budzi się.)

BALLADYNA.

Co ze mną było? — jak ja okropnemi

Sny przerażona. (Do Kostryna.) Słuchaj ty, pewno

Gadałam we śnie. Czy we śnie gadałam? —

KOSTRYN.

Nie —

BALLADYNA.

Bogu dzięki. Ale gdy ja spałam,

Wyście musieli rozpowiadać głośno

O czym okropnem? (do gości.) Proszę — pije! — widzę,

Że lepiej zrobię usiadłszy za krośno,

Niż przy puharach.

GRABIEC, budząc się.

Przepraszam panowie.

BIESIADNICY.

Za co?

GRABIEC.

Przepraszam i bardzo się wstydzę,

Że byłem zasnął. (Pije.) Zamku pana zdrowiel

BIESIADNICY.

Zdrowie Kirkora!

GRABIEC.

Pocziwy! pocziwy!

Zamiast panować, woli jeść maliny.

Kaźcie, niech jaki leśnik, lub myśliwy,

Pójdzie do boru i malin przyniesie.

BALLADYNA.

Straszne zachcenie —

GRABIEC.

W pod zamkowym lesie

Muszą być słodkie maliny i duże

I smakowite, skoro Kirkor woli

Dzban takich malin, niż meszty papuże,

I płaszcz królewski! — Kaź, niech nam podatoli,

Malin dzban poda na pokosztowanie.

BALLADYNA.

Odwagi! — nic się gorszego nie stanie.
 Słyszałam echa grobowych rozwalin —
 Ujrzę, czy więcej prócz słów co wyrzucą
 Wzruszone groby — Malin! dajcie malin!

(Pokasuje się cież biały Aliny z dzbankiem malin na głowie.)

Czułam cię dawno w powietrzu — a teraz
 Widzę. — Jak błyszczą oczy twoje? Biała! —
 Ja się nie lękam — widzisz — ale ty się
 Nie zbliżaj do mnie —

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

O czym ona gada?

BALLADYNA.

Mów ze mną przez stół! — Niech mi jaki człowiek
 Da rękę — ja się boję —

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Czy słyszycie,

Jak ząb jej dzwoni o ząb z przerażenia?

BALLADYNA.

Idź — potępiona — odnieś skąd przyniosłaś
 Ten dzbanek pełny czegoś, co się rusza —
 Jak to co w grobie. — Czy powieszonego
 Na zamku wieży, przed latami, trupa
 Cień padł do sali i stoi na nogach,
 Nie oddychając? — O! precz — widmo białe
 Zarżniętej —

(Cień znika.)

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Jaka woń malin! czujecie?

DRUGI ZE SZLACHTY.

Powietrze pełne malin —

BALLADYNA, padając.

O! umieram!

KOSTRYN.

Wody! — hej wody! ja szaty rozdieram!
 Lejcie tu na pierś — niech służebne wnijdą.

(Wchodzi kobiecy.)

Wynieście panią —

(Wynoszą Balladynę.)

Raczie wstać od stołu —
 Pochodnie gasną! — Napelnia ohydą
 Ten stół splamiony, resztki chleba, wołu.
 Czy chcecie rzucać ogryzione koście
 Wzajem na siebie, jak czynią Duńczycy?
 Proszę do komnat. — Wy, stoły wynieście;
 Wy z pochodniami poprzedzajcie króla,
 Gdzie dlań usłano w przybocznej wieżycy
 Łoże puchowe. — Jutro się rozhula
 Zamek i będzie wesoły jak wczora.
 Lecz na dziś dosyć! — Panowie, spać pora!
 Proszę porzucać puhary i ławy — (na stronie.)
 Jak ciężko Lachy odpędzić od stawy
 I od napoju — wiszą by pijawki
 Na ustach dzbanka, przy muzyce czkawki!
 (Podczas tej mowy wynoszą stoły. Grabiec wyprowadzony przez służbę z pochodu, za nim wszyscy biesiadnicy. Kostryn wychodzi ostatni.)

SCENA II.

(Las przed celą pustelnika, Burza. Pustelnik i Kirkor.)

KIRKOR.

Chroń się starcze do celi, burza tobie z głowy
 Okradnie siwe włosy. Ludzie i zdarzenia
 Kradną — złodziej płaszcz zedrze, a nędza koszulę —
 Trzeba wszystkiemu zbrojną ręką się opierać.
 Lecz smucisz się zawczasem — bo ja ci przysięgam,
 Że zginę, lub skradzioną koronę odzyskam!
 Oto choć bliski domu, mógłbym za godzinę
 Z ust żony pocałunków tysiąc wziąć na drogę,
 I napić się jak ptaszek, w różanym kielichu,
 Dziwiąc rosy perełki: wolę tej roskoszy
 Zaniechać, a do Gniezna zaleciawszy nocą,
 Lud zebrać i obwieścić wszystkiemu gminowi,
 Jakoś ty dziedzic prawy, bezecną kradzieżą
 Dobra twego postradał. Potem zaś trębaczom
 Każę głosić po kraju i mieście, że kto się

SŁOWACKI. III.

O tron Lachów zgłaszając, pojawi na zamek,
 Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
 Temu ja fałsz zarzucam; takiemu na czole
 Mieczem wypiszę słowo zasłużone: «złodziej». —
 Módl się więc za mnie starcze, aby mi Bóg żywy
 Dał zwyciężyć na szrankach — i czekaj z powrotem.

PUSTELNIK.

Niech cię Bóg błogosławi!

KIRKOR klaszcze, wchodzi żołnierz.

Wsiadać na koń! lotem —

Trzeba spieszyć do Gniezna.

(Rycerz wychodzi.)

PUSTELNIK.

Słuchaj! ja ci radzę —

Wróć do zamku, odetchnij, po dalszej rozwadze
 Obaczysz co przedsięwziąć.

KIRKOR.

Ja starzec, leniwy,

Dzisiaj odrobić chcę całą pańszczyznę;
 A odrobiwszy całą, żyć szczęśliwy
 Z drogą małżonką. Całą ci ojczyznę
 Włożę na barki, a gdy będziesz dźwigał
 Rzeczy i ludzi, to ja się zakopię
 W zamku spokojny. — Niechby mi dościgał
 Sad owocowy — niechbym małe chłopię,
 Dzieciątko moje na rękach kołysał — —
 O to się modłę! — Ty mi zaś co roku
 Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
 Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
 Biały gołąbek i pod skrzydełkami
 Przyniesie powieść, pełną tych wielkości,
 Co budzą uśmiech i sen pod lipami
 Dają smaczniejszy. Król mi pozazdrości
 Żony i dziecka, i lipy, i chłodu,
 I snów pod lipą, i złotego miodu. —
 Żegnaj mi! żegnaj: Nim słońce zaświeci,
 Będę w stolicy. — Hop! hop! na koń dzieci!

(Kirkor wychodzi. Słychać tentent oddalających się.)

PUSTELNIK, sam.

O Boże! Boże! Wołę, niech do Gniezna wraca,
Niżby miał do tych piersi szlachetnych przycisnąć
Krwawą swoją małżonkę. Bogdajbyś ty nigdy
Nie znał Kirkorze, z jakiej matki się urodzą
Dzieci twoje. Bogdajby za pierwszą nagrodę
Bóg uczynił cię wdowcem, nim ojcem uczynił!

(Słychać głos wdowy.)

WDOWA, za sceną.

Biedna ja — biedna!

PUSTELNIK.

Co to za wołanie

Tak pełne płaczu?

WDOWA, za sceną.

O biedna ja, biedna!

(Wdowa wchodzi, jak ślepa, szukając drogi ręką.)

PUSTELNIK.

Jakaś kobieta jak łachman, w łachmanie,
W noc tak okropną, ślepa, sama jedna!

(Do Wdowy.)

Skąd moja matko?

WDOWA.

Matko! O na Boga!

Tak nie nazywaj, córko niegodziwa!

Matka? Psia matka!

PUSTELNIK.

Skąd idziesz uboga?

WDOWA.

Ja nie uboga — siwa, siwa, siwa
Jak gołąbeczek! Nie wiesz co się stało?
Grafini moja córka, wielka pani,
A ja na wietrze z głową tak białą —
Mówię piorunom: bijcie, bijcie we mnie!
I nie chcą słuchać! — A w zamku zebrani
Pijaki sobie winszują wzajemnie,
Że córka moja pije, wielka pani — —
Czy ty rozumiesz? Ma zamek i wieże —
Grafini —

PUSTELNIK.

Jak się córka twoja zowie?

WDOWA.

Zowie się córką. Ale ja nie wierzę,
 Ażeby ona miała oczy w głowie,
 Oczy co płaczą. — W taką zawieruchę!
 W takie pioruny, na deszcz wygnać matkę!
 Co ją karmiła, co piersi ma suche,
 Starością suche — a włos taki biały,
 Jak co świętego!

PUSTELNIK.

Chodź pod moją chatkę,
 Ty drżysz od zimna! chodź!

WDOWA.

I zamek cały
 Do niej należy, wielki jak pół świata —
 Widzisz! — Grafini!

PUSTELNIK.

Chodź!

WDOWA.

Tu będę czekać.
 Czy córka moja wie, gdzie twoja chata?
 A kto wie? Może jak pies zacznie szczekać
 Na jaki łachman, to wspomni o matce.
 I każe szukać po świecie. — Być może!
 Wszak Bóg ma litość?

PUSTELNIK.

Chodź! przepłaczesz w chatce

Tę noc burzliwą, a gdy błysną zorze,
 Ja cię powiodę do wielkiego króla;
 Do nóg się rzucisz, błagając o litość
 I — —

WDOWA.

Powiem jemu — ja biedna matula
 Do nóg się rzucam. (Klęka.) Królu! złoty panie!
 Każ córce, która ma złota obfitość,
 Niechaj mię kocha! (Wstaje.) A król z tronu wstanie
 I zaprowadzi mię do serca córki! —

O! o! o! (Płacze.) Wiesz ty? — za szkaplerza sznurki
 Wieszalam się na sosnie skrzypiącej — za gardło —
 Drzewo się ułamało — — — — —!
 Głupia — ślepa! — wybrałaś gałąskę umarłą,
 Gałąskę — córkę drzewa. — Żelazna gadzino!
 Nie zlitowałaś się ty nawet matki wdowy?
 A jabym żyła chleba okruszyną
 W twoich pałacach! — Niechby twoja ręka,
 Sypiąc gołąbkom w trawę żer perłowy,
 Nie odganiała od pszenic ziarenka
 Zgłodniałej matki — — Wygnać w las! na burzel!
 Wypędzić matkę! — Upadłam w kałużę,
 I grom czerwony wyjadł z powiek oczy —
 Wyjadł do szczętu! —

PUSTELNIK.
 Oślepaś?

WDOWA.

Mózg toczy —
 Okropna ciemność. Miałam przed wieczorem
 Tyle światłości, że mogłam za borem
 Rozróżnić białe słońce od księżyca!
 A teraz — —

(Błyska.)

PUSTELNIK.
 Jakto? i ta błyskawica
 Nie świeci tobie?

WDOWA.

Wzrok ludzi nie strzeże
 Od Boga ręki! — Co mi dziś po wzroku?
 A wiesz ty? — wiesz ty, że ja teraz wierzę,
 A nie wierzyłam dawniej — że co roku
 Ptaszki jaskółki, nim pójda na morze,
 Stare, zgrzybiałe, biedne matki duszą?
 Tak, tak, tak — ludzie prawdę mówić muszą — —
 Zebrząc po świecie, piosenkę ułożę!
 Groszową piosenkę o jaskółkach czarnych,
 Co duszą matki — proszę! w ptaszkach marnych

Taka nielitość! — wygnać matkę starą,
Głodną, na cztery wichry, targające
Za siwe włosy!

PUSTELNIK.

Pocziwych tysiące

Padają na tym świecie złych ofiarą.
Gdybym ja ciebie wziął za nieszczęść świadka?

WDOWA.

To i ty matka — i ty także matka?
Nie pójdę z tobą, bo się będziem kłócić
O piękność imion naszych córek — moja!
Ach! gdybys ty mię z grobu chciał ocucić!
Wołaj: Bładina! — Pójdę szukać zdroja
I pić jak wróble, zadzierając główkę
Do Pana Boga — dzięki mu — dał wody!

(Śpiewa, mrużąc.)

Stara miała jedną krówkę,

I chacingę i ogrody,

I dwie córki — —

(Odchodzi w las.)

PUSTELNIK.

Po całym kraju szukać każę
Tej matki — i okropny sąd wydam na dziecko.
(Odchodzi do celi.)

SCENA III.

(Noc — błyska. — Sala bez światła w samku Kirkora. — Skierka i Chochlik wychodzą ze drzwi, któremi wyprowadzono po uciecie Grabka.)

SKIERKA.

Nasz pan usnął tam na wieży
I śpi głęboko; ja lecę,
Nim się ta burza uśmierzy,
Kąpać się w błyskawicach.

CHOCHLIK.

Ja wyprawiam hecę
W stajni, gdzie nad wrotami nie przybito sroki.
Czy wiesz, że na tej wieży puhacz jednooki

Zaprosił mię na ucztę; będzie patrzył krzywo,
Jeśli pogardzę udem zadziobanej myszy.

SKIERKA.

Ja matkę bociana siwą
Lecę nakarmić: nie słyży
Na prawe ucho i ślepa!
Wczoraj od chłopskiego cepa
Uratowałem niebogę. —
Polecę, czekać nie mogę.
W taką burzę biedna stara
Może z przestrawu umarła.

CHOCHLIK.

Co to za stuk?

SKIERKA.

To burza drzwi zwarła.

CHOCHLIK.

Cyt! — ktoś idzie — —

SKIERKA.

Jakaś mara

W bieli — — Przez okno wylecę.
(Wylatuje przez okno.)

CHOCHLIK.

Za nim! na koniach w zamku wyprawować hecę!
(Wylatuje.)

SCENA IV.

(Sala taż sama.)

BALLADYNA, sama.

(Wchodzi w nocnym ubiorze, z nożem w ręku.)

Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie — wzięłam.
W koszuli — wstyd! — Gdyby cię kto zobaczył
W koszuli, z nożem w ręku? Jak tu ciemno! —
(Idzie ku wieży.)

Cyt! — jakiś szmer! — Wiatr mi zagasił świecę! —
To przywidzenie — nic nie słytać, zamek cały
Głęboko śpi. — Lecz jeśli śpi ten człowiek

Z otwartą tak powieką? — To co? to co?
 Jeżeli dziś nie zrobię rzeczy, jutro
 Żałować będę — wiem, żałować będę!
 Wiatr zamknął za mną drzwi, a ja myślałam
 Że jaki ciemny duch zamykał za mną;
 I dotąd nie spojrzalam w tamtą stronę,
 Jakbym się bała spotkać z czem okropnem.

(Ogląda się.)

A widzisz! nie ma nic — nic nie ma. Ciemna
 Powietrze, mgła — żadnych nie widać mar.

(Błyska się.)

Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była
 Błyskawica czerwona! — Jak wszystkie ściany
 Widziałam białe! — Cyt! — Nie słyhać nic?
 Spiesz się! — Lecz jeśli żar błyskawic lunie
 Na moją twarz, gdy będę z nożem stała
 Nad nim? — To co? — Ogień pokaże tobie
 Miejsce, gdzie masz uderzyć! — O błyskawice!
 Stwórzcie czerwony dzień na łonie nocy —
 Bądźcie mojego czynu słońcem! — Idę!

(Wychodzi na wieżę.)

SCENA V.

(Sala taż sama.)

KOSTRYN, wchodzi zbrojno, z dobytym mieczem.

Drzwi otworzone. Teraz mię fortuna
 Prowadź i pomóż ze złotego cielca
 Jak Jazonowi złote obciąć runo!
 A ja przysięgam, że choć syn wisielca,
 Będę na tronie jako syn książęcy,
 Dziś sługa gorszych, jutro pan tysięcy,
 Lepszych odemnie. — Cyt! — To puhacz huczy
 Na wieży zamku. — Idźmy na drabinę —
 Wszystko gotowe! Mam pęk cały kluczy
 Od bram zamkowych, płachtami obwinę
 Konia podchowy — i z ową koroną

W pochmurnej nocy jak duch czarny zginę!
 A co nad wszystko — z cudzołożną żoną
 Rozbrat na wieki! — O szatanie, prowadź!
 (Chcę iść na wiekę i we drzwiach spotyka się z powracającą Balladyną.)
 Kto to?

(Cofa się z przestrachem.)

BALLADYNA.

Ja.

KOSTRYN.

Sama? — w ciemnościach? — co znaczy?
 Słyszałem jakiś jęk — siedłem ratować — —

BALLADYNA.

Przynies mi światła: niech światło zobaczy,
 Jak ja okropnie muszę być czerwona!
 Skończyłam! — Kogo ty ratować chciales?
 Już zdaje mi się że ta burza kona —
 Ustało błyskać. To i ty słyszales
 Ten jęk okropny? Aż tu było słyhać?
 To! dziwnie! kiedy przestawał oddychać,
 Raz westchnął. — Idź ty po światło, Kostrynie,
 Idź na dół!

(Kostryń wychodzi.)

Dziwnie krew pachnie odemnie!
 Stało się — stało! Teraz nadaremnie
 Żalować rzeczy. Stało się — przeminie —
 Z nas wszystkich kiedyś będą takie trupy.
 Świecy! — Mój cały zamek za błysk świecy!

(Kostryń wchodzi bez światła.)

KOSTRYN.

Wszystko śpi w naszej ceglanej fortecy,
 Nawet zagasły latarniowe słupy
 Przy bramie zamku. Czy służbę rozbudzić?

BALLADYNA.

Nie budź nikogo; musiałam zabrudzić
 Ręce po łokieć. Dziwną pachnę wonią.

KOSTRYN.

Wzięłaś koronę?

BALLADYNA.

Nie — stój! pójdę po nią —
Ja się nie lękam! Wiem gdzie stoi łoże.

(Balladyna wychodzi na wieżę.)

KOSTRYN.

Straszna odwaga! — Omal tobie Boże
Nie podziękuję, że mi ona kradnie
Czyn ten okropny. — Chciałbym na jej czole
Zobaczyć, jaką barwą lwica bladnie.

(Balladyna wraca bez korony)

BALLADYNA.

Próżno w ciemnościach macałam po stole,
Ten stół miał jakieś rysy zimnej twarzy.
Może to nie był stół — —

KOSTRYN.

Ty stój na straży,

Ja pójdę szukać.

BALLADYNA.

Stój! — Nie idź! — Wszak ja się
Nie lękam siebie — nawet nie żałuję!

(Kostryn wychodzi na wieżę.)

Ja wiem że zwykle Lachom żal po czasie,
Zawraca głowy i sen cichy truje.
Może się teraz trup czerwony snuje
Przed ludzi śpiących oczyma, a oni
Przez sen żegnają krzyżem cichą marę.
Schodzi po wschodach — jak te szczeble stare
Trzeszczą!

(Do Kostryna, który wchodzi z koroną.)

Znalazłeś? — Ty coś trzymasz w dłoni!

KOSTRYN, ponuro.

Tak.

BALLADYNA.

Daj! — Nie! nie! nie! — Nie zbliżaj się do mnie,
Bo będę wołać ratunku od ludzi.
Stój tam!

KOSTRYN.

Co znaczy? Mówisz nieprzytomnie!

BALLADYNA.

Stój tam! bo krzyknę, zamek się obudzi —
 Stój tam z daleka! aż w tobie przeminie
 Ta myśl! — W powietrzu ją czuć! — O Kostrynie!
 Chciałeś mię zabić! serce twoje było
 Głośno, jak moje bije, gdy zarzynam!

KOSTRYN.

Jeślim to myślał, na wieki przeklinam
 Ów zakąt mózgu, gdzie się urodziło
 Szalone dziecko.

BALLADYNA.

Chodź tam do komnaty,
 A namówimy się po cichu razem,
 Co jutro czynić.

(Rozwidnia się nieco.)

KOSTRYN.

Doniosły mi czaty,
 Że Kirkow wrócił do Gniezna, żelazem
 Grożąc takiemu, coby się z koroną
 O tron upomniał.

BALLADYNA.

To nic — będę miała
 Ludzi i miecze — a za moją stroną
 Będzie ta tłuszcza ludzi omal cała,
 Karmiona w zamku. — Kirkor nie poskromi
 Złotego deszczu! — Cyt!

KOSTRYN.

Nic — to na dworze
 Wróble świegocą.

BALLADYNA.

Jakto? już dzień? — Boże!
 Jak biała światłość! Mdło mi! mi! mdło mi!

KOSTRYN.

Idź! prześpij szarą godzinę poranku,
 Ja sam obudzę, gdy słońce zaświeci.
 Staniesz w rycerzy uzbrojonych wianku —
 Jakoś to będzie — wojsko nam się skleci --
 Daj klucz od skarbu, będę mierzył garncem
 Przekupne złoto!

BALLADYNA.

Skończ także ze starcem,
Co mieszka w celi — a nas tylko dwoje
Będzie wiedziało.

KOSTRYN.

Ty ciężarna — troje —

BALLADYNA.

Jak to! i dziecko noszone w żywocie
Będzie wiedziało? — Idź! — w biednej istocie
Nieurodzonej taka tajemnica!
Ty się najgrawasz? Jeśliby tak było,
Jak ty powiadasz — czy ja szalenica,
Porodzić żywe? Lecz nie — będzie żyło! —
Dziecko nic nie wie — —

KOSTRYN.

Niechaj moja lwica

Spać się położy — i zbudzi się świeża
Do nowych czynów, w przyłbicy rycerza.

(Wychodzą.)

A K T V.

SCENA I.

(Poranek na leśnej łące. — Skierka i Chochlik.)

SKIERKA.

Jak po burzy ranek świeży!
Byłem u matki bociana
I nakarmiłem —

CHOCHLIK.

Ja na zamku wieży
Ucztowałem u sowy. Gdzie pani Goplana?

SKIERKA.

Znów polecę po rozłogach,

Polecę łąką i borem;
 Kwiatki postawię na nogach,
 Rozczeszę żyto na grzędzie —
 Zatrzymam się nad jeziorem,
 Zawołam: labu! labusie!
 I dwa Goplany łabędzie,
 Po wód błękitnym obrusie,
 Przyłyną do mnie z ajeru.
 Garsteczką złotego żeru
 Śnieżne ptaszęta przysypię:
 I znów lecę pod leszczynę,
 Gdzie łania Goplany szczypie,
 Błyszczącą deszczem, krzewinę --
 I tęczę nad nią zawieszę,
 I róże nad nią rozwinę,
 I znowu dalej pospieszę
 Na skrzydłach babki, konika! —

(Przypływa tuman mgły rannej, oświecony tęczę; z pod bramy kolorów
 wychodzi Goplana.)

GOPLANA.

Chodźcie mię uściskać aniołki,
 Bo Goplana na wieki wam znika.
 O! zapłakane fijołki,
 Róże moje, bądźcie zdrowe!

SKIERKA.

Co ty śpiewasz?

GOPLANA.

Niestety! niestety!
 Piosenkę pożegnania!

SKIERKA.

Jeszcze oczerety
 Nie gną się od jaskółek, jeszcze dnie wiosnowe!

GOPLANA.

Polecę w okropną krainę,
 Gdzie sosny i śniegi sine,
 Gdzie słońce jak gasnący żar;

Gdy księżyc jak twarz tych mar,
 Co z grobu wychodzą na smętarz.
 Anioł kar za mną popłynie,
 Krzycząc mi w duszy: «Pamiętasz
 O róż i malin krainie?»
 Bądźcie zdrowi? bądźcie zdrowi!
 Poplątałam ludzkie czyny
 Tak, że Bogu mścicielowi
 Trzeba wziąć grom i upuścić
 Na ludzkie dzieła i winy.

SKIERKA.

My cię nie chcemy opuścić —
 Goplano! Goplano! Goplano!

GOPLANA.

Puszczajcie biedną, wygnaną —
 Kiedyś wam o mnie zaśpiewa
 Piosenkę obca ptaszyna,
 Usiadłszy na gałęsce płaczącego drzewa!
 Bądźcie zdrowi, moja wina,
 Że wygnana w północ leczę!

CHOCHLIK.

Jeszcze ci w drodze poświęcę,
 Jak hajduk biegnąc z ogniskiem.

GOPLANA.

Dziś długim związane szykiem
 Na północ lecą żorawie —
 Uczepię się tego wianka,
 I w powietrzu się przeplawię,
 Jak biedna dziewic równianka
 W błękitne rzucona fale!

SKIERKA.

O biada! biada! o biada!

GOPLANA.

Próżne żale! próżne żale!

(Pokazuje w głąb sali.)

Tam szarfa żorawi spada
 Na łąki błyszczące rosą —

Gdy się zórawie podniosą,
 Uchwycę się szarfy końca
 I w błękit polecę błada!
 Błada jak miesiąc od słońca,
 Lekka jak liść, co opada.
 Lecz nad mury Gnieźnieńskimi
 Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi! —
 (Wychodzi. — Skierka i Choehlik lecą za nią.)

SCENA II.

(Pod murami Gniezna wał. — Kirkor z dobytym mieczem, ze skrzydłami orlemi na barkach, wchodzi na czele wojska. — Chorągwie rozwinięte — trąby grają.)

KIRKOR, do rycerzy.

Człowiek, co się o berło Lachów upomina,
 Nie chciał wystąpić w szranki — jak podła gadzina
 Kryje się, a zebrawszy, co mówię! ten podły
 Obietnicami, złotem, zakupiwszy sobie
 Mnogich stronników — rycerz z nieznanemi godły,
 Walką chce tron owładać i na moim grobie
 Stanąć, jako na pierwszym szczęblu królowania!
 Mnodzy rycerze nasi — niech nas Bóg ochrania
 Od takiego szaleństwa i takiej ślepoty! —
 Mnodzy nasi rycerze przeszli pod namioty
 Jasnego oszukańca! — Lesz Bóg patrzy z nieba
 W serca ludzkie! Nam zdrajców przekupnych nie trzeba! —
 Skoro przybędzie Popiel, po którego w lasy
 Posłałem trzech rycerzy, z orlemi hałasy
 Rzucimy się na złoty obóz samozwańca.

(Do rycerzy stojących na murach.)

Wy, zamykajcie bramy! — Niech z każdego szańca
 Na pole walki patrzą mnogie samostrzały!
 Gdybym ja przegrał, zginął, to jeszcze te wały
 Długo bronić się mogą — — Niech wam siwe głowy
 Przypomną w chwili strachu, że mur południowy
 Najślabszy, że tam trzeba postawić mur ludzi.

Ale da Bóg, że miasto jutro się obudzi,
Wolne od zgrai łotrów!

RYCERZE.

Zwycięzysz Kirkorze!

KIRKOR.

Jeśli Bóg da — ah, kiedy ja przyłbicę złożę?
Kiedyż wrócę do żony? Kiedyż ujrzę koniec
Krwawym sprawom królestwa i rozbojom! —

PIERWSZY Z RYCERZY.

Goniec!

(Wchodzi goniec kurzawą okryty.)

KIRKOR.

We trzech wysłani w bory nie przyprowadzacie
Pustelnika Popiela?

GONIEC.

Okropność — —

KIRKOR.

Czy w chacie

Nie znaleźliście starca? — Mów, walka nas czeka!

GONIEC.

W celi nie było starego człowieka;
Lecz na skrzypiącej gałęzi przed chatką
Trup jego wisiał na grubym powrozie —
Z białemi włosy i podartą czapką
Wicher się bawił i trupa kołysał,
Jak stara mamka!

KIRKOR.

Trąbić po obozie

Hasło do walki! — Los jemu dopisał!
Do śmierci gonił nieszczęściem — i zabił
Nieznaną ręką. — Serceś mi osłabił
Twoją powieścią! Spraw się dobrze w boju! —
Mówisz że wisiał?

GONIEC.

W pustelnicznym stroju

Wisiał przed chatą. Na nieszczęsnym drzewie
Wrona krakała — —

KIRKOR.

Idźmy! niech w powiewie
 Tańczą chorągwie! — Idźmy — ścisnąć szyki!
 Nadzieja w męstwie. — Niech zaczną łuczniki! —
 (Wychodzi z wojskiem.)

SCENA III.

(Namiot Balladyny. — Kostryn i Balladyna w zbrojach, z hełmami
 zapuszczonemi wchodzą na scenę.)

KOSTRYN.

Zostań w namiocie, nie wychodź na pole,
 Bo jak przeczuwam wkrótce Kirkorczycey
 Walkę rozpoczną. Obóz jego w dole,
 A nasz na górze jak gniazdo orlicy,

BALLADYNA.

Wiele dusz stanie za chwilę przed Bogiem —

KOSTRYN.

Gdzie młóca żyto, tam plewy z omłotku
 Lecą pod niebo. Stój za gumna progiem
 I nie rozplątuj znów na kołowrotku
 Szczero-sumiennym, zaplątanych pasem
 Dziwnej przeszłości.

(Wchodzi żołnierz.)

ŻOŁNIERZ.

Z okropnym hałasem
 Idą do boju szyki Kirkorowe.

KOSTRYN.

Królewiczatko moje, bądź mi zdrowe!

BALLADYNA.

Czy zwyciężymy?

KOSTRYN.

Siedź pani w namiocie.
 Niechaj cię próżność nie prowadzi w złocie
 Na oczy słońca i na łuków żądla.
 Bogdajbyś cicho śpiewała i prządła
 Szatę królewską, lub śmierci koszulę;

To, albo drugie, pewnie ci się przyda. —
 Ha ha! z proc lecą ołowiane kule —
 Patrz jak kolczate. — Hej! giermku! gdzie dzida?
 I tarcza moja.

(Bierze tarczę i dzidę z rąk giermka i wychodzi.)

BALLADYNA, sama.

Jeżeli zwycięży

Jak mu nagrodzę? w ziemi całej łonie
 Nie znajdę kruszczu na zalanie gardła
 Temu Niemcowi. Lecz jeżeli przegra?
 Jeżeli przegra, to się wszystko skończy
 Chwilą okropną! wszystko się rozwiąże,
 Jak straszna bajka jakiej czarownicy! —
 Przegrała, w piersi przebiła się nożem,
 A nóż zatruty był jadem gadziny —
 Gdzie ta kobieta? Obaczyłam w lesie
 Babę podobną do roztrzaskanego
 Piorunem dębu — kazałam potworze
 Z krukami śmierci gonić za obozem
 I przynieść jadu czerpanego z węży.

(Stara kobieta w zachmanach wchodzi, podnosząc zasłonę namiotu.)

Jesteś?

STARA.

Przyniosłam rożek ludomoru.

BALLADYNA.

Daj — i uciekaj do ciemnego boru,
 Uciekaj, mówię, stara czarownico!
 A spróbawwszy na kim tego jadu
 Zapłacę tobie — precz, bo cię pochwyć,
 Rycerze moi i na rzece splewią.

(Stara kobieta ucieka.)

Okropna jędza! — Włos, by gniazdo gadu
 Wisi w postronkach! a oczy się krwawią
 Jak zęby wilcze obroczone w ścierwie! —
 Nóż ten zatruty piersi mi rozerwie,
 Jeżeli w ręce męża wpadnę żywa,
 I serce moje bijące ukąsi
 Jak żądło osy. Już po jednej stronie

Jadem zmazany, okropnie poczerniał,
I zrumieniał się rdzą, pozieleniał:
A druga strona jeszcze nie dotknięta
Śliną węzową, czysta, jak tasaki
Świeżo na krętym brusie pociągnione. —
Co słyhać?

(Wchodzi żołnierz.)

ŻOŁNIERZ.

Panie! wszystko zawichrzone
Na polu walki jak w burzliwej chmurze.

BALLADYNA.

Czy przegrywamy?

ŻOŁNIERZ.

Na szanówcej górze
Gdzie rosną brzozy nad źródłem, widziałem
Grafę Kirkora — otoczony wałem
Zabitych ludzi — trzyma się i siecze
Jasną sierkierą —

BALLADYNA.

Z czemżeś ty człowiecze
Do mnie przysłany?

ŻOŁNIERZ.

Donoszę ci Książę,
Że dwieście ludzi przekupionych wczora,
Przeszło na polu z szeregów Kirkora
Ta stronę naszą. Jeśli się rozwiąże
Na lewem skrzydle łuczników gromada,
Kupiona złotem! pole będzie nasze! —

BALLADYNA.

Jeszcze nie przeszli? — opieszala zdrada
Gorsza niż wierność. — Idź w bojową kaszę
Z łyżką żelazną — jeżeli w nią wpadnie
Głowa jakiego wodza — będziesz panem —
Rozumiesz? Można po za góry snadnie
Podejść — zaskoczyć na plecy czekaniem
Ciąg w łeb stalowy. — Idź — bić — i zabijać.

(Wchodzi drugi goniec.)

GONIEC.

Lewe się skrzydło zaczęło rozwijać
I pierzchać w Gniezno — wkrótce walki koniec! —
Przy nas zwycięstwo! —

BALLADYNA.

Dobrej wieści goniec
Niech ma zapłatę. — (Daje pieniądze.) Czy wódz wrogów wzięty?

GONIEC.

Widziałem sztandar Kirkora — zatknięty
Na małym wzgórk, gdzie rosną trzy brzozy;
A trupów szaniec urósł tak wysoko
Okolo niego, że my, pełni zgrozy,
Ani wziąć wodza mogliśmy na oko,
Ani przestąpić umarłego wału.

BALLADYNA.

Jeżeliś pełen męstwa i zapalu,
Jeśli chcesz kiesy po wierzch pełnej srebra;
Idź na ten wzgórek, niech ci trupie żebra
Będą drabiną, postronkami włosy.
Idź i zabijaj! — (Słychać okrzyki.) Co to są za głosy?
(Kostryn wchodzi zbrojni i krwią pomazani.)
A Kirkor?

KOSTRYN.

Zginął —

BALLADYNA, chowając nóż zatruty po jednej stronie.

Miałam nóż gotowy —
Winnam ci życie. Naczelników głowy
Niech kat pościna. — Idź! wydaj rozkazy —
(Kostryn wychodzi.)

GŁOSY ZA NAMIOTEM.

Niech żyje wódz nasz Fon Kostryn!

BALLADYNA.

Niech żyje

Wódz wasz Fon Kostryn — powtarzam wyrazy
Jak głupia sroka! — Rzucę się na szyję
Niemca — węzłem pocałunków zduszę.

(Kostryn wprowadza poselstwo ze stolicy. — Jeden z obywateli niesie na tacy złotej chleb i sól.)

KOSTRYN.

Oto poselstwo z poddanej stolicy.

BALLADYNA.

Kazałeś wieszać?

KOSTRYN.

Pierwsi buntownicy

Już zgromadzeni pod maćkową gruszę;

A ta się cieszy że dosiego roku

Dwa razy będzie nosiła owoce —

BALLADYNA, do poselstwa miejskiego.

Czego wy chcecie?

(Posłowie klękają.)

POSEŁ MIEJSKI.

Aniele z obłoku!

Do ciebie serca narodu sieroce

Wznoszą się wszystkie — ty bądź kraju panem!

Stolica całym zniżona kolanem,

Czeka na ciebie z otwartymi bramy.

Witaj więc! witaj miły hospodynie!

Serca i skarby i wszystko co mamy,

Pod nogi twoje strumieniem popłynię,

Boś już zasłużył na wdzięczność narodu,

Skaraniem hersztów którzy nas uwiedli.

Ci nas mękami, karą miecza, głodu,

W mieście trzymali; a nasze zaś serca

Ciebie szukały! — Obyśmy dowiedli

Że między nami żaden przenvierca

Na gniew twój wielki, panie, nie zasłużył! —

Obyś żył długo, obyś skarbów użył;

Obyś nieszczęsną przyciśnionych dołą

I tu przed tobą klęczących na prochu,

Przyjął łaskawie! — Chlebem cię i solą

Witamy panie —

BALLADYNA.

Czy z tego motłochu

Żaden przeciwko mnie nie nosił broni?

KOSTRYN.

Dwóch językami walczyło po mieście,

Lud mamawiając bo boju —

BALLADYNA.

Gdzie oni.

KOSTRYN, wskazując.

Pan Burmistrz «Kurjer i Pismo.»

BALLADYNA.

Powieście!

Obu rycerzy burmistrzów na dzwonie
Wieży zamkowej.

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Panie! w twojem łonie

Kamienne serce.

BALLADYNA.

To wreszcie, to wreszcie

Na wasze prośby ułaskawiam obu.

Wybić in zęby i wylamać szczęki

Niechaj nie walczą —

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Więc nie ma sposobu

Ułagać ciebie przez łzy ani jęki,

Żelazny panie nasz?! —

BALLADYNA.

Jestem kobietą.

(Widząc, że się cofają z przerażeniem.)

Cóż to? cofnęli się jak od zarazy? —

I znów jak wiatrem kołysane żyto

Biją głowami?

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Na twoje rozkazy

Czekamy pani — panuj z ludu wołą!

BALLADYNA.

Bez ludu woli. — Dajcie mi chleb z solą.

Posłowie! ufam drożdżom tego ciasta —

Chodź tu Kostrynie. Winnam ci tak wiele,

Że ci połowa zdobytego miasta,

Połowa kraju — i chleba połowa

Słusznie należy —

(Wyjmuje nóż zatruty po jednej stronie i rozcina na dwoje chleb)

Wszystkim się podzielę —

A serce weźmiesz całe!

KOSTRYN, kłękając.
O! królowa!

BALLADYNA, kosztując chleb, widzi że Kostryn je podaną sobie połowę.
Czyni co ja czynię! — Nie lękam się jadu
W chlebie poddanych. Choćby zamiast żyta
Użyli łusek żelaznego gadu,
Smaczną ci będzie żelazem zdobyta
Bułka. — Jedz, proszę — trzeba ludziom wierzyć.
A teraz każcie z tryumfem uderzyć
W trąby zwycięskie! — Idźmy wojownicy
Do otworzonej żelazem stolicy.

(Wychodzi oparta na Kostrynie; za nią posłowie i lud.)

SCENA IV.

(Sala królewska w Gnieźnie — tron w głębi. — Kanclerz u stóp tronu. Pa-
nowie państwa. Wawel dziejopis. Pał. Dwór.)

KANCLERZ.

Wszystko gotowe na przyjęcie pana.
Zasiądźcie teraz ławy po urządzie:
Przy samym tronie wodzowie i sędzie,
Szafarze zboża, dolewacze dzbana —
Niech wszystkich razem nowy król powita.

(Wchodzi Goniec.)

GONIEC.

Świetny urządziel wieść przynoszę ważną,
Nasz król, pan nowy — kobieta! —

KANCLERZ.

Kobieta?

WSZYSCY.

Królem kobieta!

KANCLERZ.

Niech będzie odważną
Jak była Wanda — niech tak dobrą będzie,
Ale szczęśliwszą.

(Goniec drugi wchodzi.)

GONIEC.

Prześwietny urządziel!
Królowa weszła już do bram stolicy.

KANCLERZ.

Każcie niech wszystkie serca na dzwonnicy
Biją dzień cały, tak jak serca ludu.

PIERWSZY Z PANÓW.

Wieszczbiarz nie może wytłómaczyć cudu,
Co się ukazał dzisiaj narodowi —
Lud niespokojny — —

KANCLERZ.

Co za cud?

PIERWSZY Z PANÓW.

Nad opis.

Jeżeli chcecie to go wam opowie
I w księgi wpisze, szlachetny dziejopis
Królów na Gnieźnie.

KANCLERZ.

Przemądry Wawelu

Czy sam widziałeś?

WAWEL.

Co widziało wiedu

Mogę poświadczyć jak świadek naoczny.
Dnia tego, ranek był po stronach mroczny,
Lecz się wyjaśnił ku wschodowi słońca.
Więc ja widziałem prawie sam — od końca
Niebios, skąd błyszczy gwiazda Oriona,
Wyleciał nagle sznur żórawi biały,
A na nim, wisząc za śnieżne ramiona,
Mglista niewiasta —

KANCLERZ.

I wszystko widziały

Twe własne oczy przemądry Wawelu?

WAWEL.

Nie ja widziałem, lecz widziało wielu!
Mogę przyświadczyć na rzecz z mego czasu.

PAŹ.

Ja sam widziałem z Goplańskiego lasu,
Za żórawiami lecącą dziewczynę.
Ta, na ostatnią orszaku ptaszynę
Padając, białe zawiązała rączki

Za szyję ptaka; a głową do ziemi
 Sypała włosów rozwite obrączki,
 Jasne jak słońce, i tak na warkoczul
 Gdy promieniami rozwiął się złotemi,
 Leżała — płynąc. —

KANCLERZ.

Trzeba dziecka oczu

Aby na szmatach niebieskiego płótna
 Obraz widziały.

(Ściemnia się jak przed burzą.)

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to? ciemność smutna

Na tron upadła, i nam na oblicza,
 Jak zaćmionego słońca tajemnicza
 Zieloność! — Bładzi staniemy przed panią! —

KILKU.

Okropna ciemność.

(Wychodzi strażnik z wieży.)

STRAŻNIK.

Nad blaszaną banią
 Królewskich zamków, skąd w niebo wytryska
 Igła złożona — okropne chmurzyska
 W koło się czarnym owinęły wiankiem,
 I coraz grubsze już wiszą nad gankiem
 Gdzie ustawiona muzyka królewska.
 A cała nieba równina niebieska,
 Jakby się z jednej urągała chmury.

KANCLERZ.

Bijcie we dzwony! —

STRAŻNIK.

Zono ma z purpury

Ognistej —

KANCLERZ.

Deszczu potrzeba — niech pada.

STRAŻNIK.

Na czarnym wozie jakaś jęzda błada,
 Stu żórawiami wywieziona z piekła,
 Wężami stado wędrujące siekła,

I kierowała nad zamek do chmury.
Siedzi w mgle teraz, ale jęk ponury
Piekielnych ptaków z mgły się wydobywał --
Słyszycie?

(Słychać jęk z wieży.)

KANCLERZ.

Prawda, jakiś jęk nieznan!

PANOWIE, zrywając się z ław.

Okropność! —

KANCLERZ.

Niech się żaden z ław nie zrywa.
A ty strażniku musiał być pijany,
I sam stworzyłeś wieść o czarownicy.

STRAŻNIK.

Ja sam widziałem i lud z okolicy,
I lud Gnieźnieński —

OKRZYKI za sceną.

Niech żyje królowa!

(Balladyna wchodzi w królewskim ubiorze, w koronie. Kostrya w zbroi. Lud.)

KANCLERZ.

Pani! niech będzie poświęconą głowa,
Co nam przynosi koronę Popielów! —
Witaj i panuj tak mądrze i szczerze,
Ażebyś z Bogiem do najświętszych celów
Lud prowadziła! — Przewiąż się na biodrze
Szatą czystości, czoło wznies do nieba.
Daj łaskę winnym — daj łaknącym chleba --
A wszystkim niechaj rządzi sprawiedliwość.

BALLADYNA, z tronu.

Cóż mam uczynić?

KANCLERZ.

Praw naszych gorliwość

O dobro ludu, stanowi oddawna:
Że król, nim siądzie do pierwszego stołu
Nim da spoczynek strudzonemu czołu,
Które uciska w dzień korona sławna:
Wprzód na ławie sędowniczej siada,
I rozwiązuje kryminalne sprawy.

BALLADYNA.

Niech się tak stanie jak wasze ustawy
Każą —

(Kostryn chwije się i pada.)

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to jest? wódz blednie i pada?

BALLADYNA, przystępując do leżącego Kostryna.

Co to się znaczny — słabo ci? —

KOSTRYN.

Umieram! —

BALLADYNA.

Panie mój! drogi!

KOSTRYN.

Precz, jędzo trująca!

Zrūćcie ją z tronu — ja pierwszy otwieram
Grobowiec ciemny dla ludzi tysiąca,
Co będą żyli pod nią —

BALLADYNA.

On w malignie —

Wynieś go! wynieś — ciało jego stygnie —
Niech lekarz jaki uzdrowi go, za to
Połową kraju zapłacę! —

LEKARZ.

Już skonał

(Wynoszą ciało Kostryna, lekarz idzie za nim.)

KANCLERZ.

Pani! okropną zasmucona stratą,
Znoś ją cierpliwie! — Bóg ciebie przekonał
Na samym wstępie u złotego tronu,
Że przy tych szczelbach stoi widmo zgonu
I czeka na nas —

BALLADYNA, do siebie.

Już przeszłość zamknięta

W grobach. — Ja sama panią tajemnicy! —

(Głośno.)

Każcie wojennym brańcom rozkuć pęta;
Zastawić stoły na rynkach stolicy,
I dawać co dnia dla żebraków strawę.

KANCLERZ.

Wdzięczność i słowa tobie —

BALLADYNA.

Ja o sławę

Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu
 Będę, czem dawno byłabym, zrodzona
 Pod inną gwiazdą. Życie pełne trudu
 Na dwie połowy przecięła korona.
 Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali,
 Którą po stronie jednej ośliniła
 Żmija — połowa jabłka leży zgniła
 I czarna jadem. Wyście mię nie znali
 Taką jak byłam — niech więc lud nie śledzi
 Przeszłości mojej. Wiecie com wyznała,
 A resztę wyznam księdzu na spowiedzi.
 Ha — jeszcze jedno — poszukajcie ciała
 Grafa Kirkora, między gęste trupy!
 I na ten wzgórek, gdzie już tylko słupy
 Brzóz obrąbanych mieczami się bielą,
 Zanieście mary z jedwabną pościelą! —
 Na tej pościeli przyniesiecie śpiące
 Zwłoki Kirkora — niech ludu tysiące
 Płacze przy marach tego, co z orężem
 Poległ mym wrogiem — a był moim mężem! —
 Zaprawdę mówię, ja po Grafie wdowa.
 Lecz niech nie roi bajek tłum gawiedzi:
 Co miała wyznać, wyznała Królowa,
 A resztę powie księdzu na spowiedzi.
 Teraz kanclerzu wywołaj przedemnie
 Zbrodniów — na pierwszym siedzę trybunale.
 Jeśli fałsz wydam, niechaj będzie ze mnie
 Gniazdo robaków! niech się ogniem spalę!
 Ani mię ujmie dobroć, ani trwoga,
 Ani odwodą ludzie, ani czarty! —
 Przysięgam sobie samej, w oczach Boga,
 Być sprawiedliwą —

KANCLERZ.

Woźni!

WOŹNI.

Sąd otwarty.

KANCLERZ.

Oto jest księga praw — oto Zbawiciel
 Na suchem drewnie krzyża rozpostarty
 Ucałuj księgę i krzyż —

WOŹNI.

Oskarżyciel.

(Staje lekarz zamkowy.)

KANCLERZ.

Ktoś jest? —

LEKARZ.

Królewski lekarz, *

KANCLERZ.

O co sprawa?

LEKARZ.

O jado-trucie.

KANCLERZ.

Na kim?

LEKARZ.

Na Kostrynie.

Twój wódz, o Pani można i łaskawa!
 Otruty skonał. — Wielki rycerz ginie
 Od jadu, co się zowie ludomorem.
 Na jego ciele żelaznym kolorem
 Wyszło tysiące plam — skonał otruty!

KANCLERZ.

Kogóż posądzasz?

LEKARZ.

Niech sąd szuka winnych.

BALLADYNA.

Zbrodniarz nieznan? odłożyć do innych
 Sądów tę sprawę. Niech ma czas pokuty!

KANCLERZ.

Zwyczajem kraju jest, Mościa Królowo,
 Wydawać wyrok choćby nad nieznanym,
 I zawieszony miecz trzymać nad głową
 Tajnego zbrodnia, aż będzie schwytanym,
 I da nam gardło —

BALLADYNA.

Są jednak zbrodniarze
Wyżsi nad wyrok, święci jak ołtarze —
Niedosiągnięni —

KANCLERZ.

Takich Bóg ukarze.
Do ciebie ziemski wyrok dać należy
Szczero-sumienny.

BALLADYNA.

Cóż wyrzekły prawa?

KANCLERZ.

Jeżeli który z szlachty i z rycerzy,
Trucizną gorzką na życie nastawa
Równego sobie i dopełni czynu,
To kara miecza. Jeśli zaś kto z gminu
Otrucie spełni —

BALLADYNA.

Dosyć! —

KANCLERZ.

Sądź Królowo.
Niechaj u ciebie mniej waży praw słowo,
Niż głos sumienia.

BALLADYNA.

Skończmy! — Otrawiciel

Winien jest śmierci —

KANCLERZ.

Na zamkowym progu
Otrąbić wyrok. A jeżeli mściciel
Kat nie wypełni: zostawiamy Bogu!
(Słychać trąby.)

Niech teraz stanie drugi oskarżyciel.

(Wehodzi Filon z nożem i z dzbankiem malin, ubrany w kwiaty.)

Ktoś jest?

FILON.

Cień tego czem byłem. O! smutki:
Wyście mi pamięć odjęły na wieki
Dręcząc pamięcią! Jako niezabudki,
Trącane ciągle od płynącej rzeki,

Znajdują radość w ciągłym kołysaniu
 Błękitnej fali: tak ja, bity falą
 Płynących smutków, we łzach i w niespaniu
 Ulgę znajduję —

KANCLERZ.

Prawodawczą szalą
 Nie można ważyć tego czleka mowy.
 Tłómacz się jaśniej! —

FILON.

Oto malinowy
 Dzbanek, a oto nóż. — A te maliny
 Były pod głową zabitej dziewczyny —
 Nóż był w jej piersiach. — Niechaj z tego dzbanka
 Wypłynie nowy Eufotas płaczu,
 Niech zaprowadzi smutnego kochanka
 Falą przejrzystą do kochanki grobu,
 A ja mu powiem: strumyku, tułaczu
 Dzięki ci wieczne, w grobie dla nas obu
 Będzie spoczynek i cichości morze! —
 Przebacz Apollo! promienisty Boże!
 Że ły przyszedłem przed ludźmi wylewać,
 I smutek z nimi łamać jako chleby.
 Przychodzę ludziom smutną pieśń wysławiać,
 Przeszedłem jako Orfeusz w Ereby
 Prosić Plutona by mi wrócił żonę.
 Słuchajcie! ona żoną moją była,
 Żoną mej duszy — dziś jedna mogiła
 Zamyka białe ciało, zakrwawione
 Tym nożem. — Patrzcie! Oto na tym dzbanku
 Znalazłem martwą, o wiosny poranku,
 Zabitą nożem!

KANCLERZ.

W tej zawilej skardze
 Czuć zbrodni zapach.

BALLADYNA.

Kanclerzu, ja gardzę
 Szalonych ludzi zaskarżeniem.

KANCLERZ.

Pani!

Sąd winien śledzić do ostatka, ani
 Pogardzać smutnym psa na kogo wyciem
 Więc-że pasterzu, rozstała się z życiem
 Twoja małżonka? i znalazłeś ciało
 Nożem przebite? Kiedy to się stało? —

FILON.

Trzy razy księżyc i gwiazdy poblady
 Przed Apollinem —

KANCLERZ.

Mów, na kogo padły
 Twe podejrzenia o zabójstwo krwawe.

FILON.

Ach! Parki! Parki! Parki niełaskawe
 Przecięły srebrną nitkę jej żywota;
 Może też nieba jaka gwiazda złota
 Pozazdrościła mej kochance blasku
 W oczach, i oczom zawrzeć się kazała!

KANCLERZ.

Gdzież ją znalazłeś?

FILON.

W dumającym łasku —
 Pod cieniem wierzby rozplakanej spała —
 Snem nieprzespanym!

KANCLERZ.

Zawikłana sprawa.
 Wydaj Królowo wyrok na nieznanym —
 Radź się sumienia! —

BALLADYNA.

A jak sądzą prawa?

KANCLERZ.

Za śmierć choć śmierci.

BALLADYNA.

Z tych pozabijanych
 Nie będziem mieli prochu ani ćwierci.

KANCLERZ.

Wydaj sumienny sąd.

BALLADYNA.

Winna jest śmierci.

KANCLERZ.

Winna. — Więc sądzisz że zbrodniarz niewiasta?

BALLADYNA.

Sądzę, jak sądzę —

KANCLERZ.

Niech ludowi miasta

Otrąbią wyrok na zamkowym progu.

Katowi zemsta należy lub — Bogu.

(Trąby.)

Niech teraz stanie oskarżyciel trzeci.

(Wehodzi ślepa wdowa, matka Balladyny.)

Ktoś ty jest?

WDOWA.

Wdowa.

KANCLERZ.

Na kogo? —

WDOWA.

Na dzieci.

Skargę zanoszę. — Mówią że Królowa
 Piękna jak anioł — niechaj ona sądzi —
 Miałam dwie córki, stara, biedna wdowa;
 Żywiłam obie. — Jak to często błądzi
 Człowiek na ziemi, czekając pociechy! —
 Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy —
 Nie dobre dziecko. Lecz druga — o Boże! —
 Królowo moja, ty ja anioł biała —
 Sądz że ty sama! — Druga poszła w łoże
 Wielkiego Grafa: bogdajbym skończyła
 Jeśli ja klamię! Graf ją wziął za żonę. —
 Królowo moja, bogdaj ci koronę
 Bog wiecznie trzymał na tej mądrej główce,
 Osądź! — W tej drugiej córce jak w makówce
 Było rozumu: Graf ją kochał bardzo,
 Ale ja matka, kochałam jak matka! —
 Aż tu w jej zamku już służalce gardzą
 Biedną staruszką — cierpię do ostatka

Wzgardę służalców — grób był dla mnie blisko —
 Aż tu mię jeanej nocy te córczysko
 W obliczu ludzi zaparło się głośno —
 O, córko! mówię, bądź że ty litośną
 Dla starej matki, co już bliska truny! —
 Była noc straszna i deszcz i pioruny,
 Pioruny i deszcz, i ciemno, i burza —
 Córka kazała wypędzić z podwórza
 Mnie, starą matkę, na wichry i deszcze,
 W noc i w pioruny, i w burzę, i jeszcze
 Głodną — kazała! — Niech jej pan Bóg Stwórca
 Przebaczy! — Głodną wypędzić z podwórca,
 Do lasu! — Wiatr mię poniósł za lachmany,
 Piorun wypalił oczy. O! różany
 Mój królu! złoty mój panie! — litości —

KANCLERZ.

Pani! ty milczysz? Takiej nieprawości
 Mszczą się okropnie nasze mądre prawa.

BALLADYNA.

Przecież nie śmiercią?

KANCLERZ.

Lechitów ustawa

Śmierć przepisuje na niewdzięczne dzieci.

Niechaj cię księga naszych praw oświeci,

Czytaj — i czytaj we własnem sumieniu.

A ty staruszko nazwij po imieniu

Wyrodną córkę, a kat ją ukarze,

Chociażby z pierwszym Grafem państwa w parze

Los ją powiązał. — Powiedz Grafa miano

I córki imię, a prawa dostaną

Przez mury zamku jej serca i głowy.

WDOWA.

Co? śmierć na córkę? — Panie, bądź mi zdrowy,

Żegnaj królowo, ja wracam do boru —

Będę żyć rosą —

KANCLERZ.

Podług ustaw toru,

Kto zaniósł skargę odstąpić nie może!

Wyznaj —

WDOWA.

Nie! nie! nie!

KANCLERZ.

Wziąć na tortur łoże,
I wszystkie stawy jej w żelazne kleszcze! —
Cóż wyznaj stara —

WDOWA.

Nie, panie!

KANCLERZ.

Raz jeszcze
Pytam się ciebie o imię złej córy.

WDOWA.

Ona niewinna.

KANCLERZ.

Wziąć ją na tortury.

WDOWA, wydzierając się strażą.

Królowo moja, zlituj się! ja stara!
Jabym być mogła matką twoją! — Boże!
Ty nic nie mówisz? Nic? — To jakaś mara
Straszna na tronie. Więc ja się położę
Na tych żelazach i skonom, a w niebie
Bóg wam odpuści —

KANCLERZ.

Wygadasz w boleści

WDOWA.

Panie mój! jasny panie! i u ciebie
Żelazne serce —

(Ochodzi ze strażą.)

KANCLERZ.

Praw się trzymam treści.
A za to niech mię wielki Bóg obwini,
Lub uniewinni. — A ty monarchini
Wiedz, że mam serce pełne łez, goryczy —
I przerażenia!

(Słychać jęk.)

Co to jest?

ŻOŁNIERZ.

To krzyczy

Stara kobieta —

KANCLERZ.

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Nie —

KANCLERZ.

Poczekajmy.

BALLADYNA.

Z mego teraz ciała

Kat zrobił sercu torturę — rozciąga —
Wody!

(Podaję pić.)

ŻOŁNIERZ.

Już zdjęta z żelaznego drąga.

BALLADYNA.

Już! — powiedziała co w bolach?

ŻOŁNIERZ.

Umarła.

BALLADYNA.

Umarła mówisz?

ŻOŁNIERZ.

Jak ją kat położył

Na tortur kleszczach; to oczy zawarła;
A patrząc na nią ktoby się pobożył,
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Kaźda kosteczka wywiędła i sucha,
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,
Prosząc o litość —

KANCLERZ,

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Umarła cicho. — A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łzy.

BALLADYNA.

Od rana

Siedzę na sądach, a żaden z nędzarzy
Tak nie pracuje długo i tak znojnje. —
Już noc panowie!

KANCLERZ.

Nie — to czarna chmura
Wisi nad zamkiem. Poradz się spokojnie
Twego sumienia, czego warta córka,
Dla której matka taką śmiercią kona?

BALLADYNA.

Wy ja osądzcie.

KANCLERZ.

Niech twoja korona
Przybierze blasku sądem sprawiedliwym.
Ona zaprawdę, winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny! —
Osądz ją —

WSZYSCY.

Osądz.

KANCLERZ.

Jak Bóg nieśmiertelny,
Winna jest sądu!

WSZYSCY.

Pociąć ją na ćwierci!

KANCLERZ.

Radz się sumienia i sądz —

BALLADYNA, po długim milczeniu.

Winna śmierci.

(Piorun spada i zabija królową — wszyscy przerażeni.)

KANCLERZ.

Król-kobieta, piorunem boskim zastrzelony!
Zamiast w koronacyjne bić w pogrzebu dzwony. —



EPILOG.

PUBLICZNOŚĆ, wywołując.

Dziejopis Wawel! Wawel, narodu dziejopis!

(Wawel wychodzi kłaniając się.)

WAWEL.

Prześwietna publiczności, oto mój skoropis
Zaczął rzecz wydarzoną wpisywać do kronik.
Przerwaliście mi pracę —

PUBLICZNOŚĆ.

Czyżże jesteś stronnik?

WAWEL.

Jestem sędzia bezstronny i naoczny świadek

PUBLICZNOŚĆ.

Jakżeś ty piorunowy opisał przypadek,
Powiedz? myśmy widzieli rzecz całą do końca.

WAWEL.

Z ziarenka piasku dojść można do obrotu słońca,
Zaciekając się w rzeczy wydarzonej jądrze.
Królowa jak Salomon panowała mądrze;
Więc musiała być mądrą — przy mądrości enota.

PUBLICZNOŚĆ.

Panie Wawel, zapredka twych sądów szczodrota!
Było za kulisami stać od pierwszej sceny.

WAWEL.

Komponowałem wtenczas nad Popielem treny.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż o rodzie królowej?

WAWEL.

Z historycznych szczytów

Patrząc, ród jej prowadzę z kraju Obotrytów,
 Którzy mięsa nie jedzą — choć jeden uczonek
 Mieni, że pochodziła z kraju Amazonek;
 Ale ja mu zarzucam fałsz w kroniki nocie,
 I dowodzę dowodem i topię go w błocie
 Obaczymy go piórem zabitego w trunie.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż powiadasz na piorun?

WAWEL.

Sądzę o piorunie,

Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony —
 Że gałązka laurowa lepsza od korony,
 Bo w laur piorun nie bije, ani głowie szkodzi.

PUBLICZNOŚĆ.

Czy jesteś tego pewny?

WAWEL.

Ten co w laurach chodzi

Autor minięjcej sztuki, słusznie wam opowie,
 Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
 Piorun weń nie uderzył.

PUBLICZNOŚĆ.

Pochlebiasz mój łysy

I królom i poetom — idź precz za kulisy.

DO AUTORA.

IRYDIONA.

LIST DRUGI.

Kochany Endymionie poezji, drzemiący w cieniu gajów laurowych! z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych, i trzema błyskami budzę cię ze snów niespokojnych. — Wstań! wstań mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku! i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazji, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów, i rozłożyłem na leśnej murawie, biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. — Odeszlij mię z nowym zarobkiem przyjaźni! ze łzą, jeżeli można, z pochwałą jeżeli można: a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź Rzymski, w złotej zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą: oto jest wzgórze okryte zieloną murawą; na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych

kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu białowłosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane. — Te straszne wzgórza zwierciadło: to krew narodu! — Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych na zemstę rycerzy. — Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz, dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluxa złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz, mający dwie dusze i dwa ciała: nieszczęście narodu; przeznaczenie, dowodzące potępionemu przez Boga ludowi! — Wódz z dwojakiem i nie śmiesznym już więcej nazwiskiem: oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości. — Czy go widzisz?

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym, strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swemi nogami. — Eumenida Eszylowska, krzyżująca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo! — Czy się nie wdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzami Chrystusa oliwy zaszczeniać na płonkach sosnowych i zamieszkiał w czaszce olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki, już pustej, żrenicy — powoje owinęły ją do koła. — Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej, krzyż stoi lampa się pali, i błyszczący obraz Rafaelowski Boga Rodzicy. — Widzisz jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz jak szemrze modlitwa? Lecz — o! biada — o, losy! — słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. — Cóż mój Galilejczyku?

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki, i Molierowskiej w domostwie słabości; kontusz mu włożył i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią obłany po szyję. — Kontusz mu włożył i żupan! Niechaj panuje — bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewczka Skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa

w osobie Ślaza. — Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki: za które autor sam gada — a czasem szczebioce Alfierego językiem. — Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same. Przeprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda—aja, ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz, i mieczów dobytých; usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf Wenedyjskich do ręki, i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem terażniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcję, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okrasić, tyle razy mary zjawione, krzyczały z krajów przeszłości: «Serca nasze i ciała były zdrowe! w mowie naszej nie było niespodziewanych «concetti». Choć córki królewskie, nie wdychałyśmy do księżycy; choć synowie królewscy, pędziliśmy woły na paszę. Ossjan usłyszał naszego zgonu historję, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych duchów, sarn, błyskawic i wiatru wdychającego po mogiłach; ani więc ruszył harfy na omszonym dębie wiszącej, ale odpędził nas w mgły niepamięci rozpaczne. — Lecz tu, mówiły dalej mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu; tu, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra, królowna, płutno bielila matczyne — mów o nas prosto i z krzykiem.»

Tak namówiony, wziąłem pół-posagową formę Eurypidesa tragedji, i rzuciłem w nią wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli mi Bóg pozwoli, to na tej nieco marmurowej podstawie, oprę szersze, bardziej tęczne, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedje. Tylko ty, Irydjonie! nie opuszczaj mię wśród zimnego świata słuchaczy! Tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczy. — Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się że wszyscy ludzie mają oczy Rafaelowskie; że dosyć jest jednym słowem zarysem pokazać im

piękną postać duchową; że dbać nie trzeba na niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu. Sądziłem, że wszyscy ludzie obdarczeni są Platonską i Attycką uwagą; że, dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać, jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem — jedną taką postać jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi — można te Ateńczyki obrócić na niebo — oczyma. — Teraz widzę że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi; a że jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował! — Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna; ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistością rzeczami, opadają mi skrzydła, i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem: niby chór ostatni, śpiewany przez poetę. — Na Odyna! niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającymi ustami wracam pod skrzydła twoje — ochłonąć.

A teraz słyszę, iż mię pytasz: skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiała? — Posłuchaj. Przed pięć laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcarji, blisko miasteczka Ville-neuve, dawnego Avencium. Miasteczko to położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknnością! Na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które podobne Rzymskiemu Legjonowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozproszyc. — Co? — Kilka małych domków, białe odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych; które jesienią owieszono mnóstwem chłopiąt, tłukących z korony owoce, rumienią się bożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych, mnóstwem owoców splecione. Takim jest dzisiaj to miasteczko. — Lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samym miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski, ucinający głowę starca i słowo S. P. Q. R. błyszczące na Rzymskich chorągwiach! Czas wszystko uciszył.

Z całej owej historii został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULIA ALPINULA.

TU LEŻĘ.

NIESZCZĘŚLIWEGO OJCA, NIESZCZĘŚLIWA CÓRKA:

BOGÓW AVENTYŃSKICH KAPŁANKA.

WYPROSIĆ OJCA OD ŚMIERCI NIE MOGLAM.

NIESZCZĘŚLIWIE UMRZEĆ W LOSACH JEGO BYŁO.

BYŁAM LAT XXIII.

Mój Irydjonie! ta młoda dziewczica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąca się tak cicho, a tak przeraźliwie — z przeszłości: ona to zamieniła się w Lillę Wenedę! Chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie stracić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk Szwajcarskich, na odłamie skały, stawała przedemna, teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historje: cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce, nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilji wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu. Między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do Tragedji wniknęło — zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wypowiadał, usiądź na ułamku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem Wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy! — Usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamysłona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją, liś po liściu rzucić w wodę płynącą, i pytać się lotu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą — i piękniejszą sto razy — i niech ta postać do nas obojgu należy! niech będzie jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie! — A tych dwóch wodzów! — Czy ty myślisz Irydjonie że tworząc ów myth jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką

nadzieją — że kiedyś — i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią! — Ty mię wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach, i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie!

Paryż, dnia 2 kwietnia 1840 r.

LILLA WENEDA.

TRAGEDJA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY.

LECH.

GWINONA, żona Lecha.

LECHON }

KRAK }

ARFON }

Synowie Lecha.

DERWID, Król Wenedów.

LILLA WENEDA }

ROZA WENEDA }

CÓRKI DERWIDA.

POLELUM }

LELUM }

Synowie Derwida.

SYGÓŃ }

GRYP }

Lechici.

ŚWIĘTY GWALBERT.

ŚLAZ, jego sługa.

DWUNASTU HARFIARZY }

DWUNASTU WODZÓW }

WENEDZI.

ORSZAK DZIEWIC GWINONY. RYCERZE LECHICCY.

Z czasów bajecznych. — Błisko Gopla.

PROLOG.

(Obazerna grotą Wróki wykopana w ziemi; w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca.)

ROZA WENEDA I LILLA WENEDA potem HARFIARZE.

LILLA WENEDA.

O siostró moja! jak ty zadumana!
Idź, spojrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo!

ROZA WENEDA.

Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki,
Widzę umarłą —
I ty umarła — ja ci zamknę powieki —
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj — na tamten świat — o! nieszczęśliwa!

LILLA WENEDA.

Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nademną biedną.
Więc ja mam umrzeć? — o! Boże!

ROZA WENEDA.

Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew i krew wroga
Zrobiła strumień i łożę,
I Gopło zaczerwieniła:
Będziesz ty jak płaczka wyla
Nad sobą — gdy rycerze konają?

(Słychać dźwięk harf.)

O! cyt! — harfy nasze grają.
 Słyszysz ich głosy ponure,
 Płaczące i rozstrojone?
 Harfiarze wchodzą na górę —
 Wszystko stracone!

LILLA WENEDA.

Za harfiarzymi tu wejść rycerze
 I nas zabiją i wytną harfiarzy.

ROZA WENEDA

Co? a z chmurami przymierze?
 A piorun posępny, złoty,
 Co stoi jakby na straży
 U wejścia groty?
 Co? a szatański mój głos?
 Podobny zimnym sztyletom?
 A zmartwychwstanie dane przezemnie szkieletom?
 A mój smutek! a mój los!
 I ty nie ufasz w tę straż?
 I ty się nie lękasz? o! kraśna!

LILLA WENEDA.

Ty mówisz — lecz twoja twarz
 Jak księżyc smutna, choć jasna
 Jak księżyc — umarłych słońce.
 Gdzie nasi bracia obrońce?
 Czy wiesz co z nimi się stało?

ROZA WENEDA.

Wnętrze groty zajęczało:
 Słyszałaś odpowiedź skał. —
 Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalcę.
 (Wchodzi dwunastu starców ze złotymi harfami.)
 Proszę was! przy ciemnej skale
 Postawcie te harfy rzędem,
 I powiedzcie co stało się z Wenedów ludem.

LILLA WENEDA.

Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
 Wyrwali się od śmierci?

HARFIARZ.

Starce, z takim pędem
 Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.

LILLA WENEDA.

O! wy nie chcecie mówić.

HARFIARZ.

Hiestety! Niestety!

LILLA WENEDA.

O! bracia moi! — O mój drogi ojcie! gdzie ty?

Ci ludzie milczą — mój ojciec umiera!

O! wy nie macie litości! —

HERFIARZ.

Jak żądasz,

Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

LILLA WENEDA.

Starcze! Ty na mnie, starcze, tak spoglądasz,

Jak na sierotę!

HARFIARZ.

Na ziemi i w niebie

Lud nasz przeklęty — o biada nam! biada!

Twój ojciec wzięty — rycerzy gromada

Otoczyła go, z harfą jego złotą.

Widzieliśmy to i bladzi zgryzotą,

Rwaliśmy włosy. — Bracia twoi wzięci. — —

LILLA WENEDA.

Więc nie umarli? o! mówcie mi jeszcze!

Więc nie umarli? —

ROZA WENEDA.

Nie — ale przekłęci.

LILLA WENEDA.

O! nie mów tego! o nie mów! przez litość!

Ja braci moich, ojca mego zbawię.

O, pobłogosław ty mi siostrze moja!

Ty smutna — byłaś mi wesołej matką.

I wy mi starzy ludzie błogosławcie,

Ale nie proście Boga o nic dla mnie,

Tylko o rozum i przebiegłe serce,

Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!

O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —

Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,

Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.

I ten jest ze mną, co nad gołębiami
 W nieba błękitcie jeszcze wyżej lata:
 A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
 Gotów odebrać gołębiewi skrzydła,
 I mnie dać skrzydła bym od ludzi poszła.
 Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
 A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!
 (Wychodzi.)

ROZA WENEDA.

Nie czas żałować róż, gdy ploną lasy. —
 Cóż wy myślicie Harfiarze?

HARFIARZE.

Wszystko stracone!

ROZA WENEDA.

Na jad węża, co w tej czarze
 Karmi płomienie czerwone:
 Zaklinam się wam, o starzy!
 Że kości z pobożowiska
 Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy!

HARFIARZE.

Wstaną i zginą raz drugi. —

ROZA WENEDA.

I trzeci raz jeszcze zginą
 I przejdą po nich zapomnienia pługi,
 I stokrocie się rozwiną
 Na krwawym umarłych stepie;
 I cóż! — Czy płakać?!

HARFIARZE.

Słuchaj! tam wrony zaczynają krakać,
 I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
 Ciała rycerzy.

ROZA WENEDA.

Za trzy dni sto piorunów uderzy
 Tysiące się podniesie prawic;
 Będzie okropna walka przy świetle błyskawic!
 Że się pomięszają z umarłemi,
 I nikt ich nie rozbroni.

Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

HARFIARZE.

O cud! — Harfy nasze grają
Rycerski śpiew! —

ROZA WENEDA.

Te harfy uczyły krew,
I drżą. —

HARFIARZE.

O, chodźmy, tą pieśnią jak skrą,
Ożywić ludy po siołach.

ROZA WENEDA.

Dębowe wieńce na czołach,
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy! —
To są harfiarze! to wy!

HARFIARZE.

Właś nam ogień do łez — —

ROZA WENEDA.

Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres!
Walka i zgon!

HARFIARZE.

Nasze harfy tobie w ton
Odegrały smutnie.

ROZA WENEDA.

Uciszcie wy rękami rozplakane lutnie.
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła;
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła —
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu — —
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

HARFIARZE.

Więc za trzy dni noc płomieni? —

ROZA WENEDA.

I noc okropności mściwa,
 I wiek haraczu —
 Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
 Wódz dwie głowy mieć będzie! jedna człowiecza,
 Drugą głowę trupa wódz mieć będzie.
 Ja ostatnia zostanę żywa,
 Ostatnia z czerwoną pochodnią!
 I zakocham się w rycerzy popiołach,
 I popioły mię zapłodnią,
 A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
 A łożem ślubnem będzie stos rycerzy.
 Kto konając we mnie uwierzy,
 Skona spokojny.
 Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
 Lepiej niż sto tysięcy wroga —
 Lepiej od Boga!

HARFIARZE.

Idźmy! wrózkę szal porywa.

(Wychodzą.)

ROZA WENEDA.

O wróżka wróżka! ludu nieszczęśliwa!
 Ona ma serce! — Lecz noc już — już ciemno!
 Chodźmy umarłych palić. Duchy, ze mną! —
 (Wychodzi.)

A K T I.

SCENA I.

(Pole nad Gopłem.)

LECH, GWINONA, SYGOŃ, GRYF, wchodzą zbrojni.

LECH.

Zapalić ognie na pobojuwisku,
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

(Wchodzą: Derwid z harfą złotą w rękę, Lelum i Polelum w łańcuchach)

SYGOŃ.

Z ręki mu złotej harfy nie wydarto —
Jest to Wendów król z dwoma synami.

LECH, do Derwida.

Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?
Wczoraj ty byłeś panem tej krainy,
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj —
Okup się starcze łyzy brylantowemi,
Bo ci czekaniem łeb roztrzaskam siwy.

(Do Lelum i Polelum)

Cóż to? szczekacie jak psy łańcuchami?
Cóż to, niedźwiedzie? uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? — ten mi człowiek plunął w oczy!
Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie! —
Gwinono! patrzaj jaki to lud rosły.
Ja komar! i krew z niego wycodziłem,
I wycisnąłem w rękę jak cytrynę!

Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
 Poszlę mu tego starca w podarunku,
 I tych dwu młodych poszlę królewiczów —
 Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

GWINONA.

Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią!

LECH.

Psy — łatwiej zmusić ich, aby jęczęli!

GWINONA.

Ta harfa musi być zaczarowana.

LECH.

Na Boga! prawdę mówisz moja lwico!
 Ta harfa musi być zaczarowana — —
 Stary! czy w harfie twojej siedzi djabeł,
 Że tak o nią dbasz? — Na Boga! to mruki!
 My tu przed nimi jak na nitce wróble,
 A oni patrzą z góry jak na frygi! —
 Gryfie! odprowadź ich do Rzymskiej wieży;
 Jak się wyglodzą, to głos odzyskają.
 (Derwid, Lelum, Polelum, wychodzą pod strażą.)
 To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono,
 I głuchoniemy król. — Na koń! hej! na koń!
 Ufundujemy na trupach królestwo!
 (Wychodzą wszyscy.)

SCENA II.

(Cela pustelnika, podobna kształtem do wnętrza czaszki olbrzymiej. W głębi obraz Najów. Panny na dnie złotem.)

ŚWIĘTY GWALBERT I ŚLAZ.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Splamiłeś moje oczy, Mości Ślaziu!
 Wlażłem za twoją poradą na sosnę —
 Splamiłeś moje oczy krwi widokiem.
 To sprawa djabła! przybyłem nawracać,
 A jacyś ludzie przybyli wycinać —
 Wycięli prędzej niż ja nawróciłem.
 Za to się trzeba aż do krwi biczować

Mnie, jako Panu — tobie, jako słudze —
A obum — jako sługom Pana Boga.

ŚLAZ.

Et fit voluntas tua.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Tak, tak, Ślazi!

Et fit voluntas tego co na niebie.
A jednak szkoda że ten lud wycięto,
Bo lud był dobry, choć nie chrześcijański.

ŚLAZ.

Domine, wszyscy więc poszli do piekła?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła —
Z tej krwi wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
Śmierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.
Narody będą wkrótce okupione!
Widziałeś Ślazi komety czerwone
Z długimi chwosty? — Co tu wróżą zmianę?
Komety, co jak widzimy rozczochrane.
Goniły za mną aż od Jeruzalem,
Grożąc mi chłostą, krzyżem, albo palem.
Cóż mi zrobiły? — Kiedy będzie trzeba,
Te straszne gwiazdy palcem zetnę z nieba.
Bóg swemu słudze, za wiek długi trudów
Przerażających, da godzinę cudów.
Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
Nowy Faraon — wejdę z nim w zapasy,
Złamię i różczkę ognistą otrupię;
A potem jedną łzę gorącą kupię
Żywot dla niego wieczny i zbawienie.

ŚLAZ.

Domine, z czego proszę są promienie,
Które ty nosisz na głowie?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ze mnie,

Z mojej wewnętrznej wiedzy i z Anioła,
Co w ciele moim pali się tajemnie.

ŚLAZ.

Myslałem że te płomieniste koła
Są z włosów?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ergo, nie byłyby z duszy?

ŚLAZ.

Domine, a kot kiedy się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ludzie głupi jak ty, co się trują
Porównywaniem dwóch natur w stworzeniu.

ŚLAZ.

Domine, wiara jest w mojem wątpieniu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Wątpienie z djabła jest.

ŚLAZ.

Więc mię on szuka.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Obaczno-no Ślazio, ktoś do chaty sztuka.

(Ślazio otwiera. Wchodzi Lilla Weneda.)

LILLA WENEDA.

W imię Marii!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Patrzcie! to królewna,

To neofitka moja. — Cóż tak rzewna?

Cóż tak spłakana? Córko! czemuś drżąca! —

LILLA WENEDA.

Przyszłam do ciebie, mój ojczu, płacząca! —

Mój ojciec, bracia moi są w niewoli!

Chcę ich ratować, lecz mię serce boli,

A nie podaje żadnej mędrzej rady.

Świat cały teraz dla mnie smutny, błądy;

Za łez strumieniem nie widać mi słońca.

Ty mój poradnik jedyny, obrońca.

Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli —

Braci w kajdanach!

ŚWIĘTY GWALBERT,

Cóż ja ci poradzę?

LILLA WENEDA.

Już w ostatecznej się widzę niedoli.
 Powiedz! o powiedz! czy ten Lech ma władzę
 Ojca mojego zabić?

ŚWIĘTY GWALBERT.

To człek srogi.

LILLA WENEDA.

Powiedzże, czem są twoje wielkie bogi,
 Jeśli nie mogą mi dopomóc biednej?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Błuźnisz, dziewczeczko! Bóg w osobie jednej?

LILLA WENEDA.

O ja wiem! ja wiem! ty mię uczył długo!
 Nie zapomniałam wcale twej nauki;
 Lecz teraz naucz jak ocalić ojca.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Gotowaś jest ślub czystości uczynić?

LILLA WENEDA.

Mój ojczu, jeśli tem ojca wybawię,
 Ja będę czystą jak marcowe śniegi!
 Jak po moczarach białe konwalije,
 Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają,
 I brudnej ziemi nie widzą i giną!
 Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
 Pobłogosławi i obleje łzami,

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zrób więc intencję przed obrazem Matki
 Boga, na krzyżu ukrzyżowanego.
 Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca!

LILLA WENEDA.

Jakże mam mówić? — O! niebios Królowo!
 Oddaj mi ojca, a ja Ci dam siebie
 Jako białego gołębia bez plamki!
 I nic nie będę więcej pożądała,
 I nic mię nigdy na świecie nie splami — —

ŚWIĘTY GWALBERT.

Teraz, dziewczeczko, ona będzie z nami!

Ślaz, daj mi kostur! — Gdzie obozem leży
Ten Lech?

LILLA WENEDA.

On, ojciec, mieszka w Rzymskiej wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na stare nogi droga nie daleka.

(Święty Gwalbert i Lilla Weneda wychodzą)

ŚLAZ, sam.

Djabel mi każe służyć u człowieka,
Co mię suchemi korzonkami głodził!
Wychudłem jak szczep. — Człowiek się raz rodzi —
Pamiętaj o tem dobrze, Mości Ślaziu,
Żeś się urodził. — I raz więc umiera —
Pamiętaj dobrze na to, Mości Ślaziu!
Że raz umiera — i że się raz rodzi.
Ergo, ponieważ się już urodziłeś,
Więc że korzystaj z tego, Mości Ślaziu!
Ergo, więc nogi za pas i w świat jasny! —
A zrób intencję z czystości. — A na co? —
Czy masz w niewoli ojca, Panie Ślaziu?
A jak się w tobie zakocha królowna,
A ty w czystości jak w błocie po uszy! —
Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego,
I z tego zrobić votum Panu Bogu,
Aby mi trochę sprzyjał na początek. —
Naprzykład zróbmy votum z przywiązania
Do mego Pana — ot i lżej na sercu —
A teraz niech tę celę biorą djabli!
Już nie potrzebna mi — niechaj się pali!

(Podkłada ogień pod ścianę — i z zapalającej się celi wychodzi.)

SCENA III.

(Sala w Rzymskiej wieży.)

LECH i GWINONA wchodzi.

LECH.

Cóż robić z tymi ludźmi żelaznemi?

Uledez mi nie chcą. — Cóż robić, Gwinono?

GWINONA.

Rada jest moja, zbyć się ich na zawsze

LECH.

Co? — pozabijać?

GWINONA.

Znów się wzdrygasz, mężu,

I w czynach boisz się ostateczności.

Dwa razy przez tę naturę kobiecą

Straciłeś kraje już podbite prawie!

Rycerzy ledwo ci zostaje garstka —

Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę,

I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca

W niebezpieczeństwa; a nie myślisz o tem,

Że mamy dzieci, które pójdą z torbą,

I miecz ojcowski przedadzą za szeląg?

Jeśli ich w życiu nie postanowimy

Na dobrze, stale zbudowanym, tronie.

LECH.

To wszystko prawda.

GWINONA.

Patrz na brata Czecha!

Jemu się także ty oszukać dałeś.

To też postąpił z tobą jak z dzieciną:

Sam zabrał kraje we dwóch pokonane,

A ciebie wysłał aż w północne lody!

Cóż, moja frygo z rozpalonej stali?

Kto cię pokręci, choć dłoń sobie sparzy,

Kontent, bo ty się kręcisz za to długo.

LECH.

Widzę to czasem że mię oszukują.

GWINONA.

Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.

LECH.

Coż ty ze starym zamysłasz Derwidem?

GWINONA.

Co? — Zdaj to na mnie — sam idź do sokołów.

Ty dobry w boju i na polowaniu;

Ale gdy trzeba robić to co nudzi,

To się ty wzdrygasz. — Ty masz lwią naturę:
Albo spać — albo krew lubisz pić ciepłą.

LECH.

Ja to do siebie znam.

GWINONA.

Cóż mój tygrysie!

Dajże na moją już odpowiedzialność
Tych jeńców — jeśli zrobię źle, wyłajesz.

(Lech daje znak że szwala i wychodzi.)

Gryf! — przyprowadzić mi tutaj Derwida.

(Derwid wchodzi jako więzień z harfą w ręku. — Gryf.)

Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto —

Wy się boicie wszyscy tego starca!

(Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. — Derwid podnosi harfę
jakby ją chciał uderzyć.)

DERWID.

Precz!

GWINONA.

O, widzicie! On mię chciał uderzyć.
Nie zabijajcie go! — ja z nim pomówię.
Ozłowieku! chcesz ty mię nauczyć czarów?
Słyszałam że ty masz w tej harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość — czy to prawda?

DERWID.

Mam w tej harfie ducha, co zgaduje przyszłość.

GWINONA.

Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę!

DERWID.

Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie!

GWINONA.

A jak ty umrzesz?

DERWID.

Do nieba uleci.

GWINONA.

Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.
Ja tego ducha widzieć chcę! — Rycerze!
Przynieście jemu pić, niech się ożywi.

(Do Derwida.)

Ty mi wywołasz z harfy tego ducha!

Inaczej — klęę się na Hekatę i trzy
 Starki, co w piekle krwawemi nożami
 Nić przecinają ludzkiego żywota,
 Że zginiesz!

DERWID.

Nigdy! o nigdy! piekielna!
 Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika!
 Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
 Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
 Lez nie wyleją! Póki te łzy moje
 Mogą posłużyć wam na wywołanie
 Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu!
 O nie! — Nigdy wy z króla niewolnika
 Nie uczynicie słuźalca harfiarza.
 Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze,
 I w miecze kładła dusze nieśmiertelne,
 I wścieklizną swą ducha ojczystego
 Dawala mieczom zęb, co gryzł wam kości,
 I truł wam rany! Nie zabrzmi w niewoli!
 Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
 W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,
 I wasze trupie twarze rozczzerwienić!
 Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić! —
 O spróbój! — Połóż twe palce na strunach,
 Czy wywołają z nich co więcej, niż dźwięk
 Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
 Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
 Poddam się palcom targającym żyły,
 I z mojego jęku zrobię pieśń? — O, jędzo!
 Ty myślisz, że ja, gdy jeszcze z góry
 Widziałem lud mój — co jak joden człowiek —
 O nie! jak jeden trup leżał na polu,
 Myślisz, że takim okropnym widokiem
 Rozhartowany będę i pokorny?
 Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
 Nad krew! — co będzie przeciw tobie świadczyć
 Przed memi ludy! — Nie, ja nie mam ludu! —
 Lecz po narodach już wymordowanych,

Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
 Ty musisz bladnąć i ciągle twe lica
 Strupiałe nową krwią farbować musisz!
 Weś że krew moją do twej gotowalni,
 Czarna kobieto! i co dnia jagody
 Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał!
 I nie zobaczył że masz krew zieloną!

GWINONA.

Skończyłeś starcze?

DERWID.

Nie, jeszcze nie, jeszcze!

Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
 Która mym słowom da moc zabijania,
 I ciebie mi tu da za niewolnicę,
 I z twego trupa mnie pokonanemu
 Tron nowy zrobi! Stój tu! — ja ci łono
 Osuszę, piersi napełnię popiołem,
 W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
 Była kobietą — gorzej niż to wszystko,
 Bo bym ci oczy twe napełnił łzami,
 Opowiadając ci moje nieszczęście!
 Ale ty jesteś nie z tych ludzi, które płaczą!
 Ciebie zabijać trzeba przekleństwami,
 I piekło całe zakląć przeciw tobie,
 Ażeby piekło całe było w tobie,

GWINONA.

Ten starzec śmierci chce. — Wydrzeć mu oczy!

DERWID.

Czekaj — niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
 Temi oczyma, co będą wydarte!

GWINONA.

Precz z nim!

DERWID.

Przez oczy moje wylupione
 Niechaj na ciebie patrzy Bóg.

(Żołnierze wyprowadzają Derwida.)

GWINONA.

To dziwnie!

Te oczy siwe ze srebrnemi rzęsy
 Serce mi do krwi ugryzły. — Mój Gryfie,
 Zawołaj mi tu Kraka i Arfona —
 Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
 A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
 Oczy wydarte, niech z niemi poigra.
 (Wchodzi święty Gwalbert — Lilla Weneda.)

ŚWIĘTY GWALBERT.

Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

GWINONA.

Cóż to za człowiek? Czemu tu wpuszczony?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Straż twoja cudem pokonana — drzymie.

GWINONA.

Ty jak Hekate, masz księżyc czerwony
 Na siwych włosach. — Co to jest za człowiek?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja ciemne chmury zdieram z ludzkich powiek,
 I światło niosę dla duszy słoneczne —
 Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
 Ktokolwiek jesteś, schyl przedemną głowę.

GWINONA.

Jakiś czarownik!

LILLA WENEDA, do świętego Gwalberta.

O panie! mów za mną.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przyszedłem tutaj w imię Boga mego,
 O pognębionych ludzi się upomnieć.
 Oto jest córka króla tej krainy,
 Która ma braci i ojca w niewoli,
 I przyszła prosić za nimi.

LILLA WENEDA.

O pani!

Ja przyszłam prosić za ojcem i braćmi!
 Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.
 Ja przyszłam twoje nogi rosić łzami,
 Ja będę za to twoją sługą — będę
 Płótno twe bielić, twoje krowy doić —

Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
 Że w dzień i w nocy będą dziękowały
 Za moich braci, za mojego ojca! —
 Ja z moich oczu ci zrobię zwierciadła,
 W których się będziesz ty widziała piękną,
 Wesolą, dobrą i pełną litości.
 I sama siebie widząc, będziesz kochać —
 A ja cię więcej jeszcze będę kochać,
 Niż ty się możesz kochać sama siebie.

GWINONA.

Zapóźno przyszedłaś.

LILLA WENEDA.

O! nie mów! o, nte mów!

Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci.
 I gdyby nie ten stary człowiek, pani,
 Jużbym tu była dawno, zawieszona
 Na szyi mego ojca? — Gdzie mój ojciec?

(Derwid wchodzi z wylupionymi oczyma i podnosi ręce nad Lillą Wenedą.)

DERWID.

Puściecie mię! krwią chcę ją widzieć i mózgiem!
 Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę —
 O! bądź przeklęta! —

LILLA WENEDA.

Ojcie! ta ja, ojcie:

DERWID.

Co? — To głos mojej córki! O niebiosa!
 Ja córki mojej nie widzę!

LILLA WENEDA.

Mój ojcie:

Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
 Czy ty zupełnie mię nie widzisz, ojcie?
 Poczekaj, krew ci obetrę włosami,
 I nigdy moich włosów nie obmyję —
 Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone,
 I w tej koszuli okropnej uklęknę,
 Skarżyć się Bogu. Ojcie nieszczęśliwy
 O! srodzy ludzie! o, ludzie okrutni!
 Pani! ty jesteś niewinna! co — prawda?

Tego nie mogła uczynić kobieta!
 Ty sama teraz cierpisz! — O, na Boga!
 Dajże mi teraz, pani, tego starca!
 Wszakże ty widzisz że on nie ma oczu,
 Tylko te biedne moje dwie źrenice,
 Które łez pełne. O! dajże mi teraz
 Mego ślepego ojca!

DERWID.

Mój słowiku,

Cicho bądź! jędy tej nie ruszaj! (Do Gwinony.) A ty
 Wściekła kobieto! jeśli cię ten widok
 Ślepego starca i córki, co widzi
 Czerwone ojca swego oślepienie,
 Dręczy — jeśli cię dręczy ta męczarnia?
 A musi dręczyć! — Bo cóż ty zdobyłaś
 Tem okrucieństwem, prócz kilku perełek,
 Co z oczu mojej córki upadają —
 I kilku tych łez okropnych, co ciekną
 Z mej próżnej czaszki! — Więc jeśli cię dręczy
 Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja —
 Spróbuj czy moja cię śmierć nie uleczy,
 I tygrysięgo serca nie nakarmi!

GWINONA.

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

LILLA WENEDA.

Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
 O nie! ty nie masz w sobie takiej władzy! —
 Ja ci powiadam z głębi rozdartego
 Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
 Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą —
 Trzy razy wszystko wymyślisz na próżno.

(Do świętego Gwalberta.)

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
 Będzie mię bronić razem z aniołami,
 I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą?
 Trzy razy będę ojca zbawicielką!

(Do Gwinony.)

A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
 Przeciw rozpacznej mojej ostatecznej.

GWINONA.

Dziwne wyzwanie! — Słyszeliście wszyscy!
 Ta mię dziewczyna wyzywa. Już miałam
 Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
 Stał mi się wcale niepotrzebny — teraz
 O niego toczyć się będą turnieje.
 Gryfiel weź starca, za włos jego siwy
 Uwieś na drzewie; niech słońce go pali
 I dziobią kruki. Dla większej męczarni,
 Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

LILLA WENEDA.

Gdzie król? Ja pójdę do króla ze skargą!

GWINONA.

Idź! —

ŚWIĘTY GWALBERT.

Kłątwa Boga na tym krwawym domiel

(Wychodzą.)

CHÓR.

(Dwunastu Harfiarzy)

Oczy wydarto staremu królowi!
 Pęka się córki bursztynowe serce,
 A w naszą starą kość strach idzie mrowi.
 Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
 Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!
 Zwątpił o sobie lud! Harfiarze płaczą!
 Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasie —
 Czasze nalane krwią, serca rozpaczają!
 Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga.
 Czekamy wszyscy, drżąc na piorun z chmur —
 A kiedy milczy niebo, śpiewa chór.
 A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

A K T II. -

SCENA I.

(Pobożowisko — noc.)

ROZA WENEDA w głębi, pali kości rycerzy i śpiewa. ŚLAZ wchodzi.

ŚLAZ.

Dalibóg! trupów tu jak maku! — Głupcy!
 Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
 Dla czego teraz się nie mogą ruszyć?
 Jeden odpowie; brak mi kawałeczek
 Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
 W mem pacierzowem ogonie: i każdy
 Miałby wymówkę — — Ze mną tak nie będzie!
 Nie — ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
 Będzie jak Bóg chce i jak chce Pan Gwałbert. —
 Cóż to za wiedźma przed stosem z płomieni,

ROZA WENEDA

Czar się nie robi — tu jest człowiek żywy.

ŚLAZ.

Jezu Maria! gotowa mię zabić!

ROZA WENEDA.

Wężu, kto jesteś?

ŚLAZ.

Umarły ze strachu —

ROZA WENEDA.

Gdzie idziesz?

ŚLAZ.

Wszędzie, gdzie każesz Waćpani.

ROZA WENEDA.

Ja wiem czem jesteś — ty będziesz zabójcą.
 Mam tutaj sztylet —

ŚLAZ.

Jakaś wariatka!

ROZA WENEDA.

Przed tobą płynie krwi bolesnej rzeka —
 Z tych trupów cieknie i płynie.
 Za tą wodą dom człowieka —
 Ten człowiek zginie!
 Życie jest jego dla mnie jak psa życie.
 Tyś go zabić powinien!

ŚLAZ.

Ja?

ROZA WENEDA.

O świcie

Go zabijesz — idziesz po to.
 Słuchaj! — jesteś złodziejem —

ŚLAZ.

Ja?

ROZA WENEDA.

I złotą

Harfę ukradniesz mego ojca.

ŚLAZ.

Pięknie!

ROZA WENEDA.

I słuchaj, jeśli z bólu harfa jęknie,
 Jeżeli jęknie, ojcu mojemu kradziona,
 Ty ją utulisz w płaczu jak dziecko — i skona
 Ojciec mój — ale harfa zwycięży narody!
 Pamiętaj!

ŚLAZ.

Dobrze.

ROZA WENEDA.

Lub z głazem do wody

Rzuć się i toń — bo serce ci wydrą i oczy.
 (Oddała się w głąb do płomieni)

ŚLAZ.

Rozumię — ukraść harfę i zabić człowieka.
 A to mi wcale piękna awantura!
 Wylazła z trupów i z płomieni mara
 I mówi do mnie: Śladzie jesteś zbójcą —
 Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz

O mojej cnocie. — A do mnie ta znowu:
 Mój Mości Ślazi! waś jesteś złodziejem —
 Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień
 Jak Salamandra! Szukajże z nią ładu!
 Gdyby przynajmniej była powiedziała,
 Czy mię powieszą jak będę złodziejem?
 Co teraz robić? — Widzę tam na górze
 W złocistej zbroi nieboszczyka — pójdę,
 Obedrę zbroję i na siebie włożę,
 Może cokolwiek znajdę w niej odwagi.

(Wychodzi.)

ROZA WENEDA śpiewa.

Trzaska w płomieniach kość,
 W czaszkach się warzy mózg,
 Tu kwiatów będzie dość
 O lilijowych różg.
 Z kwiatami! o, z białemi kwiatami! —
 O! o! — o! o! —
 Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Ja palę trupy wciąż:
 Tu mój kochanek był —
 Do czaszki przylazł wąż,
 I krew mu z oczu pił,
 I do czasz wlał krwawemi ustami!
 O! o! — o! o! —
 Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

(Oddala się — płomienie gasną)

ŚLAZ wchodzi w zbroi — sam.

Otóż ubrany jestem jak na święto
 Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło,
 A tu są ludzie co chcą spać. — Naprzykład
 Ten obywatel, co mi dał tę zbroję,
 Chciał spać! musiałem dobić nieboraka.
 Ergo, ta wiedźma powiedziała prawdę;
 Bo jeśli dobić żyć nie mogącego —
 Znaczy to samo co odebrać życie!
 Więc ja zabiłem? — Nie — tylko dobiłem.

Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj —
 A gdyby nawet było w przykazaniach,
 To ja nie wierzę w boskie przykazania —
 I tak — a jeszcze na moją obronę
 Mógłbym przytoczyć że mię ten nieboszczyk
 Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem —
 Temi wyrazy: widzisz tu Salmona
 Z połamanemi kośćciami; więc dobij! —
 Więc ja dobiłem go — i rzecz skończona. —
 A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
 I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
 Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem.
 (Wychodzi.)

SCENA II.

(Sala w zamku Lecha.)

LECH i SYGOŃ.

LECH.

Więc ty widziałeś jak mój Salmon zginął?
 Opowiedz jego śmierć.

SYGOŃ.

Kiedy się Lechu

Za ostatniemi Wenedy puściłeś,
 Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
 Ujrawszy wzgórze, na którym dwunastu
 Stało Derwidów z harfami złotemi —
 Tak, że z tych starców i z harf pagórkowi
 Była korona — rzucił się z dobytym
 Mieczem na owe wzgórze, Salmon młody,
 I nie znajdując żadnego oporu,
 Króla Derwida wziął za siwą brodę,
 I ciągnął z tronu kamiennego gwałtem —
 Gdy oto nagle harf złotych dwanaście,
 Jako dwanaście siekier podniesionych,
 Na hełm Salmona spadło! — A jam słyszał
 Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu! —

Przybiegłem — wzgórze całe było puste,
A na niem leżał cichy trup Salmona.

LECH.

Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem, za życie mojego rycerza.

SYGOŃ.

Już się królowa zemściła na królu.

LECH.

I cóż?

SYGOŃ.

Kazała mu wylupić oczy.

LECH.

Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — Zabić harfami rycerza!
Chciałbym ten kielich cały krwią napędzić —
Rycerz rozbity jak garnek! nie bronią,
Ale harfami! pfu! — zgroza! — Sygonie!
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę! zrąb mi głowę z karku!
(Wechodzi Lilla Weneda.)
Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?

SYGOŃ.

Córka starego króla.

LECH.

Tego starca,
Który mi zabił Salmona?

SYGOŃ.

Tak panie.

LECH.

Czegóż odemnie ona chce?

LILLA WENEDA.

Litości!

LECH.

Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce. Twój ojciec jest mi jak wąż sprosny —
Młodocianego mi zabił rycerza!

LILLA WENEDA.

Więc nie litośny bądź, lecz sprawiedliwy.

Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
 Młodych rycerzy i przyjaciół starych!
 A żona twoja mu nie zostawiła
 Oczu, by płakał nad swoją niedolą —
 Wyście mu wszystko wydarli, ach wszystko!
 Nawet pociechę, którą ma płaczący,
 Przez olzawione oczy widzieć niebo;
 Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
 Lub córki lica, co chce być wesołą,
 I twarz umila nadziei promieniem.
 O panie! wszystkoście mu już wydarli!
 Wszystko! prócz serca córki nieszczęśliwej —
 Idź Lechu! obacz go — a będziesz płakał!
 Idź Lechu! on tam na twoim dziedzińcu,
 Za siwe, święte włosy przywiązany!
 Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec! —
 Idź Lechu! obacz co oni zrobili
 Z moim nieszczęsnym ojcem! — ty masz oczy:
 Więc idź i obacz! — a jeśli ty Lechu
 Na taki widok nie będziesz litośnym,
 To chyba jesteś Lechu, nie człowiekiem!

LECH.

Sygonie, moja Gwinona się biesi —
 Ona tu miarę przebrała!

LILLA WENEDA.

O Panie!

Ona tam teraz, przed wiszącym starcem
 Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci!
 Ojca mojego im nazywa królem,
 A to małeństwo za matką święgoce
 «Król, król» i w mojego ojca oczy puste,
 Niegodziwemi rzuca kamyczkami.
 O! idź ty Lechu i obacz tę zgrozę!
 O! idź ty Lechu i skarz tę kobietę!
 Ona ci psuje Lechu twoje dziatki:
 Z tych dziątek będą potem królobójce —
 Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
 Tak jak zwą dzisiaj ojca mego królem.

« Król, król, » jak kawki świegocą. O Lechu!
Idź sam i obacz —

LECH.

Wszak nie ma w tym grzechu,
Sygonie, mojej miłej podciąć skrzydeł? —
(Wychodzą.)

LILLA WENEDA.

On mi uwolni ojca z rąk straszyle! —
(Wychodzi.)

SCENA III.

(Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian widać cień przywiązanego Derwida do gałęzi dębu.)

Na przodzie sceny GWINONA, KRAK i ARFON.

KRAK

Mamo! ja nie chcę więcej tego starca
Bić kamykami. On się już nie rusza.

GWINONA.

Krak! jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

KRAK.

Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem, sławnym jak mój papa.

GWINONA.

Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytaleś jak psiątko — nie mamu,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka! —
Wstydz się! czyżykiem jesteś nie chłopakiem.

KRAK.

Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

GWINONA.

Co? nie pamiętasz już, Krak, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować? ten stary
Zabił Salmona; Salmon już nie wróci

KRAK.

Ten stary zabił Salmona?

GWINONA.

A widzisz?

Już rączki ściskasz w kulak, jużes gniewny. —
Arfonie; daj łuk braciszkowski — daj mu —
On lepiej strzela niż ty.

ARFON.

Ja sam trafię.

GWINONA.

Idź, baw się z harfą, daj łuk braciszkowski.

(Dając Krakowi łuk.)

Na! i mierz w serce, w serce — wiesz gdzie serce?

KRAK.

Wiem mamó, bo mi teraz głośno puka.

(Mierzy z łuku w stronę gdzie się znajduje męczony Derwid.)

Wchodzi LECH, SYGOŃ i LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

O! widzisz panie, chcą mi zabić ojca!

LECH.

Gwinona! każ mu spuścić łuk, na Boga!

Bo go tu zetnę szablą jak makówkę.

Cóż to? — czy ojciec jest tu u was niezem?

Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę — spuść łuk!

GWINONA.

Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe. —

Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?

LECH.

Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać?

Kiedy tu widzę moje własne dzieci,

Urągające z niedoli królewskiej!

Jedzące mięso, jak orlątka młode!

Cóż to? czy moje dzieci są chowane

Jak psy rzeźnika? — Precz mi stąd szczeniaki!

(Dzieci odchodzą.)

Gwinono! dosyć już tych okropności.

Każ tego starca odwiązać! —

GWINONA.

Ty panem.

Każ go odwiązać.

LECH.

Cóż to? jużes gniewna?

GWINONA.

O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
 Uwiesić przez ciebie z Islandzkiego brzegu,
 Abym tu była teraz niewolnicą.
 Twojego gniewu i niestałej żądy!
 Lepiej mi było morze rozlukane
 Poślubić, albo wulkan płomienisty,
 Lub zostać Nixów albo Forfadetów
 Małżonką! — Lepiej! o, lepiej sto razy!
 Niż teraz za mym ubogim rycerzem
 Przez świat wędrować i znosić obelgi,
 I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha?
 Bo jakże kocha mię ten lew ryczący?
 Serce mi ciągle gryząc albo głaszcząc,
 Dłonią żelazną — — Jakże mi pochlebia?
 Rano pochlebia a wieczorem karci!
 Jakże mi wierną miłość wynagradza?
 Co mi da rano odbierze wieczorem!
 Tak, że ja nie wiem, żonę ja czy sługę
 Jestem u niego? miłą mu czy gorzką?
 Szlachetną w jego myśli? albo podłą. —
 O! jeśli tak ma być zawsze, o! Lechu!
 To mię odegnaj i pójdę ja bosa
 W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
 Pochlebiać, łasić się, prosić o litość. —
 Wstydzisz się? 'nie mi już nie odpowiadasz?
 Bo ty szlachetny i wiesz że mam słuszność.
 Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida —
 Pierwszy raz rzekłam: on mi przecie ufa —
 A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
 Chodźcie tu wszyscy! patrzcie jak Lech rycerz
 Żonie danego dotrzymuje słowa!
 Ja w słowie jego zaufana święcie —
 Na jego słowo, dałam moje słowo:
 Teraz on swoje święte słowo łamie!
 A ja się muszę oszkalować sama.

I zaprzysiężeń moich nie dotrzymać? —
 Chodź tu dziewczyno, wyzwałaś mię dzisiaj
 Na zakład, że trzy razy ojca twego
 Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam
 Że twego ojca oddam ci, jeżeli
 Trzy razy z śmierci go wyrwiesz okropnej.
 O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
 O której honor nie dba mąż i rycerz.
 Ciesz się więc. — A ty Lechu! tej dziewczeczki
 Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mię!
 Islandzką jestem królowną! pamiętaj!
 Do obelg takich nie przyzwyczajona!
 (Chce odchodzić.)

LECH.

Stój!

GWINONA.

Idę z wieży się rzucić.

LECH.

Kobieto!

GWINONA.

Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
 Porobić struny do twej harfy złotej,
 I starzec ci ten będzie o mej śmierci
 Grał — albo wicher Islandzki przyleci
 Z ojczyściej mojej ziemi — i na strunach
 Położy usta przekleństwem wyjące.

LECH.

Za nadto jesteś teraz rozżalona,
 Mówić nie można z tobą.

(Chce odchodzić.)

LILLA WENEDA, zatrzymując go.

O! mój panie!

LECH.

Czego odemnie chce ta wiedźma! wszyscy
 Przeciwno mnie są?

LILLA WENEDA.

Więc mój ojciec skona?

LECH.

Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą — i niech
Więcej nie slysze o nim!

LILLA WENEDA.

Ach! okrutny!

Słuchajże mię teraz, straszny człowieku!
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić
Zemsty łaknące serca, taki sposób —
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem: że wy struchlejecie
Na samą pierwszą myśl tej okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci — dzieci te u was w niewoli.
Dwóch macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w ręce topór wyostrzony;
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca — co? czy pozwalacie?

GWINONA.

Przywieść tu jeńców.

LILLA WENEDA.

Lecz królu! lecz królu!

Jeżeli brat mój, rzuciwszy toporem,
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy!
O patrzaj! ten włos co tak przeźroczysty,
Jak bład, gwiazdy błękitnej ogonek
Pomiędzy drzewem a starego głową!
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni — czy przyrzekasz?

LECH.

Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Oba?

LECH.

Tak oba —

LILLA WENEDA.

I mój ojciec?

GWINONA.

Ojciec

Do mnie należy — zbaw go tak trzy razy,
A będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Ach! czyliż nie dosyć

Raz tylko ojca zbawić Królowo?!

Wchodzi LELUM i POLELUM. Oba łańcuchami złączeni tak, że prawa
pierwszego ręka do lewej ręki Polelum przykuta.

GWINONA.

Otóż są więźnie — mów, czy się podejmą?
Ty siostra, srogi targ zrobiłaś za nich.

LILLA WENEDA.

O! mówcie do nich wy — ja cała drżąca!

LECH.

Jest wieść że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca, i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi, tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.

LILLA WENEDA.

Nie zechcą! oni nie zechcą! — Polelum!
Jedyny to jest dla ojca ratunek!
Ojciec, na drzewie powieszony, skona,
Jeś mu nie dano ani pić — on skona!
On was nie widzi — wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie widział że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy.
Jeżeli umrze — o śmierć nielitośną
Swego własnego syna nie posądzi —
Polelum! topór weź! Ojciec nie widzi!
Weź! tylko śmiało! —

POLELUM.

Daj.

LILLA WENEDA.

Ale go nie rań!

POLELUM.

I cóż mam robić?

LECH.

Psie! ty godzisz we mnie.

POLELUM.

Mówisz że trzeba godzić w mego ojca?

LECH.

Zginiesz w kajdanach jeśli nie posłuchasz.

(Polelum rzuca topór na ziemię.)

LELUM.

Bracie! napróżno targasz się w łańcuchu —

Niewolnikami jesteśmy. Polelum!

Pomyśl — ty dobrze władasz tym żelazem.

Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił —

Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl

Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,

Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli

Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami —

Polelum! podnieś ten topór okropny!

Przykuty do mnie za twą lewą rękę,

Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej:

Ty cały jesteś moją ręką prawą.

Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał —

Mamyż na wieki i my i nasz ojciec

Już pokonani być dolą, i nigdy,

Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,

Co wreszcie może rozpacz niewolnika?

Polelum! zemsty! — Ja skonam w więzieniu

Mnie trzeba słońca — tobie zemsty trzeba.

Ach! bądź odważny!

POLELUM.

O! Bogi piekielne!

Z jednej mi strony brat cierpiący kona —

Tam ojciec nędzny — tu mi dają topór —

Co robić?

SŁOWACKI. III.

LILLA WENEDA.

O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich!

POLELUM.

Daj topór. O Boże! —

Odwróćcie oczy — abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia.
Więc trzeba włosy te odciąć — te włosy —
Te siwe włosy? — Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami émią. — Okropnie!
Czy wy jesteście pewni że mię ojciec
Nie widzi — tylko czy jesteście pewni?

LILLA WENEDA.

On ma wydarte oczy!

POLELUM.

Przez błysnięcie

Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli!
Ach, dosyć było taką rzecz wymyśleć,
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzył na zabójcę syna!
O! do czegoż ty przyprowadzasz Boże
Człeka, co stracił ojczyznę! — O patrzcie!
Ażeby teraz wyratować brata,
Muszę być ojca mego męczennikiem!
Siostra mię własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź godzino zemsty, albo śmierci!

GWINONA.

Cóż to, więc nie masz odwagi?

POLELUM.

Bezczelna!

Ja się odwagi mojej własnej boję. —
Prowadźcie mię tam, skąd mam rzucać topór!
O tem ciśnięciu straszliwem Weneda
Będzie wam śnić się —

(Prowadzą okutych razem braci na metę rzutu, zasłona spada.)

CHÓR.

(Dwunastu Harderzy.)

Niestety! Niestety!

Gdzie sprawiedliwość Boska? gdzie pioruny?
 Syn na własnego ojca topór rzuca!
 Niebo się całe ęmi krwawemi łuny —
 Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca —
 Piorunów deszcz okropny — świat się wzdryga!
 Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
 Topór, co w drżącej ręce syna miga?
 O synu! serce twe z boleści pęknie,
 O córko! ojca twego krew cię splami!
 O! biada wam! o! biada niewolnicy!
 Mięsza się wasza krew z waszemi łzami.
 Serca dajcie, krew pod dziób orlicy,
 Ona wyściela gniazdo waszemi włosami.

O! Niewolnicy!

Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

A K T III.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha.)

LECH i SYGOŃ.

LECH.

Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
 Wiesz jak ciskają od oka toporem?
 W uszach mi dzwoni okropne żelazo!
 Ażem był jęknął, trwogą zadławiony,
 Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
 Drzazgi z żelaza, rozsypane skrami.
 Jużem się lękał, że w topora jęku
 Zarąbanego starca jęk usłyszę:

Lecz nie! — Wyciągnął ręce i od drzewa
 Jak widmo, z włosom równo odrąbanym,
 Odstał; krwawemi łzami zaplakany,
 O obliczem pełnem boskiego uśmiechu —
 Ach! czyn Weneda taki, musi przeżyć
 Nasze mogiły! — Czy wiesz co? Sygonie,
 Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
 Niechaj na twoich włosach zaprobuję
 Oka i miecza!

SYGOŃ.

Lechu, jestem łysy.

LECH.

Ty łysy, prawda, to sęk! — lecz ja muszę
 Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną.
 Dziś spać nie mogłem: a kiedy nad rankiem
 Zamknąłem oczy, to widmo Salmona
 Jawiło mi się i mówiło do mnie
 Samemi tylko urągówiskami.

(Słychać trąbkę rycerską.)

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?
 To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
 Jakże — mówiłeś mi że Salmon zginął?

SYGOŃ.

Klnę się na Boga żem go widział trupem.

LECH.

Ale to Salmon, patrz, stoi przed bramą.

SYGOŃ.

Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.

LECH.

Stare masz oczy — nie poznajesz zbroi?
 To Salmon — o! mój Salmon! — Chodź tu Salmon!

(Wychodzą)

SCENA II.

(Sala taż sama.)

GWINONA wchodzi.

Co słyszę? Salmon zatrąbił! — O Boże!
 Gdy ja tortury straszne wymyśliłam,

Aby się pomścić za niego — on żyje!
 Także to pewna, że serce przywyka
 Do konieczności, choć najokropniejszej,
 I z jakiegokolwiek bądź rozpaczy, nie chce
 Powracać w przeszłą radość — i z trupami
 Powróconemi znów się zapoznawać! —
 Także to pewna, że osieroczone
 Przez zmarłych miejsca, gdy raz już są puste,
 Muszą pozostać tak, dla nie zmienienia
 Naszych nadziei, które jak pająki,
 Wnet zarabiają sieć gdzie los przeleciał,
 By w niej nie widzieć pustki i rozdarcia.
 Zaczęłam się mścić za niego — on wraca!
 Zemsta bez celu jest i bez przyczyny —
 A już jest rzeczą zaczęta. Więc znowu
 Do mego serca, miłości nieczystej,
 Wraca gorący wąż na dawne miejsce —
 I na wystygłe miejsce znów powraca.
 Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo,
 I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

(Lech. Ślaz w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy. Sygoń.)

SYGOŃ.

Salmon! niech żyje Salmon!

LECH.

O Gwinona!

Witajże ty go — przynieście puhary —
 Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu! —
 Jakżeś Salmonie mój uniknął śmierci?

ŚLAZ.

Zaraz opowiem, tylko mię postawcie
 Na moje nogi, moje własne nogi.
 Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
 Zaczarowany Salmon — lepszy Salmon
 Niż tamten Salmon nie zaczarowany:
 Jestem Salmona dusza w innym ciele.

LECH.

Odsłońże hełmu — niechaj cię zobaczę!

ŚLAZ.

Ach, ba! — mój także hełm zaczarowany.
Jakiem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę —
Przekłęta klatka!

LECH.

Co mówisz?

ŚLAZ.

Niech zginę!

Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę,
Ale hełm ze mną włóczy się po świecie,
I będzie trzymał: aż mu się spodoba
Uwolnić moją głowę, aby jadła.
Ten hełm jeść nie chcę, i ust nie otwiera,
Przekłęta, diabła machina, panowie!
Na ogłodzenie człowieka! —

GWINONA.

Rycerze!

Zrąbcie mu głowę z karku — to nie Salmon!

ŚLAZ.

Przysięgam! mości panowie, ja Salmon!

GWINONA.

Salmon zabity był wczora.

ŚLAZ.

Ja wczora

Byłem zabity, do śmierci zabity. —
Nie dobywajcie mieczów Mospanowie,
Bo jak mię teraz zabijecie, to już
Gotowem nigdy nie żyć. Zabijanie
To na raz sztuka; raz mi się udało,
Drugi raz może mi się już nie uda
Chodzić po śmierci.

LECH.

Cóż więc! jesteś duchem.

ŚLAZ.

Schowajcie miecze, a powiem czem jestem.

LECH.

Jeśliś nie Salmon — to śmierć!

ŚLAZ.

Jestem Salmon.

LECH.

Więc mów jak Salmon.

ŚLAZ.

Otóż to jest sztuka

Mówić jak Salmon zaczarowanemu!

LECH.

Któż to na ciebie rzucił takie czary?

ŚLAZ.

Kto? — Wczoraj martwy leżałem na polu;
 Wtem jakaś wiedźma co paliła trupy,
 Przyszła i wzięła mię za nogi — to nic —
 Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa —
 Aż mię ta straszna olbrzymka, dla tego
 Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień!
 Więc ja zacząłem krzyczeć — więc ta wiedźma
 Puściła moje nogi — więc ja wstałem —
 Więc ona gniewna że ja nie umarłem!
 Zaczarowała mię! wyjęła oczy
 I dała inne oczy na pamiątkę;
 Oczy wydarte z kota: szare, kocie —
 Przez które zaraz zobaczyłem w nocy
 Że mi już także nosa odmieniła,
 I bocianowi wzięwszy dziób, przypięła
 Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma!
 Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
 Spuściłem na nos przyłbicę — więc potem
 Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica
 Nie chciała; i tak szlachetni rycerze,
 Jeżeli teraz chcecie się przekonać
 Jak ja okropnie jestem odmieniony
 Czarami wiedźmy tej, to z łaski waszej
 Przyłbicę mi tę otwórzcie.

GWINONA, otwierając hełm ślaza.

O nieba!

ŚLAZ.

No? cóż? i jakże wy mię znajdujecie?

GWINONA.

Strazydło chude!

ŚLAZ.

Co chude to chude!
Mój pan już na mnie został anatomem.

GWINONA.

O jakim panu ty mówisz?

ŚLAZ.

O jakim?

O Panu Bogu.

LECH.

Ale ci ta wiedźma
Mężnego serca nie zaczarowała?

ŚLAZ.

Serca! to byłoby już bez potrzeby,
Czarować serce! i cóż — czy nie dosyć
Takiego nosa?

LECH.

Tys był najpiękniejszy
Z moich rycerzy; dziś brzydki straszliwie!

ŚLAZ.

Tylko mi dajcie jeść, a obaczycie,
Że jak utyję, to nie będę szpetnym.

LECH.

Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.

(Wychodzą wszyscy, prócz Gwinony.)

GWINONA.

To jakiś oszust w Salmona zbroicy.
O! jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychową nie zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tym może pożytek —
Albo zabawę; i tak oszukani,
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie; wstydząc się za ludzi,
Którzy się wstydzic powinni! — O! głupi
Lud z rąk rycerskich i z głów niemyślących,
Któremu chciałabym władcą moją twardość! —
Inaczej, pierwsza burza, a już po nich.

Pokażę im myśl skierowaną wiecznie,
 Jako sztyletu ostrze, w serce wroga!
 Pokażę, co to jest kobieca wola,
 Jaka głuchota na postronne jęki,
 Jakie wlepienie oczu w same łono,
 Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.
 Jeśli niczego nie nauczę — biada!
 (Wychodzi.)

SCENA III.

(Pole przy lesie.)

LILLA WENEDA, LELUM i POLELUM w łańcuchach.

LILLA WENEDA.

Wolni jesteście. Niech Roza Weneda.
 Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,
 A ja do ojca idę niewolnika.
 Za trzy dni ojca wam żywego wrócę —
 Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
 Dziś jestem smutnej śmierci narzeczoną!
 I może więcej nigdy nie powrócę,
 I może nigdy się nie zobaczymy:
 Pamiętaj o mnie! o! pamiętaj o mnie!
 Ja cię kochałam jako siostra twoja —
 Ja cię kochałam jak wierna kochanka!
 Dzisiaj cię kocham jak ta, co ma umrzeć — —
 Pamiętajsz, jak mi dziećmi małeńkiemi,
 Z obu stron ojca harfy ukłękniemi,
 Przez złote struny dawaliśmy sobie
 Pocałowania? dziwiąc się, że każdy
 Nasz pocałunek, strun się kończył jękiem —
 Była to dziwna losu przepowiednia!
 Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

LELUM.

Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
 Chodź! przedśmiertelne weź pocałowanie?

LILLA WENEDA.

Harfa naszego ojca jest w niewoli,

A ja nie jestem jeszcze zaślubioną —
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

LELUM.

Więc rozpuść Lillo, twoje złote włosy!
Schowaj się za nie, jako za strunami
Harfy ojcowskiej — niechaj przez warkocz
Twoich koralowych ust dotknę ustami —

LILLA WENEDA.

O nie! jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono — kochajcie mię! bracia!
Bo mi na świecie źle, ciemno, i smutno!
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi!
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła.

(Odchodzi.)

LELUM.

Bracie mój! — słyszałeś!

Ona ma umrzeć! —

POLELUM.

Całe piekło we mnie!
Nie więcej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w ręku, przeciw ojca głowie,
Jak teraz słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli! Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

LELUM.

O Polelum!

Ty po mnie żywy zostaniesz.

POLELUM.

Po tobie?

LELUM.

Dla tego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona żyć będziesz po Lelum.

POLELUM.

Ja zadam kłamstwo wróżbie — ja nie będę
Z waszemi groby żył w kraju niewoli!
Świadcę się tobą słońce — — Jeśli kiedy
Ujrzysz mię żywym na brata kurhanie:

To natęż tak twe oczy, światła, Boże!
 Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydney
 Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
 Próżno los wróży że będę ostatnim,
 Ostatnią będzie tu jaka kobieta,
 Albo rzecz jaka żywa, jeszcze słabsza —
 Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpacz
 Władzy skonania — to będzie ostatniem.
 Słońce zapłoni się, jakby shańbione,
 Że nie ma komu świecić tylko gadom,
 I tym co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
 Chodź — wróżka powie nam jak mamy skonać.
 (Wychodzą.)

SCENA IV.

(Sala w zamku Lecha.)

GWINONA, RYCERZE, GRYF.

GWINONA.

Tak być nie może! — nie, tak być nie może!
 Z tym starcem trzeba skończyć — przyprowadźcie
 Króla Derwida, i z mego pokoju
 Przynieście harfę. Klnę się wam na duszę,
 Że ta dziewczyna cierpi pomieszanie —
 Lub pomieszanie cierpi, lub fałszywa!
 A w jej białości tyle jest kolorów,
 Jako na szyi gołębia. — Harfiarka!
 Dumna że czoło mi stawi — żebraczka!
 Otóż mój człowiek.
 (Derwid wprowadzony przez rycerzy, staje przed królową — przy nim sta-
 wiają harfę.)

Postawcie go tutaj!

Blżej przy harfie postawcie! — Człowieku!
 Widzisz że wolę mam żelazną — posłuchaj!
 Błysnął ci topór synowski nad głową,
 Ale miał litość nad tobą i synem
 I tylko trochę urąbał warkocza,
 A głowę dla mnie zostawił nietkniętą. —

Widzę w tym jednak czarodziejską sprawę!
 Topory wasze muszą mieć na ostrzu
 Synowskie oczy — harfy, córek serca:
 Ta harfa twoja dzisiaj postawiona
 Przy łożu mojem, o każdej godzinie
 Nocnej — budziła mię jękiem bolesnym,
 Choć nawet wicher nocy jej nie trącił,
 Ani się ciche dotknęły motyle.
 Naucz mię twego czarodziejstwa, powiedz,
 Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie?
 A z córki twojej uczynię królownę,
 Synowi memu starszemu zaślubię —
 Ty będziesz teściem królewica. I cóż?

DERWID.

Harfa jęczała? — Co mówisz? jęczała!
 Przy tobie stojąc, jęczała?

GWINONA.

Cóż starcze?

DERWID.

Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona! —

GWINONA.

Szalony starzec! śmiercią mi zagraża?

DERWID.

Ty, ty ty za trzy dni umrzesz —

GWINONA.

Ha?

DERWID.

Słyszałaś?

GWINONA.

Nędzarzu!

DERWID.

Trumno! —

GWINONA.

Nieszczęsny!

DERWID.

Śmiertelna! —

GWINONA.

Mój niewolniku!

DERWID.

Królowo trzydniowa!

GWINONA.

Umarły! —

DERWID.

Jak pies zachrzypłaś od krzyku.

GWINONA.

Sliny mam dosyć —

(Piwa na starca.)

DERWID.

O Bogi! o Bogi!

Dajcie mi oczy moje! będę płakał —

GWINONA.

Ha! szzerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

DERWID.

Tyś mię oplwała krwią.

GWINONA.

Patrzcie rycerze!

Ten człowiek królem był!

DERWID.

Patrzcie rycerze!

Oto gadzina ta — była kobietą!

GWINONA.

Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

DERWID.

I ta kobieta miała niegdyś ojca? —

GWINONA.

Proś w mego ojca imię, to przebaczę.

DERWID.

W imię cię ojca potępiam, przeklinam,
I Bogom daję piekielnym za trzy dni —

GWINONA.

Za to żem ciebie zabiła?

DERWID.

Że dręczysz.

GWINONA.

Ha! więc ty czujesz?

DERWID.

Ha więc ty się cieszysz?

GWINONA.

Już nacieszyłam się, teraz zabiję.

DERWID.

Ukąsisz tylko i umrę z wściekliczny.

GWINONA.

Lękasz się mego zęba?

DERWID

Nie — choroby.

GWINONA.

Rycerze! proszę, zlitujcie się nad nim.

To człowiek biedny — to człowiek szalony.

Harfiarzu klękniij.

DERWID.

Rzuć tu na podłogę

Twe czarne serce! pod moje kolana!

GWINONA.

Nudzi mię kłótniarz ten. — Daj mu w policzek

DERWID.

Stój! splamisz ręce — ja mam twarz oplwaną?

GWINONA.

Cóż to? ja sama mam bić tego króla?

Masz —!

(Uderza go.)

DERWID.

Nikczemnico! niech cię Bóg obali!

O! serce! o!

(Mdleje.)

GWINONA.

Wynieście trupa

I rzućcie wężom!

(Rycerze wynoszą Derwida.)

Gryfiel ty dopilnuj,

Niech do wężowej wieży rzuca starca!

(Gryf wychodzi.)

Głupie! bez serca rycerstwo, patrzyło,

Gdy we mnie wzbierał gniew! Kiedym ja wrzała,

To stali cicho, jak uliczne chłopcy,

Sykaniem szczwając psa mego gniewu.

Milczeli wszyscy! — Gdyby tylko jeden

Na starca słowem uderzył gryzącem,
 I mej bezsilnej, kobiecej wściekłości
 Przyszedł z pomocą, byłabym ostygła — —
 Lecleni z milczeli! a jam się rzucała
 W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
 Znienawidzona i nienawidząca —
 Z całego serca ich nienawidząca!

(Lilla Weneda wchodzi.)

LILLA WENEDA.

Pani! gdzie ojca mego niosą?

GWINONA.

Na śmierć.

LILLA WENEDA.

Powiedz! na jaką śmierć ty go skazałaś.

GWINONA.

Kazałam rzucić na pożarcie wężom.

LILLA WENEDA.

Wężom?

GWINONA.

Spojrzałam wczoraj w jedną wieżę,
 Która przy zamku stoi zrujnowana —
 Spojrzałam: z gadzin okropne powoje —
 Błyszcząc, pełne ślin, pną się na ściany;
 A w głębokości gniazda wężów leżą.
 Błyskają oczy, wiją się ogony,
 I ciągle słychać świst, sykanie, gwary,
 Jak w garnku wrącym! — Tam! w ciemność okropną,
 W tę sykającą ciemność, w te wężowe
 Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
 Twojego ojca!

LILLA WENEDA.

O Boże! o Boże!

Mój ojciec wężom jest rzucony głodnym?

Wężę nie będą mieć nad nim litości!

O! więc mi skonać!

GWINONA.

I cóż gołębico?

Żadnego teraz ratunku, wybiegu?

Tu nie pomoże topór twego brata,
 Tu nie pomogą twoje łyzy: — pożarty
 I rozszarpany między gadzinami
 Twój stary ojciec! —

LILLA WENEDA.

Ta harfa go zbawi! —
 (Chwyta za harfę i wybiega.

GWINONA.

Harfa! Idź z Bogiem wariatko smętna!
 Czegoż dokążesz harfą uzbrojona,
 Przeciwno zemście węzów — i kobiety?
 (Wychodzi.)

SCENA V.

(Sala tań sama.)

LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

Sygonie! człowiek ten nie jest Salmonem.
 Przy uczcie jeden mu dał w łeb talerzem —
 Ten człowiek, widząc krew ciekącą z czoła,
 Zawołał: octu! — Gdyby to był Salmon,
 Byłby zawołał: szabli! — Wiesz co myślę?
 Już postawiłem go na straży w bramie.
 Zmieniwszy zbroję, razem nań wpadniemy:
 Jeżeli zamiast bronić się, jak Salmon,
 Będzie o życie błagał na kolanach —
 Każę go jak psa powiesić, ówczyć.

(Goniec wchodzi.)

GONIEC.

Lechu! nowiny są okropne z pola!
 Wenedy znów się rzucają do broni.
 Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
 Na drugiej stronie Gopła, ze stu ludźmi,
 Wzięty w niewolę!

LECH.

Nie mówić Gwinonie!

Ona miłuje bardzo tego syna.
 Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,

W ostatniej walce dzidami poklute! —
 To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty. —
 O! syn mój biedny! — Ale te psy wściekłe
 Nie będą śmieli jeńca zamordować? —
 Nie mówić tyl o nic o tem Gwinonie,
 Syna odbiję nim się ona dowie.

GONIEC.

Różne biegają straszne przepowiednie
 O przyszłej walce między Wenedami.
 Wszystkie te wróżby sieje czarownica,
 Młoda i piękna, co na tysej górze
 Ma wykopany loch, podobny gniazdom
 Rzecznych jaskółek.

LECH.

Cóż za wróżby? powiedz!

GONIEC.

Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
 Dwa serca, oczów czworo płomienistych,
 Lecz jeden tylko oszczep, jedną tarczę —

LECH.

Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy!
 Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca. —
 Lepiejby wyszli, gdyby miał dwie tarcze,
 I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden.

GONIEC.

Mówią że walka będzie oświecona
 Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno.

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada —
 Że po tej walce — martwych popiołami
 Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
 Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
 Ja będę w grobie, a mój syn na tronie!
 Ale to wszystko są na dzieci strachy:

I wódz ten z dwoma głowami i mściciel — —
 Dosyć! już ciemno, dosyć już tych bredni!
 Bić się będziemy i to jest najlepsza.
 Chodźmy Salmona wypróbować męstwo!
 (Wychodzą.)

SCENA VI.

(Dziedziniec w zamku Lecha. Noc.)

ŚLAZ, na straży przy bramie.
 Trzeba Salmoństwo to skończyć — dalibóg!
 Salmoństwo moje bardzo niebezpieczne!
 I różnych rzeczy wymaga! — Naprzykład:
 Odwagi. Gdybym wiedział że ze zbroją
 Spadają na mnie takie obligacje,
 Bylbym nie tykał jej, ani tych rzeczy,
 Które rycerza są. — Co widzę? Chryste!
 Pan mój dawniejszy prosto w bramę dąży.
 Wyda się kłamstwo! po radę do głowy. —
 (Słychać stukanie do bramy. Śláz otwiera drzwi i ujrawszy Świętego Gwalberta, zatrzymuje go halabardą u wejścia.)

Ktoś ty?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Domowi temu niosę pokój.

ŚLAZ.

A więc nie wejdiesz — my żyjemy z wojny.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Puść mię do Lecha, puść mężny rycerzu,
 Niech cię Spiritus Sanctus — — O, pohañcze!
 Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa!
 Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi:
 Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi
 Białością, cała powietrzem tęczowa.
 Z gwiazdy sinemi, matka Chrystusowa
 Pokazała się — ukląkłem — a ona:

Idź! bo stary Derwid kona! —

Córka jego, mój gołąbek,

Z bólu umiera! —

Tak mówiąc, w tęczy się rąbek
 Owinęła postać święta,
 I uniosła jak anielska sfera
 Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni!

ŚLAZ.

Czemuś nie nabrał tych gwiazd do kieszeni —
 Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zapłacić? święci nic nie płacą.

ŚLAZ.

Czemu?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bóg daje wszystko temu kto jest z Bogiem.
 Ale nie trzymaj mię przed zamku progiem! —
 Twój upór sługę mego przypomina.

ŚLAZ.

Cóż to za człowiek był?

ŚWIĘTY GWALBERT.

At, lajdaczyna!

ŚLAZ.

Gdzież jest?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Już teraz djabeł wziął do piekła.

ŚLAZ.

Już w piekle?

ŚWIĘTY GWALBERT.

W piekle.

ŚLAZ.

Heo — dobra nowina!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Miałem lajdaka sługę — skradł mi wszystko
 I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
 Z której ja sobie uczyniłem celę!
 Tak, że w tej czaszce, gdzie niegdyś mieszkały
 Bogi Walhalli, teraz się świeciła
 Czystość dziewicza, w gwiazdzistej koronie!
 I odzywała się czysta modlitwa.

ŚLAZ.

To jakiś sługa niewierny!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bies sługa!

Teraz ja myślę że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał.
Lecz nie przełamie djabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemogą. —
Jeżeli jeszcze ten djabeł bezwstydnym
Jest w ludzkiej skórze, to pod dyscypliną.
Lecz zdaje mi się że to nie był djabeł —
Rycerzu! on był na djabła za głupi.

ŚLAZ, na stronie.

Wolałbym, żeby trzymał się był o mnie
Pierwszej opinji. — Ach! ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona.

(Głośno.)

Chodź tu staruszkule święty!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dzięki Bogu!

Poganin zaczął już przeziierać światło.
Nazwał mię świętym — do chrztu niedaleko.

ŚLAZ, na stronie.

Ja ciebie ochrzczę, dalibóg że ochrzczę.
Usalmonuję ciebie. (Głośno.) Przewielebny!
Już noc — — Lech teraz śpi —

ŚWIĘTY GWALBERT.

Pokaż mi drogę —

Ja go obudzę.

ŚLAZ.

Pomyśl! — to lew srogi —
Gotów się rzucić na ciebie i pożyć.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Więc mi to będzie wieniec męczennika.

ŚLAZ.

Staruszkule! ty masz oczy bazaliszka!
W świętym czerepie mię oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży —

Choć za to można jak nic, zgubić głowę
Lecz na usługi twoje jestem gotów.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Uczyń to, uczyni, a nagroda w niebie.

ŚLAZ.

Więc mi oddadzą w niebie moją głowę?
Ja wcale innej nie żądam nagrody —
Ja moją głowę bardzo kocham, cenię.
Jeśli przyrzekasz, że jak głowę stracę,
To ją odzyskam, pójdę budzić Lecha.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przeczuwasz prawie święte pismo Boże:
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.

ŚLAZ.

Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Głowa jest niczem, gdzie chodzi o duszę.

ŚLAZ.

Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale nie ma bezpieczeństwa —
Ja wolę głowę niż duszę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nędzniku!

Ja ci dowiodę, że światowe szczęście —

ŚLAZ.

Ty mi dowodzisz, a twój Derwid ginie!
Lepiej że moją zbroję weź na siebie
I postój za mnie na straży, przy bramie.
To pójdę, Lecha obudzę i wrócę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Rycerzu! daj mi zbroję i zbudź Lecha.

ŚLAZ.

Stójże tu stary — dzida w ręce prawej
Przeciwno wrogom, tak — hełm na łysinę.

(Na stronie.)

O, teraz-że mu zamknąłem przyłbicę!
Jeśli otworzy będzie mądry. (Głośno.) Stój tu! —

Jeśli pytają: kto? odpowiedz: Salmon —
Ja jestem Salmon. — Za chwilę powrócę.

(Wykrada się za bramę zamku i ucieka.)

ŚWIĘTY GWALBERT w zbroi, chodząc wielkim krokiem.

Więc-że to Boże i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie — dobrzy, choć poganie!
Otóż włożyłem rycerską kolczugę —
Najsświętsza Panno! patrz na twego sługę.
Oto jak rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym Gedeon w szyszaku:
Trąbą mi teraz tylko walić mury,
I piorunować grzeszniki i króle. —
Cóż to za zbrojni ludzie z latarniami?

(Lech i Sygoń z latarniami, zbrojno.)

LECH.

Tu był na straży Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Jestem Salmon.

LECH.

Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił!
To jakiś możny jest czarownik. — Mówisz
Że jesteś Salmon? Salmon straci głowę
Jeśli się wyda — że nie jesteś Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

O nieba! — jestem Salmon.

LECH.

Patrz-no, Sygoń —

Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,
Króciutkie nogi w łapciach z pod puklerza!
To jakiś możny djabeł — możny djabeł. —
O czarowniku! jeżeliś ty Salmon,
Po śmierci w ciało ubrany djabelskie,
To na kawalki potnę twoje ciało;
Aż dusza twoja w ogniu gorejąca,
Nie będzie miała w co się ubrać — broń się!

(Napada z mieczem.)

ŚWIĘTY GWALBERT.

O panie! ja nie Salmon!

LECH.

Któż ty taki?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nazywają mię powszechnie Gwalbertem,
Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę;
Bo ja nie umiem tej klatki otworzyć. —

LECH.

To tak jak tamten. Wymówka ta sama.
Nędzniku! wziąłeś na się inną postać;
Przybiegły jesteś — włos ci czarny zbielał!
Jam ciebie chudym widział przed godziną,
Teraz żołądek masz pełny, i może
Płonących węgli masz pełny żołądek.
Na Boga! czarów nie będę igraszką. —
Do mnie rycerze.

(Klaszcze: wchodzi kilku z rycerstwa.)

Weźcie tego djabła. —

Sygon! niech rzucą go węzom, do wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Święta Mario! broń twojego sługi.

(Żołnierze wynoszą Świętego Gwalberta, który krzyczy i wyrwa się. Sygon
wychodzi za nimi. — Na krzyk starca wbiega Gwinona.)

GWINONA.

Co to za zgiełk? co to są za krzyki?

LECH.

Kazałem węzom rzucić czarownika.

Ten Salmon, żono, to był zły duch, nocny! —

GWINONA.

Wężę nie głodne, dziś jadły człowieka.

(Sygon wraca.)

LECH.

Sygonie! cóż to, powróciłeś błady?

SYGON.

Panie! powracam z nad węzowej wieży.

GWINONA.

I tam widziałeś poszarpane członki

Człowieka, w paszczy węzowej trzeszczące?

I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?
 I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,
 Która nad straszną wieżą nachylona,
 Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,
 Skrzydełek tylko lekkim trzepotaniem
 Okazywała strach?

SYGOŃ.

Ja tam widziałem

Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły!
 Przy wieży, biała księżycem dziewica,
 Siedzi, na harfie grająca — a przy niej
 W krąg stoją węże, tak wyprostowane
 Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną!
 Ona te węże czarodziejską pieśnią
 Zaczarowane trzyma i spokojne,
 Ale już widać że jej białe ręce
 Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy
 Z życiem harfiarki w głodnych węzów paszczy.

GWINONA.

Więc wieża gdzie ten stary człowiek? —

SYGOŃ.

Pusta!

Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary
 Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
 Są słuchaczami córki —

GWINONA.

Zwyciężyła!

Dobądźcie z wieży starego Derwida. —
 O! głupie węże! o przekłete gady!
 Córce odebrać harfę i wypędzić;
 Derwida zamknąć w podziemne ciemnice!
 Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.
 Czy go nakarmi córka, zobaczycie.

SYGOŃ.

A z tym Salmonem co zrobić?

LECH.

Zamknąć go

W jednym więzieniu z Derwidem — zamorzyć.
Oba są warci zgonu czarownicy.

(Wychodzą.)

CHÓR dwunastu Harfarzy.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się łała.
W przeszłości słyhać dźwięk tej harfy cudu,
Co węzom dała łyzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdzie ognie zaczął buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdaleka;
Będziecież wy, jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy, jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu,
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc hańba się łąże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić, i truc oręże.

A K T IV.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha.)

LECH. GWINONA, GRYF. Wchodzi LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie noszę chleba, nie mam nic przy sobie,
Więc i mię puście do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią —
Jam go nie mogła zbawić — więc pożegnam.

Dla tego głowę ubrałam w lilije
 W te wodne kwiaty, które u nas kładną
 Dziewicom zmarłym na ostygle czoła.
 O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
 Ja biedna! zimne węże rozczuliłam,
 I tak się do mnie gady przywizały,
 Że za mną cały kłębek biegał i syczał,
 Jak pies wyjący smutnie z przywiązania.
 I cóż ja winna, że węże wołały
 Słuchać mej pieśni, niż mojego płaczu?
 A żem ja węże zimne rozczuliła,
 Dla czegoż w tobie powiększyłam srogość?
 Czy ty zazdrościsz mi Pani zwycięstwa,
 Które mi ojca mego wybawiło?
 O! jeśli tak jest, to weź go za ojca.
 A ja go będę na śmierć skazywała,
 A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
 Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni. —
 Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,
 Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
 A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
 W czoło chcę tylko pocałować zimne;
 Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
 Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam! —
 O patrz! koszula moja nie związana,
 Nie niosę chleba, ani żadnej strawy —
 Może się boisz że jak drzwi otworzę,
 To wleci za mną jaka muszka złota
 I ten ją starzec zje? — O! pani moja,
 Bóg muchy strzeże od śmierci — ta muszka
 Będzie mieć jaką córkę co ją zbawi.
 Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
 I nikt się o mnie biedną nie upomni.
 O! proszę ja was, kaźcie wy mię wpuścić
 Do mego ojca głodnego!

LECH.

Gwinona!

Na Boga! te lzy miecz mi rozhartują.

GWINONA.

I ty jej wierzysz? — To są łyżymyślone —
Ona dwa razy tak płakała głośno!
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieję ze mnie, jeśli ojca zbawi.

LECH.

I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

GWINONA.

Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią.
Więcej on strącił koron z głów posepnych,
Niż ci się zdaje. O! śmiech, to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje,
I tam go kasa, kasa, do krwi kasa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc. Ja znam takich ludzi
Z których się żaden żywy śmiać nie waży!
Ci ludzie mają królestwo nad temi,
Którzy są śmiechowi ludzkiego poddani.

LILLA WENEDA.

Królowol czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w nim jaskółka uwinęła gniazdo —
Więc ty masz litość: a czy się kto śmieje,
Że ty masz litość nad jaskółką? — Pani!
Więc ja znalazłem w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się pani zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te splakane oczy,
A potem zlituj się nademną ślepą,
I każ mię wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.

GWINONA.

Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.

LILLA WENEDA.

O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.

GWINONA.

Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec ojciec jej, morzony głodem.

(Lilla Weneda i Gryf wychodzą.)

Lechu! na twoją to zrobiłam prośbę,
Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?

LECH.

Gwinono! syn nasz w niewoli. —

GWINONA.

W niewoli?

Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?
Nie — ty mię straszysz. — Nie wiesz sam co mówisz!
On mi się dzisiaj śnił. — O! Boże! Boże!
Na syna mego zgubę pracowałam
Syn u Wenedów? Lechon u Wenedów!
Lechon — on nie ma takiej córki! —

LECH.

Żono!

Ja go odbiję.

GWINONA.

Trupa ty odbijesz!

O Lechu! na koń! na koń! na koń Lechu!
Wszyscy rycerze! — Zbierz wszystkich rycerzy!
Jeśli wrócicie żywi bez Lechona,
Ja się zabiję — będę plwała w oczy!
Ja się zabiję. — Cóż wy tchórze? na koń!

(Wybiega.)

LECH.

Niech się wykrzyczy, krzyk nie nie pomoże.
Dziś za mego Lechona stu trupem położę!

(Wychodzi.)

SCENA II.

(Błonie.)

ŚLAZ, wchodzi.

Moja nieboszczka matula mówiła,
 Że kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo —
 Co mi matula mówiła o kłamstwie —
 Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
 Powinna była zrobić tem fortunę —
 Umarła goła jak Lazarus — a ja?
 Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
 Na wieki wieków! To szczęście, że jakoś
 Mojego pana zrobiwszy Salmonem —
 Niechaj mu światło wiekuiste świeci —
 Uciekłem z zamku, i dobrze się stało!
 Gwalbertus mój pan został męczennikiem,
 I pod imieniem świętego Salmona
 Króluje w niebie — więc dobrze się stało.
 Lecz to jest kwestja — quomondo uniknąć
 Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
 Już próbowałem chrześcijańskiej paszy,
 Już próbowałem rycerskiego chleba,
 I zawsze chudy jak słomka — więc ergo,
 Pan Ślaz niech rusza do dziczy — rzecz prosta!
 Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
 W jakim kolorze? — w kolorze Wenedów —
 Jako szpieg? a pfuj! — Nie szpieg lecz nowiniarz,
 Zemsty nowiniarz, blekotnik nowiniarz;
 Człowiek ognistej mowy, krwawych zębów,
 I czerwonego języka — — Więc ergo
 Gdy zapytają: czy widziałeś Lecha?
 Widziałem. — A co robi? — Gdym go widział
 To jadł Weneda z solą. — A Gwinona?
 Gwinona we krwi się dziątek kąpała. —
 A cóż się stało z naszym starym królem?
 A ja pokażę tak, język wywalę
 I zamknę oczy: wasz król est finitus.

A jego córka? — a ja lzy jak z wiadra
 Popuszczę na to i nie nie odpowiem —
 Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo,
 Takie żalosne kłamstwo, że uwierzą
 I jeść mi dadzą — za to żem się spłakał.
 (Wychodzi.)

SCENA III.

(Sala w zamku Lecha.)

LECH, GWINONA, Rycerze.

LECH.

Na Boga! bądź-że cierpliwą! na Boga!
 Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.

GWINONA.

Ty gadasz! a tam mój syn roztargany?
 O! straszna! głupia jest cierpliwość twoja! —
 Jak nienawidzę w ludziach cierpliwości!
 Często im wcale czekać nie potrzeba,
 Ale dla tego że ktoś prosi: śpiesz się». —
 To oni różne wynajdują zwłoki,
 Aby pokazać wyższość i rozwagę,
 I nad palącym się sercem panować.
 Lechu! czy wiesz ty ile chwil potrzeba,
 Aby zabito bezbronno jeńca?
 Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
 O Lechu! jeśli mój syn biedny zginie,
 To w dzień i w nocy będę ci krzyczała:
 Tyś syna twego zabił cierpliwością!
 Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwą —
 Cierpliwie będę ci kasała serce. —
 We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość. — O, kacie!
 O! kacie twego nieszczęsnego syna! —
 Ach Boże! daj co gryźć mojemu sercu,
 Bo jabym teraz serce męża gryzła! —
 Ja wiem co powiem: Lechu! — jesteś tchórzem!

LECH.

Tchórzem niejestem.

GWINONA.

Więc ojcem nie jesteś!

Czemże ty jesteś? — kawalkiem żelaza!

LECH.

O! tego nadto! — nadto! — Ty dotychczas

Byłaś w domostwie samowładną panią.

Jam ci ulegał, bojący się wrzasku;

Ty napelniałaś mój dom okrucieństwem.

Na Boga, już mi się to wreszcie nudzi! —

Rycerzy moich garsteczka maleńka —

Podjazdem i te siły rozerwane,

A ci Wenedzi z dwunastu się krain

Zeszli i całe okrywają pole.

Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją

W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;

Tam są Letoni co na hełmach noszą

Rogi, żywemu wyrwane turowi;

Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,

Co głowy jako szczygły, ubierają

W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy,

Migocące się niosą pióra pawie! —

Nad temi tłupy dwunastu Harfiarzy;

Nad harfiarzami straszna prorokini,

Na samym szczycie ludzkiej piramidy,

Błyskawicami gadająca! — A ja

Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?

Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczytu?

Nie czekać aż mi w noc błyskawicową

Z nieba lejące pomogą pioruny?

Szalona jesteś — szalona kobieto?

GWINONA.

O! widzę, że już ciebie nie przelamię!

Widzę już! widzę mego syna trupem! —

LECH.

Syn twój powróci, syn powróci — nie płacz.

GWINONA.

O! jużem ja go teraz oplakała.

O rozpacz! rozpacz! — o rozpacz! on skonał!

(Lilla Weneda wchodzi bez wianka liljowego na głowie.)

LILLA WENEDA.

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
 Mój ojciec do mnie należy królowo!
 Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wienca,
 W liljach było mego ojca życie;
 Ja życie ojca przyniosłam na głowie —
 Jego zbawieniem ukoronowana.
 Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda:
 Lilije wodne nas od głodu bronią,
 Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
 Ty nie wiedziałaś że ten wieniec biały,
 Zdziecinniałemu, będzie piersią matki,
 Że on go będzie ssał, śmiał się, i płakał,
 Podnosząc puste powieki do nieba,
 Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
 O! teraz ojciec mój! — jam go zbawiła.
 Lechu, słyszałeś jaki był warunek?
 Nie pozwól królu żonie łamać wiary.

GWINONA.

Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła,
 I tu mię przyszła zagłuszyć radością!
 A kiedy ona mówiła o ojcu,
 To ja nieszczęsna myślałam o synie;
 A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
 To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu! —
 Weź ojca swego! weź! — Ja potrzebuję
 Nauczyć teraz was wszystkich litości.
 Jabym głaskała ręką wasze tury,
 Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
 Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
 Miodem litości — a sosen szumowi
 Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
 O! kaźcie tutaj starca przyprować,
 Ja go odeszlę ojcem memu dziecku.

(Rycerzy kilku wychodzi.)

LILLA WENEDA.

Pani! ty dobra jesteś — o! ty dobra!
 Już ja nie powiem żem ojca zbawiła;

Ale żeś ty mi dała mego ojca.
 Obaczysz jak to serce drży z radości
 Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

(Derwid wchodzi i Rycerze.)

Ojczy! wracamy do nas — ta królowa
 Dała mi ciebie. — Ojczy, chodź na słońce —
 Bądźcie mi zdrowi królu i królowo —
 Chodź ojczy! Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

DERWID.

Córko? a moja harfa?

LILLA WENEDA.

O! królowo!

Widzisz — mój ojciec cały drży z radości.
 Aleś ty pewnie pani zapomniała,
 Że ci nie może dziękować oczyma?
 Więc ja za niego leję łzy — i jeszcze
 Za ojca mego muszę być natrętną:
 Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
 Którą mój ojciec miał od swego ojca.
 O! wróć mu pani tę harfę! o! wróć mu!

GWINONA.

Przynieście harfę, którą ja kazałam
 W cedrowej skrzyni uspić rozplakaną!

LILLA WENEDA.

Ojczy, ty harfę mieć będziesz.

DERWID.

Oddała? —

GWINONA, na stronie do Lecha.

Widziałeś Lechu, gdy wspomniał o harfie,
 To z jego powiek wybiegły czerwone
 Dwie łzy, ogromne łzy — czy uważałeś?
 To były straszne łzy —

LECH.

I cóż kobieto?

GWINONA.

Co? — nie rozumiesz? Córka albo harfa
 Zostanie tutaj zakładnicą! — Widzisz —
 Ten człowiek musi wybrać między dwoma,

A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną!
Rozumiesz? Gdyby nie te łyż czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała
Że tu jest wybór!

LECH.

Już widzę, już widzę.

GWINONA.

Milcz. (Do Derwida.) O Derwidzie! Wy Wenedzi, macie
Nienasycone serca — przed godziną
Wiercony srogim głodem aż do kości,
Byłbys poprzestał na kawałku chleba;
Lecz teraz w miarę łask, żądania rosną,
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał —
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się. —

DERWID.

Każ odprowadzić mię więc do więzienia —
Trupy się nie mszczą.

GWINONA.

O! twardy człowieku,
Nigdyż twe serce przedemną nie zdrzy?

DERWID.

Wyjm je i zobacz.

GWINONA.

Ja ci daję wolność. —

DERWID.

I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe;
Na me kolana ty rachujesz drżące!
Że mię przed tobą powalą? — Nie, jędzo,
Nie! nie! nie! — Córko! daj mi rękę. — Jędzo!
Przed tobą skonam stojąc — zastygnę —
Wtenczas twe dziecko mię paluszkiem trąci —
I padnę — padnę — ale pókim żywy
To jestem równy tobie — król i człowiek.

GWINONA, do wnoszących harfę.

Postawcie przy nim bliżej harfę złotą;

Niechaj się na niej oprze ręką drugą.

(Stawiają harfę przy Derwidzie. Starzec jedną rękę na harfę, drugą kładzie na głowie córki.)

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem —

A gdyś w niewoli był, obie zarówno

Płakały — obie jak córki — o! teraz

Wybierz pomiędzy płaczkami! Derwidzie!

I niech wybrana idzie z tobą w lasy,

A druga córka twoja odrzucona,

Ze mną zostanie — i będzie zakładem.

DERWID.

Córko! co ona mówi?

LILLA WENEDA.

Ojczy drogi!

Ta pani harfę ci oddaje złotą.

DERWID.

Tę harfę?

LILLA WENEDA.

Ojczy, harfę.

DERWID.

Już oddała?

To chodźmy córko.

LILLA WENEDA, do Gwinony.

Pani, ja powrócę,

I będę twoją niewolnicą. — Ojczy!

Chodźmy już —

GWINONA.

Harfę porzucarz Derwidzie? —

LILLA WENEDA.

Nie mów tak głośno — jam cię zrozumiała.

Okropną jesteś — zlituj się nademną.

Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj

Mieć porzuconą przez własnego ojca.

Serce mi pęknie i będziesz tu miała

Trupa nie córkę! — O! bo w mojem sercu

Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie —

Lecz wszystkie pękną od razu z boleści,
 Jednym wyrazem ojcowskim stargane —
 I nad nim także litość miej i nad nim!
 Proszę cię sroga, miej i nad nim litość!

GWINONA.

Będziesz li zawsze, jak mała ptaszyna,
 Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węza?
 Jeślim wyrzekła — to chcę. Kto mi wzbroni
 Spróbować serca ojcowskiego? i tu
 Usprawiedliwić siebie żem je gryzła?
 Wytłomacz ojcu sama czego pragnę.

LILLA WENEDA.

O Nielitośna! — Ojczy, ta królowa
 Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
 Ty wybierz sobie dziecko które śpiewa,
 A zostaw dziecko które tylko płacze —
 Ja wiem że ty mię kochasz, ojczy drogi,
 Lecz nie wybieraj mnie; boś nieszczęśliwy —
 Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
 To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
 A w harfie echo nieśmiertelne. Ojczy!
 Wybierz co kochasz, a to co odrzucisz —
 Kochaj — —

DERWID.

Niebiosa! — Córko! gdzie ty jesteś? —
 Ja kocham moją córkę. O! gołąbku!
 Chodź i ślepego prowadź. Córko — prowadź
 I wyjdźmy prędzej stąd. — Córko! a harfa?

LILLA WENEDA.

O! harfa skarży się żeś ją opuścił — —
 (Trąca o strony.)

DERWID.

Harfa się skarży na mnie?

LILLA WENEDA.

Ojczy! jęczy.

DERWID.

Jęczy? — Gdzie moja harfa? — czy to mara,
 Czy to duch mojej harfy rozplakanej —

Stoi przedemną w promieniach? i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba! — Ha! —

(Lilla znów porusza struny.)

I znów —

Słyszycie! harfa jęknęła — słyszycie?

O! dajcie! niech ją obejmę w ramiona!

Dajcie! to córka królów rozplakana — —

(Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią.)

Gdzie drzwi? — Rycerze! gońcie mię z mieczami!

O! ja tej harfy nie dam — — Harfy nie dam!

(Pada piersią na harfę.)

LILLA WENEDA.

Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.

Wstań, dobry ojczy! — O! patrzcie! o patrzcie!

Usta położył na strunach, całuje,

A te niedobre struny i niewdzięczne

Usta mu krwawią. — O struny! o struny!

Wy nie jesteście córkami. — Królowo!

Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli

Myślisz ty pani, że ja teraz płacę

Dla tego, że mię ojciec mój porzucił:

To bądź przekłeta za tę myśl! — To radość!

Wyrzywa z oczu moich łzy! to radość!

Niechaj nikt ojca mego nie sądzi.

Dzisiaj, karmiony starzec lilijami,

Tak mię całował w usta i we włosy,

I do mnie tak się przytulał rozpacznie,

Jak się do harfy odzyskanej tuli.

A że ja płacę, to tylko dla tego,

Że przypominam ojca pocałunki

W ciemnem więzieniu — i łzy moje głupie

Pytają same serca, czemu płacze?

GWINONA.

Oderwać starca od harfy!

LILLA WENEDA, podnosząc ojca.

Widzicie —

On już łagodny jak baranek.

GWINONA.

Starcze!

Syn mój najstarszy Lechon, syn mój drogi,
 Jest niewolnikiem twoim — a ta harfa
 W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
 Aż mi żywego wrócisz syna.

DERWID.

Harfa?

Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

LILLA WENEDA.

O pani!

Więc jeszcze raz się rzucę na kolana,
 I będę ciebie prosiła ze łzami —
 Oddaj mu harfę, a mnie weź! Czy myślisz
 Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
 Ten starzec nie da za córkę? O pozwól!
 Niech tylko mego ojca odprowadzę!
 On ślepy — tylko odprowadzę ojca,
 A sama wrócę; a że ja powrócę,
 To niech ci harfa ta będzie zakładem.
 Ale przysięgnij że za niewolnicę
 Królowną, harfę wypuścisz z niewoli:
 A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
 Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
 O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

GWINONA.

Jakiż mi zakład z córki nie kochanej?

LECH.

Na Boga! dosyć Gwinono! już dosyć!
 Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
 Przysięgam! jeśli z Lechonem powróci,
 To weźmie harfę, Lechona i moje
 Błogosławieństwo. Jeśli wróci sama —
 To i tak za nią, przysięgam na bogi!
 Oddasz kawałek płaczącego drzewa.

GWINONA.

Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

LILLA WENEDA.

Dzięki wam! dziękil — Ojcze, dziś wieczorem
 Harfę ci twoją postawię do grania.
 Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
 A teraz — o! królowie, do widzenia.
 Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica — —
 Chodź, dobry ojcze!

DERWID.

A harfa?

LILLA WENEDA.

Ta idzie

Za nami, ojcze! (Do Lecha) Szlachetny rycerzu!
 W twojem więzieniu został smętny starzec,
 Także niewinny.

(Odchodzi z ojcem.)

LECH.

Ha! to ten czarownik! —

Sygonie! każ go wypuścić na wolność.
 W ludziach anielstwa tyle, że nie można
 Traktować jak psów — wypuścić go z więzy.
 A teraz chodźmy stroić się do walki!

(Wychodzi.)

GWINONA.

Położcie harfę w skrzyni cedrowej — ta harfa
 Dla mnie jest teraz Lechonem — — Nie kładźcie
 W tej trumnie z drzewa harfy — bo pomyślę
 Że syn mój, drogi Lechon, w trumnie leży.
 A jeśli stanie się jakie nieszczęście
 Z mojem kochanem dzieckiem, to przypomnę
 Tę harfę w trumnie, i będę myślała
 Że sama syna położyłam w trumnie.
 Natura może stąd wziąć pochop, i to
 Wtrumnienie harfy strasznie naśladować
 Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną. —
 Okropny zachód słońca i te mury
 Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie!
 Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą —
 Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.

(Wychodzą.)

SCENA VI.

(Grota wróżki, oświetlona czerwonym blaskiem.)

ROZA WENEDA stoi przy otworze groty i do zachodzącego słońca śpiewa runiczną inwokację. DWUNASTU HARFIARZY.

ROZA WENEDA.

Do krwi złote słońce! do krwi słońce!
 Ty ostatnie słońce we krwi gaśnij! —
 Tu na walkę wrony! kruk! orły! —
 Tu na walkę psy wyjące smutnie!
 Tu na walkę chmury z piorunami!
 Tu szumiące wichry! — Słońce gaśnij! —
 Kruki! orły! wichry i pioruny!
 Dajcie hasło! chmury! dajcie hasło!

(Słychać daleki grom.)

HARFIARZ.

Grom usłyszał i odzywa się głucho.

ROZA WENEDA.

Do mnie! do mnie! do mnie! tu pioruny!
 Tu nad głową moją jako wieniec!
 Niech ja, mściwa z was, mam włos, pioruny!
 Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
 Gdy za ojca mego stanę tronem,
 Słuchająca jęków i czerwona
 W krwi wyziewach — koronie z błyskawic!

HARFIARZ.

Cóż ci mówiły wróżby? Cóż wyrzekły?

ROZA WENEDA.

Człek na człeka jak pies pójdzie wściekły.
 Grom czerwony się gryźć będzie z błękitnym.
 Krew poniesie z sobą tron Derwida,
 I król będzie płynął z harfą, z tronem,
 Jak kawał kry!

HARFIARZ.

O! biada! biada!

ROZA WENEDA.

Okropniejszą rzecz widziałam blada!
 Krew podmyła tron i wzięła z sobą!
 Król na tronie włosy rwał i rzucał,
 A pioruny je paliły w powietrzu. —
 Lecz nie mówcie już jutrzejszym trupom!

HARFIARZ.

Cóż wyrzekły wróżby, powiedz! — straszna!

ROZA WENEDA.

Wczoraj kości warzyłam na polu —
 Mózg gotował się w czaszkach człowieczych,
 I wilgotna kość jęczała na ogniu.
 Słuchająca wrzasku tych umarłych,
 Pomazałem krwią zamknięte oczy —

I nagle — —

Widmo straszne wyszło z ognia do mnie,
 I zawiodło mię na walkę duchów.

Słuchajcie!

Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
 Oczy nagle jako trup zawarła —
 Spadła na nią iskra piorunowa;
 I ta głowa smętna, już umarła,
 Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
 Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
 Rozplakaną tułowu koronę!
 I spojrzałam w drugą walki stronę,
 Odwróciwszy się jak od gasnącej głowni,
 Od półmartwej osoby.

I tam stali ludzie w szyku, równi!
 Równi, zimni, biali, jako groby —
 Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
 Czasem walił piorun i miecz razem.

Wtem ktoś krzyknął: «Giniemy!»
 I tysiąc sześć — nie tkniętych żelazem —
 Sześć tysięcy bez ducha upadło —
 Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem —
 Otworzyłam jeden tułów trupowy,
 I znalazłam że w nim serce zbladło,

I tak trzęsło się jak liść olchowy:
 Więc plunęłam temu sercu w usta — —
 I rozcięłam drugą pierś dla ptaków,
 Lecz znalazłam w niej kłębek robaków,
 Zamiast serca. — I pierś trzecią rozdarłam,
 I spojrzałam w nią — lecz była pusta!
 I nie było w niej serca! — Jak chusta
 Zbladłam we śnie i we śnie umarłam,
 Widząc że w niej serca nie było!

HARFIARZ.

Cóż to znaczy?

ROZA WENEDA.

Nad naszą mogiłą

Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

(Dwunastu Wodków wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach mają tarcze, drudzy jelenie nogi; u innych tylko pióra pawie lub czaple. Pancerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach.)

ROZA WENEDA.

Oto wodze są. — Cóż piorunowi?

Wielu ludzi?

WÓDZ.

Dwanaście tysięcy.

ROZA WENEDA.

Pijcie z czaszek tych, i bladej śmierci

Urągajcie się, pijąc! Niech wyje!

WÓDZ.

Cóż ci mówiły wróżby?

ROZA WENEDA.

Jeśli podczas walki

Ojciec mój z harfą złotą, na kamiennym tronie,

Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń

Nie słyszaną — to przy nas zwycięstwo!

WÓDZ.

Twój ojciec

I harfa jego złota w niewoli.

ROZA WENEDA.

Bez wiary! —

Ojciec mój na tronie czarnym stoi,

Za swą harfą jak za słońcem czerwonym.
 Każdy harfy ton jak rycerz w zbroi,
 Na rumaku wybiega szalonym;
 Jako rycerz duch, głos każdy leci,
 I obala z rumakami rycerzy.
 Ile strun, tyle węzów wybieży
 Z harfy ojca i oczyma zaświeci,
 I skrzydłami ognistemi okręci
 Wojsko Lecha.

WÓDZ.

Gdzież wódz jest dwugłowy?

ROZA WENEDA.

Nie wierzycie mi, ludzie przekłęci?
 Rzucicie czary te w krąg Derwidowy.
 W kręgu trupich głów wodza postawię.

WÓDZ.

Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

ROZA WENEDA

Ty, co nosisz złote piórko pawie,
 Migocące od pierwszych błyskawic,
 Odwal kamień, ten kamień olbrzyma.
 Cóż? nie możesz? — Więc dwanaście prawie
 Niech ten kamień odwali — choć ruszy — —

WÓDZE.

Nie możemy.

ROZA WENEDA.

Więc rękami go duszy
 Ja podniosę — i niech idzie do piekła.

WÓDZE.

Cudy! słowo zakłęte wyrzekła —
 I ten kamień wstał!

(Rozą Weneda wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu i wyprowadza Lelum i Polelum, przykutych za ręce łańcuchem do siebie.)

ROZA WENEDA.

I wódz się zjawił.

Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
 Z dwóch uczynił jednego człowieka.

Chodź tu między czaszki, wodzu blade,
 Bo już piorun niespokojny szczeka.
 Włożę wam zbroję.

(Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja jak jednego rycerza. — Tarcza olbrzymia na ręku Lelum zawieszona, obu braci zakrywa, Polelum w prawą rękę wolną od łańcucha miecz bierze. — Roza Weneda zawieszając tarczę, mówi do Lelum.)

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

(Do Polelum.)

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą.
 Biada kto swego nie dopełni! biada!
 Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
 A gdy nie będzie was, to jęk żaloszny
 Przeleci wieki i zwiąże imiona!
 Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
 Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi,
 Jedna zostanie żalosz w tej ojczyźnie,
 Nie rozróżniona, jak w sercu matki — —
 Krwi! krwi ofiarnej!

POLELUM.

Weź z mojego łona.

ROZA WENEDA.

Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.
 (Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę Lechona.)
 To syn królewski. Patrzcie, jaki blade!

LECHON

Zlitujcie wy się, ludzie, mej młodości!
 Ta grota pełna przerażeń i wasze
 Twarze są blade i przygotowane
 Do zemsty. Wiem, że wy macie prawo
 Mścić się nademną i odebrać życie!
 Lecz gdyby tutaj była moja matka
 Królowa, dumna i sroga kobieta,
 Ona by was tu przekonała łzami,
 Że ja potrzebny jestem na tym świecie,
 Jak słońce, księżyc — jej i wam potrzebny;
 Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
 A życie moje jeszcze może zdać się.

Nie zabijajcie mię, nie zabijajcie!
 Król wasz u mego ojca niewolnikiem —
 Za syna swego ojciec odda króla!
 Za mój włos każdy da wam ziemi włókę.
 A patrzcie jakie ja mam gęste włosy,
 Matka je moja nieraz całowała!
 Czy tu nikt nie ma matki? — A więc jeszcze
 W sierotach większa być powinna litość.

ROZA WENEDA.

Krwi tej nie wezmę — za podła! Idź jęczył!

(Wpycha Lechona do Lochu.)

Czerwieńszą znajdę krew w sercu gołębia.

(Ślaz wchodzi wprowadzony przez dwóch Wenedyjskich rycerzy.)

Cóż to za człowiek?

ŚLAZ.

Ja tu dobrowolnie

Przychodzę, proszę wierzyć — dobrowolnie.

ROZA WENEDA.

Lechitą jesteś?

ŚLAZ.

O! gdyby nie respekt

Dla was rycerze i dla tej mocarki,

Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie

Że ja pies — dobrze; mówcie że ja sowa —

Dobrze; mówcie że bocian — doskonale! —

Lecz mówić że ja Lechita! — mnie? — w oczy? —

Gdybym nie mienił to być uchybieniem,

Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,

Czy ja Lechita! — Cóż to? czy mi z oczu

Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo —

Siedm śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,

Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

Zwyczaj przysięgać in «verba magistri» —

Owczarstwo? — Czy to wszystko mam na twarzy?

Jeśli tak, wodą mnie zlejcie gorącą —

Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

ROZA WENEDA.

Milcz! (Do Weneda.) Gdzie pojmałście tego człowieka?

WENED.

Dążył od strony Lechitów i wiele
Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
On widział króla naszego Derwida
Zamęczonego — siostrę twą zabita.

ROZA WENEDA, do Ślaza.

Piekielny! kłamiesz!

ŚLAZ.

Klnę się na te czaszki!

Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę —
Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę.

(Szlochając.)

Ten król szanowny, ten starzec sędziwy!
Ta niebotyczna królowna! — Miecz dajcie!
Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem;
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa — adsum; jeśli księdza —
Do usług: jeśli Ganimeda — zgoda.

ROZA WENEDA.

Mówisz o zemście? — Tu zemsta pod ziemią.

(Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechon zamknięty.)

POLELUM.

Lelum! noc bliska.

LELUM.

Umarła! — słyszałeś?
Cicho, mój bracie, zda mi się że duch jej
Tu, na łańcuchu stoi między nami,
I lekką śmierci dłoń na głowy kładnie.
Czy ty nie czujesz umarłej dotknięcia?
Ona tak pójdzie z nami w bój okropny,
I serca nasze przejrzawszy do głębi,
Pogardzi, jeśli serca zadrzą strachem.
O Lillo! tobie ślubuję dziś duszę.
Ducha ty weźmiesz ulatującego! —
O śmierci! śmierci! krwawej śmierci, Boże
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem.

Gdzie są harfiarze? Niech idą za nami
 Z harfy złotemi — nie trzeba harfiarzy!
 Umarli lepiej widzą i śpiewają
 Tę pieśń — o sercach strzaskanych boleścią,
 O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach.
 Oni jedynie wiedzą, ile warte
 Życie człowieka — ile ulatuje
 Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
 Które trzaskają ciało bohatera.
 Już o umarłych tylko dbam i Boga —
 O nic na ziemi — —

(Roza Weneda wychodzi z lochu z dymiącym się nożem.)

ROZA WENEDA.

W sercu Lechona był. — Patrzenie czerwony —
 Patrzenie! nóż czerwony

Pomazę sobie brwi tą krwią — zobaczę
 Dusze umarłych — i wy zobaczycie.
 Tam w szczerwienionej ciemności powinni
 Zjawić się krwawi: król harfiarz z dziewczyną —
 Lecz kto przemówi do umarłych, skona.

(Wchodzi Derwid i Lilla Weneda.)

Widzicie! o, widzicie! idą trupy!
 Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.

LILLA WENEDA.

Przyprowadziłam wam ojca z niewoli —
 Oto wasz ojciec!

DERWID.

Cóż to? nie poznali?
 Posadź mię córko moja na kamieniu —
 Cóż? — nie poznali!

ROZA WENEDA.

Bcz harfy przyszedłeś —

DERWID.

Niebiosa! (Zrywając się.) O! ja przyszedłem bez oczów!
 Wydarte moje oczy płakać będą,
 Jak się dowiedzą o tem. — O! gadzino!
 Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,

Że ty mię witasz tak? — Lilla! daj rękę.
Prowadź mię dalej!

LILLA WENEDA.
Gdzie, ojcze?

DERWID.

Do węzów,

Które ty pieśnią tak ułaskawiłaś,
Że nie będą gryzły serca.

LILLA WENEDA.
Ojczel!

DERWID.

Gadzina córka — gdy mi darto oczy,
Myślałem że ta córka wydrze swoje,
I włoży w moją czaszkę swoje oczy — —
A teraz widzę, że mi wydrze serce,
I włoży w swoje piersi puste. — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
Tak witać ojca? Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości!
A ty jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dziobem
Wyjadasz mi lzy czerwone — ostatnie! —
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie! —

ROZA WENEDA

O! bogdaj mię piorun —

Bo ty bez harfy przyszedłeś, o królul!
I dziś upadniesz na stos — bez królestwa — —

LILLA WENEDA.

Nie! on zwycięży dziś, bez młodszej córki.
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży —
Widzisz, płaczący usiadł na kamieniu
I duma jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką! — Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie.

ROZA WENEDA.

Co mówisz?

Harfę odzyskasz? — jak?

LILLA WENEDA.

Za harfę złotą

Sama się oddam Lechom — i zostanę —

ROZA WENEDA.

Więc idź — bo harfa zwycięży.

LILLA WENEDA.

O siostrze!

Jeśli chcesz harfy — i mnie pragniesz widzieć

Żywą, Lechona mi daj niewolnika!

Za mnie królowa wydać obiecała

Harfę — a moje życie da za syna.

ROZA WENEDA.

Więc zginęliśmy! bo Lechon zabity.

(Do ślaza.)

Kłamco ohydny! Rzucić go ze skały.

LILLA WENEDA.

Nie płamcie wy krwią tej godziny smętnej,

I mej śmiertelnej koszuli — ten człowiek

Niech idzie ze mną po harfę.

ROZA WENEDA.

Co mówisz?

Ty nie odważysz się wrócić do Lecha!

LILLA WENEDA.

O, siostrze moja! jam się obeznała

Ze śmiercią, wierzaj, ja wam harfę przysięgam.

Mówisz że harfa ta da wam zwycięstwo?

Więc zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi! —

(Kłęk przed ojcem.)

Ojczel błogosław mi — może nie wrócę.

Ale ci lutnię twoją przyszłą złotą,

A jeśli jaka struna z najmniejszych

Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu:

Pomyśl że struna ci ta przypomina

Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką —

Niechaj nie płacze — —

(Wstaje i do ślaza mówi.)

Chodź ze mną, człowieku.

Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.

(Wychodzi ze ślazem.)

ROZA WENEDA.

Zwycięstwo!

Ten starzec usnął, córki swojej płaczem
 Ukołysany — patrzcie cóż jest ojciec!
 Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
 Zwycięstwo! Sto serc ludzkich — za zwycięstwo!

(Wychodzą.)

CHÓR.

(Dwunasty Harfiarzy.)

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku!
 Nim zemsty straszna noc jak piorun błysnie!
 Oto zwycięstwa moc w gołąbki ręku — —
 Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie.
 Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema,
 I głośniej grać, niż mrący ludzie jęczą.
 Tu wróżka z krwią na rzesach stoi niema,
 I słucha jak na mieczach miecze brzęczą,
 I widzi strasznych czynów ludzkich końce:
 Przeczuwa Boży sąd. A gdy noc głucha,
 To z wiary mrącym ludziom robi słońce,
 Woła piorunów, patrzy jak biją i słucha — —

 A K T V.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha oświetlona od gęstych piorunów.)

LECH, SYGOŃ, ŚWIĘTY GWALBERT.

LECH.

Na koń! straż przednia pierzchła!

ŚWIĘTY GWALBERT.

W imię krzyża

Daję zwycięstwo.

LECH.

W czyjekolwiek imię —

Biorę, gdy dajesz — jeśli nie dasz — wydrę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Każ mi dać konia, bo dzisiejszej nocy
Najświętsza Panna w celi mej spalona,
Objawi mi się nad najświętszym trupem,
Nad krwią najbardziej Bogu ukochaną —
Każ mi dać konia!

LECH.

Ha! pioruny biją,
Jakby się walił świat. — Straż przednia pierzchła —
Hej! miecz Rolanda — —

(Wchodzi Gwinona w żalobie.

Moja czarna żono!

Siedź w zamku i każ wieźycom na czole
Położyć gwiazdę z ognia. Ile razy
Pioruny zgasną, a ja w krwi utonę —
Wypłynę z koniem ku twemu ogniovi.
Pocałuj dzieci. — Uspić je musiało
Parne powietrze.

GWINONA.

Arfon się piorunów

Lęka i płacze.

LECH.

Czy chory?

GWINONA.

Zalękły.

LECH.

Na koń, rycerze! — A ty zamknij okna.
Żeby nie wleciał tu na miejsce męża
Piorun czerwony. Lechici! do broni!

(Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.)

GWINONA.

Chodźcie tu, dziewczki, bo mi samej straszno!

(Wchodzi dziewczce.)

Czy która bajek nie umie? Niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła —
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję. — Ach! jak mi okropnie!

Wy także wszystkie jesteście strwożone,
 Jak białych stado łabędzi. Tej nocy
 Coś okropnego stanie się! — Dziewczęta!
 Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

(Dziewice wychodzą.)

W powietrzu jakiś straszny piorunowy
 Zapach i dziwne skargi i płkanie,
 Jakby się skarżył mój syn opuszczony,
 I wołał: matko! matko! matko! — Ha, ha!

(Wehodzi Lilla Weneda.)

Czy syn mój przyszedł z tobą? —

(Lilla odpowiada gestem rozpaczły.)

Nie dręcz ty mię!

Ale odpowiedz prosto że zahity,
 A jeśli żyje, odpowiedz że żyje;
 A ja wygrzę tve błękitne oczki
 Pocałunkami. — O! powiedz że żyje.
 Lecz jeśli — jeśli mój syn —!

LILLA WENEDA.

Ty okropna!

GWINONA, zbliżając się wściekle, lecz zwolna.

Jeśli już? — mój syn — już — —

LILLA WENEDA.

Przy bramie czeka --

GWINONA.

Mój syn?

LILLA WENEDA.

Na harfę moją czeka człowiek.

GWINONA.

Harfiarko!

(Chwyta ją za szyję.)

LILLA WENEDA.

Pani sroga! ty mię dławisz!

GWINONA.

Harfiarko!

LILLA WENEDA.

O! o!

GWINONA.

Krzycz! krzycz! krzycz! harfiarko!

(Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę.)

Krzycz uduszona! — A co? już bez ducha?
Do mnie dziewice! do mnie! — trup jest ze mną! —

(Wbiegają dziewice.)

DZIEWICA.

Jakie to wrzaski?

GWINONA.

Co?

DZIEWICA.

Tu coś upadło?

GWINONA.

Ten trup —

DZIEWICA.

Okropność! okropność! okropność!

GWINONA.

Okropność — to ja udusiłam wstążką —

Czy się boicie tknąć rękami trupa?

He? —

DZIEWICA.

Uduszona?

GWINONA.

Oni mi zabili

Syna —!

DZIEWICA.

O biedne! bielutkie stworzenie!

Cóż ci zawinił biedny gołąbeczek!

Pozwól przynajmniej że ją ubierzemy

W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcysy;

I zaśpiewamy nad umarłą lament.

O! jak te piersi krągłutkie ostygły!

Jak te nóżeczki zimne zbłękitniały!

Pomóżcie siostry, wynieśmy ją razem

Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne,

Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem. —

Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą! —

Ona się do nas uśmiecha. — Ostrożnie!

(Wynoszą ciało Lilli Wenedy.)

GWINONA.

Gdym ją dusiła, dziesięć matek było,

We mnie zamkniętych — teraz przerażona,

Że wszystkie we mnie syczące gadziny
 Ucichły! — jestem jak trup! — Co uczynię?
 Aha! — odeszłę Derwidowi harfę. —
 A sama włożę zbroję — w krew się rzucę —
 (Wychodzi.)

SCENA II.

(Pole przed zamkiem Lecha.)

ŚLAZ, stukając do bramy.

Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu pioruny
 Wybily ludzi? czy się pan odźwierny
 Powiesił? Hej! hej, pies wyje żałośnie.
 Mości psie! proszę przypomnij królowej,
 Że ja tu czekam na harfę. — Hej! hej! hej! —
 Nikogo! tylko psy żałośnie wyją,
 Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun. —
 Hau! hau! — bogdajbyś zdechl! bogdaj cię piorun!
 Hau! hau! — Czy w panu swoim wachasz trupa?
 Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem?
 Brrr — aż mi zimno! — Cóż to są za mary?
 (Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodniami, niosące skrzynię
 od harfy zamkniętą.)

DZIEWICA.

Człowieku!

ŚLAZ.

Jestem.

DZIEWICA.

Oto jest w zamknięciu
 Harfa Derwida; odnieś ją i powiedz,
 Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.

ŚLAZ.

Włóżcie mi proszę pudło na ramiona,
 Piękne dziewczoje.

DZIEWICA.

A śpiesz się człowieku —
 (Wychodzą.)

ŚLAZ.

Pełno teraz po drogach ludzkiego rozcieku,

A śmierć pod swoją kosę głupich ludzi garnie,
 A pioruny jej świecą z nieba jak latarnie.
 To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku —
 (Wychodzi ze skrzynią na ramionach.)

SCENA III.

(Pole walki — noc błyskawicowa.)

LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

O! mój Sygonie! to walka olbrzymów.
 Pioruny przeciw nam! bo tylko słuchaj —
 Już przez szeregi na pół wyrąbane
 Przelatywałem na wskroś — już oczyma
 Sięgałem w same krwawe serce wrogów —
 Już byłem wpadał — tam gdzie pod dębami
 Starce, pochodnie, harfy, zgromadzone
 Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce
 W burzę, pod gruszą tulące się wiankiem:
 Jużem miał w rękach króla — kiedy nagle
 Piorun nad głową moją rozhukany
 Zabił mi konia! —

SYGOŃ.

Panie! rzecz straszniejsza!
 Spotkałem czarne straszydło dwu-głowe —
 Spotkałem wodza Wenedów.

LECH.

Czy straszny?

SYGOŃ.

Wódz ten dwie głowy ma na jednym ciele.
 Czasem się obie głowy razem schodzą,
 I płaczą rogi na hełmach ogromne:
 Czasem się jedna zaiskrzona ciska
 Z wściekłością węża na ludzi — a druga
 Patrzy spokojnie i szuka oczyma
 Serc w naszych piersiach.

LECH.

Za mną! ja go znajdę —
 (Wybiega.)

SYGON.

Włos mi osiwał — ale tak okropnej
 Nocy za życia mego nie widziałem.
 Chorągwie toną we krwi — jedną piorun
 Zapalił złotym płomieniem i bladeść
 Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze —

LELUM i POLELUM wchodzą.

LELUM.

Lech! Lech! Lech!

(Napadają na Sygona.)

SYGON.

Wodzu ochydny Wenedów,
 Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

(Biją się.)

POLELUM.

Zakręć łańcuchem koło niego i zwiąż.

(Gdy Polelum walczy, Lelum obiega w koło Sygona i okręca mu łańcuch na
 gardle tak, że Sygon zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie.)

LELUM.

Teraz rozbieżmy się — łańcuch udusi.

POLELUM.

Zacharkał — puść go.

LELUM.

Leży uduszony.

(Odwijają łańcuch. Sygon się wali trupem.)

Na łuku moim kładź zatrute strzały.

O! gdyby ojca harfy jęk, o gdyby!

Jeden jęk tylko harfy Derwidowej —

A z wszystkich byłyby — o takie trupy —

(Wychodzą.)

SCENA IV.

(Pole też same.)

LECH, SYGON zabity.

LECH.

Sygon, tu do mnie! Sygon! znów zabiłem
 Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.
 Co widzę! Stary Sygon leży trupem?
 O! zemsta! zemsta!

(Wchodzi Święty Gwalbert z krzyżem.)

ŚWIĘTY GWALBERT.
Jęki króla słyszę.

LECH

Zdejm z niego zbroję i zobacz gdzie ranny?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na ciele żadnej nie odebrał rany,
Lecz ma zsiniałą twarz jak powieszony,
Albo zabity piorunem.

LECH.

O zemsta!

Nad piorunami! —

(Wychodzi.)

ŚWIĘTY GWALBERT.

Biedny poganinie!

Chodź! ja dam tobie pogrzeb chrześcijański.

(Wychodzi, ciągnąc trupa.)

SCENA V.

(Monument z druidycznych kamieni w lesie.)

DERWID na tronie kamiennym; w okolo DWUNASTU HARFIARZY na dwunastu siedzą kamieniach — przy każdym harfa złota i pochodnia w ziemię zatknięta. ROZA WENEDA stoi za ojcem, na tronie. — Dąb Derwidowy na prawo.

DERWID.

Cóż? jeszcze nie ma harfy! a ja słyszę

Jęki narodu i szelest płynącej

Krwi — — Jeszcze nie ma harfy? — o Bogowie!

(Wchodzi Wened ranny.)

WENED.

Przybiegłem ranny. — Lechici nas łamią!

Lud czeka pieśni.

DERWID.

O Boże! o Boże!

WENED.

Ja konam królu — graj pieśń — ja umieram.

(Pada i kona.)

DERWID, wstając na tronie i rwąc włosy.

Pioruny! bijcie we mnie! o pioruny!

Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!

Królestwo moje to puch, jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane —
O wichry! rwijcie mi włosy! o wichry!
(Lelum i Polelum wchodzą.)

LELUM.

Ojcie! giniemy, graj pieśń —

DERWID.

Idźcie skonać —

Ja nie mam harfy.

ROZA WENEDA.

Ustąpcie się wszyscy

Już słyszę harfę idącą, już słyszę —
Udercie w tarcze niech się zejda wodze!
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy co ją usłyszą — żyć będą!
A wszyscy którzy nie usłyszą — pomrą.

(Wchodzi Ślaz ze skrzynią od harfy.)

ŚLAZ.

Otom się dobrze wam zasłuży! Ludzie —
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

ROZA WENEDA.

Daj tu —

O dąb oparta królewski, niech czeka —

ŚLAZ.

A wam królowa kazała powiedzieć,
Że dotrzymuje przysięgi.

ROZA WENEDA.

Precz węžu!

ŚLAZ.

A to i dobrze! schowam się w bagniska.

(Odchodzi.)

ROZA WENEDA.

Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

(Wchodzi Wodźów dwunastu z obnażonemi mieczami — wszyscy krwawi.)

Oto są wodze, i pieśni godzina —

Ojcie! przy dębie Derwidowym harfa —

DERWID, wstaje z tronu i zbliża się do harfy.

O! jak mi serce drży: czy ja potrafię

W złociste struny uderzyć? — Już słyszę

Serca bijące w ludziach — gdzie ta harfa?
 Czekajcie! — jak mi drży serce! — Gdzie harfa?
 Już czuję w sobie że wy zwyciężycie,
 Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą —
 A dusze już mam w rękach — tu — jak piorun
 Jak piorun całą ją cisnę na struny,
 I śpiorunuję pieśnią. —

(Dotyka się omackiem skrzyni harfowej.)

Harfa w skrzyni —

Wenedo otwórz!

(Roza Weneda zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się, odciągając ojea za rękę. — W skrzyni bowiem zamiast harfy widać umarłą Lillę Wenedę w śmiertelnej koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie.)

Puszczajcie do harfy!

Dla czego wy mnie trzymacie za szaty?

Dla czego wstręty czynicie starcowi? —

Ja jestem pełny ducha! — Ja się wyrwę!

I ta pieśń moja będzie nieśmiertelna!

(Wrywa się z rąk córki — i kładzie ręce na twarzy zmarłej Lilli Wenedy.)

Cóż to? — rzecz jakaś zimna — to nie struny —

Ja pod palcami memi czuję trupa —

Co to jest? — o! to nie harfa! — to ciało

Mojej umarłej córki! —

(Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od ciała zmarłej, starzec opiera się córce.)

Precz gadzino!

Tu moja tamta córka — tu — tu w trumnie!

O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!

Więc tu jest także pieśń — te złote włosy,

Na których będę grał. — Ja ciebie widzę,

Dzieweczko moja! widzę — o! ja znajdę

Twoje usteczka! — O! nie odrywajcie!

Nie odrywajcie wy mię od niej! proszę!

Nie odrywajcie —

ROZA WENEDA.

Cóż to! — nie słyszycie

Tej pieśni z lez królewskich? idźcie skonać!

DERWID.

O! o! gołąbek mój martwy!

O! już na wieki martwy!

HARFIARZE.

Ojciec płacze.

DERWID.

Ja ciebie widzę córko! — twoja postać
 Stoi mi w jamie — tu — powydzieranych
 Oczu! — Ja ciebie widzę w grobie głowy.
 O! gwiazdeczkami ukorowana
 W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku —
 Wychodzisz z rączki otwartemi? — O! ty!
 Tu! — czy widzicie? tu — śmieje się płacząc —
 Umarła moja, najmilsza umarła!
 Moja jedyna!

ROZA WENEDA.

Wiedziałam ja dawno —

Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
 Ludu przez Boga. — Już dawno widziałam
 Na waszych czołach napisane krwawo
 Życie trzydniowe! — Cóż! czemu tak bladzi?
 Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
 Która nie chcących umrzeć, oszukała? —
 Gołębie serca! o jak wam leniwo!
 Do kończącego grobu! — Trzeba
 Was było wszystkich oszukać i śmierci
 Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
 Nie dosyć jeszcze? — O! wy moje włosy
 Wyrwane! w garść się węzów przemieniajcie
 I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem.

PIERWSZY Z WODZÓW.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

ROZA WENEDA.

Ja ci przyrzekłam? — Co? — Chodź tu i patrzaj! —
 I ty myślałeś że więcej jest głosu
 W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
 Gdzież taka harfa, jak ten trup? Gdzie takie
 Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
 Co w rękach córki rozwija warkocze,
 I szuka w nich jak w strunach drżących głosu?
 O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,

Że się pomścicie — resztę zdajcie gromom
I późnej zemście czasu — przysięgnijcie!

WODZE.

Zaprzysięgamy zemstę — aż do śmierci!
(Wychodzi.)

LELUM, całując zmarłą siostrę

Na ustach twoich siostrzo — zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś — — O Lechici!

DERWID, dobywa z sanadza nóż ofiarny i mówi, przebijając się dwa razy.
Synowie! o tak — w Lecha serce —

(Pada martwy.)

ROZA WENEDA.

Tam stos na prawo. — Weźcie te dwa ciała
I spalcie razem, a w około stosu
Trzymajcie urny z królów popiołami! —
Jeśliby który Lechita szedł gwałtem,
I chciał ze stosu porwać ciała święte:
To wy go temi urny przywalicie.

(Harńarze biorą urny i pochodule. — Czterech zaś kładą na barki ciało Derwida i Lille Wenedę w skrzyni cedrowej, i wychodzą. — Roza Weneda obraca się do Lelum i Polelum, mówiąc.)

Tu na tronowym kamieniu ułożę

Stos z pachnąc go drzewa. — Czekam na was — —

(Lelum i Polelum wychodzą walczyć. Roza Weneda odchodzi w głąb lasu.)

SCENA VI.

(Pole walki. Noc. Burza.)

LECH, wchodzi.

Złamani! — Tych psów wycinać do reszty!

Cóż to za rycerz? —

(Wchodzi Gwinona w zbroi.)

GWINONA.

Jam się uzbroiła

Mścić się za mego syna! — Mścić się jeszcze!

LECH.

Można ich teraz rąbać jak barany. —

Zupełnie ducha stracili ci ludzie!

Stracili ducha o samej północy,

I odtąd rąbią ich nasi, jak trzodę.

GWINONA.

Harfiarza! ja chcę harfiarza!

LECH.

Ostrożnie!

Bo przy nim musi być ludzi ostatek.

(Gwinona wychodzi. Święty Gwalbert wchodzi.)

A ty co robisz?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja chrzczę niedobitych,

Aż mi się matka Chrystusowa zjawi —

LECH.

Chciałbym napotkać dwugłowego wodza

I ofiarować życie potworowi,

Byleby chodził za pługiem.

(Wychodzi.)

ŚWIĘTY GWALBERT.

A ja tu

Siądę na kępie. — Kto noc taką widział,

Ten wie co waży świat — co warci ludzie — —

Litośniejszymi są pioruny złote,

Bo tylko sosnom serca rozdzierają.

Na toż to matkom dzieci swe hodować,

Aby z nich były kiedyś takie jatki?

Każdy trup tyleż wart ile kosztował?

Spytaj się matki niech oceni trupa —

Złęknieś się — gdybyś zapłacił co mówi —

Mogłaby kupić za zmarłego syna

Żywe królestwo, gdzie są milijony

Synów i matek —

(Ślaz pokazuje głowę z po za kępy.)

ŚLAZ.

Prześwięty Gwalbercie!

ŚWIĘTY GWALBERT.

A co tu robisz Ślazi!

ŚLAZ.

Grzęznę w błocie.

ŚWIĘTY GWALBERT.

A jakże ty się tu znalazłeś?

ŚLAZ.

Święty!

Wprzód mię wyratuj za uszy — bo tonę —
A potem twoje zaspokoję uszy —

ŚWIĘTY GWALBERT.

Lajdakul ty mi spalił celę.

ŚLAZ.

Nie ja —

Djabel ją spalił — jam cię ojczy szukał,
Aby się tobie na djabła poskarżyć —

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dziś odkupienia noc. — Gapiu! chodź-ze mną.

ŚLAZ.

Teraz do śmierci będę księżym sługą.

(Wychodzą.)

SCENA VII.

(Inna część pola.)

LECH, wchodził.)

Zabiłem wodza pół —

GRYF, wchodząc
Gdzie Lech?

LECH.

Co słyhać?

GRYF.

Małzonka twoja, panie, leży trupem

LECH.

Zabita?

GRYF.

Panie! okropnie zabita!

A tem okropniej, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał —
Kiedy królowa obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony, i wieniec
Czarnych postaci przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam być musi stary;
I z obnażonym mieczem szła na górę.

Wlenczas ci czarni, stojący przy stosie,
 Na którym dwoje paliło się trupa,
 Chwycili urny pełne dawnych prochów,
 I na królowę co się skał miała,
 Rzucili z góry straszne popielnice! —
 Przybiegłem — ona leżała okryta
 Prochem i ludzi umarłych kośćciami,
 Z piersią okropnie roztraskaną — martwa.

LECH.

Biedne me dziatki — będą pytać o nią.
 Patrzaj — nie mogę teraz płakać — krwawy!
 Nieście do zamku zwłoki nieszczęśliwej,
 I kaźcie obmyć z ludzkiego popiołu.
 (Wychodzą.)

SCENA VIII.

(Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu gdzie stał tron Derwida.)

ROZA WENEDA, sama.

Już lud wyróżnity i ustaje burza.
 Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie —
 Teraz dwanaście tych pustych kamieni —
 I tak na wieki już! i tak na wieki!

(Wchodzi Polelum, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze przykute do niego łańcuchem.)

cóż — nie mówisz nic do mnie — Polelum?

POLELUM.

O! patrz! zabity brat na piersiach mi śpi.

ROZA WENEDA.

Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?

POLELUM.

Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla umarłych?

ROZA WENEDA.

Masz zgliszcze — burza zgasiła pochodnie.

POLELUM.

Poszukaj ognia.

ROZA WENEDA.

Ogień dadzą chmury.

(Polelum wchodzi na stos z trupem brata.)

POLELUM.

Jam gotów — pieśnią zawołaj piorunów.
 O! śpij na piersiach moich bracie błądy!
 Wszystko skłonione do snu na tym świecie. —
 Wróżko! zawołaj piorunów — jam gotów —

ROZA WENEDA.

Podnieś do nieba rękę, z ręką trupa
 Wołajcie oba gromów — łańcuchami.

(Wchodzi Lech.)

LECH.

Stójcie poganie! przynoszę wam życie!
 (Wchodzi Święty Gwalbert.)

ŚWIĘTY GWALBERT.

Stójcie poganie! — przynoszę wam wiarę!

POLELUM.

Życie i wiarę? — Boże! patrzaj z nieba
 Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
 Konającego — patrzaj na tych ludzi,
 I pomyśl jakim ty dajesz stworzeniom
 Chwilę tryumfu i urągowiska!
 I przyszli — kiedy mój lud cały skonał!
 I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje —
 I przyszli, kiedy niebo oświecone
 Kunami stosów, gdzie się palą trupy!
 I tu mi dają życie. O stworzenia!
 Czuję nad wami w sercu wielką litość
 I wielką wzdargę! O! nie pozwól, Boże!
 Aby grobowiec mój był na tej ziemi
 Gdzie oni żyją! — Chmury! czarne chmury!
 Co uciekacie z nad trupiego pola,
 Ostatnie miecąc pioruny — o chmury!
 Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
 Z tą drugą ręką mego brata trupa —
 Obie te ręce i ten łańcuch proszą
 O piorun jasny, litosny, ostatni —
 Cóż! nie słuchacie! — Więc tą ręką trupa
 I tym łańcuchem wyzywam do walki
 Was! napełnione piorunami burze!

Aż prośbą piorun wasz nie wywołany —
Wydrę przekleństwem! —

(Piorun bije w stos, drzewo zajmuje się złotym płomieniem. Lelum i Polelum
nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem okazuje się postać
Bogarodzicy.)

ŚWIĘTY GWALBERT, pokazując na zjawienie.

Ave nieśmiertelna!

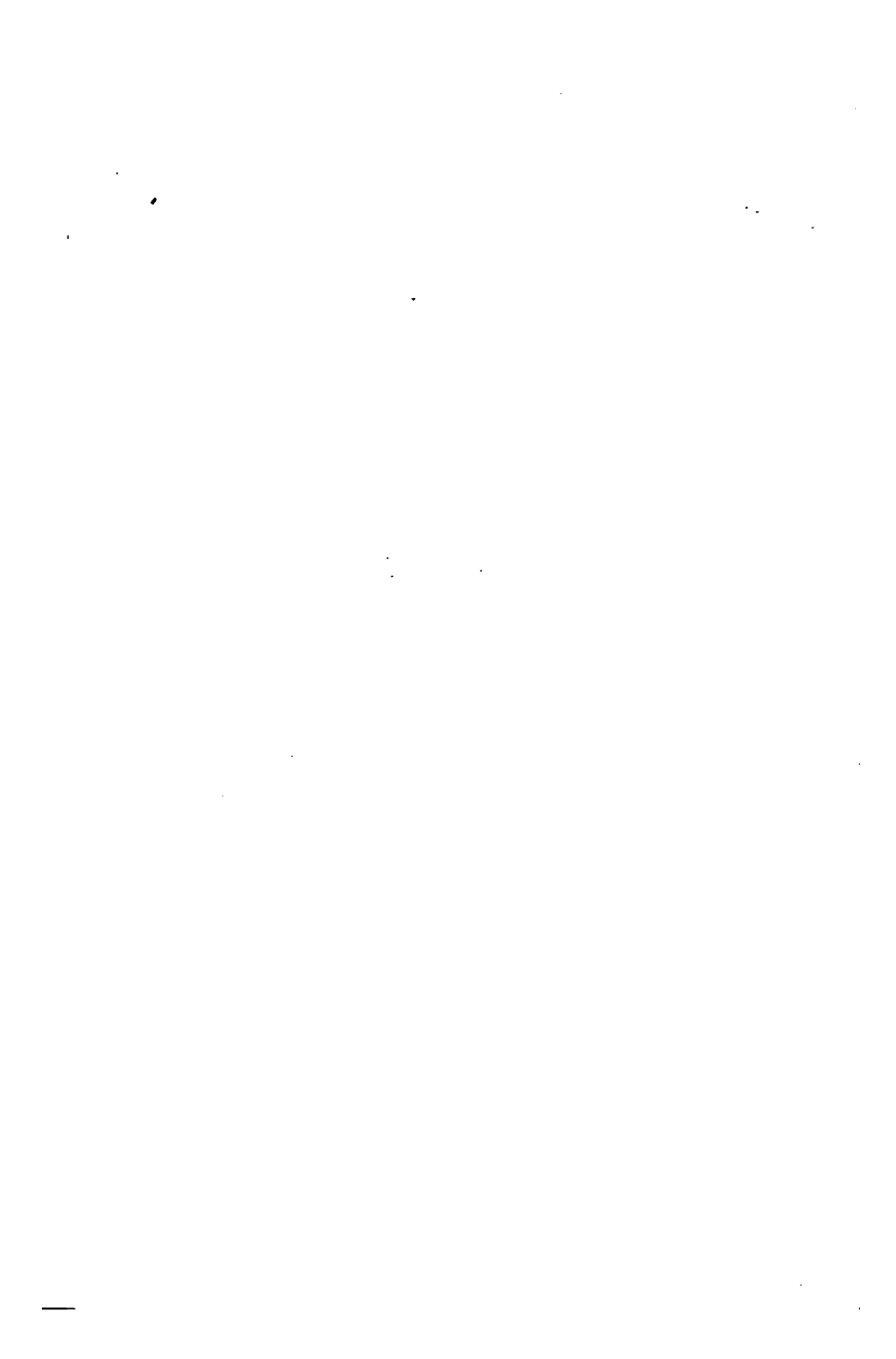
LECH.

Cudowne widmo w obręczy z płomyków!

ROZA WENEDA, wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach, znajduje
łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum, i rzucając
go pod stopy Lecha, mówi.

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

W I E R S Z E.



LIST DO ALEKSANDRA H.

(PISANY NA ŁÓDCE NILOWEJ.)

Rozdzielił nas gościniec płynnego szafiru:
Ty w Tebach, ja dopiero wypływam z Kairu.
Spodziewałem się niegdyś, że miło nam będzie
Złączyć na Nilu skrzydła okrętów ląbędzie;
Razem odwiedzać mumji balsamiczne składy,
Razem oczy w Nilowe rzucać wodospady,
I razem, jako dawniej kończyć spór zacięty:
O cień Chrystusa z drzewa przez Woltera zdjęty.
Dziś próżno cię wyglądam i próżno mię czekasz —
Wiatrem, który mię niesie za tobą, uciekasz;
A twój brak, tak mi serce w podróży oziębia,
Żem przedsięwziął do ciebie pisać przez gołębia.
Nad leniwą więc myślą używając musu,
Już zapisałem listem, listek papyrusu.
Kupcząca ludzkim ciałem łódź, płynąca z Nubji,
Dostarczyła posłańca, co błękitem lubi
Nosić listy, wracając pod rodzinne palmy.
Tak więc piszmy do siebie; przeczytawszy — spalmy.

A najprzód, pytam ciebie, gdzie mułowy wrątek?
Wezbranych fal, na Nilu ma bieg i początek?
Bo gdym o tem rozmawiał z nad-nilowym żeńcem,
Rzekł mi: «Nimfa, latusów ustrojona wieńcem,

Siedząc smutna pod skałą czarnych Etyopów,
 Ostrożnie sący dzbanem ojca naszych snopów;
 Lecz kiedy się zapatrzy twarzą na kochanka,
 Wtenczas z przechylonego Nil wybiega dzbanka —
 Aż się na polach naszych strumieniem roztoczy.»
 Powiedz mi, czy widziałeś tę Nimfę na oczy?
 Czy taka, jak wiezione Abissy na sprzedaż?
 Czy nie zostaniesz przy niej? czy serca jej nie dasz?
 Lękam się że ła Nimfa do zniknięcia skora,
 Zbliża widziana, w błotne zmieni się jeziora,
 Z których każde w dolinie, bez kwiatów i drzewa,
 Przez rok cały, deszczami tropików nabrzmiwa;
 Aż zwiększone ulewą i skalnemi ścieki,
 Rzuci wszystko Nilowi gardłem białej rzeki.

Wreszcie wszystko to, twoje «positiv» rozwiąże.
 Ja wiem tylko, że dla mnie, Nil dotąd wód księżę;
 Piękny, kiedy błękitem żeni się z palmami,
 Co stoją wiatrem lekko wahane nad wsiami;
 Piękny, gdy pokazuje płaskie pustyni łądy,
 Gdzie o słońca zachodzie przechodzą wielbłądy —
 Mrówki pustyni. Piękny dla oka poety,
 Gdy stojące nad sobą, białe minarety,
 Podwójnie i w błękitach pokaże odwrotne;
 Gdy ma senne bociany, jak za Polską smutne;
 A jeszcze bardziej oczy i duszę zachwyca,
 Gdy w nim za-palmowego widzę wschód księżycy.

Piękność Nilu dla ciebie małą jest zaletą,
 Którego Nilem wiodą Strabo i Manetho.
 Epok nie mierzysz dniami, ni wypadków całem.
 Era Franków: «gdy jeszcze cesarz był kapralem»
 Małą dla ciebie, który dziś patrzysz z wysoka
 Dalej, niż ludzie krótszej pamięci i oka.
 Ja także będę z tobą jak w rozmowie szczery:
 Należę do liczących czas na krótsze ery.
 Ja chcę prędkich rozkwitnień, owoców i zgonów!
 Gniewa mię nieruchomość długa Faraonów;

Wolę dzisiejsze czasy burzliwsze, choć dla nas
 Król jest każdy, jak dziwnie rosnący ananas:
 Zerwiesz koronę, owoc odkąsisz — o wiośnie
 Z korony odkąszonej nowy król odrośnie.

Dla mnie rzecz mało ważna i z niczem ta sama,
 Że Manes był zjedzony przez Hipopotama —
 Chciałbym tylko dziś widzieć królobójcze zwierzę.
 Mało dbam, że ze wschodu przybyli pasterze,
 I laski zamieniwszy na berła lub dzidy,
 Kładli na piasku kamień pierwszej piramidy.
 Że z Egiptu, wygnani przez rodzime syny,
 Złożyli w Judei straszne Filistyny;
 I tam mniej twardą sztuką stawiali budowy,
 Kiedy je hardy Samson mógł rzucać na głowy.
 Jednak widzę wypadek jeden, okiem wieszczą:
 Mojżesz królowi wolę Jehowy obwieszcza;
 Pomędzy rzędem Sfínxów czoło wzniośł ogniste —
 Król go słucha, nad królem słońce idzie mgliste,
 Obląkane w szarańczy zwichrzzonej motyłu.
 Tam dalej Nil — lecz zobacz co niesie? — krew w Nilu!
 Przy tronie Faraona, z pokręconym słupem,
 Stoją królewskie syny — jeden pada trupem.
 Krzyczą matki, pobladły starych ludzi twarze —
 Takich obrazów, stary już świat nie pokaże.

Wielkie czasy gdy w królów zaniesione lochy,
 Z królewskich ciał nie mogły uczynić się prochy.
 I stała się na ziemi Bogów różnodzielność,
 I stała się na ziemi trupów nieśmiertelność!
 I pod ręką, ważących głazy robotników,
 Zaczynała się wieczność światowa pomników.
 Na ziemi trup odbywał sądzenie Erebu.
 Można było królowi zaprzeczyć pogrzebu:
 A że znalazł się człowiek tak wielkiej odwagi,
 Świadczą w łonach piramid próżne sarkofagi!

Ten wniosek, może wniosków uczonych nie bliski,
 Rzuciłem w porfirowe umarłych kołyski,

Gdy wieściem pod sklepienia piramidy dumny,
 Przy świeczniku Araba zaglądałem w trumny.
 A ty może zaprzeczyz zdań uczonych różność,
 Rzucając w gadającą piramidy próżność?
 I wielkie echa, ludzi nie mogąc przekonać,
 Będą w łonie grobowem budzić się i konać.
 Wyznam ci, że mi widać głębiej i wyraźniej,
 Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.
 Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni:
 Makbet — ta granitowa piramida zbrodni!
 Ludziom na nią wchodzącym błędną z twrogi twarzy.
 Płaczesz nad Piramidą nieszczęścia w Learze —
 Z niczego — a zazdrością już szatana bliski,
 Otello, jak bodzące niebo obeliski.
 Jeśli gmachy piramid miały otwór ciemny,
 Skąd gwiazdy niebios człowiek wysledzał tajemny:
 W Szekspira gmachach równie zostawiona droga
 Patrzącemu się oku na błękit i Boga.

Jako skarby zakłete, strzeżone przez gryfy,
 Stoją dotąd nieznanne światu hieroglify.
 Trup od wieków uspiony, gdy zeń wieko spada,
 Zdaje się że w balsamach śpi i przez sen gada —
 Lecz nie możesz zrozumieć! Z długimi przestanki
 Idąc, prawie połowę drogi uszli Franki.
 Już wiadomo że w tamtą stronę, czytać znaki —
 W którą lwy ryte patrzą, w którą lecą ptaki.
 Sto razy napisane Psametyk i Psychon,
 Wyświecały dziwaczny wieków akrostychon,
 Od zwyczajnego pisma narodów odrodek,
 Zlany z liter, wyrazom trzymających przodek.
 Lecz taki sposób pisma miał sobie zaletą,
 Że pisarz mógł się zrobić w literach poetą.
 Tak w imieniu wrytem nad marmuru brusem:
 A rycerskie lwem było — dziewicze lotusem.

Piękna dziś, gdy się skreśli na łonie błękitu,
 Mumja myśli, z jednego wycięta granitu,

Strażniczka nie myślących grobowców od wieka,
 Która na dawnych panów zbudzenie się czeka
 Z dawnymi wspomnieniami! — Kiedy patrzę na nią,
 Chciałbym z tobą wiekową nurkować otchłania;
 Być tam, gdzie pod-palmową zrobiła się chatką
 Sais, będąca niegdyś Ateńczyków matką.
 Pojąć, jak ci wychodnie, nazwawszy się Grecy,
 Od mglistych horyzontów palmowych dalecy;
 Smutni, że kolumn żywych brakowało oku,
 Zaczęli ją z kamienia malować w obłoku.
 Porównać Luxor z domem współczesnym Ewandra,
 Egipt dać Persom, Persów bić przez Aleksandra;
 Widzieć wojsko w egipskim pogrzebane pyle,
 Króla, synem Jowisza — i prochem w mogile.
 I Egipt odkruszony w Ptolomejów dłoni —
 Laur naukowy długo noszących na skroni:
 Aż zanurzeni w czasie i wypadków rzekę,
 Oddali się z berłami w Cezarów opiekę.

I patrz — człowiek zrodzony w Tentyrze nad Nilem,
 W Rzymskiej sadzawce walczy z wrogiem krokodylem!
 Płaz olbrzymi nań leci — już go chwyta w paszczę.
 Ilot nań wskoczył — zabił. Koloseum klaszcze.
 Na plażie pokonanym usiada gladiator:
 Palmy, Nil, kolumnowy kościół boskiej Athor,
 Żonę, dzieci i chatę przypomniał glinianą,
 Na plażie, pod klaszczącą z żywych ludzi ścianą.
 Oczy zakrył przed ludźmi, czy przed słońca blaskiem,
 I pojął że się można urągać — oklaskiem.

Wzięty z pomiędzy ruin, prochów, pogorzeliś,
 Poszedł po obcych krajach błąkać się obelisk.
 Wgnaniec, już jakoby samolub z kamienia,
 Żebrakowi na czoło nawet, nie da cienia!
 Z nikim nie gada, stoi myślą w krajach ducha;
 Gdy na księżyc fontanna rzymska pod nim bucha.

Dziś gorsi a podobni do Mojżesza plagi,
 Cudzoziemcy wynoszą z grobów sarkofagi.

Anglik dumny w szterlingi zmienione na piastry,
 Rzuca trupy, trumiane bierze alabastry,
 I w Londynie zachwyca zgrają zadziwioną,
 Wstawiwszy świecznik w próżne alabastru łono.
 Rzekłbys wtenczas że wszystkie płaskorzeźby rusza
 Chrystusową nauką ożywiona dusza.
 Że pełnych nauk, ciemną przyszłością straszliwych.
 Grobowiec oświecony, stał się lampą żywych.

«Nie ma go tu» powiedział anioł Magdalenie,
 Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.
 Taką odpowiedź tobie Arabi wyniesą
 Z pustych katakumb: «nie ma ich tutaj» lecz gdzie są?

Zamiast balsamu tego, co trupy przechował,
 Chrystus nam łona naszych dusz nabalsamował;
 I duszę ludzką, duszą namaściwszy własną,
 Uczynił ją na wieki niezgonną i jasną.
 Już na palmie egipskiej naukę zaszczerpił,
 Już się był tym balsamem Egipcjanin krzepił!
 Na Tebaidzie święty zamieszkał pustelnik:
 Czyniąc mogiły, wiary podobne latarniom —
 Gdy Omar straszny: głowom, gmachom i księgarniom,
 Kraj, sto razy różnemi pługami przeoran,
 Pod ognisty proroka dał bułat i koran! —

Lecz dosyć już — bo sędzę, nowy księżyc przyjdzie
 Oświecać nas, w grobowców pełnej Tebaidzie —
 Tam niech inni o życia rozmawiają fraszce,
 Pałac świecę w pożółkłej pustelnika czaszce.
 My, chcąc pojąć jak niegdyś żyli ludzie sławni,
 Staniemy się myślami i rozmową dawni —
 Aż się tak obłąkamy w wypadkowym lesie,
 Jak w palmach białą gołąb, co ten list poniesie!

UŁAMEK Z GRECKIEJ PODRÓŻY.

GRÓB AGAMEMNONA.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona,

Wtoruje myśli posepnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona.

I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną,
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,

Której mi tylko echo wieczne słychać!
Drujdyczna z głazów ta to wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos — ta bieli płutno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną

Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przedziwo.

Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;

Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie

Przed nadgrobowym pochowane słońcem,

Jakby mi chciały nakazać milczenie:

Sykają. — Straszny jest Rapsodu końcem:

Owe sykanie co się w grobach słyży —

Jest objawieniem — jest i pieśnią ciszy.

O! cichy jestem jak wy! o Atrydzil
 Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
 Ani mię teraz moja małość wstydzi,
 Ani się myśli tak jak orły ważą.
 Głęboko jestem pokorny i cichy
 Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —
 Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
 Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni:
 Posadziły go wróble lub gołębie,
 I listkami się czarnymi zieleni —
 I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
 Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu.
 Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
 Ani w gałąskach jęknęło widziadło;
 Tylko się słońcu stała większa szpara,
 I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
 Z razu myślałem, że ten co się wdziera
 Brzask, była struna to z harfy Homera —
 I wyciągnąłem rękę na ciemności
 By ją ułowić i napiąć i drżącą
 Przymusić do łez, i śpiewu, i złości
 Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
 Garstką popiołów: ale w mojem ręku
 Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.
 Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
 I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
 To los mój, senne królestwa posiadać,
 Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych —
 Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
 Na koń! chcę słońca i wichru — tententu!
 Na koń! — Tu łozem suchego potoku,
 Gdzie zamiast wody, płynie laur różowy;
 Ze lżą i z wielką błyskawicą w oku,
 Jakby mię wichur gnał błyskawicowy,
 Leceć — a koń się na powietrzu kładnie —
 Jeśli napotka grób rycerzy — padnie.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei

Trzeba się znowu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei

Dla mało wiernych serc, podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej —

Mnie od mogiły termopilskiej gotów

Odgonić legjon umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Itotów,
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych,
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę

Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce skruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,

Gdyby stanęli męże nad mogiłą?
I pokazawszy mi swe piersi krwawe:
Potem spytali wręcz: — «Wielu was było?» —
Zapomnij że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,

Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza:
I długo płakał lud takiej ofiary,
Ognia wonnego, i rozbitej czary.

O Polsko! póki ty duszę anielską

Będziesz wzięła w czerepie rubasznym;
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty straszny!
Póty mieć będziesz hierę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie.

Zruc do ostatka te płachty ohydne,
 Tę — Dejaniry palającą koszulę:
 A wstań jak wielkie posągi bezwstydne,
 Naga — w styxowym wykąpana mule!
 Nowa — nagością żelazną bezczelna —
 Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
 Podniesie naród — i ludy przelęknie
 Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
 A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
 Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
 Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzą!
 Pawiem narodów byłaś i papugą;
 A teraz jesteś służebnicą cudzą —
 Choć wiem, że słowa te nie zadrzą długo
 W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
 Mówię — bom smutny — i sam pełen winy!

Przeknij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
 Jak Eumenida przez węzowe różgi.
 Boś ty, jedyny syn Prometeusza —
 Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
 Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
 Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
 Lecz wiedz — że ręka przekleństw, wyciągnięta
 Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
 I z ramion ci się odkruszy zeschnięta!
 I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
 Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —

BENIOWSKI.



PIEŚŃ I.

Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu.
Wysoko potem go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew, miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski.
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia,
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przed całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał, ale dziedziczną —
 Dwadzieścia miał lat — był u siebie panem.
 Spraszał do domu szlachtę okoliczną —
 Fortunka jego ciągle ciekła dżbanem.
 Miał nadto proces i sprawę graniczną;
 A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
 Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
 Słowem że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się najprzód klinów i futorów,
 Potem i konie wyprzedał z uprzężą —
 Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
 O które żony dziś mężów ciemiężą —
 Pozbył się potem swoich białozorów:
 Regentowi dał charty — w rękę księżą
 Ostatnie grosze dwa za ojca duszę.
 I na ornaty dwa ojca kontusze

Z tych majątkowych ostatnich konwulsji,
 Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie,
 Wyrok w którym rzecz była o expulsji.
 Mało o to dbał — tracąc na chudobie,
 Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi —
 Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
 Na drugą wioskę, et si non ni nocēs
 Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność,
 Z palestrą jadać i być Akteonem;
 I na przyjaciół wdychać niewzajemność,
 I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
 Który mój ojciec sadił. — O, nikczemność!
 Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
 I na szumiący jesion łzawo spojrział.
 W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
 Trochę skorzystał jak człowiek odarty,

Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
 I Regent — niby trzy głodne lamparty,
 Lub jako muły puszczane na trawnik,
 Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
 Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
 Rzecz zostawili słodką — doświadczenie.

O doświadczenie! — ty jesteś pancierzem
 Dla piersi, w której serce nie uderza;
 Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
 Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
 O doświadczenie! — jesteś ciepłym pierzem
 Dla samolubów! — Tyś gwiazdą rycerza,
 Bawełną w uszach od ludzkiego jęku —
 Dla mnie, wśród ciemniej nocy — świecą w rękę!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
 O doświadczenie, jak o grosz złamany,
 Nie dbał — wolałby mieć wioskę i teścia;
 To jest ślubem być dozgonnym związany
 Z Panną Anielą. — Tej sztuka niewieścia
 Sprawiała, że był srodze zakochany —
 Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
 I wszystko dobrze szło — dopóki wioski

Nie stracił — wtenczas po włosku: addio!
 Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
 Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
 To serce schłoszczą tysiącami biczów.
 Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
 Była z rodziny dostatniej A...wiczów —
 Kochała wiernie — wierność była w modzie —
 Lecz ojciec: ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże
 Co nad wysoki mur liściem wybiegną
 Patrzeć na słońce — oczy miała duże,
 Czarne. — Jak róże co się nad mur przegną,

I mimo czujne ogrodowe stróże,
 Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną —
 A potem gorzki los tych niewiniątek,
 Wiednąć na włosach i saercach dziewczątek!

Aniela — mimo ojcowskie czuwanie —
 Widywała się ze swoim Zbigniewem.
 Kronika milczy czy to widywanie
 Odbywało się pod jaworu drzewem,
 W godzinę kiedy słyhać psów szczekanie,
 Kiedy słowiki wywołują śpiewem
 Księżyc z pod ziemi — lecz pozwól Asindziej
 Że się nie mogli widywać gdzie indziej —

Zwłaszcza o innej porze — Ojciec srogi,
 Do tego wielki oryginał, splennik;
 Djabeł wie jakiej wiary: w Rzymskie Bogi
 Wierzył i wierzył w prorocstwa, i w sennik —
 Chrystusa także krwią oblane nogi
 Całował. Zwał się cesarzów plemiennik —
 Słowem była to dziwna meskolancja
 Świątości, złota, folgi — jah monstrancja.

To porównanie pojąłbyś od razu,
 Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
 Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
 Odstrzeliwało słońce; kiedy w mroku
 Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
 Kłaniającym się ludziom na widoku;
 I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,
 Lecz widać było że żył — bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą
 Na skale — a pod skałą staw był wielki.
 W tym stawie widać było twarz jaskrawą
 Słońca, i białe łabędzie Anielki;
 Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
 Za groblą kościół Panny Zbawicielki

Z trzema wieżami baniastemi, w złocie;
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne! —
Zwłaszcza że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
Wężowe w skalach ścieżki powycinał,
I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce Rzymskie. — Ten puginał
W rękę swym trzymał i twarz miał brodatą —
Skąd łatwo było poznać że to — Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę,
I na Starosty górach stał bez listka.
Dalej w egipskich katakombach, ule —
Dalej posągi, którym koniec świstka
Wylażił z gęby i przemawiał czule
Do Pana zamku — jak do Antychrystka —
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były — lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.
Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tem jednym okiem w ciemną wodę:
Na deszcz, miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą wśród spokojnych toni.
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dianna o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała. —

Słowem — było to istne głupstwa wzgórze,
 Zwierciadło czyste cnego Antenata,
 Na którym meszty świeciły papuże,
 Rzymska, purpurą bramowana szata.
 Przy ucztach często na łysinie — róże,
 A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
 Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem:
 Że kto pił, zdał się mędrcom — nie opilcem.

Z tego wszystkiego Pan Kazimierz śmiał się.
 Lecz zakochany w cudownej Anieli,
 Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
 Polubił nawet te posągi w bieli,
 Te groty od lamp różane — i stał się
 Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
 W każdej albowiem była jego droga,
 I w każdej po niej została część Boga —

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
 Co myśli wtrącał i duszę w marzenia.
 Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
 Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
 Ja sam, co widział Chrystusa Oliwy,
 Góry z marmuru i góry z płomienia,
 Wolę — i sędze najpiękniejszą z krajów,
 Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów —

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
 Konwalja — pełną sosen, kalin, jodeł;
 Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
 Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł —
 A zaś przyczyna temu jest istotna,
 Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szcudeł,
 Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
 Jasny i chmuorny — jako księżyc w chmurach.

O! Melancholjo! Nimfo! skąd ty rodem?
 Czyś ty chorobą jest epidemiczną?

Skąd przyszedł do nas? Co ci jest powodem
 Że teraz nawet szlachtę okoliczną
 Zarażasz? — Nimfo! za twoim przewodem
 Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
 I jestem dzisiaj — niech cię porwie trzysta!
 Nie Polak — ale istny Bajronista —

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
 Trochę — tych grobów co się w Polsce mnożą —
 Trochę — tej ciągłej w życiu samotności,
 Trochę — tych duchów ognistych co trwożą,
 Palcami grobów pokazując kości,
 Które się na dzień sądny znów ułożą —
 I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
 Aż wreszcie Pana Boga skruszą — dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
 Nowy poemat, jak sąd ostateczny,
 I przy Eumenid pokazać pochodni,
 Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
 Jak w jasnym niebie daleko jest chłodniej
 Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
 Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
 Bo do porządku mnie wołają Woźni. —

Ci Woźni są to krytycy. — Kolego!
 Byłeś w Arkardji tej, gdzie Jezuici
 Są barankami? — pasą się — i strzegą
 Psów — i tem żyją, co ząb ich uchwyci
 Na pięcie wieszczą? — Kraina niezego!
 Pełna węzowych ślin, pajęczych nici,
 I krwi zepsutej. — Niebieska kraina!
 Co za pieniądze Bab — truć nas zaczyna.

O! Polsko! jeśli ty masz zostać młoda
 I taką jak ta być co dzisiaj żyje?!
 I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
 Której pies nie chce, wąż nawet nie pije —

Jeśli masz z twoją rycerską urodą
 Iść między ludy jak wąż co się wiję;
 Jeśli masz zrównać się z podstępny Włochem:
 Zostań czem jesteś — ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
 Ciebie Anieli niebiescy ostrzegą
 O każdej czarze — czy to w niej przez wroga,
 Czyli przez węża i pająka swego
 Wlane są jady — Jesteś córką Boga,
 I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
 Ciebie się żadna trucizna nie imie:
 Krzyż twym Papieżem jest — twa zguba w Rzymie!

Tam są legjony zjadliwe robactwa:
 Czy będziesz czekać aż twój łańcuch zjedzą?
 Czy ty różwiniesz twoje mściwe bractwa,
 Czekając na tych co pod tronem siedzą?
 I krwią handlują i duszą biedactwa,
 I sami tylko o swem kłamstwie wiedzą;
 I swym bezkrewnym wyszydają palcem
 Czleka, co nie jest trupem — lub padalcem?

Lecz pokój z niemi — nie, ten brud ruchomy
 Nie zna pokoju — więc życzenie próżne!
 Niechaj więc włożą w zakrwawione domy,
 Niech plwają na miecz, stworzenia ostrożne,
 Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
 Ich zgiętych karków — niech mają usłużne
 W jądzie maczane pióra — dusze w bagnie —
 Niech żyją: takej krwi nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
 Kiedym się skarżył na kłatwy i zdrady,
 Tom się i o ten kielich krwi octowy
 Upomniał — i grób zaparł się: że gady
 Z niego nie wyszły — lecz z urwanej głowy
 Ten polip odrósł i lud wyssał blady.

Wygnąć go była kiedyś wielka praca —
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim — lub jeśli przyczołgnie się żmija
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy — —
Lecz widzę że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:
Kiedy czytelnik tę górę omija,
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczere, polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę,
I poematu ekspozycję zwlekam —
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie — aż się kwiat listkami zmruży —

A potem nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Rozeszle wonie co wszystko pochłoną.
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę —
I tu pokażę że nie jest zmyślona,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice;
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! — już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. — Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne — ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie — na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy —
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
 Zawiesił burkę z tygrysiemi łapy;
 Wsiadł na koń, spojrział na ganek ze łzami,
 Poglaskał konia — koń otworzył chrapy
 I w ciemną domu sień zaparskał skrami —
 Na pożegnanie. Kłasy dwa harapy
 Pana i sługi. — I Pan ze swym sługą
 Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
 Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
 Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
 Są tu ostatnie! — lecz jeśli twe dzieła
 Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
 Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
 Będzie świątynią, a te ciche świerki
 Pójdą na krzyże i na tabakierki.

A twe koszule porzną na szkaplerze,
 A twe papiery — choćby to był tylko
 Od Ekonoma list, albo przymierze
 Wiecznej miłości z Handzią lub Maryką —
 Sawantka łzami rzewnemi wypierze
 I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
 Że twa peruka — jeśli masz perukę? —
 Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy zawieszą w Sybilli,
 A o znikniony lewy będą skargi. —
 Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
 I łzami się już zalewają wargi!
 Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,
 Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
 Puszczal się, takie proroctwo wyrzekła:
 Uczułby w sercu coś — coś nakształt piekła. —

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
 Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!

Zwłaszcza, że wiesz prosto do szpitalu
 Rozmarzonego. — A nim się obudzi,
 Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
 Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
 Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
 Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakszałt świecy.

Ale to wszystko jedno. — Nasz bohater
 Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
 Jak opuszczała swój dom panna Plater —
 A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą. —
 Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,
 Który wybuchnął wielką, jasną fugą
 Z Warszawy — Wisłę przewędrował promem,
 I mówi że jak ślimak wyszedł z domem — —

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
 Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
 Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci — —
 Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
 Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
 Za każdym słońcem — słońc mamy bez liku!
 I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąć,
 Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
 Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze,
 Wojna niebieskich krwawych luminarzy.
 Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
 Ułani, dawnich synowie husarzy,
 Którym krew ruska chorągiewki pierze.
 Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem —
 Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
 Bławatek każdy mu się przypatrywał,
 Ani się skarżył choć kopytem ścięty.
 Beniowski jechał cicho — sługa śpiewał

Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty;
 A głos po łańcach złocistych przepływał
 I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy;
 Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. — Rycerz wyjechał nad jary,
 Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
 Skała to, jako wielki obłok szary,
 Stała nad stawem; nad nią były wianki
 Drzew ogrodowych, i dom wielki, stary
 Z płomienistemi okny i krużganki.
 Całą tej górze postać ekscentryczną
 Zdjęła złota noc, swoją szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
 Dalekim oczom zniknął gdzieś Appollo;
 Ale dąb widać było zamyślony,
 Co stał nad zamkiem żeniony z topolą —
 Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony',
 Jak smutny aktor co z Hamleta rolą
 Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
 I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawia na tuza
 Cały majątek. Przegrał, to i plunął —
 Lecz patrząc na ten dom gdzie wziął harbuza,
 I z nadziei swych na wiek wieków runął:
 Westchnął! — i wzniosła mu się w piersiach służa —
 Łzami się zalał i z siodła się zsunął,
 Jak człowiek, który dostał nagle mdłości. —
 Przyskoczył stary Grześ «Co Jegomości?»

«Święta Maryo ratuj! dziecko kona!»
 Na to Beniowski rzekł: «poprawiam strzemię»
 Odepchnął służę co go brał w ramiona,
 W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
 Spojrzał na księżyc co zeń jak z Memnona
 Wydobył jęki, i całe trosk brzemie

Takim westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,
 Że księżyc zemił się — zmarszczył — i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał dalej brzegiem jaru,
 A za nim sługa w ceglastym kontuszu. —
 Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
 Litość aniołów brzęczy koło uszu:
 Smutny jest gotów do bójki i swaru,
 Gorączkowego pełen animuszu.
 Takim Beniowski był i jego lozak —
 Szczęściem że żaden się nie zjawił kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
 Gorszy, niż lwica Wirgilla hirkańska.
 Jechał więc smutny rycerz — za nim baczny
 Na wszystko jechał Grzes — a wódka gdańska
 W skórzanej paszy dźwięk dawała smaczny.
 I bełkotała ta Nimfa szatańska
 Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
 Lub poetycza na Litwie ropucha.

Słyszac jak słodko zapraszała fiasza,
 Spróbował jej Grzes raz, dwa, i trzy razy;
 I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
 Z gwiazd, a sam księżyc był szperką — a głazy
 Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,
 Został się w Troi, z konia spadł na ślasy. —
 I tak bohater zbył swojego sługi —
 Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniej — wtem — o cuda!
 Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
 Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda:
 Gałąź pokrzywy miała zamiast bicia — —
 Tu widzę że mi się poemat uda,
 Że mi już Muza swoich łask użycza;
 Więc dalej wieszczów galopem wyprzedźmy —
 Jest ex Machina Deus — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
 Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
 Widząc że siedział czart w srebrnej koronie
 Na koniu, co go jak wichur prześcignął —
 I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
 Lejce i stepem zamroczonym śmignął,
 Ciągąc za sobą mojej pieśni syna. —
 Że Polak daje się wieść — nie nowina!

Widziałem. — Ale stój Muzo! bieg krzywy,
 Tu nie przystoi wcale. — Miesiąc świeci,
 Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
 Smaga po zadzie konia i tak leci
 W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,
 O którym roją na pół senne dzieci —
 Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bycze,
 Skrzydła ogniste i nianki oblicze. —

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu,
 Pędził za naszym rycerzem i babą
 Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
 Jako tętnienia echo jęczał słabo,
 A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
 Gdy szczerwienieje, lub jak mówi Strabo,
 Łapa Ibisa, czerwona, bez pierza:
 Za lejce trzymała swój — i lejce rycerza.

W zawrocie głowy, rycerz wlepił oczy
 W tę rękę z trzema czerwonymi żyłami.
 A więc rozmyślał czy z konia zeskoczy? —
 Ale mu jego koń był bardzo miły —
 Czy świsnie szablą aż się leć potoczy
 I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
 Ale i ta myśl druga i ta chęć
 Zdawała mu się nie zła — lecz za prędką.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
 Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy:

Gdyby cię takie spotkało porwanie?
 Byś n'e spodziewał się znikąd odsieczy?
 I widział taką rękę, Mości Panie!
 Czerwoną? — do miliona krwawych mieczy
 Taką obydną rękę? pełną kości?
 Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
 I o swą godność indywidualną
 Dbasz wielce. — Cobyś więc powiedział na to?
 Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
 I nie wiem pewnie — lecz może wąsatą
 Sę-Symonistkę, i nie idealną
 Ale kościaną: był pozbawion woli
 I tchu, i czynił to co godność boli?

Nie wiesz? — Więc sobie zamawiam twą łaskę
 Na dal, na rzeczy ważniejszych sądenie. —
 Beniowski więc wpadł w szatańską zatraskę —
 Widzę w tem jego gwiazdę — przeznaczenie!
 I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
 Którą słoneczne wkładają promienie
 Na twarz księżycy; a w tym prędkim biegu,
 Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle — zwolniła kroku przewodniczka —
 Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
 Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
 Patrząc, gdzie go ta wędrownka zawiodła.
 Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka,
 Między skałami — co mogą za godła
 Służyć dwom sercom, rozdartym na wieki —
 Wiodła go prosto — prosto — do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały,
 I tę scieżczkę pełną rudej glinki.
 Tutaj pasterskie roił ideały,
 Z których czytelnik może roić drwinki. —

Starosta córce dał ten gaik mały
 I od niej nazwał miejsce — Anielinki;
 A zaś ta wiedźma, na pozór straszliwa,
 Była to niańka Panny, stara Diwa! —

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
 Za tę Ibisa rękę wnet uściskał.
 «Więc ty Irydą jesteś, a Junoną
 Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął!
 Ach, widzę jaką miałem myśl szaloną!
 I cobym zrobił gdybym szablą świsnął
 I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
 Drugi raz nie graj w djabła i w tatarą.»

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem —
 I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
 Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
 Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
 Chata nakryta prostej słomy wiechem,
 Ścieniona lipy ogromnej koroną,
 Stała na łące, w najciemniejszej głębi,
 Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drzeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
 Prowadząc konia co się wyrwał z dłoni
 I poszedł zwolna, parskając, do wody —
 Ta wyglądała z pod białych jabłoni,
 Szarfą księżycą, błękitem pogody —
 Za nim koń drugi poszedł rżąc — a oni —
 To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
 Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświęcił w sieni,
 I drzwi otworzył od Panny pokoju.
 Na progu stała jakby smętna ksieni,
 Panna Aniela cała w białym stroju;
 Z diamentowych zaś miesiąc pierścieni,
 Podobny do gwiazd migających roju,

Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jakoby złote światło Świętych.

Beniowski myślał że Anioł i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem
Potem się zmieszał i o zdrowie spytał:
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem że nie czytał
Pani Sand! że się Bajronieznym cieniem
Nie okrył! że jest niezgrabny w rozmowie!
Że nie wie jak to mówić romansowie — —

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżycą
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica:
I słyszy że, nie jak wieszcz lub astronom,
Kochanek wita ją — lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent — a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw —
I cała moich poematów zgraja,
Lęka się dalszych twoich swarów, przyjaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja;
I Balladyna skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać że jest z tobą w pokrewieństwie.

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość — a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich — oprócz tych tylko — których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
 Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
 Dla zalotników zwyczajnych jak skała:
 Z czego kochanek wybrany korzysta.
 Albowiem nigdy nie kokietowała
 Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta
 Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
 Z których by żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak — Ciągną jak słomki
 Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
 Która im różne rozdaje przydomki,
 A wiosną listkiem cyprysu, lewandy,
 Z niemi w zielone gra — lub wiąże słomki;
 Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
 Które za każdym wody pluskiem płyną.
 Skosztują — haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak — widziałem całe
 Przy jednej pannie gimnazja, licea;
 Ta miała często rączęta nie białe,
 A złość tak wielką w sercu jak Medea;
 A zaś korzyści z tych miłości małe,
 I małe bardzo na później trofea.
 Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek —
 Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga: że takie zbiorowe
 Miłości, nie są w miłości nie warte;
 Że lepiej serce zawrócić niż głowę —
 Serca w miłości bowiem są uparte,
 Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
 I stokroć bardziej ogniście zażarte:
 I często widząc że na świecie źle tym,
 Z rozpaczy kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacja
 Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,

Gdy na rozstajnej drodze jaka stacja,
 I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
 Świadczą, że każda z nich, jako akacja
 Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
 Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
 I ma kochanka w piekle — potępieńcem.

Takim sposobem, wnet jest heroiną,
 I poeci ją rymami zaszczyca:
 Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną.
 Lecz musi nazwać posępnie dziewicą!
 A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
 W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
 I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
 Mając lzy w oczach — a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli —
 Choć tak piękna, jak żadna śmiertelna,
 Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
 Została dumna i nieskazitelna,
 Chodziła jako łabędź lub anieli,
 Kolysząc się na giętkiej stopie. — Strzelna
 Nie była swemi żrenicami — zgoła!
 Lecz oczy czarne jej paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
 Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
 Ta sama głowa miała kształty święte,
 I uświęcone snycerską powagą,
 Smukłe, ku plecóm w okrągłość ściągnięte.
 Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
 Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
 Tego — co mówię tu o formie czaszki —

Jak owe jaje, w którym kiedyś Leda
 Powiła syna bogu łabędziowi —
 Jak? — dzisiaj się to wytłumaczyć nie da
 Przez żaden nowszy cud katolikowi;

A gdym tłumaczył, to panna Praksesta
 Święta — aniołek jezuicki, wdowi —
 Jak na kazaniu siedziała Sanskryckiem,
 A potem dała mi w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu że z pod prasy
 Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
 Bobym te wszystkie katolickie kwasy
 Miał na łbie, wszystkie sześć! — Bo ta kochan
 Panna Praksesta, gdy chodzi w zapasy
 I chce traktować kogo jak szatana:
 Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
 Rzuca na głowę — i bije i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
 Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
 Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką —
 Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
 Zamyka. — Czemże jest ból? Jedną chwilką!
 Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
 Podziękowawszy w tej chwili chwilowość,
 Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
 W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
 A l'antique — barwy troszeczkę bladawe.
 Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
 Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
 I pytające się o własne losy.
 Jej ręka piękna, maleńka i biała,
 Za szorstką, silną biorąc rękę — drżała.

«Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
 Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
 Nie mów mi, że jest między nami przedział
 Fortuny. — Jestem nad przepaści brzegiem.
 Usiądź — opowiem — wszystko będziesz wiedział!
 Nie strasz się tyko trudności szeregim —

Nie strasz się! Jesteś ludziom w ponie wierce —
Lecz ja cię kocham jedna — ja mam serce.

«Straciłeś cały majątek? — I cóż mi
Majątek? ludzi sąd? — Ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę — a nie twych dusz mi
Potrzeba! — Pójdę o żebranym chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca — mój los już zapisany w niebie.
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję. —
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

«Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. — Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka jak na moją mękę
Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoją stronę.
Płakałam — patrzaj — oczy mam czerwone.

«A tu, jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. — Czy widzisz jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc — lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty — po kolana.
Prawda że dobrze mi tak bez zawoja!
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

«Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? — O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? — Gdy mię ból niezmierny
Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką —
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już — ale mi smutno.

«Czy ty nie ufasz że ja zdołam jedna

Oprzeć się — zostać twoją? — Ja nie płocham!

Ty nie wiesz co to jest kobieta biedna,

Kiedy ją dręczą, kiedy mocno kocha — —

Zgubi się — potem u wszystkich wyjedna

Ezy nad swem sercem zgubionem i trocha

Kwiatów — i więcej też żadnej nie trzeba.

Cóż to? — Nie mówisz nic do mnie? — O nicba!

«Myślałam że ty mi dodasz nadziei —»

Tu wypuściła z rąk, rękę kochanka —

«Myślałam że ty w tej smutnej kolei —»

Tu błysło — szczęściem stała z wodą szklanka,

Wzięła ją — drżące w szkło usteczka klei;

Zębki o kryształ dzwonią, jak kraszanka,

Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.

Rzekłbyś że perła o diament dzwoni:

«Myślałam» — Głos jej o jedną oktawę

Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny. —

Boleść złamała jej giętką postawę,

Myślałbyś że się chyliła do truny!

Tak, nawet małe usteczka jaskrawe

Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.

Padła na krzesło i przez łzawe deszcze

Błysnął ostatni jęk: «Kochasz mię jeszcze?»

Beniowski już był na kolanach — w dłonie

Wziął drżącą rączkę Anieli. — Tu proszę

Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie;

Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę,

Po dawnych wieszczów umarłych koronie,

Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,

Krytyków kupię z Grabowskim Prymasem:

Reszta owczarzy moja. A tym czasem —

Jako pretendent, na własne poparcie

Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.

Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
 Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni —
 I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie,
 Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej
 Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę
 Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie:
 Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
 Cicho po rzece kryształowej płynie;
 Że bańka się od gazowego skrzydła
 Babki-konika rozbija i ginie.
 Że w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
 Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica,
 Jest jak duch z woni malin i z księżycy.

Nie podobało się: że Grabiec spity,
 Jest wierzba — że się Balladyna krwawi.
 Że w całej sztuce tylko nie zabyty
 Suffer i Młoda Polska, co się bawi
 Jak każdy głupiec, plwając na sufity,
 Lub w studnię — która po sobie zostawi
 Tyle, co banka mydlana rozwalin,
 A pewnie nie woń mirry — ani malin —

O Boże! gdyby przez Metempsychozę
 W Kozaka ciało wleźć, albo w Mazura,
 I ujrzeć jaką popełniłem zgrozę,
 Pisząc — na przykład — Anhellego. Chmura
 Gwiazd, białych duchów, które lgną na łożę
 Jak szpaki Danta: rzecz taka ponura
 A taka mleczna i nie warta wzmianki —
 Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniećbym takich nie napisał bredni,
 Gdybym był zwiedzył Sybir sam, realny;
 Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
 Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,

Troską i solą z łez gorących — biedni!
 Tam nędzni — dla nas posępni, nadskalni,
 Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
 W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Pewniebym — lecz ta spowiedź jest za długa,
 Dygressje nudzą; więc mój czytelniku
 Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
 Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku.
 Kościół i wielka słoneczna framuga,
 I na tęczowym Duch Świąty promyku:
 Także cokolwiek szlachty. — Powieść taka
 Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

P I E Ś Ń II.

O, nie lękajcie się mojej goryczy!
 Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
 Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
 Chodziłem, farby zbirając do dzieła,
 A teraz moja Muza strof nie liczy,
 Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
 Komu za kołnierz spadnie przez przypadek,
 Syrjusz rzucony przez nią, lub Niedźwiadek —

Spali się — lecz ja nie winien. — Per Bacco!
 Różnemi drogi mój poemat wiodę;
 Jak Chochlik często częstuję tabaką,
 A gdy kichają, ja zaczynam Odę —
 Naprzykład drugą piękną odę taką,
 Jak do młodości. Może serca młode
 Pokochają mię za to żem jest śmiały,
 Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć — co? — dom jeden,
 Podolski, jeden dom rozciąć na dwoje;
 I pokazać wam jaki szczery Eden!
 Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
 Jak złoty, piękny domów jest syreden! —
 Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
 Wywołał je tu rym, przez dźwięki bliźnie
 Nie miłość, którą mam ku Kozaczyźnie —

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
 Które na górach stoją nad stawami.
 Stawy — to tarcze z tęczowych kolorów —
 Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
 Gonią, podobne do srebrnych upiorów;
 A na nie księżyc jasnemi oczami
 Patrzy — na niebie jeden, przez topole,
 A drugi taki złoty księżyc — w dole.

Atoli, wewnątrz tych domów dopiero
 Poetycznem jest — zwłaszcza jeśli miłość
 Oświeci, wonną je napelni mirrą,
 I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
 Podolank są usta srebrną lirą,
 Serca — ta strofa ma pewną zawilóść,
 Której nie lubię, lecz ja skończyć muszę:
 Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znalazłem jedną — lecz nie wspomnę o niej,
 Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
 Od serca mi jej wiało tyle woni
 I tyle światła: że mi dziś słoneczniej —
 Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni —
 Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.
 Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga —
 Ona umarła już — jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
 Wieczności, wiedzą wszystkiego. — — O! dosyć!

Niech resztę grobu cyprysy ochyla.
 Różom najbielszym jej żalobę nosić.
 Jej słońca drogi mleczonej nie omylą —
 Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
 Jaka harmonji lekkiej głos, bez końca,
 Ze słońc, na wielkie słońca — i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
 Jak gołąb puszcza za nią skrzydła chyże —
 A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
 I twarzą bladą połóżcie na lirze,
 Jakbym, w Alpejskim upadłszy parowie,
 Spoczywał. — Miałem ja troski i krzyże —
 Więcej niż śniło się wam filozofom.
 Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
 Tu, ziemskim i tam, nadśłonecznym; oba
 Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie.
 Jeżeli się mój poemat podoba,
 Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
 A te zostaną pieśni jako próba,
 Wcale nie według mego serca — ale
 Ponieważ moje są, otwarcie chwale.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
 Ryszard w okropnym bardzo monologu,
 Ujrawszy siebie we śnie, jak krwawnika
 Ocierwienionym, na piekielnym progu —
 Szkoda że w Księdzu Kiefalińskim znika
 Szekspir: przyczyną jest trudność połogu
 W stanie bezzennym — także to, że z księdza
 Nie może nagle być Makbeta jędza.

O Księżach dobrze mów! jest to przestroga
 Już nie Szekspira! na tym fundamencie
 Moralność cała stoi! — Lecz na Boga!
 Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie

Epiczne? Moja Arjostyczna droga? —
 Widzę że wszystko mi stoi na wstręcie.
 Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
 Mówią że w czterech dniach układam dramę.

O Bóże! ileżbym stworzył romansów,
 Gdybym chciał wszystkich d.....w być zabawą!
 Wyspa dla grubych naszych Sanszo Pansów,
 Na której by się uczyli ze sławą
 Syllabizować. Lecz z prozą aljansów
 Nie chcę — do wiersza mam, jak sędzę, prawo,
 Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
 Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
 Mogły stać nagle indywiduami;
 Gdyby Ojczyzną był język i mowa:
 Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
 Z napisem patri patriae. — Jest to nowa
 Krytyka. — Stój! ten posąg błyska skrami,
 Spogląda z góry na wszystkie języki;
 Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
 On się rozjęczy jak harfa Eola,
 W róże się same jak Driada wdrzewi,
 Głosem wyleci za lasy, na pola,
 I rozlabędzi wszystko, roześpiewi —
 Jak smukła, pełna słowików topola!
 Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
 Myślisz — że w niebo ulatujesz z chatą.

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
 Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
 O! gdyby mogły się na posąg słowa
 Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
 Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
 I zwolna złotym wylewa strumieniem!

A tak powoli leje i łagodnie,
 Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie —

Stoi w nim cała, ogromna. — O, gdyby —!
 Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
 Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby!
 I dla jaskółek — na co? — Znowu błędę,
 Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
 A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —
 Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei
 Żem dostrzegł — jako Poznańczyk — idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
 Krytyka, równe porobi odkrycia?
 Nie wiem. — Czasami myśl w Etherze pływa,
 Przez piękne bardzo przelatując śnicia;
 Lecz później, pismo, druk — tęcze obrywa.
 Z kształtów. — A teraz odbłysek mego życia
 Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
 Patrzcie jak serce wesole — gdy pęknie!

Śczęściem że pieśni tej bohater młody,
 Świeży, miłosny i ma ciemne oko,
 Złote połyskiem zielonawej wody,
 Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
 Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
 Nadto mu prawie na świecie szeroko.
 Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
 Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezja go otacza — — Czytelniku;
 Na jego miejscu, o, ileżbyś razy
 Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
 Hypogryfując, leci, klnie wyrazy.
 Klnie, że w okolo zimnych serc bez liku!
 Same szkielety pod nią, same plazy! —
 Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,
 A priori to czuł — lecz nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał —
 Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
 Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
 Idei żadnej w nim nie było nowej —
 Najnowsze, z ustek różanych wysysał,
 I teraz, patrzcie! w pasiece lipowej
 Klęczy pokornie przy kochanki nodze —
 Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość. — O! ta pomimo dewotek,
 Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
 To jest kochanków młodość. — Mimo plotek,
 Szesnastoletnim się przybliżyć licom
 Pozwólcie — zwłaszcza gdy chłopiec podlotek,
 Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
 Dla tego tylko że się mogą bratać
 Piórkami — ścisnąć, i gruchać, i latać.

O, pierwsza miłość! — Tej wiernym obrazem
 Jest zamienienie serc bez interesu!
 Tej ideałem jest latanie razem
 W krainie, w której nie ma końca, kresu.
 Potem się człowiek głupi staje płazem: —
 Mimo krew zimną, z każdego karesu
 Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
 O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumię zgoła,
 Dla czego w Rzymie nieszczęsame grzesznice
 Sadzą do zamku świętego Anioła — —
 Prócz tych — ta strofa musi zakryć lice;
 Wstydzi się że tę myśl wzięła od czoła,
 Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewicel
 Zarumienieniem waszem ucieszony,
 Wracam do bajki mojej — z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
 Śród róż, drzew, światel księżycowych, woni,

Wód, rzucających srebrne błyskawice
 Z pod brzoź i białą okrytych jabłoni
 Serce przy sercu, i przy licu lice,
 Dłoń niespokojna, w niespokojnej dłoni;
 Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czule,
 Lecz wieszczą mogą przemienić w gadulę.

A więc do zamku wracam, gdzie Starosta
 Kłaniał się, pocił, dał, puszył, brał na ton:
 A chociaż szlachta go słuchała prosta,
 O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon —
 Na mózg wesółych ludzi wielka chłosta!
 Więc się rozeszli, woląc sen — niż świat on —
 Co się naówczas zdał za-atlantyckim —
 Został się pan Starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki, był to Regimentarz
 Podolski, wielki wróg Konfederacji,
 Z której niedawno chciał uczynić smętarz,
 Co do jednego wyciąć — niech go kaci!
 Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
 A tu obaczysz jak mu się wypłaci
 Konfederacja: jak jest niebezpiecznie
 Z Demokratami być nie dosyć grzecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
 Zdradą na obóz napadł i wycinał,
 Czego mu potem była wielka szkoda,
 Bowiem go czekał stryczek lub pugiwał.
 Nie znano jeszcze wówczas Walenroda,
 I kończył jak pies, kto zdradę zaczynał:
 Exemplum: oba Litewskie biskupy,
 Na dwóch łątarniach miejskich — oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej — jeśli ich pod lodem
 Car nie utopi — łatwiej ujsć łątarni.
 Krukowiecki jest miasta Walenrodem,
 Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!

Lecz obum wielka myśl była powodem:
 Oba chcą Polski, aby ujęć bezkarni;
 Bo zna to dobrze ta piekielna para,
 Że łatwiej odrwić Polaków — niż Cara.

Walenrodyczność czyli Walenrodyzm,
 Ten wiele zrobił dobrego — najwięcej!
 Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
 Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.
 Tu nie mam więcej już rymu na odyzm,
 Co od włoskiego odiar-lo — najprędzej
 Może zastąpić brak polskiego słowa —
 Walenrodyczność więc — jest to rzecz nowa. —

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
 I sam Paszkiewicz — domyślaj się reszty —
 Co? — sam Paszkiewicz? — O tem jeszcze głucho,
 Lecz jestem pewny. — Pomyślał: a wiesz ty
 Że on być musi już przejęty skruchą?
 On jest Polakiem aż po same meszty,
 Które mu dzisiaj wyszyła Wallida,
 Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda.

Tak jest: obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
 Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
 Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
 Rzeczom, co jako piorunowe błyski,
 W chmurach się kryją — Więc już rozumiecie
 Że Dzeduszycki nie miał jednej kreski,
 Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca —
 Wszyscy w Ojczyźnie mówili: to zdrajca!

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy;
 Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
 Wyparł się jako święty Piotr — trzy razy,
 I cała wina na koguta spływa,
 Dla tego że piał. A więc wszystkie zmaży
 Pan Regimentarz, kochanek Gradywa,

Dźwigał na sobie i chował in petto
Zemstę, jak Włochy co się mszczą stileto.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów samek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato
Pół warjat, a pół syn Cezarów Romy;
Małeńki starzec, pół lysego czoła,
Ojciec, który miał córkę, pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencją ojca się oświadczył Pannie.
Wspomniął o drzewie swoich antenatów —
Nie wspomniął ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla Konfederatów —
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów,
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs — za psami szalał —
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów — a stąd od wściekliczny.
Miał jednak dobrą stronę — aneuryzmy.

Te dowodziły że miał serce. — Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materialny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon węzowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego co ludzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
 Przy samym panu Staroście, na prawo;
 Dobijał właśnie targu i na czole
 Widać mu było niecierpliwosć krwawą,
 Gryzącą — — Oczy utopił sokole —
 Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
 Lewą na stole wyciągniętą, prosto
 Ku kielichowi — i mówił: «Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
 Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić.
 Wierzaj mi i bądź Starosto łaskawy!»
 Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
 Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
 I zwykł się nieco był po piciu krzywić.
 Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
 Zmarszczył — i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
 «Starosto! zezwól na szczęśliwość naszą.»
 Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
 Ścisnął pod stołem, i oczy, co straszą
 Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
 Uczynił cukrem i ponętą ptaszę —
 A miał na oczach swoich jak jastrząbek,
 Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół śpiący, ale grzeczny,
 Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
 Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
 Zwłaszcza gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,
 I wiedział że gniew może ściągnąć wieczny —
 Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
 Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
 Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
 Już spał — a wreszcie nie chciał odpowiadać.

Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
 Jak do pacierzy jął ręce układać;
 Już się był począł przez słowa miodowe
 Do uszpiętego na pół serca wkradać —
 Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
 Ostanie, słodkie słowo: niech tak będzie.

Gadając, ręce pokornie złożone
 Na stół położył obie i wytrzeszczał
 Na pana zamku oczy zaiskrzone;
 Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
 Że po pjanemu zdobył sobie żonę — —
 Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzęszczał,
 Wstał — lecz na stole miał obiedwie dłonie,
 A na nich papier i orła w koronie —

Orzeł na karcie był — a karta była
 Nożem tureckim do rąk mu przybita —
 Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
 Oczy w niej toną — myślałbyś że czyta,
 Że karta trupie kolory odbiła
 Na jego żółtą twarz. — Książd Karmelita
 Za stołem cicho stał i patrzył z góry
 Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan — to raz na księdza,
 To znów na ściany patrzył, wstając zwolna:
 Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza,
 Ledwo się w sobie pohamować zdolna —
 Lecz myślał że mu sen mary napędza,
 Tak zimną była ta cisza ogólna,
 Ten papier nagle do stołu przybity —
 Dzieduszyckiego jęk — wzrok Karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
 Rzucił do szabli — ale mówiąc szczerze —
 Myślał że sen mu grał sztukę Mozarta,
 Że Dón-Żuana widział na operze.

Gdy trupa ziemia puściła otwarta
 Na muzykalny wieczór i wieszczerzę.
 Tak trudno było pomiarkować zrazu,
 Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głązu.

Godzina była nocna i bez przerwy
 Piał kogut, świece miały długie knoty:
 Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
 A w jednym oknie miesiąc stanął złoty —
 Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy.
 Miesiąc więc w oknie stał — dziwne łaskoty
 Na dachu, jakby jęczenia grobowe —
 Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

«Ktoś ty?» Ksiądz milczał. «Co tu robisz mnichu?

Co znaczny papier ten? na Lucypera!»
 Tu Dzeduszycki zajęczał po cichu,
 Ale tak jęknął jak człek co umiera.
 Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
 Nie było oczu, tylko białość szczera,
 Jak w zwierciadlanym łysnęła odruszgu;
 Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrział i cofnął się biały
 Jak wosk, jak oczy, któremi go szukał
 Pan Dzeduszycki — ale okazały
 W cofnięciu się swem, na ludzi nie hukał,
 Zwłaszcza że ksiądz był wielki — a on mały.
 Nieraz zaś przedtem pan Starosta fukał
 Na równych sobie — niższym dawał szlagę,
 Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
 Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
 Sam by się Jowisz oburzony chwalił
 Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.
 Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
 Lecz w jedną szybę okien rzucił głązem.

Na ten brzęk wszystkie ganki i komnaty
Przegnał ogromny wrzask: Kofederaty.

Starosta spuścił łeb — ksiądz się przybliżył
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
«Przebacz wielmożny pan, jeśli uśliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył!
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie.»

Podczas tej mowy twarze się wásate
Pokazywały w podwojach — kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się: rzekł ksiądz: «Ja jestem ksiądz Marek!»

Wstrzymał się — powiódł okiem po Staroście —
Zmarszczył się — i rzekł: «Dla Kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ładawy!
Wy się tu proszę bracia nie panoszcie
Rabunkiem — zamek się poddał krwawy.
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.»

Na to Starosta krzyknął! «Protestuję
Przeciwko zdradzie haniebej waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję —
Mieć nie będziecie nawet moich kościów!» —
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów!
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezja gotowa! — Tam — Romeo!
 Pożycz mił twoich słów rozplamionych.
 Zresztą już Ursę mam z Kassyopeą,
 Mam księżyc i mam dwoje serc pękniętych
 I Filomelę, co tak jak J. B. O.

Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
 Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
 Tak — że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezja. — Gdyby tylko na to,
 Aby się żegnać, warto brać amanty.
 Czuliście, kiedy tę lżę lodowatą
 Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
 Te słowa: «pójdę i skonam za kratą!»
 Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
 Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
 A jednak — przysięgłbym że nie fałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
 Tracili ducha? wymowę, kolory?
 Z paszportem pugilares? i tak dalej — —
 Czy przysięgaliście jako upiory
 Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
 Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
 Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
 Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
 Zachować smutku wrażenie niestarte,
 I całe życie się przeszłością smucić?
 Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
 A zawsze: «Ona teraz musi nucić!
 Teraz na księżyc oczy ma otwarte —!»
 Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie,
 Tfu! — odebrałem list — że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszalo — nie bardzo —
 Ale cokolwiek zmięszalo, Bóg świadkiem! —

Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
 Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
 Takich dwa — a me serce tak zatwardzą,
 Ze niezabudką już, ani bławatką
 Nie da się nigdy wyprowadzić w pole —
 Chyba mi posąg położy na stole.

Ha! takem zgorzkniał, że nawet nie trączę
 W tej pieśni — smutnej lutni pożegnania.
 Szeptali długo jak wierzy płaczące:
 Gołębie słychać tam było gruchania,
 Łzy zimne, usta zmywają gorące;
 Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
 Już się rozeszli — rzecz skończona! — Horor!
 Miłość przechodzi już w pamiętek kolor —

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
 W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
 W muzę Olimpu zamglonego córkę,
 W poemat smutny od deski do deski;
 W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
 Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
 Tęczowe — chmurką obwiedzione złotą!
 W dole: Raphael pinxit, albo Fiotto.

W galerji siedzi dusza. — O, tęczowa
 Kopuło myśli! tyś moim kościołem! —
 Wymalowana, jasna, księżycowa,
 Nad srebrnym duszy wisząca aniołem! —
 Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
 Serce wygląda jak urna z popiołem,
 W najtajemniejszej kaplicy stojąca —
 Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
 Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
 Pękasz jak niebo nad aniołem duszy —
 Próżno się broni w błyskawicach głowa!

Cały gmach na nią upada i kruszy,
 I ją i serce, które biedna chowa
 Jak smętny łabędź, pod skrzydła białemi.
 Pękło — popioły rozwiął wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedia powagi
 I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem --
 Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
 Marzenia stają się czynem i życiem;
 Czyny się stają piorunem odwagi —
 Rozbiły kościół! — Pod jego rozbiciem
 I serce pękło i burza przewyła —
 Z wszystkiego, patrzcie co? — Krzyż — mogiła.

Precz wszystkie takie sceny, odgrywane
 W teatrze naszych wnętrzości, Maurycy
 Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę —
 Czas mu postawi zwierciadło różnicy —
 Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
 Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
 Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
 Kto wie za kilka lat, czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
 Odmian, które się w zamku wydarzyły,
 Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,
 Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
 Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
 Założonemi, ów dąb pełen siły,
 Który się dawniej kochał bez nadziei,
 Jedne swe oko topiąc w Galatei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna
 Już zadyszana stanęła, poprawić
 Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
 Można się było w niej oczyma bawić,
 I była to gwiazd krystalowych wanna,
 I rybki się w niej zaczynały jawić —

Dłgie, błyszczące robiąc korowody;
Ilekróć leskę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet — czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosyh —
I serce biło w niej — bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się — a jakieś głosy
W powietrzu cichem brzęczały i gwary --
Jak gdyby przez sen mruzczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwiała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy —
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. — Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem — że ujrzała racę.

Była ta owa rasa, nakazana
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie.
Pod biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi — wąż leciał, paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu; i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena —
Niebo! ta rasa na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu i phalena:
Już zdało się jej, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. -- Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy, był świat ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
 W ciemnem powietrzu cicho osypała.
 Kilka tych włosów przez grubą ciemnotę
 Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
 Panna Aniela, myśląc jak tę psotę
 I te wycieczki będzie ubierała
 W wymówki; i pod ulewą ognistą
 Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie.
 Z oczu spuszczonech w bok miotala błyski,
 Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
 Przygotowała dla ojca uściski;
 Dla guwernantki podobne pokrzywie
 Pocałowanie, jed n ukłon niski
 Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
 I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko —
 Coś do tej główki wpadło — i pobiegła,
 Biegnać jak gdyby była złotą rybką,
 Która od wędki zdala plusk spostrzegła,
 I coraz bardziej leciała i gibko
 Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażęgła —
 Zadyszła się i różowa wpadła
 W bramę i w koło spojrzła i — zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie, mnodzy,
 Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
 Widać że byli trzymeni na wodzy,
 Bo ujrzeni ją i stali spokojni:
 Byli to wszystko szlachceice ubodzy,
 Patriotyczni bardzo, bogobojni —
 Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
 Choć zimno, rzadko który w lisich błamach.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
 O nic zapytać panna starościanka.

Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała!
 Już, wyglądając dumnie jak Rzymianka,
 Wyprostowana, sroga, trochę biała,
 A okiem paląc jak Transteweranka —
 Biegła jak wichor, szła przez korytarze
 O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
 Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
 Który dowodził wtenczas retorycznie,
 Że schylić głowy przed nikim nie umie;
 Że radby się był rozsądzić granicznie
 Z konfederacją — i tak dalej. W szumie
 Tych słów, nic więcej nie pojęła córka,
 Tylko że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec — jego ręce
 Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
 Pożyczył niegdyś proszony, na prędcę,
 Kozaków przeciw Panu Puławskiemu.
 Słusznie więc teraz zbłdł jako jarzące
 Świece, trupowi podobien białemu.
 I ów pan cały purpurowy wczora,
 Wyglądał jako posąg Komandora.

Ujrawszy córka to, nie mówiąc słowa,
 Pewnemi kroki do stołu się zbliża:
 Widzi że sterczy w nim sztyletu głowa
 W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
 Wrywa ów nóż i za gorset chowa.
 Wtenczas, by ręce Boże zdjęte z krzyża,
 Rąk dwoje wyszło z pod papieru — obie
 Te ręce zdrajca położył na sobie.

I oblały go krwią jasną, dziurawe
 Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
 Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe,
 I na żupanie białym znak straszliwy

Został, jak owe ordery plugawe,
 Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
 Wiesza na piersach. — Potem się posunął,
 Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

Serce w nim chore biło coraz prędzej,
 Czekał tylko na noża wyjęcie,
 I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy,
 Utonął teraz już w dziejów odmęcie.
 Ale są życia, co z tej samej przędzy
 Wina się — dla nich ten rym i przekleście!
 Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
 Niech jak psy patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, ręk własnych szcerwieniony łzami,
 Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył!
 Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
 A potem ręką odepchnął i zbroczył.
 Smer zgrozy zachwiał w pokoju światłami! —
 Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
 Palec i karty przewracał z pokorą,
 Wiedząc że duszę tę — już djabli biorą.

Wtenczas Starosta rzucił się do stołu,
 Kulakiem stuknął, krzyząc: «rozbójnicy!»
 Przemierzył księdza od góry do dołu:
 «Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy,
 Niż — z mojego cię wyklnę Kapitołu:
 Cóрко! podaj mi papier — kozak, świecy! —
 Siadaj tu Panna, et pagina fracta
 Pisz protestację, która pójdzie w akta.»

Posłuszna Panna Aniela usiadła,
 Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie.
 A starzec do niej: «Ta krew czarna, zsiadła,
 Ta krew na stole atramentem będzie —
 Umoc to pióro.» Aniela poblądła:
 Krwią był zalany stół aż po krawędzie,

Krwia, co wyciekła z rąk Regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok Barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrzała i dreszcz ją przeniknął.
«Wezwawszy bogów na świadki — pisz córo!
Których bogdajby wzroku nie uniknął
Ów czyn nieszczęsny i haniebny — juro!»
Tu Karmelita książd powstawszy, krzyknął,
«Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę —
Co! ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

«A ty panienko grzech ściągasz na duszę,
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
I na tem miejscu krwi popłynie rzeka.
Gdzie stoję, a te góry palcem ruszę,
I na Moskali pójdą! — Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z Bożego ducha?
Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słuca?

«Zaprawdę mówię ci, panie Starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek — prosto,
Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę —
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
I gdyby nie ja, te komnaty złote
Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
I purpurowe i w ogień odziane.

«Czy nie wiesz o tem, że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyróżnienie?
Pod święconemi nożami krew płynie;
Pop pierś otwiera, a chłop daje cięcie
W bijące serce! Cały naród ginie,
Jak w zapalonym przez Boga okręcie.
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale bezczynny — sądzisz żeś bezpieczny?

«Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
 Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
 Miał tu pohulać z tobą, wielki Panie!
 Dziś by tu wielka rzeź w zamczysku była.
 Idź! — on przykuty łańcuchami w ścianie,
 A przy nim zbójców powiązanych siła —
 Idź obacz jakie teraz mają łoże:
 Leżą na workach, a w tych workach — noże!

«O! taka pościel będzie dla grzesznika,
 Co jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
 Dziś byłbyś w piekle — tu, bez spowiednika
 Zamordowany. — Pan Sawa się zbrojnie
 Z twojemi chłopcy na moście potyka,
 I za twą całość krew wylewa hojnie.
 A twoja siwa się tu rzuca głowa,
 Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?»

Podczas tej mowy, pan Starosta w czoło
 Księdza jasnymi patrzył się oczyma;
 Nagle jak człowiek, gdy ujrzy że gołą
 Zbójca siekiere nad głową zatrzyma,
 Zadrżał. — A wtem pan Sawa wszedł wesolo —
 Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
 Pół kozak, pół szlachcic — ten donosił,
 Że całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim — wszedł z brzękiem,
 Hucznie, lecz spojrzął i zmięszął się cały,
 Ujrawszy oczy, w których całym pękiem
 Kupido trzymał najeżone strzały.
 Zamek był broni napelniony szczękiem.
 Trup na podłodze, Karmelita biały
 Nad trupem — blady Starosta, stół krwawy,
 Za stołem panna anielskiej postawy —

Jako Sybilla z piórem w ręku. — Basta!
 Nu tym się moja pieśń kończy obrazie.

Dalej ujrzycie zapalone miasta,
 Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
 Wiszących — — Romans w poemat urasta!
 Cóż w nim o królu będzie, o zarazie,
 O Panu Bogu? Pociągawszy hausta,
 Jak się rozogni myśl — napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginację,
 Djabłowi oddam bohatera duszę,
 I pewnie zyskam wszystkich aprobację —
 A tych, co płakać ze mną nie chcą — zmuszę.
 I Demokrację i Arystokrację
 Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę —
 Wziąwszy następnie za rymów dewizę,
 Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

P I E Ś Ń III.

O! Jakże smutno w jasnej życia wiośnie
 Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
 Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
 Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
 Błotem. — Dopóki serce wrę miłosnie,
 Nie żyjesz na tym świecie, ale drzymiesz —
 Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
 Pojmować, że ten cały świat — satyrą,

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
 Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
 Lubisz w wierszykach: chmury, księżyc, gady —
 Znajdujesz że jest jakaś tajemnica
 W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady,
 I brylantują myśl blaskiem księżyca;

I myślisz że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle, twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań, kwita —
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia,
Ale rozumu: serce twoje chwytą,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja
Która poezji uczy: jest dyssekcja.

Szkoda że z takiej dyssekcji wynika
Jakaś skodliwa materjalność, sucha --
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburgski słucha:
«Oryginalny wieszcz do Tygodnika
Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny;
Wiersz, do niczego przed tem niepodobny!»

Widać że po tym deszczu w Polsce krwawym,
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda! że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby! —
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby;
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja — i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dla tego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobrze i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas żem lękał się pospolitości
 Jako święconej czart się lęka wody;
 Lecz teraz często schodzę z wysokości,
 Dla własnej sławy, pokoju, wygody.
 Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
 Gryzą, lecz przyjdzie czas że te Herody,
 Przez których teraz moje dzieci giną,
 Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. — Ranek
 Błękitnie w polach Podolskich zaświtał,
 W niebiosach oczy utopił kochanek,
 I marzeniami swoją przyszłość czytał —
 I widział ją tak uwił jak wianek,
 Z dni szafirowych, złotych — już się witał
 Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
 Awantur, pragnąc nadzwyczaj — miłosnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed,
 Do skał przykutych srogimi żelazy,
 Z warkoczem, który wisi jak u komet —
 Miłe nadzwyczaj w młodości obraży!
 Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
 Pantheistyczną jest, i wszystkie głązy
 Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
 Huryski widzi zamiast ziarenek w gruszcze.

A tu odsyłam mego czytelnika
 Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
 Że w raju każda się gruszka odmyka
 I cztery z siebie wydaje Hurysek —
 Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
 I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
 Zwłaszcza, że w każdej gruszcze, do wyboru
 Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych,
 Tępczowym jest na Wschodzie dogmatycznie:

U nas liczono by do rzeczy śmiałych,
 Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
 W rymach malując jedną z tych przestąłych.
 Owoców, starą pannę, seraficznie
 Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
 Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
 Powiedział to w koranie i krytyką
 Milczy — krytyka owa, która co rok
 Tyle wad w moich utworach wytyka,
 Jako ostrowidz lub jako nosoróg.
 Bo widzi ostro i rogiem przenika;
 Szczęśliwa — gdybym dbał i był gorący!
 I włożył imię jej w poemat drwiący!

Imię krytyki? — nie, krytyków. — A! bah!
 Któż z nich ma imię Z, K. S, K. E, K. —
 Mówią że młodą Polskę pisze — baba!
 Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
 Sądzę że jezuita, a ma draba,
 Który tłómaczy na język człowieka:
 Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje —
 Tylko w djabelskim pisane djalekcie.

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
 Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
 Do czego Cerber w piekle czyni prolog
 Ze swego wycia. — Ale nie czas zwlekać
 Pieśni, dla tego że jakiś teolog
 Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
 Jakby w baladach porównania szukaj —
 On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
 Oto już słyszę z daleka pukanie
 Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza:
 I czuję w sercu, że nadspodziewanie

Prędko, mój rycerz może dostać guza.

Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień: jeśli zginie
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!

Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi —
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych,
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą — bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezji boi.
Więc rzecz co działa się tam, gdzieś, za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem Epos i niestety
Może nie skończę! — J w gwiazdzystych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladowuje grzbiety,
Nie zaprobuje miecza i to zaraz —
Zjadłszy przynajmniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach, wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów, bez żadnej kwerendy
Wieszał — i przyszłą republikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

Dwie drogi — jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi:
Druga choć trochę Maltusa kaleczy.
Systema — i to co za ziomki swemi
Pisze pan Cz..... zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia Rzymskiemi,

A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza — patrz Tacyta o Fenixie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzył i rozmyślał co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
W pół przesłonięty, błądy — wojska w linji
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteko w powietrznych błękitach,
Wyrzucając błysk, do żądał by pszczelnych
Podobny. — Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfię,
Na ludziach grały jękiem — jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój ganek wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk — dalej — grodek zbrojny
O milę — na równinie; działa w szyku,
Ataki — słowem, krotochwilę wojny:
Wszystko się zwija, wre kole, i sieka,
A ty z krążanku patrzysz i zdaleka —

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa jak psy legły mu przy stopach,
On je poglądził i szczęknęły głucho.
Kule gruchnęły po Moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Puławski jurysta ma ferje,
I zamiast pisać akt — stawia baterje.

Tam widać laski brzozowe i klony
 Blade, z gałązek kulami owiane —
 Jednym girlandy czarne robią wrony,
 Z drugich unoszą się z wrzaskiem, wygnano.
 Dalekie słyhać gwary, dzwony,
 Wszystko w koło wrze; tylko zadumane
 Na szarym polu dwie Maćkowe grusze,
 Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
 Zbliża się moskal pieszy ku mieścinie;
 Tu kawalerja się wężowym ruchem
 Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie —
 Kłania się, kiedy kula po nad uchem
 Gwiźnie — i znów się prostuje gdy minie!
 Tu garść Kozaków jakby oczeretów
 Kępa — tu błyski szabel — tam, bagnetów.

Na to Pan Zbigniew patrzył z po nad wzgórza —
 Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyżem.
 Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
 Chciałby iść w ogień — ale mówiąc szczerze
 Trochę go piękna ta dziwiła burza,
 Nad którą Barskie się łyskały krzyże.
 I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
 Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz, już nareszcie zbierał się do lotu,
 Chciał biedz gdzie burza błyskała czerwona;
 Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
 Jakby mu jaka Nimfa na ramiona
 Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno! kto tu?
 I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
 Spojrzył — na ramion mu siedziało brzegu
 Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu:

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
 Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?

Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
 Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
 Związana duszą Elsler lub Taglioni,
 Gdy udaruje ją Car naszymylnikiem,
 Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
 Tak owe białe gołębie, przeciwnie —

Z lotu zrobiły taniec — i nad głową
 Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
 Jakby miłosne dając sobie słowo,
 Miłosnie dzióbki złączyły różane;
 I rozleciały się w błękit na nowo,
 Ważąc się długo smętne; zadumane;
 Jakby straciły i szukały siebie,
 Podobne zmarłym душom ludzkim — w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
 Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
 I znów złączone, jako płatek biały
 Śniegu, gołąbek przy swej gołębiczy
 Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały:
 Aż zmordowani obaj tanecznicy
 Najmilsze z siebie dali malowidło:
 Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
 I w koło chodząc budził garłowaniem.
 Na szyję wyszły mu kolory pawie,
 Miłość go takim darzy malowaniem!
 Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
 W ogień tęczowy. Z takim się kochaniem
 Zapatrzył gołąb w swoją senną panią:
 Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znowu oboje
 Leciały prosto na Zbigniewa barki.
 On je poglaskał i wnet wszystko dwoje,
 Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,

Z ramion mu poszły, i w kręgi i w słoje
 Tnące powietrze. Z razu był nie szparki
 Lot — póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
 Póki ni gonił — wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
 Przelały swoją myśl w serce człowieka:
 Coraz pędzemi udały się loty;
 I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
 Awantur nowych, dziwnych, łańcuch złoty;
 Zaczarowany zamek, albo rzeka
 Pełna Rusałek. — O! domysły trafne! —
 Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zakłète skarby,
 Z których, jak z dobrej wioski będzie przychód
 Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
 Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
 O gdyby nie to! — to nigdy Ikar by
 Nie latał — nigdy by nie żył Don-Kiszot —
 Nigdy by w Trzecim Maja nie urosły
 Illuzje — na co dziś tak wrzeszczą Posły. —

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
 Obaczył że na dąb samotny siadły —
 Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
 Jak czarownica krzywy i wybladły.
 Ogniste zeszcła kora miała szpary,
 Z konarów liście na poły opadły.
 Liść co pozostał — zwiędły i zwałany
 Szumiał po drzewie jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nie żywy,
 Zimę i lato wisiał na konarze;
 Kruk się go lękał, a jeden pierzchliwy
 Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze;
 Bo z wiatrem ów liść łopotał, straszliwy
 Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —

Nocą z pod owych skrwawionych warkoczy,
Pruchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.

Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,

I sześć pod dębem kozackich kołpaków —
Którzy tam pewnie jako marodery

Szukali w drzewie skarbów lub Polaków —
I nie znalazłszy w nim — dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści

I oczeretów, jałowków i cierni;

Już jeden krzesał ognia, który czyści

W czyszczu, a na tym świecie wszystko czerni —
I byłiby dąb pewnie ci ogniści

Spalili — wiatr dął taki jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój, napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi.

Oprócz Kozaków dwóch. — Z tych jeden stary

Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,

I poszedł, mówi Homer, między mary. —

Co się z nim stało? — Nie chcę, i nie muszę
Mówić; bo to rzecz należy do wiary

Grecko-rosyjskiej; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religji gdzie Car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl! — lecz nie dla Cara,

Który wolałby może z tego względu

Większą bezpiecność. Jedna więc ofiara

Polskiego miecza, młodego zapędu,

Poszła ad ubra — i tam niech się stara

Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia, przesyków,
Bankructw, poezji głupich, jezuitów.

Hegłów Poznańskich, Krakowskich purystów,
 Paryskich kronikarzy, historyków,
 Prezydentów gmin, franko-romansistów,
 Kozako-powieściarzy i krytyków,
 Którzy poklaski im zamiast poświęć
 Dają, od czego ja aż do równików
 Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
 I byłbym został tam — gdyby nie muchy —

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
 Mie muł tworzący na Nilu oftalmie;
 Nie dzuma, nie tęsknota, nie te bramy,
 Ne które patrząc że zamknięte, żal mię
 Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
 W jednym haremie jak w Armidy palmie —
 Ta strofa poszła krzywo, ba ze Wschodu
 Wygonił mię brak awantur i — lodu.

Za to w ojczyźnie Danta, to oboje
 Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza —
 O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
 Aby wiadano czy moja dziewicza
 Muza kochała się realnie. — Boję,
 Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
 I to jest moja poetyczna droga —
 Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, on widział nad jakimi chmury
 Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
 Aniołów w przepaść lecących — te chóry
 On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami:
 Nie zwiódł go te królewskie purpury,
 W które ja się tu, jak przed sztyletami
 Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
 Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
 Do tego życia co mi dał przywyknąć;

Iść co dnia drogą rozpaczy odlutną,
 Co dnia, uczucia ruzruczać, czuć, niktąć;
 Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
 Powracać między gady i nie syknąć;
 Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
 Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazuruowe,
 I zachodzące nad morzami słońce,
 I jedno serce ludzkie. — Lecz to nowe
 Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
 Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
 Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
 I obłąkane, i nie zaspokojne —
 Uderzam ciebie w złości. — Milcz szalone! —

O czem że ja mówiłem? — ha — w tym jarzo
 Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
 Którym Pan Zbigniew patrzył w blade twarze;
 Wtem ujrzał że cię cierń zajęty pali,
 Że się już ogień wiesza na konarze
 Suchego dębu: a więc cięciem stali
 Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
 Jak płomień zdjęty przez burzę, z Wulkana —

Leciała, hucząc głucho i czerwona
 Kołysała się nad trupami dwoma,
 Jak szatan co chce duszę brać w ramiona,
 Albo orlica z płomieni, łakoma
 Ciała ludzkiego — więc — O! myśl szalona!
 Beniowski, święcie wychowany doma,
 Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
 Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów.

Roziskrzył, stargał skrzył i zwinąwszy
 W jeden kłęb; rzucił w ciemną jaru szyję.
 Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
 Słyszając, jak gałąź ta jęczy i wyje,

Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
 W którym gadają puhacze i źmije: —
 Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
 Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi —

Prosto ją gaszę w jarze jak rzecz suchą — —
 A sam do mego wracam wojownika,
 Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
 A z dębu, nie chciał uczynić świecznika
 Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
 Wąż między głazy kredowemi syka,
 I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
 Stał — jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzył — owych zaś gołębi para!
 Która go tańcem cudownym przywiodła;
 Skoro dąb zagaśł i ognista mara
 Przed znakiem krzyża uleciała podła:
 Owe gołębie, których ja z Autora
 Pieśni pożyczam i biorę za godła
 Miłości — nigdy za małżeński związek! —
 Skoro dąb zagaśł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
 Skryły się w jego wnętrze wypruchniałe.
 Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
 I zmieścić — nie wiem czy mógł — wojsko całe —
 Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
 Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
 I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
 Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak że zostanie i zbiorą z ostatka,
 Siedem dla wojska koszów, napelnionych
 Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
 Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
 Ale że to jest cudowna zagadka,
 O sławie onej i o rybach onych:

Nie mówię więcej. — Na gryzącym zębion
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie —

Które dąb cały okrzywszy pilnie,
Do spruchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębnie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeński
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki —
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno niebieski,
Bo pruchno, niby brabanckie korunki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei
Gdy księżyc świeci w mgłę — światło nadziei! —

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosna, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle, błękitnem powietrzem kościoła —
Zmienione w blade widmo i w Anioła —

Ktokolwiek zważał te podmorskie swity
Oblewające ją od stóp do głowy,
I widział jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu móż zniknąć gotowy;
Tak piękny! w skały ukryty i w morze —
Żywy — i w niebios pośmiertnym kolorze.

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
 Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
 Myśląc że księżyc nowy z fal wychodzi
 W kształcie kochanki — ktokolwiek nie sterał
 Imaginacji i ta jemu płodzi
 Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał:
 Niech popracuje, albo puści żagle
 Myślom — a ujrzy tu z nienacha, nagle —

Ujrzy — co Pan Kazimierz. W owem drzewie:
 Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,
 W błękitne pruchien zruczone zarzewie
 W grocie z promieni. — Nazwałbym ją prządka
 Arachną. — Muza moja sama nie wie,
 Jaką od innych odznaczyć pieczętką
 Ów utwor nowy. — W błyskotnej sukience
 Stała, na piersach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
 Sięgały jej ust dziobki różanemi;
 W oczach błękitnych przestrasz wzięł na wałki,
 I dwie perłowych łez zrobił równemi;
 Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
 Wydawały się gwiazdami złotemi,
 I z włosów dziwne rzucały promienie —
 Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
 Spłonęła, twarz jej splonęła i szyja:
 Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
 I ten rumieniec co w skażonych mija.
 Widzę że dalej już pisać nie można,
 Bo opisowość poetę zabija;
 I Pegaz się mój homeryczny zdębi.
 Stwórcie więc myślą, panię dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne,
 O czrodziejskim Ruszałek kościele;

Gdy w koło jary dzikie i odludne,
 I ogryzione przez wilków piszczele,
 I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
 I innych czarnych okropności wiele —
 A w głębi dębu, gwar innego świata,
 Szum liści, pruchno się w gwiazpy rozlata.

Beniowski z ładną panienką — — Dziewica!
 Która te wiersze czytasz, czytaj dalej —
 Miłoscie moje jako pruchna świecą,
 Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
 Ledwo ustami płomienia zachwyca,
 Wnet je strach księdza, albo los oddali,
 Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
 I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero — a wszystkie umieszczę
 W przypiskach — mój bohater będzie czuły:
 Już to nie będą moje rytmy wieszczce,
 Ale essencja serc, prosto z szkatuły
 Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę, —
 A może nawet młodość będą psuły —
 Nie emigrację, bo tej djabeł nie chce,
 I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicja serce z pod żeber wykradła,
 Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
 Zbiorowa to osoba będzie jadła,
 Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
 Gwiazdy się każdej spyta co upadła:
 Jakie pryncypja ma? — A księżyc za miny
 Arystokratą nazwie i dla tego
 Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypja: O pryncypja! jakbym chętnie
 Powiedział prosto dziś co o was myślę!
 Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
 Nie brzmiała inna struna. — Więc przekreślę

Te strofy. — Dusza mi zagrała smętnie,
 Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
 Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
 Tak dziwnie — że mi serce wre i pęka —!

Więc polityczne moje Galantery
 Bądźcie mi zdrowe! — I wy co bez głowy
 Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
 W arystokratów gracie: smętne sowy!
 Co w grze myślicie bić jako kozery
 Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
 Was także żegnam bez miecza rycerze,
 A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
 Nie podług miary krawca lecz Fidjasza!
 Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!
 Żeby też jedna! — Ha -- to mię przestrasza —
 Kościuszko przeczuł was, krzyżąc: skończona!
 Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
 Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
 Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera.

Co będzie z wami — prosto wam nie powiem,
 Nie jestem jako wieszcz wszystko-wiedzący,
 Krwią do was byłem, mojem duchem, zdrowiem;
 A teraz ciskam serce, puhar lśniący,
 Słyszycie? Pękło. — Teraz mi wezglowiem
 Jedno kobiece serce; jestem śpiący;
 Omdlały jestem, ogniem owionięty,
 Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedja gra. — Może mi przyjdzie
 Grać inną: wtenczas was wszystkich przerażę!
 Ległem jak czarny Sfinx przy piramidzie.
 Z grobów ojczystych patrzą blade twarze —
 Może wieszcz, zechę jaszczę w jasnovidzie,
 Rzec co ciemnego? Może wam pokażę

Pełne piorunów usta, piersi, trzewa:
Może zamilknę jak lew co poziewa —

Patrzeć na małość zielonego węża,
I zasną — zasną — ha! — Lecz przebudzenie? —
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręży,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. — Precz szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzył ja, Akteon błądy.
Między ciemnymi położył się drzewy —
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc jako mój srebrny Anioł lewy,
Ona jak złoty mój duch, dobrej rady;
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak — jak Anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną.
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy —
Przez to że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy!
Będę zbawiony! dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny! —

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchyłę,
Widzę że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu
Które upaja na śmierć, potem wskrzesza —
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza? —

Odbiegła — Skarzy się na moją ciemność.

Poeto «fiat lux» zacięcie krzyczą. —

I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:

Życzę, aby to było, czego życzą!

Tygodnik jakąś wynalazł odjemność

We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,

A ujrzą zem jest coś — jak grecki antyk,

Lecz pantheista trochę, i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów

Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator —

Co mój bohater ma jechać do lodów

Sybirskich i do Chin i pod Equator;

Do innych nagich i dzikich narodów,

Aż mu na grobie wyrzną: sta viator.

Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma —

Zatrzyma się czytelnik — i poema.

Lecz nim nastąpi to — cudne mam rzeczy

W tece! cudowna awantur girlanda!

Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy,

Nakształt Hektora, Ajaksa, Orlanda;

Przybywa zamkom w porę do odsieczy,

Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda —

O awanturach własnych geografją,

Po której ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał: Pomysły

Do dziejów, które się dzieć kiedyś mogą —

Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły

Krakowczyk, książkę wydawszy nie drogą.

Książka ma Polską duszę, a na zmysły

Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,

Bije po rękę jak rektorska linja —

Jeśliś ciekawy patrz: Rozdział: Opinja.

O, Autorowie z nudy! O, Fenixy!

Powstali z trupów, z prochów własnych, z łózek —

O, polityczne moje nowe Ixy!

Upadam wszystkim pokornie do nóżek —
Lecz życzę aby nas dzieliły Styxy.

A teraz z waszych korzystam przestrózek,
I już nie Ody piszę ani Hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką

Panną, a jednak stoi o pigę kroków;
Jeśli co mówi? mówi bardzo krótko.

Nie spuszcza żadnych na scenę obłoków —
Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilja, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni:
Jako tych dwoje — których ja mam w dłoni.

I mógłbym — mógłbym, lecz nie chcę — a może

Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru.
Pruchno świecące księżycowo w korze,
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru —
Pełne — — Zatrzymaj mię potężny Boże!

Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika,
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybiraki będę — lodowaty,

Dla tego wchodzę w styl nowych poetów. —
Słyszycie jak się krzą odłudne kwiaty?

Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie — spiesznio mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów —
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo biczy.

Na pozłożonym kurzawy tumanie,

Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Najprzód książdz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.

Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
 W szerokich bardzo szarawarach z radła,
 Na których złota leżała kurzawa —
 Słowem: Ksiądz Marek to był i Pan Sawa,

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery
 Pobiegła skocznie i całując w ręce,
 Oddała Księdzu Markowi papiery,
 Schowane bardzo tajemnie w sukience;
 Potem zaczęła śpiew o sobie szczerzy —
 Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
 Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
 Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
 Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
 Jakże tam miało być z niej au-da-fe,
 Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią. —
 — O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
 Muzy żalosalne lży nademną ronią,
 Bo Muzy wiedzą jakie do łez prawo
 Ma wieszcz, piszący poemat oktawą. —

Mówiła: jak dwa gołębie siostrzane
 Przyprowadziły ze stepów obrońcę —
 Mówiąc płakała — na usta różane
 Kapiąc, padało kropelkami słońce —
 Pan Zbigniew patrzył zaś w przeciwną stronę,
 Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce
 Widząc, że sądzić są gotowi krzywo,
 Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

«Jestem Beniowski, jechałem do Baru,
 Abym ojczyźnie mojej służył szablą —
 I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
 Te dwa gołębie: sztuką prawie djabłą
 Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
 Dwa trupy, które Platon swoją grabłą

Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.

Więcej mu takich dam, na honor Hrabi!

«Z Węgier albowiem moje rodowody
 Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
 Ale że jestem bez grosza i młody
 Nie wiele sobie ważę te bibuły
 I pergaminy; lecz chcę iść w zawody.
 Z przodkami, jako człek na sławę czuły,
 I mocno hańbę ojczyzny czujący;
 Niedoświadczony jeszcze — lecz gorący.» —

Gdy tak przemówił, Ksiądz Marek otworzył

Ramiona i jał ścisnąć postać giętką:

«Ja znalazłem twego ojca! gdyby dożył,

Pewnieby twoją chęć pochwalił pędką.

Bojdajbys późno się w grobie położył

Jasnym, jak człowiek wielki — ani wędką

Sprosnych rokoszy tu był ułowiony.

Zlituj się Matko niebieskiej korony!

«Oto dziecko te, oddaję w opiekę

Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!

Broń rzuconego w te nieszczęścia rzekę,

Która z nas płynie do wieczności morza.

Pozwól! że z niego tę cielesność zwlekę,

Która tu krwawi ducha jak obroża,

A zaś mu w duszę ognistą przeleję

Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

«Biada kto daje ojczyźnie pół duszy,

A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;

Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,

I padnie kiedyś w popiół taka głowa!

Żadną łżą taki Boga nie poruszy —

W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,

Które by kiedyś jego Bóg rozumiał —

I będzie jak ten dąb umarły szumiał.

«Będzie miał w sercu władzę odpychania
 Ludzi — a wężę się doń zbiegać będą.
 Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
 I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą.
 Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
 Grobowiek sławny! — ale nie posiędą
 Grobu ni sławy. — I to jest przekleństwo,
 Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

«I niechaj będzie jakoby stuletnie —
 Lecz nie — — O Boże! nie słuchaj Jehowa.»
 Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie
 I pięknem srebrem uwieńczona głowa,
 Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie —
 Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
 Za morze, albo za Egejskie skały —
 Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały.

I mój rym także, po tej parafrazie
 Kazania, także za skały zachodzi.
 Porozciągawszy tęcze na obrazie,
 Pokołysawszy naksztalt dobrej łodzi,
 Idzie spać. — Wyraz został przy wyrazie
 Nie wiem czego chce? i czego dowodzi?
 Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
 Chciałem aby się spalił i nic więcej.

P I E Ś Ń I V.

Dąb utrudzone opuścił konary,
 Świcszcze sykały, upał był ogniasty.
 W dębie na ziemi siedział Marek stary,
 I na kolanach rozpisywał listy;

A włożył na nos krzywy okulary.

A taki był list jeden: — «Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami. — W nawiasie: Niech was powystrzela.

«Moskal i djabeł, że się tak kłóćcie,
I zostawiacie Bar Moskali pastwą!
A choć szlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda Boska i plugastwo.
Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak pastwo
Indyjskie, imbir przysyłać, muszkatel:
Cierpi, że buty dziś je obywatel.

« Venit iudicium! Nie odemnie sługi
Usłyszysz wtenczas sąd — lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo Pan Rożański, co Fabiusem
Jest w naszej partji, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi klusem,
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
Piszę to z głębi żalu do Waszeci.»

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.

A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy,
Jak głos od harfy, albo blask księżycy —
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica:
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku, złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał: myślałby że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową,
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,

Podobną róży z gwiazd, lub pełnej malwicy —
Gdy starzec siedzi na orle, lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje,
Książd z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jawne źródło,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej —

Lecz w owe czasy, któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć że tak wszystko minie
Jad kwiat, będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak iza? — jak wszystko co się zowie modą?
Choć dobra moda była w onych czasach,
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! — Ojczyzna,
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna —
Ów wiersz co niegdyś zachęcał do cnoty,
Jest dzisiaj — każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w obłęzieniu jadł szczury lub koty —
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek —

A więc niech wszystko mija! — Wstańcie burze!
I zwieście mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli jak łez pełne kruże,
Przechylcie — niech je próżemi uczyni
Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu, co śiini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżej chmur co grzmia — niż ludu co czeka! —

I dziś od ogniów boskich w dół zepchnięty,
 Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
 Cierpię — lecz jeszcze gardzę — I ten ściety
 Rym, nieraz kąsa was aż do jelitów;
 I płynie jako szalone okręty,
 Z fal odrzucany, do niebios błękitów,
 Gdzie mu początek był i koniec będzie —
 Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
 Myśli shukanych, jest harmonja dzika;
 Którą ja lubię że tak pełna gwaru,
 Że czasem jak wąż póród ruin syka!
 Czasem podobna do Aniołów swaru —
 Gdy błyskawicą letnią się odmyka
 Niebo — i znów się zasuną płomienie
 Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak gdyby twoja, o młodości!
 Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
 Gdybym nad sobą miał więcej litości,
 Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda,
 Tego co teraz jest i co w przyszłości
 Być może: lutnię szalonego Barda
 Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano;
 I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno! późno już! Gdzie są słuchacze?
 Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
 Czy urągają? — nie wiem — i nie raczę
 Gonić myślami te smętne, stracone
 Mary. — Lecz nieraz, kiedy mi zakraczo
 Orzeł, lecący na słońce czerwone:
 Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
 Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
 Rozokolone na niebie szeroko,

Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
 Nawet gdy w ciało się straszne obloką,
 I w pioruny się rzucają namiętne,
 Lub nad Safony ohwieją się opoką.
 Lubilem takie dusze — nie bezkarny!
 Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony, na pół — lubię róże
 Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
 I wiotkie — — Teraz wam powieścią służę,
 I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;
 Żadną gawędą pieśni nie przedłużę —
 Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
 Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,
 I wszystko może ujść, w kompanji grzeczej.

Stoi więc w dębie moja młodyca
 Ze świecą — jasne dwa gołębie burczą;
 Książdz pieczętuje sygnetem szlacheica
 Listy. — Posłuszne się papiery kurczą
 W kopertę; z lakiem ożeniona świeca —
 Mówiąc Delilla stylem — styl tak sturczą
 Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francji
 Rozumu — jeszcze więcej elegancji.

Ożeniona więc świeca z laską laku
 Wydała tę łzę, która z tajemnicy
 Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku —
 Zwłaszcza jeżeli Moskał, na granicy
 Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
 Z pomocą drugiej ożenionej świecy —
 I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
 Zdradziecką ręką nocy — — Styl Delilla.

Już więc Książdz Marek — tu mnie nie dościgną
 Ixy Warszawskie — kochanków zaślubił,
 I nim oboje w małżeństwie ostygną
 Przypieczętować chciał — już tak naczubił,

Już — już — w fem szable mu po oczach mignął!

Książd wstał — szczęk wielki był — pieczętkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiec dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie

Suchego dębu odbiło tęczowie.

Był bój, naprzeciw siebie szły dwa konie,

A na koniach szli dwaj bohaterowie,

Nad głową niosąc podniesione bronie,

Szablic — każda jako sierp na głowie!

Teraz książd poznał, że ci wojownicy

Byli to, z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę gołdzić

Niechajże sobie trochę krwi utoczą,

To może nadto gorących ochłodzić,

Potem z rozwagą większą w ogień skoczą —

Tak mówiąc patrzył: jak chcąc sobie szkodzić.

Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.

Światłość ich oczu owionęła krwawa;

W ogniu, na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,

I znów ich konie rozniosły szalone!

Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,

Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę

Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,

Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone

Trysły fontanny — jak rubin się żarzą —

W biegu, nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,

Mając zalane oczy krwi wytryskiem,

Jakby Delfina miał w złotym czapraku

Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.

Nie dając jednak najmniejszego znaku,

Że był zmieszany tym ostfym dogryskiem,

Obróciwszy się koniowi do grzbietu
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! — We krwi co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni, między oczy: —
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę — co skrami pryskając odskoczy --
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwonym.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne — a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie — Bóg zachować raczył
Człowieka — a ja zeń zrobię olbrzyma —
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. — Była to zabawa,
Której bym wcale z innemi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworach,
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w same czoło,
I palec już gwał — gdy nagle — o dziwy!
Jakoby Ires co rzuciwszy koło
Z tęczy, zlatuje na zamglone niwy:
Lekko jak Anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok, na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W pezji mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
 Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
 Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
 Stojąca za nim, jak Olimpu Bogi,
 Prosta, i naprzód podana do biegu,
 Chwyliła za lejo — i na tylne nogi
 Podniosłszy konia z rycerzem do góry,
 Tak pomięszala go — że strzelił w chmury.

I nie oczekając aż poprawi strzału,
 Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
 Rzuciła w galop taki pełny szału,
 Że galop konia był jako lot ptaka.
 A ta dziewczeczka, by duch ideału,
 Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
 Resztą się ciała — strach przechodzi mrowił
 Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
 Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
 Z włosów, co były na głowie koroną,
 Najprzód się złoty zrobił wąż zwinięty
 W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
 W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
 I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
 Które gonili ją mgłą diamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
 Pędziły równym dwa gołębie lotem. —
 Nie widzę więcej, jary się tumanią,
 Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
 W kurzawie rycerz znika z moją panią —
 Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
 Jeszcze raz jeździec, na wierzchołku góry,
 Jak z ametystu, z płomienia i z chmury.

Błysnął i zniknął. — Teraz kto wypowie
 Uczucia wewnętrzne w moim bohaterze?

Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
 Ujrzał — a tu mu wcale nie ubliżę,
 Bo wiem że wiedział co są Centaurowie,
 Przypomnieć musiał więc o Dejanirze:
 I miał na twarzy taki wyraz boski
 Jak ten co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
 Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy,
 I za włosami, jak dwa papiloty,
 Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
 I stał i patrzył — gdy z dębowej grotty
 Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
 I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem
 Spytał: «Dla czego Waś się bił z Kozakiem?

«O krwi gorąca! że też ja nie mogę
 Utrzymać nigdy między wami zgody!
 Oto Pan Sawa znowu ruszył w drogę —
 Bóg wie czy wróci, a rześki i młody.
 O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
 Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
 Dopóki każdy z was nas koniu jeździ,
 Nigdy się w jednym miejscu nie zagnieździ.

«Skądże wam przyszło żeście tu z jaszczura
 Dobyli szabel i na konie wsiedli?» —
 Na to Pan Zbigniew «Oto jest rzecz, która
 Zwaśniła obu: gdyśmy tutaj jedli
 I pili — oto złota miniatura,
 O którą srogi bój obaśmy wiedli.
 O taką się rzecz bijemy nie pierwsi —
 Ja mu ją księżę sam zerwałem z piersi.

«A zerwawszy ją chciałem serca dostać
 Z pod żeber jego, tą szablą turecką.»
 Tak mówiąc, strasznie miał marową postać —
 A ksiądz: «O takąś rzecz chodziło świecką?

Warto by obu dyscypliną chlostać!

Wstydz się, Wielmożny hrabio! jesteś dziecko!

Tę miniaturę mi dała dla ciebie

Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie! —

«Ja zaś nie mając kieszeni w habitcie,

I nie chcąc wieszac tej rzeczy na sobie,

Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,

Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.

A przy tem i list, skropiony obficie

Łzami, a w takim pisany sposobie,

Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,

Podjąłem się ten list schować w kapturze.

«Oto jest pismo dziś pisane w nocy,

Czytaj Waś! ja tymczasem na koń siędę.

Bar potrzebuje dziś mojej pomocy

Lub go ocalę, lub niebo zdobędę.»

Beniowski błąd jak duch o północy,

Już nie uważał na księdza gawędę;

Ale otworzył list, czytał i wdychał,

Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A najprzód w liście było opisanie

Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,

To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,

Jak go dostano prędzej niżli Troi —

Jak na śmiertelnym już był karawanie

Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi

Szlachta, będąca w zamku na załodze;

Jak Ładawiecki pan zdał rządu wodze —

A sam zamyślał jechać do Warszawy —

I córkę z walki uprowadzić pola. —

O! mój Zbigniewie, nie miej ty obawy»

Pisała Panna «nigdy ojca wola —

Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,

Nigdy szalone szczęście lub niedola

Nie skłonią mego serca do odmiany —
 Bądź sławny — jesteś mój — jesteś kochany.

«Odjeżdżam teraz — ale się otoczę
 Myślami, kwiatów Podolskich zapachem,
 Woniami, które były tak urocze,
 Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
 Ty mię porzucił — a ja ci warkocze
 Dałam całować, przenikniona strachem,
 Abyś mi u nóg nie padł konający:
 Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

«Powiem ci teraz żem się była zlekła,
 Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
 Z którymi w sercu jakaś struna pęła,
 Gdy się dotknąłeś usty moich włosów —
 Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jęła,
 Chwytałam się szat twoich — drzew i kłosów,
 Myślałam że już ginę z światłem, z echem,
 I że westchnienie śmierci — jest uśmiechem.

«Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
 Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem czemu,
 Cała się zlałam łzami i rumieńcem —
 Ty wiesz ja zawsze kwiatowi białemu
 Podobna, póki mi był oblubieńcem
 Chrystus. — Uśmiechnij się słońcu złotemu,
 Bo mi się przed nim łza gorąca toczy;
 I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

«Niespokojności pełne serce moje!
 Smutno mi rzucać te miejsca te stawy!
 Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
 Aż do mojego zamku, do Ladawy —
 Każ sobie Panny otworzyć pokoje:
 Na oknie stoi fliżanka z lawy,
 Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek —
 Nosilaam go dziś całą noc — bławatek.

«Nie trać nadziei nigdy! nigdy! — Kto ma
 Wołę, ten wszystko przekona. — Addio!
 Z wyciągniętymi za tobą rękoma
 Jeszcze raz wołam tobie — caro mio!
 Przy tobie zawsze będę — niewidoma —
 I wprzód mi serce niż ciebie zabiją!
 Nie — ty nie możesz zginąć tak jak oni,
 Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

«Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
 Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
 Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
 Że się o ciebie wiele duchów kłóci —
 Czarnych i złotych, z tęczowemi grzywy —
 A czyny twoje ktoś na harfie nuci —
 Że zawrzesz z królem Indyjskim przymierze —
 Nie będziesz temu wierzył — lecz ja — wierzę.

Przepowiadając, mówiła mi stara,
 Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
 A zaś przy tobie stoi jakaś mara
 Ubrana w szaty dziewicze — to chyba
 Ja — czy nie prawda? — O! gdyby ta szpara!
 Gdyby ta jasna z diamentu szyba,
 Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
 Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

«Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
 Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
 Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,
 Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
 Zda mi się nawet że w jakiej potrzebie
 Pomagałabym ci okiem — do szczytu
 Szczęścia i sławy — choćby —» Tu przerwany
 Był list i dwoma płamkami zwalany —

Te płamki były do ust podniesione,
 Lecz książkę podstawił pod usta szkaplerza.

«Te całuj, krzyknął, te rany czerwone,
 Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
 Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
 Z których rdza pada na kryształ puklerza.
 Rzuć ten list — daj go, jak mówią szatanu.
 A słuchaj: ważną misję dam Waćpanu.

«Piszą mi — że tron odzyskał Khan Giraj.
 Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko —
 Masz listy, których proszę nie otwieraj,
 Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blisko.
 Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
 I bocian także, z małą szarą pliszką
 Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem:
 Bocian okrętem jest — pliszka sternikiem.

«Ona ptakowi na ogonie siedzi,
 I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
 Tak jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
 Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada;
 Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznię z miedzi,
 Prosto wędruje i w gniazdo upada,
 Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany:
 Grzebywszy morskie burze i bałwany.

«Ufaj mi synu! jeśli wytniesz sobie
 Drogę, a prostą — to choćby do słońca
 Zalecisz — często na krzyżu lub grobie
 Odpoczywając. — Leć że więc bez końca.
 A będziesz chodził w anielskiej ozdobie,
 Jako ojczyzny i wiary obrońca;
 A nim zasługi twoje w niebie zginą,
 Ziemia przemieni i gwiazdy przemienią!

«Patrz na mnie! — jestem także zmordowany,
 A kto wie co tam w mojem sercu płacze?
 A jednak wziąłem w ręce krzyż drewniany,
 I chodzę — tuląc do głębi rozpacz.

Wolałbym może już w grób — jak złamany
 Dąb i bez liści — lecz mi serce skacze,
 Kiedy na działo wstąpi moja noga,
 A działo ogniem śpiewa — imię Boga.

«Więc że i starość jeszcze Jowiszowe
 Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone —
 Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe
 I wulkany z nich rozrzuca czerwone:
 I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
 I kładzie na nie zbawienia koronę —
 Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
 A pomyśl tylko ty — czemże ja jestem?»

«Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
 Będzie rodziła chwasty i lilije!
 Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
 A który jutro Bóg nogą rozbije,
 Noś że ty ducha w twej cielesnej glinie;
 A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
 Z błyskawicami. Na końcu żywota
 Czyny człowiecze waży szala złota.

Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
 Są policzone i nie ginie jedna
 Kropelka, ani biała, ni różana,
 Lecz każda waży i ważąc wyjedna,
 Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
 A była by też ta Ojczyzna biedna,
 Gdyby dla ciebie zginionego młodo —
 Lecz nie znalazła. — Bądź że więc ta wodą

«Ochrzczony teraz i w grobowcu późnym.»
 To mówiąc — ręce wyciągnął — i drżały.
 Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnem
 I był na twarzy przerażeniem biały,
 I skry mu z oczów szły — i dreszczem mroźnym,
 Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały

Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty,
Z ręką księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe,
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi;
Jechał i marzył o przyszłości cudnie —
A któż sny takie młodości wypowie?
Choć aniołami te strofy zaludnię,
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi:
Nie dosyć będzie przez gościniec z ostów,
Kwiatów różanych, gwiazd i z tęczy mostów.

Austerje chyba z szkła i diamentu
Zbuduję — w karczmach posadzę Dianny.
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przezroczystry, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I wioseł ogień leje nieustanny —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Piers mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej Platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość. — Muza mdleć zaczyna —
Dajcie mi bursztyn i róże — i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół senny.
Czuję jak pachną kochanki warkocze,
Widzę jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze —
Wtoruje mi znów, szumiąc liść jesienny.
Naprawdę serce truciznami poim; —
Kochanko pierwszych dni — znów jestem twoim!

Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
 Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
 O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
 I ma na piersiach rubinowe pierze.
 Jam czysty! głos mój śród wichru i wrzawy
 Słyszałeś — w równej zawsze trojny mierze —
 U ciebie jednej on się leż spodziewał,
 Ty wiesz jak muszę cierpieć — abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
 Na twoje włosy kładła jarzębina;
 Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
 Które daleka odnosi kraina —
 I w pieśń się wpatrzaj tę — co jest z opalów,
 A więcej kocha ludzi niż przeklina.
 I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
 Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. — O, ileż razy
 Na skałach i nad morzami, bez końca,
 W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
 A miłość twoją miałem na kształt słońca
 W pamięci mojej. — Anioł twój bez skazy
 Na moich piersiach spał — łza gorąca
 Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła:
 Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
 Przegląda blade, jak słońce sumienia,
 Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
 Jedna z marmuru, a druga z promienia —
 Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
 I nie ruszały włosów i odzienia —
 Między kolumny na niebie się kreśląc,
 Staliśmy jak dwa sny — oboje — myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
 Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory.

My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
 Przez piękne niedys widzianą kolory.
 Cośmy poznali, że nie jest odwagą
 Rozpaczonym czynem skończyć żywot chory;
 Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
 Sercu zadawszy śmierć — znaleźli życie!

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
 Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
 Która ci chmurę posępną odkryła —
 I boleść wyszła z niej jak nawałnica.
 W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
 Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
 Gmachów gotyckich, biały blask rozleje,
 W te — gdzieśmy niegdyś chodzili — aleje.

Bądź zdrowa — odejść nie mogę, choć słyszę —
 Wołające mię duchy w inną stronę —
 Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
 I z czoła mego podnosi zasłonę;
 Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
 Wyrok łamiący mnie między stracone —
 Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
 Twe oczy patrzają na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy —
 Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
 Kiedy ty przyjdiesz, do zbielelej róży
 Podobna, zasnąć. — Dosyć! — Pieśń skończona!
 Oko się moje senne łzami mruży,
 Róże uwiędły, czara wychylona,
 I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —
 Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne, gościńce kurhanów,
 Niesie go czarny koń dniami i nocą.
 Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
 Z prochem rycerzy — na niebie łopocą
 Kruki, jak stada posępne szatanów.
 W czaharach zbroje rycerzy migocą,
 I dzidy błyszczą krwawemi płomyki.
 Tam na kurhanach posępne lirniki —

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
 Dumy wychodzą na rozległe pola,
 Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
 I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
 Zmieszane z szumem liścianych hałasów,
 Wychodzą na step: a ludzka niedola
 Leci, wichrami płaczącemi wiana,
 Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu Czumaków,
 I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
 Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
 A drop na straży — albo sęp beziórnny.
 Podobni zdala do Rzymskich orszaków
 Koło chorągwi, albo koło urny,
 Gdzie smętne wodza popioły złożone:
 Odprawujące straż i zamyśłone.

Beniowski przebył Dniepr — gdy raz wieczorem,
 Kiedy już księżyc postawał zamglony,
 Obaczył ogień pod dębowym borem
 W ziemi palący się, wielki, czerwony.
 Przy ogniu siedział człek okryty worem,
 Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony;

Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywróconą, oczyma szklannemi
Zdała się żebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupana był, skóra i kości:
Drugi otyły i z rubinowemi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butła, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy — trochę baba
Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba,
Malowanemi natykana pióry.
Rzekłbyś że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzie niegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy, minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie!
Jak starej kawał arki na Sinaju;
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza że słomę wkładali do butów.
Litwin pancernik jeden z tych mamutów —

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
Butła pił. Litwin to był starej daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwono kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, na nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych Bogów:
Kucharzem teraz był i u trójnogów —

Wieszał! — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
 Lecz kawał sarny — już nie dawne runy
 Śpiewał, lecz djabła Żmudzkiego straszidło
 Krzyżem odpędzał, gdy były pioruny.
 Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło,
 I po tatarsku zawijać kolduny.
 Król Perski, który płacił złota minę
 Za każdą nową rzecz — to za boćwinę

Dałby dwie. — O boćwino! Hipokreno
 Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
 Waza twa zawsze wytryska Kameną,
 Która ma oczki gazelli wesołe,
 A w rękę białym swym — ni piu ni meno,
 W rączkach, które są zakasane, gołe,
 Wieniec z barszczowych uszów! O nagrodo!
 Że mi go kiedyś dasz — marzyłem młodo —

Lecz teraz tracę nadzieję. — Niestety!
 Nie ła, jak mówi Kochanowski — próżno!
 Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
 I miałem nieraz Dianę usłużną —
 Kiedym chciał zamknąć Sybir w triolety,
 Muza została mi rymami dłużną:
 Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
 Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną! — czy od Tygodnika? Boże!
 Kto tam odejmie co, ten będzie mądry —
 Ty byś nie odjął sam nic, Pitagorze!
 Z twoją tabliczką w rękę — —

.

Po kropkach piszę dalej. — Wiatr był chłodny
 I ogień palił się wesoło z trzaskiem;

Beniowski, nie był to bohater modny,
 Co się księżycą tylko karmi blaskiem.
 Przypomiał sobie właśnie że był głodny —
 Więc jak astronom gwiazdy wynalaskiem,
 Albo poeta ucieszony nowym
 Rymem, nieznanym i błyskawicowym —

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
 Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
 Albo jak trafne litewskie ogary,
 Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
 Albo — lecz sposób ten porównań stary
 Krasickim trąci i złoconą miedzią.
 Więc prosto bez gawendy i odwleceń,
 Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń —

Zsiadł z konia. — Teraz kiedy go prowadzą
 Tak materjalne gusta: moja Muza
 Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
 Chociaż tam złota leży kukuruza,
 Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
 Choć nerka, naksztalt czerwiennego tuza
 Leży i w maśle na patelni warczy,
 Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
 Ogień czerwony swoje skrzydła łamie —
 Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
 Widelec w rękę i Neptuna ramię,
 Które do czarnych dymu chodzi kłębów,
 Jak ów wąż co chce Danta chwycić w bramie
 Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie — —
 Choć uczytę prostszej nie było w Helladzie —

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
 Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy
 Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
 Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy,

Ta rozmaitość może być pokrzywą. —
 I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
 Może do końca nie trafię i ładu;
 Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
 Powiedział wszystko co pomyśli głowa;
 A czasem był jak piorun jasny, prędki,
 A czasem smutny jako pieśń stepowa,
 A czasem jako skarga Nimfy miętki,
 A czasem piękny jak Aniołów mowa —
 Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
 Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć — zamglić ją tęsknotą;
 Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
 Potem w promieniach ją pokazać złotą,
 Potem nadętą dawnych przodków pychą,
 Potem ją utkać Arachny robotą,
 Potem ulepić z błota, jak pod strychą
 Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
 Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa. —

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
 Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,
 Myśląc że jakiś poemat niebieski,
 Który mu w grobie nad lipami szumiał,
 Słyszy, ubrany w dawny rym królewski
 Mowę, którą sam przed wiekami umiał.
 Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
 Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu harfiarze,
 Którym dziś klaska tłum! — precz mowo smętna,
 Co myślom własne odejmujesz twarze,
 Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
 Wolałbym słuchać morza na wiszarze
 Jakiej opoki, co wieków pamiętna

W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię —

Niż — moja Muzo, stój! — Od imion własnych
Wara! z tej strony zrobiłabyś smętarz.
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę Dońców i Sławian przekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak słońca strzała Meleagra,
Przeszyje pióro Pana Michała Gra — —

Ej! ty na szybkim koniu —! Dalej wiecie —
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: Skąd, powiedz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz? jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop, w połowie pierwszej hexametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przegłądał kopytach —
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurlanuy — mówi Sawa.

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła — ale taka zdradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
Widać że z chłopca drwi, a z psiem swawoli.
Usiadłszy włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
 Pędził do swego stepowego domu;
 Była to grota podziemna, stepowa,
 Mało widziana i wiadoma komu.
 Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
 Kiedy po niebie leją węże gromu.
 Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
 Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność Pana był pastuchem,
 Wyganiał trzodę i wilki zagryzał.
 Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
 Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizal
 Korale — szyja obtarta łańcuchem;
 Bo pies swojego pana tylko lizal,
 Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
 Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa wracając raz z nad Styru dolin —
 — Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
 Z attentacjami do jednej z Podstolin —
 Wracając — patrzy, pies z mordą kałmucką
 Siedzi przed samą grota, jak Ugolin
 Smutny, nad czaszką ogryzioną, ludzką,
 I oblizuje się po krwawych chrapach,
 Jako egipski Bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
 Chodziła kiedy nogami szlachcica?
 Czy była czaszką Rugieri biskupa?
 Nie mogąc się od psa, ni od martwica
 Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
 A pies zapatrzył się w oczy księżycy,
 Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał:
 Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
 Germana, który w smutku cicho stoi,

Wie co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
 Zawiera bolu, gdy się uspokoi,
 I kraj przeszłości myślami odmyka,
 I o wolności kiedyś, dawnej roi —
 Wie co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,
 Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
 Na wolność puścił znów antropofaga.
 Lecz odtąd pies był dziwnie zamysłony,
 I smutku wielka w nim była powaga.
 Czy do dla tego że był nakarmiony
 Amerykańskim zwyczajem Osaga?
 I czuł dziwną czczość zajadłszy w parowie
 Poetę może, z poematem w głowie? —

Nie wiem — i wolę nie dochodzić wcale.
 Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
 Słońce wschodzące, przez burzanów fale,
 Lało się w grotę ognistemi blamy.
 Barany białe leżały na skale,
 Nad grotą. — Obraz ten oprawić w ramy!
 Za Sawą wszedł koń w jamę wyłaczaną
 Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami:
 Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały
 Brylantowemi jedno źródło skrami
 Padało z tętmem, lejąc się ze skały.
 Idyllę moją pies cokolwiek plami
 Przeszłością; ale któż jest doskonały?
 Pies więc i grotą, koń, gołębie, trzoda —
 Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
 Siadła przy źródle i cesała włosy.
 A do niej Sawa: «Oj moja Swentyna!
 Latasz po stepie jak cygańczuk bosy,

A czerwieniejesz teraz, jak kalina.

Oj będzie lichy! — Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrębać na panka,
A siostra wyjdzie na lichy. — Cyganka!» —

— «Na lichy wyjdę, czy na spokojnicę —

A tobie to co? ty wyjdź na Hetmana!
Znajdź sobie jaką piękną krasawicę
Córkę Starosty, albo Kasztelana —
Taj siężeń. — Ja ci ubiorę w brusznicę
Korowaj, sama pójdę w step bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żorawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

«Mnie świat szeroki! — Jak złotego gila

Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
Ty na kurhanie dumał Czaromyła,
Gdzie tobie dymy piała Janczarycha.
A mnie Włoch bił! bił! Oj! lza mi rozchyła
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? — Wiatr — i gołębica!

«Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,

Pocałuj, zapłacz, świśnij — taj polecę!
Gołębie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece —
Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę w pław po rzece —
A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie,
I pochowają w śpiewającym grobie.

«Taj będzie koniec z żalną Swentyną!

O! nalatała się ja po kurhanach!
O! nakarmiła się gorzką kalina!
Jak jemiołuszka! — Była ja przy panach!
I była między chłopami Caryną!
A wszystko smutno! — Chodzę jak w kajdanach —

Ni ojca, ani matki na tym świecie!
Groszów zebrała co? — Taj wiatr rozmiecie!» —

Sawa jak szatan zmarszczył się: «Poganko!

A co? straciłaś już twój srebrny wianek? —

Przydybał cię ja, moja kraszanko!

Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
Szlachcic. — Co robisz ty z nim? mów cyganko!

Co ty robiła z nim przez cały ranek?

Cóż, oszukana? Ha! kwiatku kaliny,
A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?»

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona

Wstała, cmuknęła i ptaki srebrnemi

Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,

Pokłoniła się bratu aż do ziemi;

I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,

Jak brzoza listki wiejąca złotemi,

Wstała i nogą jakiś zygzak chiński

Kreśląc na piasku, rzekła: «Słysz Caliński!

«Pomiędzy nami stoją te hramoty!

Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,

Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,

Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:

Ani mnie ujrzysz! — Ani ja wiem, kto ty?

Ani ty wiedzieć będziesz gdzie ja żyję?

Zzami kupiła ja ten świat podniebny,

I komu zechcę, dam pierścionek srebrny.»

Tu sawa wściekły wrzasnął: «Ty wyrodna!

Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!»

Na to, jak róża, która nie jest do dna

Białą, lecz w liści kryształowej czarze

Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,

Słońcu odemknie łono i pokaże

Swój rubinowy wstyd i tę konieczną

Białego kwiatu rumianość serdeczną:

Podobnie wtenczas się zarumieniła

I ręką bijąc powietrze przeg sobą:
 «Nie! nie! ja nigdy!» Białą twarz zakryła.
 «Pierwszy raz jestem splonioną przed tobą,
 Teraz się będę zawsze czerwieniła
 Przed każdym okiem, przed każdą osobą.
 Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił!
 Pierwszy raz swoją miłą zaczerwienił!

«Gdy, dawniej, w rękach i na linie Włocha.

Gięłam się jak wąż, cóż robiły pany,
 Aby mię słowem szczerwienić choć trocha!

A byłam jako kwiatek ołowiany.
 Nie czerwieni się serce aż zakocha;
 Nie zawsze bładny jest, kto nie kochany.
 Bądź zdrow, nie będę nadaremnie szlochać,
 Jeśli jak mówisz kocham? — lecę kochać!

«A gdy się dowiesz że w kurhanie leżę,
 O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
 Połóż się chwilę na darniny świeże;
 Niech sokół czarnem krzyż obleci kołem.
 Ja także jestem jak polscy rycerze,
 A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem —
 Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
 Ja zbieram, grzebię, i obmywam trupy.

«A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
 Jeśli ty mówisz że miłość tak trudno
 Zyskać — kto w grobie położy Swentynę?
 Kto różę na nim posadzi odludną?
 Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
 O! jak tam w grobie niekochanym nudno
 Spać na kamieniu —!» Tak mówiła śpiewna
 Ta czarodziejska, stepowa królowna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu —

Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany:

A za nim Nimfa mojego Parnasu,
 Jako duch zé mgły, na słońcu różany.
 Staęli. Burzan podobny do lasu
 Purpurowemi podpływał bałwany,
 By morze blaskiem piorunów rozbite. —
 W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
 Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;
 Czasem ujrzales że koń piersią porze
 Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.
 Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
 Jak posąg co się u snycerza rodzi,
 I cały w głazie osadzony zadem,
 Po piersi koniem jest — a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany pruło,
 Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
 I tak się jako wąż żelazny snuło,
 Co czasem ogon czasem łeb podnosi. —
 Ale się pieśni narzędzie popsulo!
 O wypoczynek moja Muza prosi;
 Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu —
 A więc żegnajcie! na stepowem wzgórz — —

Moje posągi dwa to słońca złote!
 Me szyki w trawach tonące i ziołach!
 Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
 Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
 Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
 Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
 A potem ręce znów na harfie kładnę:
 Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode!
 Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
 Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
 A każda co chce z mego serca bierze.

Sonet, tragedję, legendę, lub odę,

To wszystko co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę — — Tu mię spytasz czytelniku:
W co? — Jeśli powiem — będzie wiele krzyku.

A najprzód ten rym co drwi, lub przeklina,
Ma polityczne credo; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym Szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w republik jedynaka syna —
Mochnacki nim był u nas, ten koster!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować — —

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci,
I szedł na wielki sąd co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do Arystokracji,
I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych co są prawi, i tych co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym —
I w zmartwychstanie Sejmu, pod Herodem
Opieranego, co jest bardzo śmiesznem
Ciałem — i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychstania, fenomenem wskrzesznym.
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu, wierzę, żywot wieczny.

Amen. — To amem krztusi mię dławi
Jak Makbetowe amen. — Jednak wierzę
Że ludy płyną jak łańcuch żorawi
W postęp — że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran gdy łoże okrwaw,
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;

I ogień z nim śpi i wężę i trwoga —
Wierzę w to wszystko — ha! — i jeszcze w Boga.

Boże! kto ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, szcerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma!

Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym —
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogily głosem wołają strasliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie — i ginie.

Kto ciebie nie czuł w natury przestrachu,
Na wielkim stepie albo na Golgocie,
Ani śród kolumn, które zamiast dachu,
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie;
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominkach —
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie — ja sędzę że znajdzie — i życzę
Ludziom małego serca, kornej wiary,
Spokojnej śmierci. — Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety.

Widzę: że nie jest On tylko robaków
 Bogiem, i tego stworzenia co pełza.
 On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
 A roshukanych koni On nie kielża — —
 On, piórem z ognia jest dumnych szyszaków —
 Wielki czyn często go ubłaga, nie łąza
 Prózna, stracona, przed kościoła progiem:
 Przed Nim upada na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek który jest zwiastunem,
 Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
 Ja go chcę jeszcze — w głowę tną piorunem,
 Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył.
 Czy widzieliście? I on ma piotunem
 'Zaprawne usta. — Lud, co w niego wierzył,
 Radość udaje, ale głowy zwiesił,
 Bo wie żeś skinał ja — i wieszczą wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
 Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
 A wszystkie tak grzmiały jeszcze jako skały,
 Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
 Boga — a teraz kawałki spadały — —
 Jam zbił — lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
 Za błękitami był bój i zwycięstwo —
 Ludzie nie wierzą we mnie, tylko męstwo.

Zaprawdę! — Gdybyś mię widział Narodzie,
 Jak ja samotny byłem i ponury,
 Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
 Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
 Jaż przypomniawszy gniazdo me na Wschodzie,
 Wołałem ręką Krzemienickiej góry,
 Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
 Zgraję — i stanąć za mną — lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
 Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;

I próżno słowa wyrzucam namiętne,
 Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych
 Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
 Ja, co nam także kraj, łąk pełen kwiatnych:
 Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
 A która także mię kochać powinna!

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
 Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
 Ikwo! Płyn przez łąk zielonych kobierce!
 Ty także sławna, że fal twoich gwary
 Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
 Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
 Wyznać żem wielki, że w sławę płyniemy —
 Lecz rzekł: Niech idzie tam, gdzie my idziemy.

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
 Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
 Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
 Lub na koronę potrójną Papieża
 Piorunem myśli podniesione szlecie —
 Gnacie? — Znam wasze porty i wybrzeża!
 Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
 Pójdę gdzie indziej! — i Lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać — ja mu dam łabędzie
 Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
 Kiedy kłąć zechce — przezemnie kłąć będzie;
 Gdy zechce płonąć — ja będę rozgrzewał,
 Powiodę tam gdzie Bóg — w bezmiar — wszędzie.
 W me imię będzie krew i łzy wylewał!
 Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
 W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się mój rycerzu?
 Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!

Najprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
 Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiedam —
 Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
 I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
 Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,
 Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak Bóg Litewski,
 Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
 A w rękę twem krzyż, jak miesiąc niebieski —
 A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
 Tak mówiąc — ja syn pieśni! syn królewski!
 Padłem. — A tyś już następował z bliska!
 I nogą twoją jak na trupie stawał?
 Wstałem — jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,
 Mię powalonym, hardym i straszliwym —
 Nie jestem tobą — ty nie jesteś Zniczem.
 Lecz choćbyś Bogiem był — ja jestem żywym!
 Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
 Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym —
 Kocham Lud więcej niż umarłych kości —
 Kocham — lecz jestem bez łez, bez litości —

Dla zwyciężonych. — Taka moja zbroja,
 I takie moich myśli czarnoksiężstwo;
 Choć mi się oprzesz dzisiaj —? Przyszłość moja!
 moje będzie za grobem zwycięstwo! —
 Legnie przedemną twych poetów Troja,
 Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
 Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
 Zabije — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom. — Bądź zdrów wieszczu!
 Tobą się kończy ta pieśń dawny Boże.

Obmyłem twój laur, w słów ognistych deszczu,
I pokazałem że na twojej korze
Pęknięcie serca znać — a w liści dreszczu
Widać; że ci coś próchno duszy porze —
Bądź zdrow! — A tak się żegnają nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM V.



PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

TOM CZWARTY.

4



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1876.



SPIS RZECZY.

	Strona
KSIĄDZ MAREK	1
SEN SREBENY SALOMFI	93
KSIĄŻE NIEZŁOMNY	217
KRÓL-DUCH	317
DO AUTORA TRZECH PSALMÓW	371



KSIĄDZ MAREK.



A K T I.

(Szopa wyporzędzona jak na zebranie koła rycerskiego. Wchodzą : STAROŚCIC Z BARU i TOWARZYSZ PANCERNY. Słychać z daleka śpiew konfederacki.)

TOWARZYSZ.

Słyszysz pieśni — oto z pola
Rycerze nasi wracają.

STAROŚCIC.

Mam taką harfę Eola
W Anielinkach, nad strumykiem;
Lecz jej struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno, dziko i żałośnie:
Jak ta pieśń co w hymny rośnie.

TOWARZYSZ.

Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek karmelita
Ludziom błogosławi z wału.

STAROŚCIC.

Jak miło gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły!
Rzucić się pod sztandar Boży,
Co w stepach, z dawnej mogiły
Jak tęcza, która na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy;
Błyska, i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi! —
A ta pieśń co Boga prosi

O łaskę, politowanie;
 Taka miła jak pieśń dziecka,
 Rubaszna — jak pieśń szlachecka,
 Święta jak organów granie,
 A świeża jako zaranie
 Przyszłych nadziei narodu —
 Tak trzęsie całą mieścina,
 Że bez żadnego powodu
 Kiedy słucham — łzy mi płyną!

PIEŚŃ KONFEDERATÓW za sceną.

Nigdy z królami nie będziem w aljansach
 Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
 Bo u Chrystusa my na ordynansach —
 Słudzy Maryi!

Więc choć się spęka świat, i zadrży słońce,
 Chóć się chmury i morza nasrożą —
 Choćby na smokach wojska latające,
 Nas nie zatrwożą.

Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
 Więc nie dopuści upaść kadnej kłęsce;
 Wszak póki On był z naszymi ojcami,
 Byli zwycięsce!

Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
 Nie ulęgniemy przed mocarzy władzą,
 Wiedząc, że nawet grobowce nas same
 Bogu oddadzą.

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
 I spać pójdziemy o wieczornej zorzy;
 Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
 I hufiec Boży.

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu,
 I szedł na święte kraju werbowanie;
 Ten, de profundis, z ciemnego kurhanu,
 Na trąbę wstanie.

Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
 Póki on z nami, całe piekła pękną!
 Ani ogniste smoki nas ustraszą,
 Ani ulękną.

Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
 Ani shołdują żadne świata hołdy:
 Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
 Na jego żołdy. —

STAROŚCIC.

Poniesli dalej sztandary,
 Poszli dalej z bronią w rękę;
 A ta pieśń na fundum wiary
 Anielskiego pełna jęku,
 Ściąga nam: cuda, zjawienia,
 Przelotne niebios humory,
 Gwiazdy z grzywą, meteory,
 Nocne słońca — lby z płomienia,
 Szwadrony w zbrojach nieznanych,
 Po obłokach malowanych
 Idące truchtem i cwałem.
 A jak wczora, sam widziałem,
 Będąc na straży w mieście —
 Pana naszego obrońce,
 Co siedmio-mieczowe słońce
 Na serca jasnym rubinie
 Zapaliwszy, stał na chmurach.
 I nie sam świadczę o cudzie,
 Ale wszyscy moi ludzie.
 Wszystkie szyldwachy na murach
 Widzieli ten wizerunek
 Doloris, jak brał kierunek
 Ku Wschodowi, świecąc miastu.
 Widać, że nasz okręt tonie,
 Że potrzeba mu balastu,
 Więcej szabel — więcej ducha,
 Więcej serca — w naszym łonie:
 Bo ta wielka zawierucha
 Niebios, wszystkich nas pochłonie.

TOWARZYSZ.

Książd Marek wczoraj to z ducha
 Wytłómaczył na ambonie,
 Mówiąc o różnej pokusie.

Miecze te, powiada, bolu,
Bołące Panu Jezusie,
To są gorsze od kłokolu
Wady na ojczystym polu,
Z których boleść ma Ojczyzna.
Pierwszy miecz co w niej usterka,
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz, to szulerka,
A trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiece rządy;
Piąty — to sprzedajne sądy,
A szósty, zawiś prywatna,
A siódmy, zgniłe sumienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednym sercu co je mieści,
Zatknięte ręką morderczą,
Jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści,
Słonecznik siedmio-mieczowy,
Co ma w środku serce Boże,
A na rękojeściach głowy,
Do panów naszych podobne.
I znów o każdym upiorze,
O każdym mieczu magnacie
Mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie,
Sądzący zbrodnie czerwone. —
Potem kazał przed amboną
Przynieść trumnicę z kościarza,
I sam z ognistą powieką,
Nogą odrzuciwszy wieko,
Kiedy się pył ruszył z kości
Krzyknął: oto proch smętacza,
Który w żywych obecności
Będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś nakryci trumnami,
Przez lud będziecie sądzeni —
Oto jest proch z trupa rdzeni!

Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli
Spoczywała do starości.
Jeśli ty? mówił do kości,
Z pod twojej rysiowej delji
Przy czytaniu ewangelji
Szabli dobyłaś na światy?
Ręko! bądź błogosławiona!
Lecz jeśli wy stare gnaty,
Wy spruchniałe dziś ramiona,
Wy drżące palców kosteczki!
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobylście z pochw miecza
Chłopską porąbały chatę!
Jeśli ty ręko człowieka
W sygnetach, a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów?
Jeśliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów
I poiłaś go piołunem?
Ręko hańby idź do piekła! —
Rzekł i kością jak piorunem
Uderzył z czarnej ambony,
Pomiędzy lud przerażony,
W sam środek szary motłochu,
W sam środek czerni szepczącej
O tej kości latającej,
O tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie.
Aż ksiądz znowu ręce obie
Zanurzywszy w trumny łonie,
Czerepem się na ambonie
I głową trupa oświecił.
Czerep pacierzom polecił
I czcił pogrzebową rzeczą.
To go malował w przyłbicy,
To w karbunkułach korony,

To w cierniach co kość kaleczą:
 Aż ten czerep uśmiechniony,
 Wziąwszy prawie twarz człowieczą
 Co się uśmiecha, nie sroży:
 Jak drugi spowiednik Boży
 Zaczął nauczać z ambony —

STAROŚCIC.

A tymczasem obrażony
 Pan marszałek, szlachta cała,
 Tem ruszeniem z grobu ciała,
 Tem urąganiem z magnatów,
 Tą obelgą antenatów,
 Zamysła porzucić sprawę.

TOWARZYSZ.

Co mówisz?

STAROŚCIC.

Będą ciekawe
 Dzisiejsze panów narady —
 Patrzaj, regimentarz blady,
 Z manifestem o głos prosi;
 Ale oczu nie podnosi
 Na czoło marszałka dzielne.

(Wchodzą i zasiadają na ławach: PAN MARSZAŁEK KONFEDERACJI
 KRASIŃSKI, PAN REGIMENTARZ PUŁAWSKI, KS. PRZEŁOŻONY KAR-
 MELITÓW — i wielu ze szlachty.)

REGIMENTARZ, z manifestem w ręku.

W imię Boga nieśmiertelne!
 I w imię Bożego Syna!
 I w imię Bożego Ducha!
 Przed tym światem co patrzy i słucha,
 Jak się nasza krew tu łać zaczyna,
 I wulkanem pomsty z nas wybucha,
 I wulkanem jęków nas przeraża —
 Przed ziemią co nas spotwarza,
 Że już ojczyzny nie mamy
 I o nią się dobijamy —
 Z mieczem w ręku przed tronami,
 Któreśmy kiedyś zakryli —

Od Turka naszymi szablami —
 I przed dzieciątkiem co kwili —
 I przed starcem co grób kopie —
 I przed chłopkiem, który siada
 Jak Ceres, na złotych snopie
 I płacze, gdy o nędzy gada. —
 Przed magnatem, co krew żłopie,
 Ludu wnętrzości wyjada
 I złoto skrwawione chowa —
 I przed tą, która jest wdowa
 Po mężu za kraj poległym —
 I przed wiekiem już ubiegłym.
 I przed tym, co w czasów prądzie
 Na sąd trupów naszych idzie —
 Wydarci przeszłej ohydzie
 Stajem z tym pismem na sądzie!
 Sądem krwi nie przerażeni,
 Ani dumni, ani bladzi:
 W środku rzezi i płomieni,
 Przy biciu gwałtownych dzwonów! —
 Pany na czele czeladzi,
 Wodze na czele szwadronów,
 Księża, tłum prowadząc niemy
 W blasku krzyżów i kagańców,
 Dawnych świętych zmartwychwstańców;
 Na sądzie wszyscy stajemy!
 I podnosząc ręce blade,
 I wskazując rany święte,
 Tę wszystkich narodów zdradę
 I to morderstwo nieświęte,
 Na naszych spełniane ciałach,
 Rzucamy w czasę koryto.
 Bogdajby kiedyś odkryto,
 Że na tych przekleństwa skałach
 Zatrzymane ludów wody,
 Pierś swoją o nas rozbiją —
 Staną i w kałużach zgniją,
 Nie mogąc wejść na te wschody,

Któreśmy sypali sami
 Wiekom — kładąc się trupami.
 Bogdajby kiedyś odkryto,
 Że tu, gdzie nas zabijano,
 Ludów patronkę zabito!

Że tu, gdzie Polski kolano
 Pierwszy raz przed nędzą klękło:
 Nowa jest ludów kalwarja. —

A tam, gdzie jej serce pękło
 Gdzie zapłakała jak Marja:
 Jest miejsce lamentowania. —

A tam, gdzie ją kat pogania
 Knutem, cierniami i spiżem,
 A ona padła pod krzyżem,
 W koronie z blasków słonecznych:
 Jest miejsce upadków wiecznych —
 I śmierci okropna przystań.

A tam, gdzie matka rycerzy
 Choć w grobie, w grób nie uwierzy:
 Jest miejsce wieczne zmartwychwstań —
 Jest duch co z grobu wyrывa
 I kos żadnych się nie boi. —
 Panowie! to miejsce stoi!
 To miejsce Bar się nazywa!
 Tu my, rycerze bez plamy,
 Z odkrytą przed Bogiem głową,
 Pod chorągwią Jezusową
 Za kraj nasz poumieramy;
 Zatknąwszy wieczne sztandary
 Dla miłości prawd i wiary! —

MARSZAŁEK.

Szanowny Regimentarzu!
 Mówisz tak jak na Golgocie,
 Mówisz tak, jak na smętarzu —
 I takby się nam w istocie
 Należało dziś zachować;
 Krzyże nosić i całować,
 Samym je zatykać w ziemię,

Nauczając przyszłe plemię,
 Jak los przeciwny pokona,
 Za prawą rękę i lewą
 Dać się przybijać na drzewo,
 Aby widział nasz morderca,
 Że otworzywszy ramiona,
 Pokazujemy i serca.
 Ale sądzę, mój kolego,
 Że wola Nieśmiertelnego
 Chowa nas na większe czyny;
 Więc z tej ubogiej mieściny
 Gdzieśmy się teraz zamknęli,
 Nie chciałbym uczynić jeszcze
 Grobu dla obywateli.

REGIMENTARZ.

Panie! przechodzą mię dreszcze!
 Z gwałtownego chłong żaru! —
 Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
 O hańbie, o wyjściu z Baru —

MARSZAŁEK, dobywając w pół szabli.

Hańba! Cóż to mi ty —?

REGIMENTARZ.

Panie!

Niech twoje słowo zostanie
 W gardle, szabla niech się kładzie
 Do snu i niech się nie budzi.
 Dawno ja żyję wśród ludzi!
 Z różnemi panami żyłem,
 Obelgi nieraz znosiłem,
 Dla ojczyzny — i dziś zniosę.
 A jeśli kto mimowolną
 Obaczy na rzesach rosę
 U obelżonego starca!
 To także, i mnie mieć wolno
 Przy białej siwiznie marca,
 I lód co szkłem w oczach świeci —
 Bo ja mam aż czworo dzieci,
 Aż czworo żywych pod niebem!

A gdy na mnie hańba spada,
 To panie, tym jednym chlebem
 Nas pięcioro się najada —
 A czy to łza w oczach stoi,
 I błyszczy w źrenicy biednej;
 To pięcioro się napoi,
 Panie, z tej wielkiej łyzy jednej.
 Bo kto na świat się nie gniewa,
 Często, chociaż łez nie leje
 W serce — rzeki łez wylewa.

MARZAŁEK.

Jeśli obrazili — boleję.

REGIMENTARZ.

Dosyć. Gadajmy o Barze.
 Więc wola jest rzucić miasto?

MARZAŁEK.

Dosyć spojrzeć tu na twarz —
 Żaden tu nie jest niewiastą,
 Ani dzieckiem nie jest w duchu.
 Widzano nas przy armatach —
 Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
 I przy ruskich kazamatach
 W błocie przed Branickim legać?
 Mnie — co jestem z panów panem,
 Nazywać jego hetmanem?
 I grzeczności z nim przestrzegać?
 Być jego sługą? Gdy mogę,
 Do Turczach dziś pojechawszy,
 Jutro tu powrócić krwawszy,
 Zgnieść tę moskiewską stonogę,
 Stanąć mu butem na głowie,
 Królowi napędzić strachów. —
 Cóż? — Czy nie prawda panowie,
 Że tak lepiej! z hufcem spachów!

SZLACHTA.

Lepiej!

MARZAŁEK.

Zgodne głosy słyszę —

A oto patrzcie — (dobywa listu) tu pisze
 Pan Potocki nasz Podczaszy,
 Że Turek już Moskwę straszy
 Nad Prutem, stanąwszy w sile —
 Coż mu po naszej mogile?

SZLACHTA, krzyżąc.

Do Turków całemi szwadrony! —

(Wchodzi KSIĄDZ MAREK.)

KSIĄDZ MAREK.

Niechaj będzie pochwalony
 Jezus Chrystus. — Szatan głuchy —

(Na stronie.)

Żaden nie dał odpowiedzi.
 W tej szopie widać złe duchy
 I zło — co otworu śledzi.
 Aby zerwać naszą zgodę.
 Gdzie tylko okiem powiodę

(głośno.)

Zasmucone widzę twarze —

REGIMENTARZ.

Mój księżu, źle z nami w Barze —
 Myślimy z miasta uchościć.

KSIĄDZ MAREK.

A miastem kto ma dowodzić?

REGIMENTARZ.

Na cóż dowództwa w pustoszy?

MARSZAŁEK.

Dosyć tej wojny kokoszy!
 Tej manifestów papierni!
 Byliśmy krajowi wierni
 I wiernie jemu dotrwamy,
 Lecz tu w Barze już nie mamy
 Prochu, jądła, ni pieniędzy.
 Gorszy pocałunek nędzy
 Niż pocałunek Judasza;
 Bo często odwagę zdradza,
 I wszystkie cnoty rozpląsa,
 I w śmierci — hańbę doradza.

KSIĄDZ MAREK.

Marszałku! panie narodu,
 Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
 Otruł się na miejskiej wodzie?
 I pomyślał o tem w głodzie,
 Ażeby naród opuścić? —
 Pan Bóg ci może odpuścić,
 Jeśli to się w głodzie stało,
 Jeśli twoje biedne ciało
 Zaczęło się trząść na kości —
 Pan Bóg jest pełny litości
 Jeśliś głodny był — przebaczy —
 Lecz Panie! o, ta stodoła
 Tego mi nie wytłómaczy,
 Przez jakiego ty Anioła
 Ducha — byłeś ogłodzony?
 Powiedz? czy upiór czerwony,
 Jakie rodowe widziadło,
 Odpycha od ciebie jadło?
 Straszy cię, jeść nie pozwala?
 Albo krwią okrzepłą kała
 Ten chleb, który bierzesz w usta? —
 Mówisz o nędzy? — Ta pusta
 Stodoła, ta szopa żyda,
 Panie, pałacem się wyda,
 Jeśli ją który z twych wnuków
 Ujrzy wyгнаńca oczyma.
 Patrzaj co tutaj jest bruków
 Z jedwabi — gdzie okiem trącę,
 Dywan na powietrzu trzyma
 Srebrne gwiazdy i miesiące —
 Kwiaty, takie winograpy,
 Że dają oczom pokusy,
 Więc także blade turkusy
 Patrzą niby na obrady
 Z szabel brylantowych czoła,
 Jakoby oczy aniołów.
 Więc ten dom i od kościoła

Bogatszy — bo dół kościołów
 Często z ludzkich trumien bywa —
 A tu morze złota pływa
 Po pas w tej żydowskiej stajni.
 Więc jeżeli wy sprzedajni? —
 Czego nie daj Boże wielki —
 Kto was kupi? gdzie są fanty —
 Kto znajdzie takie brylanty
 Coby waszej krwi kropelki
 Były godne? warte były?

Więc wyznaj, że ani nędza,
 Ani głód jedzący żyły
 Poradził — aby ta jędza,
 Co krew polską dawno chlepcce,
 Tchórzostwo do ucha szepce —

Nie chwytaj za miecz człowieku!
 Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
 Że tu leży Polska w żłobie,
 Lecz Polska nie tego wieku,
 Żywa — nie przez nasze czyny.
 Szanuj sen świętej dzieciцы,
 Która, gdy oczy otworzy,
 A uczuje boleść ciała,
 Najpierwej będzie płakała,
 Taka ją ciemność zatrwóży
 Z naszych grobów uczyniona —
 I brak matczynego łona
 Tak ją w żłobeczku rozkwili! —
 Szanuj! bo tu, gdzieśmy żyli,
 Śród naszej niby opieki,
 Bogu i ziemi na chwałę,
 Poczęło się dziecko małe,
 Które będzie żyło wieki!
 O! gdybyś wiedział jak one,
 Przed narodami wystrzeli,
 Jaką ogromną koronę
 Włoży — jakie berło chwyci!
 Chociaż wódz obywateli,

Co są w rodach znakomici,
 Nie śmiałyś przed tą maleńką
 Ruszyć ni szablą, ni ręką,
 I stałyś tam u podwoi,
 Jak żebrak przed królem stoi. —
 Ja ci nie powiem kto ona,
 Pozwalam jak szaleńcowi
 Pożyć, a sam też w ramiona
 Nie wezmę piastować żłobu:
 Bom jest już podobny snowi,
 Bliski męczeńskiego grobu.
 Ale że tu jest to dziecię,
 To widzą małe ptaszęta,
 Świegocące mu w błękicie,
 Gdzie słoma wichrem podjęta
 Błękit niebios pokazuje. —
 Koń to już wojenny czuje,
 W kącie stojący przy ścianie,
 Bo kiedy poczucie ducha
 Pójdzie ludziom w urąganie:
 To świat go podlejszy słucha,
 I nieraz harfą się stanie,
 Na którą duch Boży dmucha,
 Aż słońce się ludziom odsłoni. —
 Człowieku niech cię Bóg broni,
 Abyś zwątpił o prorocत्वie!
 Bo wkrótce, w całym sieroctwie
 Twego nieszczęsnego rodu,
 Gdy odrzucon od narodu,
 Krwią się do krzyża przyklei,
 Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny:
 Nie zostanie — prócz nadziei —
 Żadnej po ojcach puścizny! —
 Nie zostanie, gdy wyjęczy
 Całą boleść. Tylko Panie.
 Oto się chwytać tej tęczy,
 Którą przez wieków otchłanie
 Z prorocznych ust teraz ciskam.

Więc się nie dziw, że tak błyskam
 Jak Mojżesz duchem natchnięty,
 Żem jest jak ów Jan święty,
 Widzący to — co ja widzę —
 Bo zaprawdę jestem w lidzie
 Z duchami i ze świętymi!
 A chociaż niski na ziemi,
 To duchy okryte zbroją!
 Na ramionach moich stoją!
 I kończą się gdzieś w bezkończach —
 W świecie — gdzie gwiazd zawierucha,
 W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
 Za słońcami w słońcu ducha.

MARSZAŁEK.

Czegóż chcesz w tej egzaltacji?
 I co ma ona za związek
 Tu, gdzie pierwszy obowiązek
 Zbawić panów, naszych braci,
 Szlachetnych ludzi ostatki?

KSIĄDZ MAREK.

Panie, zostań! z tej gromadki
 Nie zginie żaden —

MARSZAŁEK.

Kto ręczy?

KSIĄDZ MAREK.

Pan.

MARSZAŁEK.

Co za znak?

KSIĄDZ MAREK.

Zagrzmia działo — —

(Po chwili milczenia słychać strzał.)

Czy słyszycie że zagrzmiało?
 Aż belka w stodołach brzęczy
 „Jak echo kościelne nad ludem.

(Wchodzi ARTYLERZYSTA POLSKI.)

ARTYLERZYSTA.

Panie! pękło nam na ćwierci
 Jedno działo, ale cudem

Puszkarze uszli od śmierci
 Myślą, że świat cały runął,
 Śledzą kto ognia podsunał
 I kupią się — a szlachectwo
 Już krzyczy: ogień i zdrada —

MARSZAŁEK.

Czyli to boskie świadectwo
 I głos, który z niebios gada?
 Czy zrządzenie przypadkowe?
 O to nie zachodźmy w głowę.
 A jeśli takie portenta
 Brać nam za rozkazy z nieba?
 To armata rozpeknięta
 Mówi — że wyjeżdżać trzeba,
 Unosząc ducha i serce.

(Wstaje.)

KSIĄDZ MAREK.

Zabierz z sobą te kobierce —
 Własnością są twego rodu.

MARSZAŁEK.

Gdzie ja ogrody zasadzę
 To ptaszki z mego ogrodu
 Nawet, gdy się wyprowadzę,
 Mają prawo żyć wiśniami.
 Choć tu jedwab jest murawą,
 A hafty złote drzewami;
 Ten kto ma do gruntu prawo,
 Ma prawo do drzew i kwiatów.

(Wychodzi.)

KSIĄDZ MAREK.

Więc sprzęt twoich antenatów,
 Pójdzie do żyda rabina,
 Który wynajął stodołę! —

REGIMENTARZ

Upadać Polska zaczyna!
 Zarzucam żupana połę
 Na oczy, by nie widziano,
 Czy z twarzą wstydem rumianą,

Czy z twarzą łzami zalaną
 Stary Puławski odchodzi.
 Pole teraz waszej młodzi:
 Niechaj nowe gniazdo lepi;
 Bo oto my wodze starzy,
 Jako żebrakowie ślepi!
 Uchodząc z narodu straży,
 Ręką macamy gdzie wrota,
 Co na wygnanie prowadzą.
 Niech wam duchy boskie radzą!
 Niechaj rośnie patriota
 I nowy kościół zakłada —
 Co do mnie — byłaby zdrada,
 Gdybym nie szedł na Podole,
 Gdzie pan Marszałek nas wiedzie —

KSIĄDZ MAREK.

Szablę zostawisz na stole!

REGIMENTARZ.

Kto był na cudzym obiedzie
 Nie bierze sztucców gościnnych.
 Ale zostawia dla innych
 Zaproszonych, na dzień drugi,
 Weźciesz miecz pańskiego sługi
 Przechemnie tu zostawiony,
 I czyńcie z nim co potrzeba:
 Na ucztę wołajcie wrony
 I kruki i pomsty z nieba.

(Wychodzi)

KSIĄDZ MAREK.

Szabla mi się nie należy,
 Lecz przez nią Pan Bóg uderzy,
 (Przypasuje pałasz.)

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KARMELITÓW.

Ja także na żadną zgrozę
 Nie wydam pańskich ołtarzy;
 Lecz obnażę z relikwiarzy,
 I sakramenta uwiozę,
 Aby splamione nie były.

KSIĄDZ MAREK.

A nam zostawisz mogiły?
Ojczy! Ojczy przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie,
Co podobna do okrętów,
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o Panie,
Ranny wołał sakramentów!
Rękę swoją kładł na ranie,
Głowę zwiędniałą pokłonił,
I tchu duchowego bronił,
Z rozpaczą w zawrotnej głowie?
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniej pociechy:
«Przebaczone ci są grzechy —
«Dusza święta wychodzi z ciała!»
Gdyby jeden został taki
Najlichszy między żebraki,
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość Pańska przy nim. —
A my co, mój księżu, czynim
My, co o jutrze nie wiemy,
A tu grzeszni zostajemy,
Aby tego jutra dożyć:
Gotowi żywot położyć —
Nakryć się prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie,
Byle się tylko świeciło
Przenajświętsze Boga imię,
W obliczu świata i szyków,
Nad trupami schyzmatyków?
Byle hostje krwią rumiane,
Wilgotne naszemi łzami
I nieco egzaltowane
Drżącemi rannych rękami,
Egzaltowane i drżące,

Póki stanie mocy w kościach,
Świeciły na wysokościach
Ludom, jak pełne miesiące
Pośród pożarnych płomieni. —
A gdy na to odważeni,
Zostajemy tu na rzezie,
Ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam kto Boga uwiezie?
Że nam Bóg jest niepotrzebny
Charłakom, jęczącym w nędzy? —
Więc Pan, tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki:
I zostawił złote bruki,
Po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale
Morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wślawia
Nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł rubinów,
Uczyniona ze krwi synów —
A przecież? kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła,
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych,
A osadzonych na Bogu.
A ty sam, z kościoła progu
Uchodzisz! ksiądz poświęcony?
I gdybyś twemi ramiony
Mógł, co Samson z dawnych czasów,
Wyrwałbyś bramy z zawiasów,
I poniósł z sobą wydarte,
A potem przedawał ćwieki —
A gdyby co były warte
Okna, co patrzyły wieki,
Niby źrenice tęczowe,
Które anioł w ołtarz włupił —
W skrwawioną Chrystusa głowę:

Tobys̄ je panie wylupił,
 A potem nosząc przedawał:
 Kawał szkła — za ziemi kawał,
 Łan tęczy, za łan pszenicy.
 Ja wiem że w twojej winnicy,
 Gdy zbierzesz coć urodziła,
 Nie będzie ptaszyna piła
 Słodkiej rubinowej wody
 Z żadnej sierocej jagody;
 I zaćwierka gdzieś na płotach,
 Mówiąc: jak ci ludzie Bozi
 Zapomnieli o sierotach! —
 Lecz ksiądz, co Boga uwozi
 I ucieka z nim za bramy?
 Tego my jeszcze nie znamy
 W Polsce od dawnego wieku!
 A co ty wiesz? ty — człowieku!
 Czy Bóg nie chce zostać z nami
 I patrzeć jak umieramy?
 I karmić sakramentami?
 I dusz naszych wszelkie plamy
 Krwią swoją obmywać drogą?
 A co ty wiesz? czyli trwogą,
 Włożon do twoich zanadry
 Duch sakramentów nie zadrzy?
 I nie złęknie się tych kości,
 Gdzie żaden już duch nie gości? —
 A co wiesz? — czy tajemnice
 Po sakramentach zamknięte,
 Nie pierzchną, by gołębice
 Nie zlecą się w jedno święte
 Miejsce — gdzie były już miecze,
 A teraz jest pokój Boży —
 W to biedne serce człowiecze,
 W moją pierś, co się otworzy
 Pełna radosnej boleści —
 I wszystkie! wszystkie pomieści!
 Nie — Boga nie weźmiesz zgoła,

Boć to nie* jest tobie dane —
 Oto idę do kościoła
 Sakramenta porwę w dłonie
 I pójdę i wśród kul stanę.

KSIAŁDZ PRZEŁOŻONY.

Temu księdzu na ambonie
 Tumanic ludem zakażę.

(Wychodzi.)

KSIAŁDZ MAREK.

Idźcie! idźcie! — a ja w Barze
 Z ostatkiem ludu zostanę.
 Zbiorę całą moją rzeszę,
 Tęcze moje chorągwiane
 Na miejskich wałach rozwieszę,
 I odprawię nabożeństwo
 Święte, do krwawego krzyża:
 A Pan, co luźy uniża
 Da mi tryumf — lub męczeństwo —
 I swoją wolę pokaże.

(Wychodzi z reszłą szlachty.)

(Wchodzi ŻYD RABIN.)

RABIN.

Teraz my tu gospodarze
 Zamiećmy izbę po panach.
 Nu — jest zysk na tych dywanach.
 Kto zyska a kto też straci
 Na tej to konfederacji —
 A moskał dywan kupi. —
 Judyt! — Judyt — hejne! hejne!

(Woła do drzwi bocznych.)

(Wchodzi JUDYTA.)

Nu? co ty szejne morejne
 Zapłakana? — szlachcic głupi
 Nagadał się i wychodzi —
 A mnie pan marszałek dobrodziej
 Nie zapomniał! Pan kochany!

Podarował mi dywany.
Nu! czemu ty głupia szlochasz?

JUDYTA.

Oicze! jeśli ty mię kochasz,
To porzuć te darowizny,
Na co nam? — my bez ojczyzny!
Na co nam takie wystawy?

RABIN.

To dobrze, ale te ławy
I te makatne pościele,
Ja schowam na twoje wesele,
Aby ty na nich usiadła.

JUDYTA.

Obwiniesz mię w prześcieradła
Złożysz trupa na drabinie
Każesz wynieść nim zadniało —
A jak goim spotka ciało
To przeżegna się i minie,
A jak dziecko — to będzie się bało,
I u matki się rozpłacze,
I pod rańtuchem ukryje —
Nu — a jak kruk — to zakracze,
Nu — a jak pies — to zawyje,
A jak księżyc — to pobladnie,
A jak gwiazda — to upadnie,
A jak słońce — — Nie, my żydzi,
Nas nigdy słońce nie widzi
W prześcieradła obwiniętych,
Szybko nas na smętarz niesionych —
Bo my na prawach przeklętych
Pośród ludzi, przerażonych
Naszą modlitwą gorącą,
Naszą mogiłą stojącą,
Krwią białych macowych praśnic,
I blaskiem naszych szabaśnic,
I tajnych komor ciemnością,
I tą żółtą naszą złością
Co się w oczach jadem kręci:

My tu na wieki wyklęci,
 Jak ogromne cherubiny
 Co w trumnach zamkniętych siedzą.
 Nu — a ci ludzie nie wiedzą,
 Co ja mogę — kiedym wroga,
 Co ja wiem od Pana Boga;
 Jaki ja im garnek z gliny
 Ulepię — co duchem zrobię —
 Jaki duch w mojej osobie?
 Nu — ja wczora na konwalje
 Na mogiłki poszła nasze,
 I patrzała na batalje
 Na działa i na pałasze —
 A w prochu był obłok jazdy,
 A kule jak srebrne gwiazdy,
 A bomby nad niemi w górze
 Jako płomnieniste róże,
 A wystrzelone harmaty,
 Jeszcze do góry dymiące,
 Jak z ogniów siarczanych kwiaty —
 A podkowy koniów — jak miesiące! —
 Nu! ja tak patrząc z mogilek
 Na te ognie, na tę krew,
 Zmarszczyła na czole brew,
 Wzięła gliny kilka bryłek,
 Wzięła z grobu trochę piasku
 I przeciwko temu blasku
 Rzuciła — że poszli w nic,
 Jak tysiąc zagaśłych świec,
 Gdy wiatr przeleci bożnicą. —
 Bo ja była błyskawicą,
 Duchem co krwią pole broczy;
 Śmiercią — gaszącą ich oczy,
 Naszej wiary tajemnicą!
 Aniołem na Boskich połyskach,
 Który piorunami strzela!
 Zmartwychwstaniem Izraela,
 Stojącym już na mogiłach!

A przed Bogiem — małą mrówką,
 Przed aniołami — aniołem;
 A wśród popiołów — popiołem;
 A przed ludźmi — jak zawsze: żydówką
 Pogardzoną — —

RABIN.

Na, Judyta!

Ty pierwszy raz jesteś taka?
 Słyszę tam pana Polaka
 Co się o austerję pyta —
 Zakryj się — bo ty w płomieniach,
 Zajasna na jego oczy.

(Wchodzi KLEMENS KOSAKOWSKI.)

KOSAKOWSKI, do sług za karczmą.

Niechaj tu Grzegórz zatoczy
 Mój karaban! A tu w sieniach
 Powiązać moje brytany —
 A tu éwieki wbić do ściany,
 I pozawieszać szturmaki,
 Szable, kindżały, kulbaki.
 I wymieść dom żyda brodą.

(Do rabina.)

Żydzie! staję tu gospodą.

RABIN.

A panie, a kto ty taki?

KOSAKOWSKI.

Niech tego żyda wywiodą
 I zakneblują mu pyski.
 Kto ciekawy, szpiega bliski.

RABIN.

Nu, żartuje pan wielmożny.

KOSAKOWSKI.

Żydzie! ze mną bądź ostrożny,
 Bo u mnie — żyda powiesić
 To tak, jak w pejsy go trzepnąć —

RABIN.

Nu — a czy ty umiesz wskrzesić?

Ty morzesz czleku oslepnąć,
Patrząc na niewinną krew.

KOSAKOWSKI.

Patrz — pierś mam taką jak lew,
A nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń,
A włos koloru płomieni,
Biada! kto mię zarumieni!
Ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blade
Stanie — by opłatek Boży.
Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się i rwie ludzi,
Wprzód nim się rozum obudzi.

(Do Judyty.)

Żydówka ściągnij mi buty —

(Judyta kłęką i całuje mu nogi.)

Co robisz?

JUDYTA.

Całuję twe nogi.

KOSAKOWSKI.

Co to jest? — precz mi z podłogi.

JUDYTA, na kolanach.

Panie! ty wczora z reduty,
Jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa.
Ja cię z mogliłek widziała
Śród panów — choć ty chudeusz
W szaraczku, a oni w złocie,
W turkusie i w karmazynie —
To ty chodził po dolinie
Na koniu — jak Goljat jaki.
Włos twój był jak ogień w grzmocie!
Czapka, jak srebrzyste ptaki,
Jak orzeł co z nieba runie
I usiądzie na piorunie!
Nu, a twój koń był czerwony
I ubrany cały w druty,

I czterema miesiący podkuty:
 A w boju taki szalony,
 I tak ogniem z pyska strzela
 Jak smok w pismach Izraela. —
 Otóż ja tu żydowica
 Do nóg ci panie upadła
 I twój proch ustami kradła:
 Bo tyś jest z królów narodu —
 Ja z narodu niewolnica;
 Z Jerychońskiego ogrodu
 Róża, między obce ludy
 Przesadzona i kwitnąca;
 A królowna z rodu Judy —
 Nu! niech mię twa noga trąca!
 W piersi mię podkówką wytnij!
 Niech się moja pierś zbłękitni
 I twego herbu dostanie
 Od twojej czarnej podkówki —
 Ja wiem że dla mnie żydówki
 Ty jest król! wielmożny Panie! —
 Ale ja powiedzieć chciała
 Czego zamilczeć nie mogła,
 Że ja twej szabli pomogła,
 Kiedy ty leciał na działa —

RABIN.

Nu, Judyt — ty oszalała!

JUDYTA, wstaje, i odstawiając welon mówi z gniewnym zapalem.

Ja Judyt! ja Judyt — Judyta!

Nu ja nie straszna nikomu

Póki moja twarz zakryta!

Ale z oczów mego gromu

Ja cisnę na was zagładę,

Bo ja duch wszystko odmieni.

Nu — ja kiedyś wezmę i szpadę

Jasną — ze złotych płomieni.

(Wychodzi.)

KOSAKOWSKI.

Rabinie! czy ta szalona.

To córka twoja? czy żona?
Wcale do niej nie mam wstępu.
Czysta, mało ma akcentu.

RABIN.

Panie, to jest moja córka,
Dziewica —

KOSAKOWSKI.

Ha, ha, ha! żydzie —

RABIN, na stronie.

Ten człowiek patrzy na turka.

KOSAKOWSKI.

Słuchaj mie — żyłem w bezwstydzie
Na kartach i pijatyce,
Kochałem i żydówce
I szlachcianki i cyganki:
A tak mię zna Litwy księstwo,
Że gdyby nie moje męstwo,
Dawnoby mnie już na drzewie.

(Czyli giest duszenia się.)

A jednak do mnie się czepi — —
Tak w serce Bóg coś zaszczepi,
O czem często człowiek nie wie,
A w sercu to Boże ziarno
— Choć się szlachcic oddał biesu —
Działa jak ziarno magnesu,
Tak, że się doń ludzie garną
I kochają. — Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny.
Otóż ja, ów łotr haniebny,
Ów Kosakowski pyszałek,
Tak się umię dać we znaki,
Mam za sobą tyle galek
Sejmikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapirów, karabel,
Ile ich ma sam Radziwiłł.
A jużem raz świat zadziwił,
Porwawszy aż sejmik cały,
Palestrę i trybunały

W jednym miasteczku na Żmudzi;
 I z sotkiem tych różnych ludzi
 W kontuszach i taratatkach,
 Ubranych w niedźwiedzie burki,
 Niektórzy w żelaznych siatkach,
 A ci w lisy, ci w marmurki,
 A ci przy szablach w jaszczurze
 A drudzy niosąc dwururki
 Pozaczepiane na sznurze,
 Jako hiszpańskie gitary:
 Cały mówię ten tłum szary
 Wiodąc jak stare żórawie,
 Pokazałem się w Mitawie
 Gdzie wtenczas Sass Karol, młody,
 Bez wojska i bez pieniędzy,
 Obleşony, prawie w nędzy,
 I bez chleba i bez wody —
 Bo pompy moskał poimał —
 W zamku się książęcym trzymał,
 Jako pszczoła w głębi ula:
 Mając na to rozkaz króla
 Aby dzierżał swoje księstwo. —
 Rozkaz! — patent na męczeństwo
 Bo Sejm zamiast posłać szyków,
 Posłał mu dwóch senatorów,
 Jakby rzecz: dwóch spowiedników,
 Dwóch nietoperzy, upiorów
 Dwie chorób, dwie dżum i krupów,
 Dwóch sejmowych kościotrupów
 Posłał mu Sejm. — Senatory
 Dziwny w potrzebie rynsztunek!
 Otóż ja mu na ratunek
 Przyszedłem i umysł chory
 Podarłem — jak brytan wierny;
 Choć go czasem i nie karmią,
 On przy domie jak odźwierny —
 Tak ja przed moskiewską armją,
 Poleciwszy duszę Bogu,

Położyłem się na progu
 Warcząc, bo mi tam Mospanie
 Brakło zębów na kąsanie.
 I tak my Polacy górą,
 Lub z moskalem oko w oko.
 Aż z carską inwestyturą
 Przyjechał Biren z Sybiru.
 Zda się że go więdźmy włoką
 Na tron, wśród wroniego skwiru,
 Kaci zbryzgały posoką,
 I pokazały z pod chmury
 W płachcie z moskiewskiej purpury
 Przemrożonego do kości.
 Jego oczy pełne złości
 I ognia, jak owe doły
 U bałwana ze śniegoły,
 Przestrachu na arendarzy:
 Co jak latarnie smętarzy,
 Przez wydrążone dwie jamy,
 Leją płomieniste błamy
 Światła — we mgle gorejące
 Jako smętarne miesiące. —
 Ten trup ciągle nam wybladły
 Groził — te oczy nas jadły —
 Bo nie ma straszniejszej rzeczy,
 O żydzie! nad wzrok człowieczy,
 Błyszczący w sińcach wygnania,
 Jako w oprawie ze stali:
 Wzrok, który chęć królowania
 Rubinem piekiel zapali —
 Otóż patrz na moje oczy:
 Takie są jak u Birena.
 Odmienionąć wprawdzie scena —
 Tu się rzecz o naród toczy,
 O poklask idzie gromadny,
 Nie zaś o tron samowładny:
 Ale mi to Bóg nadarzył,
 Że magnaterja ucieka;

A potrzeba znów człowieka
 Coby się na wszystko ważył,
 I los, który się wałęsa,
 Ówiekami przybił do siebie.
 Takim obaczą w potrzebie
 Kosakowskiego Klemensa.
 Bo choć ksiądz o Bogu gada,
 To w szablę wierzy gromada.
 Choć tu ksiądz o cudach gęda,
 Od szabli idzie komenda;
 Choć tu w żywot wieczny wierzą,
 Do mnie żywoty należą.
 Ja miasto mam w mojem łonie:
 Ja go ogrzewam — ja bronię,
 Ja na wroga wyprowadzę
 Nawet karczmy, nawet mury;
 A kiedy trzeba? do góry
 Jak wulkanem je wysadzę —
 Bez drżenia, bez drgnięcia powiek. —
 Teraz wiesz — com jest za człowiek;
 Więc — mój kochany Rabinie
 Oto na ten skrypt książęcy,
 Musisz mi dać sto tysięcy
 Dukatów, i milczeć głucho,
 Bo nawet trup twój zaginie,
 Jak namiot przed zawieruchą,
 Wichrem Jehowy zmieciony.

RABIN. przegłębując skrypt.

Nu panie — ja milijony
 Wydam zaraz na skrypt taki —
 Ja nie wiem dla kogo one,
 Ale będą zapłacone
 Tej nocy — mam dwa przetaki
 Złota — sługa niski pana! —

KOSAKOWSKI.

Żydzie! to skrypt na Sultana,
 Na nim ty nie będziesz tracił,
 Choć się jak cytryna wyciśniesz —

Lecz jeśli mi przed kim piśniesz
 Żeś mi taki skrypt zapłacił?
 Żydzie! — tak mi pomóż Boże!
 Nic cię z mych rąk nie wykupi.

RABIN.

A ja byłbym panie głupi
 Gdybym gadał, nim otworzę
 Kredyt u Wielkiego Turka.

KOSAKOWSKI.

Niechaj ani twoja córka,
 Ani franki u łózka.
 Ani pod głową poduszka
 Nie słyszą jednego słowa.

RABIN.

A czy żadna inna głowa
 O tem nie wie?

KOSAKOWSKI.

Żadna inna.

RABIN.

Nu! to moja będzie winna
 Albo pańska, jeśli o tem
 Kto na powietrzu zagada.

KOSAKOWSKI.

Zaraz mi przychodź ze złotem.

(Żyd wychodzi.)

Jaki mi na serce spada
 Kamień! — Cudzy pieniądź biorę:
 Skrypt na Potockich pisany.
 I w złocie kradzionem piórę
 Brudny honor mój karciany.
 Groszów publicznych grabieżą
 Przeszłe me oplacam długi.
 Zabiłbym, gdyby kto drugi —
 Lecz sam to nazwę — kradzieżą.

(Wchodzi RABIN z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.)

Kto to jest?

RABIN.

Nu — Rabin panie.

Z pieniędzami — nie miej strachu
 Chodźmy do stancji na dachu
 Liczyć — póki w skarbie stanie —
 (Wychodzą oba.)

(Wchodzi JUDYTA i JOZAFAT.)

JUDYTA.

Chłopaku, chrześcianinie,
 Zapal mi proszę latarnię,
 Chodź i za mną nieś tę skrzynię —
 W miasteczku ciemno i gwarnie.
 Weź szablę i pistolety,
 Weź i kij co psy odpędza.
 Pójdę do świętego księdza —

JOZAFAT.

Do księdza? (Na stronie.) Z tej się kobiety
 Zrobił szatan stu-języczny.

JUDYTA.

Zapal ten kaganiec śliczny,
 Te latarnię z pargaminu,
 Co jako księżyc z bursztynu
 Po ciemnych ulicach chodzi;
 Księżyc, który na srebrnicy
 Róże malowane rodzi,
 I rzuca po błotach ulicy,
 Gdzie ja żydówka przechodzę,
 Tęczę — za most mojej nodze;
 Kwiaty rzuca na kałuże,
 Abym stąpała na róże —

JOZAFAT.

Co ten zły duch przez nią plecie
 O papierowej łożówce!
 Co za język w tej żydówce! —

JUDYTA.

Nu — pudło trzymaj na grzbiecie.
 Nie gadaj nic, ale prowadź,
 A pomnij by fanał nie zgasnął.
 (Wychodzą.)

(Wchodzi KOSAKOWSKI i RABIN.)

KOSAKOWSKI.

Żydzie, ktoś tu drzwiami trzasnął?

Ktoś wyszedł —

RABIN.

Nu — złoto schować

A nie dbać czy tu kto chodzi

Niech się Pan Rotmistrz dobrodziej

Nie boi. — Niech Pan naczelny

Taki wojak wielki, dzielny,

Żydowi także zaufa.

KOSAKOWSKI.

Ćwiekami nabita kufa

Dla ciebie żydzie gotowa,

Dla twoich kości i grzbietu;

Jeśli ten dom nie dochowa

Tak jak mogiła sekretu.

Pamiętaj — źle z tobą będzie

Mój krwawy Diogenesie,

Jeśli kto słowo wyniesie

Za dom. — A gdzie twoja córka?

RABIN.

Nie wiem? może jedwab przędzie,

Może z jedwabnego sznurka

Zwleka perły kałakuckie —

Dziewczyna ma serce ludzkie —

Może gotuje balsamy,

Szarpie strzępi dla szpitali;

Albo się w modlitwie pali

I płacze jak Rachel u Ramy.

KOSAKOWSKI.

Zawołaj mi ją —

RABIN.

A po co?

KOSAKOWSKI.

Bo ona wyszła za bramy.

RABIN.

Nu — ona nie chodzi nocą.

KOSAKOWSKI.

Łziesz żydzie. — Oto ci powiem,
 Że kiedyś ty liczył złoto,
 To ja na uliczne błoto
 Spojrzałem, w ciemne czeluście;
 I gdzieś pod księżycą nowiem
 Postać, cała w białej chuście,
 Jak słup w bieliznę ubrany,
 Mgłą owinięta pochmurną:
 Za księżycem z porcelany,
 Za powietrzną jakąś urną
 Złotą, świecącą do koła
 Jak lilija, co kielichem
 Złotym oświeca anioła:
 Postać taka, do kościoła
 Szła i spotkała się z mnichem.
 Ten mnich to ksiądz karmelita,
 A ta postać — to Judyta.

RABIN.

Panie mój — to być nie może.
 Judyt! — Nie ma jej w komorze! —
 Nu, prawda że poszła. — Judyta! —
 Nu, ja nie wiem jasny Panie
 Gdzie moja córka ukryta?
 Pójdę na poszukiwanie.

(Wchodzi JOZAFAT z latarnią.)

A gdzie ty bywał mój sługo?

JOZAFAT.

Pannę rabinównę wodził.

RABIN.

A gdzie z twoją panną chodził?

JOZAFAT.

O tem rozpowiadać długo.
 Gdybyś mi był na Wielkanoc
 Dał na kolendę złotówkę,
 Powiedziałbym, gdzie żydówkę
 Odprowadziłem dziś na noc.

RABIN.

Jozafat! ja cię odpędzę!

JOZAFAT.

Czytujesz w talmudu księdze,
A nie wiesz gdzie córka chodzi?

KOSAKOWSKI otwierając drzwi do szynkarni.

Hej! Albeńska moja młodzi,
Proszę tu do mnie z szynkarni.

(Wchodzi BOJWIŁ i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych, w czapkach
przeszytych drutami.)

Panowie, kto wami dówodzi?

BOJWIŁ.

Ty, jak zawsze, djabeł Klemens,
Infernem nec Deum temens;
Na róg przysięgliśmy sarni
I na buty Radziwiłła

KOSAKOWSKI.

Otóż wybieram Bojwiłła. —
Namiestnikiem go stanowią! —
Jeżeli się tylko dowie,
Że mię na koniu widziano
Z tą srebrną szablą nad głową,
I w rękę z tą chustą rumianą!
Niech mi da rycerskie słowo,
Zgiąwszy przed Bogiem kolano,
Że mój karaban zaprzęże,
Mój trzos weźmie i manatki
I wyjedzie na rogatki,
Nie dbając na warty księżę —
A choćby sto gromów trzasło
I świat drżał, niech nie uważa,
A na takie moje hasło
Powiesi tu Arendarza —

(Do Rabina.)

Dobry jesteś i uczynny
Więc niechaj ci twarz nie bladnie;
Bo jeżeli ty niewinny,
To ci włos z głowy nie spadnie.

(Do Litwinów.)

Wziąć go i strzedz. — Niech za bramy
 Nie wychodzi. — Gdy ujrzycie
 Mój znak, to go powiesicie. —
 Przysięgacie?

LITWINI.
 Przysięgamy!

A K T II.

(Plac w Barze ubrany jak na zielone świętki : w brzozy, klony i jarzębiny. —
 Wchodzi KSIĄDZ MAREK, JUDYTA i STAROŚCIC Z BARKU.)

KSIĄDZ MAREK, do Judyty.

Wracaj Izraelitanko
 I bądź o ducha spokojną:
 Nie długo będziesz wygnanką.
 Na to się toczy ta wojna,
 Na to ja moją siwiznę
 Ofiarowałem — kość złożę,
 Aby silne duchy Boże
 Miały na ziemi ojczyznę
 I sztandar sercom zatknięty.
 Więc manele, diamenty,
 Któreś ty Bogu złożyła,
 Przyjmę. — A ty duchom miła,
 Już miłości nauczona,
 Chociaż przez krwawe ramiona
 Chrystusa i Boskiej Matki
 Jeszcze nie obcięta z cierni,
 Ale jako polne kwiatki
 W słońca jasnego farbierni,
 Umalowane sownic
 W Izraelowej purpurze,
 W polskich bławatków błękicie;

Jeszcze nie biała lilija
 A już pachnąca jak róże;
 Strzeż serca co się rozwija
 I leż wiszących nad rzęsą:
 Bo mówię ci, przyjdą burze
 I duchem twoim zatrzęsą:
 Z drogi cię może zawrócą,
 I trupem pod nogi mi rzuca —
 Jak garstką przeklętych kości.
 Idź córko — i trwaj w miłości.

(Błogo sławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.)

STAROŚCIC.

Panie! Klemens Kosakowski
 Po całym cię mieście szuka.

KSIĄDZ MAREK.

Nad tym człowiekiem gniew Boski.

STAROŚCIC.

Księżu, lecz to śmiała sztuka!
 Głowa zła, lecz serce złote.

KSIĄDZ MAREK.

Otóż obaczysz jak zgniotę
 Tę głowę, tę czaszkę całą,
 Aby serce ocalało.

STAROŚCIC.

Jak to?

KSIĄDZ MAREK.

Z miasta go wygonię.

STAROŚCIC.

Lecz on ku miastu obronie
 Potrzebny — wódz tego steku —

KSIĄDZ MAREK, przerywając.

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

STAROŚCIC.

On ma partyzantów wielu —

KSIĄDZ MAREK.

Posłuchaj mię przyjacielu.
 Zaprawdę że ludziom łatwo
 Mówić grzeczności wzajemne;

Rozrzucić słowa przyjemne,
 Obchodzić się z ludźmi jak z dziatwą,
 Przynęconą na łakocie:
 Albo dawać cięgi mocne,
 Jak palmy przed-wielkanocne,
 Umoczone całe w złocie,
 Owite kwiatki złotemi —
 Tak, że wchodzą do kościołów,
 Jakby z krainy aniołów
 Inne drzewa, nie z tej ziemi — —
 To też zwyczaj u nas żyje
 Że wierzbą z kwietnej niedzieli
 Bijesz własnych przyjacieli,
 Mówiąc że wierzba je bije,
 A tyś nie winien że boli.
 Raz w rok żart jest pozwolony,
 Uświęcone kłamstwa tony
 Aby się duch tej swawoli
 Dorwawszy, znalazł spoczynek
 I z pod niańki się wyłamał,
 Objadł się cukru, rodzynek
 A potem — rok cały nie kłamał
 I z prawdą już nie swawolił.
 Więc jeżeli w prawdę wierzysz,
 A Bóg ci miecza pozwolił —
 Bić kazał — a nie uderzysz,
 Choćby serce własne krając,
 Ale uderzysz, igrając
 Jak arlekin, nie jak człowiek;
 Jeżeli prawdy piorunem
 Nie spalisz grzesznika powiek:
 Nie jesteś wtedy piastunem
 Boskiej powagi i chwały.

STAROŚCIC

Słuchałbym ciebie dzień cały,
 Ojczy Marku — —

KSIĄDZ MAREK.
 Przed wieczorem

Z harmat będę miał słuchaczy!
 Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
 Wiodąc nawet tłum żebraczy,
 Pójdę na wroga.

STAROŚCIC.

Dziś panie?

KSIĄDZ MAREK.

Dzisiaj, w dzień zielonych świątek,

STAROŚCIC.

A tu w mieście kto zostanie.

KSIĄDZ MAREK.

Ot, ta gromada dzieciątek
 Która się na piasku bawi,
 Młynki na kałużach stawia,
 I cieszy się że drzewiny
 Ścięte, na ulicach więdną.
 Polsko! nie jesteś oszczędną!
 Te klony, te jarzębiny,
 Te brzozy — las cały młody
 Przyniosłaś sobie do miasta;
 Prawdziwie jak ta niewiasta,
 Między Judzkiemi narody
 Sławna — że flaszeczkę całą
 Bardzo drogich aromatów
 Wylała na Zbawcę światów —
 O której rzekł: że mu ciało
 Uprzedziła na pogrzeb pomazać.
 I któżby jej śmiał zakazać
 Tej rozrzutności — niewieście,
 Która Zbawcy śmierć przeczuła,
 I cały słoik zepsuła,
 I rozłukłszy alabastry,
 Rozlała po całym mieście
 Woń tego balsamowania? —
 Więc i dla naszej hałustry
 Ostatniego pomazania
 W tych drzewach pachną oleje! — }
 I zaprawdę! — Nasze dzieje

Gdy nas srogi los połamie,
 Pachnąć będą w tym balsamie
 Długo w umarłej krainie,
 Szczególnie małej dziecinie,
 Co się budzi i obaczy
 Las cały z kalin, czerwienią
 Stojący przed domu sienią!
 Gdy jej dziadek wytłómaczy
 I pod cieniem tych drzew powie,
 Że tak czynili ojcowie,
 Którzy już dawno są w grobie —
 To dziecko poczuje w sobie,
 Przejęte smutkiem i strachem,
 Patrząc w smętne oczy dziada:
 Że i tym nawet zapachem
 Ojczyzna do niego gada —

(Błogosławiąc plac.)

· Czy słyszysz jak ten las śpiewa,
 Listeczków tracąc ostatki?
 Błogosławione wy drzewa!
 Błogosławione wy dziatki,
 Rosnące przy kraju męczeństwie!

STAROŚCIC.

Panie — dzwonią na nieszpory.

KSIĄDZ MAREK.

Idę — a po nabożeństwie
 Choć starości krok nie spory,
 Wycieczkę pańską prowadzę.
 Bo mam na to rozkaz Boży
 I taką nad ludem władzę —
 Że Kosakowski mi złoży
 Komendę — i stąd wyleci
 Jak czarny szatan nieczysty.
 Co mi anioł promienisty
 Roskazał, abym z tych dzieci,
 Które ma, nie stracił żadnego.

(Wychodzi.)

STAROŚCIC.

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
 Ostrzedz, że burza go czeka.
 Szkoda byłoby człowieka!
 I strach — ach strach, gdyby zorzę
 I to słońce, już czerwone,
 Na morderstwo zapatrzone,
 Zachodziło po niesporze —
 Gdyby smętna twarz księżycy
 Ujrzała pod cerkwi ścianą
 Szarą szlachtę, porąbaną
 Za księdza i za szlachcica.
 Gdyby znów nocne pojawiaj,
 Ten Chrystus strasznej błądoci
 Z dziurami na wylot w kości,
 Ubiczowany i krwawy,
 Jak kometa, co z podróży
 Powraca, pokazał miecze
 We krwi, co z grobów się kurzy
 I po mogilniku ciecze —
 I odleciał z temi mgłami,
 Zostawiwszy nas trupami —

GŁOS ZA SCENĄ.

Aj! wej!

STAROŚCIC.

Krzyków pełno w mieście.
 Słyszę wrzask — szlochanie niewieście.

(Wchodzi JUDYTA z nożem w rękę, za nią KOSAKOWSKI i BOJWIŁ.)

JUDYTA, do Kosakowskiego.

Nu! ja cię nożem przebiję,
 Ja nie twoja nierządnicą —

(Do Starościca.)

Panie! od tego szlachcica
 Ratuj! skoczył mi na szyję
 Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,
 Wyskoczył do mnie w alkierzu.
 Patrz! on cały w prochu, w pierzu,

Z oczyma zapalonemi
Jak Edmoit —

KOSAKOWSKI.
Milcz szatanko!

JUDYTA.

Patrzaj ty na mnie człowieku!
Jestem Izraelitanką!
Mój Bóg nie wisiał na ędzie,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał ną wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze —
I rozbłyskał się na całe niebiosa!
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni,
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzysz — to się góry pokłonią!
A jak błysnie — to ślepotą na ludy!
A jak zagrzmi — to się groby odsłonią,
A jak ścichnie — świat się cały odmieni,
A skrzę rzuci — to świat będzie z płomieni,
I w słoneczne się ognie rozstrzaśnie.
A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie — świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie!
I któż jesteś ty? gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty chrześcianinie?
Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczynie,
Jak ten drugi co w Jerozolimie,
Choć poselstwa do Judy nie mając,
Zaćmił księżyc i słońce, konając.
Któż ty jesteś? Nu — że chodzisz cieniem
Jak duch jaki za owczym gdzieś runem?
I dotykasz się piersi — piorunem?

I z rąk chwytasz za szyję — płomieniem? —
 Nu — ty zginiesz jak duch w błyskawicy!
 Przy lampie co stoi przy łożu.
 Leż twój krwawy — w żydowskiej miednicy,
 Twoi słudzy obaczają, przy nożu,
 I przelękną się łożka i ciała —
 Nu! ja sama gdy to rzekła, zadrżała —
 A ty dnie drżysz? któż ty jesteś człowieku?

KOSAKOWSKI.

Na twe czoło wykąpane
 W ptasim gołębiczy mleku!
 Na twoje usta różane,
 Których łuk napięty drży!
 Na ten szprejtuch, który skrzy
 Niby złoty jaki kruż,
 W środku pełen białych róż!
 Na twe oczy, z których bije
 Razem żar i noc, i dzień!
 Na twoją łabędzią szyję,
 I na ten błękitny cień
 Twoich rzesów, który spada
 Aż na rubin twoich lic!
 Na tę głowę, gdzie gromada
 I brylantów i rubinów
 Pali się jak tysiąc świec —
 Lub nad głową Cherubinów
 Z różnych gwiazd uwity kłęb!
 Na każdy z perełek zęb,
 Co jak skrzydełko gołębie,
 Bieląc czepca aksamity,
 Spuszcza się na skroń błękity!
 Na każdą perłę, w tym zębie,
 Co jakoby grochy duże
 Zwinęły się w srebrną różę
 I twoją głowę oblały!
 Na ten, mówię, skarbiec cały
 I klejnotów i piękności!

I na królestwo miłości
Przysięgam —

JUDYTA.

Co? —

KOSAKOWSKI, urągając.

Miłość wieczną.

Bojwile — pod straż bezpieczną
Wziąść mi tę synogardlicę.
(Bojwił chwytą Judytę i unosi ją do karczmy.)

STAROŚCIC, do Kosakowskiego.

Puść Waćpan tę żydówicę —

KOSAKOWSKI.

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

SZAROŚCIC.

Zgoda —

(Dobycją szabli i biję się. Starościc pada.)

Dostałem śmiertelnie —

KOSAKOWSKI.

Sam się przebiłeś tą bronią.

STAROŚCIC.

Rana pali mię piekielnie —

Księdza!

KOSAKOWSKI.

Trzymaj za brodę

Duszę, aby nie uciekła —

A ja ci księdza przywiodę —

(Ochodzi.)

STAROŚCIC.

W tej krwi co ze mnie wyciekła
Więdnie moja blada skroń —
Jezu! Jezu! ty mię brón
Przed skonaniem od rozpaczy!
Cóż tam będzie, gdy zobaczy
Matka moja starościna,
Że na marach niosą syna
Przez posępne z lip aleje,
A z mar syna krew się leje,
A służący trupa kryją:

Cóż tam będzie! gdy zawyją
 Moje psy u moich bram?
 Gdy mój stary dziadek sam
 Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
 Oczy wlepi w moje oczy
 I na nogach się zatoczy,
 I na ciało się powali,
 I na piersiach mi zarzeczy!
 Jezu! Jezu!

(Wchodzi KOSAKOWSKI wiodąc KSIĘDZA MARKA w ubiorze mszalnym z monstrancją; w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów ze sztandarami.)

KSIĄDZ MAREK.

Kto tu krzyczy,

Kto tu z jękiem woła Pana?

STAROŚCIC.

Moje serce — moja rana
 Boleśnie usta otwiera,
 Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

KSIĄDZ MAREK.

Kto ufa, ten nie umiera.

STAROŚCIC.

Mówisz — o wiecznym — żywocie!

(Zamyka oczy i kona.)

KSIĄDZ MAREK.

Zaprawdę, kto nie doczeka
 Na jasny męczeństwa wieniec,
 A krew rzuca jak szalenciec,
 Pod miecz drugiego człowieka,
 I drogie utracą ciało,
 Gdyby tej krwi biednej tak mało
 Tutaj na obronę Bożą:
 Wart że go w trumnie położyć
 Ludzie, przy bladym świeczniku:
 Zapomną o nim na ziemi
 Jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
 Niewartym nawet powszedniej
 Modlitwy — jednego krzyża,
 Niewartym nawet łyzy jednej! —

Lecz Chrystus co się przybliża
 Do twych ust pełnych rozpaczny
 Które go wołały z jękiem:
 Człeku, niechaj ci przebaczy.
 I niech twój grobowiec młody
 Ukraińskie kwiatów wdziękiem
 Okwitnie. — — O Boże! Boże!
 Jakie to matkom zawody!
 Jakie dla ich serca noże!
 Jakie za miłość wypłaty,
 Takie wczesne dziełek straty!
 Takie śmierci, z marnych sprzeczek
 Wynikłe, zgony gwałtowne,
 A zaś równie nieodzowne,
 Jak tamte co są dla Boga.
 O! jak te garstki kosteczek,
 Które śmierć odnosi sroga,
 Drogie im w dzieciństwie były!
 Ile mleka, łez wypłył!
 Ile za niemi pacierzy
 Pobiegło w złote niebios!

(Zamyka mu oczy.)

Umarł — — Trup przed wami leży,
 Młodzieniec złotego włosa —
 Wczoraj jeszcze kwiat młodzieży!
 Oto zszedł ze świata tego
 Syn Jaśnie Oświeconego,
 Dziedzic Barku i Ladawy,
 Na wejściu w zwiąski książęce. —
 Weźcie ten piersionek krwawy
 I oddajcie go panience.
 I nad trupem co tu leży,
 Zaśpiewajcie Anioł Pański.

(Pokazuje na Kosakowskiego.)

A to służalec szatański
 Człowiek mordu i grabieży,
 Gwałtownik i pijanica!
 Pusty jak djabła kaplica,

Krzykun jak wojna kokosza,
 Złodziej publicznego grosza,
 Obdzierca domów, kapituł
 Chodząca jakaś szkarada:
 Do którego nie przypada
 Żaden dawny polski tytuł.
 Starosta? — Lecz on na głowie
 Nie ma zasług, ani lat!
 Podskarbi? — Sam niechaj powie
 Niechaj publicznie obwieści
 Ile grosza wczoraj skradł;
 Cześnik? — ale on bez cześci!
 Miecznik? — ale on jest kat!
 Nawet nie człowiek! bo oto
 Leży jego jeden brat,
 Z którego krew szczerozłotą
 Tak czystą, młodą, rumianą,
 Ojczyźnie ofiarowaną,
 Ten człowiek wytoczył z serca.
 Więc nie człowiek, lecz — morderca
 Stoi pod nami i zgrzyta.
 Otóż mówię w imię Boże,
 Że odtąd jako banita.
 Pójdzie na świata bezdroże,
 Jako szatanowie czarni,
 Pędząc gdzieś pod błyskawice,
 Do mglistej w deszczu latarni,
 Przez krwią zbryzgane ulice,
 Śród zgiełku i tarabanów;
 Z odwagą w sercu umarłą,
 Bez sądu, położyć gardło. —
 Proszę więc Wielmożnych Panów,
 Abyście go od tej chwili,
 Jako zdrajcę opuścili,
 Jako moskala się wyrzekli,
 Jako od choroby uciekli!
 Zamknęli się jak nad ściętym,
 Jak dla węża łoż nie mieli,

Jak o zmarłym zapomnieli;
 A myśląc jak o wyklętym,
 Żegnali się i truchleli. —
 A ty, na twój koń czerwony
 Siadaj — bo drżysz jak niewiasta.
 A jeśli dla swej obrony
 Nie masz wyrzec nic? — Precz z miasta!

SZLACHTA, wyprowadzając, Kosakowskiego.

Oczy jego obłąkane
 Milczy i z ust toczy pianę.

KSIĄDZ MAREK.

Posadzić go na rumaka,
 Dajcie w rękę szablę gołą,
 I połóżcie ją na czoło,
 Jak miesiąca w półpromieniach.
 Śniła mi się postać taka
 W przenajświętszych objawieniach:
 Żem ją duchem Bożym cisnął,
 I gnał w ciemność krzyża znakiem,
 A za nim i za rumakiem
 Cztery razy piorun błysnął.
 Królowo Świętych! Proroków!
 Najświętsza Panno Mario!
 Każ, niech mi pioruny biją,
 Proszę o salwę obłoków
 I grzmoty: Salve Regina!

SZLACHTA.

Niebo się łyskać zaczyna,
 Koń rycerza na kiel bierze.

KSIĄDZ MAREK.

Gwałty, morderstwa, grabieże —
 Precz z Polski!

SZLACHTA.

Grzmot już tu bije. —

KSIĄDZ MAREK.

Wszemu duchowi co żyje,
 I tym którzy przyjdą nowi,
 Czyści, stać przy Bożem prawie,

Tym kielichem błogosławie.

(Błogosławi chmury śród ognistych trzaskawic.)

Chwała Ojcu i Synowi

I Duchowi Świętemu chwała!

SZLACHTA.

Niebo, od piorunów pęka,

Z wałów biją wszystkie działa.

Kto żyw niech przed Bogiem kłęka!

Pan zwycięża! Rody giną!

KSIĄDZ MAREK, śród najmocniejszych piorunów.

Gloria in exelsis Domino!

SZLACHTA, na klęczkach.

Pioruny trzęsą biegunem!

Panie! proch z nas i ofiara,

Lituj się naszego jęku!

KSIĄDZ MARNK.

Wstańcie! teraz wasza wiara

Zapalona jest piorunem,

A ja ten piorun mam w ręku.

(Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.)

SZLACHTA.

Idźmy, prowadzi na wały —

Dzień to zwycięstwa i chwały!

Dalej z działkiem za rajtarją!

CECHOWY.

Najprzód sztandar z Panną Marją

Naszą świętą z Począjowa —

Słyszycie? to Suworowa

Baterja gra, smętnym basem.

Kantycze naszej do wiersza.

Odezwała się najpierwsza

Pod Hawryczowieckim lasem —

GŁOS Z ZA SCENY.

Cud, cud!

CECHOWY.

Co tam!

GŁOS Z ZA SCENY,

Jedna ruska

Baterja z ziemi porwana.
 A na płomieniach Wulkana
 Zjawienie! — I wał konnicy,
 Której koń we krwi się pluska,
 W samo morze błyskawicy
 Jak wał żelazny się wali —

CECHOWY.

Wszelki duch Chrystusa chwali!
 Bez harmat my, bez oręża;
 Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

„(Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu.)

(Scena oświetlona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg słychać głosy dalekiej walki, KOSAKOWSKI wlatuje waląc się z konia — z drugiej strony z za karczmy wychodzi BOJWIŁ.)

KOSAKOWSKI.

Zwierzgnął mię rumak przelekle,
 Popręgi u siodła pękły —
 Wyleciałem stąd jak śpiąc,
 Obelżony, duchem złaman.
 Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
 Każę ćwiczyć po ulicach,
 Będzie bity tak jak Aman.

BOJWIŁ.

Ktoś tutaj przy błyskawicach
 W ognistej ulewy skrach,
 Stoi, jak upiorny strach.
 Co to jest? to rotmistrz nasz?

KOSAKOWSKI.

Obelgami złał mi skronie,
 Piorunami dał mi w twarz.
 Przed nim siedział duch mój w łonie,
 Jako robak w trupie siedzi:
 Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
 W który kula uderzyła,
 A twarz jako słońce była,
 A w źrenicach mocy sto.
 Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

(Stuka do karczmy.)

BOJWIŁ.

W tej karczmie nie ma nikogo,
Tylko żydowska dziewczyna
A na belce trup Rabina.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz!

BOJWIŁ.

Jakąś trwogą
Wskroś przyjęty, nie śmiem Panie.
Trup ci przed oczyma stanie —
Trup Rabina się pokaże.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz! ja ci każę!
Niech widokiem tym ohydzę
Moje oczy —

BOJWIŁ.

W oczach ćmi się
Od błyskawic — drzwi nie widzę.

KOSAKOWSKI.

Oczy moje jasne, rysie,
W oczy tego żyda wszczepię;
Na błądźciach je osłepię
I na strachu zahartuję.
Tysiąc trupów mi się snuje
Przed oczyma — widma same!
I ja widmo — — Otwórz bramę!
Choćby ją sam szatan kuł
I przed piekłem ją postawił,
Szablą ją rozetnę w pół.

(Bije w drzwi szablą — i brama się odmyka, w środku rozpierzchnięta —
w bramie pokazuje się JUDYTA w worku szarym ubrana, z bosemi nogami.)

Jakiż mi się szatan zjawił?

JUDYTA.

Nu! — Czemu bramę rozbito,
Gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

KOSAKOWSKI.

To ja Judyto.

JUDYTA,

Ach — czemu ty taki siny,
Jak zabójca? oczy w ślup?

KOSAKOWSKI.

Daj wody, pragnę jak pies.

JUDYTA.

Nu — ja ci dam moich łez.
Nie chodź tu, bo w karczmie trup.
A ja sama siedzę boso
Na popiele w szarym worze.
Póki trupa nie wyniosą
Żaden goim wejść nie może,
Gdzie żydówka na bosinach,
A przed nią trup na drabinach
W śmiertelnej leży koszuli.

KOSAKOWSKI.

Judyto! —

JUDYTA.

Nu — co?

KOSAKOWSKI.

Chcę wody.

JUDYTA.

Nu — czy ty żebrak na kuli?
Ty możesz robić — ty młody;
Młode jeszcze twoje lata,
Możesz być hyclem u kata.

KOSAKOWSKI, dobywając szabli.

Jezu!

JUDYTA.

Ha — ty przy orężu?

KOSAKOWSKI.

Kobieto! szatański wężu!
Co świszczesz urągowskiem,
A nie drżysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i blada jak kreda,
Wiedz, że z mojego rozkazu
Powieszono tego żyda
Bo mię zdradził —

JUDYTA (przez ciąg jej mowy słychać ciągle odgłos dalekiej walki.)

— — Na — od razu

Ja to zgadła i wiedziała,
 Że się to przed Bogiem wyda.
 Ty okradł zabił żyda,
 I z jego martwego ciała
 Zostawił posąg żydówce;
 A sam poprowadził hufce
 Jak wiatr, co się w polu miota,
 Jako Polak patriota,
 Jako rycerz krwią czerwony,
 Jak Pan wielki, oświecony,
 Jak twej ojczyzny dobrodziej! —
 Choć ty zabójca i złodziej,
 Brzęczysz od mojego złota;
 A ja, przez ciebie sierota,
 Przy okradzionym kantorku
 Siedzę, w popiele, na worku.
 Przedemną z trupem drabina —
 Nu — czy ty wierzysz? jak Rabina
 Trup po śmierci straszny, srogi?
 Jak do wschodu leży głowa?
 A z drabiny sterczą nogi?
 Czy ty wiesz co się nazywa
 U chłopów noc rabinowa?
 Co dęby w puszczech porywa;
 Domy znosi jak namioty,
 I całą noc sypie grzmoty,
 Głośnie jak Jehowy słowa:
 A dla czego Rabinowa?
 Nu? — a czemu piorun głuchy
 Taki jasny? a świat drżący? —
 Bo to są rabinów duchy.
 Nu — i trup się ten modlący,
 Co siedzi wtenczas w bożnicach,
 Przy wicherze i błyskawicach,
 Pod czarnym kahałów dachem,
 I z pacierzem i z rejewachem,

I z płaczem aż do niebiosów,
 I z jękiem i rwaniem włosów,
 I z żałobliwemi słowy,
 Modlący się do Jehowy,
 Aby zdjął już z Izraela
 Przekleństwo. — A gdy Jehowa
 Piorunami wtenczas strzela
 I sprawuje taki zamęt,
 To widać że płacz i lament
 Panu Bogu się podoba;
 Że biednych żydków żałoba
 Pioruny jego zapala.

(Słucha grzmotu dział.)

Nu — tam teraz u Moskala
 Wielki strach Chrystusa Pana.
 Ksiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
 Duchem rozrywa harmaty;
 I w białym świeci habicie,
 I krwi ma aż po kolana.
 A ja tu, żydowskie dziecię,
 Sierota w waszej krainie,
 Siedzę przy trupiej drabinie,
 Przy wietrze, co wieje od trupa:
 A podemną popiołów kupa,
 A na mnie wór podły szary!
 A ja podobna do mary
 Z twarzą bielszą od miesiąca,
 Z zabójcą rozmawiająca.
 Z szczęścia jak kwiat oberwana,
 W żalości jak obłąkana,
 O zabójstwie jakby śniąca —
 A we śnie łzami zalana,
 A w strachu — jak wiedźma blada,
 A zemstą — w niebo porwana,
 A w przekleństwach jak piorun co spada!
 (W najwyższej egzaltacji przy odgłosie dział.)
 Nu — więc teraz ja się zrywam
 I o ściany tłukę głową!

Ja przekleństwem się nazywam:
 I nazywam się zagubą,
 Krwią i burzą rabinową,
 Wichrem, deszczem, nocą grubą,
 Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą —
 Bo w tem sercu są wichrzyce,
 Co was i rozerwać mogą!
 Nu! — bo w duchu błyskawice,
 Co świat cały mogą spalić!
 Bo oto ja tchnęła na pole
 I chorągwie zaczęły się walić —
 I wasz duch leży na dole,
 Podobny wężowej chmurze;
 A ja tu stoję na górze
 I podnoszę zemsty ramię!
 I nogami go deptę i łamię!
 I odpędzam precz z pola do miasta!

(Strzały harmatnie ustają nagle)

Abyś widział że Judzka niewiasta,
 Będąc w usprawiedliwieniu
 Przed Bogiem swego zakonu,
 Zemstą ojcowskiego zgonu:
 Jest jak noc cała w płomieniu,
 Jest jak burza, cała w mocy,
 Jest jak siła, cała w ciszy,
 Jest jak głaz w Dawida procy;
 Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
 Jest jak grad, co bije w twarze —
 I jak strach, co serca napełnia,
 Jest jak miecz, którym Bóg karze,
 Jest jak sąd, który Bóg spełnia. —
 Ten sąd macie Chryściany,
 Ja go na was trzęsę z rąk! —

(W najwyższej furji trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami przekleństwa na pole.)

KOSAKOWSKI.

Żydówko! ja twoich mąk
 Nie winien — bo obłąkany,

W zupełnej nieprzytomności
 Dałem znak chustą czerwoną;
 I mój rozkaz wypełniono,
 Wypełniono bez litości. —
 A jam tu powracał po to
 By żydowi oddać złoto,
 A porwać córkę żydowską.

JUDYTA.

Kogo powiadasz, goimie?

KOSAKOWSKI.

Przysięgam na Matkę Boską,
 Ciebie samą —

JUDYTA.

Powiedz imię?

KOSAKOWSKI.

Judytę.

JUDYTA.

O, wielki Boże!

Kiedy wczora ja w komorze
 Całowała twoje nogi,
 A ty jak pan wielki szumiał:
 Ty ust moich nie zrozumiał?
 Ty mię nogą pchał z podłogi
 Jak człek co gałganem miota!
 A dziś, czy ja tobie droższa
 Przez to, że dziś ja sierota?
 I od żydów najuboższa,
 I od kobiet niegodziwsza,
 I od wszystkich węży mściwsza,
 Śmiertelniejsza od żelaza!
 Że ja? — Nu ja — jak zaraza
 Dmuchięła i wiatr popsula!
 Nu — ja, prawda co mówicie,
 Igielkami dzieci kłuła
 I wieszala na suficie —
 I robiła ze krwią ciasto.
 Nu, a teraz wasze miasto,
 Chociaż wiem że sama zgine,

Tak zakłułam jak dziecinę,
 Aż krwią skapie, purpurowe.
 Jeśli ty kat — to nie czekaj,
 Lecz mi szablą zetnij głowę,
 Rzuć za siebie i uciekaj,
 Pełny trwogi i popłochu:
 Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu —
 Widma co zagaszą słońce!

KOSAKOWSKI.

Wielki Boże! w karczmie Dońce!
 I piechoty bagnet świta!
 Ty zdrajczyni!

JUDYTA.

Ja Judyta!

(Wchodzi do karczmy.)

KOSAKOWSKI.

Bojwile — miasteczko wzięte!
 Czynmy to co jeszcze można.
 A ty coś wydała święte
 Kościoły, furjo bezbożna!
 Przysięgam ci, że powrócę,
 Za włosy ciebie pochwycę,
 I w żar płomienisty rzucę,
 I spalę jak czarownicę —
 I strzaskasz się jak suchy pień.
 Gdzie mój koń? — To sądny dzień!

(Bojwił i Kosakowski wychodzą.)

(Z karczmy wychodzi KRECZETNIKÓW Jenerał moskiewski, SUWAROW
 oficer. ADJUTANT i moskiewskie wojsko.)

KRECZETNIKÓW.

Tak się przez żydów każde miasto bierze.
 Suwarów! weźmij z sobą sotkę ludzi,
 I od klasztoru postaw tak żołnierze,
 Aby schwytali księdza cudotwórcę.
 Ten mózg co twoje dziś rękawy brudzi,
 Krew, koralowej podobna paciorce,
 Którać na czole błyszczy — bestjo dzika!
 Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

SUWARÓW.

Sława Rossjanom!

(Ochodzi.)

KREZETNIKÓW.

Gdzie jest pan Branecki?

ADJUTANT.

Gada z karczmarką.

(Wychodzi.)

(Wehodzi BRANECKI prowadząc za rękę JUDYTĘ, już ubraną jak uprzednio, w pięknym żydowicy stroju.)

BRANECKI.

Na honor szlachecki!

Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.

Dałem jej kieszę pieniędzy;

Rzuciła na ziemię złoto,

Zdjęła worek, z bladej twarzy

Obtarła z popiołów błoto,

I stoi, cała w klejnotach

Jak paw, kiedy rozwachlarzy

Ogony —

JUDYTA.

Nu — wy w namiotach

Mieli od mojego sługi

Pokazany ten loch długi,

Idący tu do piwnicy —

Teraz wy jak na gościnie

U rabina żydowicy.

Szanujcie ludzkie żywoty,

Niech tu żadna krew nie płynie,

Niech tu nie grzmią żadne grzmoty

Bo —

BRANECKI.

Bo i cóż?

JUDYTA.

Bo ja proszę —

BRANECKI.

Na twoją instancję wnoszę

Tę prośbę do generała,

Aby wiatrem nabił działa
 I kul nie dawał harmatom:
 A manifestami z lawet
 Walił w tył konfederatom,
 Oddawszy im to wet za wet,
 Co nam nosła ich wymowa,
 Za wiatr, wiatr; za słowa, słowa.

JUDYTA.

Nu, kto ty, co im urągasz?
 Czy ty pies, że ludzkie kości
 Na polu zębami ciągasz?
 I nad trupem jesteś w złości?

BRANECKI.

Co? najpiękniejsza z karczmarek?
 Wziąć ją, ręce związać sznurem.
 Niech czeka —

(Moskale wiąże w tył powrozami Judyty ręce. ADJUTANT wchodzi, prowadząc KSIĘDZA MARKA pod strażą.)

ADJUTANT.

Oto ksiądz Marek

Pod samym klasztorным murem,
 Z szablą w ręku, wzięty w plen.

BRANECKI.

Co? ksiądz Marek? oszust ten?
 Czy to ty jesteś mój klecho?

KSIĄDZ MAREK.

Ja sam.

BRANECKI.

Bądźże nam pociechą
 I grzesznych orędownikiem.
 Księżu, tęgim jesteś ćwikiem!
 Oszukiwałeś rok cały
 Wszystkich nabożnych i głupich;
 Biłeś się jak jenerały
 I chciałeś sobie z głów trupich
 Wybudować kazalnicę,
 Skądbyś mógł do króla gadać. —
 Czas ci na osiołka siadać,

Przejechać się przez stolicę;
 Gdzie już nie Podolskie mózgi.
 I szlachecka cię głupota
 Przymają, ale kat i różgi.
 Bo ta twoja tu robota,
 Te bunty i te powstania,
 Warte tylko wymagania.

KSIĄDZ MAREK.

Czegokolwiek one warte,
 Pokornie proszę Waćpana,
 Abyś me piersi rozdarte
 Lekarzom opatrzeć kazał.

BRANECKI.

A gdzież ty tak habit zmazał?
 A gdzież wzięta ona rana?

KSIĄDZ MAREK.

Na polu z ręki Moskala.

BRANECKI.

Jak to? więc Pan Bóg pozwala
 Że i święci noszą blizny?

KSIĄDZ MAREK.

Tak Mospanie! dla Ojczyzny
 Pozwala Pan Bóg i świętym —

BRANECKI.

A różgami być ociętym?}

KSIĄDZ MAREK.

I to zniosę.

BRANECKI.

Kreczetników!

Daj mi proszę dwóch burlaków
 Z sekty twoich biczowników,
 Bo w całym hufie Polaków
 Nie ma ludzi — czy ten klecha
 Zna się na bicia dobroci.
 Patrz, jak się na to uśmiecha
 Że moskal mu kosć wymłóci —
 Hej — bić go tak, aż krwią się spluszcze! —

(Stają żołnierze przy księdzu.)

KSIAŹDZ MAREK, pokazując przed sobą palcem na ziemię do Judyty.

Upadnij tu na kolana
Córko! niechaj ci odpuszczę —
Idę do mojego Pana.

JUDYTA, rzuca się na kolana szlochając.

Przeklnij! przeklnij —

KSIAŹDZ MAREK.

Jak Judyto?

Oto naród mój zabito!
Oto patrzaj, tam; w oddali
Płomień. — Dom się Boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem —
I niebo kole płomieniem,
Jak miecz Archanioła kręty,
Już na brusie pociągnięty,
Ostrzem postawiony w górę.
Miecz, gotów karać naturę!
Ludzi — że są przeciw cnocie,
Braci — że rwą serca bliźnie,
Polaków — że przeciw Ojczyźnie,
Niewinnych — że są w ciemnocie,
Winnych — że jasności ślepi.

Oto miecz z płomieni różnych
Co wkrótce niebo rozszczępi.
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije,
I powali i nakryje:
Gwałty, płacz, mordy rumiane,
I to miasto wyrzynane,
Jak anioł ognia pochłonie.

I podobny jest koronie
Z hiacyntu, z chryzolit, —
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy Boskie trzymaną. —
Aż naród zegnje kolano,
O Bogu pomyśli w burzy;
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.

I jest jeszcze jako kręta
 Burza, co płomieni ręką
 Porwała tam: sakramenta,
 Krzyże, hostje z Pańską męką,
 Obrazy przeświętych wzorów,
 I grobowce fundatorów,
 I podłogi, które rosi
 Ludu łza — nawet kamienie:
 Zawinęła je w płomienie —
 I Panu Bogu odnosi.

Więc i te drzewa żałobne
 W zielone świątki sadzone,
 Których pnie takie czerwone,
 Listki jak iskierki drobne,
 W rubin na nitki znizane,
 Jak struny wichrem odwiane,
 Ogniem zajęte przy korze,
 Te drzewa — to harfy Boże,
 Od kościelnego krawędzia
 Idące rzędy długimi —
 To Dawidowe narzędzia
 Hymnów, które tu na ziemi
 Śpiewają mi z triumfalnych
 Pieśni długie litanije,
 Od aniołów niewidzialnych
 Duchową ręką tręcane.

Widzę Boga! któż mi oczy zakryje?
 Chwały niewypowiedziane
 Widzę! — Głosy wielkie słyszę!
 Boga! co mi ogniem pisze
 Nowy rozkaz, nowe prawo!
 Oblewa mię swoją sławą!
 Ogniami męczeństwa złoci! —
 Pan Bóg mój pelen dobroci,
 Którego mię rany bolą,
 A wola jest moją wolą.

I ja, przez tych światel krocie
 Oświecony, miałbym córo

Nie przebaczać tu ślepcie,
 Lecz we krwi umoczyć pióro?
 Ja, którego Bóg dziś słucha,
 Wydać mam na twego ducha
 Wyrok na wieki tracący? —
 Owszem, węgiel gorejący
 Na białych ci ustach kładę;
 Zmazuję wszelką szkaradę,
 Wszelkie jady co je ślinią:
 Abyś była prorokinią
 Przyszłą, między twoim ludem,
 Nawrócenia żywym cudem —
 Jedną z tych co w kraju jęczą,
 Jedną z tych co boleść dzielą,
 Jedną z tych co go weselą,
 Jedną z tych co w przyszłość wierzą!
 Świecącą przymierza tęczę,
 Świecącą, aż pioruny uderzą —
 I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
 Bo wiedz córko — że wszystkie ci zbrodnie
 Odpuszczone są na wieki wieków.

(Obraca się do moskali.)

A teraz krzyża i świeków —
 Co macie czynić czyńcie prędzej.

(Wyprowadzają go strażę.)

JUDYTA.

On przebaczył — bo ja w nędzy,
 Bo on wie co ja cierpiała —
 Puśćcie mię do Jenerała,
 Do ruskiego wojownika.
 Nu — niech on księdza nie tyka,
 Bo straci całe obozy —
 Piorun mu spadnie na ramię.

(Rwąc na sobie powrozy.)

Bo tak — jak ja rwę powrozy!
 Tak ja mu wojsko połamię,
 Spalę lud jak błyskawica!

MOSKALE.

Czarownica! Czarownica!

JUDYTA.

Nu — ja wolna przed grabieżą
 I przed ogniem i przed katem.
 Jeśli tam księdza uderzą
 Jednym tylko, jednym drutem:
 Tak wy padli z całym światem!
 Tak krew wasza jednym łutem
 Nie zaważy przed krwią Judy!
 Nu tam! patrzcie! oto cudy!
 Oto w pożarach wychodzi
 Ksiądz męczony!

BRANECKI.

Co to znaczy?

Kto nam tu stracha przywoździ?
 To ksiądz — tysiąc sto kartaczy!
 Widmo po pas obnażone
 Z katowskiej wychodzi chaty.
 A za nim wleką się katy,
 Niby dwa słońca czerwone,
 Niby dwa czerwone duchy;
 Zgięci, jak żebracy na kulach:
 I biją się po koszulach. —
 A koszule markietanów
 Od czarnej smagalnej pluchy
 Są jak skrzydła u szatanów:
 Oczy przenikają zgrozą,
 Powietrze całe czerwienią —

(Wchodzi KSIĄDZ MAREK)

KSIĄDZ MAREK.

Lub się serca w katach mienią,
 Lub Pan oczy zaćmi słońca —
 A ciemna to była chata,
 Gdzie mię po pas obnażono.
 Więc zamiast bić w moje łono,
 To kat się rzucił na kata,
 I we krwi się oba puszczą —
 Rozłączcie ich, bo się nie puszczą
 Aż skonąją.

KRECZETNIKÓW, do katów za sceną.

Precz sobaki!

Wziąć ich — zanieść do szpitala.
 Branecki! cudownik taki
 Harmaty nam pozapala,
 Zrobi bunt w moskiewskiej armji. —
 Ach! tam Katarzyna karmi
 Tyle mnichów ruskiej wiary,
 A wszystko chłopcy do miary,
 Poszczą chlebem i jesiotrem:
 A żaden cudów nie umie.

BRANECKI.

Poszlij jej żydówkę z tym łotrem.

KSIĄDZ MAREK.

Cokolwiek w twoim rozumie
 Ułożysz, to nie pomoże.
 Bo ja tu ciało położę
 Pierwsze, dla kraju i wiary.
 I mój kopiec jak sztandary
 Będzie trwał — aż wiek przeminie,
 Aż ludzie z jasnemi skrońmi
 Pokażą się w tej krainie,
 Wchodząc ducha mego bramą.
 Więc nie porwiesz mię stąd końmi!
 Ani nawet śmiercią samą!
 Mój duch wiecznie tu i ciało.
 Przyszłego kościoła skałą.

KRECZETNIKÓW.

Hej z kibitką kapitana!

KSIĄDZ MAREK.

Patrz — kogo wysyłasz ze mną,
 Ba na drogach pańskich ciemno,
 I często jest krwią zbrzydzana
 Ta ciemna i nocna droga,
 Krwią szaleńców roztraconych o Boga.

A K T III.

(Plac w Barze. — Wchodzi KOSAKOWSKI, ubrany jak sługa szpitalów za-
dzumionych, w smolnej koszuli, w kapturze.)

KOSAKOWSKI.

Zaraza, co tu panuje
Gdzie moskale wiatr popsuli,
Gorsza od miecza i kuli;
Tysiącami ludzi truje,
Z trupów czarnych urodzona,
Stojąca jak widmo na wale.

Pełne moskałów szpitale —
Każda karczma zarażona,
Każdy człowiek straszny, blady;
Sine włóczą się gromady —
Z krwią i ogniem pod powieką,
Zgnile prześcieradła wleką —
A głowy w skrwawionych chustach
Wspierają na rękach chudych,
Z węglem i ze krwią na ustach,
Pełno plam zielono-rudych,
Ponurzy jak rozbójnicy,
Jak wilcy na krew gotowi.
Przypatrzyłem się ludowi
Co tam, przed Bogarodzicy
Namiotem kłęczy i leży,
Pałaszami namiot kraje,
I Bogarodzicy łaje —
Nazywa ją matką żołnierzy,
I pochlebia i klnie na przemiany.

A tak wszystko zaraza rozprzęga,
Że oto, w smołę ubrany,
Rzuciwszy na plecy haki,
Jak koń, który się zaprzęga
Do ciał, włóczę te sobaki —

Wyciągam z miasta za bramy,
 I rzucam nagie do jamy.
 A nikt o to nie zapyta
 Kto ja jestem? skąd przychodzę?
 Mógłbym sztyletować wodze,
 Mógłbym zatruć wód koryta,
 Mógłbym — wszędzie chodzę wolny —
 Wejść aż do Jenerałowej
 W nocy, jako upiór smolny,
 Wziąć lampę, która u głowy
 Przy srebrnym obrazie świeci:
 W kołysce podpalić dzieci,
 Blaskiem zbudzić matkę śpiącą,
 I z pochodnią gorejącą
 Jak upiór — wyniść z sypialni.

Tymczasem błądzę jak pjany
 Pośród tej okropnej szczwalni,
 Gdzie zaraza swe szatany
 Psy swoje czarne puściła —
 Gdzie dom — spojrzeć, to mogiła; '
 Gdzie łóżko — tam trup być musi.
 Par cięży, powietrze dusi,
 Gwiazdy jakby przelęknione
 Chodzą smętne i czerwone;
 Wyją psy na pustych bramach
 I rwą zębami łańcuchy.
 A w polu, przy trupich jamach,
 Jakieś płomienie, jak duchy
 Stoją, czasem szyję zegną
 I za człowiekiem tak biegną —
 Kolory z ognia fałszywe,
 Tak lecą jak trupy żywe,
 Owinięte przez płomienie,
 Jak moje za mną sumienie!

Bo to ja, com tu zaszczepił
 Ruinę, gwałt, mord rumiany.
 W żądzach niepohamowany,
 Kiedy mię szatan oslepił,

Leciałem, gryząc wędzidła,
 Własne rzuciwszy sztandary —
 I przezemnie ten ksiądz stary
 Odbieżany, szedł na boje,
 Jak ptak bez jednego skrzydła,
 Żebraków zebrawszy roje,
 Zbrojne w siekiery i kosy;
 Siwe swe rzuciwszy włosy
 Za sztandar i męczenników,
 Krzyżem oświecając złotym.
 Ja zbieg! zdrajca jego szyków
 Gdy siadłem nad trupów rowem,
 Kiedy pomyślałem o tem:
 Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,
 Jasny jak światło jarzące —
 Stanął mi w myśli upiorem:
 Gdy do nieba podniósł ręce
 I pokazał nad klasztorem
 Ogień, dym, czerwone dachy,
 I w cieniu ruskie bermyce,
 I na tych bermycach blachy
 Jak złote, wielkie księżyce,
 Ciągące ku pożarowi —
 Ból i strach mię przejął mrowi —
 I przysiągłem furją zdjęty,
 Że choć sam, chociaż wyklęty,
 Zbawię go, albo tu zginę.
 A tę żydowską dziewczynę
 Będę trzymał w mojej mocy;
 Porwę, i gdzieś w czarnym jarze
 Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

(Wchodzi JUDYTA.)

JUDYTA.

Co zrobisz ze mną goimie?
 Nu — ksiądz mi odpuścił święty.
 Ja przyjęła sakramenty
 Z jego rąk, i mam na imię
 Salomea —

KOSAKOWSKI.

Więc ksiądz żywy?

JUDYTA.

Ksiądz on, człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi.
Nu on nie lęka się ludzi —

KOSAKOWSKI.

Ale go pletniami zbito?

JUDYTA,

A kto tego bicia liczył?
Jego palmami zakryto
Słonecznemi od niebiosów;
A kat się na śmierć zaćwiczył,
I szedł krwią kapiący z włosów,
W koszuli, cały rumiany,
Przez siebie zakatowany
Na śmierć i — umarł w szpitalu.
Nu — a potem w tym moskalu
Była myśl, księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić,
Więc okuli jemu nogi
Ubrali go w chłopskiej świtce,
Położyli ne kibitce,
Koń zaprzęgli do niej srogi,
I szalony i gorący,
Jak smok dyszłem targający.
I siadł na kibitce zwoszczyk,
I kapitan w hełmie z blachy —
A blady był jak nieboszczyk —
I usiedli dwa szyldwachy.
A noc była ciemna, głucha,
Wielki lament i rozpacz;
Słysząc było że lud płacze,
Słysząc było że Bóg słucha;
Bo stanęła po rejuachu
Jakaś wielka cichość strachu,
Gdy kibitka się ruszyła
Z naszym ojcem wśród miasteczka.

Bo wieść między żydków była
 Że on, ten ksiądz, jak owieczka
 Dał się okuwać w kajdany,
 Że mu krew bluznęła z rany;
 Że był znowu biczowany,
 W pysk przez Braneckiego bity,
 Jak trup — dla tego zakryty,
 I cały we krwi czerwony;
 Bez sił — dla tego niesiony,
 Bez ducha — bo już nie jęczał,
 A w łańcuchu, bo zabrzęczał
 Gdy go kładli do kibitki. —
 Nu i potem tylko kitki
 Tych moskali jak płomienie
 Poleciały na stracenie,
 Poszły w ciemność z wielką burzą.
 Nu, a ludzi było dużo
 Na tym placu, wszyscy czarni,
 Przy jednej tylko latarni
 Która była paląca,
 Bez gwiazd żadnych i miesiąca,
 W nocy na strasznej pustoszy,
 Jak na jakim grobowisku.

Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy
 Konie jakie na urwisku?
 To co? — głowy się strzaskały!
 A on został jeden, cały.
 A na wozie ludzkie trzewo,
 Trup na prawo — trup na lewo,
 Kapitan przy swoim Dońcu,
 Zwoszczyk żyw, lecz jak śmierć biały.
 I wóz jego we krwi cały,
 A ksiądz, jakby cały w słońcu
 Na wozie, w męczeńskiej szacie.
 Jak na jakim majestacie
 Jechał spokojny i żywy.
 Bo on człowiek sprawiedliwy
 I święty — —

KOSAKOWSKI.

Słuchaj Judyto,
Zwiedz mię z tym karmelitą,
(Na stronie.)

Ach! Iza jej do pereł grochu
Podobna — zemstę już gasi —

JUDYTA.

Prorok wasz zamknięty w lochu.
A czy są rycerze wasi
Blisko? Ja go wam wyzwolę.

KOSAKOWSKI.

Ty?

JUDYTA.

Przy waszym apostołe
Ja córka i stróż.

KOSAKOWSKI.

Ty sama?

JUDYTA.

Nu, ja mu wolności brama,
Ja mu róża od Saronu,
Chociaż bardzo blisko zgonu;
Ja konwalja mu pachnąca
I wolnością i weselem —
Nu, ja stąd odlatująca
Jak duch jaki, do miesiąca,
Z całym prawie Izraelem —
Aż powrócę — bom duch wielki,
A u Panny Zbawicielki
Na niebie oczekiwana.

KOSAKOWSKI.

W imię Ojca, Ducha, Pana!
Co ty gadasz?

JUDYTA.

Nu ja sama

Nie wiem. — Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni
I o księdza będą prosić;

I po mieście, zarażeni,
Biegać i ogień roznosić,
Koldry targając ogniste —

KOSAKOWSKI.

Co ty mówisz? Jezu Chryste!
Szpital spalić!

JUDYTA.

Nu — a oni?

KOSAKOWSKI.

Niechaj ciebie Pan Bóg broni
Od tak haniebnego czynu.

JUDYTA.

Gdyby z każdego rubinu,
Co na czepcu moim świeci,
Była iskra, niechaj leci!
Niechaj się za dachy chwytą —
(Zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.)
Nu — ja nie Polka — ja mściwa —
Ja żydówka! ja Judyta!

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
Piękność twoja nieśmiertelna,
Jakaś straszna i piekielna —
Ząb perłowy kiedy zgrzyta
To mi serce w piersiach lata.
Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzczona — córka grzmotów!
Ja się z tobą żenić gotów.

JUDYTA.

Nu — a ojciec?

KOSAKOWSKI.

Żyd wisielec.

Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec
I bosiny po rabinie —

JUDYTA.

A jak jego duch zobaczy?

KOSAKOWSKI.

W jakiej ty żyjesz krainie,
 Że o trupach zawsze gadasz?

JUDYTA.

Czy ty wojnę wypowiadasz
 Wszystkim duchom Izraela?

KOSAKOWSKI.

Czart oczami twemi strzela,
 Ogień leje w serca cieśnie,
 Głowę wprawia w obłąkanie.
 Dziś widziałem ciebie we śnie,
 Jakby jakie malowanie,
 Że już byłeś na stracenie
 Prowadzona w żar, w płomienie,
 A z płomieni były róże,
 A ty w różach jak w altanie,
 Uczepiona ręką w górze
 Za krzyż —

JUDYTA.

Ty śnił prawdę świętą.

KOSAKOWSKI.

Judyto — gdyby cię wzięto
 I śmiercią, ogniem grożono;
 Ty znasz moją klacz czerwoną,
 Co przeleci miasto całe
 I wyleci drugą stroną.
 Tylko kłaśnij w ręce białe,
 Tylko padnij mi na łono,
 Tylko chwyć się jak zbawienia:
 A ja z grobu i z płomienia
 Wyrwę ciebie po sto razy!

JUDYTA.

A czy wyrwiesz z rąk zarazy

KOSAKOWSKI.

Strach mię zdjął.

JUDYTA.

Nu, ja ze łzami

Mówię tobie mój goimie,

Że przepaść jest między nami.
 Najprzód — twój ród, twoje imię
 Co odrzuca to zamężcie.
 A potem — moje nieszczęście —
 I mój los. Bądź zdrów na wieki!
 A może przyjdzie daleki
 Jaki czas dla mego ducha,
 Że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
 Modlitwę moją gorącą
 Za twoje szczęście proszącą.

(Wychodzi.)

KOSAKOWSKI.

We łzach, w obłąkaniu stoję —

(Wchodzi BOJWIŁ przebrany za chłopa.)

BOJWIŁ.

Panie, widać nasze zbroje.
 Wiejące nam od północy
 Z tchem od ukraińskich kwiatów.
 Nowy huf Konfederatów.

KOSAKOWSKI.

Idźmy — przed nadejściem nocy
 Może na czas przybędziemy
 Poprawić straconej sławy.

(Wychodzą.)

(Namiot. Wchodzi KRECZETNIKÓW, BRANECKI i RAPORTOWY oficer.)

KRECZETNIKÓW.

W pochód wymaszerujemy
 Aż na Wierzchowieckie stawy,
 Już tam ja, w szlacheckie dworce
 Posłał i dzieci i żonę.
 Jej Boh — miasto zarażone.
 Mści się Bóg za cudotwórcę.

BRANECKI.

Czy generał gada serjo?

KRECZETNIKÓW.

Ot, wy z waszą fanaberją
 Francuszczyzną, nie widzicie
 Że tu wojska mego życie

Pod przekleństwem bunt podnosi —
 A ot, za tym cudownikiem,
 Pułk jeden żalobnie prosi,
 Abym go im jałmużnikiem
 Zrobił — i archimandrytą —
 A gdyby jeszcze odkryto
 Co mi dziś piszą w depeszy;
 Boże pomiluj na niebie,
 To ot — trup ze mnie i z ciebie.

BRANECKI.

Cóż za wieści? —

KRECZETNIKÓW.

Człowiek grzeszy
 Ciekawością, mój Polaku —
 A mądry kto sekret chowa.

BRANECKI.

Co? czy umarła Carowa?

KRECZETNIKÓW.

Szto ty skazał? — Ty na haku
 Będziesz wisiał za te słowa!
 Małczy Lach! Caryca żywa.

BRANECKI.

Niech się Pan Jenerał nie zrywa,
 Bo ja także hetman jestem,
 A jestem tu w moim kraju.

KRECZETNIKÓW w pasji.

A czemu ty z naszym chrestem?
 Naszego dworca lokaju!
 Szambelanie z epoletką!
 W jakim ty kraju, szlachetko?
 W jakim ty kraju, łachmanie?
 Tu ja Pan — wy gospodarze!
 Ot miasteczko wyróżnąć każę,
 Dam ci sztutkę w nos hetmanie?
 I każę na szubienicy
 Powiesić, porąbać w ćwierci —
 I napiszę do Carycy
 Że ty o Carycy śmierci

Rozповідаł — — Precz z komnaty!

(Brancki wychodzi.)

Hej niech nabiją harmaty,
 Niech nabiją wszystkie działa,
 I na tego Jenerała
 I na hułany obróć.
 Niech włożą zaraz bagnety!
 Niech mi z miasta precz wyrzuć,
 To błoto. — O fracuszczyzna!
 Olejki i toalety!
 Gdy we krwi cała ojczyzna,
 Wino im kapie na brodę.

(Wchodzi ADJUTANT Branckiego.)

Cóż tam — od Panów Polaków?

ADJUTANT.

Pan jenerał uprasza o zgodę,
 O wojennych naszych znaków
 Złączenie — a oto w liście
 Obrażony osobiście
 O satysfakcję uprasza.

KRECZETNIKÓW, drąc list.

Szutki — ja nie konfederat,
 Ani młokos do pałasza!
 Jeśli pan jenerał nie rad
 Żem go uderzył po wstędze,
 To niech się w żalobnej księdze
 Rozpisze —

ADJUTANT.

Toż mu odpowiem.

(Wychodzi.)

KRECZETNIKÓW, do Raportowego.

A jak tam z wojskowem zdrowiem?

RAPORTOWY.

Po stu codziennie umiera,
 Grenadjer od grenadjera,
 Chłop w chłopą — i co dzień gorzej —

KRECZETNIKÓW.

Niech kancelarja położy

W dzisiejszym dziennym rozkazie —
 Że kto się podda zarazie
 I położy na tapczany:
 Za pierwszy raz tysiąc pałek,
 Za drugi raz — rozstrzelany.

RAPORTOWY.

Słuszaju's. — Braknie nam skałek.
 I prochu —

KRECZETNIKÓW.

Ot i to szutka

Puławskiego, co nam bierze
 Po drodze wszystkie jaszczyki. —
 No — jak zadzwoni pobudka,
 Rozdać pomiędzy żołnierze
 Kamasze, nowe trzewiki,
 Pompony, kogucie pióra,
 I kaszy — niech krzyczą hurra!

RAPORTOWY.

Słuszaju's —

KRECZETNIKÓW.

Precz Raportowy!

(Raportowy odchodzi.)

(Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.),

ADJUTANT.

Pan mój jako afront nowy
 Uważa obelgę nową,
 Pana generała słowo
 O uderzeniu po wstędze.

KRECZETNIKÓW.

Nu — prosź go, prosź na herbatę.

ADJUTANT.

Nie wiem czyli go dopędzę
 Bo wyjechał z sekundantem —

KRECZETNIKÓW.

Powiedz mu że na harmatę,
 Strzela się z paniczem frantem
 Karciarzem — generał stary.

(Adjutant wychodzi.)

Oj, dobrze że my te Bary
Przycisnęli! — Ot depesza
Że tam jakiś Car w Kazaniu
Jenerały nasze wiesza,
I o Carycy porwaniu
Zamyśla w imię Piotrowe.
Oj dobrze, że my powstaniu
Polskiemu urwali głowę,
Nie dopuściwszy odsieczy;
Bo gdyby — spasij nas Boże!

(Żegna się.)

Od takiej okropnej rzeczy —
Gdyby im pana we dworze
A księdza puścić z łańcuszka,
To ot — i Moskwa matuszka —
Spasij Boże! spasij Boże!

(Żegna się.)

Ot, gdyby tu wojownika,
To czart wziął państwo Ruryka.
Spasij Boże! spasij Boże!

(Wchodzi ADJUTANT Kreczetnikowa.

ADJUTANT.

Panie pod wieczorną zorzę
Widać pułk konfederatów.
Chcieliśmy wystrzelić z wałów,
Lecz brak już kul i granatów.

KRECZETNIKÓW.

Rzucić kilka pustych strzałów
Na to obdarte husarstwo.
A potem te pany Lachy
Prosić na parlamentarstwo.

ADJUTANT.

Słuszaję's.

(Odchodzi.)

KRECZETNIKÓW.

Ot, nowe strachy!
Ot nam w mieście pewny smętarz
Najstraszniejszy z mogilników,

Gdzie nam ziemia oczy wyje,
 Jeśli to huf Puławszczyków;
 Jeżeli ten parlamentarz,
 Co tu przyjedzie, nie pije.

(Wjeżdża konno KAZIMIERZ PUŁAWSKI, za nim pleszo KOSAKOWSKI
 zawsze przebrany.)

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, zsiadając z konia.

Ty smolny parobku dżumy
 Potrzymaj mego rumaka —
 A strzeż mi dobrze czapraka,
 Bo tu kradną.

KRECZETNIKÓW, na stronie.
 Pełny dumy.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, wchodzi.

Generale twoja chrobra
 Gromada bez kul strzelała.
 Jest to grzeczność generała —
 Zapewne nie brak w jaszczkach?
 Zapewne myślał generał,
 Że mi się pułk poobdzierał,
 Że mam dosyć dziur w trzewikach,
 I w czapkach wiatranych świstów —
 Za tę grzeczność siatelską
 I jego artylerzystów
 Dzię uję —

KRECZETNIKÓW.
 Czy z przyjacielską

Ręką? —

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.
 Przyszliśmy po księdza

KRECZETNIKÓW.

Nie mogę. — Jej Bohu buntowszczyk!

KAZIMIERZ PUŁAWSKI zimno.

Pana generała zwoszczyk
 Z końmi przez nas dziś schwytany.

KRECZETNIKÓW.

Tak i miejcie moje pany,
 Moje konie — niech popasą.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Wózek z jenerała kasą —

KRECZETNIKÓW.

Tak w złoto umoczcie dłonie --

No — ja złota mam nie mało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pana jenerała żonie

Także się nieszczęście stało;

Zabrana z żołdactwa rojem

Jak nienabita harmata.

KRECZETNIKÓW, z wielką trwogą.

A rebiata?

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Nu rabiata

Takżę u nas i z konwojem

I z panią jenerałową.

KRECZETNIKÓW, przysiadając i kładąc ręce na kolana.

Nu — tak ja dam na to słowo,

Że ty pan Kazimierz Puławski —

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Być może —

KRECZETNIKÓW.

Więc proszę — z łaski,

Nim pogadamy o rzeczy,

Na wypitkę i przykuski.

Bo choć ja jenerał ruski

Od Rena pewny odsieczy,

Uzbrojony przeciw tobie

I w proch i w dobry rysz tunek!

To ja ku twojej osobie

Taki wielki mam szacunek,

Że chciałbym, choć raz z weselem

Z tobą pić jak z przyjacielem.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

A ksiądz Marek?

KRECZETNIKÓW.

Nu, nie mało

Ja z tym księdzem miał roboty!

Co jeszcze z niego zostało
 To wam oddam. — Jakieś grzmoty
 Co to znaczy?

(Słychać zgiełk za sceuą.)

(Wbiega ADJUTANT.)

ADJUTANT.

Jenerale

Ktoś pozapalał szpitale;
 Buntują się starowierce
 Przy blasku ogni czerwonych.
 Mówią żeś ty zarażonych
 Kazał w szpitalu podpalić.
 Szpital, jak ogniste serce
 Bijące w dymu szatanie,
 Już pękł i zaczął się walić.
 I pokazał na tapczanie
 Wskroś, przez otworzone deski,
 Trup zielony i niebieski
 W trwodze oddający ducha.
 Potem się ta zawierucha
 Skier, ogni, dymów gorących
 I ludzi uciekających
 W kołdrach, w pokrzwawionych chustkach,
 Zebrała na czarnych pustkach,
 Pógorzałych karmelitów.
 Tam twój sierżant jeden Tytów
 Chciał chorym dawać nauki,
 Ale żołdactwo pijane
 Rozerwało go na sztuki,
 Tak że i ciało rumiane —
 Straszne markietanek dzieło!
 W oczach mi nagle zniknęło,
 Cudownym prawie sposobem —
 Niewidzialnym niby grobem
 Ukradzione dłuższej męce,
 Przez oszukanie natury.
 I tylko czerwone ręce:

Straszne, wzniesione do góry
 O tym człowieku świadczyły;
 Bo innej nie miał mogiły
 Oprócz tych dłoni ohydnych,
 Jasnych — od pożaru widnych,
 Nad głowami buntowników,
 Tych rąk, tych szponów, krwawników.
 Ach, i pierwszy tam raz w życiu
 Słyszałem w ludzkim zawyciu
 Zwierzęce głosy człowieka.
 Z ludzi się zrobiła rzeka,
 Z rzeki morze krwią rumiane,
 A jeszcze pohamowane —
 Któżby rzekł! — — dziewicy głosem.
 Jedna, panie, żydówica
 Błada, z rozpuszczonym włosem,
 Jedna, jak cudotwornica,
 Wiedźma, co w ogniu się pali,
 Śród tych rąk, lasu koralu
 Ohydnych, ze łzami w oku,
 O polskim księdzu proroku
 Krakąła, jak kruk na dachu.
 A co przydawało strachu
 U zabobonnych Moskali,
 To jedno umierające
 Dziecko. — Jak w zamku Walhalli
 U dziewic na piersiach miesiące —
 Tak to dziecko zawieszone
 Na piersiach jej, już zielone,
 Już nie dziecko u kobiety —
 Jak to lud powtarzał głupi —
 Ale do czarów użyty
 Jakiś wielki miesiąc trupi,
 Ukradziony u gwiaździarzy. —
 Dość, że za nią poszły pułki,
 Za nią starowierce starzy.
 Aż skry, ogniste jaskółki,
 Na żydówicę napadły;

I od włosów jeść począwszy
 Ciągłe przerażoną jadły,
 Aż upadła. — Chciałem wtedy
 Pomiedzy ludem stanąwszy,
 Choć Szwed, mówić do czeredy:
 Ale ledwiem się pokazał
 Krwią mię obłożoną zmazał
 Ów lud, który cudzoziemca
 Szweda kładzie obok Niemca.
 I obu równo przeklina. —
 Została mi więc jedyna
 Obrona w dobytej szpadzie,
 We wzroku i w rejteradzie
 Spokojnej, we lwa odwrocie.
 A wtenczas żołdactwa krocie
 I różnej broni motłochy
 Napadły na ciemne lochy,
 Gdzie polskiego księdza skryto.
 I przed białym karmelitą
 We krwi i w czarnych kajdanach,
 Popadały na kolanach,
 Sine pokazując strupy
 I krzycząc że zaraza je goni — —

KRECZETNIKÓW.

Ot ja teraz poszedł w trupy!
 Ot Puławski! szpada w dłoni
 I śmierć dla Kreczetnikowa!
 Powiedz tam niech będzie zdrowa
 Moja żona, moje dzieci.
 Ot nieszczęścia! ot wypadki!
 Już ja trup, pokojnik Boży!

(Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi **KSIĄDZ MAREK** z krzyżem, w podartym i pokrzwawionym hablicie.)

PUŁAWSKI, wstrzymując Kreczetnikowa.

Stój! gdzie lecisz?

KREZETNIKÓW.

Puść! niech ginę!
Niech się ziemia podemną otworzy!

KSIĄDZ MAREK.

Dziatki moje blade, sine,
Leżące u nóg jak żyto!
Tam wasz generał z dobytą
Szpadą, śmierci szukający!
A ja tu nędzarz cierpiący
Egzaltowan w ludzi tłoce,
Pasterz! — Bo Pan niebios pragnie,
Aby tu dwie były moce:
Jedna, która ciałem nagnie,
Druga co duchem podniesie
I ukorzy w Imię Pana —
Siła wielka! niesłychana!
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi.
A tę ludzie wydać muszą —
Bo kto ją w sercu zostawi,
Ze łąką, z chlebem ludzkim stawi,
I uniesie razem z duszą,
Niebieskiej pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu —
Ten zaprawdę! potępiony!
Łachman z Bożego szkarłatu!
Gwiazda upadła z anielstwa,
Gasnąca w błotnej kałuży!
Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała które mu służy,
Bez serca co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zakryje
I Boga prosi o litość. —
A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi to ducha prawo,
Niegłoszone na ambonach,
Patriotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte,

A zaszczipione już w łonach,
 Jak dzieciąteczko spowite
 W duszy, na rubinach śpiące.
 Bo oto ludzi tysiące
 W jednej chwili strach poczuli,
 I mnie żebraka na kuli,
 Do krwi ubiczowanego —
 Jeszcze w niezakrzepłej bliznie,
 Jeszcze we łzach po ojczyźnie,
 Jeszcze od męki krwawego,
 Jeszcze w nieśmiertelnej bieliznie,
 Jeszcze w gorączkowych żarach,
 Jeszcze w smętku i na marach,
 Na rękach swoich wynieśli:
 Abym jako Piastun Cieśli,
 Siadł na moim majestacie,
 Roskazał odejść zatracie,
 Zarazie czarnej ustąpić! —
 Więc jeżeli będę skąpic
 Dziś mojego w kościach ducha,
 Jak człowiek co jęków słuca
 I z łez sobie wieniec plecie;
 Jeżeli jeszcze na świecie
 Żywot mi się upodoba,
 I ta mych wrogów załoba,
 I to ich upokorzenie,
 I to na deskach siedzenie,
 Które dał Ojciec Niebieski,
 Kładąc mi szpitalne deski,
 Jak męczennikowi tronem.
 Jeżeli pogardzę zgonem,
 Serca litością nie ruszę,
 I duszy nie dam za duszc,
 Z ciała wyzwolić nie zdołam:
 Lecz wstanę — Pana zawołam,
 O zemsty jego kropelkę
 Poproszę — gromu co bije,
 Jak mściwy człowiek, użyję,

I przyzwę śmierć jak mścicielkę:
 Wszyscy zginiecie straceni.
 Bo oto wy przerażeni
 Nad głowami nie widzicie,
 Że na pożarnym błękiecie
 Kościotrup śmierci w czerwieni
 Tańcuje z trzaskiem goleni,
 Kiściami zarazy śnieży,
 Wiję kłębem nietoperzy,
 Żółtą kością ciągle miga;
 I z ust okropnych wyżyga
 Kartelusz ognio-tęczowy,
 Na którym imię Jehowy,
 Zatrąciela narodów,
 Wywrotnika twierdz i grodów,
 Pisane ogniście stoi.
 Któż tu jest, co się Boga nie boi?
 Oprócz trupów — kto nie zdrzy przed Panem?
 Ja sam jeden okryty łachmanem,
 Zakrwawiony, knutem zbity.
 Ja sam, który za naród cierpiełem,
 Ja sam, który memi jelity
 Pasłem serca — i serca kawałem
 Nakarmiłem tych co serca nie mieli:
 Ja sam jeden stoję w bieli
 I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście,
 I zawołać nań o sprawiedliwość.
 Oto naród mój jak zwiędłe liście!
 Oto zdrady i serc niegodziwość!
 Oto pierwsza niewoli godzina,
 Co się przez wiek ciągnąć będzie!
 Oto harfa płaczu ta mieścina!
 Oto gołe kościoła krawędzie,
 Przez które już kozom skakać
 I rość trawie na dawnych mogiłach! —
 Panie Boże, nie pozwól mi płakać!
 Ducha mego utrzymaj przy siłach;
 Nie bierz mię w niebieską sferę,

Krzyżącego miserere,
 Łamiącego dłoń na głowie. —
 Kto mię słucha, Ojczyźnie niech powie,
 Że sztandar zatknąwszy w Barze,
 Ległem sam na tym sztandarze,
 Broniąc go duchem i ciałem,
 A przy śmierci sam jeden zostałem.
 Kto tu śmierci jest mojej przytomny,
 Niech widzi jak ręka Boża,
 Biorąc jeden duch ogromny,
 Podnosi całe stworzenie;
 Nawet trupy ściąga z łoża,
 I przez trumien odemknienie
 Pomiedzy ludzkiemi duchy,
 O zarzucających łańcuchy
 Zaświadcza pośród śmiertelnych.
 Kto żyw — niech słucha weselnych
 Harf, co grają różnym tonem;
 Kto duch — niech duchowi memu,
 Jak księżycowi złotemu,
 Będzie blaskiem i ogonem —
 Bo ja ojczyzny być muszę
 Duchem stróżem i patronem;
 I wyżej porywać dusze,
 A żadnej ziemią nie skalać;
 Ale wszystkie pozapalać
 Na nowe wieki i czyny:
 A teraz zdjęć z tej miesięciny,
 Gdzie włada dżuma i trwoga,
 Zarazę, jak sztandar siny,
 I z chorągwią tą odejść do Boga,
 Do którego mię boleść porywa.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ojczy Marku!

KREZETNIKÓW.

Podnosi ramiona.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI

Pochodni blaskiem opływa,

Bładnie, oczy mu gasną! już kona —
 Za trupami postąpić nie można.
 W około ciżba nabożna
 Rozrywa jego habity,
 Całuje wychudłe ręce.
 Jaki zgiełk! światła jarzące,
 I zarażonych błękity,
 Twarze zielonawej cery.
 Spisy, płaszcze i giwery,
 I łoża co jeszcze płoną,
 Jakby w obchód święto-jański! —
 Prawdziwy kurhan słowiański,
 Który po śmierci wzniesiono
 Nad pierwszym z naszych rycerzy.

KRECZETNIKÓW.

Bić z harmat! niechaj tu leży,
 Niechaj się go lud dotyka
 I położy na sztandary!
 A ja sam poniosę mary,
 I polskiego wojownika
 O pomoc proszę w posłudze.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Jenerale! ręce cudze
 Dotknęły się tego ciała,
 I to ciało już nie nasze:
 Ale jego duch i chwała
 Przelana w polskie pałasze
 I serca, świadectwo wyda!
 A jak tu się teraz wznosi
 Zmartwychwstańców piramida,
 I to ciało łzami rosi,
 O życiu świadcząc płakaniem:
 Tak my — głosy moje wieszczę!
 Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
 Wszelki duch! i ten co jeszcze
 Nie pomyślał o hańbie narodu.
 Teraz idę z tego grodu,
 A serce mam tak wzruszone,

Że ci oddam dzieci, żonę —
I po tym buncie wojskowym
Na dwa dni wytchnąć pozwolę.
(Do jednego z moskali.)
Gdzie jest ów parobek w smole,
Strażnik mojego rumaka?

MOSKAL.

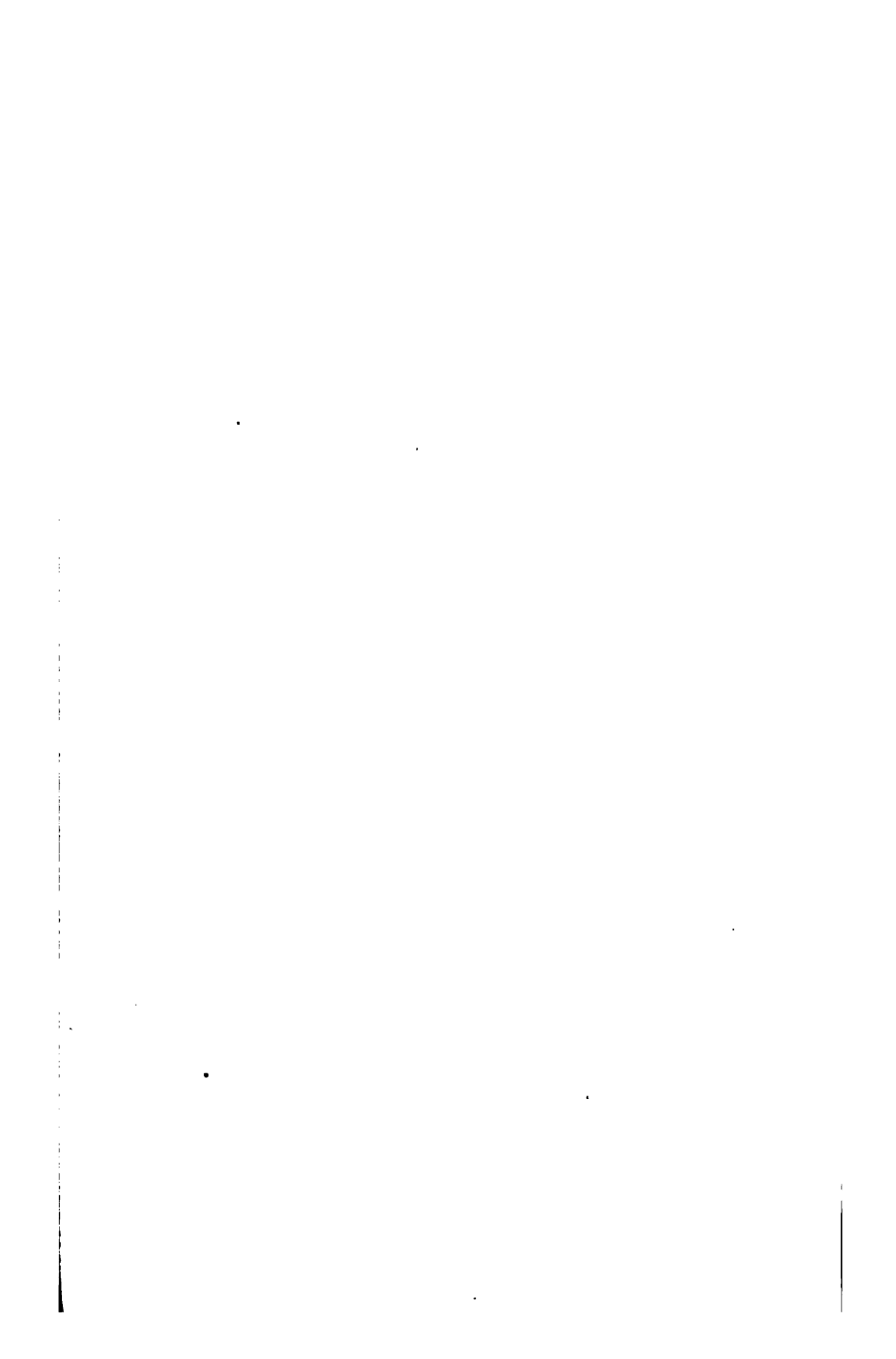
Na koniu gdzieś purpurowym
Widzieliśmy tego ptaka —
Jak kruk, odlatywał gdzieś z łupem,
A nie wiemy czy z chorągwią, czy trupem.
Bo to co za nim leciało
Było jak ogień i ciało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ten lud widzę cały chory,
Wszędy gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory:
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jedną wielką bliznę,
Moją cierpiącą ojczyznę!



SEN SREBRNY SALOMEI.



A K T I.

(Komnata w Regimentarskim dworze. Pan Regimentarz STEMPKOWSKI i PAN LEON syn Regimentarza, przy stoliku z papierami. SEMENKO, kozak dworski, siedzi przy progu na ławce, otulony burką)

REGIMENTARZ.

Mój Leonie, już po Ave Marji —
Siadaj Waćpan do tych ekspedycji.
Cóż tam piszą z króla kancelarji?

LEON.

Rozkazują byś rozesał wici
Po Podolu, jako Regimentarz,
I z Grzyłowem się łączył moskalem
Przeciw chłopstwu —

REGIMENTARZ.

Odpiszę im z żalem
Żem nie moskal; pierwej pójde na smętarz
Niżbym moją moc Regimentarską
Miał połączyć z kozacką i carską,
Z którą król mię żąda zaprzyjaźnić.
Chcą jak widzisz, Mospanie, mię zblaźnić
Za to, żem był królowi posłuszny.
Cóż tam dalej?

LEON.

Raport Gruszczyńskiego.

REGIMENTARZ.

Czytaj Wacan, bo ten człowiek jest słuszny
I był dawniej moim szkolnym kolegą,
A dziś w mojej chorągwi mi służy.

Człowiek silnej ręki! człowiek duży!
 Takich nie ma już dzisiaj na ziemi!
 A są — to ich karty i kieliszek,
 Już nie szabla z ogniami złotemi,
 Nie koń, bawi, harczący przed szykiem —
 Jak mi drogi ten Święty Franciszek

(Całuje sygnet.)

Na pierścieniu dziadowskim, z krwawnikiem,
 Tak mi drogie serduszko w tym starcu!
 Biały starzec — biały — jak kot w marcu
 A tak jeszcze ognisty! — Cóż pisze?

LEON, czytając list.

«Ja i moi towarzysze
 Stanąwszy u Czarnego kurhana
 Stopy Jaśnie Wielmożnego Pana
 Całujemy. — Wszystko dobrze nam idzie.
 A na wielkiej piramidzie
 Nie spisać słowo po słowie,
 Co jeszcze zamiarów w głowie
 I projektów i zasadzek. —
 Naszliśmy na kilka schadzek
 W lesie hajdamackiej czerni,
 I tak się moi pancerni
 Popisali, jak zazwyczaj.
 W jednej, Rotnik pewien Nyczał
 Zarąbany, w drugiej sprawie,
 Gdzie nam rzecz poszła na rękę
 Przydybaliśmy Tymenkę;
 I tak uszedł nam ciekawie,
 Że jeszcześmy w zadziwieniu —
 Na Salamandry w płomieniu,
 Na Pliniuszowe bajeczki
 Myśl i mentes obracamy.
 Widziałem go sam, przy kordzie,
 W żupanku ze złotej lamy,
 W kontuszu, ze krwią po mordzie
 Kapający jak berberys:
 Lecz bestja w żar się rzuciła

Tanquam droga. De caeteris
 Nie piszę. Chłopstwo jest czarne,
 Krwawe, wściekle i niekarne,
 Wódką i miodem zalane,
 Przeż Popy oszukiwane,
 Karmione w cerkwiach proskurą,
 Śród krwi, mordów, których pióro
 Dotknąć się boi w pisaniu.
 Powiem też, że dzisiaj rano
 Będę sam na harcowaniu,
 Razem z jutrzeńką różaną
 Z ogniem płonącej aury,
 Do sławnego Wernyhory
 Dotarłem. — Lecz żal się Boże! —
 Stary w samotnym futorze,
 Nad którym dęby kołyszą
 Swoje złote Sybilińskie
 Listeczki: nie wart tej famy,
 Którą pieśni ukraińskie
 Rozniosły — i z czem się słyszą
 W kraju — i futor Augura
 Do Trofonjuszowej jamy
 Nie umył się — choć i ta dziura
 W pobliżu dawnych kurhanów,
 Pełna starych lir i dzbanów,
 Mogłaby wiatrem przeszyta,
 Widawać sybilne jęki.
 Widziałem miecz Doroszenki
 I złote końskie kopyta —
 Sądzę że są tylko z miedzi,
 W ogniu dobrze pozłoczone —
 Sam zaś starzec w jamie siedzi
 Spokojnie, a rzeczy śnione
 Pełne szumu i zamętu,
 Rozpowiada bez talentu
 Mięszanym chłopskim językiem,
 Żeby zaś był czarownikiem,
 Nie wierzę. Gdy na pytanie

De proprie Wielmożny Panie,
 Plółł mi, zwyczajnie gaduła!
 Że mi żonka moja spruła
 Kaftanik dawno zaczęty —
 Że co do mnie, będę wzięty
 Przez dwie chorągiewki w stepie,
 Jak szczygieł i gil na lepie,
 W przerażeniu otrętwiały,
 Że prócz głowy, będę cały
 W grobie: — Na te przepowiednie
 Spoglądam jako na brednie,
 Nic z nich nie rokując złego;
 A do krzyża się krwawego
 W każdej niedoli uciekam. —
 Teraz na rozkazy czekam
 Dalsze, i jestem ostrożny.
 A gdy Pan Jaśnie Wielmożny
 Rozkażesz, to krew się zbudzi,
 I będę ryzykował ludzi
 I siebie. —»

REGIMENTARZ.
 Poczciwy sługa!

LEON, czytając list.

«Kończąc list w zwykłym afekcie,
 Który mi się z wiekiem wzmaga,
 Jaśnie Wielmożnego Pana
 Sługa, ściskam za kolana:
 I córce, co na respekcie
 W jego domu kornie służy,
 Z tej krwawej mojej podróży
 Posyłam błogosławieństwo;
 Zupełnie o jej panieństwo
 I dalsze losy spokojny.»

REGIMENTARZ.
 Poszlę mu huf jeden zbrojny.
 A ty Lwie napisz, niech czeka
 I niech unika rozprawy;
 Aż przybędzie z niedaleka

Chorągiew kozaka Sawy,
 To pójdziemy na pewnika.
 Teraz niech boju unika,
 W lasach lega, nie na stepie,
 Ani na wietrznym wertepie,
 Harcuje. — Dodaj dwa słowa
 Że Salusia jego zdrowa,
 Że my go wszyscy kochamy,
 Z tej Trofonjuszowej jamy
 Złego nie rokując sobie.
 Wszakże onemu ciekawi —
 A jeśliby już był w grobie
 Proś go, niech głowę wystawi,
 I nie straci polskiej duszy:
 A ja go wyciągnę za uszy.
 Ha! ha! bajkarz Wernyhora
 Staremu napłótl powiastek —
 Pójdę do naszych niewiastek
 Powiedzieć o tej potyczce
 Z duchami. — A ty — czy wczora
 Oświadczyłeś się Księżniczce?

LEON.

Nie śmiałem, ojczu kochany!

REGIMENTARZ.

Głupiś! — więc ja cię wyręcę.

LEON.

Ojczu!

REGIMENTARZ.

Aniś do kieliszka

Ani do — — serce zajęcze!

Na sygnet Świętego Franciszka

Przysięgam! że cię zaręcę

Dziś jeszcze, tym oto krwawnikiem

(Ciągnie pierścień i wychodzi.)

LEON.

Semenko — siądź za stolikiem

I do Gruszczyńskiego napisz

Ekspedycję.

(Wychodzi.)

SEMENKO.

Dobrze panie!

(Zruca burkę i siadając przy stoliku pisze —)

Złoty j Lach. Ot, czart i Papież

Na moje edukowanie

Musieli łożyć pieniądze.

Oj — staremu ja szlachciurze

Taką wannę przyporządę,

Takiem pismem się przysłużę,

Taki bodjak mu przyczepię —

Że oj, wspomni on w *W* purpurze

Ten dziad, cały w krwawych ranach.

Jak mię kiedyś bił na stepie,

Szukając skarbów w kurhanach.

Stary dziad, żalony sknera!

Bywało, chłopcy odziera

I plecy nahajem porze,

A złoto w szkatule dusi —

Každy dzień mówi — wyorze

Pereleczkę dla Salusi

I turkusik da błękitny;

Albo pasek aksamitny;

Aż, powiada, moja córa

Cała w perłach i w brylantach,

Będzie grzebała jak kura

W księciach i grafach amantach.

Ot, i wybrała szczyglica,

Nim szesnastu latek doszła,

Gacha przy blasku księżyca,

Z którym sobie za mąż poszła

Bez barwinku i bez księdza —

Tam stary w stepach się pędza

Za wiatrem i rzezuniami:

A tu młokos dziecko plami

Na respekcie w ojca domu.

A ja — a ja — a ja ginę

Z miłości! (Nalewa szklanę rumu i pije.)

Hej, szklanę rumu!

Ot za tę jedną dziewczynę
 Gdyby słowo miłe rzekła,
 Skoczywby jak czort do piekła,
 Wyrezałby dwór i pany.

Był ja niegdyś wychowany
 Na Hetmana nie na chłopą;
 Choć syn Gruszczyńskiego Popa,
 To bywało na kurhanie,
 Kiedy koń nademną stanie,
 A miesiąc w oczy uderzy:
 To ja sobie śnił z rycerzy
 Wielkie hufce, błyskawice,
 Rusaleczki i księżyce!
 Hej, i zamek na Ostrowie,
 I hetmański miecz w alkowie —
 A ja wtenczas pan mieczowy .
 Wyśnił sobie, snem Widuna,
 Od miecza jak od pioruna
 Wyzłoczone dno alkowy.
 I w tej wielkiej ognistości,
 W tym oblasku i rubinie
 Śnił ja siebie przy dziewczynie,
 Pełnej wiary i miłości;
 A to była jakaś nowa
 Blaskiem od miecza królowa.
 Jakaś wielka hetmanowa.
 Jakieś serce bohaterne,
 Zapalone, na śmierć wierne,
 Na atlasach, na kobiercu,
 Bijące mi tuż przy sercu

A dziś co ja? Kozak dworny
 Rzeński, śmiały i przezorny,
 I do korda i do czaszy,
 Lecz nie długo sługa Laszy!
 Hej! kozaczek wasz nastraszy
 Pany Lachy — taj w godzinę
 Ruszy całą Ukrainę
 I z królem ją rozgraniczy —

(Wbiega Panna SALOMEA GRUSZCZYŃSKA.)

SALOMEA.

Semenko!

SEMENKO.

Od jej słodczy
Serce mi pęka. — Szczę Panna?

SALOMEA.

Troska jakaś nieustanna
Dreńczy mię. Ciągłe sny miewam,
Chociaż przed każdym usnięciem
Głośno Anioł Pański śpiewam. —
Ciągłe sny, których pojęciem
Wytłomaczyć już nie mogę —
Ojciec mię także niebogie
Przestraszył tym Wernyhorą,
I sen znowu spędził z powiek,
Wiedz mi, co to za człowiek?
Czy go znasz? skąd mu się biorą
Te wróżby?

SEMENKO.

Z ducha panienko.

SALOMEA.

Kiedy ja byłam małą,
To o nim słyszałam wiele.
Powiedz mi, czy on bywa w kościele?
Czy się modli do Najświętszej Panny?

SEMENKO.

Czort wie —

SALOMEA.

Czart wie? ach jaki ty błąd!
Lękam się go — czy ty chory, czy ranny?
Ach!

(Semenko nagle gasi świecę, Salomea zląknięta ucieka.)

SEMENKO.

Ptaszynę małą ja spłoszył —
Taj nie da z tą Laską rady
Człowiek, póki się krwią nie spanoszył.

(Siada znów na ławie i udaje dtzemiącego. Wchodzą REGIMENTARZ i KSIĘŻNICZKA będąca u niego na opiece.)

REGIMENTARZ.

Dosyć tu srebrnych blasków od księżycyca
Moja księżniczko; bo na to co powiem
Płonie się każda dostojna dziewica.
Mój syn przepłaci tej miłości zdrowiem,
Jeżeli serca dla niego nie ruszysz —
Chłopca mi moja piękna panno suszysz!

KSIĘŻNICZKA.

Syn mię acana nazywa księżycem,
A księżyc ani suszy, ani grzeje.

REGIMENTARZ.

Więc mi chłopczyzna oszaleje,
Ciągłe pod twem rozwidnionem licem
Na białe, srebrne strzały wystawiony

KSIĘŻNICZKA.

Lecz mówi, że ja księżyc jest czerwony.

REGIMENTARZ.

Być może, moja dowcipna dziewczynko!
Czerwony, bo ty jesteś Ukrainką,
A Ukraińskie miesiące w czerwieni.
Zresztą nie mogę w dowcip iść zapaśnie. —
Jak się syn z białym miesiącem ożeni —

KSIĘŻNICZKA przerywając.

Będzie zaćmienie wielkie — miesiąc zgaśnie.

REGIMENTARZ.

Dobrze! — po ciemku kochać się będziecie.
Weź ten pierścionek —

KSIĘŻNICZKA.

Zarzuć go w śmiecie.

REGIMENTARZ.

Nie rób acanna sobie z tego śmieszek,
Bo to jest krwawnik, mój Święty Franciszek —
Sygnet cudowny przez dziada mi dany,
A tak przez usta już wycalowany
Że świętych rysów na nim ani śladu.
Usteczek twoich pierścionek, uwity
Z róż i perełek, będzie tak zużyty.

KSIEŻNICZKA.

Więc go drugiemu oddam.

REGIMENTARZ.

Daj cię gadu! —

Jakaś dowcipna! — tego nie chcę wcale. —

Powiedz mi kiedyż wam hymnem zapalę?

I wniosę pierwszy za zdrowie kieliszek.

KSIEŻNICZKA.

Jak się pokaże ten Święty Franciszek,

Zejdzie z pierścionka i ślub da w kościele.

REGIMENTARZ.

Czasu ci nie dam dziewczyno tak wiele —

Jutro mi staniesz przed wielkim ołtarzem.

Nie darmo jestem tu regimentarzem:

Zregimentuję was do posłuszeństwa.

Dziwno! że wszystkie Waćpanny błazeństwa,

Tak mi są mile, jakby głos słowika!

KSIEŻNICZKA.

Więc jako wdowiec oświadczyć mi się z ręką,

A ja ci wrócę twojego krwawnika.

REGIMENTARZ.

Co za szalona i głupia dziewczyna!

Jak to? więc wolisz mnie niż mojego syna?

KSIEŻNICZKA.

Nie wiem co wolę, namyśleć się muszę.

Skowronków pełną wiosennych mam duszę,

Kapryśną jestem i trudną dziewicą.

REGIMENTARZ.

Więc się namyślaj moja kapryśnico —

Ale nad suknią, nie zaś nad małżonkiem.

(Wychodzi.)

KSIEŻNICZKA.

Otóż zostałam z szlacheckim pierścionkiem!

I sprawdzają się widzenia —

I świat jest z duchami zgodny.

Bo krwawość tego pierścienia

Świadczy o tem, że to pierścień rozwodny.

Bo ta kropla, z Dejaniry
 Koszuli na mnie skapana,
 Dawno mi przez srebrne liry
 Była już zapowiadana. —
 Widzę na palcu człowieka
 Ten pierścień; w ciało się wjada,
 I do kości dłoń wypieka
 I z węglem, z ręką upada.
 Ach i widzę, ach i słyszę
 Jeszcze głos lirnego dziada
 Co jak dumka na sen mię kołysze.
 Ach i wioszczaną ulicą
 Leci rycerz — tak, że chaty
 Miecza jego błyskawicą
 Oświecone, świecą w sadach
 Jak złoto-różane kwiaty —
 Ach i śpieszy po lewadach
 Dziad do wesela potrzebny,
 Podarunek niosąc srebrny.
 A za nim co? — Drużka trupia —
 O! Boże jaka ja głupia,
 Że o snach marzę ogniście!
 Jak gdybym z duchami żyła;
 Gdybym w świecie rzeczywiście
 Takie głupstwo popełniła,
 Że choćby się teraz dręczyć
 I być braną przez miłość i trwogę:
 To już ani się zaręczyć.
 Ani żoną być nie mogę.

(Spostrzegając Semenkę)

Jezu! kozak się rozczuchał,
 Zginionam — jeśli podsłuchał,
 Jeśli mi stanie za świadka,
 Że gdy słońce zejdzie z czoła
 To ja nie zawsze wesola,
 Ale czasem jestem smętna warjatka —
 Semenکو!

SEMENKO, udając że się budzi.

Czegoż potrzeba Księżniczce?

KSIĘŻNICZKA.

Świętojańskiego robaczka w różyczce,
Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,
Fenixa, myszki białej, krokodyła,
Sługi i Pana, smutku i zabawy.
Czy ty służyłeś pod chorągwią Sawy?

SEMENKO.

Nie, ale znam go.

KSIĘŻNICZKA.

Jakże on wygląda?

Czy na barana, czyli na wielbłąda?

Czy na kozaka? czyli na szlachcica?

Czy jest jak chmura? czy jak błyskawica?

Czy z oczów jemu patrzy chłop, czy księżę

SEMENKO.

To patrzy co mnie —

KSIĘŻNICZKA.

Ach! to być nie może,

Bo tobie z oczów popowicz wyziera.

SEMENKO, na stronie.

Ach ty proklata!

KSIĘŻNICZKA.

Przebac mi, ja szczerą —

Z tobą się o ten pierścionek założę

Że ty syn popa.

SEMENKO.

A jak ja syn czarta?

KSIĘŻNICZKA.

Jezu! ten człowiek gotów mię zadławić!

(Ucieka.)

SEMENKO.

Budesz ty sto hroszy warta,

Jak pozwolę się pobawić

Moim chłopom po zamczysku —

Jak z kosami potańcujem

Po nocy, na smętarzysku,
Taj w sobie czarta poczułem —
(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Las dębowy — oświecony księżycem — między drzewami palą się ognie i żołnierze polscy gotują strawę — albo czyszczą konie. Wchodzą na scenę STARY GRUSZCZYŃSKI i pewien wojak PAFNUCY.)

GRUSZCZYŃSKI, do obozujących.

Na tej się leśnej lewazdie
Rozłożmy Mości Panowie.
Miesiąc do snu ludzi kładzie —
Trzeba dbać o koni zdrowie,
I od rosy strzedz pałaszy.
Zgotujcie jaglanej kaszy,
Zaśpiewajcie hymn powstański;
A śpiewem na Anioł Pański
Zakończy tę wieczornicę —
I sza! noc przepędzić cicho.
Bo po lasach nie śpi lichy,
I można bez ostrożności
Zobaczyć swój łeb na tyce.
Bo to wojna bez litości —
Z orłami biją się krucy.

(Wychodzi na scenę.)

Mości wojaku Pafnucy!
Siądźmy tu na osobności —
Muszę pomówić z Waćpanem.

(Siadają.)

PAFNUCY.

Słucham, stary mój kolego.

GRUSZCZYŃSKI.

Więc bez exordu żadnego
Jak gdybyś był kapelanem!
— Co być bardzo może — bo się
Dominus vobiscum niby
Przebija w Acana głosie —
Powiem ci, że jakieś grzyby

Smutku na sercu mi rosną.
 Oto Panie, z przeszłą wiosną,
 Gdy były trąby wojackie,
 Na hasło konfederackie,
 Nie poszedłem. — Tak to bywa
 Że starość radzi leniwa
 A potem żal człowiekowi —
 Bar upadł! Bar upadł, Mocanie!
 Zaufali Chrystusowi
 A upadli! —

PAFNUCY.

Na kolanie

Pokutuj Waśc za te słowa.

GRUSZCZYŃSKI.

Świątynia to purpurowa
 Pokuty, pierś moja stara,
 W której się serce rozpara
 Na wszystkich szwach, krwią lejące!
 Bo serce było gorące,
 Jak zwyczajnie w starym Lachu,
 Ufne — a teraz w przestraczu
 Do chmur wygląda nieśmiało.
 Pod bicz ofiaruje ciało,
 A jednak, ptaszyna licha
 W piersi mojej ledwo żywa,
 O odwrócenie kielicha
 Modli się. Bo kto używa
 Żywota, obok potoku
 Którym sprawy Boże płyną!
 Kto chce spokojny, z rodziną
 Swoją kość gdzieś gryźć na boku,
 Wiejskich kosztować słodczy:
 Choć się nie policzą ludzie,
 To się Bóg z takim policzy —
 A już wspomniałem podobno
 Aści o posepnym cudzie,
 Który mi rodzinę drobną
 Nastraszył. — Rzecz niesłychana!

PAFNUCY.

Chrystus do do domu Waćpana
Zapukał? —

GRUSZCZYŃSKI.

Trzy razy! trzy razy!

PAFNUCY.

Mocanie, to są rozkazy,
Którym oprzeć się nie można.

GRUSZCZYŃSKI

Toż widzisz mię Wać na koniu!
Choć rodzina o mnie trwożna,
Żona w ciąży — na ustroniu
Dom obok czarnego lasu.
A kiedyś siadał na bryczkę,
A dzieci aż pod kapliczkę
Biegły za mną: to się z pasu
Irysowego widomie
Odkryła jasność na domie,
Na którą dziatki łakomie
Patrzyły, aż zdjęte strachem
Krzyknęły: że widzą nad dachem
Jakąś nową tajemnicę,
Jakąś gorejącą świecę,
Co je bardzo niepokoi,
Bo nad samym domem stoi,
Jak krwawe serce z płomyków. —
Na co ja patrząc, zmaluchłał
I z dziatkami razem struchlał.
Bo nad domem nieboszczyków
I nad chatą ludzi chorą
Często takie światła gorą —

PAFNUCY.

Pan Bóg litośniejszy bywa —

GRUSZCZYŃSKI.

Toć ja ufam, i leniwa
Dusza się krzepi nadzieją.
Wszakże gdybym tu ja zginął,
A duchy świecy nie zwieją

Z dworku, gdzie mi wiek przeminął
 Tak słodko przy mej rodzinie;
 Gdziem ja miał ojcowskie graty
 Jeszcze wzięte na Turczyźnie,
 A pod dąb mój rosochaty
 Wodził gości — i pił kawę
 W dawnych, starych roztruchanach;
 Pacierz mówił na kolanach,
 Córkom gotował wyprawę —
 Jeśli to wszystko pójść musi
 Z wiatrem — pomnij o Salusi
 Bądź dla niej jak ojciec szczerzy,
 I groźny jak ojciec drugi.
 Bo te skrzydlate chimery
 Gotowe złotemi cugi
 Przybyć po nią, z pieśnią słodką,
 I dzieciątko moje ciche
 Jakby jaką drugą Psychę
 Zrobić maleńką szczebiotką,
 Którą za skrzydełka złote,
 Strzepotane, Kupid chwyci —
 A potem gdy się nasyci
 To wypędzi na ciemnotę.
 Rzuci gdzie jak dzban rozbity! —
 Pamiętaj! to dziecko krwiste,
 Oczęta ma przeźroczyście,
 Zielone, jak selenity;
 A zdają się na zuchwałość
 Podwozić szatańskie wzroki —
 A taka płci wielka białość!
 A takie gorsu uroki!
 Że się boję o nią — boję!
 Bardzo boję! —

PAFNUCY.

Bądź spokojny —

GRUSZCZYŃSKI.

Powiedz, że ja przy niej stoję
 Zawsze — choćbym pozbył ciała,

To w anielską palmę zbrojny
 Stane — i będzie słyssała,
 Jeśli się złego dopuści,
 Mój głos z piekielnej czeluści
 Wołający.

PAFNUCY.

Nie wróż smutnie.

GRUSZCZYŃSKI.

Bo to widzisz, po tych dworach
 Są Włochy dzwoniące w lutnie,
 Ubrane w różnych kolorach
 Niby djabli, w opalowych
 Zbrojach, a wewnątrz zepsuci
 Ci dziewczątka świeżych, zdrowych
 Szukają — żądłem je wabią
 Aż ptaszeczek im w gardło się rzuci —
 A są jeszcze sztuką babią
 Zajęte, stare matrony,
 Co porzuciły robrony
 I kornety — a te dziecku,
 Już ubrane po niemiecku,
 Straszne czasem dają rady —
 Gdzie je widzę w strusich kitach
 Chodzące prawdziwe gady,
 Tobym się na tych kobietach
 Pastwił! szelmy niegodziwe!
 Prawdziwie są djablą milicją.

(Wchodzi KOZAK regimentarski.)

Skąd ty kozak?

KOZAK.

Z ekspedycją.

Od dworu —

GRUSZCZYŃSKI.

Czemu tve ślipie

Takie jasne, takie krzywe?
 Czyś się spił na jakiej stypie?

KOZAK.

Witrom spity.

(Odechodzi. Gruszczyński obraca się ku ogniovi i list czyta.)

PAFNUCY.

Co się zdarza

Waćpanu? bledniesz czytając —

GRUSZCZYŃSKI.

Pieczęć jest Regimentera

Lecz list? — Czy on urągając

Pisał? czy był śmierci blisko? —

Hej rozpalić tam ognisko! —

Niech lepiej te charaktery

Wyczytam —

PAFNUCY.

Nie zmieniaj cery.

GRUSZCZYŃSKI.

Mocanie! pies pod podwórzem

Nie raz lepiej traktowany! —

Patrzaj! — nazywa mię tchórzem! —

Na czyste Chrystusa rany,

Którym ja się krwią zadłużył —

Klnę się — powiada żem stchórzyl

Żem zleniwiał, że — sto beczek

Krwi mojej na ludzi tych głowie! —

Piszą: żem z chłopami w znowie

Że — — będę mały człowieczek

Nie człowiek, jeśli przebaczę!

PAFNUCY.

Daj Aść — niech list zobaczę. —

(Bierze list.)

To ręka i styl jest sługi

GRUSZCZYŃSKI.

Na pieczęć patrz! — krwawe strugi

Acherontu z ognia i krwi!

Na te słowa marszczę me brwi

I trzęsę światem. — Ja tchórz! —

Otóż to tak, ludziom służ,

Nocuj w lesie pod namiotem

To cię obrzucają błotem! —

Otóż to tak z ludźmi temi
 Nowego serca i wiary!
 Kazali ciągnąć w te jary —
 Ciemny komin, loch na ziemi;
 Gdzie wiem, że pewna zasadzka.
 I cała czerń hajdamacka
 Zasadzona!

PAFNUCY.

Więc im szczerze
 Odpisz — ja z listem pojadę.

GRUSZCZYŃSKI.

Ja mazałbym po papierze?
 Ja! — oskarżony o zdradę —
 Nie krwią, życia fundamentem
 Bronił się? — lecz atramentem? —
 I piórem z gęsi ogona?
 Nie mocanie! — krew czerwona!
 Ten mózg pod chłopów obuszkiem!
 Mózg i krew ta na ich głowy:
 A potem duch purpurowy
 Z rozdartą piersią nad łóżkiem!
 I niech im Pan Bóg da zdrowie. —
 Ja tchórz. — Na koń! do szabel Panowie!
 (Wybiega i widać go ruszającego obóz.)

PAFNUCY, sam.

O, wielki Boże! sprawdzać się zaczyna
 Domowi temu wróżona ruina!
 I Chrystusowe do drzwi zapukanie,
 Karcące późne krwi ofiarowanie,
 Spełni się jako straszliwa nauka,
 Dla czekających aż Pan Bóg zapuka —
 Leniwy starzec był — teraz ognisty.
 Więc choć to pewno zmyślone są listy,
 Teraz go w małej mogile położą
 Za to, że wzgardził wielką sprawą Bożą.
 Lecz sądy Boże są nieprzewidziane!
 Cokolwiek będzie — piersią przy nim stanę.

(Wychodzi.)

ZMIANA II.

(Noc — ogród nad stawem — księżyc świeci. Wchodzi LEON w głębokim dumaniu.)

LEON.

To już ostatnia będzie schadzka nasza!
 Ostatni raz czekam na nią.
 Człowiek skarb serca rozprasza —
 Każda chce mu zostać panią
 Wieczną — a tego nie zgadnie,
 Że gdy raz łatwo upadnie,
 To później chyba pod kłódkę
 Człowiek zamknie taką żonę.

Na te dzieciątko stracone
 Jak na małą niezabudkę
 Księżniczka patrzy z wysoka,
 I ze mnie nie spuszcza oka!
 A kiedy uczyni wzmiankę,
 To mię tak śmiechem uderza,
 Jak gdybym kochał sielankę,
 I sam wyszedł na pasterza.
 Sali prosta jest i wierna —
 Ale w najprościejszej leży
 Taka obluda misterna,
 Tyle gołębiej odzieży,
 Taki kalkuł na dnie duszy,
 Taki instynkt oszukaństwa,
 Taka chciwość blasku, państwa,
 Taka głęboka nauka
 Zadawania ci katuszy!
 Że wierność ich — jest to sztuka,
 W którą czort oczy pochował.

One wiedzą, że to ołów,
 Co by samych Archaniołów,
 Wisząc u skrzydeł, zmordował —
 One z tem na świat przychodzą,
 Wiernością nudzą, lub zwodzą,
 Obdzierają nas z odwagi —

Liczą na litość! — od matek
 Nauczone, że ten statek .
 I lzy, to są ich posagi. —
 Nim się ze światem obezna
 Każda wie, że woń w narcyzach
 Jest drogą, że mąż ją zezna
 I zapisze w intercyzach
 Ewikcjonując wyprawę.
 Najprzód je widzisz ciekawe
 Twego serca, słów niebacznych;
 A do przyrzeczeń dwuznacznych
 Podchwytywania umiętne;
 Potem, widzisz nagle smętne,
 Ze lżą co się w oczach kręci:
 A pełne dziwnej pamięci —
 Książki, gdzie w papier różany
 Sam przez siebie jest wpisany
 Wszystkimi giesty i słowy,
 Wkuty — jak w kamień grobowy
 W ich pamięć — już nie gorący,
 Ale przez ten papier ssący
 Z ognia, z kolorów wypity —
 Kwiat zwiędły w sercu kobiety.

I ty, co z gwiazdy pochodzisz,
 One dowiodą żeś marny,
 Głupi — żeś jak szatan czarny,
 Że dla nich tylko się rodzisz.

(Wchodzi SALOMEA.)

SALOMEA.

Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

LEON.

Tak jak zawsze — ogień w głowie?

SALOMEA.

Ty wczoraj już byłeś dziki!
 Już na miłość niepamiętny,
 Bardzo dla mnie obojętny —

LEON.

Wczoraj to były ogniki —
Dziś ogień — dziś gorszy jeszcze —

SALOMEA.

Daj rękę — ja cię popieszczę,
Zamówię i uspokoję —

LEON.

Nie nie, słodkie dziecię moje!
Ot byś lepiej szła nabożna —
Do stu djabłów! tak nie można
Życ dłużej! — Czy my cyganie?

SALOMEA.

Powiedz, cóż się ze mną stanie?
Cóż ja nieszczęsna uczynię?

LEON.

Co? — miłość twoja przeminie —
Dasz sobie na świecie radę!
Pójdiesz za mąż — ja przyjadę,
Jeśli na wojnie nie zginę,
Przyjadę kiedyś w gościnę;
A ty wtenszas moja miła
Przyjmiesz mię, będziesz za siostrę.

SALOMEA.

Słowa twoje bardzo ostre. —
Jam się dziś szczerze modliła
Za ciebie —

LEON, na stronie.

Baran do rżnięcia!

SALOMEA.

Ty nie masz ani pojęcia,
Co to jest modlić się za tych,
Co nas gubią?

LEON.

Roskosz czysta!
Roskosz aniołów skrzydlatych.
Dla drugich zaś krzyż i ognista,
Męka, jeśli są modlitw nie warci —

Gdyby to wiedzieli czarci,
Mówiliby zawsze różańce.

SALOMEA.

Ach! piekielni obłąkańce,
Więcejby litości mieli!

LEON.

My nie jesteśmy Anieli
Ani ja — ani ty — mała!

SALOMEA.

Jeśli ja tej gwiazdzie widna,
To pewnie się rozplakała
Widząc mię — jaka ja biedna!

LEON.

Doskonała! doskonauła!
Gwiazd wzywa! z kwiatami gada!

SALOMEA.

Wiesz ty dla czego ja blada? —
Ja chora.

LEON.

Cóż ci dolega?

SALOMEA.

Nic —

LEON.

Spuściłaś na dół oczy?
I łza ci po rzęsach zbiega?

SALOMEA.

Ach! niechaj się ta łza stoczy —
Niechaj obmyje sumienie — —
O Panie! choć oburzenie
Czuję dla twojej srogości
Jeszcze o trochę litości
Proszę, a to ci wynurzę
O czem dotąd same róże
I gwiazdy tylko wiedziały,
Otóż słuchaj. — Na kawały
Serce się biedne rozpęka,
A jeżeli moja męka
Ciebie nie skruszy? to będzie

Cud — albosć ty jest narzędzie
 Którym Pan Bog mię ukarze. —
 Dwa temu tygodnie — śnię ja
 Że matka moja mi każe:
 Abym ja u Dobrodzieja
 Gruszczyńiec, twójego taty
 Prosiła dla niej o konie,
 Bo ją człek jakiś brodaty
 Ściga, straszy, chwyta w dłonie
 I — rzekła to najwyraźniej,
 Jakby przestraczem wzdrygnięta —
 Jeśli się Salusia zbłąźni,
 A prośby tej nie spamięta,
 To będę z dziećmi zarżnięta —
 To rzekła: i we mgłę wsiękla.
 A ja zbudzona, przelekleła,
 Myślałam czy prosić czy nie —
 A najprzód wstyd był dziewczynie.
 Mówić o snach i o marze,
 A potem: — — jak ja się ważę
 Stać tu na takiej spowiedzi? — —
 Myślę: jak tu nas odwiedzi
 Matka, a spojrz mi w oczy!
 To mi rumieniec wyskoczy;
 A ona słowa po słowie
 Wypowiada, drżąca trwogą;
 I zapewne nic nie powie,
 Ale na mnie spojrz srogo,
 Wzrok jak nóż w sercu obróci,
 Zada mi boleści krocie:
 Zacznie coś gadać o enocie,
 Z gorsu mi różę wyrzuci,
 Każe włosy pleść inaczej,
 Robotę na dzień naznaczy,
 I będzie patrzała z boku
 Na lzy kręcące się w oku! —
 A ja — o Jezu kochany!
 Nie będę już do altany

Mogła biegać nocną dobą,
 Ani się widywać z tobą,
 Co wieczora pod tą hrzozą,
 Pod tą czarną altaneczką —
 I może mię gdzie wywiozą,
 Albo z jakim siejo-hreczką
 Ożenią. — To o tych rzeczach
 Gadałam ja sobie w nocy;
 I spałam jakby na mieczach,
 A budziłam się bez mocy,
 Jak ukraińscy Widuni,
 Którzy ciągle widzą trupy.

A wstydziłam się też kupy
 Dziełek — i ślepej babuni —
 Tu, gdzie takie toalety,
 I woskowane parkiety:
 A ona co po jaskółkach
 Świegotaniu deszcze wróży,
 Albo się w krześle na kółkach
 Każe wozić po ogrodzie — —
 Tu ja — w atlasie, przy róży
 U boku, ja, panna w modzie,
 Ze złożonym wachlarzykiem
 Musiałabym — myślę sobie —
 Wozić ją i ach — przy tobie
 Mówić z nią chłopskim językiem —
 Bo ona po polsku nie umie.
 To bywało, w sercu tłumię,
 Przestrachy moje tajemne,
 Zgryzoty, przeczucia ciemne,
 I te sny nazywam marą:
 Lecz w noc i w godzinę szarą
 Myślę i myślę o domu
 Pełna niepojętej troski!
 Ach — i do Matki się Boskiej
 Modlę we łzach, i nikomu
 Nie mówię; lecz drzę i płaczę.

Otóż ja tej matki Panie
 Może nigdy nie zobaczę!
 Bo dziś pod samo zaranie
 Śniła mi się gdzieś, w pustkowiu,
 Potem tu, cała z ołowiu
 I w ołowianej spodnicy,
 Niby z perłowej macicy
 Z jednej perły była cała.
 A twarz zwiędła i schorzała
 Także koloru ołówka,
 Była już jak trupia główka,
 Na krzyżu wyrysowana.
 Tu szła Panie — tu — tą stecką —
 A ja w tej róży schowana,
 Drżąca, jak maleńkie dziecko
 Które się przestraszy dziada;
 Co główkę z liści wysadzę
 A ujrzę że ona blada
 Idzie: to chowam się w ciernie,
 Oczyma za nią prowadzę,
 Zziębła i blada niezmiernie,
 Cierniami cała pokłuta.
 Bijąc się jak słowik w nocy,
 Gdy w klateczce spadnie z druta,
 Chce latać i nie ma mocy,
 Tylko się trzepocze w klatce —
 Tak ja Panie mojej matce
 Dziwiąca się, strzepotana,
 Chowałam się w krzaku skryta:
 Cała zziębła i rumiana,
 Jak czerwona włóczka zwita
 W kłębuszek. — I cóż ty na to?

LEON.

Salinka będziesz bogatą.
 Srebrny sen bogactwo wróży.
 A że się chowałeś w róży
 To dobrze, pisano w górze
 Że w tem życiu będą róże.

SALOMEA.

I ciernie?

LEON.

I ciernie będą.

SALOMEA.

Otóż ty mię złotą wędą
 Panie ułowileś sobie,
 I porzucić chcesz jak widzę?
 Ale póki ja nie w grobie,
 To się ty nie możesz żenić.

LEON.

Jakto?

SALOMEA.

Bo ja cię zawstydzę —
 Sama się będę rumienić,
 Sama się wstydem ukarzę,
 A ciebie publicznie oskarżę.

LEON, na stronie.

Co slysze! wejdźmy z nią w targi.

SALOMEA.

Słuchaj! i będą dwie skargi
 Z jednych ust przeciwko tobie.

LEON, na stronie.

Co ja z tą dziewczyną zrobię?

SALOMEA.

Z jednych ust wyjdą dwa głosy.

LEON, na stronie.

Ach, wrywać teraz włosy!
 I z boleści kęsać ręce! —

SALOMEA.

I zaręczyny książęce
 Ja zerwę — zerwę szalona!
 Bom jest na to podmówiona
 I udarowana mocą
 Przez duchy — co tu w altanę
 Weszły i tam się trzepocą,
 Jak gołębie krwią zwalane,

O ten liść otarty, suchy,
Jakieś białe krwawe duchy!

(Odchodzi.)

LEON, sam.

Co? czy w obłąkanie wpadła?
Czy widzi krwawe widziadła?
Albo li też chce udaniem
I aktorskiem obłąkaniem
Sumienie ciężej przywalić?
Na Boga! to nowa sztuka
Niewieścia! — Serce rozżalić,
Potem jeść je dziobem kruka
I rozdzierać, aż zaboli,
Aż własnej zbędzie się woli.

(Wchodzi SEMENKO.)

SEMENKO, na stronie.

Podśluchałem ich w altanie.

LEON.

Ach, Semenکو!

SEMENKO.

Jasny Panie!

LEON.

Chodź tu, Semenکو kochany!
Bóg mi cię pewno przysyła.

SEMENKO, na stronie.

Skarży czort.

LEON.

Ot, z tej altany

Tylko co tu wyskoczyła
Tego Gruszczyńskiego córka,
Z którą ty nieraz mazurka
Tańczył — i tej młodej pani
Zasługiwał się, figlował.
Ja wiem, że ty nieraz dla niej
Twoje dumki komponował,
I pod oknem w torban dzwonił —
Ot, i teraz się zapłonił
Jak dziewczyna?

SEMENKO.

Ta, czy druga!

Ja nie szlachcic, ale sługa,
 Kozak pański, król na stepie,
 Szukam gdzie serce przyczepię:
 A nie można? Jeśli Laszka
 Wyżej sobie okiem mruga
 I złotego łowi ptaszka:
 Tfu! to dla mnie ta, czy druga!

LEON.

Ja wiem — ale ta dziewczyna
 Nie wyszła z pod adamaszków;
 To równa tobie chudzina,
 A ty chwat do takich ptaszków.
 Gdyby ty chciał, tobyś miał ją —
 Spróbuj tylko.

SEMENKO.

Czart by chciał ją!

Na co mi się piąć do państwa —!
 Z asawulstwa i poddaństwa
 Kontent jestem — i ze służby
 U panicza.

LEON.

Ah! ty jużby

Tej szlachcianki mi odmówił!
 Cóż? naprawdę, mój Semenکو?
 Jam z nią w tej altanie mówił,
 I serduszko miał pod ręką,
 Kiedy wspomniałem o tobie —
 Rzekła: nie — ale tak cicho,
 Że mię aż porwało лихо,
 Bom ją kiedyś ja sam lubił —
 Lecz takiej biednej chudobie
 Nie mogłem — bobym się zgubił
 U ludzi — oświadczyć z ręką.
 Ot, ja sobie z tą maleńką
 Igrał, póki było można;
 Lecz to dziewczyna pobożna,

Święcie w domu wychowana.
Gdybyś ty miał ogień w kości,
To wyszedłbyś z nią na pana,
I przyszedłbyś do miłości.

SEMENKO.

Zróbcież mnie, paniczu, panem —
Jeśli chcesz.

LEON.

A chcesz? to zrobię —

Osadzę gdzie nad limanem,
Dam ci futór na początek.
A wam, jak biednej chudobie,
Bóg pomoże i dzieciątek
Wam naszle, które z zapału
Gniewnego ojca ostudzą.

SEMENKO, padając do nóg z udanym płaczem.
Nech tobi Boh!

LEON.

Stój — pomału! —

Trzeba z tą perełką cudzą
Ostrożnie — chociaż to cuda,
Jeśli to nam się nie uda,
Jak się dobrze weźmiem oba —
Ona ciebie upodoba —
Ja wiem — znam ją — z iskier cała —
Gdyby teraz nie kochała,
To cóż, że trochę zaszłocha?
Jak przywyknie, to pokocha —
Jak z tobą w stepach zagości —
To step — ach, step! Raj w miłości
Z taką szlachecką panienką! —
Cóż głupcze? cóż ty Semenکو?
Czy nie myślisz o kochaniu?

SEMENKO.

Ach, ja Panie w obłąkaniu!

LEON.

Nie bądź głupi — —

SEMENKO, znów rzucając się do nog,

Ja twój sługa — —

LEON, podnosząc go i biorąc pod rękę.

A co? a co? — ta, czy druga? —

(Wychodzą.)

A K T II.

(Noc miesięczna w ogrodzie. — Wchodzi KSIĘŻNICZKA i służąca ANUSIA.)

KSIĘŻNICZKA.

Moja Anusiu, siądźmy w tej altanie.

Sama się bóję chodzić po ogrodzie — —

ANUSIA.

Czy strach Panience?

KSIĘŻNICZKA.

Powiedz mi, czy w modzie

Teraz u ludzi słowików śpiewanie?

ANUSIA.

Nie, Panno — teraz w modzie klawikordy.

- KSIĘŻNICZKA.

Głupiaś! — W zapachu kwiatów są akordy

I różne wielkie na świecie muzyki. —

Powiedz mi, czy dziś w modzie są krwawniki?

ANUSIA.

Tfu! to horrendum, małej szlachty kamień.

KSIĘŻNICZKA, dając jej pierścień Regimentarza.

Więc mi ten pierścień krwawnikowy zamień

Za pierścioneczek chłopski, srebrny, gładki —

A choćby z kilku szkiełek były kwiatki,

Weź go i przynieś mi, proszę, do parku — —

ANUSIA.

Jak to? prostego pierścionka z jarmarku?

Skądże Księżniczce to dziwne zachcenie?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem; nie powiem że miałam widzenie,
 Bo widzeń żadnych, ani snów, nie mówiam;
 Choć często bardzo drzemię i poziewam,
 Łowiąc ustami, jak mówią, skowronka. —
 Dla czego ja chcę srebrnego pierścionka?
 Może mię jakiś kozak ze snu budzi,
 Może ten kamień krwawnikowy nudzi,
 Może na palcu krwi kolorem straszy.
 Ach! zgub ten sygnet, albo zjedz go w kaszy —
 Albo gdzie zamień na pierścień najprostszy.

ANUSIA.

Panienska moją ciekawość zaostrzy.

KSIĘŻNICZKA.

Więc zrób z niej do krosien nożyczki.

(Anusia wychodzi z pierścieniem.)

Róże i nieśmiertelniczki,
 To są moje lube kwiaty!
 Adonisy i granaty
 Lubię i z malw piramidy;
 Lecz gdybym mogła z opalów,
 Z pereł, brylantów, z karniołów
 Pleść jako Oceanidy
 Wieniec, na zielonej fali;
 Albo z siarki, co się pali,
 Robić powój pasożytny —
 I włos długi rozczesany,
 Owijać w ten kwiat błękitny,
 Palący się, kwiat siarczany!
 I pokazać się tej szlachcie
 Taką, jaką w myślach jestem —
 Nazwaliby mnie asbestem,
 I w moim ślubnym kontrakcie
 Zawarowałiby sobie:
 Że w domu ognia nie zrobię,
 Wioski nie spalę zarzewiem.
 Skąd mi ten duch? Sama nie wiem —
 To wiem tylko, że mię nie to

Bawi, co tych ludzi krwistych
I że myśli mych ognistych
Mój dowcip, jest zdawkową monetą.

(ANUSIA, wraca bez pierścionka.)

ANUSIA.

Ach Panno! na nasz dziedziniec
Wjechał jakiś Ukrainiec,
Który oczy, serce grzeje
Swą rzeškością, oka blaskiem.
Widziałam jak przez aleje
Leciał z piorunowym trzaskiem,
A za nim jacyś pohańce
Nieśli czerwone kagańce —
Podobno jego lirnicy,
Dziady, w ognia błyskawicy
Świecące się jak upiory.
A wśród lip, z jego żupana,
Różne lały się kolory,
Niby od Świętego Jana,
O którym Panienka czyta
Widzenia — —

KSIEŻNICZKA.

A mój pierścionek?

ANUSIA.

O pierścionek Panna pyta?
Zgubiłam.

KSIEŻNICZKA.

Zmów trzy koronek,
A odniosą ci go duchy.

ANUSIA.

A temu co przybył Panu
Jak dać imię?

KSIEŻNICZKA.

Zawieruchy
Imię, nazwisko kurhanu,
A przydomek: ludu sława.
Ten Pan, Anusiu, to Sawa.

ANUSIA.

Sawa? ten syn hajdamaki?
To on wyrżnie nas, Panienko!

KSIĘŻNICZKA.

Chowaj się Anusiu w krzaki,
Bo już ciebie ma pod ręką —
Patrz! z Regimentarzem idą
I mówią obaj o rżnięciu.

(Wchodzi REGIMENTARZ i SAWA.)

REGIMENTARZ.

Przedstawię ciębie panięciu
Ładnemu. (Do Księżniczki.) Ty zaś, Cyprydo,
Lub Hebe, zaraz nam musisz
Nalać ze srebrzystej stągwi. —
Jest to wódz lekkiej chorągwi,
Pan Sawa — (Do sawy.) Tobie zaś powiem,
Że jej łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem
I dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda.
Nie prosz o nic — bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka;
I nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka.
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bólu głowy, snów gorących,
I takich feber trzęsących,
Że świat przeklniesz. — Dodam i to,
Że jest z mym Lwem zaręczona.

KSIĘŻNICZKA.

To fałsz!

REGIMENTARZ.

Jak to! fałsz! kobieto!
Zastanów się — ty szalona!
Podstępna znowu jak liszka!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam, żeś mi przyrzekła.

KSIĘŻNICZKA.

Sygnet rzuciłam do piekła.
Kto mi go wyrwie z płomieni
I odda, ten się ożeni.

(Odechodzi z Anusią.)

REGIMENTARZ.

Widzisz — fantastka dziewczyna
Idzie za mojego syna,
Ale się jeszcze z tem chowa,
Cóż ty na to? ani słowa?
Cóż?

SAWA.

Jaśnie Wielmożny Panie!
Winszuję — —

REGIMENTARZ.

Chodź, chodź! przy dzbanie —
Tak nie można — nie można na sucho.

SAWA.

W sercu mi teraz tak głucho
I tak ciemno, żem nie do kieliszka —

REGIMENTARZ.

Na świętego przysięgam Franciszka,
Że ci serce to wnet rozwele.

SAWA.

Krwi dziś widziałem tak wiele!
Takie straszne nieboszczyki!
Taki mord i takie zbrodnie!
Że przez całe dwa tygodnie
Z obrzydzeniem na jadło patrzę —
Pomnąc na te sine chłopczyki,
Na jakim one teatrze
Zakrwawionym czyniły horory — —

REGIMENTARZ.

Co? widziałeś wyróżnione gdzie dwory?

SAWA.

Gruszczyński.

REGIMENTARZ.

Ach, co mówisz mi Wacan?

SAWA.

Gruszczyńskiego chłop na wszystko rozpasan,
Przez jakiegoś obcego człowieka
Podżęgnięty, wyrznął całą rodzinę —
I przed mieczem w stęp ciemny ucieka.

REGIMENTARZ.

Ja tu mam na respekcie dziewczynę —

SAWA.

Więc z rodzeństwa ta jedna została.

REGIMENTARZ.

Jakto? cały dom?

SAWA.

Rodzina cała

Bez litości w pień wymordowana — —

REGIMENTARZ.

Proszę! proszę Wielmożnego Pana —
Mam panienkę tu jego dorosłą —
Trzeba, aby się to nie doniosło
Do jej uszu.

SAWA.

Nikt o tem nie powie,
Bom chorągwi zakazał surowie
Szerzyć strachu.

REGIMENTARZ.

I widziałeś dom cały? —
Biedny ojciec! —

SAWA.

O słońca zachodzie

Widząc, że mi koń mój biały
Utyka, a Ukraince
Zmęczeni, kazałem w chłodzie,
Na górze, skąd widać Gruszczyńce,
Rozłożyć się obozowi;
Sam zaś ku temu domowi
Obrócony, na te ściany
Patrząc podupadłe, stare,
Choć dom był zorzą różany,
Choć lipy i pola jare

W słonecznem błyszczwały złocie,
 Choć — ach, dotąd jeszcze śledzę?
 Czemu ja w takiej tęsknocie
 Patrzałem na kwietnią miedzę
 Idącą przez żyta wzgórkę;
 Na te łany i służebne,
 I pańskie, gdzie wróblów chmurki
 Niby harfy szare, srebrne,
 Ważąc się przez błękit błądy,
 Ulatywały na sady,
 W korony śliw i czerechów!
 Niby harfy pełne śmiechów,
 Szmerów, świegotan i głosów.
 Patrząc na te morza kłosów,
 Drzewa, miedzę: wyznać muszę,
 Że snów miałem pełną duszę,
 Widzeń miałem pełne oczy.
 Zdało mi się że ów dworek
 Powietrze błękitne broczy;
 Że wróble jakiś paciorek
 Nad tą kalwaryjską stacją,
 Jakiś smętny Anioł Pański,
 Jakąś smętną suplikację
 Śpiewają do Panny Marji.

Zostawiwszy więc powstański
 Huf, pasący stepów trawę,
 Sam wziąłem kilku z rajtarji,
 I uczyniłem wyprawę,
 Rekonesans na dwór Lacha.

A jeśli przyznam się kiedy,
 Żem w głąb serca wpuścił stracha —
 Ja, co na czele czeredy
 Rzucał się na działa smoki,
 I na spisach brał pod boki
 Żywe ruskie kanoniery,
 I z ich bladej, strasznej cery,
 Chorągwie czynił straszliwe,
 Okiem łyskające, żywe,

Z śmiertelnych ludzi zrobione —
 To wyznam, że strach miał oczy
 Większe i bardziej czerwone.
 Że mój włos, jak wichler smoczy,
 Wchodzącemu w to pustkowie,
 Wyżej podniósł się na głowie.

Niechaj Pan Jaśnie Wielmożny
 Wystawi sobie ów domek,
 Taki cichy i pobożny,
 Od Nimf lasznych, ekonomek,
 Ubrany w cebuli wianki,
 W malowane na papierze
 Obraski, miedziane dzbanki,
 Cynowe misy, talerze
 Na policach tak błyszczące
 Około ścian, jak miesiące
 Czarodziejskie, Rusałczane:
 Teraz — wszystko krwią zbryzgane!
 Co uniknęło grabieży
 Trupy ludzkie bez odzieży
 I na ziemi i na łózkach,
 Na krwią ociekłych poduszkach;
 Dziaatki porąbane srodze
 I na ceglanej podłodze
 Porzucone, i z puchówek
 Pierze śnieżące podłogi.
 Sama Pani — widok srogi!
 Dzieteczki swoje bez główek
 Za nóżki zimne, zielone
 Trzymała — ach, jedną raną
 Zabita! Bo otworzone
 Miała żywota świątnice,
 I straszna płodu zamianą — —
 Jasne stepowe księżyce,
 Biorę was za krwawe świadki! —
 Że łono tej polskiej matki
 Od straszego nożów cięcia
 Wyszło na łono szczenięcia,

I stało się psią mogiłą;
 Bo i szczenię martwe było
 Na dnie martwego żywota.

Ojczyzno moja o złota
 Ojczyzno moja kochana!
 W matkach twoich zarzynana,
 I gubiona w matek płodzie!
 Jeśli mój żywot na wschodzie
 Czego wart, to Bóg widzi
 Że go składam na ofiarę;
 I wszelką żywota miarę
 Składam — aż to co mię wstydzi
 We mnie, krew moja kozacza
 Wypłynie sotkiem strumieni,
 I na węże się przemieni,
 I ślady swe powytłacza
 Mordem, ogniami i jadem! —
 A ja wtenczas wpadnę na nią,
 I zerwę się jak gad z gadem;
 Aż stepy się rozkurhania —
 Zniknie czar, co lby podchmiela,
 Prawosławna wiara zgaśnie;
 A we mnie, jak w niszczyciela,
 Na jakim starym kurhanie
 Stojącego, piorun trzaśnie.

Strasne to ofiarowanie
 I ciała mego i ducha —
 Bo i we mnie zawierucha,
 I krwi strasznej słyhać granie!
 Bo miesiąców pozłacanie
 Ja znam także w myśli ciemnej,
 Bo ja także duch, tajemnej
 Pełny myśli, o przeszłości:
 Lecz to wotum, nie wśród gości,
 Nie przed szlachtą, przy kielichu,
 Zrobił ja, ale po cichu
 Tam, w jednej wielkiej komnacie,
 Przed babką rodu, co biała

Za frankami siedziała
 W alkwie, w ponocnej szacie,
 Jakoby Furja tajemna,
 Dawno już głucha i ciemna:
 A teraz na ten mord smoczy
 I krwiotok z ciemnej alkwie
 Wytrzeszczająca te oczy:
 Tak, jak gdyby przed nią głowy
 Dzieteczek z włoski złotemi
 Żwawe, biegały po ziemi,
 Strasząc ją razem i bawiąc! —
 Jak gdyby im błogosławiąc,
 Oczyma się podziwiała,
 Że one gadzinki ciała
 Są biegające i zręczne.

Przed nią i przed tym zegarem,
 Który jak koło miesięczne,
 Zatrzymany strachem, czarem,
 Poznawszy że czas nie płynie,
 Stał na północnej godzinie,
 Do srebrnego ducha g'owy
 Podobny, w głębi alkwie.

Przed skazówkami, co sine,
 Groźne podniesione w górę,
 Pokazywały godzinę,
 Na którą Bóg wiódł naturę,
 Łańcuchem trwogi poimał,
 Krwią przeraził i zatrzymał.

Przed tym zegarem, co łożko
 Szczerwienione opłomieniał,
 I przed tą martwą staruszką,
 Której trup suchy skamieniał,
 I czarny jak zmyta chusta,
 Otworzone trzymał usta,
 Krzyczące gwałt i morderstwo —
 Przysięgam!!! że kawalerstwo
 Polskie wygna krew kozaczą!
 Że Ukrainki zapłaczą —

Na mój miecz, na mego konia
 Rzucając klątwy i czary;
 Bo ja będę jak miecz kary,
 Kosa ścinająca blonia,
 Orlica na pół rozdartą,
 Mająca dwa serca i dzioby:
 Człowiek z troistej osoby —
 Z lacha, z kozaka i czarta.

REGIMENTARZ.

Hamuj się Waćpan w zapale,
 Bo się takie słowa ważą
 Srogo w Bożym trybunale!
 A te twoje — Aniołów przerażą.

SAWA.

Jakto? więc ten mord?

REGIMENTARZ.

Mocanie!

Mam siłę — i prawo miecza.

SAWA.

Tam gdzie krwi ohydna ciecza,
 Znalazłem torban kozaczy;
 A na tym były torbanie
 Twoje herby — —

REGIMENTARZ.

Co to znaczy?

Śmiałżebyś na mój dom stary
 Rzucać jakie podejrzenie?

SAWA.

Nie, ale twoje kotary
 I tych lip wiekowych cienie,
 Może dają cień jakiemu
 Zdrajcy słudze.

REGIMENTARZ.

Biada jemu! —

Bo gdy go znajdę we dworze,
 To mu na karku położę
 Regimentarską różeczkę —
 Dotknę się go zimną ręką!

SAWA.

Jest posłuch, że sam Tymenko
 Kryje się w szlacheckich dworach.
 Jak wilk nakryty owieczką:
 I w różnych staje kolorach
 Przed oczyma swego ludu,
 Siłą rządzący fatalną.
 A bunt, podobny do cudu,
 Ręką jakąś niewidzialną
 Sprawionego, niby owe
 Straszne napisy ogniowe
 U Babilonji mocarza
 Napisane bez pisarza:
 Tem okropniej szlachtę straszy.

REGIMENTARZ.

Zmażemy ostrzem pałaszy
 Te ogniowe dokumenta,
 Które lud z czartem jurystą
 Piszą ręką ciemną, krwistą —
 A tak zmażem, że lud popamięta
 I przeleknie się naszego pióra.
 Gdzież jest, Sawo, ta krwawa bandura?

SAWA.

Lirnik ci ją mój, Bajda, pokaże.

REGIMENTARZ.

Pozazdrozczą mi koronni pisarze
 Mego oka w sądzie tej sprawy.
 Znajdź tu sobie co dzieć do zabawy,
 Bo się trudzić Waćpanem nie mogę.

(Odchodzi.)

SAWA, sam.

Jako trąba uderzyłem na trwogę
 I podniosłem serce w tym szlachcicu.

(Z po za altany wychodzi KSIĘŻNICZKA.)

KSIĘŻNICZKA.

Ach, dwie gwiazd! Ach, dwie gwiazdek po licu
 Mi zleciało, gdyś mówił o rzezi —

SAWA.

A do jakiej je przyjął ferezji?

KSIĘŻNICZKA.

Co mój chłopku? —

SAWA.

Co mój biały księżycu?

KSIĘŻNICZKA.

Kiedyż nasze ogłosim wesele?

SAWA.

Dziś kochanku —

KSIĘŻNICZKA.

Jak sobie podchmielę

Ukraińską wonią, tom gotowa

Przysiądz na to, żem twoją jest żoną!

SAWA.

Sam czart na to jeszcze nie dał słowa.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! jak głupią byłam i szaloną,

Kiedym poszła za ciebie sekretnie.

SAWA.

Że się przyznać nie chcesz — jesteś Ewą.

KSIĘŻNICZKA.

A radby ty potrząść drzewo?

Co? bo cierpisz na tem srodze,

Że nie wiesz jakie ja rodzę

Owoce?

SAWA,

Jabłuszka winne.

KSIĘŻNICZKA.

Drzewko jestem bardzo czynne —

Co dzień w kwiatkach jak pochodnia;

Kwiatek nowy rodzę co dnia

Róże, astry i narcyisy:

Ale co raz w myślach minie,

To już jak napój zakisy,

W listeczki się nie rozwinię —

Ach! jaka ja byłam głupia,

Sekretnie idąc za ciebie!

SAWA, na stronie.

Gniew się srogi we mnie skupia
Jak piorun.

KSIĘŻNICZKA.

Pisano w niebie,

Że zawsze krzywo osądzę,
Zabłąkam się w zawierusze,
Wpadnę w dół, w lesie zabłądzę,
I wybłąkiwać się muszę.

SAWA.

Hej Księżniczko na Ostrogu!
Czy Panno, czy moja żono:
Pókiś tu na obcym progu,
Możesz sobie być szaloną,
Zimną, wzdarcliwą, zalotną,
W tęczach od stóp aż do głowy,
Bo wiesz żem człek honorowy:
Wprzód mię na kawałki potną,
Wprzód mi serce w piersiach zjedzą,
Nim się szlachcice dowiedzą
O naszym małżeństwie. Ale
Choć nie mogę w Trybunale —
Boś ty akt ślubny podarła —
Przez adwokackie się gardła
Upompnąć o moje prawa;
Chociaż wiem, że pierwszej muszę
Chłopską z siebie wygnąć duszę,
I wysypać ci z rękawa
Me szlacheckie dokumenta:
Proszę cię, ach nie bądź święta!
Nie bądź dla mnie tylko śmiechem,
Małżonki mojej zarysem,
Różą, bławatkiem, narcysem,
I pożądlivosti grzechem —
Lecz pamiętaj na mój statek,
Na cierpliwość pełną dumy;
I na rzecz miłosnej sumy,
Wylicz mi dzisiaj zadatek.

KSIĘŻNICZKA.

Co? mój panie kredytorze?

SAWA.

Posiadam ogniste morze
 Pełne pereł i koralu,
 Które widzę na dnie fali:
 Jednej perły chcę, kochana!

KSIĘŻNICZKA.

Nie, nic, tylko sama pjana —
 Dla ciebie, małżonka cieniu.

SAWA.

W djabelskim ja odurzeniu —
 Ach raz, ach, raz tylko z ciebie
 Trysnął płomień iskry Boskiej —
 Kiedy w rycerskiej potrzebie,
 Puławskich broniąc odwrotu,
 Ranny, w kołysce żydowskiej,
 W chmórze świszczącego szrotu,
 Wśród dwóch rumaków wiszący,
 Kazałem się jako krwawy
 Sztandar, w ogień gorejący
 Nieść — i krzychał hasło Sawy
 Gdym ja bachur z tej wyprawy,
 Gdziem nie jeden dostał siniec,
 Przyjechał na wasz dziedziniec,
 Zawsze w tej kołysce siedząc,
 W pokrwawionych na łbie chustach;
 Błady — bo dwa dni nie jedząc,
 Żółty głód miałem na ustach.
 Straszny — bom był cały w ranach,
 Brudny — bom spał na kurhanach,
 Głupi — bom o świecie nie wiedział
 I kręciło mi się w głowie;
 Śmieszny — bom w kołysce siedział;
 Hardy — bom nie dbał o zdrowie,
 Ni o piękność kawalera;
 To wtenczas, ty byłaś szczerą,
 Potulna, jak małe kotki.

W zamku u staruszki ciotki,
 Sama, bywało, w garnuszk
 Warzysz mi kaszę jaglaną:
 I widziałem się co rano
 W zorzach różanych przy łożku;
 Ach i byłbym na kolano
 Upadł jak przed bohomazem.

KSIEŻNICZKA.

Pięknym skończyłeś obrazem.

SAWA.

Oszukałem się na tobie.

KSIEŻNICZKA.

Oszukaliśmy się razem.

SAWA.

Kiedyż tej okropnej próbie
 Koniec położysz?

KSIEŻNICZKA.

Pomyślę

I wynajdę coś w umyśle —
 Odpowiedź warjatki godną.
 Słuchaj — póty będę chłodną,
 Jak wąż ci uciekać śliski;
 Póty na męża utyski,
 Na twe skargi będę głucha,
 I będę czysta jak mniszka:
 Aż ręki ognistej ducha,
 Pierścień Świętego Franciszka,
 Pierścień z krwawej koraliny
 Zerwiesz — na koniu tu wjedziesz
 I przez drugie zaręczyny
 Mnie zaręczoną — rozwiedziesz — —
 Słowiki na ranek kwilą
 Bądź zdrów.

(Ochodzi.)

SAWA, sam.

Bądź zdrowa Sybillo. —

Wymyśla różne przyczyny
 Ucieka się do wykrętów:

Ale serce tej dziewczyny
 Chłopstwa się mojego boi.
 A utrata dokumentów,
 Które mieli ojce moi,
 Co ród od Calińskich wiodą,
 Jedyną mi jest przeszkodą
 Ach, Ukrainę przewrócę,
 Kurhany wszystkie rozwalę;
 A z dokumentami wrócę!

(Odechodzi.)

(Wchodzi LEON.)

LEON, sam.

Ojciec mój w wielkim zapale —
 Zachmurzony — nic nie gada,
 Tylko w swoim gabinecie
 Poosobno ludzi bada:
 A mnie wielki strach napada!
 Czy to już nie dziewczki skarga? —
 Ach! to ona — list mój w rękę —
 Sam jej widok serce targa —

(Kryje się za altanę — i przez cały ciąg sceny zostaje na stronie. Wbiega
 SALOMEA w bieli, w wianku z rozmarynu, ubrana jak do ślubu.)

SALOMEA.

Ach! jak od słowików jęku
 Kołysze się cały staw —
 Jaka woń tych róż i traw!
 Jak leci w usta! — na czoło! —
 Ach! ach! jak mi wesoło! —

LEON, na stronie.

Nieszczęśliwa a szczęściem spojona!

SALOMEA.

Ten listek włożę do łona —
 Tutaj! w białym w gorseciku,
 Tu siedź w tajemnym kąciku,
 Gdzie jedna róża czerwona,
 Jako lampa zapalona,
 Rzuca na mnie takie blaski —

Tak mi opłomienia szyję,
 Jak dno filizanki saskiej,
 Z której mój gołąbek pije
 I cały się złotem rumieni. —
 Ach! ach! — ze mną się Leon dziś żeni! —
 Ze mną żeni się Leon sekretnie!

LEON, na stronie.

Niech mi kto łeb teraz zetnie,
 I rzuci Meduzy głowę!
 Na trzewiczki atłasowe.

SALOMEA.

Jeszcze nie czas. — Jak ta sina
 Gwiazda nad topolą stanie,
 To będzie ślubu godzina:
 A pod różane zaranie,
 Sama wracając z cerkiewki,
 Na tem miejscu sobie stanę:
 I pomnąc na smutek dziewczki,
 Na me serce oszukane,
 Na wstyd — bom wstydu się bała,
 Będę z radości płakała.

LEON, na stronie.

Szelma ze mnie!

SALOMEA.

Ach! Boże mój!

Dla czego ta noc taka cicha!
 Dla czego tych gwiazd taki rój,
 Dla czego jedna jedna zda się wzdycha?
 A druga leci gdzieś zdaleka?
 A trzecia krwawa jak pies szczeka,
 I na błękitach mi usiada?
 A czwarta — ach, a czwarta spada,
 I nad Gruszczyńcami zgasła?
 Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,
 Widząc tę gwiazdę przy zgonie,
 Jak główkę ducha z oczami. —
 Ach, jak tam smutno w tej stronie!
 Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

LEON, na stronie.

Każde jej słowo rozdziera.

SALOMEA.

Czy tam w domu kto umiera?

Czy kto leży konający?

A ta gwiazda — Anioł złoty

Po duszę przylatujący? —

Ach! ach! pełnam tręgi i tęsknoty.

LEON, na stronie.

O słowiczku! o, skończ to śpiewanie!

SALOMEA.

Przez głębokie się wsluchanie

W powietrze, wsluchałam trwogę — —

Ach cóż ja? Ja nic nie mogę.

Co się ma stać to się stanie!

Ach, jak smętnie, jak mi parno!

Jak mi smętnie! jak mi czarno!

O! stróżu, święty Aniele,

Pamiętaj, że dziś moje wesele.

(Wybiega ku wiosce.)

LEON, wychodząc z za altany.

Wesele. — Ohydna sprawa!

- Z Semenką ślub malowany,

Przez spitego księdza dany,

Bez świec, skrycie, potajemnie —

I moje miłosne prawa,

Ten chłop, zrodzony nikiemnie,

Będzie nad nią miał po ślubie —

On podejmie, co ja jubię,

Nie diament szlifowany —

Ale perłę czystej rosy;

Nie tęczę — ale jej włosy!

Nie rubin w ognjach różany —

Ale usta jej — maliny;

Nie strojną w tony gitarę,

Ale czysty głos dziewczyny,

Który mu przysięże wiarę,

I dotrzyma gdy przysięże. —

A ja co mam? — Włosy — węże!
 Oczy — jak szatańskie bielma,
 Głos — co mówi mi żem szelma,
 W sercu ranę i nóż w ranie —
 I twarz, którą krew porzuci,
 Która ma szelmy nazwanie
 Jak słonecznik się obróci.

(Wechodzi REGIMENTARZ.)

REGIMENTARZ, z daleka.

Panie Leon!

LEON.

Ojciec woła.

REGIMENTARZ.

Panie Leon!

LEON.

Tu jestem w altanie.

Jakie grzmiące i ponure wołanie? —
 Co mój ojcz?

REGIMENTARZ.

Lud nasz cały do koła
 Zbuntowany — mój pop stanął na czele.
 Wczoraj noże święcono w kościele.
 Czy wiedziałeś że tam takie święto?
 A Gruszczyńce —

LEON.

Cóż mój ojcz?

REGIMENTARZ.

Wyrżnięto.

LEON.

Dom Gruszczyńskich?

REGIMENTARZ.

Naszych starych sąsiadów —
 A wiesz synu, kto zgraja tych gadów
 Rządzi? Wiesz-li kto Tymeńko się zowie? —
 Zgadnij Acan; bo ani ci w głowie
 Taka myśl — zgadnij, synu kochany!

Oto kozak twój Semenka, poznany
 Po tej krwawej bandurze —
 (Wyjmuje z pod kontusza bandurę kozacką.)

LEON.

Chrystusie!!!

REGIMENTARZ.

Wczoraj napadł w ogrodzie Anusię,
 Która niosła mój pierścień z krwawnikiem,
 Wyrwał jej z rąk, i chciał palec nożykiem
 Uciąć dziewczę, jeżeli zakrzyczy.
 Potem kazał nie mówić nikomu,
 I ten pierścień tajemniczy,
 Święty, uniósł z mego domu,
 I będzie nim, łotr wierutny
 Oszukiwał szlachtę małą.

LEON.

Gdyby zaraz —

REGIMENTARZ.

Łotr obrótny!

LEON, na stronie.

Wyjechawszy na noc całą,
 Jeszcze mógłbym go dogonić:
 Ale musiałbym odsłonić
 Moją haniebną intrygę —

REGIMENTARZ.

I cóż myślisz?

LEON, z pomięszaniem.

Ojcie drogi —

(Na stronie.)

Ach z czartami wszedłem w ligę!
 Ani cofnąć teraz nogi,
 Ani wprzód uczynić kroku —

REGIMENTARZ.

Patrzałem na ciebie z boku —
 Waś mi dziwnie zamysłony? —

LEON.

Ojcie, daj mi dwa szwadrony.

REGIMENTARZ.

Jakto? a twoje wesele?

LEON.

Jutro czekajcie w kościele
Przyjdę na czas z pierścionkiem.

REGIMENTARZ.

Idź Waść.

(Leon odchodzi.)

Za moim skowronkiem.

I ja stary ptak polecę.
A teraz Bożej opiece
Polecam mojego ptaka,
Syna mego jedynaka! —

A K T III.

(W domu Regimentarza. Wchodzi REGIMENTARZ, SAWA i KSIĘŻNICZKA.)

REGIMENTARZ.

Czas teraz Mospanie Sawo.
Czynnie zająć się wyprawą,
I buntowi uciąć głowę.
Czas pokazać w ciemnym jarze,
Wielkie miecze koralowe,
Jak dawni Regimentarze
Ukraińscy i Podolscy.
Czas pokazać żeśmy polscy
Posiadacze tej krainy,
Choć bez hełmów i kirysów;
To wszakże nie do pierzyny
Tylko, i nie do kieliszka:
Ale naszych cór, narcysów,
Na Świętego klnę Franciszka!
Nie dam chłopom za żony.
Syn mój wzięwszy dwa szwadrony,
Przed nami zamiata pole,
I pewnie się na rosole

Rusańczanym nie rozpieści —
 A sędzę że lada chwila
 Od Gruszczyńskiego nam wieści
 Nadlecą — pewnie się stary
 Na erudycję wysila,
 A szablicą przygasza pożary.

(Do Księżniczki.)

Ty zaś moja piękna Parko,
 Wiń nam żywota przedziwo.
 Gdybyś była sprawiedliwą
 Tobym cię regimentarką
 Ogłosił na kraj ogólny,
 Gdy sam jako hetman polny,
 Po rosie w pole wyjadę —
 Ale panienka ma wadę!
 Ma wadę — pierścionki gubi —
 Kto taką stratną poślubi,
 To kiep —

KSIEŻNICZKA, spozierając z pod oka na Sawę.
 Czy słyszy Pan Sawa?

REGIMENTARZ.

On się jeszcze rozpoznawa,
 Ale nie zna się na tobie,
 Boś ty mu ni siostra ni żona. —
 Cóż? tęskno ci bez Leona?
 Ślubny wam dzień przyozdobię,
 I wyjaśnię wam świetlicę
 Łbami kozaków na tyce.

KSIEŻNICZKA.

Tateczku — a czy Pan Sawa
 Będzie pochodnią w lichtarzu?

REGIMENTARZ, gładząc ją pod brodę.

Cóż to mój Regimentarzu?
 Jaka ty już w myślach krwawa!
 Ledwo dzisiaj na urzędzie,
 A już rączki masz łabędzie
 Zajęte głów zdejmowaniem?

KSIEŻNICZKA.

Owszem, chciałabym rozdawać.

REGIMENTARZ.

Cicho! bądź z uszanowaniem. —

Widzisz Sawo, te ptaszęta

Trzeba śmieszkami napawać,

Na żartach się nie poznawać.

To one swem świegotaniem

Przez różne szpaczków talenta

Smętny czas, grożący nocą,

Żywo po anielsku złocą:

I zdaje się, gdy świegocą,

Że ta ziemia cała gajem

Zielonym, gwiazdą i rajem;

Gdzie za teatru kurtyną

Ludzie lepsi za kraj giną.

(Wchodzi PAFNUCY z pałaszem Gruszczyńskiego w ręku.)

Cóż to znowu za szlachcie obdarty?

PAFNUCY.

Od Gruszczyńskiego przychodzę.

REGIMENTARZ.

A! Gruszczyński?

PAFNUCY.

Pozostał na drodze.

REGIMENTARZ.

Powiedz wszystko i bądź z nami otwarty

Tobie z oczów nieszczęście wyziera. —

Umarł starzec? czy umiera?

Czy przez chłopstwo gdzie w sztuki rozdarty?

PAFNUCY.

Jasny Panie! posłuchaj cierpliwie,

A uderzę ci chrapliwie

Tak, że zadrży serce męzne —

W nieszczęścia trąby mosiężne —

Wczoraj Panie! po twym liście

Otrzymanym, starzec biały

Rzucił się jak lew ogniście,

Gotów targać świat w kawały.

Co ja tchórz? krzyczał, ja stary
 Rotmistrz, służący za Sasów?
 Mnie każą wychodzić z lasów?

(W twarzy i w gestach Regimentarza widać zadziwienie.)

Ciągnąć przez lochy i jary?
 Gdzie ledwie węże się toczą,
 Po kwiatkach wstążką błękitną?
 Gdzie rzezunie nas otoczają,
 Z gór wystrzelają, w pień wytną,
 I głowy nasze na tykach
 Postawią żonom przed oczy?

Tak krzyczał — a na uboczu
 Przy gwiazdach, wielkich świecznikach
 Srebrnych, które ogonami
 W niebie wisały nad nami —
 Zwierzyć się przedemną szukał
 Z omenów; jak mu do dworku
 Po trzykroć Chrystus zapukał
 We drzwi, dwakroć we śnie zastał,
 A raz zastał na paciorku. —
 Tak, że po stukaniu nastał
 Wielki strach; i czeladź cała,
 Matka, nawet dzieci drobne,
 Owo stuknięcie żałobne,
 Groźne, po którym nastała
 Cisza w domu i na dworze,
 Wzięli za stuknięcie Boże.
 Jakoż, mówił do mnie stary:
 Była to dla mnie nauka,
 Abym poszedł pod sztandary,
 Bo Pan do drzwi moich puka.
 Pokazuje w kraju łodzi
 Tonących ludzi w rozpacz —
 I sam w domek zajrzeć raczy,
 Sam po rycerza przychodzi.
 Jakoż, mówił, mam ufanie
 Że na werbunku nie zginę.
 To, Jaśnie Wielmożny Panie,

Z jego ust slyszalem wczora.
 Potem swoja mi dziewczynę,
 Sluzkę u twojego dwora,
 Polecił: i wnet z lewady
 Pod rosę i księżyc błady
 Ruszyliśmy, czyniac pilny
 Marsz! ażebyśmy o wschodzie
 Przeszli cicho jar mohilny,
 I o Irdynieckim brodzie
 Zachwycić mogli gdzie wieści. —
 Rano — — Ach Panie! w boleści
 Mówić nie mogę! — nad rankiem,
 Pod brzóz już ostatnich wiankiem
 Jeszcze się zatrzymał stary!
 Jeszcze mi tam swoje mary,
 Swoje sny i wizje chore,
 Oraz starca Wernyhore,
 Z wróżbą o dwóch chorągiewkach,
 Przypomniał. A w leśnych drzewkach
 Był dziwny z powieścią związek!
 Jakies szeptanie gałazek,
 Szmery stłumione pół-głośnie,
 Jakby śpiewanie żalodne
 Przez duchy tych drzew czynione,
 Na kwietnym lewad wybrzeżu;
 Jakby, po starym rycerzu
 Jakies głośnie utęsknione —
 Które jeszcze w uchu slyszę —
 Radzące staremu na ciszę
 I spoczynek. — Wtem z rozłogów
 Podniosło się słońce złote,
 Nakształt Mojżeszowych rogów,
 Ubrane w ogniste słupy;
 I wiodło nas na robotę
 Mieczową, którą już kupy
 Kawek i wron i szalaków,
 Zwite koło naszych znaków

Czarną koroną piekielną
 Okrakały za śmiertelną.
 Rota za rotą sprawieni,
 Wszyscy dobrzy przyjaciele,
 Jechaliśmy — — On na czele
 Z chorągwią — i w jar ów głuchy,
 Pełny deszczowych strumieni,
 A po ścianach czarny, suchy,
 Bokami słońcu zakryty,
 Wjechaliśmy — tak że słońce
 Ozłociło nasze kity,
 I same sztandarów końce:
 A ciemność, jaka w kościołach
 Panuje, grobowej bliska,
 Na naszych leżała czołach,
 Gdyśmy przez te uroczyska
 Ciągnęli — żując myśli surowe.

I tylko kopyt ikrzyska,
 Gdyśmy podkowa podkowę
 Za naszym wodzem lecieli,
 Albo blask od karabeli,
 Swoje ognie piorunowe
 Na ciemne jary te kładły;
 Jakby tam furje u skały
 Z ognistemi pierścieradły
 Na nasze ciała czekały,
 Tych ludzi mających ginąć,
 Gotowe w płomień owinąć.

Około dziewiątej rano
 Przyjechaliśmy nad duże
 Serca wód, wielkie kałuże,
 Stawek, gdzie nam po kolano
 Woda, oraz grząskie błoto
 Lgnące, pętało rumaki —
 Tam starzec z chorągwią złotą,
 A za nim pomniejsze znaki
 Wbrodziły — a wody śpiące
 W srebrne się wielkie miesiące.

Rozeszły; jakby, o Panie!
 Niosąc nasze pożegnanie
 Ojczyźnie, gdzieś stojącej na brzegu ---

Bo w tem, nie strzegąc szeregu,
 Ładu, ni żadnej komendy,
 Przyszedszy nie wiedzieć którędy,
 Pokazał się lud Gruszczyński.

Ci się wężowemi stecki
 Zlewali z gór na Polaków;
 Ci się z jałowcowych krzaków
 Ukazali, strasznej cery
 Podpiłej — sino zielonej.
 Rzekłbyś że na ziemi onej
 Jałowców ciemne ogrójce
 Przeradzają się w siekiery,
 W noże i w spisy, i w zbójce
 Że te straszne jaru ciemnie
 Całe się krwią zarumienia,
 I wyreżą się wzajemnie
 I w dwie mogiły zamienia! —
 Że ze srebrnego jeziora
 Zrobi się teatrum nowe,
 Na którym śmierć jak aktorka
 Swe tragedje purpurowe
 Będzie odgrywać w ciemności.
 Krwawe sztandary pozwiesza,
 Ludzką kość do wilczej kości,
 Ciała ludzkie z psiemi ciała
 Ohydną ręką pomiesza. —
 I temu co trupy wskrzesza,
 A niebios jest gospodarzem,
 Takim okropnym smętarem
 Ta ohydna monarchini,
 Mająca świat w panowaniu,
 Przy wiekuistym wskrzeszaniu,
 Litość albo strach uczyni —
 I horror. — Pierwszy Gruszczyński
 Obejrzawszy gór załogę,

I cały lud ukraiński,
 Któremu nie mógł podolać!
 Kazał długo i na trwogę
 Żałośnie w trąby zawołać.
 A dotąd nie wiem na kogo
 Wołał — trąb serdeczną trwogą,
 I tem tak żałosnem graniem.
 Bo mu góry z urąganiem
 Odpowiedziały o męstwie
 Próżnem, gdzie moc taka wroga!
 Więc sędzę — że Pana Boga
 O swoim niebezpieczeństwie
 Trąbami on zawiadamiał;
 Więc sędzę — że pierwej duchy
 Na powietrzu gdzieś rozgramiał,
 I bił o anielskie słuchy;
 I był w niebie, nim na świat powrócił,
 Porwał sztandar i na wroga się rzucił.

I z białą głową odkrytą
 Leciał, gnany naszym gwarem
 I krzykiem — a nie słowiczy
 To głos, kiedy szlachta krzyczy,
 Pędząc zbrojna do ataku!
 Już wódz na czele orszaku
 Dobył się z grząskiego błota;
 Już koń się na brzegu wspinał,
 Już chorągiew wielka złota
 Burczała — już rąbać zaczynał,
 I powietrze już zarzynał,
 Jęczące od szabli zamachu.
 W tem stanął — i bladłość strachu
 Twarz mu oblała i rosła —
 Z ust próżne wypadły dźwięki,
 Sztandar złoty wypadł z ręki,
 Miecz na tasieńce zawisnął:
 A krew ęo się wprzód podniosła
 Tak, że rumieniec wytrysnął,

Wróciła trwożna do łona —
 I bledość straszna, zielona,
 Bledość, która nigdy na Lachu
 Nie występuje — ohydna!
 Bledość, która w nocy widna
 Na złodzieju, bledość strachu
 Zielona i ołowiana,
 Pierwszy raz wtenczas widziana
 Przezemnie na polskiej twarzy;
 Przeraziła nas husarzy!
 I mróz nam przeszedł przez kości;
 Bośmy się złąkli bledości
 Takiej czarnej, ołowianej,
 Na twarzy wodza widzianej.

Bo ta, przy srebrnym warkocz
 Twarz biała jak u komety,
 Bo w twarzy te węgle oczu,
 W oczach te wzroku sztylety
 I krwią i ogniem czerwone,
 Gdzieś na powietrzu utkwione!
 Wylatują z rozłogu,
 Gdzie utkwione — jakby w Bogu —
 Dziś widzę —

Teraz was proszę
 Jeszcze o chwilę cierpliwą:
 Bo starca pałasz przynoszę;
 Więc i mękę jego żywą
 Memi słowy wszczepić muszę
 Jego mścicielowi w duszę.
 Niech tego ojca obraza
 Przejdzie w serce, w dłoń człowieka;
 Niech ten kawałek żelaza,
 Który rdza wieków powleka,
 Znajdzie tu ręce gorące:
 I niech te umierające
 Stare tureckie turkusy,
 Gdy je polskie ręce chwycą,
 Znów swe oczy rozblękitą:

Niech tej klingi kolor rusy,
 Gdy nią człowiek krzyż uczyni,
 Znów swoją twarz rozrubini,
 Jak piorun polskich pałaszy,
 I świat krzyżem czerwonym przestraszy.

REGIMENTARZ.

Zawiesiłeś nas ciekawych
 Nad przepaścią pełną strachu
 I widm — jak upiory krwawych.

PAFNUCY.

Mówiłem wam, że w zamachu
 Szabli, lecąc na gromady,
 Starzec stanął — stał się błądy,
 Głuchy, jak skamieniony;
 Wysoko gdzieś zapatrzony,
 Jak na kruki, jak na wrony,
 Na słońce i na niebiosa,
 Na Anioły i na Boga.
 A na niego szedł las wroga,
 Gromada spis złotowłosa;
 Las niby jakiś bez liści,
 Który słońce rozogniści
 I na wierzchołkach oświeci;
 Las, w środku pełny zamieci
 Od mgieł zawiany posepnych.
 Las tajemnic niedostępnych,
 Z girlandą ognia na głowie;
 A w tej girlandzie, o Boże! —
 Słuchajcie mości Panowie! —
 I dajcie też Wernyhorze
 Świadectwo, że widzi co gada —
 Pośród spis dwoje główcezek,
 Jedna i druga tak błada!
 A tak utkwione na tyce,
 Że z tych dwojga dziecięcetek
 Były dwie płonące świece
 I dwa umarłe księżyce
 Śród straszliwego ogrojca. —

Dwie główki, ścięte po szyje,
 Szły prosto, prosto na ojca;
 Jakby wiosenne lilije
 Na krwawym zabójcy grobie;
 Zda się ucieszone obie
 Tem wielkiem egzaltowaniem,
 Tym powietrznym mogiłnikiem,
 Tą wolnością i lataniem;
 Tem żelazcem co w nie tonął,
 I z główek wyszedł ognikiem,
 I palił się na wietrze i płonął
 Jako świętych serduszek oferta. —
 Kto wam to lepiej naczerta?
 Nie wiem — do ojca szły ręki,
 Niby żebrać o niebieskie zasiłki,
 A ja sądzę że mogliłki
 Prosiły go i trumienki —
 Lecz on! — gdy te dziatki ścięte
 Ujrzał — i te spis wierzchołki —
 I wprzód pomyślał: aniołki!
 A potem: — że wniebowzięte
 A potem: — że już zarżnięte
 Pomyślał — to, Mości Panowie,
 Włos mu biały wstał na głowie —
 W zupełne wpadł obłąkanie;
 Pokazał na te świeczniki,
 Ręką nam pokazał na nie:
 I bełknął — moje chłopczyki! —
 I nic nie mógł mówić więcej
 Bo w usta mu sto tysięcy
 Pereł wpadło. — A wtedy
 Jeden z nas krzyknął: Mospanie!
 Na potem domowe biedy!
 Na potem po dziatkach płkanie!
 Teraz wrogom stawmy czoło,
 Nim otoczą nas w około,
 I wytną na tej moczarze —

To rzekł ów głos, a zaś starzy husarze
 Pewni byli że im zemstę poruczy.

Ale starzec cały w gniewie
 Krzyknął: któż to mię tu uczy?

Czy to wasz komendant nie wie,
 Skąd mu brać w rozpacz radę?

Oto mój tu pałasz kładę —

Rzekł i rzucił ten miecz goły —

To mi stać, bo ja pojedę

Po dziełek moich popioły,

Po te krwawe jarzębiny,

I po domowe nowiny.

Choćbym miał przed moje chłopcy

Rzucić się, lizać im stopy,

To wyproszę je od krzyża

Te główki, które wiatr piecze;

Wszakże to resztki człowiecze!

Którym świętościom ubliża

Pogrzeb taki bez szacunku,

Takie urąganie z ciałek;

Taki mięsiwa kawałek,

Ten z Boskiego wizerunku

Zachman, zatknięty na dzidę,

I na strach pokazywany,

Oczom ludzkim na ohydę,

Berberyseem krwi skąpany,

Którego kruk kozakom zazdrości. —

To rzekł i pełen żalości

Pojechał — i wnet go czernie

Oblazły w koło jak mrówki. —

Z giestu widać że niezmiernie,

O swoje maleńkie główki

Starzec prosząc, spuścił z tonu;

Z giestu widać i z pokłonu,

Że pokorę wielką kłamał,

Że zupełnie się tam złamał

Ów szlachcic, pod ręką Bożą.

Podjechałem wtenczas bliżej,
 I słyszałem że go trwożą
 Główek tych nie zdjęciem z krzyży,
 I pogrzebem ich nie świętym —
 O domie mówią wyrzniętym,
 O krwi, mordach, o płomieniu:
 Nareszcie o żony złęzeniu
 I o powiciu szczenięcia.

Wtenczas rękę jak do cięcia
 Podniósł z miecza obnażony:
 I cały wstydem czerwony —
 Bo i starość ma wstyd swój dziewiczy
 I pudorem się różanym maluje
 Gdy kto świętość jej roztajemniczy —
 Krzyknął: hycle! pomorduję!
 Wytnę w pień! szelmy! gadziny!
 I nieba fundament siny
 Krwią czarną waszą zamażę!
 Gdzie szabla? gdzie moi husarze?
 Krzyknął obłąkany cały —
 Obejrzał się — i stał się biały
 Jak trup — łzawić się zaczął i ślinić,
 I ogłupiał i nie wiedział co czynić.

Wtenczas jeden stolnik stary
 Rzekł do niego: Hej Lachu i kumie!
 Wydaj rozkaz szczob tyje huzary
 Ze szkap zlazły, taj w jeziorka się szumie
 Nie kąpały, a na łaskę zdwały się.
 Słyszac to. oczy tygrysie
 Jasne, starzec w chłopy wlepił,
 I oczyma ich oslepił,
 Jakby słońcami tej ziemi:
 Słońca obłąkanemi
 We krwi, w płomieniach i w grozie,
 I rzekł! Więc mię na powrozie
 Jak psa, pany gospodarze,
 Wiedźcie przed moje husarze,
 Gotowe niosąc siekiery.

A jako znacie żem szczery,
 Tak i przed śmiercią nie zdradzę;
 A wam szlachtę tu sprowadzę,
 I pod siekierami będę
 Ostatnią dawał komendę,
 To rzekł: a jemu pod boki
 Włożywszy mordercze piki;
 Tak, że zdawał się wysoki,
 Jako dawne męczenniki,
 Jak Chrystusowe sztandary,
 Zbliżyć się kazał ów stary.
 Chłopstwo go tak pewne zdrady,
 Wiodło przed własne szeregi.
 Ale oczy nasze szpiegi.
 Poznały że starzec błądy
 Z chłopstwem się czarnem nie kuma,
 Ale żywota ostatki,
 Swój dwór wyróżniły i dziatki,
 Bogu na ofiarę składa!
 I sam też o palmach дума,
 Lecz męczeńskich, o czym chłopstwa gromada
 Nie wiedziała, nie znając Jezusa.
 Jakoż wśród tych dzid obrusa,
 Jak na chuście Magdaleny;
 Słońce tej okropnej sceny,
 Słońce jasne, jego głowa
 Spokojna, a purpurowa
 Od męki cierniów serdecznych —
 Jakoby w kręgach słonecznych
 Dziś mi przed oczyma staje.
 Dał znak by ucichły zgraje,
 I zamodlił się sam w sobie. —
 Nagle! w tem sercu, w tym grobie
 Całej nieszczęsnej rodziny!
 Jakies głosy wielkie, mężne,
 Jakoby trąby mosiężne
 Z Józafatowej doliny —
 Zagrały — i będzie słynąć

Ta komenda w okropnym parowie
 Zatrąbiona. — Mościwi Panowie!
 Wrzasnął — za ojczyznę ginąć!
 Ja trup! — to nam starzec krzyknął
 Jakby groźna trąba sądna,
 I okrwawił się i z oczu nam zniknął.
 I zaczęła się walka nierządna,
 Bośmy z furją szatańską mścicieli
 We łzach ślepie i na oślepie lecieli

REGIMENTARZ.

Mniejszym stawiają u ludów posągi --
 U nas tylko powiedzą po wiekach:
 Taki ojciec! taki rycerz był ongi?
 A husarze?

PAFNUCY.

Na chłopskich zasiekach
 Dali gardło; kilku tylko zostało,
 I ci wstydić się muszą żywota.

REGIMENTARZ.

Kto tak gada jak ty, ten nie mało
 Musiał czynić?

PAFNUCY.

Późniejsza robota
 To pokaże, czy ja Pański robotnik.

REGIMENTARZ.

Któż ty jesteś? —

PAFNUCY.

Stary dziwak, samotnik,
 Bez przyjaciół —

REGIMENTARZ.

To nieprawda Mospanie —
 Bo ja jestem twój przyjaciel i w stanie
 Dać za ciebie i gardło, i rękę —

PAFNUCY.

O Gruszczyńskiego panienkę
 Proszę, jako opiekun sieroty —

REGIMENTARZ.

Gdzie Salinka?

KSIĘŻNICZKA.

Ah! dębu wywroty,

Czasem łamią i róże podleśne!

REGIMENTARZ.

Co mi wróżą te słowa bolesne?

KSIĘŻNICZKA.

Kochany mój opiekunie,

Utraciliśmy Salunię!

Zniknęła dzisiaj ze dworu —

Jakby na nią ojciec krwawy

Rzucił kontusza rękawy,

I do anielskiego choru,

Na srebrne łabędzie stawy,

Gdzie przy harfach grają dusze,

Zaciągnął. Może też ona

Jako listek w zawierusze

Z ziemi lekko podniesiona

Duchową z rodzeństwem współką;

Jak w jesieni listek klonu

Co się wydaje jaskółką —

Lub jako listek jesionu,

Co się zdaje gwiazdą złotą —

Widząc się na świecie sierotą:

Jak ton zlewa się do tonu,

Jako ognik do ogników,

Za duszami nieboszczyków

Poleciała — —

REGIMENTARZ.

Kontrefekcie

Szpaka, mów mi bez ogródek.

Ta panienka na respekcie

Dla wielu mi dziś pobudek

Droga — niech prawdy się dowiem.

KSIĘŻNICZKA, na stronie.

Cóż ja mu nieszczęsna powiem?

Domysłów mu nie wyjawię.

REGIMENTARZ.

W krwawej nas trzymasz obawie.

KSIĘŻNICZKA.

Śniła mi się Dejanirą
 Porwaną, a potem śniła
 U dziada ze srebrną lirą,
 Jakoby brzoza pochyła
 Dumająca nad dumkarzem!
 Potem gwiazdą nad smętarzem.

REGIMENTARZ.

Tu o sny nie chodzi wcale.

KSIĘŻNICZKA.

Więcej nie wiem nic, prócz plotek.

REGIMENTARZ.

Mów je.

KSIĘŻNICZKA.

Czy ja kołowrotek?

REGIMENTARZ.

Waćpanna mi za zuchwale
 Odpowiadasz. Tutaj chodzi
 O cześć młodziutkiej dziewczyny,
 O cześć szlacheckiej rodziny —
 O mój dom, któremu szkodzi
 Ten rapt, trafiwszy się u mnie.

KSIĘŻNICZKA.

A Waćpan mię też za dumnie
 Pytasz się.

REGIMENTARZ.

Rzecz tego warta.

KSIĘŻNICZKA, z gniewem.

Diewczyna twoja rozdarła
 Przez lwa. — Miej to czegoś pytał. —
 (Odchodzi.)

REGIMENTARZ.

Gdyby to prawda!

SAWA, na stronie.

Zazgrzytał.

REGIMENTARZ.

Ha! gdyby to prawda była
 Że mój Lew — to być nie może!

(Wchodzi CHŁOP ukraiński.)

CHŁOP.

Panicz mię z listem przysyła.

REGIMENTARZ.

Czy zdrow? — Nim ten list otworzę
 Pytam czy zdrow? słyszysz chłopie?

CHŁOP.

Tak Panie.

REGIMENTARZ.

Co znaczy: tak panie?

Oczy w tobie groźne topię;
 Odpowiadaj na pytanie.

CHŁOP.

Panicz ranny.

REGIMENTARZ.

A gdzie leży?

CHŁOP.

W mohiłach.

REGIMENTARZ.

Czy ty pijany?

CHŁOP.

Panicz żywcem pogrzebany.

(Do Regimentarza, który rękę podnosi do bicia.)

Tak niechaj mię Pan uderzy —

Cóż ja winien? — chłopstwo męczy panicza —

REGIMENTARZ.

Tego chłopca weźcie z mego oblicza,

Bo mię jego twarz czarna przestrasza. —

Hurra Pany! do pałasza

W mojem dziecku ratować skrę duszy.

(Wychodzi.)

SAWA.

Tego trzeba aż szlachcic się ruszy

I zupełnie pałasza dobędzie!

(Wychodzi.)

PAFNUCY, sam.

Ach! Ukrainy nie będzie!
 Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.
 Ach! róż polnych z jasną rosą
 Zbraknie, bo je ludzie ci kochankom rozdadzą —
 Ach! dumy w grobach ucichną!
 Bo się pieśni do polskich już rycerzy uśmiechną.
 Ach! koniec Ukrainie!
 Bo się sztandar szlachecki na kurhanach rozwinie.
 (Ochodzi.)

ZMIANA I.

(Przy chałupie popa. Noc oświetlona pożarem. Wchodzi SEMENKO z CHŁOPAMI.)

SEMENKO.

Hej! świat smutku trumnika!
 Pod czerwonym pożarem,
 Serca nasze pod strachem,
 Duchy nasze pod czarem.
 Gonta się nam pokazał
 Przy pożarnej pochodni;
 Zabełkotał językiem
 Taj wprost piszow do Kodni.
 Trzeba, Pány Sotniki!
 Jeszcze siekier spróbować,
 Jeszcze raz przeciw czarom
 I krwią się rozczarować.
 Jutro ja Gospodarze
 Przypnę czapline pióro,
 A Popi błahoczesni
 Niech wystąpią z proskurą;
 Niech nakarmią jak na śmierć
 Krwią Chrystusa umęczoną.
 Taj znów łysną siekiery
 Na pożarach, czerwono —
 I budem ludźmi — Ojce —

CHŁOP.

A szczo bude z tą szlachtą?

SEMENKO.

Rizat! — Taj że bude strach to
 Na te pany; dworów blisko
 Takie czarne smętarzysko,
 Kędy żywe trupy stoją
 Dzidami wsparte pod boki.
 Niechaj się zaniepokoją
 I otworzą trakt szeroki,
 Sto milowy trakt czerwony:
 Gdzie jak spotkasz gród kamienny,
 To uderzy w głośnie dzwony,
 I rozpuści włos płomienny,
 I żydowski płaczem wrzaśnie! —
 A jak chluśniem krwią, to zgaśnie
 I przycichnie by mogiła.
 Strach, panowie gospodarze,
 Strach to cała nasza siła!
 Szczob my mieli czortów twarze,
 A z płomieni złotych kryła —
 Hej! — a głos z szatańskich krzyków,
 Rękawice jak z krwawników,
 Piersi czarne i czuhunne,
 Myśli gromkie i piorunne;
 Tak świat nasz! — Idte Sotniki!
 Zabawiete's — jaką igraszką.
 Bo ja dziś żonaty z Laszką,
 Chciałby tę noc jak słowiki
 Przepędzić na miłosnych gruchawkach,
 Czekać mnie, dolawszy dzbanka!

(Chłopi odchodzą. Semenکو puka do chaty — wchodzi na scenę dwie POPADIANKI w zielonych sukniach, w złotych kokosznikach.)

SEMENKO,

Hej siostry! a cóż ta szlachcianka?

POPADIANKA.

Ani usiądzie na ławkach,
 Ani chce pogadać z nami.

SEMENKO.

Jakże ona rubinami
 Mogłaby wam co polecić?
 Ustom takim tylko świecić,
 I palić się i wyjadać
 Serce z piersi, oczy z powiek;
 Lecz nie jęczyć ani gadać —
 Bo jękną, to skona człowiek!
 Bo poproszą — w ogień skoczy! —
 Może was o co jej oczy
 Prosiły?

POPADIANKA.

Na nic nie patrzy.

SEMENKO.

Jakże by te oczy, ognie,
 Patrzały, duszy nie zjadłszy?
 Człowiek się, bywało, wzmognie
 Na moc, na jedno spojrzenie —
 Taj te oczy, jak kamienie
 Szmaragdowe, gdy w nich błysnie! —
 Ona z wami tak umyślnie
 W słowach i w spojrzeniach skąpa:
 Po spojrzeniach waszych stąpa,
 A po słowach waszych lata;
 Aż ta szarowana chata
 Mej rusałce, mej dziewczynie,
 W pałac srebrny się przekinie,
 W zamek z pawich piór i złota.
 Czy się ona nie kłopotą
 O co? — siostry?

POPADIANKA.

Ciągłe wdycha.

SEMENKO.

Ach! to uschnie od wdychania,
 Jak od wonności usycha
 Kwiat, aż zbędzie malowania
 I pomięte liście zrzuci —
 To wdychaniem się wynuci

Z całej pieśni, z serca głębi;
 I serduszko swe zaziębi;
 I wyszepce słodkie słowa.
 Dajcież mi ją — bo gotowa,
 Trwogą zaniepokojona,
 Westchnąć z serca tak, że skona.

(Popadianki wyprowadzają SALOMEĘ z chaty.)

SALOMEA.

Ach jak straszno? — Czy gdzie gore?
 Czy to ty? — panie Semenکو?
 Ach bez męża mi nie skoro
 Płyną i smętne godziny —
 Często, posunięty ręką
 Zegareczek u dziewczyny,
 Ukraca długą tęsknotę —
 Ale choć ja słońce złote
 Posuwałam serca biciem,
 Choć księżyc wszedł nad futory,
 Psy się odezwały wyciem,
 Choć mruczą gdzieś senne znachory:
 Nie słyszę mojego pana.
 Ach, jaka ja jestem biedna!
 W chacie chłopskiej sama jedna!
 Wraz po ślubie zapomniana
 I opuszczona po ślubie.
 Ja tak tajemnic nie lubię —
 Zawsze z ludźmi żyłam szczerze! —
 Powiedz? kiedyż mię zabierze
 Mój mąż, od tych popadianek? —

SEMENKO.

Nie wiem panno —

SALOMEA.

To ty może
 Której z tych dziewcząt kochanek?

SEMENKO.

Brat.

SALOMEA.

Ach to ja się założe,
Ze ci one nie do duszy.

SEMENKO.

Hej! a to czemu panienko?

SALOMEA.

Bo każda z nich tak się puszy!
Humor mają kwaśny, dumny
Gdyby mnie dotknęły ręką,
Myslałabym że już leżę
Na marach. — Ja tobie szczerze
Mówię; gdzie pop, tam i trumna.
Ale nie myśl że ja dumna,
Lub z prostoty waszej szydę,
Albo się chłopami brzydę.
Ja, bywała, pieśni wasze,
I wieczornic słucham lubo:
Bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam, jak za serca zgubą
Tęsknię — słysząc na torbanie
Śpiew — i tańców tupotanie;
To mi i zapachy leśne,
I te głosy lecą dźwięczne;
Od smętności, aż miesięczne;
Z wesołości — aż boleśne,
A od krzyków, niby wściekle,
A od ech, długie, rozwlekłe,
A czasem czyste jak ślozy,
Jak szkło, na serce się leją.
To czasem się mgły odwieją
I odwiną srebrne brzozy,
I pokażą mi z kolorów
Wstążek, girlandę upiorów
Lecącą. — Czasem z kurhanu,
Kiedy się futrem otulę,
I'atrzę jak wy, na Trzy Króle,
Święcicie wody Jordanu.

Gdzieś na srebrnym, rzeczonym lodzie,
 Co błyszczą by złota blacha,
 Pop wasz trojgiem światła macha,
 Ogniem rzuca po narodzie;
 Z trzema płomieniami w dłoni,
 To wstanie, to się pokłoni,
 To się pokłoni, to wstanie —
 Aż z wody ognia dostanie,
 Zagaszoną wprzód świecą
 I ten ogień mu rozchwyć,
 Rozniósł wnet, na różany
 Lód — pomiędzy tulipany
 Z chorągwi — gdzie mi w pamięci
 Jeszcze dzisiaj widni święci
 Na dnach złotych malowani,
 I te popy — —

SEMENKO.

Jak szatani.

SALOMEA.

Nie, Semenکو, każda wiara
 Prowadzi ludzi do Boga.
 Tato mówi: świat to mara —
 A dobrodziej: śmierci twoga.
 Tak my, bywało, we dworze,
 Kiedy okna śnieg zawali,
 Przy tátu kolendowali,
 W srebrne Narodzenie Boże.
 Jak pośród małej stajenki
 Pastuszkom strzygącym runo,
 Zjawiło się pańskie łuno,
 Płomień przezroczysty, cienki,
 Od złota, rubinów żywszy;
 I pastuszki oświeciwszy,
 Takim je natchnął weselem,
 Że wybiegli: o dzieciątku,
 Co miało być Zbawicielem,
 Rozpytując się po drodze.
 A potem — w jakimże kątku!

Na jakiej oni podłodze,
 Na jakich prześcieradełkach,
 Różach, rubinach, perełkach,
 Narcyzeczkach i bławatkach!
 Przy jakichże biednych świadkach,
 W żłóbeczku małym przed matką
 Znaleźli Pańską dziecinę?
 Ach! gdy nam zaśpiewał tatko
 Że znaleźli — to mnie małą dziewczynę
 Łzy zalały — dreszcz radośny przechodził,
 I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
 I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
 Chrystus Pan się narodził w stajence!
 A dziś! Boże! cóż ze mną się dzieje?

SEMENKO.

Co mi ten kur ranny pieje?
 Ot — nie mogę od łez — — Słuchaj panna —

SALOMEA.

Ach! — ja, by świeża dziewanna
 Obrastałam w kwiatki złote.
 A dziś porzuciłam cnotę —
 Bóg wie co to jeszcze będzie!
 Co się jeszcze ze mną stanie!
 Te wspomnienia, śpiewające łabędzie —

(Wchodzi LEON z kością trupa w ręku, ścigany przez kilku CHŁOPÓW.)

Co to jest? w brudnym żupanie
 Mój mąż — w błocie cały, bez szabli?

SEMENKO.

Czy go wypuścili djabli?

LEON.

Ty podły zbójco! gałganie!
 Chłopie! napadłeś mię w lesie,
 Wyrąbałeś mi szwadrony,
 Wiozłeś rannego w kolesie,
 Gdzie jęczał szlachcic czerwony,
 Gorącą mię krwią oblewał,
 I podemną jak trup ziewał.
 Jeńcem jestem, więc nie będę się targał;

Lecz ci powiem wprost w oczy: żeś szelma!
 Żeś liberję moją krwią zaszargał!
 Że ten szlachcic, co w oczach ma bielma,
 To twój — — krwią cię on swoją zaleje,
 Kiedy staniesz przed Boga jasnością!
 Ot wy katy! rzezunie! złodzieje!
 Ot ja wolny — i trupa wam kością
 Dam ostatnią i krwawą naukę —
 Zby wam podłe na miazgę potłukę!
 Tę kość w mojem rękę Bóg zapali
 Jako piorun — i będę was gromił
 Aż się smętarz podemną zawali —

SEMENKO.

Ot się Laszek na krew połakomił!
 Hej — pokornie ja proszę Waszmości,
 Daj mi z żonką noc przepędzić miodową.

LEON.

Ot ja — przy tej trupiej kości —
 Ty przy szabli — a tam purpurową
 Błyskawicą pożary nam świecą:
 Tu się tłuczmy, aż łby nasze polecą,
 W drobne drzazgi do błyskawic — i znikną.

SEMENKO, do chłopów.

Hej! parobki! —

(Chłopcy chwytają Leona za ręce.)

LEON, moczując się z chłopstwem.

Włosy wszystkie mi wstaną,

Wszystkie jak gadziny sykną,
 Wszystkie jako węże świsną,
 Wszystkie jak pioruny błysną.
 A choć członki skrępowane
 W rękach u czarnych rzezuni,
 To cię włosami dostanę;
 Bo się mój włos rozpioruni,
 Powietrzem ciebie doleci,
 I na węgiel czarny spali,
 A paląc twarz ci oświeci,
 Abyśmy się raz spotkali,

Nim się napotkamy w niebie:
 Raz jak trupy spojrzeli na siebie.
 Bóg to widzi, że nie chcę żywota,
 Ale śmiercią chcę twej śmierci, gałganie!
 Chcę do mogilnego błota
 W robaków i krwi bluzganie
 Zaciągnąć ciebie za włosy,
 Zęby tobie wszczepić w gardło —
 Gryźć się z tobą jak połosy,
 Aby się na nas podarło
 Ubranie nasze cielesne,
 A członki same bolesne
 Po stepie skakały jak żmije!
 Ja cię prosto nie zabiję,
 Za króla złoto i srebro:
 Ale cię kiedyś na żebro
 Odwinięte, kościo-pióre,
 Siekierą tak odwalone,
 Że ma zawiasami skórę,
 Powieszę — jak żywą wronę.
 Jak ty krwawy pastwicielu,
 Na jednym obywatelu,
 Stawszy się piersi felczerem,
 Usta mu zrobiłeś zerem,
 I straszną krwawą pustoszą —
 A ze skór odartych skrzydła,
 Które go w niebo unoszą
 I pół ludzkiego straszycła
 Panu Bogu teraz jawią,
 I pośród Aniołów stawią,
 Strasznym go czyniąc Aniołem —!
 Otóż ja pod twojem czołem,
 Jeśli się żywi spotkamy,
 Wygryzę takie dwie jamy,
 Aby w nie mózg wolno ściekał,
 Jak ty woskiem powypiekał
 U tych dwóch, co na wznak leżą,
 Kłębiąc się w krwi jak delfiny,

I bluzg roztopionej cyny
 Na piersiach mają odzież,
 Krzyżem i srebrną kałużą,
 Pod którą ciało się dymi.
 Więc ja cię, gadzie olbrzymi!
 Nim cię duchy przenaturzą,
 W psa i obłok z krwawej pary:
 W żebrach ci porobię szpary
 I te znituję ołowiem;
 A jeśli kiedy odpowiem
 Przed Bogiem, wiem że nie za to —

SEMENKO.

Ty mój dobrodzieju! — ty chatą
 Obdarzył mię i połonką,
 I znitował mię z tą żonką,
 Która mi tu pachnie rajem —
 Taj przyszedł — co? — korowajem?
 Na wesele twego sługi?
 Gdzie krew — to jak wina strugi,
 Gdzie mogiły — jak wyprawa,
 Księstwo całe, ziemia krwawa;
 A pieśń na te zaślubiny
 To wasze straszne łaciny,
 To wasz smętny pacierz laszy,
 Co mi głupie chłopstwo straszy,
 Wyjąc w nocy po mogiłach.
 Szczob ty był lwem? przy lwich siłach?
 Toby wczoraj z twemi pany
 Bił się niepardonowany,
 I krwią las ojcowski zrosił,
 A u siekier się nie prosił —
 Tego był co dziś humoru?
 Gdyby ty był człek honoru,
 Toby swą kochankę cenił,
 I sługi z nią nie ożenił,
 Wypaliwszy wstydu znamię —

SALOMEA.

Leonie! mów mu że kłamie.

SEMENKO.

Ja twój mąż —

SALOMEA.

Leonie drogi!

Czemu ty patrzysz pod nogi?

Podnieś oczy, w oczach siła.

LEON.

Trzeba abyś uwierzyła
 W smoki, że na złocie jedzą,
 A pisklęta własne jedzą,
 W gadziny słońcem rozgrzane,
 Ciałami własnych rodziców
 Na stepach wypasane;
 W upiory, co od księżyców
 Wziąwszy gust do krwi czerwonej,
 Częściej spowinowaconej
 Pragną, niż obcą się mażą. —
 Gdy cię te wszystkie przerażą
 Monstra, chodzące w purpurze,
 Czyniące przeciw naturze,
 By własnej dogodzić stawie:
 Wierz we mnie — i bądź w obawie
 Czy ja nie gorszy niż one —

SALOMEA.

Zdrapał rany — ach utoną

W tej krwi —

SEMENKO.

Weźmijcie ją siostry!

A ciebie Paniczu, ostry

Topór, albo kosa skosi —

Albo miłość jej od śmierci wyprosi.

(Popadianki wnoszą do chaty Salomeę. — Semenکو za Leonem, prowadzonym
 na smętarz przez chłopcy, wychodzi.)

A K T IV.

(Obóz polski — zdala widać okop czworogranny, oświetlony wewnątrz przez
 chłopskie ogniska — z bukietem lip i cerkwią. Wchodzi REGIMENTARZ
 z garstką SZLACHTY zbrojnej.)

REGIMENTARZ.

Przed nami, Mości Panowie,
 Serce buntu, gniazdo chłopie.
 Oto w piaskowym okopie
 Siedzą dymami nakryci —
 I gdyby o jeńców zdrowie
 Nie dbać, że będą zabici
 Nim się wdrzemy na wały,
 Dawnobym polnemi działa
 Zagrał śmiertelnego marsza.
 Ale już drużyna starsza
 Zaczyna z nami układy;
 I ciągle lirowe dziady
 Włóczą się, niby upiory,
 Tych kruków negocjatory,
 Kawałki ludu chodzące.
 Dawniej to bywało: dziady,
 Szlachectwu dobrze życzące,
 Nieraz brano do porady;
 I przychodzili zgarbieni,
 Zasiadali rzędem w sieni,
 Lub na dziedzińcu pod drzewem;
 I tam sobie lirnym śpiewem
 Jak kawki bywało gwarzą.
 Aż pan dziecko wyszle z groszem,
 Z pełnym obwarzanków koszem:
 To dziecinie błogosławią,
 Obraskiem nieraz obdarzą;
 Albo coś o przodkach prawią,
 Dziwne i ciemne powieści

Co się potem śnią dziecięciu.
 To, bywało, ze czterdzieści
 Dziadów, o wiosny poczęciu,
 Schodziło się nam do domu.
 Mój ojciec — niech mu Bóg świeci! —
 Polecał nie lada komu
 Karmić te dawnych stuleci,
 Chodzące żywe kroniki!
 Ale zawsze nas chłopczyki
 Posyłał. Nie wiem dla czego
 Dziś ten afekt ojca mego
 Dla dziadów, w myślach mi stoi?
 Czy to, że dusza się boi
 O syna i przeczuć słuca —
 I ojca też jako ducha
 O świętą pomoc uprasza?
 Czy też, że dziwnie myśl nasza
 Z wiatrem Bożym się odmienia?
 Raz pełna w sobie płomienia,
 Pewna szczęśliwego skutku —
 To znowu, trumnica smutku,
 Dusza niespokojna, trwożna,
 Jako ślimak w skorupie ostrożna?

(Wchodzi SAWA w sukmanie djaczka ruskiego z wertepem pełnym jasełek na plecach.)

Cóż tam Sawo? czy dobrze wertepem
 Oszukałeś to chłopstwo pijane?
 Czy im ciągnie jaka pomoc stepem?
 Czy widziałeś smętarze rumiane
 Jeńców krwią? Czy mój Lew jeszcze dycha?

SAWA, zrzucając sukmanę.

Dajcie mi pierwej z kielicha
 Pociągnąć nieco węgryzna.

REGIMENTARZ.

Widziałeś mojego syna?

SAWA.

Zdrów.

REGIMENTARZ.

Czy dociągnie do nocy?

SAWA.

Dęby przetrwa — on pełen jest mocy!
Cóż za myśli twe Regimentarzu?

REGIMENTARZ,

Więc byłeś na tym smętarzu?
Ach opowiedz, na coś patrzył oczyma.

SAWA.

Dawno ja, Mości Panowie,
Od Drewicza się nauczył
Podstępów, różnych maskarad.
Więc i teraz z tym wertepem
Na plecach, udając djaczka,
Takem dobrze odgrał rolę,
Ze jedne tylko sokole
Oczy na mnie się poznały. —
Skoro tylko pociemniały
Czarne lipy nad cerkiewką,
Wszedłem na wał raźnie, krzepko,
Na wał, gdzie przy kołowrocie
Dawniej żebrak lub cyganka
Siedzieli, a dziś w ciemnocie
Straszna krwi gospodarzanka,
Rzeź czerwona, stoi w dymie
Pędzonym od Zaporozów. —
Bo to zbrodnie tak olbrzymie,
Ta góra węży i nożów,
Nożów, które w Boga imię
Poświęcone wśród rozruchów,
Mają zaciętą naturę
I okropną świętość duchów —
Bo ten, który mógł górę
Olśnić, lecz nie wypogodzi
Księżyc — ten sam przestрах czuje,
Bo z jednego trupa schodzi,
I na drugiego wstępuje:
Bo jedną porzuci głowę

I zdejmie z niej białe skrzydło,
 I znów drugie koralowe
 Odkrywa we krwi straszdyło,
 Gdzie w ranach jak ślepy brodzi — —
 Wszystko to na myśl nawodzi
 Tę marę, w pół obłąkaną,
 Niegdyś przed rzezią widzianą,
 Na smętarzach i kurhanach,
 W ludzkich ślinach i psich pianach:
 I zgniliznach, i w zamachu,
 I w zgrzytaniach, i w tęsknotach!
 Bo przy ukraińskim strachu
 Zawsze w miesięcznych pozłotach
 Stoi smutek — w sercu boli,
 I myśl puszcza w lot skoli. —
 Z takim to smutkiem, a z ręczne
 Oczy posławszy za szpiegi,
 Na ciemne wzgórze miesięczne
 I krwią zroszone mogiły,
 Aby mi tam wypatrzyły
 Na razie, ratunku brzegi
 Wszedłem, strachu będąc blisko,
 Na to ciemne uroczysko
 Z krzyżami — i tam ujrzałem
 Że pomiędzy żywym ciałem,
 Niektóre resztki z krwawników,
 Ciała smętne nieboszczyków
 Leżały. A w oczach próżnych
 Nie tylko że brakło życie,
 Lecz na miesiąca odbicie
 Nie było szkieł; więc się blaski
 Po krwawnikach gdzieś kałużnych
 Błąkały i szły w roztraski,
 W garście złota, w kwiaty cudu;
 Które pewnie wzroki ludu,
 Co na krwi kałużach wiszą,
 Obłąkane strachu snami,
 Nazwą krwi tulipanami,

I Rusałkom je przypiszą,
 Widząc kwitnące wśród cieni.
 Wszedłszy tam, gdzie mgła jesieni
 Mży, a liść lipowy cięży,
 I na miesięcowych strunach
 Kładzie swoje czarne plamy —
 Gdzie gałęzie, jak kłęb węży,
 Lecących z piekielnej bramy,
 Matki, przy synach ksykunach
 Zatrzymały się i leżą,
 Na ogniach, jak na piorunach,
 Panując nad horodyszczą:
 A patrzą gdzie żądłem uderzą,
 I na serce trupów świszczą;
 Spostrzegłem drugi ponury
 Tłum, co śmierci się spodziewa.
 A czasami jeniec który
 Odetchnie śmierci ciężarem,
 A czasem który zaśpiewa,
 A czasem jęknie nad żarem;
 Albo ci nagle z pod nogi
 Zawoła kamień czerwony:
 Ratuj Panie Jezu drogi!
 A drugi: bądź pochwalony —
 I tak to robactwo w pruchnie
 Szepcze, aż z krwawych rozcioków,
 Straszniejsza głowa wybuchnie,
 I krzyknie: na wieki wieków!
 I wszystko na chwilę uciszy.
 Tam wśród pjanych towarzyszy
 Miałem go prawie pod ręką — —
 Twój sługa siedział Tymenko,
 Skarżąc się chrapliwie z gardła —
 Jak człowiek co ma suchoty,
 Że małżonka mu umarła!
 Że go z tą czernią kłopoty
 Już do syta udręczyły.
 Że ot — wyjdzie na mogiły,

Każe różnąc obywateli,
 Krwawym się przypatrzy pluchom;
 A potem, na vivat duchom
 I djabłom, w łeb sobie strzeli:
 I kopnąwszy o płomienie
 Jak szatan światem pomiota — —
 Spojrzałem: a odurzenie
 I niepamięć, i zgryzota,
 Żył posiniałych napięcie;
 Owo straszne przedsięwzięcie;
 Pisały na jego twarzy. —
 Wtenczas ja, mając na straży
 I pieczy jeńców żywoty —
 Teatr mój łożówką złoty,
 Na srebrnej kurhanów darni
 Odkryłem — — Mości Panowie!
 I na ciemnych mogił głowie
 Zjawiłem w mojej latarni
 To, o czym jak wiecie sami
 Śni się nam pod mogiłami.
 I tak, to Betlejem złote,
 Oświecone gwiazdą było,
 Rozlewającą tęsknotę:
 Słońcem myśli zakrwawionych:
 Bo niektórym o domach mówiło,
 O dziecięczech straconych,
 O śpiewanych gdzieś kolędach,
 I o tych żywota błędach,
 Co dopiero przed śmiercią są widne.
 W tem, o Panie, na ohydne
 Smętarze i uroczyska,
 Pod ciemne lip wężowiska,
 Od kurhanów, na kurhany —
 Wiodąc światel złotych roje,
 Przez miesiąca ołowiany
 Blask — sunąc chorągwi tęcze;
 Na wieczności gdzieś pokoje
 Snujący złote obręcze

Wąż — pogrzeb wioszczany lichej,
 Pachnący czarnym jałowcem,
 Wszedł — i rzucił nad grobowcem
 Trumienkę, bez żadnej pychy,
 Ale ubraną w kielichy
 Narcysowe i w konwalje.
 Jasną, bo w niej anielica
 Ubrana jak na batalje
 Z piekłem, w słoneczności lica,
 I w niewinności ubiory,
 I w te ostatnie kolory
 Śmiertelnej podobne zorzy,
 W ostatni rumieniec przed-boży,
 Leżała — —

A skoro mary

Wstąpiły na smętarzysko,
 Ruszył się Gruszczyński stary,
 Prawdziwe dla mnie zjawisko
 Krwawego z pod grobu trupa,
 Za którym czarna wron kupa,
 Upędza się, goni, wrzeszczy —
 Przybiegł: obaczył te mary
 I — jak dąb co w sobie zatrzeszczy,
 Powieje liścia sztandary,
 Pokłoni się światu — i runie:
 Tak on na tej białej trunie,
 Gniotąc narcysowe pączki,
 Leżał, głową powalony
 Na obrazek umarłej i rączki —
 Z drugiej strony zaś syn twój szalony
 Z równą zdaje się żalością,
 Przybliżał się z trupią kością,
 Białą, w ręku podniesioną;
 I z taką twarzą szaloną,
 Że strach nam serca zamroził;
 Bo zdało się że obłokom,
 Gwiazdom, latającym smokom,
 Chimerom, aniołom groził;

Że oczyma niebo ranił
 I tą kością szatanom hetmanił.
 Nie wiedziałem co wszystko to znaczy.
 Aż twój syn padł na kolana,
 I w piekielnika rozpaczy
 Zaczął siebie sam przeklinać.
 Dajcie, krzyknął, nóż starcowi!
 Jeśli kto tu ma zarżnąć?
 Jeśli wy zarżnąć gotowi
 I oblać się juchą krwawą?
 To on większe ma tu prawo
 Mścić się — bom uwiódł mu dziecko,
 I to dzieciąteczko cudze
 Darowałem memu słudze,
 Zrobiłem córką zbójcką;
 Tak, że ją rozpacz rozdarła,
 I oto leży umarła —
 Jasna, jak zwiędłe lilije,
 Ludowi temu w podziwie! —
 Niechaj starzec mię zabije,
 A uczyni sprawiedliwie.
 Puście! proszę was z litości!
 Jeśli nie chcecie dać noża,
 Ja mu pożyczę tej kości,
 I będzie jak ręka Boża,
 Którą ja zgonem uświęcę —
 Jak dłoń Boża, w ojca ręce,
 Jak grom. — Tu przerwał Gruszczyński,
 Równie zdając się szalony:
 Co to za szatan czerwony?
 Krzyknął, ów człowiek przedemną?
 Czy jaki duch ukraiński?
 Z szatą gwiazdzistą i ciemną,
 Który mi tu płakać broni?
 I stoi z piorunem w dłoni?
 Z włosów swych uczynił gady,
 Grożąc mojej córce bladej,
 Która jest aniołów panią!

I nie daje mi isć za nią,
 Sił ostatecznych pozbawia,
 I krzyżem drogę zastawia —
 O! bo tam krzyż z wielką gwiazdą,
 Krzyknął: biorąc nas za świadki —
 Na nim pelikana gniazdo,
 Karmiącego krwią swe dziatki;
 A z Chrystusa krew wytryska
 Coraz jaśniejsza i bledsza:
 Aniołkowi, wśród powietrza,
 Lejąca się w puchar złoty.
 O! Chrystus i różne zjawiska,
 Jawią mi się wśród ciemnoty,
 I przejęty jestem trwogą — —
 Ja nie mogę zabijać nikogo! —

Tu mu głos twojego syna
 Przerwał: jeśli widzisz Pana?
 To Pan mię pewno przeklina;
 Bo dusza zaturbowana
 W oczach moich teraz stoi,
 I nie widzi — i Boga się boi. —

Tak ci gadali do siebie
 Przez trumienkę otworzoną;
 Gdzie z narcysową koroną
 Będąca na swym pogrzebie
 Srebrna dusza, pewnie onych
 Mów się przełękała szalonych,
 I od takiej świata ludni,
 I od takich męki krzyży,
 Uciekała coraz smutniej,
 Uciekała coraz wyżej — —
 I nie mogłem się obronić
 Aby nad nią łez nie ronić,
 Nie zatrzymać w myśli rysów,
 Nie żałować tych narcysów. —
 Co się z temi ludźmi stało
 Dalej? Panie, nie wiem wcale,
 Bo mię jeden z brodą białą

Dziad, w wielkim duchu i szale,
 Uderzył tam po ramieniu
 I nazwawszy po imieniu,
 Odwiódł od umarłej dziewczki,
 I od obłąkanych ludzi,
 Do jednej pustej cerkiewki —
 Gdzie — co mówił — to wam uszy utrudzi,
 Bo wy gadek nie znacie stepowych.

REGIMENTARZ.

Ach! rzeczy piekielnie nowych
 Powieść twoja pełna, Sawo —
 Mój syn z tą kością plugawą?
 Mój syn mówisz, jest warjatem?
 A starzec nie chciał kyć katem,
 Pomnący na pokrewieństwo
 Przyjaźni co nas łączyła!
 A może też przez szaleństwo,
 A może wzgarda to była,
 W szatę szaleństwa ubrana?
 Ach! i tak zamaskowana
 Zdała się tobie warjacją?
 Ach przed tym okopem kłęczę,
 (Kłęka.)
 Jak przed kalwaryjską stacją,
 I do Pana mego jęczę
 W ufności i w krwawym żalu!
 Mogiło! krwawy koralu,
 Krwią mego dziecka oblana!
 Patronuj za mną do Pana!
 Przemów krwi modlitwą ciemną!
 Niech się zlituje nademną! —
 Cóż to jest? — — Ktoś na okopach?

(Pokazuje się na okopie w powietrzu mglistem GRUSZCZYŃSKIEGO DUCH.)

DUCH.

Gońcie! bo na czarnych chłopach
 Krew nasza! — powietrze rwiemy!
 Gońcie! bo poszalejemy!
 Bo nam na błękitach krwawo!

REGIMENTARZ.

Czy widzisz go?

DUCH.

Sawo! Sawo!

(Znika.)

REGIMENTARZ.

Czy go słyszysz?

SAWA.

Wernyhora

Prawdę zapowiedział wczora!

Ten krzyk, to jest nasze hasło —

REGIMENTARZ.

Powietrze czerwone zgasło

I zniknął ten człowiek stary,

Skrwawiony.

SAWA.

Czekano tej mary

Na Ukrainie u ludu —

REGIMENTARZ.

Nie ma w tem żadnego cudu.

Gruszczyński o pośpiech woła —

Każ uderzyć do kościoła

Z hakownic — aż srebrne gonty

Polecą na dachu zrębie,

I pierzchną niby gołębie

Chmurą białą — niby świstki,

Na których nasze afronty

Spisane —

SAWA.

Lub jako listki

Ruszone z białych narcysów

REGIMENTARZ.

Hej Orzeł — burkę z tygrysów

I szablę! — Do szturm Panowie!

Kto żyć będzie, ten jutro rozpowie

O dzisiejszej godzinie kobietom. —

Reszta szablom i końskim kopytom.

(Wychodzi, a za nim Sawa i cała szlachta.)

ZMIANA I.

(We dworze Regimentarza. Wchodzi KSIĘŻNICZKA i za nią ANUSIA.)

KSIĘŻNICZKA.

Ach, Anusiu! Anusiu!

ANUSIA.

Co, Panno?

KSIĘŻNICZKA.

Gruszczyńskiego duch mi się pokazał.

ANUSIA.

Być nie może!

KSIĘŻNICZKA.

Z piersią krwawą i ranną,

Cicho stojąc, na powietrzu namazał

Krzyż czerwony i zniknął.

ANUSIA.

Honory!

KSIĘŻNICZKA.

Przepowiednia się, ach! Wernyhory

Sprawdza na mnie —

ANUSIA.

Niech się modli panienka —

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze krwawa i ognista ręka

Musi oddać mi ślubny pierścionek. —

Widziałam już pierwszą marę.

ANUSIA.

Zmów panienka choć kilka koronek —

Uczyn z czego serdeczną ofiarę.

KSIĘŻNICZKA.

Ach z rozumu ja i śmiechu

Ofiarę już uczyniłam.

Jak płótno jestem na blechu,

Pokrwawione ducha dłonią;

Z oczu się jego napiłam

Światel, co nad Świętych skronią.

Dowiedziałam się z postaci,

Że człowiek nie w grobie nie traci;

Widząc go w złoconym pasie,

Może z ogni robaczkliwych.
 Każe się pogrześć w atlasie,
 W kolorach nielitościwych
 Dla serc, które teraz jęczą:
 I po śmierci będę tęczą,
 Jeśli mi Pan Bóg pozwoli,
 Od topoli do topoli;
 Na smętarzu pajęczyną
 Z róż, brylantów, i motyli —
 Przez którą przejdą niemili,
 A mili tak się owina,
 Że wiecznie ze mną zostaną —
 Ach Anusiu! jutro rano
 Los mój się rozwiązać musi
 Tak, jak dumka śpiewana na Rusi.
 (Wychodzi z Anusią.)

ZMIANA II.

(Przy cerkwi pod lipami. — LEON z kością w rękę, obłąkany na twarzy. —
 Wbiega SEMENKO.)

SEMENKO.

Złociste Lachów sztandary
 Gnają wiatr — i dym, i krew.
 Lecz z szablą pan mój stary,
 Złoty jak kudłaty lew;
 Ołowiany ja mu grad
 Ze szturmaka sypnął w brzuch,
 Taj nie zadrzał i nie padł —
 I zdjął mię strach. — Szczo ty za duch?

LEON.

Przysięgam na blask księżyca
 Żem nie człowiek, ale lwica;
 Żem nie człowiek na smętarzu,
 Ale śmierci herb w herbarzu —
 Na czerwonym polu stoję
 I złotych się gwiazd nie boję,
 Nie boję się twojej spisy.

SEMENKO.

Ach, daj paść na jej narcysy
I umrzeć

LEON.

Nikt nie umiera —

Ale piekło się otwiera,
Gdy w bramy sztukam tą kością.
Widzisz tam — pod lip ciemnością
Postacie widać piekielne,
O drzewa poopierane.
Powietrze jak ołowiane —
A deszczem gonty kościelne
Lecące jak śniegi białe,
Na ogniu i krwi stopniałe,
Węży sinych bielą kuszcze — —
Przez do piekła! bo do cerkwi nie puszcze —
Bo tam teraz z wielką ciszą
Dusze umęczonych wiszą
Na krzyżach i Boga chwala,
A słońca jasne się palą
Koło ich głów — jak tarcze złote.

SEMENKO.

Miałby ja teraz robotę,
Gdyby z warjatami gadał!
Puskaj w cerkiew —

LEON.

Na pierś skoczę
I będę oczy wyjadał.

SEMENKO.

Strach ty — lecz ja w tobie umoczę
Moją spiseń aż po dłoń —

LEON.

(Odbija spiseń kością — i wlatując na Semenkę, obala go na ziemię i dusi.)
W rękach mam twe gardło i skroń —
A co?

SEMENKO, przyduszonym głosem.

Dusysz mene panyczu!

(Wbiega REGIMENTARZ na czele polskich żołnierzy.)

REGIMENTARZ.

Co za widok! — Mój synu! mój synu!

Patrzcie! na jego obliczu
 Obląkanie — Jedną ręką
 Potrząsa palce z rubinu,
 A w drugiej kość ludzka się pęka
 W drzazgi, a wzniesione brwie. —
 Mój synu! mój drogi! mój Lwie!
 Ach co za okropny los! —

LEON, wstając i przychodząc do zmysłów.
 Co to jest! ojcowski głos!

REGIMENTARZ.

Poznał mię — weźcie go stąd!
 Tu jeszcze kule świegocą.

(Wyprowadzają Leona.)

A jutro rano na sąd
 Dostawić tego zbrodniarza.

(Pokazuje na Semenkę.)

Żyły mu w gardle charkocą,
 Oczy wyszły z wirydarza —
 Czaszki, jak dwa blade króle
 Pełne przestachu, w purpurze,
 Kiedy Pan ludów na chmurze
 Napisze słowo stracenia.
 Wziąć go — i w mojej szkatule
 Znaleźć co do otrzeźwienia,
 A zdrowego mi dostawić;
 Bo ja się z nim będę bawić
 Jak kot z myszką!

(Wchodzi SAWA.)

SAWA.

Pałasz mój do rękomości
 Czerwony krwią mego ludu.
 Podobnie się nam do cudu
 Ta krwawa walka powiodła,
 Ani jeden z nas nie zginął —

REGIMENTARZ.

Ten dzień wiecznie będzie słygał,
 Bo mię Pańska nie zawiodła
 Łaska — syn mi się odrodził,

Zmartwychwstał na moje słowo!
 Co rok to będę obchodził,
 Jak wielką fetę domową
 I aniwersarz rodzinny.

SAWA.

Do końca muszę być czyny
 I kopnąć się dziś z wieczora,
 Bo nam zniknął Wernyhora,
 Z ciałem umarłej dziewczyny.
 A teraz jasno to widzę,
 Że on rozhukane gminy
 Utrzymywał z sobą w lidze,
 Z duchami wiązał w sojusze;
 Aż go święte jakieś dusze
 Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
 Że dziad uciekł na mogiły.

REGIMENTARZ.

Ruszaj w pogoń, bo te trądy
 Trzeba zupełnie wyleczyć.
 A choćby ziemię skaleczyć
 W leczeniu, wrzód wyrznąć trzeba.
 Jutro rozpoczynam sądy,
 Gdzie dom Gruszczyńskiego z nieba
 Będzie mi adwokatował. —
 Bom go już zastawszy trupem,
 W martwe czoło ucałował —
 I przyrzekłem, że kruków go łupem
 Nie zostawię i bez mszy żałobnych,
 Ale go do dziątek drobnych
 Przybliżę — i niech uspiiony
 Położy się obok żony,
 I u nóg staruszki matki. —
 A Waśc jemu przynieś kwiatki,
 Ciche kwiatki narcysowe
 Pod srebrną staruszka głowę —
 To i wszystko w ciemnym grobie,
 Znajdzie ten człowiek przy sobie —

SAWA.

W tem ci najwiernej usłużyć
 Kładąc w tok kurenne spisy;
 Ale ty mi, za narcysy,
 Będziesz musiał oddać róże.
 Do jutra Regimentarzu! —

(Odchodzi.)

REGIMENTARZ.

Pokój duchom na tym smętnym smętarczy
 (Wychodzi z rycerstwem.)

A K T V.

(Sala we dworze regimentarskim przybrana posępnie jak na sądownictwo, oświetlona jarzącym światłem. Wchodzi KSIĘŻNICZKA z orszakiem panien respektowych, bogato ustrojona.)

KSIĘŻNICZKA.

Jaki jęk na dziedzińcach!
 Jak płaczą młodyce!
 Klną stepowe księżyce
 I słońce — i rwą włosy.
 Ile krwi w Ukraińcach
 Tyle teraz tu rosy
 Wyleje się na kwiaty:
 Astry, gwoździki, róże.
 Gdym wyszła na podwórze
 Zobaczyłam i katy
 Okropne i czerwone,
 Nie wiem skąd przywiezione. —
 Ach! a ze mną co będzie?
 Czy jak srebrne łabędzie
 Spłynę na krwi czerwieni?
 Czyli mi się odmieni
 Ten skrwawiony poranek
 W wieczór słodkiej tęsknoty?

Cichy, księżycem złoty,
 Tak miły dla kochanek!
 A dla pijaków Panów
 Tak wesoły po wojnie!
 Świecący tak spokojnie
 Dla starych gdzieś kurhanów!
 A dla dziś osądzonych
 Mogił, świeżo czerwonych,
 Taki pełny spoczynku! —
 Włos mam w listkach barwinku! —
 A chociaż z wrózek szydę,
 Taką się dzisiaj widzę
 Jaką się, ach! widziała
 W przyszłych myśli szafirze,
 Kiedym dziesięć lat miała,
 A dumkarz grał mi dumki na lirze.

(Wchodzi REGIMENTARZ, LEON, SEKRETARZ sądu i orszak SZLACHTY.)

REGIMENTARZ.

Czemuś moja Panno dziś nie w czerni?
 W dzień tak straszny, tu, gdzie kryminały
 Będę sądził. — Towarzysze pancerni
 Zasiadajcie! — Żupan wdziałem dziś biały:
 Gdy go rzucę, to będzie czerwony. —
 Kazać w cerkwi uderzyć we dzwony
 I wprowadzić tu herszty rzezunie.

(Zasiada na krześle. — Polscy wojacy wyprowadzają okutego w łańcuchy SEMENKĘ i kilku z naczelników rzezi.)

PIERWSZY z CHŁOPÓW, kłaniając się.

Daruj Pane! — Taj czort niechaj splunie
 Czarną krew, co my z panów wylały.
 Taj bądź ty nam jak Car biały,
 Bądź litośny.

REGIMENTARZ.

Bóg to widzi! nie mogę —
 Uderzyliście w trąby na trwogę,
 Zapaliliście wioski, dwory —
 Świat was widział jak krwawe upiory,

Tańczące w pożarach — ohydni!
 Niech wam Pan Bóg po śmierci rozwidni
 Piorunami — i drogę pokaże —
 Jak nie mogę — ja was śmiercią ukarzę,
 Jaką wężom jad czarny odbiorę,
 A na waszą udaną pokorę
 Nie uważam. — Ściąć im łby — i w kawały
 Poćwiertować —

CHŁOPY.

Taj szczoł bisy proklały

Twij dom czorny.

REGIMENTARZ.

Egzekwować ich zaraz!

(Do Semenki.)

A ty?

SEMENKO.

Ze mną nie będzie ambaras —
 Cienką szyję mam —

REGIMENTARZ.

Słuchaj Semenko!

Jak ty jeszcze tu niedawno
 Mój chleb jadł! —

SEMENKO.

Taj mi niestrawno.

REGIMENTARZ.

A dzisiaj pod kata ręką?
 Pod ręką sprawiedliwości?

SEMENKO.

Taj proszę ja Jegomości
 O śmierć, a nie o naukę.

REGIMENTARZ.

Znałem cię za śmiałą sztukę;
 Lecz na takie djable szczenię
 Nie mógłbym nigdy osądzić.
 Jak ty mógł tak rozporządzić
 Buntem? i takie płomienie
 Zapalić? —

SEMENKO.

Jak? — Sercem Panie —

REGIMENTARZ.

Syna ty mego gałganie!
 Jak smok uwiodłeś na zgubę —

SEMENKO.

Oj, dzieciątko twoje lube!
 Jemuż to i rosa szkodzi! —
 Nie czort — no — on czorty wodzi.
 Szczob ja jego miał był oczy,
 Jego serdeczną przynęę;
 Byłby ja wiódł życie święte,
 Uciekł z nią do Pawołoczy.
 Byłby ja gdzieś o hetmanach
 Śnił na trawie, na kurhanach!
 Choćby przyszło pod Kozyrą,
 Zostać w Siczy tabuńczykiem,
 Albo lud obchodzić z lirą;
 Byle nie być niewolnikiem,
 Nie żyć sercem przez połowę;
 A położyć dumną głowę
 Na kochanki wierne łono.
 Że ja nie z tą się koroną
 Co twój syn urodził, panie,
 Toż ja za to, na majdanie
 Stał jak czort w pożarach czarny:
 A dziś ty mi Pan, bezkarny,
 W domu twoim zetniesz głowę. —
 No, zobaczysz ciało zdrowe,
 Żyły, jak krwią jasną trysną;
 No, zobaczysz jak się ścisną
 Moje zęby a nie zgrzytną;
 No, zobaczysz twarz błękitną,
 A nie strachem śmierci bladą;
 No, rozporzesz przed gromadą,
 I rozedrzesz na dwie szmaty —
 Taj poznasz, że ja chłop z chaty,
 A nie tchórz na dokumentach.

REGIMENTARZ.

Myśl teraz o Sakramentach.

SEMENKO.

Pan Bóg bez tego oczyści.

REGIMENTARZ.

Cherubinowie ogniści
 Najczystsze duchy uwodzą.
 Lecz kto stoi aż do końca
 Pod Aniołów takich wodzą,
 Ten zaprawdę nie wart słońca.
 Semenko! ty Boga bliski,
 Zamódl że się teraz w duchu — —
 Zakneblować jemu pyski!
 Nogi zostawić w łańcuchu,
 Zawiesić mu kir na czoło,
 Ręce wznieść, słomą okręcić,
 I całego oblać smołą;
 Potem przez księdza poświęcić,
 I czarną figurę smolną
 Podparłszy, gdy zeche się walić,
 Na samym wierzchu — zapalić
 I przez wieś prowadzić wolno,
 Jako świecznik zapalony:
 A ciągle niech biją w dzwony,
 Póki zgorze żywa świeca,
 Okropna ludu gromnica,
 Świecąca buntu trupowi.

(Wyprowadzają Semenkę.)

KSIĘŻNICZKA, do Regimentarza.

Ach strach mię przeleciał mrowi!
 Panie!

REGIMENTARZ.

Cicho mi bądź dziewczko:

Bo ci żupana podszewką
 Krwawą zamaluję usta!

KSIĘŻNICZKA.

Ach, blada jestem jak chusta!
 Jaka to czarna godzina!

REGIMENTARZ.

Sąd się od drugich zaczyna

A zakończy się na sobie —
 Wiedźcie zaś, że to co robię
 W imieniu swoim i syna,
 Z aniołów idzie nakazu:
 Którym nie tylko wyrażu
 Wnętrznego trzeba od ludzi,
 Lecz i kształtu, co żal budzi,
 Skruczą serce zadawalnia,
 A przed sądem już aniołów uwalnia.

(Daje rozkaz: wnoszą ciało Gruszczyńskiego, i opierają trupa na krześle,
 z którego zszedł Regimentarz; ten zaś wzięwszy syna za rękę, klęka przed
 umarłym i mówi:)

Szkolny mój niegdys kolego,
 Przyjacielu, dziś nieżywy,
 Tyś był zawsze sprawiedliwy!
 Sądz mnie, i syna mojego —
 Zaprawdę! obaśmy winni!
 Ja, twojej człowieku zguby,
 A on, hańby: my istynni
 Zabójce twojej rodziny.
 Choć w tobie już żadne szruby
 Martwej ręki nie poruszają;
 Weź ten miecz ognisty duszą,
 Jeśli to uczynić zdolna,
 I na karki spuść nam zwolna,
 I każ odnieść na swój smętarz.
 Boś ty wielki Regimentarz,
 Sędzia Pana Boga święty;
 A my twoje delikwenty!
 Leżym w prochu — zetnij! zetnij! —
 Lecz co mówię? przebacz stary!
 Ja wiem żeś ty pełen wiary,
 Od nas czyściej żył, szlachetniej —
 Czy ja cię nie znam, człowieku?
 Starego druha i kuma?
 Czy ja nie wiem co trup duma:
 Trup, jednego ze mną wieku,
 Trup, jednego ze mną serca?

Jak ja, niegdyś śmiały, butny,
 Jak ja, teraz blady, smutny,
 Na tym krześle zamyślony.

(Wstaje i mówi do przytomnych.)

Panowie! ja nie morderca —
 Oto boleścią szalony
 Rzucam się, w okropnej męce,
 Przyjacielowi na rękę —
 Czy nie widzicie? że ściska,
 Że ściska mnie, nie odpycha?
 Ta twarz jego smętna, cicha —
 Patrzcie! niby słońcem błyska! —
 Wzywam was wszystkich na świadki,
 Że to jak twarz smętna matki,
 Nie twarz, która sądem grozi —

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ten trup powietrze zamrozi —

(Daje znak i wynoszą umarłego.)

A ty nasz Regimentarzu
 Ze smętnych myśli otrzeźwij,
 I z żywemi staw się rzeźwiej.

REGIMENTARZ.

Coraz więcej na smętarzu
 Mogił, a śmierć ciągle kosi,
 I tam wszystko się przenosi.
 A tu coraz puściej co dnia;
 I dla nowego przychodnia
 Coraz obszerniej przy stole —
 Sumienie zaś w sercu kole.
 I to najgorsza z boleści!
 Najstraszniejsza! jak widzicie:
 Gdy człowiek łez w oczach nie zmieści,
 Smutku nie dożyje skrycie.
 Ale żal otwarcie głosi,
 Na zimne kamienie pada,
 I o przebaczenie prosi;
 A śmierć mu nie odpowiada,
 Cichą będąc tajemnicą.

Więc tak, pogodziwszy siebie
 Za tą jasną duchów różycą,
 Którą pośmiertny, na siebie,
 Kościół osłonecznia nieco;
 By się oczy ducha pasły
 Blaskiem serc, które tu zgasły,
 A w anielskiej róży świecą:
 Wiem i to, że mi koniecznie
 Z światem się godzić należy;
 I biedz razem, jak czas bieży,
 Bo stanąć jest niebezpiecznie. —
 Jakoż pogrzebowe świeczki
 Gęstym zagasiwszy płaczem,
 Afektów będę tłumaczem,
 Mego syna, dla księżniczki.

KSIEŻNICZKA, na stronie.

Otoż znów, z pod rysiej burki,
 Szlacheckie pokazał ucho.

REGIMENTARZ.

Mogęz cię imieniem córki
 Powitać? mogęz z otuchą
 Wnosić, że mi jedynaka
 Uszczęśliwisz?

KSIEŻNICZKA.

Ja niezmienna.

REGIMENTARZ.

I cóż.

KSIEŻNICZKA.

Ja zawsze jednaka.

REGIMENTARZ.

Zgadzasz się?

KSIEŻNICZKA.

Jestem kamiena.

Nieskruszona.

REGIMENTARZ.

Pókiż tego?

KSIEŻNICZKA.

Aż pierścienia czerwonego

Dostanę —

REGIMENTARZ.

Dalejże synu!

Pierścień, z jasnego rubinu,
Wypal na bielutkiej dłoni
Pocałunkiem, aż się skłoni
Być twoją —

LEON.

Mój ojczy drogi!

Pozwól żeć uściskę nogi,
I powiem także tej Pani
Pokornie, że nie jest dla niej
Dzisiaj, nic więcej prócz brata —
I sługi — — Bo także muszę
Odejść od krwawego świata,
I za tamtej Pani duszę,
Przysypany od popiołów,
Odpokutować w klasztorze.
Bo moje serce nie może,
Przekląte raz przez Aniołów,
Ofiarować się nikomu.

REGIMENTARZ.

Jakiś czar na moim domu —
Lękam się że runie w gruzy!

KSIĘŻNICZKA.

To jest coś nakształt rekuzy,
Nakształt grochowego wieńca?

REGIMENTARZ, do syna, na boku.

Patrz na nią — w zorzach rumieńca
Stoi, napół zagniewana,
Jak miesiąc srebrno-różana;
W koronie ze złotych szpilek,
Na których siadają kwiatki.
Jak przy motylku motylek,
A spodem buk i bławatki
Ciemności rzucają silne,
Alabastrom lic przychylnie,
Smaragdom oczu zazdrosne,
Rubinom ust nie szkodzące.

Patrz! te piersi, dwa miesiące
 W staniku ze złotej lamy.
 Dwa słońca, dwa kręgi głośnie,
 Które — gdy jej ust słuchamy —
 One do ust niosą głosy,
 Jak harfy sercem dotknięte!
 Patrz na jej leciuchne włosy,
 Z pod zieleni. — Na te wcięte,
 A pełne tajemnych zacisz
 Gęsy, te łabędzie chody —
 Patrz i pomyśl co ty tracisz?
 Na Boga! gdybym był młody,
 Pomyślałbym o tem dwa razy.

księżniczka.

Ach! senne moje obrazy
 Biorą kształt.

(Wchodzi WERNYHORA w płaszczu dziada, z lirą.)

REGIMENTARZ.

Czemu tu gwary

Ucichły jak wroni skir?

Co to za siwy dziad stary? —

Wygląda jak dawny Król lir? —

Parobku! z jakiej ty chaty?

WERNYHORA.

Z mohił, Panie.

REGIMENTARZ.

Bardzo wierzę.

Boś podobny do upiora.

WERNYHORA.

Ja stepowy Wernyhora.

REGIMENTARZ.

Szukają ciebie rycerze.

WERNYHORA,

Rycerze błądzą po drodze,

Ja sam na słowo przychodzę.

REGIMENTARZ.

Więc jesteś mi w domu święty —

Siadaj staruszkę na ławie.

WERNYHORA.

Za żadne ja diamenty
 Z wami długo nie pobawię.
 Nie usiądę tu na ławie,
 Jako człowiek z wami bratni;
 Bo ja lirny król ostatni,
 Pójdę — duchy jak żórawie
 Odprowadzać do Hetmanów.
 Słyszeli wy jak z kurhanów
 Dobył ja stepowej liry?
 Jakie płacze, jakie skwiry
 Wron i orłów słychać było;
 Gdy ta lira, pod mogiłą
 Ręką Lacha zakopana,
 Odezwała's z pod kurhana
 W blask miesiąca czerwonego!
 Jak córka do ojca swego,
 Jak zakłęta upiornica,
 Jako Lachów niewolnica,
 Jak duch srebrny do księżycy.
 A gdy ja roskopał doły
 I przytulił ją na rękę,
 Słuszał jej duch, cały w brzęku
 Jak pierś u brzęczącej pszczoły —
 A gdy otrząsł z niej popioły,
 I w klawisz ręką zatętnił:
 To się ja sam aż zesmętnił,
 Usłyszawszy pierwsze granie,
 I rozplakał na kurhanie,
 Jakby w księżycowym raju. —
 Wże ja teraz ne zahraju
 Pany! — idę w sen, na cisze! —
 Oj liro — twoje klawisze
 Gdzieś ze srebra dawniej lane,
 Nogą pieśni wydeptane,
 Jakby stare sęki drzewne,
 I kamienie przedcerkiewne,
 I zapadłe w dół mogiły!

Świadczą że pieśni chodziły
 Po klawiszach, pieśni chyże!
 I siadały na sen w lirze,
 W krąg siadały, pieśni tłumy —
 Posążnice — stare dumy,
 Piorunice — stare krzyki,
 Szumki lotu — konie kare,
 Szumki płaczu — dum słowiki,
 Rusałczanki — dzwony szklanne;
 Smętne dumy podkurhanne,
 Kędyś aż od Zaporoża.
 Taj dla wszystkich dom uprzejmy —
 Siądą w lirze, jak na sejmy;
 A pośrodku Duma Boża,
 Krwią Chrystusa purpurowa,
 Siedzi jakby dum królowa,
 I radzi świat podbić cały —
 Darujcie Pany — ja biały
 Dziad — ot ja trochę szalony.
 Może co złego powiedział? —

REGIMENTARZ.

Zagrałeś nam w dziwne tony,
 Jakbyś na kurhanie siedział.
 Czego chcesz? tłumacz się jaśniej.

WERNYHORA.

Panie — ot po krwawej waśni,
 Gdyś ty ludu krwią czerwony,
 Przeszedł ja ci w moje dzwony
 Zagrać głucho, tuż nad uchem,
 I pożegnać ciebie, duchem
 Mego ludu.

REGIMENTARZ.

Gdzież idziecie?

WERNYHORA.

Ot ja, Panie miał na świecie,
 Jeden futór gdzieś pod borem,
 Dom bez złota, adamaszków;
 I trzy brzozy pełne ptaszków;

I trzy źródła pod futorem,
 Jak ze srebra tarcze lane,
 Jak kąpiele Rusałczane.
 Taj póki lud był szczęśliwy,
 Póki duch żył — ja był żywy —
 Teraz — Pane, Boh ze mnoju —

REGIMENTARZ.

Czegóż ty chcesz? —

WERNYHORA,

Ot w pokoju

Rozstać się z wami panicze.
 Jeszcze spojrzeć wam w oblicze,
 Aby zapamiętać długo,
 Duchom, szczo was proklinaje —

REGIMENTARZ.

Mój staruszk, czas nastaje,
 Że nie będąc naszym sługą,
 Możesz cicho zostać z nami —

WERNYHORA.

Szczo? ja batku? — trup z trupami?

REGIMENTARZ, do szlachty.

Dumny szelma!

WERNYHORA.

Ja szalony —

Może ja głupstwo powiedział —
 Przez dziedziniec wasz czerwony
 Jam szedł, i drogi nie wiedział,
 Choć dwór widział odemknięty:
 Aż mi jeden człowiek ścięty
 Poswitył łbem aż do sieni —

KSIĘŻNICZKA, zbliżając się.

Ojczy! ach my przerażeni
 Twemi słowy, wszyscy smutni.
 Zagraj nam lepiej na lutni
 Jaką piosenkę z księżyca.

WERNYHORA.

Szczo heto za Anhełyca? —
 Ach ja do niej, idąc w lesie,

Szedł jak gdyby w interesie. —
 Panno nie schodź mi od boku:
 Bo mi widy jakieś w oku
 Błyszczą, serce drga jak struna. —
 Ja odzyskał sen Widuna,
 Patrząc w lice tego dziecka?
 Kto ty? czy ty Wiśniowiecka,
 Czy pamiętasz tego dziada,
 Co bywało tobie gada
 Śród pasieki dумы stare?
 Co bywało, ciebie senną,
 Na łóžeczko, pod kotarę
 Nosi i tam jak kamienną,
 Uśpioną dumami kładzie?
 Czy pamiętasz co ja w sadzie
 Wróżył tobie na dzień ślubny?
 Że to ludu mego zgubny
 Będzie dzień jak pożar krwawy —
 A w pożarach żywa świeca,
 A koło niej lud ciekawy —
 A ona aż w twarz księżycą,
 Tryskająca krwią czerwoną
 Aż na twoje tryśnie łono?

KSIEŻNICZKA.

Ach, pamiętam! — i cóż dalej?

WERNYHORA.

Taj gromnica gdy się spali
 Pod szablą Pana Sawy;
 Przyjdzie i Franciszkan krwawy,
 Pasem się krwi przewiązawszy,
 Niosąc pierścień jeszcze krwawszy.

KSIEŻNICZKA.

Ach, pamiętam Franciszkana!
 Widzę nawet jego rysy —

WERNYHORA.

A potem družka ubrana
 W srebrne, podśnieżne narcysy,
 Przyjdzie, družka, trupie ciało —

KSIEŻNICZKA.

Ach, pamiętam družkę białą!

WERNYHORA.

A co pierwiej?

KSIEŻNICZKA.

Ach nie pomnę!

WERNYHORA.

Przed mężem — księdzem — i druchną?

KSIEŻNICZKA.

Ach, jakieś blaski ogromne!

Dary, świecące jak pruchno,

Ślubne moje podarunki!

WERNYHORA.

Podobna ty do Widunki!

Wszystko sen i prawda szczerą!

Pierwej — moja srebrna lira

Rozbita i odemknięta

(Tłucze lirę o podłogę i wyrzucone z niej papiery oddaje Księżniczce.)

Wyrzuci te dokumenta,

Które ja krył, póki sądził

Że Sawa będzie hetmanem. —

A teraz ja rozporządził

Wszystkiem, nad czem ja był panem,

Lirą, pieśnią, wychowanką,

I Hetmanem i Hetmanką. —

Taj wychodzę z szlachty proga

Jak wszedł — a nie bez łez, pany!

Bo ja z wami chleb łamany,

Od jednego dany Boga,

Długo jadł — aż zęby stracił.

Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił

Za jadło i za gościągę — —

REGIMENTARZ.

Gdzież idziesz?

WERNYHORA.

Na Ukrainę.

KSIEŻNICZKA.

Czy to prawda, że po ciebie

Koń jakiś biały przyleci?

Koń, co po mogiłach grzebie,
 Okiem rubinowem świeci;
 Jakiś dziwny koń piekielny —
 Mówią, że koń nieśmiertelny?

WERNYHORA.

Ja nie wiem, tak pieśni głoszą.

KSIEŻNICZKA.

Gdzież takie konie unoszą
 Powiedz? bo ja będę wiodła
 Długo za tobą oczami —
 Boś mi w oczy sypnął skrami,
 Smutkiem napełnił nieznany;
 Ten koń, z lirą grającą u siodła,
 I z dumkarzem zapomnianym,
 Ulatujący na wieczność.
 Czy tam jaka pół-słoneczność
 W tych mgłach? — czy tam ciągle strachy?

WERNYHORA.

Każdy kwiat ma swe zapachy,
 Każdy duch swój wid pół-jasny,
 Każde serce swój strach własny,
 Każdy orzeł lot przedlotny — —
 A ja wiem, że ja samotny,
 Jak ty głoskiem to wywiodła;
 Przez piekielnego rumaka
 Porwan, wściekły, bez czapraka,
 Z lirą grającą u siodła,
 Umarłe trzaskając kości,
 Polecę w niespokojności,
 W strachu, w żalu, ale w mocy. —
 Aż kiedyś — gdy na godzinie
 Stanie miesiąc o północy,
 To koń znowu w siodło skinie
 Mego ducha, na kurhany!
 Taj znów zagra dziad z powagą:
 Taj znów jęknie — a kto zna go,
 A kto słyszał po za światem —
 Pryde — w łańcuch zórawiany,

Pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
 Pryde — z serca pić jak z czary,
 Pryde — z piersi czerpnąć wiary,
 Pryde — iskry wziąć z ogniska. —
 Ten dziad co tu lirę ciska
 Jak fałszywą sorokówkę,
 Taj z trupami na wędrówkę
 Wietrznym koniem teraz pędzi,
 Naprowadzi wam łabędzi
 I rycerzy i hetmanów.
 Taj słuchajcie — gdy z was Panów
 Budut' trupy — budut' głowy:
 Taj gdy się wasz trup trzy razy
 Pod mogiłą, rwąc do sławy,
 Znów przewróci na bok krwawy;
 I pomyśli, nędzarz Boży,
 Że i piorun nie otworzy
 I nie zdejmie wieka z truny;
 Taj świat przeklnie i pioruny —
 To jak stanę ja dziad rzewny,
 Jak mu ręce łzą uroszę,
 Po żebracku jak poproszę;
 Jak ja lirę upokorzę
 I na sercu mu położę,
 I do czoła mu przycisnę,
 I przeszłością w oczy błysnę,
 Starych dum nasypię w uszy:
 Klnę się, na duch! że się ruszy,
 Taj swą twarzą księżycową
 Spojrzy na was jak upiory. —
 Otóż macie moje słowo,
 Macie dumę Wernyhory!
 A stepowe gdzieś miesiące
 Wiedzą — o czym ja nie wiedział:
 Czemu ja przez usta klnące
 Wam przekleństwa nie powiedział.

KSIEŻNICZKA.

Stój — — Więc Polska?

WERNYHORA.

Ja stepowy

Dziad Panienko — ja nic nie wiem —

KSIĘŻNICZKA.

Mówią, że kopiec grobowy,
Gdzie ty zaśniesz pod modrzewiem
Zniknie?

WERNYHORA.

Moja Panno miła,

Mówią, że zniknie mogiła —
Ja nic nie wiem. Czas pokaże.

KSIĘŻNICZKA.

Weźże ty odemnie w darze
Tę zauszniczkę z turkusa.
Jak twój srebrny koń da kłusa
Tu z powrotem, na kurhany;
Czy po wiekach, czy po latach,
To mi, staruszkę kochany,
Dasz ten turkus i przypomnisz pasiekę
Gdzie ja bywało, na kwiatkach,
Pod piastunki się opiekę
Uciekałam — gdyś ty gadał o marach.

WERNYHORA.

Ot Panienko — młodość w czarach! —
A co dziś? ja człek grobowy! —
Pany! wasz dom purpurowy
Niech śpi — i ja spaty budu.

(Ochodzi.)

KSIĘŻNICZKA.

Pierwszy raz duch tego ludu
Słyszałam jak o łyzy żebrze.
Dotąd na miesięcznem srebrze,
Malował nic kolorowe. —
Dajcie mi księżyc na głowę!
Dajcie mi tęczę pod nogi!
Za tym dumkarzem polecę! —
Ach co widzę? — Sawa, z drogi?
W jakiej on czerwonej rzece
Kąpał się — figura krwawa!

(Wchodzi SAWA w białym żupanie zbryzganym krwią, z pałaszem w ręku.

SAWA.

Nie udała się wyprawa!
 Przebiegłem stepy, kurhany,
 Całe mgieł posępnych morze;
 A nigdzie o Wernyhorze
 W Ukrainie ani słychu. —
 Co gorsza, że się tu lichu
 Djabelskiemu dałem skusić,
 I chcąc jeden ogień zdusić
 Cały oblałem się krwią;
 Dla tego z posępną brwią
 Stoję tu Mości Panowie.
 Jadąc przez wioski ulice,
 Spotkałem żywą gromnicę,
 Z płomieniskami na głowie,
 Ze smołą ogniem kapiącą,
 Na mnie — w oczy wprost idącą!
 Tak że pomimo harapa
 Złękła zdębiła się szkapa;
 A ja rozjuszony złością,
 A może też i litością,
 Wpół pomięszaną z przestraczem —
 Bo nie myślę czynu krasić —
 Na koiu, szabli zamachem
 Chciałem to światło jarzące,
 Te straszłą marę zagasić;
 I w zamachu uciąłem jej ręce. —
 A to wszystko w smolnym dymie
 Stało się, niby w ukryciu,
 Przy żalonych dzwonów biciu:
 Tak, że gdym wyleciał z chmury,
 To za mną — widmo olbrzymie
 Ręce podniosłszy do góry
 Biegło, zda się karku blisko
 Lecące pogorzeliško;
 Mszczące się samym honorem
 Goniło za mną widziadło —

I aż tutaj, pode dworem,
 Na piasek złoty upadło,
 Wylawszy dwa koralowe
 Strumienie — co zda się piszą
 Prześwięte Y Jezusowe —

REGIMENTARZ.

Dość — bo uszy moje słyszą
 Krzyczącą krew. — Niech kto bieży
 Do łba mu łufę przymierzy,
 I skończy ciała męczarnie.

(Wchodzi PAFNUCY przewiązany pasem krwawym mnicha Franciszka.)

Cóż to? czy krwawą latarnię
 Duchy postawiły w sieni?
 I wpuszczają mi tłum cieni
 Skrwawionych, do mego domu?

PAFNUCY.

W chwilę chłopskiego rozgromu
 Szablą Gruszczyńskiego zbrojny,
 Szukałem zemsty — jak mściciel:
 Aż mi szabli tej właściciel
 Po śmierci, widzę, spokojny,
 Zemsty nad ludem zabronił. —
 Jakoż, zaraz mię nieznany
 Strach ujął, siłę'm uronił,
 Miecz się giał jak ołowiany! —
 Chłoptwo mię porwało srogie;
 I poznawszy po tonsurze
 Za księdza; ciało ubogie
 Ustroiło w krwawe róże,
 W Świętego Franciszka pasy. —
 Bo dziś wiek, że polskie lasy
 Dotąd kwiatkami panięskie,
 Od pszczołek by lutnie brzmiące:
 Widzą nagoście męczeńskie,
 W czaszkach siekier pół-miesiące,
 Ręce w płomiennych okowach.
 Wszystkie męczeństwa oznaki:
 Oprócz złotych słońc na głowach,

Bo te płomieniste ptaki
 Później na czołach usiądą,
 Gdy się nam duchy podniosą. —
 Takem się ja przed komendą
 Sawy, krwi okryty rosą
 Meldował, cierpiąc katownie.
 I miałem to już zasługą,
 Że z ran uleczon cudownie;
 A pomny żem Bożym jest sługą —
 Widząc tu dwie wielkie głownie
 Zgaszone Sawy szablicą,
 Nad tą konającą świecą,
 Której duch w płomienie spieszył
 Tyle dokazałem słowy;
 Że się ten duch purpurowy
 Ugiął, a jam go rozgrzeszył.
 Tak mi dopomogły duchy,
 Że wydobyłem akt skruchy,
 Jęk z pod smolnego płomienia,
 I rozkaz, dany oczyma,
 Które, szukając pierścienia
 Na rękę, co jeszcze się z żyma,
 Krwią leje i w prochu się rusza,
 Zwróciły moją uwagę.

REGIMENTARZ, biorąc pierścień krwawnikowy z rąk Pafnucego, obraca się do Księżniczki.

Pierścień — to wielką ma wagę!
 Bo to mię, Panno, przymusza
 Panowić ci prośby moje —

KSIĘŻNICZKA.

A ja zaś przy dumkach stoję.
 Sawa z ust ognistych węża
 Jak błędny rycerz szalony,
 Wyrwał ten pierścień dla żony,
 A ja z ręki mego męża
 Biorąc, będę go nosiła.

REGIMENTARZ.

Sawa? Czyś głowę straciła?

Sawa słuszny kawaler, lecz nowy —
Nie wiem nawet czy szlachcic herbowy?

księżniczka.

Dla mnie rycerz Ukraiński,
A dla was już: Pan Caliński —
Na co dokumenta składam,
I te kościelne dowody.
A sama do nóg ci padam,
Prosząc przyzwolenia i zgody
Na ślub, który ci oszczędza,
Panie, kościelnych wydatków,
Bo dawno już był dany przez księdza.

REGIMENTARZ.

Ty ślubna?

księżniczka.

Lecz naksztalt kwiatków
Jeszcze Panie nie dotknięta.

SAWA.

Na co złoży dokumenta.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Pamiętaj, że z twoją szkodą
Bierzesz gadzinkę nadobną.
Caliński był tu podobno
Kiedyś naszym Wojewodą?

SAWA.

Tak Panie, dla tych szpargałów
Ojca mojego zabito —
I te dokumenta skryto —

REGIMENTARZ.

Życzę wam długich zapałów!
Życzę szczęścia! — pij nektary
Z tej złoconej filiżanki,
A z trwogą. — Cóż to za mary?

(Wchodzą dwie POPADIANKI, niosąc za końce prześcieradło białe.)

POPADIANKA.

My ze stepu Popadianki
Przyszły z srebrnym darem w rękę.

Szczob tobi o brata Semenku
Prosyły —

REGIMENTARZ.

Na tom ja skałą.

Semenko wasz brat nie żyje —

POPADIANKA, odkrywając z prześcieradła Salomeę.

Witże, daj ciało za ciało —

REGIMENTARZ.

Co widzę? — białe lilije!

Moja szlachcianeczka trusia?

W srebrnem prześcieradle Salusia? —

Patrzaj Lwie — dzieciątko miłe!

Ach! mogiła za mogiłę!

Oddać im zwłoki kozacze.

LEON.

Ojczy puść. — Niech ją zobaczę.

REGIMENTARZ.

Trzymajcie go! Panie Boże!

On na to patrzeć nie może.

POPADIANKA.

Bud' szczęśliw — że ty nam ciała

Nie odmówił — my szczęśliwe —

No, choć twa ręka wspaniała,

To my wspaniałej wyrosły:

Bo wam dały ciało żywe,

A od was trupa wyniosły.

(Wychodzą.)

REGIMENTARZ.

Co mówicie? Synu! synu!

Patrzaj, kolorek rubinu

Wystąpił z ust bladziuteńki —

Jeden paluszek u ręki

Ruszył się — słońce w nią wpływa —

Patrzajcie! ach żywa! żywa!

Żywa w moich rękach — o! widzicie!

(Podnosi ją w rękach.)

Moje ukochane dziecię!

W rękach moich żyć zaczyna,

Bijąca sercem ptaszyna

SALOMEA.

Co się ze mną biedną stało? —
 Czy ja w gorące, czy chora?
 Wczoraj usnęłam z wieczora,
 I śniłam coś białe — białe —
 Przez te dziewczyny spojona,
 W krainie jakiejś bez brzegu,
 Gdzie jedna tylko na śniegu
 Plama — okropna — czerwona —
 Ach strach mówić com ja śniła! —

REGIMENTARZ.

W naszym ty rękach była,
 Ciągłemy widzieli śpiącą,
 Duszkę twoją latającą,
 Ciągłemy, Panno, widzieli;
 Teraz jaśniej nam! weselej
 Że jesteś z nami dziewczyno!
 A nim dwie pory przeminą,
 Na Świętego knę Franciszka,
 Z weselnego pociągniem kieliszka.

LEON, kłękając przed Salomeą.

Narcysie mój —

REGIMENTARZ.

Już różowy!
 Już nie narcys ale róża —

SALOMEA.

Dla mego Anioła stróża
 Ten wianuszek zdejmę z głowy.
 Bo mię skrzydłami osłonił,
 Stał ciągle nad mojem łóżem,
 I narcysem łoża bronił,
 Kiedym ja tam spała — z nożem
 Skrytym pod moją poduszką.

REGIMENTARZ.

Nie myśl o tem moja duszko —
 Wszystko dobrze się skończyło.
 A kto tam już pod mogiłą
 Dowiesz się. — Jesteś sierotą.

Aleś moją gwiazdą złotą,
 Jesteś moją córką drugą;
 A syn mój będzie ci sługą
 Choćby na lat sto tysięcy —
 Lecz jeśli zechcesz, czem więcej
 Tobie mój chłopczyna będzie.
 Ot daj mu rękę bo prosi, —
 (Salomea rzuca się kłęczącemu Leonowi na ramiona.)
 O tak! — jako dwa łabędzie —
 Jeden na swym grzbiecie nosi
 Drugiego głowę w upały:
 Tak mi dzieciak tych dwie pary
 Szczęsne, za ręce pobrały —
 A ja w środku jak dziad stary.

LEON, kłękając z Salomeą.

Błogosław mi ojciec z żoną.

REGIMENTARZ.

Chodźcie tu na moje łono!
 A za te przestrazy senne,
 Dziaatki, odprawcie nowennę
 Za dusze w czyszczeniu będące!
 A potem niechaj wam płyną
 Słodko, miodowe miesiące,
 I raj utracony winą
 Odkwitnie; a ja odnowię
 Przez obchody bardzo świetne,
 Te dwa małżeństwa sekretne,
 Które wczoraj bym surowie
 Karciał — a dzisiaj pochwalam.

SAWA, do Księżniczki.

Więc nie jeszcze?

KSIĘŻNICZKA.

Nie pozwalam

Aż tę nowennę odprawię.

SAWA.

Gołąbku z tęczowym pasem!
 To ja pójdę ku Warszawie
 I porwę króla tymczasem?

REGIMENTARZ.

A wy się już tam kłóćcie!
Sawa czegoś jak dziad żebrze?

KSIĘŻNICZKA.

Chce mu się miesiąca w cebrze,
Chce się gwiazdy na błękanie.

REGIMENTARZ, do Sawy.

Nie znasz jej — a nie prosź ładnie,
To sama ci na nos spadnie.
Sawo! chodźmy do kielicha
Splukać z ust proch i krwawiznę:
A weźmy i tego mnicha,
Który się bił za ojczyznę.
Obaczmy czy dobrze pije —
Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie
Tej Salomei, na niebie,
Której święto nam przypada
W przed-ostatnim Listopada.

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY.



DZIEŃ I.

(Ogród nad morzem w Maurytanji. NIEWOLNICY pracują. Wchodzi ZARA służebna królowy Fezu.)

ZARA.

Zaśpiewajcie niewolnicy!
Moja Pani, wśród łązienki,
W perłowej igra miednicy,
Jak łabędzie bałamutne:
I prosi was o piosenki,
Ale tęskne — ale smutne —

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Czyliż naszych brzęk kajdanów?
Czyliż pieśni niewolników
Rozweselić mogą Panów?

ZARA.

Ona lubi śpiew słowików,
Kiedy się po laurach gubi —
I piosenki wasze lubi.
Zaśpiewajcie — Fenix słucha.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nasza pierś boleścią głucha.
Ach! najgorsze przeznaczenie
I najgorsze to cierpienie
Śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu co w niewoli —
Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

ZARA.

Czyż wy sami
Nie śpiewacie bez rozkazu?

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.
I my tłumim boleść własną,
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

ZARA.

Zaspiewajcie, Fenix prosi.

NIEWOLNICY, śpiewając.

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mąk duszy;
Czegóż srogi czas nie skruszy
Nad grobami, gdy przelata!

ZARA.

Dosyc pieśni. Feniksana
Już omyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu,
Użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknością go zagasi;
Bo wychodzi jak jutrzienka.

(Wchodzi FENIKSANA córka króla Fezu i niewolnice jej: ESTRELLA,
ROZA i SELINA.)

ESTRELLA, do Feniksany.

Wstałaś piękna?

ZARA.

Wdzięk twój krasi
Cały ogród, oko pali.
Niech się jutrzienka nie chwali
Że ten ogród nie ciemnieje,
Bo nie ona światło leje;
Bo ogród ten, pośród gmachów,
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał rubinów,
Białości, nie od jaśminów —
Lecz od ciebie.

FENIKSANA, do Estrelli.

Daj zwierciadło.

ESTRELLA.

Nie dziw piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Żadnej plamki.

FENIKSANA.

Głosi sława

Że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była,
Cóż mi potem? Kiedy źle mi! —
Nie wesoło na tej ziemi!

SELINA.

Cóż ci jest?

FENIKSANA.

Co jest? Selino!

Ach, gdybym to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano — ach dziewczyno!
Wnet bym sama boleść własną
Nakarmiła do przesytu;
I widziała w sercu jasno.
Ale teraz w mgłę przedświtu,
Czuję tylko że mię kruszy
Jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy,
Męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może!

ZARA.

Jeśli cię, Pani, nie bawią
Te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiośnie posągi stawia
Róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościolach:
Obróć twe oczy na morze,
Kędy dla twojej tęsknoty,
Płynie wóz ze słońca złoty.

ROZA.

Gdy taki zachód zobaczy
 Na morza ognistem łonie,
 Ten cały ogród w rospaczy,
 I melancholjach utonie,
 I zawoła idąc w cień:
 Ach! jakże krótki był dzień! —

FENIKSANA.

Ani się tem rozwesele,
 Ani tem żądań ukorzę,
 Że moje smutki podzielę,
 Pomędzy ziemię i morze.
 Że pójdę z myślami w tan,
 I sprzęgę te oba światy;
 Z pianami równając kwiaty —
 Kwiaty równając do pian.

Bo ogród, kiedy zazdrośny
 Spojrzy na fale szalone,
 Chciałby tak płynąć jak one! —
 I zaraz zefir miłosny
 Dwa razy miłośniej dysze;
 I szalenięj roskochany,
 Z gałęzi, które kołysze,
 Czyni kwiatów oceany.

A morze, gdy się zasmuci,
 Spojrzawszy na te ogrody,
 Wnet ucisza szklanne wody,
 Z fal wysokich pianę zruci:
 I drugim prawom poddane,
 Równe zdobywa uroki —
 Z szmaragdów mając zatoki,
 Z błękitów piersi ulane.

I tak, tu kwiatowy łąn,
 I ogród pełen szkarłatów
 Wydaje się morzem kwiatów:
 Tam morze — ogrodem pian. —
 Ach! cóż to za smutek głęboki
 Ten smutek! co w sercu ma łożel

Że nie dba na kwiatów uroki,
Na niebo, na ziemię — na morze!

ZARA.

Wielki smutek twój! — ach! i głęboki!

(Wchodzi KRÓL FEZU, ojciec Feniksana, z miniaturą w ręku.)

KRÓL.

Jeśli moja Feniksana
Na piękność i smutek chora,
Chce być zdrowszą dziś, niż wczora,
I zdrowszą niż była rano!
Oto jest portret Infanta
Maurytanów, Tarudanta,
Który cię uleczy pewnie
Na długo. — Cóż to? tak blada? —
Infant u nóg twoich składa
Koronę, jako królowie,
A ten portret choć nie gada
Za niego, u nas zagości.
Każda niema ambasada,
Ambasadą jest miłości.
Za Infantem najgoręcej
Wstawiam się — bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy
Przyprowadzonych łuczników,
Z którymi Ceutę zdobędę.
Płoń się córko — tych płomyków
Miłosnych tobie pozwolę.
Owszem — serce puść na wolę,
Niech kocha przyszłego Pana.

FENIKSANA.

O Boże!

KRÓL.

Cóż tak zmięszana?

FENIKSANA, na stronie.

Wyrokiem śmierci!

KRÓL.

Cóż, przecie?

Trwogi te łatwo ukoim.

FENIKSANA.

Jestem twe posłuszne dziecię,
Ty ojcem — ty królem moim.

(Na stronie.)

Cóż mu powiem? — Ach, kochanku

Muleju! straciłeś żonę!

O nieszczęśliwy poranku!

O, chwile nie w czas stracone!

(Głośno.)

Ojczy! pokora mię łamie

Aż tu. (Kłęka.) Aż do twych obówi.

(Na stronie.)

Dusza co to myśli — kłamie! —

Kłamie głos, który to mówi!

KRÓL.

Weź portret!

FENIKSANA, biorąc miniaturę.

Ojciec przymusza?

(Na stronie.)

Ręce go biorą, nie dusza.

(Wchodzi SELIM dozorca niewolników.)

SELIM.

Mulej, twój wódz, Królu Panie

Prosi cię o posłuchanie —

Z Fezańskiego morza wraca.

KRÓL.

Niech wejdzie!

(Wchodzi MULEJ, wódz galer Fezańskich.)

MULEJ.

Gdzie zorza ozłaca

Tak wysokie Pańskie progi,

Gdzie człowieka czeka z drogi

Taka zorza, córka słońca:

Któż czoła nie rozpogodzi?

Nie uczyni z siebie gońca,

Za którym pomysłność nie chodzi?

Pozwól mi twej ręki, Pani!

Niechaj dar taki otrzymam

Jak najwierniejsi poddani,
Pełni serca i przymiotów:
Bo dla usług twych miecza się imam,
I dla usług twych zginąć jam gotów.

FENIKSANA, na stronie.

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!
Cóż mu powiem? — Ach, umrę z rozpaczyl!

(Głośno.)

O Muleju? czy dobre są wieści?

MULEJ.

Czy są dobre, sam Król to zobaczy,
I osądzi — podług mnie, będą dobre.

KRÓL.

Cóż tam przecie?

MULEJ.

Lecz serce miej chrobre,
I na wszystko, o Panie, odważne;
Bo czas ważny i wieści są ważne.

KRÓL.

Gadaj wszystko co wiesz, gadaj śmiało!
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą —
Złe i dobre z równą twarzą powita.
Siadaj córko. —

MULEJ.

Czyż mu wszystko obwieszczę! —

KRÓL.

Niech twarz złego nie będzie mi skryta.

MULEJ.

Trudno mówić — milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi Panie polecił,
Wziąwszy tylko dwie galery,
Wypłynąłem z tego portu
Zwiedzić brzegi Barbaryjskie.
A jakoś chciał, bym podstąpił
Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane
U Herkulesowych słupów —
Centą a ludzi nazwane:

Które słowo u Hebreów
 I u Arabów znaczyło:
 Piękność. — Jakoż miasto owe
 I dzisiaj w piękność rozkwita,
 A na hańbę naszej wierze,
 I na wstyd Mohametanom,
 Na murach dziś portugalskie
 Sztandary nosi i krzyże —
 I przeciwko flotom naszym
 Obrócone trzyma spiżę,
 I wieczny opór stanowi,
 I wieczną skałę zakłada
 Twych zwycięstw wielkiemu Nilowi!
 A z Hiszpanją aż przez morze gada. —
 Pod to miasto podpłynąłem,
 Abym zobaczył ryszstunek,
 I wierny ci zdał rachunek:
 Ile wież z krzyżowem czołem
 Grozi ci marnemi trwogi,
 Ile w nim stoi załogi.
 Abym wypatrzył, jakimi
 Siłami weźmiesz je Panie,
 Czy od morza, czy od ziemi,
 Czy przez głód, czy szturmowanie. —
 I wiem, że niebo ci chwałę;
 To zwycięstwo i tę chwałę;
 Abyś to miasto wspaniale
 Przywrócił do swej korony. —
 Ale dzisiaj trwoga nowa,
 Inna troska, z innej strony
 Czeka cię Panie: i siły
 Na Ceutę przygotowane
 Będą Tangieru broniły. —
 A to wiem — bo fale szklane
 Depczą jednego poranku,
 O tej godzinie, gdy zorza
 Wyziera nad szafir morza,
 A na chmur ognistych wianku

Słońce swe rozwiesza włosy —
 Po różach i po jaśminach
 Śnieg i ogień udając i kłosa,
 Sypiące się na fale: w bursztynach
 Owej zorzy, gościńcem odmętów,
 Szła girlanda szarawa okrętów,
 Niby stado tak nikłe, że z razu
 Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
 Czy okręta to były czy skały. —
 Bo jak na płutnach obrazu
 Malarz, udawca natury,
 Jedną kreską czyni góry,
 Albo miasta, wielkie grody:
 Tak i na błękitach wody,
 Gdy cień się ze światłem pomieśza,
 Niebiosa do wód się nachylą:
 Myśl różne straszdyła wskrzesza,
 I błąka, i oczy się mylą. —
 Otóż z razu, myśl ciekawa
 Obaczyła tylko tłum
 I parę, i mgłę, i szum;
 Tak blisko przy nawie nawa,
 I tak z daleka płynęły. —
 Potem gdy niebios dotknęły
 Najwyższemi żagłów pióry,
 Pomysleliśmy że chmury,
 Chmury wielkie, czarne, chyże,
 Co po niebie lotem gonią;
 I deszcze poczną w szafirze,
 A tu kryształy uronią.
 I tak długośmy mniemali —
 Bo zdawała się tak wielka
 Gromada ludzi — że z fali
 Mórz, nie zostanie kropelka,
 Kiedy ją w hełmy rozbiorą. —
 Potem statki z piany runem,
 Jak potwora za potworą,
 Kiedy idą za Neptunem,

I z pod skał ciągle wychodzą
 Nowe i nowe straszysła.
 Nagle — gdy podniosły skrzydła
 Całe w słonecznych opalach,
 I otrząsły je na falach,
 Myśleliśmy że fale je rodzą.
 W tem bliżej — ujrzały wzroki
 Wyraźniej, już nie obłoki,
 Już nie skrzydła, nie Trytony:
 Ale jakieś Babilony,
 Idące po złotej ziemi
 Z chorągwiemi ognistemi. —
 Wtenczas, spostrzegły i żebra
 Okrętów, tłukące je wały
 Pod niemi, jak góry ze srebra,
 Pod niemi z krzysztalu jak skały.
 Wtenczas, poznawszy że flota
 Tak wielka i tak przemożna:
 Kazała rycerska cnota,
 W niebezpieczeństwach ostrożna —
 Bo i to w rycerzu waży,
 Gdy się dobrze ma na straży —
 Kazała mi, mówię, Panie,
 Jako świadomszemu morza,
 Skryć się w tajemne przystanie,
 Między dwa skalne wydroża,
 Gdziem bezpiecznie mógł stać z galerami.
 Otóż ta flota, przed nami
 Przepłynęła — nie spostrzegła.
 A ja chcąc wiedzieć gdzie biegła?
 Komu niosła miecz zagłady?
 Wy płynąłem za nią w ślady,
 I tu — Bogu memu chwala —
 Spotkałem jeden z Armady
 Okręt.

Wiadomo że cała
 Flota, na morzu odkryta,
 Była srogą burzą bita.

Otóż jedna smętna nawa,
 Co większej doznała szkody,
 Potrzaskana i dziurawa,
 Chwiejąca się, pełna wody,
 Nie mogąca jej wyzionąć;
 Za każdym nowym bałwanem —
 Już — już zdająca się tonąć,
 Stała na morzu. — O Panie!
 Choć ja jestem Maurytanem
 Sądzę, że politowanie
 W takim nieszczęściu i stanie
 Od Maurytan się należy? —
 Przybiegłem jak sokół bieży,
 I stanąłem jej przy boku.
 A ci rozbici — ach jaka
 Chęć życia w ludziach! — gdy nagle
 Ujrzeni mię jako ptaka,
 Ze skrzydłami, ze skrą w oku:
 Mimo bojaźń — sznury, żagle,
 Przemieniali na drabiny,
 I szli w klatkę jak ptaszyny,
 I sami łańcuchy brali —
 A drudzy im urągali,
 Widząc schronionych bezpiecznie,
 I drabiny tnąc toporem,
 Krzyczeli: że umrzeć z honorem
 I wolnym — jest to żyć wiecznie —
 I w morze rzucali ciała —
 Portugalska próżna chwala —!
 Od jednego więc z tych wziętych
 Wiem, że owe pawilony
 Wypłynęły aż z Lizbony,
 I po falach idą wzdętych
 Tu na Tangier, klnąc się Bogiem,
 I rycerstwem, że Dej stary,
 Tu, nad wieżyc swoich rogiem
 Ujrzy te same sztandary
 Co są w Ceucie. — Los batalji

To pokaże że się mylą! —
 Podług nich, Król Portugalji
 Przed którym światy się chylą,
 Którego zwycięska sława,
 Sztandary swoje zatyka
 Aż tam, gdzie ziemi nie stawa,
 Gdzie rzymski orzeł lot traci:
 Wysłał obu swoich braci
 Fernandesa i Henryka —
 Aby tu ich wiek ciekawy
 Ujrzał obu w słońcach sławy;
 I za wielkie nasze klęski
 Przyklasnął, jako wiek klaszcze.
 Fernand, to Mistrz Awiceński —
 Henryk, to Mistrz Chrystusowy;
 Oba noszą białe płaszcze,
 Rządzą wielkie dwa zakony;
 Jeden krzyż ma purpurowy,
 Drugi wielki krzyż zielony. —
 Oba wiodą różnej broni
 Do czternastu aż tysięcy;
 A niepłatnych jeszcze więcej,
 Co idą jak na popisy!
 A do tysiąca aż koni,
 Poprzebieranych w tygrysy,
 Na jednorożce przekutych —
 Taka fantazja jest u tych
 Hiszpanów —!

Te więc szeregi
 Depcą może nasze brzegi,
 Albo już u lądu stoją.
 Śpieszmy, o Panie, z obroną!
 Weź miecz i okryj się zbroją.
 Weź tę chorągiew zieloną,
 Podobną do gromów obłoka —
 Chorągiew naszego Proroka!
 Niech ze mną straż idzie przednia.
 I niech się sprawdzi nad niemi

Moabitów przepowiednia;
 Że tu, w tych piaskach, w tej ziemi
 Co nas nosi na swem łonie,
 Jest grób Portugalskiej koronie.
 I niech widzą nasze oczy,
 Jak ta ćma czarnego sokoła
 Przefarbuje nasze zioła,
 I morze krwią na czerwień przebroczy! —

KRÓL.

Muleju dość! nie mów dalej,
 Bo mi żyły krwią wybryzną.
 Bo dla serca co się pali,
 Każde słowo jest trucizną.
 Pomyślę aby te franty,
 Ci dumni, zostali w Afryce!
 Pomyślę, by tu ciemnice
 I grób znaleźli Infanty
 Muleju, weź nieco konnych,
 Ruszaj zaraz na mórz brzegi
 I broń, aby te szeregi
 Brzegów naszych nieobronnych,
 Nie wzięli bez krwi. Krew ci powie
 Jak uczynić w tym razie należy;
 I uczynisz jak czynili ojcowie!
 Ja tymczasem zgromadzę rycerzy,
 A pośpiechu i sił nie poskąpię,
 I po dobie krok w krok tam nastąpię.
 I pokażę że dzień jeden zakończy
 Krwawe nasze wiekowe turnieje;
 Że mi Ceutę do korony przyłączy,
 A tu, Tangier krwią Hiszpańską obleje.

(Wychodzi.)

MULEJ.

O Feniksano! bliski czy daleki,
 Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
 Że zawsze one gotowe do skargi,
 I śmierć je chyba zagłuszy na wieki!
 A choć nie umiesz zazdrości ocenić,

Choć mię obwiniasz że uchybiam tobie;
 Napróżno chciałbym wyrazi odmienić,
 Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobie.
 Cóż to za portret? o dziewczyno sroga!
 Cóż to za portret ręka twoja pięści?
 Któż to jest? powiedz, kto to jest, na Boga! —
 Ach nie powiadaj! dosyć już boleści —
 Dość, że go twoja biała ręka trzyma,
 Że nim jak różą zerwaną kołyszę.
 Ach dosyć dla mnie, że widzę oczyma —
 Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę!

FENIKSANA.

Pozwoliłam ci abyś mię miłował,
 Nie pozwoliłam, abyś mię obrażał!

MULEJ.

Jam już wyrazów prędkich pożałował,
 Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.
 Ja wiem że mówić potrzeba inaczej.
 Ale któż myśli o słowach w rospaczy?
 Milczeć? — ach miłość potrafi ogłuchnąć!
 Milczeć — lecz zazdrość ta musi wybuchnąć —
 Musi wybuchnąć!

FENIKSANA.

Chociaż mi się zdaje
 Żeś nie zasłużył bym się tłumaczyła,
 Ponieważ różnych mam wymówek siła,
 A mam ich wiele — najlepszą ci daję.

MULEJ.

Więc masz wymówkę?

FENIKSANA.

Mam.

MULEJ.

O, Bogu dzięki!

FENIKSANA.

Ten portret z ojca mojego mam ręki!
 A przysłał mi go —

MULEJ.

Kto?

FENIKSANA.

Feski królewic.

MULEJ.

W jakim zamiarze?

FENIKSANA.

Bo mój ojciec stary,

Który się nie zna nic na sercu dziewic —

MULEJ.

Co?

FENIKSANA.

Pretenduje, oraz ma zamiary

Te dwa królestwa Fezu i Tangieru —

MULEJ.

Dość! Ta wymówka jest podobna zeru!

Taką wymówkę dajesz? O nie dzięki!

Nie dzięki tobie. — Czy masz lepszą inną?

FENIKSANA.

Ale ten portret ja mam z ojca ręki,

I sądzę, żem jest zupełnie niewinną.

MULEJ.

Winnas! bo trzeba było — trzeba było —

Choćby ci ojciec zagrażał mogiłą,

Portret odrzucić!

FENIKSANA.

Jakąż dać przyczynę?

MULEJ.

Nie wiem — co skłamać —

FENIKSANA.

Z kłamstwa ja nie słyng —

Cóż miałam czynić?

MULEJ.

Co? — umrzeć w potrzebie —

Jabym to łatwo uczynił dla ciebie!

FENIKSANA.

Przymus był wielki.

MULEJ.

Ach! serca zmienienie!

FENIKSANA.

Przymus i siła —

MULEJ.

Któż się podda sile?

FENIKSANA.

Cóż więc być mogło?

MULEJ.

Moje oddalenie!

Ach, oddalenie podobne mogile,
 Które mię w grobie ciemnym położyło
 A teraz jeszcze drugi raz odjadę,
 A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

FENIKSANA.

Otóż Muleju, dam ci jedną radę;
 Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze,
 I aż do Fezu ciągnął to stękanie.

MULEJ.

Zaprawdę boleść moją tak rozszerzę,
 Że aż do Fezu za tobą dostanie.

FENIKSANA.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano:
 Przymus ci każe opuścić te mury.

MULEJ.

I odsyłasz mię? o Feniksano?
 I nie oddasz mi tej miniatury?

FENIKSANA.

Ach jak smutna to chwila — ach smutna!
 Miniatura ta na mnie spoziera!

(Wychodzi.)

MULEJ.

Więc ci z ręku ją wyrwę, okrutna —
 To, co serce mi z piersi wydziera!

(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Brzeg morski, słychać wrzask i zgiełk wylądowania. — Wchodzą na scenę DON FERNAND i DON HENRYK Infanci Portugalsey. — DON ŽUAN COUTINIO i ŽOŁNIERZE.)

DON FERNAND, skacząc na ląd.

Pierwszy, o piękna Afryko, wyskoczę
 Na twoje brzegi i nadepcę nogą.

A ty czuj jak cię moją, stopą tłoczę,
A ty czuj Pana, i poddaj się z trwogą!

DON HENRYK.

Ja drugi skoczę na ląd —

(Wyskakuje i pada.)

O! mój Boże!

Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

DON FERNAND.

Nic, Don Henryku, wróżba nic nie może
Przeciw krzyżowi — strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłómaczę,
Że ziemia, pana uczuwszy i Księcia
Sama się jemu chciała dać w objęcia —

DON HENRYK.

Ziemia to pusta — Arabcy tułacze
Poszli w pustynie —

DON ŻUAN.

Tangier zawarł bramy.

DON FERNAND.

W mieście my naszych wrogów poszukamy.
Niech z armat pierwej wystrzelą na salwy.
Ty, Don Żuanie Coutinio z Miralwy
Idź — i pod miasto podbiegnij zamknięte.
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza — bo gdy będzie wzięte,
Domy się zwalą w krew, kościoły spłoną.

DON ŻUAN.

Wkrótce pod miejską ujrzycie mię broną;
Choćby to miasto, na dymu ciemnicy,
Stało jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

(Odchodzi.)

(Wchodzi BRYTASZ trefniś.)

BRYTASZ.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy maje widzę i apryle;
A już nie te przekłętę bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry — gdzie człowiek ma buty,
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,

To wpada w morze, kędy pan ludożer czeka:
 Jak to mówią u ludzi spadł z rynn pod wodę.
 Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę.

(Czuje ziemię.)

Kochana ziemia moja noś mię; ja człek łądu,
 Radbym ostatecznego doczekać się sądu
 Na ziemi, nie na morzu — —

DON HENRYK, do Fernanda.

Co ty nań uważasz?

DON FERNAND.

A ty czemu się wróżby marnemi przerażasz?
 Dla czego smętny stoisz z rozwianemi włosy?

DON HENRYK.

Duch mój pełen przestachu. Przeciwnie nam losy!
 Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
 Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
 Zaledwo Barbaryjskich dotknęliśmy łądów,
 Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,
 W chmury krwawe zabiegło i w niebiosą wkłęsło —
 A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
 I teraz gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
 Jak krew. Patrz na niebiosą, zewsząd czarne ptaki!
 Patrz nad morzem — jakby z mgły posępne osoby.
 Patrz na ziemię — zdaje się że wszędy są groby,
 W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

DON FERNAND.

Moja miłość inaczej to wszystko wyklada:
 Że nam burza uniosła jeden okręt zбитy?
 To zwyczajny przypadek. — Że niebios błękity
 Zaćmiły się i kolor wzięły szczerzo-złoty —
 Poważny? To nie groźba ale cześć dla floty.
 Że potwory za nami wyzierały z morza?
 Że czarną chmurą ptaków migotała zorza?
 To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Araby!
 Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby,
 Nie ciągnęły za sobą, ale tu znachodzą;
 Więc tej Arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą —
 Jeżeli są wróżbami, Maur niech patrzy na nie.

Ale my, mój Henryku, oba Chrześcijanie,
 My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
 Nie po to, aby nami zaczernione księgi,
 Po wielu wiekach o nas do ludzi gadały —
 My, cośmy tu dla Boga i dla Jego chwały,
 Abyśmy kościół jego szablami podparli:
 Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
 Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy —
 Czegóż się boim Boga! wierni Jego słudzy?
 Czemuż my się na wróżbach oparli, nie na nim?
 My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem —

(Wchodzi DON ŻUAN.)

Ale cóż to? od pola?

DON ŻUAN.

Książęta!

Kiedym wasze wypełniał rozkazy,
 Tam, gdzie góra w łuk zagięta
 Łamie się w piętra dwa razy,
 Usłyszałem w strasznej wrzawie,
 Pod nieba strefą niebieską,
 Zlatującą konnicę Feską. —
 Zdawało się że żórawie,
 Na Pigméów w wielkim gniewie,
 Szary klucz na niebie klecą —
 Ziemia nie wie i świat nie wie,
 Czy oni biegną, czy lecą.

DON FERNAND.

Idźmy powitać te wrogi.
 Niech strzelce staną na czoło —
 Siodłać konie, ..a wesoło!
 Wdziać kolczugi — od głów do nogi
 Zbroić się i stawać w szyku! —
 O, szczęśliwy dzień, Henryku!
 Zwycięstwo nam w ręce dane.

DON HENRYK.

Ja twój brat, przy tobie stanę.
 Piersi także mam niezłomne;

O strasznych wróżbach zapomnę,
I pokażę że śmierć mię nie trwoży,
(Wychodzą i słychac odgłos walki.)

BRYTASZ, sam.

A ja tam gdzie śmierć się sroży
Nie pójdę — w każdym hazardzie
Ja stoję na arjergardzie,
I wulkan ze mnie wybucha. —

(Patrzac na walkę.)

Ach jaka tam zawierucha!
Jaki blask, jaki bój srogi! —
Niech się biją — a ja w nogi! —
(Ucieka.)

(Wchodzą DON HENRYK i DON ŻUAN.)

DON HENRYK.

Łatwo brać zwycięskie laury —
Uciekają zbite Maury.

DON ŻUAN.

Pole całe pełne łupów,
Koni, mieczów, siodeł, trupów.

DON HENRYK.

Gdzie Don Fernand?

DON ŻUAN.

Z całą linią

Arabów znika w obłoku.

DON HENRYK.

Chodźmy za nim Don Continio.

DON ŻUAN.

Zawsze obaczysz mię przy twoim boku.

(Wychodzą.)

ZMIANA II.

(Pustynia. — Wchodzi na scenę DON FERNAND ze szpadą Muleja — i MULEJ
rozbrojony z tarczą tylko.)

DON FERNAND.

Tu, na tej ogromnej puszczy,
Co zdaje się grobem ludzi,

Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
 Koń leży i pan się nie budzi —
 Sam zostałeś, Maurze młody,
 Nad pobitemi narody.
 I twoje gdzieś orle źrebię,
 Przez pola pobiegło krwawe,
 Tocząc pianę i kurzawę,
 Pod sobą kurz, a pianę z siebie —
 I oddało cię bez broni,
 Łupem tej rycerskiej dłoni.
 Horyzont jak okiem objęty,
 Podobien do jednej trumny,
 A ja twojem wzięciem dumny —
 Więcej dumny, żeś ty wzięty,
 Niż że te pola oblane
 Są krwią, aż tam gdzie w błękit giną —
 Tak, że oczy smętne tą ruiną
 I czerwienią tą, jak obłąkane
 Odwracają się, nie wiedząc gdzie natrzeć
 Ostrzem wzroku znużonych promieni;
 Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,
 Aby ciągle nie widziały czerwieni. —
 Ja, gdym cię silnym ramieniem
 Wziął, mężnego tak wojaka;
 Wybrałem sobie rumaka,
 Z próżnem siodłem i strzemieniem;
 Którego ojciec był burzą,
 A matka była płomieniem! —
 Bo płomienie i wiatry mu służą,
 Równe jemu robiąc rodowody.
 A ja jeszcze powiem, że był z wody,
 Taką sieć miał i rzadkie tak piegi;
 I tę wodę przemienię na śniegi,
 I znów powiem że wody był synem.
 A co do prędkości — delfinem,
 A co do krwawości — był smokiem,
 Co do lotu — był mówią obłokiem,
 Co do nozdrza — był szczerym rubinem!

A był orłem gdy puścił się lotem —
 A gdy piersią uderzył — był grzmiotem.
 A pod dumnym szedł z dumą szlachecką,
 A pod starcem, jak starzec poważnie,
 A pod cichym spokojnie jak dziecko,
 A pod silnym, jak rycerz odważnie:
 I na jego kark i siodło jego
 Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
 A on zda się, jak łoś, co się ślizga,
 Pruł się piersią przez krwawe bałwany,
 I gniótł pole, co krwią naszą bryzga.
 Ale czy to jego wewnętrzne rany?
 Czy ta myśl? zwyciężonych tak bliska:
 Że kark jego zwycięzca uciska;
 Czy nad tobą może zlitowany?
 Gdy pomyślał że obu nas wiecie,
 Obu włożył na kark swój niechętny:
 «A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
 A ten Arab jedzie taki smętny!»
 Ach i może ta myśl niepozbyta
 Że Ojczyznę zdradza, mnie unosząc?
 Padł, oczyma litości nas prosząc,
 I załamał się na cztery kopyta
 I dech oddał! —

I powiedz mi teraz
 Czemuś taki smutny, przyjacielu?
 Gdy się zwracam, a obracam się nieraz;
 Choć mi tairsz twą boleść, Arabie,
 Widzę jasno żeś pełny trosk wielu!
 I podobnyś jest żelaznej sztabie
 I tej stali co zgięta odskoczy —
 Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
 Ciągłe z siebie jak ogień wybucho:
 Niepodobna! by takiego ducha
 Marna boleść poddała swej woli?
 Abyś cierpiał tak na tej niewoli
 Ty, co wolność sprzedałeś tak drogo? —
 Inna jakaś być musi przyczyna!

Jeśli troski podzielić się mogą,
 Jeśli sądzisz żem na to zasłużył?
 Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
 Prawie ulga — a jam serca nie zużył,
 I obaczę, widząc ranę twoją,
 Czy ta rana jest z tych co się goją.

MULEJ.

Widać żeś równie szlachetny
 Jak odważny, mój Hiszpanie.
 Równie mieczem jak językiem,
 Umiesz czynić zwyciężonych.
 Miecza twego niewolnikiem
 Było ciało, co nie boli —
 Teraz wzięłeś do niewoli
 Mego ducha. Doskonały
 Jesteś rycerz! Na dwie bronie:
 Moc masz i w rękę, i w łonie —
 Twoim jeńcem jestem cały.
 A ponieważ ty wzruszony
 Litością, pytasz Hiszpanie,
 Czemu ogień i żal słony,
 Sypią mi z oczu perłami,
 Uczynię tobie wyznanie,
 I sercu ulżę ustami.
 Nie dla tego że mię boli
 Serce, i skarżyć się pragnie!
 Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie —
 Ale że to z twojej woli,
 Ażebym ci się poskarżył.
 Wiedz, że jestem urodzony
 Synowcem króla Feskiego,
 A zowią mię Mulej Chekke —
 Królewska krew płynie we mnie,
 I serce mi wielkie grzeje.
 Bowiem ród mój uświetnili
 Różni Basze, Bejlerbeje —
 A rodziłem się w tym roku,
 Gdyście wy Gelwy tracili;

I ze smutnego wyroku,
 Matce kosztowałem życie.
 Smętne fortuny igrzysko!
 Gelwańskie krwi pełne pole,
 Było mi pierwszą kołyską.
 A odtąd ciągle niedole,
 Nieszczęścia mnie ciągle gonią,
 I pokoju ciągle bronią.
 Albowiem, kiedym do Fezu
 Przybył, dziecko, z moim stryjem,
 Przyjechała tam dziewica,
 I w bliskim domu, przez ścianę
 Stała, i odtąd serce
 Zostało w niej roskochane,
 I do śmierci tak zostanie.
 Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
 W zawiąskach swoich tak drobna,
 Zaczęta w dzieciach tak tkliwie —
 Taka zda się niepodobna!
 Gdy sobie serce tłómaczy —
 Ani się skończy szczęśliwie,
 Ani się skończy inaczej;
 Ani się mogąca dźwignąć,
 Ani zerwać, ni ostygnąć! —
 Z tą miłością wychowani
 Rośliśmy, panie, oboje.
 I dziś zarówno nas rani
 Ta miłość, w serc naszych dwoje —
 Ciskając razy niemyłne,
 Na serce słabe i silne.
 Ach! z mojem tak uczyniła.
 Jako woda z marmurami!
 W które ciągle bije łzami;
 I tak będzie ciągle biła,
 Ciągle biła, aż je strawi,
 I w marmurze ślad zostawi.
 Tak łzy me nowe i nowe
 Na serce pięknej spadały;

Aż serce twarde, ze skały,
 Serce jej diamentowe,
 Na które sto razy spadły,
 Przegryzły na wskroś i zjadły —
 Ach, i nie moje to cnoty,
 Że teraz serc naszych dwoje
 Są, jakoby dwa powoje,
 Wzajemnymi wite sploty — —
 W tym stanie przeżyłem lata,
 Zapomniawszy prawie świata —
 Rozpływając się w jej wdziękach,
 W pierwszej miłości jutrztenkach;
 Pijąc pierwsze tajemnicze
 Troski i pierwsze słodycze.
 Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
 Rozstałem się na czas krótki;
 I stąd idą moje smutki,
 Stąd płynie mój żal ogromny;
 Bo ją z drugim zaręczyli,
 Kiedym ja był nieprzytomny!
 Teraz powiedz, czym szaleniec,
 Że klnę fortunie bogini!
 Tamten jest wolny — ja'm jeniec!
 Jam jest daleko — on przy niej!

DON FERNAND.

Szlachetny Maurytańczyku,
 Dobrze mi smutki wykładasz!
 Jeśli tak kochasz, jak gadasz?
 Tak cierpisz? — jak w serca krzyku
 Słyszać, gdy boleść malujesz —
 Jeśli tak z ognia usychasz?
 Ach! i tak tękniesz, jak wzdychasz?
 Ach! i tak wzdychasz, jak czujesz?
 Widzę że wiernie miłujesz;
 Więc honorowi nie skłamię —
 Wodzu Maurytańskich galer
 Idź, i powiedz swojej damie:
 Że Portugalski kawaler

Przysłał cię za niewolnika,
 A ją ci daje za Pana.
 A jeśli obligowana —
 Bo to dziewic serca łechce —
 Skarby swoje poodmyka,
 I płacić za ciebie mi zechce?
 Ten okup weź Maurze młody,
 Bo będzie wielki jak sądzę;
 Zmień na miłości pieniądze,
 I miej z niego wieczyste dochody.
 A teraz jedź mi szczęśliwie,
 Oto koń twój własny wraca.
 Ja wiem, że kto kocha tkliwie,
 Temu czas płynie leniwie;
 Więc ci czasu, Arabie, ukraca
 Moja miłość; a ty się nie zmuszaj,
 Siadaj na koń rycerzu, i ruszaj!

MULEJ.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie!
 Ale wdzięczność ma inne oznaki.
 Wiem że daru przyjęciem pochlebię —
 Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Portugalczyk i szlachcic — nic więcej.

MULEJ.

Pokazałeś to czynem i słowy.
 Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
 Twój niewolnik —

DON FERNAND.

Ujeżdżaj co prędzej!
 Koń twój czeka.

MULEJ.

Więc otwierasz mi szranki?
 Więc chcesz, aby serce w niewolniku
 Uderzyło znów przy sercu kochanki?
 (Siada na koń za sceną.)

DON FERNAND.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

MULEJ, z po za sceny, z konia.

Hej! szlachetny mój Portugalczyku!

DON FERNAND.

Co mi powiesz?

MULEJ.

Gdy pozwolą mi nieba,

To ci kiedyś za dar taki odpłacę.

DON FERNAND.

Bądź szczęśliwy!

MULEJ.

Teraz ja się bogacę —

Ale dar twój, panie, nie padł w wodę.

I na końcu, na ziemi odbierze

Swoje żniwo, i swoją nagrodę.

Mój Hiszpanie, niech Allah cię strzeże.

(Odjeżdża.)

DON FERNAND.

Jeśli Allah Bogiem, niech cię broni. —

Lecz cóż to za tentent koni?

Co to za trąby i krzyki,

Którym powietrze przyklasło?

Tam, z drugiej strony kotły słychać, Marsa hasło.

Ha! mój brat Henryk!

(Wchodzi DON HENRYK.)

DON HENRYK.

Gdzie jesteś Frenandzie?

Dawno cię szukam.

DON FERNAND.

Cóż tam za nowiny?

DON HENRYK.

Bracie! Fezanie idą i Murzyni,

Budząc te echa! Tarudant z wojskami

Królowi Fezu przybył dla odsieczki!

A król podparty, z Maurytańczykami

Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło;

Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.

Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło

W swoje żalazne objęło nas wieńce.

Obleżający my i obleżenie!
 Z tej ciemnej chmury, co się na nas toczy,
 Błyskawicami bici w same oczy,
 Zmieszani. — Cóż nam Fernandezie zostało?
 Powiedz, co czynić?

DON FERNAND.

Co? umierać z chwałą!

Niech nacierają ci oba aljanci:
 My na śmierć idźmy jako wojownicy,
 Jako dwaj Mistrze, jako dwaj Infanci —
 A choćby tylko jak Portugalczycy!
 Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów:
 Ave i Chrystus! hasło nasze stare —
 I stańmy oba na czele szwadronów,
 I umierajmy, mój bracie — za wiarę!

(Wchodzi DON ŻUAN.)

DON ŻUAN.

Złe lądowanie jest wszystkiemu winą.

DON FERNAND.

Nic czas się teraz zatrudnić przyczyną
 Złego, gdy zewsząd wróg i krew — i jęki —
 Do poratunku trzeba użyć ręki
 Przeciwno siłom Tangieru i Fezu.
 Za mną! — W twe Imię Przenajświętsze Jezu!
 Za mną! — —

(Wychodzą wszyscy; z drugiej zaś strony na pustą scenę wchodzi BRYTARZ.)

BRYTARZ,

Otóż mi i śmierć! otóż sztuka!

Pięknie ten rycerz swoim hasłem puka
 W bramy niebieskie; klucze przenajświętsze —
 Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
 Gdzie święty mieszka aż na siódmym piętrze.
 Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
 Które mi sercem jak djably szamocą.
 Rozmyślam na co mi tutaj i po co?
 A z rozmyślenia to wynika mego,
 Że odtąd mam się już za umarłego.

(Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi DON HENRYK w pojedynku z MAUREM.)

MAUR.

Kto się broni tak uparty?
Szabla moja, piorun żywy,
Który spada aż ze sfery czwartej!

DON HENRYK, depcąc Brytasza.

Choć co krok, ja nieszczęśliwy
Chrześcijańskie depcę ciała;
Ręka moja nie omdlała,
Nie straciłem mocy w duchu.
Jeśli ja piorun? ty trup. — Ty piorun? ja skała.
(Wychodzą z Maurem bijąc się.)

BRYTASZ.

I prawda że mnie dobrze nadeptał po brzuchu.

(Wchodzi DON ŻUAN w pojedynku z Mulejem.)

MULEJ.

O! rycerzu, twoje męstwo
Nie widzi, że słabo walczę;
Że chciałbym ci dać zwycięstwo.

DON ŻUAN.

Co mi powiadasz zuchwalcze?
Nie przyjmuję takich danin! —
Broń się. —

(Depce Brytasza.)

O straszliwa męka!

Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcianin!
(Wychodzą bijąc się.)

BRYTASZ.

Nadeptał mnie; lecz o mnie niechaj się nie lęka —
A gdyby lżej mnie deptał —

(Wchodzi DON FERNAND cofając się przed nacierającym KRÓLEM Fezu.)

KRÓL.

Portugalczyku dumny
Oddaj mi twoją szpadę!
Pod strażą cię zostawię,
I rękę na sercu kładę,
Że obejdę się łaskawie;

Choć twojego miecza znaki
 Na piersi rozdartej noszę.
 Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Nie dam ci mego nazwiska
 Ani szpady — o śmierć proszę.

(Wchodzi DON ŻUAN i ciałem swoim zakrywa Fernanda.)

DON ŻUAN, do Króla.

Ten miecz, o panie! co w twem ręku błyska,
 Już okręcon koło głowy;
 Przez tę pierś chyba dostanie,
 Jak przez mur diamentowy,
 Mego księcia. (Do Fernanda.) O, mój Panie!
 O, mój książę! krzep się w sobie!
 Teraz, teraz ja przy tobie
 Aż do śmierci. —

KRÓL.

Stój, co słyszę?

Księcia Fernanda oglądam?
 Większego łupu nie żądam.
 I ten wielki dzień zapiszę
 Pomędzy najszcześliwszemi. —
 Zatrzymać ludu zagładę.
 A ty, królowi tej ziemi,
 Fernandesie, oddaj szpadę.

(Wchodzi MULEJ.)

MULEJ, na stronie.

Co widzę? o! biada jemui!

DON FERNAND, oddając szpadę.

Królowi tylko samemu
 Oddaję ten oręż święty,
 Nie chcąc jak desperat, ginąć.

BRYTASZ, wstając.

Jak widzę próżne wykryty!
 Z łańcuchem nie można się minąć.

(Wchodzi DON HENRYK.)

DON HENRYK.

Ach! co widzę? brat mój wzięty! —

DON FERNAND.

Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem —
 Bo to, mój miły bracie, zwycięstwo nad losem,
 Jeśli go człek wolny umie
 Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

KRÓL.

Tak Henryku, twój brat się dostał do niewoli —
 A choć mogę, i słuszność mi sędzę pozwoli,
 Abych go na śmierć skazał — serce mam ruszone.
 Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
 A los, który mię panem niespodzianym robi
 Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
 Więc owszem! z ciągłą myślą o tym niewolniku
 Powracaj do ojczyzny, i powiedz Henryku
 Dwartowi królowi, że temu poruczę
 Więźnia, co mi przywiezie złote Centy klucze!
 Nie inaczej. — A teraz, jako moja własność,
 Do Fezu ze mną raczy twa Książęca Jasność.

DON FERNAND.

Jako u mojej sfery słońcem — idę wszędzie.

MULEJ.

Ach! serce moje smutek dwojaki posiędzie,
 W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

DON FERNAND.

Henryku! ja zostaję tu pełen pogody;
 Na złe i dobre — wytrwam jak ludzie niezłomni.
 Jedź i proś brata niechaj o mnie się upomni,
 Jako Pan Chrześcijański.

DON HENRYK.

On się zabowiaże —

DON FERNAND, przerywając, mówi z powagą.

Niech się upomni jako Chrześcijański Książę —
 Jak katolik!

DON HENRYK.

Takim ja mój bracie powrócę.

DON FERNAND.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę,
I uściskam, bracie mój Henryku kochany!

DON HENRYK.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany!

DON FERNAND.

Bywaj zdrów Don Żuanie!

DON ŻUAN.

Żywot mój bez celu —

Ja tu — z tobą!

DON FERNAND.

Więc zostań ze mną przyjacielu.

DON HENRYK.

O! dzień pełny nieszczęścia!

DON FERNAND.

Wszyscy bądźcie zdrowi!

Jedź Henryku — i powiesz odemnie królowi —

Nie, nic nie mów! — słowom to powierzać daremnie.

Ot, tylko te łyż moje zanieś mu odemnie.

(Rozchodzą się: Don Fernand z Maurami, Don Henryk ku brzegowi morskemu.)

D Z I E Ń II.

(Ogród Króla. — Na ganku pokazuje się FENIKSANA.)

FENIKSANA.

Zara! Estrella! Roza! — Cóż?

Nikogo nie ma oprócz róż?

(MULEJ wychodzi z po za wzgórze.)

MULEJ.

Piękna! w wołaniach imię zmień,

Ja ci odpowiem lutni słodka!

I oko twoje mię napotka,

Boś ty jest słońce — ja twój cień.

Za tobą chodzę nakształt chmur —
 I słysząc echo twego głosu,
 Wołanie twoje, zszedłem z gór.
 Co dumasz?

FENIKSANA.

Ach! z mojego losu
 Girlandy sobie czarne plotę.
 W górach, gdzie jedno pochlebne,
 Wolne, niewdzięczne i srebrne,
 I słodkie, i szepczące tęsknotę
 Źródło ma tajemną grootę;
 I stamtąd strumieniem bieży,
 Kwiaty łąkom malujące,
 Pochlebne — bo szepce coś łące
 A własnym słowom nie wierzy;
 Niestale źródło i zwodne,
 Bo chociaż szemrze — pogodne,
 Wolne — bo otwarcie gada
 Gdy głos zefirom poruczy;
 Szalone — bo ze skał spada,
 A słodkie — bo w trawach mruczy,
 A głośnie — bo słyszane z daleka!
 A niewdzięczne — bo ucieka.
 Tam, przy tem źródle, zmęczona
 Ściganiem za jedną sarną,
 Z melancholją moją czarną
 Ległam — a góry tej strona
 Pokryta, nakształt płomyków,
 Krzyczącą jasnią gwoździków,
 Jakoby falą karminów,
 I szmaragdami jaśminów
 Błyszczała. — Ledwo z tęsknotą
 Smętnym się oddałam dumom,
 I samotnym źródła szumom,
 I wielkiej ciszy: gdy oto
 Szmer usłyszałam za sobą!
 Przeleciała, skoczyłam z trawy,
 I twarz w twarz, z ciemną osobą,

Z duchem kobiecej postawy,
 Z czarną spotkałam się marą.
 Z Afrykanką suchą, starą,
 W łachmanach, z pochyłym grzbietem,
 Z cieniem człowieczej postaci,
 I z cienia tego szkieletem
 Zeszłam się. Zda się pień drzewa,
 Co korę spruchniałą traci,
 I bursztynem się oblewa.

Gdy czarne myśli naraisz,
 Czarne wróżby ci przychodzą
 I straszą, i sercu szkodzą,
 Nim się do nich przyzwyczaisz.
 Gdy mię wzięła ta szalona
 Za rękę, szatańskie plemię!
 Myślałam że wrosłam w ziemię,
 Że byłam drzewem jak ona.
 W oczach mi czarno i dymno —
 Od jej rąk szło we mnie zimno,
 I broniłam się daremnie —
 Od nich strach przechodził we mnie!
 A jej głosy obłąkane,
 Pełne urągań bezczelnych,
 I jądów pełne śmiertelnych,
 Ciche, zaledwie szeptane,
 W sercu się odbiły głucho,
 Tak jak węże, lazły w ucho.

«Nieszczęśliwa niewiasto!» wrzasła —
 «Nieszczęśliwa! śmierci będziesz łupem!
 Proś, by piękność ta twoja zagasła,
 Wprzód nim zmarłych zostanie okupem.
 Tak — ta piękność twoja będzie ceną,
 A kupiony towar będzie trupem!»
 To wyrzekła — a ja taką sceną
 Zatrwożona i dotąd lekliwa,
 Pół-umarła, a jeszcze pół-żywa;
 Ach, i lepiej bym cała umarła!
 Niżby ta wróżba straszliwa

Wiedźmie tej wydarta z gardła,
 Była prawdą — nim wejde w mogiłę,
 Nim te oczy blask niebios utracą. —
 Ach, więc ciało ludzkie? ciało zgniłe!
 Oszacują i mną żywą zapłacą?

(Wychodzi.)

MULEJ.

Porzuć piękna te rozpaczę!
 Ja ci te sny, pełne trwogi,
 Jedynie przez mój los srogi
 Rozwiążę i wytłómaczę.
 Tarudanta masz być żoną?
 A jeśli go nie pokonam —
 Ach na samą tę myśl konam! —
 To pewnie, że moje łono
 Na dwoje mieczem rozkroi,
 Nim go twa miłość napoi —
 Więc zawsze widzę zdaleka
 Jak mi los okrutny grozi;
 Za mnie, martwego człowieka,
 On cię dostał i uwził:
 I tak — o! moja Syreno!
 Przyszłość wróżbę sprawdzoną zobaczy;
 Bo ty mego trupa będziesz ceną,
 Bo z miłości skonam i z rozpaczę.

(Ustępuje na stronę. Wchodzi DON FERNAND, bez broni, ale w książęcym ubiorze. — NIEWOLNICY pracujący w ogrodzie zbiegają się ku niemu.)

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W tym ogrodzie, kopiąc grędy,
 Skorośmy tylko postrzegli
 Panie, że przechodzisz tędy:
 Wszyscyśmy oto przybiegli
 U nóg twoich się położył.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć!
 I tę nam ulgę w nędzy dał jedyną!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Tys jest litosny; bo lzy twoje płyną,
 Ty niewolników litujesz się męce.

DON FERNAND.

Bracia! podajcie mi ręce.
 Bóg, co widzi ludzkie duchy,
 On wie, że temi rękami
 Chciałbym zdjąć wasze łańcuchy;
 Ale nie mogę. — Bóg z wami! —
 Pracujcie cicho i skromnie,
 A częściej o nim niż o mnie
 Pamiętajcie. — Smętna chwila!
 Ale też miejcie nadzieję,
 Bo zło, gdy nad miarę przeleje,
 To się często na dobre przesila.
 Pomnąc, że i w ostatecznym
 Razie odwaga pomoże.
 Idźcie — i z losem koniecznym,
 Sercami nie bądźcie w sporze!
 Uwaga ta niech was czyni
 Odważnymi na fortuny upiora;
 Bo to dziwna na świecie bogini!
 Trup z niej dziś — a kwiat był wczora —
 To się może znów jutro zaśmieje.

O Boże! Cóż dawać rady,
 Kiedy ten tłum taki blady,
 I smętny — takie łzy leje!
 Trzeba te nauki schować,
 Aż ich serca jęk nie zgłuszy. —
 Chciałbym was czem udarować!

Ale nie mam nic przy duszy,
 Przebaczone mi przyjaciele! —
 Nadzieją się z wami dzielę.
 Bo sądzę, że nam z ojczyzny
 Co pewnie tam o nas pamięta,
 Przybędą wkrótce okręta,
 Zgoją cierpienia i blizny:
 Wtenczas — co ja mam na świecie,
 To będzie moje i wasze:
 Wszystkich! — rękami opaszę! —
 Wszyscy ze mną pojedziecie! —

Teraz, idźcie już biedacy,
Srogo bardzo spracowani;
Idźcie znów do waszej pracy,
I bądźcie panom poddani! —

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Twoje zdrowie, Panie nasz,
Nieszczęsnym nam dodaje sił.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bogdaj ty setne lata żył!
Bóg ciebie weź pod swoją straż!
(Niewolnicy odchodzą.)

DON FERNAND.

Duch mój został pełny mąk,
I w smętnem dumaniu stoi:
Żeście wy od moich rąk
Biedni, tak odeszli z niczem!
Biedni! biedni bracia moi! —
Któż nad sercem niewolniczem
Ulituje się, prócz Boga?

(MULEJ wychodzi z ukrycia, gdzie patrzył na poprzednią scenę.)

MULEJ.

Tu byłem. I żalność sroga
Zdjęła mnie — i z uwielbieniem
Patrzałem, z jaką miłością
Traktowałeś niewolniki.

DON FERNAND.

Zaprawdę, żem przejęty litością
I przejęty był cierpieniem,
Patrzając na te męczenniki,
Które pan do taczek pędza —
I uczyła mię ich nędza,
Jak znosić więzy haniebne,
I los mój dźwigać biednemu:
Kto wie? — może mnie samemu
Wkrótce to będzie potrzebne.

MULEJ.

Co Wasza Janość powiada?!

DON FERNAND.

Co? — Kto się Infantem rodził,
 A dziś pan nim obcy władnie:
 Niech wie, że los często spada,
 I spadł już — i jeszcze spadnie.
 W Infantwo mię już ugodził:
 A kto wie — może niżej pokłoni? —
 Dzień za dniem nieszczęsny goni,
 I płacz z płaczem w łańcuch wiąże!

MULEJ.

Nie mniejszy mój ból, o Książę!
 Chociaż innego rodzaju.
 Bo Wasza Jasność do kraju,
 Jak sądzę, wkrótce powróci —
 Ale to, co mię tu smuci
 Ratunku znaleźć nie może!
 Troska moja bezimienna —
 Fortuna jak księżyc zmienna.

DON FERNAND.

Gość jestem na waszym dworze —
 I twój los mię serdecznie obchodzi,
 A tyś mi nie dał nowiny?
 Jak się tam tobie powodzi
 Z sercem tej cudnej dziewczyny?

MULEJ.

Łaski były na mnie złane;
 Ale wielką tajemnicą
 Usta przypieczętowane,
 I tą pieczęcią zamknięte —
 Lecz przyjaźń ma prawa święte,
 Więc z jakąś winien różnicą,
 Tym dwom, a równym potęgom,
 Obojgu serca przysięgom:
 Powiem, mową nieudolną.
 Ile mi powiedzieć wolno,
 I com ci winien istotnie.
 Miłość ma cierpi samotnie,
 I bogata jest i biedna;

Bo jak Feniks na świecie jest jedna,
 I nie ma podobnej sobie —
 Miłość moja jest na probie;
 Bo dla oka, myśli, duszy,
 Feniks jest skrą wyobraźni;
 Feniks, powodem katuszy
 Dla czucia, miłości, bojaźni!
 Feniks nadzieję mi niszczy,
 Gdy wątpię i czuję trwogę —
 Lecz gdy się na duchu wzmogę,
 Feniks mi nadzieją błyszczący.
 Feniks, moją wieczną troską! —
 Feniks, moją iskrą Boską! —
 Tak mej przysięgi nie łamiąc,
 Przyjaźni fałszu nie zadam:
 Bo o Feniksie ci gadam,
 I nie milcząc i nie kłamiąc.

DON FERNAND.

Więc ci powiem bez ogródki,
 Otwarcie — żeś nie wart litości:
 Bo Feniksem są twe smutki,
 I Feniksem ty jesteś miłości.
 Lecz mój ból, miły kolego,
 Mój smutek — to co innego — —
 Ludzie go pojną nie jedni,
 Bo to jest smutek powszedni,
 I wielu już tak cierpiało.

(Wchodzi KRÓL Fezu.)

KRÓL.

Książę, oto za tą skałą,
 I tam, za temi parowy,
 Kazałem przyrządzić łowy.
 Nim słońce swój wieniec spali
 Pośród pereł i koralu,
 Strzelce zaskoczą z przeciwnika
 I tygrysa nam napędzą.
 Dla Księcia to będzie rozrywka.

DON FERNAND.

Panie! twe ręce nie szcędzą
 Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
 Zawsze wynajdując nowe
 Rozrywki, rozrywkom bliźnie;
 Jeśli tak zwykłeś, pan dziki,
 Traktować twe niewolniki?
 To zapomną o Ojczyźnie!

KRÓL,

Więźniom takim jak ty Panie,
 Którzy Panów swoich szczytą,
 Takiem winien traktowanie.

(Wchodzi DON ŻUAN.)

DON ŻUAN.

Panie, idź i spojrz strzelnicą
 Na morze, a mówię szczerze,
 Ujrysz najpiękniejsze zwierzę,
 W którym się i dzikość szczerą,
 I ludzka maluje sztuka.
 Jedna Chrześcijańska galera
 Do drzwi tego portu stuka.
 A taka piękna i wolna,
 Choć cała czarna i smolna;
 Że nam pojąć niepodobna,
 Patrząc na tego sokoła,
 Jak ona razem wesola,
 I w wesomości żalobna?
 Wszyscy tam wysoko stańcie,
 Portugalski herb ujrzycie.
 Żałoba ta po Infancie
 Prędko nam pociechę zlegnie;
 Bo z jej lotu po błękanie
 Widać że po niego biegnie.

DON FERNAND.

Przyjacielu, Don Żuanie
 Omyli cię ta rachuba.
 Zły to znak, to jej ubranie,
 I ta żałoba jej gruba.

Oj byliby oni biali
Gdyby po mnie przyjechali!

(Wchodzi DON HENRYK z pargaminem w rękę, w grubej żałobie ubrany —
ze świtą.)

DON HENRYK.

Ręk mi pozwól Tangierski mocarzu.

KROL.

W szczęsny czas Wasza Jasność przybywa —

DON FERNAND, do Żuana.

Don Żuanie! już ja na smętarzu —

KRÓL, na stronie.

Ceuta, moja! —

DON HENRYK.

Niech mi wasza Mościwa

Laska, brata uściskać pozwoli.

DON FERNAND, ściskając brata.

Mój Henryku — czemu tej niedoli

Znak na tobie? i twarz taka błada?

Dość! — Twa postać mi to sama powiada.

Słów nie trzeba, bo mówią twe oczy. —

Nie płacz bracie, ja wiem co cię boli,

Ja wiem co ci serce tłoczy.

Masz mi donieść że zostanę w niewoli? —

Ha! to dobrze, ja tego i żądam.

Nie potrzebnie cię w żałobie oglądam!

Mogłeś przyjść tu wesoło i w bieli,

I mnie mogłeś uścisnąć weselej,

I ucztować na każdym popasie. —

Jak się ma brat mój miły i król mój?

Nic nie słucham, aż powiesz jak ma się

Brat i Pan mój —

DON HENRYK.

O! bracie — ach ból mój

Bez wyrazów — ach, ty nie wiesz co czuję —

Niech raz tylko poselstwo sprawuję,

A ty bracie, co mi towarzyszysz

Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,

I dość będzie jednego słuchania!

(Do Króla Fezu.)

Panie! chociaż na tej górze,
 Gdzieś przybył dla polowania,
 Nie w stolicy twojej murze:
 Podaruj mię swą uwagą,
 A tego jeńca wolnością! —
 Kiedy wielką nawałnością,
 Kiedy wielką fal przewagą
 Bici, na morskich rozruchach,
 Utraciliśmy armadę:
 Gdy Infant został w łańcuchach;
 Gdy te wieści, jędze blade,
 Roskołysane przez dzwony,
 Przyleciały do Lizbony
 Z wiatrem, co po morzu dyszał;
 Kiedy król o nich usłyszał:
 To bez żadnej prawie skargi,
 Wpadł w melancholje serdeczne,
 A z melancholji w letargi,
 A z letargów we sny wieczne!
 I zwłoki jego dziś leżą — —
 Płacze go ciżba nabożna;
 A ludzie patrząc, dziś wierzą
 Że z boleści umrzeć można. —
 Niebieska mu świeci chwała!

DON FERNAND.

Tyle brata kosztowała
 Moja niewola!

KRÓL.

Wie Alła,

Ile mię ta śmierć zasmuca —

DON HENRYK.

Otóż król co świat porzuca,
 W swym testamencie pozwala,
 Owszem, każe dać fortecę
 Ceuty za Infanta osobę —
 A ja przywdziawszy żalobę,
 Od króla Alfonsa lecę,
 Jako od dziedzica tronu,

Którego jeszcze nie znacie —

Oto, z tym aktem —

DON FERNAND, wrywając pargamin.

Stój bracie!

Słowa te pełne pokłonu!

Nie tylko że nie są godne

Krwi królewskiej i wyrodne,

Niegodne są ust Infanta!

Niegodne Mistrza Zakonu,

Od którego wiara czeka

Wsparcia i wiecznego zelanta.

Lecz niegodne są człowieka,

I niegodne barbarzyńca,

Co nigdy o Chrystusie nie słyszał!

Że mój brat — niech mu Bóg świeci —

Włożył ją do testamentu

Tę klauzę, to tylko na to,

Aby u ludzi widziano

Że brat dba o swego brata. —

Nie na to, aby czytano

I tłumaczono to słownie —

Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę? —

To ma się znaczyć, że trzeba

Powolnie, albo gwałtownie,

Z pomocą ludzi i nieba

Upomnieć się o Infanta.

Jakżeby król katolicki,

Jak on, wierny, sprawiedliwy?

Taki król jak on! — nieżywy,

Na swój proch, oddany laurom,

Kładł taką okropną plamę?

By Ceutę oddawać Maurom!

Tę Ceutę — miasto te same

Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,

W imię przenajświętrze Pańskie,

Ze szpadą i ze sztandarem

Przyskoczył i Chrześcijańskie

Chorągwie zatknął na wieżach!

A teraz byłoby czynem
 Godnym tej sławy w rycerzach,
 By miasto — które wyznało
 Że Chrystus jest Boga synem —
 Kościoły pozakładało,
 Gdzie się Imię Jego święci
 Pośród serdecznych płomyków,
 I męka mu na pamięci —
 Aby kościoły już stare,
 Przez ludzi, przez katolików —
 Przez ludzi, co moją wiarę
 I tego Boga wyznają,
 Przez ludzi, co serca mają!
 Przez nas?! przez Portugalczyków
 Były —?! Aby te kościoły,
 Które złożonemi czoły
 Podpierają mleczne pasy.
 Jak naszej wiary Atlasy;
 I na krzyż złoty pobożny,
 Wieszają słońca czerwone:
 Aby przez księżyc dwurożny
 Były na niebie zaćmione,
 Jęcząc tak jak męczennice?

Więc że teraz te kaplice
 Opuścilibyśmy tajnie?
 Oddawszy na stodoły i stajnie?
 Albo, czego ten Maur łaknie,
 Na Mahometa meszkity? —
 Gdy to mówię — tchu mi braknie!
 Gdy myślę — stoję jak wryty;
 Język mi w ustach kościeje,
 Włosy wstają, pot się leje,
 I drży całe moje ciało! —

Bo choć to nieraz bywało
 Że jaka stajnia uboga
 Ugościła Pana Boga,
 I dała mu sen w swoim żłobie —
 Lecz meszkity —?! Boże! Panie!

Ach! toby na naszym grobie
 Napisano: tu Chrześciance,
 Przewrotnym podobni Panom,
 Wygnali Boga z kościołów,
 Boga i Jego Aniołów,
 I oddali je szatanom!
 I byłoby sprawiedliwie,
 Ażebyśmy Boże gmachy,
 Gdzie my stoim jak szyldwachy!
 Mając cały świat pod nami
 W zatrwożeniu i podziwie;
 Teraz otwierali sami,
 Wpuszczając tam nasze wrogi?
 Ażeby ten lud ubogi,
 Chrześcijański, a gorący,
 Z miasta wychodził płaczący,
 Z dobytkiem, z całą rodziną —
 A my, na te łzy co płyną
 Patrzalibyśmy gnąc szpady?
 Aby osadnik, nierady,
 Zmieniał wiarę dla majątku?
 Aby tam Arab, dzieciątku -
 Urodzonemu bez winy,
 Wlewał fałsz trupa z Medyny,
 Za młodu kalać zaczynał,
 Do swojej wiary naginał,
 Do swych zapędzał namiotów,
 Do swego zamykał płota? —
 Więc dla jednego żywota?
 Tyle Chrześcijańskich żywotów!
 Tyle łez wylanych z powiek!
 Cóż ja? — czym więcej niż człowiek?
 Cóż mię równa z ludzi likiem? —
 Czy to że byłem Infantem? —
 Więc oto nie Infant ze mnie,
 Oto jestem niewolnikiem;
 Już nie korony brylantem.
 Gotów jak drudzy nikczemnie

Życ i tu pana bogacić.
 I któż wam każe tak płacić
 Za niewolnika? — Niech płaci
 Niewolnik ciałem i gardłem!
 Bo kto swoją wolność straci,
 Ten, mówię, ludziom umiera.
 Więc ja — dawno już umarłem — —
 Któż mię dziś z trumny wydziera?
 Któż chowa na większe czyny?
 Daj! — niech drę te pergaminy!
 Niech drę na świstki tę kartę!
 Niech drę na kawałki gadu —
 I jeszcze je zjem już podarte,
 Aby nie zostało śladu.

(Drze pergaminy i kawałki polyka.)

A teraz Królu, i Panie
 Roskazuj mi, panuj srogo,
 Jak chcesz. — Niewolnik zostanie,
 Którego kupić nie mogą.
 Każ, niech mię łańcuchy strzegą,
 Niech robią na rękach blizny:
 Cierpliwością cię nasycę. —
 Henryku! wróć do Ojczyzny
 I mów: żeś mię tu w Afryce
 Zostawił pogrzebanego.
 Bo ja z żywota mojego
 Taką rzecz pokorną zrobię,
 Jakbym na prawdę był w grobie.
 Wspomnienia ludzi nie warty,
 Z oczu ludzkich i z myśli już starty —
 Chrześcianie! Książę Fernand już skończył!
 Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
 Lecz co do was, czas służby już wybił. —
 Maury! oto niewolnik wam został. —
 Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
 Aby nędzę z niedolą połączył,
 I lzy swoje połączył z waszemi!
 Wy niebioso! oto człowiek na ziemi,

Panu swemu kościoły zakłada,
 Założone podpiera na skale.
 Morza! morza! do fal waszych pada
 Jedna łą co powiększy wam fale;
 A wy góry! oto człowiek pospołu
 Ze zwierzęty do jaskiń ucieka;
 Wichry! wichry! oto nędzarcz was z dołu
 Westchnieniami zaklina i wścieka;
 A ty ziemio! oto garstkę popiołu
 Rzuca tobie i zewłok człowieka,
 Co z robaków twoich włoży laury.

A to wszystko by ten król i te Maury,
 I ten Infant i ziemi gdzieś końce,
 Chrześcianie i księżyc, i słońce,
 I niebios, i ziemia, i chmury,
 I zwierzęta, i morza, i góry;
 I kto jeszcze na powietrzu przytomny,
 A pieczęć żywota nosi,
 Tu widzieli: jak Księżę niezłomny,
 Wiare swoją przeświętą podnosi,
 W obronie praw Bożych stawa,
 I przed Maurami wyznawa
 Boga przenaajsświętsze imię.
 A choćbym w działowym dymie,
 Śród mieczów i ludzkich grotów,
 Bronił od ludzkiej obrazy
 Niewymówionych przymiotów
 Tej, co poczęła bez zmayı:
 A miał w sobie sto razy!
 Oddałbym żywot sto razy!

KRÓL.

Twardy, niewdzięczny człowieku,
 Także mi za łaski moje
 Odplacasz? — Jak śmiesz robaku
 Tego mi właśnie odmawiać,
 Czego najwięcej żądałem?
 W państwie cię tak traktowałem
 Jako brata, jako syna;

Nie czuleś prawie niewoli.
 Lecz teraz przyszła godzina
 Że cię twój łańcuch zaboli,
 I los cię ukole srogi.
 Tu więźniu! z duszą robaczą!
 Tu sam! niech wszyscy zobaczą
 Jak ty mi całujesz nogi! —

(Fernand klęka mu do nóg.)

DON HENRYK.

O nieszczęście!

MULEJ.

O cierpienie!

DON ŻUAN.

Boże! co za poniżenie!

KRÓL.

Do mnie twe należy ciało.

DON FERNAND, wstając.

Tak zaprawdę, ale mało,
 Mało to ci mocy doda,
 Panować nad kośćcami mojemu:
 Bo ta ziemia, to gospoda
 W ogromnej naszej podróży:
 I na to wyskoczył z ziemi
 Człowiek, by się z losem kłócił —
 I na końcu każdej burzy
 Znowu do ziemi powrócił.
 Więc żeś mi kazał pochyłą
 Twarzą paść tu, gdzie proch leży,
 Za to ci wdzięczność należy,
 Bo mię oswajasz z mogiłą.

KRÓL.

Ponieważ jesteś w niewoli,
 Zatem więc idzie z porządku,
 Że nie możesz mieć majątku,
 Ni pieniędzy, ani roli.
 Więc ponieważ ciebie trwoga
 Może zmusić, lub bicz Pana? —
 Czemuż mi Ceuta nie zdana?

DON FERNAND.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga!

KRÓL.

Nie jest że to pierwsze prawo,
Że niewolnik pana słucha?

DON FERNAND.

Nie przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą,
Ale uchrystusowana
Natura, z woli przymiotem,
Która służy — grzech ją maże.

KRÓL.

Podły jeńcze, zabić każe.
Dam ci śmierć —!

DON FERNAND.

Śmierć jest żywotem.

KRÓL.

Więc życiem ciebie obdarzę,
Ale takim że się złękniesz
I sam śmierci będziesz chciwy!
Bo jam srogi —

DON FERNAND.

Ja cierpliwy.

KRÓL.

Obaczmy, zaraz zmiękniesz
Hej! —

(Wchodzi SELIM dozorca niewolników.)

SELIM.

Co Panie?

KRÓL.

W mgnieniu oka

Wziąć go — niech mi stóp nie plami,
I porównać go z jeńcami.
Niech jego postać wysoka
Ugnie się pod równą nędzą;
Niechaj go do łazien pędzą —
Niech moich koni dogląda,

Dać mu w ręce taczki, grabie;
 A zdjąć te jasne jedwabie
 I ubrać w szarak ubogi;
 Dać chleba, gdy jeść zażąda;
 Spleśniałą wodę niech pije!
 Łańcuch mu włożyć na szyję!
 Łańcuchami okuć nogi.
 W mazamorach bez podłogi,
 Na wilgoci niechaj lega.
 Niech jego orszak służebny
 Tym samym prawom podlega
 Co on! —

DON HENRYK.

O! wyrok haniebny!

MULEJ.

O żalości!

DON ŻUAN.

O rozpaczy!

KRÓL.

Zobaczy ten jeniec! zobaczy!
 Czy mi jego duma sprzeczna,
 I cierpliwość, na tej próbie
 Wytrwa! —

DON FERNAND.

Wierz mi, wytrwa tobie,

Bo ta cierpliwość jest wieczna.

(Wychodzi za dozorca niewolników.)

KRÓL.

Henryku! a co do ciebie,
 To ci powrotu nie bronię.
 Wracaj i powiedz w Lizbonie
 Niech się w popiołach zagrzebie,
 Bo stracon ratunek wszelki;
 Bo jej Infant, jej Mistrz Wielki
 Został tu — czyści mi konie.
 Niech mu z ratunkiem przychodzą.

DON HENRYK.

O przyjdą! klnę się przed światem
 Że przyjdą pod Boga wodzą.

A że ja tu z moim bratem
 Nie został, choć serce boli?
 To dla tego królu Feski,
 Że przyjdę, jak syn królewski,
 Uwolnić brata z niewoli! —

(Wychodzi ze światą.)

KRÓL.

Czyń co ci rozum poradzi.

(Wychodzi.)

MULEJ.

A teraz nic mi nie wadzi
 Ażebym się Fernandowi
 Z długu wdzięczności uiścił.

(Wychodzi.)

ZMIANA I.

(Inna strona ogrodu. Zdała pracując niewolnicy i widać Fezu mury. Wchodzi DON FERNAND w niewolnika siermiędze i SELIM.)

SELIM.

Król każe i to stanowi
 Abyś tutaj ogród czyścił.
 Posłuszny więc bądź królowi
 I schyl do pracy ramiona.

DON FERNAND.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.

(Wychodzi z Selimem.)

PIERWSZY NIEWOLNIK, zbliża się śpiewając.

Oj na Tangier wysłał król
 Jaki ból! jaki ból!
 Na podbicie wysłał świata
 Don Fernanda, swego brata,
 Posłał król! posłał król!
 Aby zawojował Fez;
 Ile łez! ile łez!
 Don Fernanda wysłał król —
 Ile łez! jaki ból!

(DON FERNAND wchodzi i zdala i słucha te piosenki.)

DON FERNAND.

Już z historii mojej jest piosenka —
 Już ją słyszę żalownie śpiewaną,
 Smętny jestem, i serce mi pęka!
 Duszę jakby mam zaturbowaną —
 I złęknioną —

PIERWSZY NIEWOLNIK, nie poznając Księcia.
 Co ci jest niewolniku?

Czy ty nie wiesz że wolność mieć mamy!
 Infant wraca i wszyscy wracamy;
 A tu na tym mogiłniku
 Nie zostanie z nas żaden!

DON FERNAND, na stronie

O! jak prędko tę nadzieję straciecie!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Przynieś bracie wody na ten gradyn
 Polać kwiaty —

DON FERNAND.

O wodę prosicie? —

O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,
 Który z wami smętne życie wiodę,
 Udajecie się bracia po wodę.
 Bo zaprawdę, że choć cierpię niezłomnie,
 Jakiś robak — tu, serce mi toczy,
 Pełne serce, i łez pełne mam oczy.

(Bierze wiadra na plecy i wychodzi.)

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nam do łaźni iść teraz wypada,
 Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.

(Wchodzi DON ŻUAN, szukając oczyma Księcia między niewolnikami.)

DON ŻUAN.

Szukajmy czy ta gromada
 Gdzie mego Księcia nie mieści?
 Może go ci robotnicy
 Widzieli? — szukam go wszędzie.
 Przy nim i mniej mi boleści,
 I siły w sercu przybędzie. —

Bracia, powiedzcie mi, proszę,
Czyście tu gdzie nie widzieli,
Noszącego kwiatów kosze,
Księcia Fernanda?

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nie bracie.

DON ŻUAN, na stronie.

Pomóżcie święci anieli!
Bo leż utrzymać nie mogę.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W łaźni go pewnie spotkacie.
Pokażemy tobie drogę
Do tej gorącej piekielni.

(DON FERNAND wchodzi z wiadrami na plecach.)

DON FERNAND, patrząc w niebo.

Czy się nie złękniecie śmiertelni,
Widząc w takim pohańbieniu
I mizerji Infanta korony?
Mistrza Avis? Czy w zastanowieniu
Czas nie stanie, jak stają zegary?!

DON ŻUAN.

O mój Panie! jaki ty zbiedniony!
O mój Panie! w jakim ty odzieniu!
O mój Księżu! do jakiej ty mary
Już podobny! jak żal cię już strawił!!

DON FERNAND.

W imię Ojca! — wielkiś smutek mi sprawił
Tem odkryciem, drogi Don Żuanie!
Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie
Między ludźmi własnymi; w tym cebrze
Nosić wodę, jak człowiek co żebrze
I pracuje, tak biedny jak oni.

PIERWSZY NIEWOLNIK, klęcząc.

Przebacz Panie! i daj mi twej dłoni.
Jam nie wiedział kto jesteś — nas wielu
Nie wiedziało —

DRUGI NIEWOLNIK.

Całujemy twe nogi —
Przebacz Panie!

DON FERNAND.

Wstań mój przyjacielu.
Ja ci równy, niewolnik ubogi,
Jak ty — Pana mego teraz własność.

DON ŻUAN.

Wasza Jasność —

DON FERNAND.

Puść! jaka tam Jasność!?
Rzuc ten tytuł; mój drogi biedaku!
Jaka proszę mi jasność w żebraku?
Jasność!? — Jestem ci równy kolego,
I ty teraz traktuj jak równego,
I wy wszyscy traktujcie jak brata.

DON ŻUAN.

Czemuż piorun mię w proch nie obrócił!
Czemuż czaszki mi grom nie rozplątał!

DON FERNAND.

Don Żuanie! to serdecznie mię smuci,
Że utrzymać nie umiesz powagi —
Jako szlachcic — i potępiam tę żywość. —
Bo zwątpiłeś w nieba sprawiedliwość;
A tu trzeba spokojnej odwagi,
Ufającej —

(Wchodzi ZARA z koszykiem.)

ZARA.

Chodźcie tu niewolniki.

Feniks, moja Pani, prosi
Ażebyście te koszyki
Napełnili kwiatami.

DON FERNAND, biorąc koszyk.

Ja pierwszy

Będę kosił je tak, jak śmierć kosi.

DRUGI NIEWOLNIK.

Idźmy tam gdzie ogród szerszy.

ZARA.

Ja z ganku patrzę za wami,
 Jak chodzicie za kwiatami
 I polewacie je łzami.

DON FERNAND, do niewolników.

A wy bez tych już pokłonów,
 Bracia moi ukochani,
 Losem my już porównani;
 A jeszcze Królowa zgonów
 Jutro we drzwi zakołace,
 Szczerszą równość postanowi;
 Więc bracia, na co tę pracę
 Zostawiać jutro grobowi?
 (Wchodzi z Don Żuanem i z niewolnikami.)

(Wychodzi FENIKSANA i ROZA.)

FENIKSANA.

Czy posłałaś niewolniki
 Po kwiaty?

ZARA.

Zaraz powrócę.

FENIKSANA.

Zasmuciły mię słowiki,
 Kwiaty może odesmucą
 I kolorami zabawią.

ROZA.

Twe fantazje takie ładne
 I piękne, że ach! nie zgadnę
 Jakie ciebie smutki trawią,
 Gdy je kwiatami malujesz?

ZARA,

Cóż? ty cierpisz? — cóż ty czujesz?

FENIKSANA.

Nie sen to był — ale widzenie,
 Ale mój los i przeznaczenie,
 Bo czy nieszczęsnemu śni się,
 Że znalazł gdzie skarby duże?
 Brylanty jak jaja kurze,
 W perłowej leżące misie?

Czy mu się przyśni, że czyta
 Napis literami krwawemi:
 Że wszystko stracił na ziemi,
 Tak że we śnie aż zazgrzyta?
 Jeśli go nieszczęście tłoczy;
 Zarówno obudzonemu,
 Spojrzy świat w zbudzone oczy
 Nieszczęściem. — Biada biednemu!
 Ach i mnie nieszczęsnej biada,
 Na którą los taki spada,
 Że za umarłego mię dadzą.

ZARA.

Na to płacze nie poradzą,
 Jeśli ciebie takie smutki rozdarły?
 Jakże cierpieć ma, ach! ten umarły?

FENIKSANA.

Któż słyszał o takim losie,
 Jak ten co nademną świata!
 Nieszczęśliwa ja kobieta!
 Wykąpana w kwiatów rosie,
 Jako perła czysta, biała,
 Biała jak srebrne łabędzie;
 Przy żółci trupiego ciała —
 A ten trup — ach kto on będzie?
 Zda mi się żem go widziała —
 Ciągłe mi się w oczach roi.

(Wchodzi DON FERNAND, z koszem kwiatów i staje nagle przed Feniksana.)

DON FERNAND.

Ten trup — tu — przed tobą stoi.

FENIKSANA.

Co widzę? Anieli w niebie!

DON FERNAND.

Cóż cię trwoży?

FENIKSANA.

Ty! twoja twarz!
 Strach mię zdjął, patrząc na ciebie.

DON FERNAND.

I zaprawdę słuszną masz
 Dziwić się fortunie światów.
 Przyniosłem ci, oto, kwiatów
 W koszyku, garstkę pokosu —
 Zbierałem, gnąc się ku ziemi.
 Są niektóre między niemi
 Hieroglify mego losu —
 Wyciągnij — znajdziesz niektóre,
 Co były rano szczęśliwe
 Jak ja —

FENIKSANA.

Ręce moje chciwe
 Lecą na tych róż purpurę
 Jak gołębie. — Ach ten kwiat
 Który mi już w ręku spadł,
 Znalazłam wczoraj wśród łąk,
 I nazwałam: marawilją.

DON FERNAND.

Ach! tak nazwij każdą lilję,
 Z moich niewolniczych rąk
 Podaną — czyż nie jest cudem?

FENIKSANA.

O prawda! prawda! — Lecz któż cię tak zmienił?
 Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

DON FERNAND.

Sennora, mój los.

FENIKSANA.

Twój los, taki srogi?

DON FERNAND.

Tak twardy, Pani!

FENIKSANA.

Ach tyś mię skamienił!
 Powiedz? za cóż to?

DON FERNAND.

Jesteśmy skazani

Rodząc się tu już, na mękę i ból.

FENIKSANA.

Czyż ty nie Fernand?

DON FERNAND.

Ja Fernand — tak Pani.

FENIKSANA.

Któż skazał?

DON FERNAND.

Prawo.

FENIKSANA.

Któż miał prawo?

DON FERNAND.

Król.

FENIKSANA.

Za cóż to?

DON FERNAND.

Jeniec — do niego należę.

FENIKSANA.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczoraj król wysoko cenił?

DON FERNAND.

A dzisiaj serce jak widzisz odmienił.

FENIKSANA.

Ach! więc-że gwiazdom co przy sobie siedzą,
Dosyć jednego dnia by się rozeszły?

DON FERNAND.

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą weszły,
Same ci na to, Pani, odpowiedzą. —

Kwiaty co wschodzą na ranek umyte,
I tak się w zorzach rozwinęły jasno?

W objęciach nocy pomarszczone zasną —
I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!

Lilije w tęcze kolorów spowite,

I umoczone w złoto i karminy,

Zejdą jak duchy aniołów z doliny:

Z jednym dniem! życia pięknego pozbyte.

A czy to rosy spadały obficie,

Czy otulone były mgłą i tęczą:

Śmierć je znalazła w godzinę urodzin —

Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręczą,

Że wieki, które się wleką i dręczą,

Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

FENIKSANA.

Ranisz mię — słyszę zdaleka
W twoim głosie, wieków głos.
Kto cierpi na własny los,
Od cierpiącego ucieka.

DON FERNAND.

A te kwiaty? takie śliczne,

FENIKSANA.

Jeżeli pomiędzy niemi
Są kwiaty hieroglificzne?
Jak losy twoje, żałobne?
To je rozsypię po ziemi
I zdepcę —

DON FERNAND.

Cóż cię w nich rani?

FENIKSANA.

Ach, że są do gwiazd podobne!

DON FERNAND.

Przebacz im te grzechy, Pani.

FENIKSANA.

Co?

DON FERNAND.

Niestałość, próżne blaski.

FENIKSANA.

Nie, wszystkie wypuszczam z łaski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

DON FERNAND.

Jak to?

FENIKSANA.

Moje przeznaczenie
Z jedną smętną gwiazdą chodzi:
Dla tego, bo kobieta się rodzi
Gwiazdom podległa i kwiatom,
Co ją prowadzą do truny.

DON FERNAND.

Wiem że w kwiatach są piołuny.
Ale ach! niebieskim światom
Wpływy przysądzam uczynne!

FENIKSANA.

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne.
 Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne,
 Niebieskie mają ze słońcem sojusze,
 I leją w słońce całą światłą duszę:
 Są także dniowi jednemu podwładne —
 Kwiaty błękitu — bo są takie ładne
 Jak te, któremi oto ziemię pruszę —
 Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
 Gwiazda ci mówi: przez noc jedną spadnę.
 Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
 Jeśli się od nich nasze losy winą?
 Nie dziw że często spadają i błędzą.
 I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną —
 I naszym losem tak niestale rządzą
 One, co przez noc palą się i giną.

(Ochodzi.)

(Wchodzi na scenę MULEJ, który przy końcu tej sceny stał za drzwiami.)

MULEJ.

Czekałem aż się oddali
 Feniksana. Pierwszy raz
 Od jej oka, od jej kras,
 Uciekam jak orzeł smętny,
 Gdy na słońcu oczy spali. —
 Fernandezie, czy jesteś sam?

DON FERNAND.

Cóż mi powiesz, Muleju szlachetny?

MULEJ.

Oto chciałem abyś wiedział,
 Że czasem i w sercu Maura
 Znajdzie się miłość i wiara,
 Radząca czyny rozpaczne.
 Ach! nie wiem od czego zacząć?
 Nie wiem czy ci mam powiadać
 Ile ja cierpiałem na to,
 Kiedyś ty zaczął fortunie
 Ulegać, pod nią upadać,
 Jej niesłusznej podległ zmianie.

I poszedł na urąganie,
 I stanął za przykład losów —
 Ach, jak one z ludzi szydzą!
 Tyle nędzy! tyle ciosów! — —
 Niech mię tu ludzie nie widzą,
 Że z tobą Fernandzie gadam.
 Bo Król wydał rozkaz srogi,
 Abyć ustępować z drogi,
 Traktować cię bez respektu:
 Lecz ja do nóg ci upadam,
 Fernandzie! pełny afektu
 I wielkiej wiary dla ciebie;
 Twój niewolnik, a w potrzebie
 Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
 Tych chwil, więc krótko ci powiem:
 Że przychodzę dług zapłacić,
 Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
 Wolność wolnością — — Więc żądam —
 Daruj mi, że się oglądam,
 Czy nas gdzie nie widzą z murów —
 Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
 Weź je o panie! — a skoro
 Noc się zaczerni, gotowa
 Będzie łódź pod mazamorą,
 Łódź dobra, silna i zdrowa,
 Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.
 A wtenczas ty Panie, duchem
 Napełń twoje niewolniki,
 Roskuj więzy; znajdziesz na to
 Gotowe piły, pilniki,
 Zapas ubicru, bielizny:
 Weź ich, i na łódź skrzydlatą
 Wsiadaj i uchodź szczęśliwy
 Do milej tobie ojczyzny!
 Ja zaś tu zostanę żywy
 Odpowiadać życiem, zdrowiem,
 I czem trzeba tem odpowiem —
 I przed królem i przed prawem;

Gotów twoim być zastawem
 Choćby głową, jestem gotów. —
 To wszystko — — Ach! jeszcze sędzę
 Że ci potrzebne pieniądze?
 Więc — oto garstka klejnotów
 Za mój okup niechaj służy,
 Bo człowiek, gdy się zadłuży,
 Połowę przyjaźni traci,
 Gdy pieniądz serca przegrodzi:
 Dopiero gdy dług zapłaci
 I usunie tego rocha,
 Z przyjacielem równiej chodzi,
 Lepiej czuje, wolniej kocha.

DON FERNAND.

Mówisz mi o wolnej łodzi —
 Chciałbym. Lecz patrz, król nadchodzi —

MULEJ.

Czy nas widział?

DON FERNAND.

Nie.

MULEJ.

O Panie!

Skryj się —

DON FERNAND.

Tutaj — w tej altanie.

(Fernand kryje się do altany. Wchodzi KRÓL i uważa to zdaleka.)

KRÓL, na stronie.

Gadali tajemnie oba.
 Jeden skrył się do altany,
 Drugi stoi pomięszany.
 Wcale mi się nie podoba
 To zejście obu, ta zmowa.
 Jeden się przedemną chowa,
 Drugi zlekły stoi, czeka.
 Więc go podejść z daleka:
 A słuszny czy nie, powód trwogi
 Usunę. (Do Muleja.) Bardzo się cieszę —

MULEJ, przerywając.

Panie, pozwól uściskać twe nogi —

KRÓL.

Żem cię spotkał tu —

MULEJ.

Co mi roskażesz? —

KRÓL.

Wyznam tobie, żem mocno żalсны
Z niepoddania się Ceuty.

MULEJ.

O Panie!

Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu!
Siłom twoim nie oprze się miasto —

KRÓL.

Nie Muleju — ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego —

MULEJ.

Jak to, Panie?

KRÓL.

O tak przyjacielu —

Myślę nędzą i głodem okropnym,
Tak przycisnąć Fernanda Infanta,
Że mi sam tej fortecy da klucze.
Rzecz mię tylko jedna bardzo trwoży —
Oto Infant, ten Książę, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół.
Sami jeńce, go widząc w niedoli
I w cierpieniu, gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść — a baczę też na to
Że pieniądze łakomą są rzeczą:
Więc strażniki, przejęte zapłatą,
Mogą jeńca wypuścić — a nie mam
Pewnych ludzi —

MULEJ, na stronie.

W tej go myśli utrzymam.

A tak, widząc moją dobrodusność,
O mnie bać się nie będzie —

(Głośno.)

Masz słusznosc!

Myśli twoje biorą dobry kierunek.

KRÓL.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób — a o tym sposobie —

MULEJ.

Cóż to Panie?

KRÓL.

Pod straż go dam tobie —

Bo wiem że cię nie kupi brylantem,
Ani kiesą. — Więc ty nad Infantem
Postanowion, bądź jemu alka dem —
Ufam tobie, a jedynym zakładem
Za Infanta, twój honor mi stoi.

(Odechodzi.)

MULEJ.

Słyszał wszystko i o mnie się boi:
Albo sam się domyślił wszystkiego.
O Allachu!

DON FERNAND, wychodząc z altany.

Cóż tak smutny kolego?

MULEJ.

Nie słyszałeś, co Pan ten okrutny —?

DON FERNAND.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

MULEJ.

Czemuż pytasz dla czego ja smutny?

Dla czego stoję zmieszany?

Dla czego rozmawiam z sobą? —

Czemu żal mi pierś rozrywa? —

Pomiędzy królem a tobą,

Posłuszeństwem a przyjaźnią,

Straszną się walka odbywa!

Sumienie mi będzie kaźnią

Jeśli króla mego zdradzę;

Węgle na głowę zgromadzę,

Jeżeli ciebie upuszczę —

Ach, zaszedłem w straszną puszcę!

Myśl zbłąkanego odbiega —
 Król na mnie tylko polega! —
 Ty we mnie masz tylko nadzieję! —
 Radź co czynić — —

DON FERNAND.

Miłość grzeje,

I przyjaźń szczęście stanowi:
 A choć odbiedwie są święte,
 I zdradzone są ohydą;
 Lecz w porównanie nie idą
 Z wiarą należną krajowi —
 I klękają, przed nią zgięte,
 Te Anioły naszych dusz.
 Więc radzę, królowi służyć
 Z tą wiarą niepokalaną.
 A ja tu przyrzekam święcie,
 Że choćby mi dziś dawano
 Wolność na pierwszym okręcie,
 Co do Portugalji płynię —
 Odrzucę — bo na mnie leży
 Twój honor i przezemnie nie zginie! —

MULEJ.

Jesteś zwierciadłem rycerzy!
 Ale mi nie dawaj rad —
 Wszak ty mi wróciłeś życie?
 Smętnemu wróciłeś świat!
 A ja miałbym —! Nie, mój Książę —
 Tej nocy, jak była zмова
 U brzegu ci łódź przywiążę:
 Uchodź — a moja tu głowa
 Odpowie.

DON FERNAND.

Bracie mój miły!

Byłżebym ja sprawiedliwy?
 Dałżebym ja dowód siły
 I serca? wolności chciwy
 Z hańbą mego przyjaciela:
 Hańbą się jego bogacąc?

Honor biorąc, serce tracąc?
 Wolność, ten brylant wesela —
 Jażbym jego łzami płacił?
 Zostawiał tu męczennikiem?
 Jeżeli miary nie stracił,
 Która czyny ludzkie mierzy:
 To bądź mi sam poradnikiem
 I mów, czy mi to należy
 Uczynić?

MULEJ.

Ach! nie wiem Panie
 Co ci sam na to poradzę —
 Powiem nie, to serce pęknie,
 Powiem tak, to ciebie zdradzę
 Jak przyjaciel, co sam zmięknie,
 I w trwodze źle radzić może.

DON FERNAND.

Więc ja tu słowo położę
 Niewzruszone, gład ogromny:
 Wiedz, że mię tu sądy Boże
 Skazały, bym wybrał miary
 Litości, i tu za wiarę
 Skonał jak Książę niezłomny!

D Z I E Ń III.

(W pałacu Króla Feskiego. Wchodzą KRÓL i MULEJ.)

MULEJ, na stronie.

Ponieważ pomódz nie mogę
 Fernandowi niczem prawie,
 Do Króla się za nim wstawię.
 Może on co postanowi
 Litośniejszego z tym jeńcem —
 (Głośno.)

Panie! służyłem ci wiernie
 I na lądzie, i na morzu;
 Wszędzie, gdzieś mię tylko użył;
 I jeszcze tę pierś nadstawię —
 A jeśli na łaskę zasłużył,
 Dziś wysłuchaj mię łaskawie!

KRÓL.

Cóż tam?

MULEJ.

Fernand —

KRÓL.

Dosyć tego.

MULEJ.

Sądziłem żeś mi łaskawszy.

KRÓL.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
 Jużes tknął mię i zostawiasz smętnego —

MULEJ.

Jak to Panie?

KRÓL.

Bo przysięgam na duszę
 Że dać chciałbym, a odmówić ci muszę.

MULEJ.

Wszakże jestem strażnikiem Książęcia.
 Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

KRÓL.

Mów, lecz nie sądz że będę łaskawy?

MULEJ.

Ten Fernand, co z niemowlęcia
 Na króla był wychowany,
 A dzisiaj tak podeptany
 Żalosię stopą fortuny,
 I tak bliski, Panie, truny —
 Takim strasliwym posągiem
 Do grobu po stopniach złata,
 Że fortuny dziwołągiem
 Wydaje się w oczach świata,
 Który patrzy i drży z trwogi,

Widząc jej deptające nogi.
 A myśli świat i o tobie,
 O twojej mocy i sile,
 Co takiej wielkiej mogile
 Rzuca takie wielkie ciało. —
 Ty go sam trzymasz przy grobie.
 Tyś mu jest na piersiach skałą;
 Ty Panie, pod twoje nogi
 Wzięłeś piersi takie dzielne,
 To czoło takte naczelne!
 Rzekłeś — a on dziś ubogi
 Nieszczęsny żebrak, i nędzarz;
 W rdzawym na szyi łańcuchu,
 Nie godzien twojego słuchu,
 Oczu, które ty oszczędzasz,
 Abyś nie stracił płaczących,
 Litości u przechodzących
 Prosi rękami obiema.
 Litości prosi i nie ma
 Nawet litości! — Bo jako
 Roskazałeś, Panie srogi,
 Aby wymiatał podłogi,
 I strawę miał ladajaką;
 A potem nie dałeś strawy
 I chleba dawać zabronił,
 A do stajen twoich gonił,
 I w loch zapędzał plugawy
 Sypiać, w mazamorach ciemnych!
 Gdzie wilgoć ma gad i plamy:
 Z członków się jego nikczemnych
 Zrobił trup, a z oczów jamy —
 Te oczy, niegdyś pogodne!
 Dziś na ludzi patrzą głodne,
 We łzach bolesnych czerwone,
 Suche, głodem zapalone —
 A ręce jałmużny proszą! —
 Rankiem swoi go wynoszą
 Z mazamor, jako kość bladą,

I gdzieś go na słońcu kładą,
Gdzieś na słońcu, pod murami:
Potem uciekają sami —
Bo — ach głos mi w piersiach głuchnie —
Bo ten Książę trupem cuchnie!
Gnije żyw, z kości opada.
Nikt z nim nie żyje, nie gada,
Nikt przy jego mazamorze
Od swędu wytrwać nie może;
Tak kość, ciało co się cegli
Trąci, i tak się rozpada,
Że go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa
Został przy tym Panu biednym,
I przyjaciel jeden jednym,
Szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa,
Ani dżuma, córka galer,
Nie odstraszyły od Pana.
Ci dwaj: jeden mu kolana
Okrywa łachmany wielą,
Drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dzielą;
Choć dla jednego nie staje
Tej części — bogi to wiedzą,
Jak oni ją we trzech jedzą?! —
Jeszcze, często Książę musi,
Gdy go chleb żebrany krztusi,
A przyjaciele go śledzą;
Musi kawałek podany,
Jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obroźę
I gardło — o! jasne nieba! —
Tego żebrackiego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.
A zaś owych karmicieli
Służba twoja srogo karze!
Kijem biją twoje straże.

Więc przy panu jeden czuwa
 I słowami go weseli;
 Drugi żebrze i z nim dzieli,
 Chleb — i łzę co chleb zatrzyma.
 O! skończ Panie już tę mękę!
 Ulż więźniowi, w imię Boga!
 Spuść mu Panie, podaj rękę,
 Nie stężaj tego powroza.
 Bo to już nie żal, lecz trwoga,
 Nie litość bierze — lecz zgroza!

KRÓL.

Przestań na tym.

(Wchodzi FENIKSANA i rzuca się do nóg Królowi.)

FENIKSANA.

Królu! Panie —

KRÓL.

Cóż tam? moja córko miła.

FENIKSANA.

Jeżeli ja zasłużyła.
 Przez miłość i przez pokorę,
 Na twoje, ojcze, kochanie?
 Przychodzę o łaskę prosić:
 Niech ją z twoich rąk odbiorę.

KRÓL.

Choćby królestwo! pół berła —
 Niechaj prosi wschodu perła.

FENIKSANA.

Ojcze, Fernand —

KRÓL.

Dosyć! dosyć —
 Dalej nie gadaj — bo próżno.

FENIKSANA.

Ojcze! zgrozą już przenika!
 Daruj go jaką jałmużną,
 Ulituj się niewolnika!
 Nieszczęsny aż do łez wzrusza!

KRÓL.

A któż go do tego zmusza
 Aby cierpiał? — Nędzny, słyszę —
 Lecz on sam swój wyrok pisze,
 Sam swoją pieczęć przykłada.
 A pod nędzą nie upada,
 Choć wyszedł z głodu na marę.
 Ale chce cierpieć za wiarę,
 Co mu niebiosa otwiera —
 Chce umrzeć? — Niech więc umiera!
 Ja zeń mej nie zdejmę nogi.
 Bo on sam nad sobą srogi,
 Chce żyć w nędzy i w plugastwie —
 I nie ja się nad nim pastwię,
 Ale on sam siebie męczy! —
 Niech mi Ceuty klucze wręczy,
 Dziś wolno puszczyć Infanta.

(Wchodzi SELIM.)

SELIM.

Panie, przyszli dwaj posłowie,
 Jeden z nich od Tarudanta,
 A zaś Portugalczykowie
 Drugiego przysłali w łodzi —

FENIKSANA, na stronie.

Ach, jeden po mnie przychodzi!
 Tarudant po mnie przysła!

MULEJ, na stronie.

Ach! w dniu jednym taka siła
 Nieszczęść na serce mi spada?

KRÓL.

Wpuścić obu. — Feniksanie
 Tu miejsce; niech przy mnie siada.

(Król siada z Feniksana na tronie. Wchodzi ALFONS Król Portugalski
 w posła charakterze — i TARUDANT Infant Fezu, również jako posel.)

TARUDANT.

Przepotężny Fezu Panie!

ALFONS, nie dając się wyprzedzić.

Przesławny Maurów Tyranie!

TARUDANT, mówiąc razem Alfonsom.

Którego moc —

ALFONS.

Którego siła —

TARUDANT.

Bogdaj trwała —

ALFONS.

Bogdaj żyła

TARUDANT.

O! zorzo tego narodu!

ALFONS.

O! jutrzeńko jasna wschodu!

TARUDANT.

Obyś lata —

ALFONS,

Obyś wieki

Wielkie i nieprzeliczone —

TARUDANT.

Miał laury —

ALFONS.

Nosił koronę.

TARUDANT.

W każdej walce —

ALFONS.

W każdym czynie —

TARUDANT do Alfonsa z gniewem.

Jak ty psie chrześcianinie

Ważysz mi się głos przewlekać?

ALFONS, do Tarudanta.

Jak ty się tu ważysz szczekać

Gdzie ja gadam?

TARUDANT.

Słuszność każe

Że gdzie Arab tron zasiada,

Tam najpierwszy Arab gada.

ALFONS.

A gdzie znają gospodarze

Grzeczność, tam prawo stanowi,

Że głos pierwszy dać gościowi.

TARUDANT.

Nie znam ja takiego prawa.
Niech dla gości pierwsza ława —
Ale głos —

KRÓL.

Siadajcie oba.
I niech poseł Chrześcianów,
Jako nieznańska osoba;
Ma głos —

ALFONS.

Krótko powiem Panie.

Oto Alfons, Luzytanów
Król, którego panowanie
Sławne teraz po wszej ziemi,
A ustami bronzowemi
Sławy po morzach głoszone;
Pozdrawia twoją koronę —
Zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata,
Który się wolności wzdraga,
Kupionej Ceutą i duszą,
Aby teraz ta zapłata —
Nim się jędze wojny ruszą —
Dla zobopólnej ugody,
W innych mogła być pieniądzech.
Peszukaj, Panie, w twych żądzach,
Oszacuj dwa takie grody
Jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie —
Alfons je pewno wypłaci,
I przyjaźń z tobą zachowa.
Lecz gdy tę nadzieję straci,
A z wiatrem pójdą te słowa?
Ten sam wiatr z ponad odmętów
Nagna tu tysiąc okrętów!
Flotę, co już brzegów sięga,
Krzyżami zaczęła błyskać:
I króla, który przysięga

Ogniem i mieczem odzyskać
 Księcia, i walczyć dopóty,
 Aż więzień będzie roskuty.
 A te pola i doliny
 Szmaragdów pozbędą kłosa,
 I ubiorą się w rubiny
 Nim słońce zajdzie w niebiosą.

TARUDANT.

Choć jako poseł zasiadam,
 Lecz krewny tego mocarza,
 Jako taki odpowiadam
 Na to, co Pana obraża,
 I rani. — Powiedz odemnie
 Alfonsowi, jego rzeszy,
 Niechaj się na pola śpieszy.
 Bo nim się w blasku lazurze
 Jutrzenki pokażą róże,
 I ozłocą wschodnie chmury:
 Na ziemi będą purpury.

ALFONS.

Gdybyś ku nam się podźwignął
 Przez jaki wielki uczynek,
 Może by tu pojedynek
 Tę całą sprawę rozrzygnął.
 I tak, rzecz niech z nami stanie,
 Niech Tarudant krwi nie skąpi.
 Niech wasz król przyjmie wyzwanie:
 A ja wiem, że mój wystąpi!

TARUDANT.

Kłamiesz! król się twój przeleknie —
 Tarudant placu dotrzyma!

ALFONS.

Więc na pole —

TARUDANT.

Aż krwią zmięknie —

ALFONS.

Aż krew wytryśnie oczyma —
 Będę patrzył czy przybędziesz?

TARUDANT.

I nie długo patrzeć będziesz,
Bo ja piorun.

ALFONS.

Jam obłokiem!

TARUDANT.

A ja piorunowym smokiem!

ALFONS.

A ja wulkan z ognia łonem!

TARUDANT.

A jam jędzą!

ALFONS.

A ja zgonem!

TARUDANT.

Słuchasz — i żyjesz? to dziw!

ALFONS.

Widzisz mnie i jesteś żyw?!

KRÓL.

Niech wasze Jasności obie
Na czas pofolgują sobie;
Bowiem i słońce już bliskie
Zachodu — A niechaj pomną,
Że bez mego pozwolenia,
Na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie.
A teraz niechaj pozwolą
Abym gościnnością służył.

ALFONS.

Kto mię ugaszca niedolą,
I podał ezarę żalości;
Ten inaczej nie ugości,
I gościną nie przynęci.
Po Fernanda tu przyszedłem —
I miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić,
A zachować króla sławę — —
Teraz czekam na odprawę.

KRÓL.

Odprawa, królu Alfonsie,
 Będzie krótka. Jasny Panie!
 Jeśli mi nie oddasz Ceuty,
 To Infant u mnie zostanie.

ALFONS.

Ponieważ przychodzę zbrojny,
 Poseł srogi, wieszczby kruk:
 Ogłaszam żalobę wojny.

(Do Tarudanta.)

A ty, czy poseł, czy wróg,
 Chodź w pole. Za godzin trzy
 Cała Afryka niech drży! —

(Odchodzi.)

TARUDANT, do Feniksany.

Wojny ognista pochodnia,
 Która o czasie stanowi,
 Twojemu niewolnikowi
 Nie daje służyć inaczej:
 Niechaj mię więc perła wschodnia
 Zgiętego u nóg obaczy,
 I ręką swoją obdarzy;
 A weźmie duszę w niewolę.

FENIKSANA.

Nie przystoi dla mocarzy
 Takich jak ty, w takim dole
 Zostawać, i w tej pokorze
 Utracać godności miarę.

MULEJ, na stronie.

Słyszeć to i żyć! o Boże!

KRÓL.

Wasza Jasność, godzin parę,
 Niech przyjmie moją gościnę.

TARUDANT.

Królu! zaledwo godzinę
 Mogę czekać. I to jeszcze
 Jak ambasador obwieszczę,
 Że jestem umocowany,
 Wybiwszy memi kolany

Przed tą pięknością dwa groby,
 Prosić o dar jej osoby,
 I z sobą wziąć ten skarb drogi.
 Przebacz że tak krótko proszę,
 I tę piękną stąd unoszę,
 Niby orzeł, pełną trwogi.

KRÓL.

We wszystkim, Panie, me żądze
 Prześcigasz takim życzeniem.
 A ponieważ to być sędzę
 Naszych długów skwitowaniem,
 I naszych wojen skończeniem:
 Ugodę potwierdzam daniem,
 I unieść ją stąd pozwolę —
 Ale śpieszny odjazd radzę,
 Nim wrogi zastąpią pole.

TARUDANT.

Swaty ja liczne prowadzę —
 W swaty wiodę wojsko całe,
 Tak, że puszcze mi za małe
 A z obozów stoją miasta.
 Więc odjedzie ta niewiasta
 Bspieczna — —

KRÓL.

Dla wszelkiej pieczy,

Nie bądźcie i to od rzeczy
 Że Muleju, weźmiesz Spachy,
 I odprowadzisz pod dachy
 Małżeńskie, tę narzeczoną.

MULEJ, na stronie.

Więc i to? — Pęka mi łono!
 Fortuna się koligaci
 Z wrogami, a ze mnie się śmieje.
 Ach! i Fernand we mnie traci
 Przyjaciela i ostatnią nadzieję!

(Wychodzą.)

ZMIANA I.

(Ogród przy mazamorach. NIEWOLNICY wnoszą DON FERNAND i kładą go pod mury. — DON ŻUAN i BRYTASZ.)

DON FERNAND.

Polóżcie tu moje ciało
 Na słońcu, przy białej ścianie,
 Aby mię słońce ogrzało.
 Wielki Boże! Boże Panie!
 Bądź pozdrowion duszą całą
 Za twoje słońce wiosenne,
 Pełne złotego uśmiechu.
 Hiob przeklinał światło dzienne;
 Bo urodzony był w grzechu,
 W nędzy, w upadku, w obawie:
 Ale ja Ci błogosławię,
 Za dzień, co mi żyć pozwala,
 Miłości gorąc płomykiem.
 Każde drzewo się zapala,
 I Tobie, Panie, goroje.
 Każdy promień, co mię grzeje,
 Płomienistym Cię językiem
 Na wysokości wychwala!

BRYTASZ.

Czy ci tak dobrze o Panie!

DON FERNAND.

Dobrze, bracie, dobrze — ciepło.
 Wielkie Twoje zlitowanie
 Boże! wielkie łaski Twoje! —
 Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
 Ty mi dajesz światła zdroje,
 Ptaszkom twoim każesz śpiewać,
 Słońcu twojemu ogrzewać.
 Dobry jesteś! i łaskawy!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Pozostalibyśmy dłużej
 Przy tobie, ale z obawy

Nie możemy. Człowiek służy —
Czeka nas łańcuch i plaga.

DON FERNAND.

Bracia, niech wam Bóg pomaga —
I szczęści.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Jakie katusze!

DRUGI NIEWOLNIK.

O! jaka nędza na świecie!

(Niewolnicy odchodzą.)

DON FERNAND.

Wy dwaj ze mną zostanieiecie?

DON ŻUAN.

Ach ja, Panie, odejść muszę!

DON FERNAND.

Ciebie mi zawsze potrzeba
Przy boku — bez ciebie się smucę.

DON ŻUAN.

Panie! ja zaraz powrócę —
Pójdę tylko szukać chleba,
Abyś miał co jeść; dziś rano
Nie jadłeś. O biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano,
Ziemia zdaje się zapada
Pod nami! Okropna puszcza
Szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa blada nędza
Ciągłe nam karku dopędza:
Wczoraj jak straszidło krwawe,
Dziś suchsza, bledsza od trupa,
Bo kiedy biegnę po strawę,
To łajdactwa tego kupa,
Co po wioskach, Panie, siedzi,
Pomna na zakaz surowy;
A bojąc się, że ją śledzi
Jaki Argus stu-okowy,
Od króla stawiony na to:
Chleba ani za opłatą

Nie chce dać — o twarda tak! —
 Ani na prośbę żebraka
 Nie chce dać, skruszona łzami;
 Taki twardy los nad nami!
 O Panie! — Lecz ktoś nadchodzi.
 (Don Żuan wychodzi.)

(BRYTASZ klęka przy leżącym Don Fernandzie. Wchodzi KRÓL, TARUDANT,
 FENIKSANA i SELIM.)

DON FERNAND.

Głos go mój w serce ugodzi.
 Może litość wydobędę,
 I cierpiąc, dłużej żyć będę.

SELIM, do króla.

Panie, przechodząc tą drogą,
 Musisz tu nadeptać nogą
 Infanta —

KRÓL, do Tarudanta.

Bądź świadkiem Panie,
 Jakie moje panowanie.

TARUDANT.

Zamiary moje podróżne
 Opóźniasz przez tę gościnę.

DON FERNAND, żebrząc.

O! dajcie jaką jałmużnę
 Żebrakowi, z głodu ginę!
 Niech próżno rąk nie otwieram
 Pomnijcie żem człowiek przecie,
 A z nędzy, z głodu umieram! —
 W oczach mi głodnemu ciemno.
 Ludzie! miejcie litość nademną,
 I nie odwracajcie oka.

BRYTASZ.

Książę, nie tak żebrać trzeba —

DON FERNAND.

A jakże?

BRYTASZ, żebrząc.

W imię Proroka!
 I w imię siódmego nieba

Mauzy, dajcie nam jałmużnę:
A niebo wam będzie dłużne,
I sam Prorok wam zapłaci.

KRÓL.

Taki nędzny, a nie traci
Żywota, nie skłania czoła. —
Mistrzowi Infancie!

BRYTASZ, do Fernanda.

Krół woła.

DON FERNAND.

Mylisz się, więźniu, kolego.
Mistrzem ja nie jestem zgoła,
Nie Infantem — trupem obu.
Ich trupem, to co innego —
Bowiem wyglądam z pod grobu,
Na piasku jak nędzaryz — drzymię,
I proszę wody kropelki —
Lecz nie Infant, nie Mistrz wielki —
Tamtych grobowiec naciska.
Ja jestem człowiek z nazwiska.

KRÓL.

Więc mi odpowiedz na imię
Fernanda.

DON FERNAND. wstając.

Teraz, ubogi,

Wstanę całować twe nogi,
Prosić o posiłek skromny.

KRÓL.

Zawsze-li taki niezłomny?
I wytrwały dziś jak wczora! —
Powiedz mi, to uniżenie
Duma to jest? czy pokora?

DON FERNAND.

Króla godność w tobie cenię,
I każdym to stwierdzam czynem —
To prawo, które zamyka
Zakon Boży: że nad gminem
Krół ma berło sobie dane,

I ma mieć od niewolnika
 Posłuszeństwo — więc złamane
 Członki, przed twoją osobą
 Prostując, stanę przed tobą,
 Nim przed Panem Bogiem stanę. —
 Wiedz, że król, skąd nie bądź, nosi
 Taką powagę, moc Bożą,
 Tak się w nim siły wielmożą:
 Że krew, co mu ciało rosi,
 Musi wstać w ciała nicestwie
 I zaświadczyć o królestwie —
 Do cnót królewskich się dostać.
 Więc nie tylko króla postać,
 Ale i cnót świadczy żywość —
 W sercu łaska, sprawiedliwość,
 I inne cnoty mocarza.
 A to prawo, podług wzorów
 Boskich, do natury tworów
 Przechodzi, i tak przeraża
 Samą dotkniętą naturę:
 Że prawa prosto idące,
 O te twory królujące
 Zbiwszy, nieraz cofa w górę,
 I cud robi niesłychany,
 Jak niegdyś Boże Jordany. —
 I tak: pomiędzy zwierzęty
 Lwu się królestwo należy,
 Ten kiedy grzywę najeży,
 I kudłami stanie wzdęty
 Jak ogromna fala złota,
 Co zwierzę przed sobą goni:
 To mu królewska istota
 Pastwić się nad jeńcem broni.
 A patrz na móż błękit siny;
 Tam królami są delfiny.
 Bowiem kiedy akwilony
 Napędzą fale gromadą:
 Fale te delfinom kładą

Srebrne i złote korony: —
Jednak, to królewskie plemię
Co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym grubym grzbiecie,
Człeka wynosi na ziemię,
I wściekłym falom wyrывa.
Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa,
I zawsze na słońce leci;
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie,
Które mu burze rozwichrzają:
A jednak, kiedy się dowie
Że gdzie, podłe żądło gadu
Do źródeł nalało jadu —
I woda już śmiercią trąci:
By nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dziobem,
I wicherzy, aż ją zamąci,
Aby swój kryształ popsuka,
Zbladła i ludu nie truła.
Królestwo roślin, kamieni,
Tym samym prawom podpada.
Pani owoców, grenada,
Co z drzewnych niby promieni
Koronę nosi i wieniec:
Gdy ją dotknie jad zarazy,
Traci ognisty rumieniec;
A wewnątrz ziarek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc wśród kamiennej drużyny
Także król ma swój sakrament.
Oto, Panie, ów diament
Co jest nad kamienną zgrają —
Twardszy od granitów kości,
Przed którym magnesy stają,
Stają w jego obecności,
Pomne na króla potęgę,

I tę mu zdają przysięgę
 Poddaństwa: ów król tak twardy,
 Tyle ma dumy i wzgardy,
 Że niepomny własnej siły,
 Kiedy go stal, z dziecka krzykiem,
 Zdradzi i dotknie pilnikiem,
 I o królestwo załęka —
 W drobne rozpada się pyły
 W proch się rozpada i pęka,
 A biednej stali nie niszczy — —
 Taka więc szlachetność błyszczy
 Wszędy w królewskich sumieniach,
 W zwierzętach, w rybach i ptakach,
 I w roślinach i w kamieniach. —
 Więc i w ludziach po tych znakach
 Mają być znani królowie:
 Nie tylko że z wielmożności,
 Nie tylko z koron na głowie;
 Ale Panie — i z litości,
 I ze szlachetnego serca.
 Chrześcianin, czy bluźnierca
 Krzyżowy, gdy spojrzy we dno
 Duszy, wyczyta to jedno
 Prawo, przez Boga wryte,
 Któreś ty w sercu zagłuszył! —
 Nie gadam abym cię skruszył,
 Abym do litości skłonił —
 Ciało me, bolem rozryte,
 Nie tyś — ale Bóg pokłonił.
 Nie chcę u twojej osoby
 Żebrać, życia już mam sytość —
 Późna też byłaby litość,
 Bo wiem że żądło choroby
 Aż w serce mię już raniło;
 Oddech mi powietrzem szkodzi,
 Jak nóż przez serce przechodzi,
 I rżnie zapalone płuca.
 Ja wiem, żeś już nad mogiłą,

Że mię już żywot porzuca,
 I żar wypala piekielny —
 I to wiem, żeś jest śmiertelny,
 Jak ty, Panie, robak drobny,
 Nie żadna anielskość dumna.
 I dla tego to, podobny
 Kształt ma kołyska i trumna;
 Aby to ludzie wiedzieli;
 Że na podobnej pościeli,
 Gdy przyjdą, na rozkaz Boży,
 Matka ich i śmierć położy.
 Tak więc, podobne do pary,
 Przy kołysce stoją mary!
 Tak podobne u podwoi
 Dwojga, dwoje łóż człowieka. —
 Kto to wie — czegoż się boi?
 Kto to słyszał — czegoż czeka? —
 Kogo strzaskał los na ćwierci,
 Naraził na nieszczęść krocie,
 W czymże ufa? — czy w żywocie? —
 O nie, zaprawdę, że w śmierci —
 W śmierci ufa! — Tę ofiarę
 Zrób ze mnie, Panie, o proszę! —
 Daj śmierć — niech umrę za wiarę!
 Oto ręce me podnoszę
 I o śmierć, Panie, cię błagam:
 Nie dla tego że się wzdragam
 Życ i cierpieć jestem nierad:
 Że chcę umrzeć jak desperat.
 Nie dla tego u nóg szlocham —
 Ale ja się, Panie, kocham
 W takiej śmierci męczennika:
 Co krwawe ciało odmyka,
 I Bogu uwalnia duszę,
 I na wieki ją ożywia.
 Więc choć grzechu prosić muszę —
 Miłość mię usprawiedliwia,
 Że o śmierć nieszczęsną proszę.

Oto me ręce podnoszę,
 A ty daj! — Lwem będziesz wtedy,
 Co widząc myśliwce śmiałki,
 Napastniki ojców schedy,
 Napada i rwie w kawałki.
 Orłem będziesz, co się ciska
 Na gniazd swoich rozbójnika,
 W szpony mu czaszkę zamyka,
 I dziób maluje rubinem
 Tej krwi, co z oczu wytryska,
 O Panie! będziesz delfinem,
 Który na nieba lazurze
 Zapowiada śmierć i burze
 Ludziom, grożące zalewem.
 Królewskiem ty będziesz drzewem,
 Co piorunami czerwone,
 Ramiona огоłocone
 W burzach rwie, i tak się zżyma:
 Że zda się piorun otrzyma,
 I nad światowym zamętem
 Będzie spełniało gniew Boży.
 Panie! będziesz diamentem
 Co się na stal biedną sroży,
 Gardząc kamieni motłochem. —
 Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
 Bo ja nie ulegnę prędeży;
 Bo, im więcej cierpię nędzy,
 Im więcej mnie gną rozpaczę,
 Im boleśniej w nędzy płaczę,
 Im przed tobą jestem mniejszy,
 Im we wnętrznościach głodniejszy —
 Im bardziej odarty z ciała,
 I z nadziei i z łachmanów:
 Choćby ta ziemia gnać miała
 Za mną szczękami kajdanów
 Nawet — nawet w żywot dalszy:
 Im więcej cierpię, tem stalszy —
 Muszę trwać przy mojej wierze. —

Bo ona mię jedna strzeże —
 Serce nadzieją roznieca,
 Słońcem w męczeństwie oświeca,
 Palmy zamieszcza nad czołem!
 Nie przeważysz nad kościołem,
 Ile go jest w mej osobie.
 Z kości tych tryumfuj sobie —
 Gardło masz i moje łono.
 Bóg ucieczką i obroną!

KRÓL.

To już przechodzi pojęcie,
 Aby człowiek tak grobowy,
 Bawił się takimi mowy,
 Wpadał na takie sentencje,
 I sam się cieszył w niedoli! —
 Jakże ty chcesz abym bolał,
 Gdy ciebie serce nie boli?
 Jeśliś ty sam umrzeć wolał
 Niż żyć? — Nie, nie, nadaremnie —
 Litości nie znajdziesz we mnie.
 Pierwej miej ją sam nad sobą —

(Wychodzi.)

DON FERNAND, do Tarudanta.

Przed twoją, Panie, osobą
 Uniżam się, wspomóż jeńca —

TARUDANT, odpychając go.

Nędzarczy!

(Wychodzi za królem.)

DON FERNAND, do Feniksany.

Więc potępieńca

Ty się ulituj, o Pani!
 Jeśli twa piękność jest z Boga,
 A nie jest wzięta z otchłani —

FENIKSANA.

Ach, jaki widok!

DON FERNAND.

Ty sroga,

Odwracasz oczy? —

FENIKSANA.

We łzach mi

Toną — człowieku! ach! strach mi!

Duch mi cały z ust wyskoczy!

DON FERNAND.

I dobrze, bo są też oczy,

Ach! nie do nędzy stworzone.

Dobre, że twój wzrok rostopny.

FENIKSANA.

Puść mię. — Jaki ty okropny!

DON FERNAND.

Okropny? — Choć odwrócone

Oczy masz, pełne popłochu:

Dobrze jest, abyś wiedziała,

Że piękność twojego ciała

Tyle co mój szkielet waży —

Tyle co ja: garstkę prochu.

FENIKSANA.

Puść mię — oddech mię twój parzy,

Głos zabija, szaty cuchną.

Puść mię, ty człowiecze, pruchno!

Szaty mi rękami skazisz,

Oddechem twoim zarazisz!

Puść człowieku — bo omdleję!

(Ucieka z Selimem.)

(Wchodzi DON ŻUAN pokrzwawiony i w łachmanach, z chlebem.)

DON ŻUAN.

Oto mię Maury, złodzieje,

Za kawałek tego chleba

Zbili — krew się ze mnie leje.

Panie, jedz! —

DON FERNAND.

Już mi nie trzeba

Jadła, drogi przyjacielu.

Oto już jestem u celu —

Już idę —

DON ŻUAN, padając mu do nóg.

Panie mój drogi!

Czy ty już — o ratuj Boże! —

DON FERNAND.

Płacz tu już nic nie pomoże —
 Nie martw się — ziębną mi nogi
 Zaprawdę jużem przy śmierci.
 To serce, za godzin mało,
 Robak śmiertelny przewierci,
 I znajdzie, że cię kochało —
 Ciepło w nim jeszcze zostanie.
 Nie martw się mój Don Żuanie.
 Ja się w długą podróż zbieram,
 A dla Boga tu umieram —
 Chóry anielskie bogacę
 I dług Panu memu płacę.
 Nie martw się i oczów rosą
 Nie lej na ciało książęce.
 Każ, niech mię wezmą na ręce,
 I do mej jamy odniosą — —
 Już konam — —

DON ŻUAN.

Z tą ziemią nędzy

Ostatni mój węzeł pęka!

DON FERNAND.

Don Żuanie! czy później, czy prędzej —
 O tu! (Pokazuje na ziemię.) Daj rękę — Ta ręka
 Karmiła mię — o — szlachetna! —
 Chociaż moja śmierć nie świetna,
 Po śmierci Bóg może zdarzyć
 Odmianę — więc w Mazamorze,
 Gdzie się sam jak trup położę,
 Nie rusz mię — lecz po skonaniu,
 W mistrzowem zawiń ubraniu,
 I zostaw tak okrytego
 Cichym i spokojnym trupem,
 Jeśli król pozwoli na to —
 A kiedy przyjdą z okupem,
 To znajdą mistrza martwego
 Pod zwykłą krzyżową szatą.
 I powiozą gdzieś przez morza

Do kraju garstkę popiołów — —
 Już też, za tyle kościołów,
 Da mi tam grób łaska Boża!

(Don Żuan i Brytasz wynoszą go.)

ZMIANA II.

(Lądują na brzeg morski ALFONS i DON HENRYK z rycerstwem.)

ALFONS.

Zostawić falom shukanym okręta,
 Co podpierały żaglami obloki;
 I niechaj biją dział ogniste smoki,
 I niechaj rzeka ludzi, wyrzygnięta
 Z okrętów, płynie i ten kraj zalewa —

DON HENRYK.

Zły do lądowań brzeg wybrałeś Panie,
 Radziłem lepiej, te masztowe drzewa,
 Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie,
 I z nich samemu Fezowi dać szturmy.
 A tu jak widzisz Maurytańskie hurmy
 Rażą nas straszną szabel błyskawicą.
 Tu sam Tarudant z swą oblubienicą
 Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

ALFONS.

Jasných aniołów była to dorada,
 Abych uczynił to co teraz czynię.
 W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
 A tutaj jeden — o pół nie tak srogi
 Stoi na polu. Więc nim się rozwinie
 Każ huknąć w trąby.

DON HENRYK.

Racz zważyć że wojna
 Zawczesna, Panie — ludzie nie gotowi!

ALFONS.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna!
 A duch w mej piersi równie piorunowi!
 A duchy święte pilnują mych skroni!
 A dla Afryki niosę śmierć w tej dłoni!

DON HENRYK.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry,
 Na ogień słońca, na niebios szafiry.
 Ona zwycięstwo tobie wydrze z ręku —

ALFONS.

Ha! więc zwyciężać będziemy pociemku!
 Niechaj noc idzie z czarnemi sztandary,
 Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
 Że się o sprawę biję sprawiedliwą.
 A jeśli Fernand mękę swą cierpliwą,
 Za nas, o bracie, Bogu ofiarował?
 To Bóg pioruny te jasne ukował,
 Któreymi szyki będzie walił krwawe.
 A my zbierzemy zwycięstwo i sławę!

DON HENRYK.

Lepiej by w polu porobić przerąby —

(Śoiemnia się — słychać w powietrzu anielskie trąby, i różne głosy duchów.)

ALFONS.

Cyt — słyszy bracie —

DON HENRYK.

Głosy jakby śnią się —

ALFONS.

Głuchną — i znowu —

GŁOS FERNANDA.

Alfonsie! Alfonsie!

DON HENRYK.

Głos mego brata — i znów jakieś trąby
 Smętne, powietrzne, rozplakane głosy —

ALFONS.

A więc to Pan Bóg z całemi niebiosy
 Schyla się ku nam, owinięty nocą.

(Wchodzi DUCH FERNANDA z pochodnią.)

DUCH.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
 Dla twojej Alfonsie wiary,
 Pan Bóg zesłał tę noc ciemną;
 I zlitowany nademną,
 Pozwolił opuścić mary,

Gdzie płakali — odejść od nich —
 A tu z duchów ciżbą liczną,
 I z tą pochodnią gromniczną
 U gwiazd zapaloną wschodnich —
 Iść przed wami. — Za mną! — za mną! —
 (Wychodzi.)

DON HENRYK.

Bracie, opuszcza mię męstwo.
 Zda się że czaskę dwujamną
 Miał ten —

GŁOS FERNANDA, za sceną.

Za mną! —

ALFONS.

Słyszysz? —

GŁOS FERNANDA, ginący w odległości.

Za mną!

ALFONS.

Na koń bracie, Bóg nam daje zwycięstwo! —

(Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda.)

ZMIANA III.

(Galerja w pałacu Króla Feskiego. — Z jednej strony wchodzi KRÓL i SELM z drugiej niewolnicy Chrzęścianie niosą w trumnie ciało Don Fernanda. — DON ŻUAN idzie za trumną.)

DON ŻUAN, do króla.

Napaś oczy tym widokiem!
 Oto w czterech deskach leży
 Bohater, perła rycerzy,
 Twoim okrutnym wyrokiem
 Zabity —

KRÓL.

Któż ty jest taki? —

DON ŻUAN.

Rycerz bez żadnej poszlaki — —
 Z nim oto dźwigałem biedę
 I leż się wspólnych napilem.
 Do śmierci wierny mu byłem,
 I za ciałem jego idę.

KRÓL.

Patrzajcie tu ludzie krzyża,
 Bo oto trumna się zbliża,
 Trumna, co do mnie należy!
 A w niej oto przykład leży
 Zgiętego aż do mogiły
 Pod nogą króla — oporu.
 Niech teraz Alfonsa siły
 Wyrwą go i ów sen moru
 Odwalą. — Niech kto wyzwoli
 Z tej ostatecznej niewoli,
 W której mu łańcuchy snią się?
 Chodź! chodź po brata Alfonsie!
 Chodź mu teraz z uwolnieniem! —
 Co do mnie — choć Ceutę tracę,
 To się tem książąt zgnieceniem
 I starciem więcej bogacę
 W sławie, niż tysiącem grodów —
 Otom upór ich zwyciężył.
 A jakom żywemu ciężył
 Na piersiach — obaczą tłuszczę,
 Że nawet tej garstce lodów
 I po śmierci nie odpuszczę;
 Ale kość, zgnilizny bliską,
 I to nieszczęśliwe ciało,
 Z tą trumną na pół spruchniałą,
 Oddam na wiatrów igrzysko,
 Na słońca wystawię skwary,
 I wiatry! —

DON ŻUAN.

Bliskiś jest kary!

Bo oto widzę z wysoka
 Chorągwie twego Proroka
 Niżej — a krzyże u góry —

KRÓL.

Selimie! — wyjdźno na mury
 Zobaczyć — co za nowiny?

(Wychodzi.)

ZMIANA IV.

(Pole pod murami Fezu. — Wchodzi DUCH DON FERNANDA z pochodnią; za nim zaś ALFONS z wojskiem, DON HENRYK. — FENIKSANA i TARU-DANT wzięci w niewolę.)

DUCH FERNANDA.

Przez ciemności i mrok siny!
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpieczniech.
Oto różana jutrzienka!
Oto Fez w ognjach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli —
Wykupcie mię u pogan z niewoli

(Zuika.)

ALFONS.

Zniknął w jutrzienki lazurze —
Hej — kto tam z ludzi na murze? —
Niech król do układów stanie.

(Pokazuje się na murze KRÓL i SELIM.)

KRÓL, z muru.

Czego chcesz śmiały młodzianie?

ALFONS.

Wypuść Infanta z niewoli;
A ja oddam w zamianę
Twoje dziecko ukochane,
Które oto w mojej mocy. —
Inaczej — choć serce zaboli,
Uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty! —

KRÓL.

Selimie! ach, temi usta
Wydan wyrok sprawiedliwy. —
Co zrobię? Fernand nieżywy,
A moja córka u wroga! —
Fortuno! fortune sroga!
Jak ty się nagle odmieniasz!

FENIKSANA.

Ojczel czy ty zakamieniasz
Serce na twej córki głosy?

Że widzisz mię w tej niedoli,
 Widzisz z rozwianemi włosy,
 Pod toporami, pod strażą! —
 I spokojną patrzysz twarzą
 Na córki twojej więzienie.
 W twojem ręku los mój cały,
 W twoim głosie me zbawienie;
 A ty stoisz oniemiały?
 Kiedy w jednym twojem słowie
 Ratunek dla córki leży?
 Widzisz miecz na mojej głowie,
 I czekasz aż we mnie uderzy?
 I milczysz? aż mię zabiją,
 Aż mi nóż utopią w łonie,
 I szyję zetną bułatem? —
 Ach, lwem ty byłeś na tronie!
 Będąc ojcem, jesteś żmiją!
 Będąc sędzią, byłeś katem!
 Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec! —

KRÓL.

O Feniksano! ta zwłoka,
 Choć z twarzy mej trudno dociec
 Boleści — ach na Proroka!
 Straszną mię rani katuszą.
 Bo wiedz Alfonsie, że wczora
 Książę się was rozstał z duszą,
 O samym zachodzie słońca,
 Po wyjeździe Feniskany;
 I leży niepogrzebany —
 A ja wskrzesić go bezsilny
 Wam — o fortuno zdradziecka! —
 Oddaję krew mego dziecka
 Na zemstę —

FENIKSANA.

O nieomylny
 Wyrok był! — jestem zgubiona!

KRÓL.

Niech płynie ta krew czerwona. —
Za jej duszą, moja spieszy.

DON HENRYK.

Co słyszę! mój brat nieżywy?
O! więc już go nie pocieszysz
Ta wolność — i pomoc próżna.

ALFONS.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy!
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita.
Co do mnie, treść jego woli,
Nie jest mi wcale zakryta.
Prosząc, byśmy go z niewoli
Uwolnili, gdy w ciemnościach
Z pochodnią przed nami błędził:
Mówił o sercu i kościach.
Więc królu abyś nie sądził
Że ten trup, po którym lament
Morskie podniosą Syreny —
Podlejszej jest u nas ceny,
Niż jaki wschodni diament
I cudne piękności lice:
Za Fernanda zewłok święty
Oddam ci twoją dziewicę;
Róże dam — za diamenty,
Śniegi dam — za te popioły:
Oddam tobie maj wesoły,
A posępne wezmę grudnie. —
Tę postać, świecącą cudnie,
Co mi z rąk anioł ucieka,
Zdając się młodością i chwałą,
Oddam ci za biedne ciało
Nieszczęśliwego człowieka.

KRÓL.

Co mówisz? —

ALFONS.

Każ spuścić trumnę —

KRÓL.

Ach! i czoło moje dumne
 Pójdę przed tobą unżyć — —
 Spuścić tu ciało książęce! —

(Ochodzi. Spuszczają trumnę z murów —)

ALFONS. Przyjmując spuszczoną trumnę.

Przyjmuję ciebie na ręce
 Święty! drogi męczenniku!
 Całuję twe rany i krzyże — —
 Proszę — pomóż mi Henryku
 Tę trumnę —

DON HENRYK.

Witaj mój bracie! —

(Stawiają trumnę. Wchodzi KRÓL i uniża się do nóg Alfonsowi który go
 podnosi z ziemi. — Wchodzi DON ŻUAN, BRYTASZ i NIEWOLNICZY.)

DON ŻUAN.

A mnież to nie powitacie?

ALFONS.

Witaj Don Żuanie stary?
 Dobry nam zdajesz rachunek
 Z opieki —

DON ŻUAN.

Prowadzę mary — —

Póki żył, każdy frasunek
 Podzieliłem z nim i nędzę —
 A teraz — od łez mi ciemno! —
 Oto on poszedł przedemną,
 Ale ja go tam dopędzę —
 Dopędzę —

ALFONS, obracając się ku trumnie.

Wuju mój drogi!

Fernandzie! pochodnio świata!
 Na twoje ręce i nogi,
 Jako na święte stygmata
 Kładę usta — i tę mroźną
 Dłoń, ściskam w królewskiej dłoni —
 A choć przyszedłem zapóźno,
 Miłość moja się wyłoni

W pośmiertnej dla ciebie cześci;
 I z mojej wielkiej boleści
 Wielkie, ze złotemi czoły,
 Wstaną dla ciebie kościoły,
 Bowiem po śmierci się jasno
 I przyjaźń ludzka pokaże. —
 Królu! a tobie zaś w darze
 Oddając twą córkę własną,
 Oddaję też Tarudanta.
 Ale przez pamięć Infanta,
 Któremu Mulej był miły,
 Proszę — abyś ten kwiat złoty,
 Który był ceną mogiły:
 Uczynił nagrodą cnoty,
 Wiary — i dał Mulejowi.

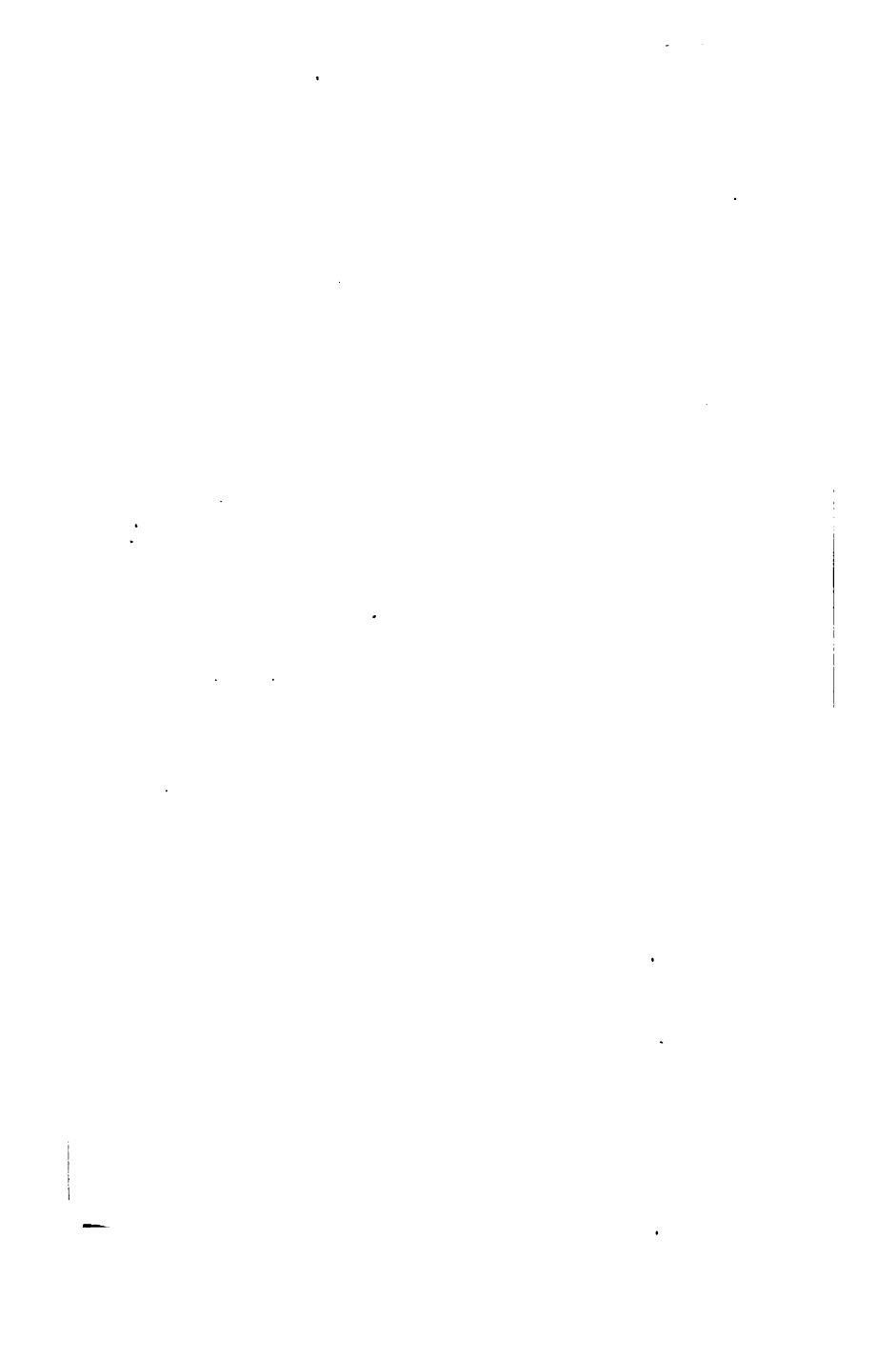
KRÓL.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

ALFONS, do niewolników.

Teraz wy, coście w niewoli
 Nosili z Księciem Jańcuchy;
 Z niańczynemi teraz ruchy
 Nieście te ciało, powoli,
 Niech spocznie — a my za trumną
 Co jest jako Arka święta,
 Rycerską idźmy kolumną,
 Żałobni, aż na okręta;
 Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
 Zewłok ten niezłomnej duszy —
 I z prochem flota wyruszy,
 I do ojczyzny popłynie!

KRÓL-DUCH.



RAPSOD I.

PIEŚŃ I.

I.

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy węzową napelnionę zdradą — —
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte,
I wielkie duchów świętych wojny święte.

II.

Ja Her Armeńczyk¹ leżałem na stosie
Trupem — przy niebios jasnej błyskawicy,
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.
Niebo szerniało — ale świeciło się
Grzmotami — jak wid szatańskiej stolicy.
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. — Zbroja była na mnie złota.

¹⁾ Obacz w Platonie pełną tajemnic ducha powieść o Herze Armeńczyku, na końcu dzieła p. t. Rzeczpospolita.

III.

I duch niewyszły z umarłego ciała
 Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
 A nad nim ziemia poruszona grzmiała,
 I unosiły się duchy rycerzy. —
 Trójca widm stos mój ogniem zapalała,
 A ja czekałem aż piorun uderzy;
 Tak byłem pewny, że w owe rumiane
 Grzmotem powietrze: jak duch zmartwychwstanę.

IV.

Już przybliżały straszne czarownice
 Chwast zapalony i suche piołuny,
 I moje blade oświeciwszy lice,
 Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runy:
 Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice,
 I trzy siarczane ogniste pioruny;
 I tak strzaskały płomienie czerwone
 Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

V.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie,
 I o swe ciało już nie utroskana,
 Ale za ciałem płacząca daremnie,
 Cała poddana pod wyroki Pana;
 W Styksie, w Letejskiej wodzie, albo w Niemnie
 Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
 Poszła: a wiedzą tylko Wniebowzięci,
 Czem jest moc czucia, a strata pamięci!

VI.

Tam, kędy dusze jasne jak brylanty
 Swe dobrowolne czyniły wybory,

Moc utrudzona biegiem Atalanty
 Szukała tylko szczęścia i pokory. —
 Orfeusz między ptaki muzykanty
 Szedł umęczony i na sercu chory:
 A jam pomyślał: że mu śpiewem będzie
 Składać, i skrzydła rozszerzać łabędzie.

VII.

Ulises poszedł w prostego oracza,
 Aby odpocząć po swych wędrowaniach. —
 Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza!
 I odpoczywać daje w zmartwychwstaniach!
 Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
 Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
 Ani też myśli: że jest upominek
 Dla ducha większy jaki, nad spoczynek —

VIII.

Ja sam z harmonją obeznany młodą,
 Własnego ciała nie chciałem odmiany,
 I siadłem smutny nad Letejską wodą,
 Nie usta moje myjąc, ale rany.
 Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
 Nie płakał mój duch z ciała rozebrany;
 Ani za wielką sobie brał wymowę,
 Otwierać tych ran usta purpurowe.

IX.

Wszakże Letejską przykładając wodę
 Do ran, by pamięć boleści straciły,
 Nie jedną poniósł na pamięci szkodę,
 Nie jeden obraz stracił senny, miły.
 Jutrzenek greckich różaną pogodę
 Duchy mu nagle ręką zasłoniły,
 A pokazały, jako świt daleki,
 Umiłowaną odtąd — i na wieki!

X.

Ani gwiazdźdźce co się w morzach palą,
 A mają w świetle tęczwowe kolory,
 I są gwiazdami w ciemnicy pod falą,
 Tak błyszczącemi, że morz dziwotwory
 Delfiny w morzu swoje łuski skalą,
 I obchodzą je cicho jak upiory:
 A płynąc wierzchem nad niemi nie śmieją —
 Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!

XI.

Ani tych gwiazdźdźce jasność tajemnicza
 Tak nie przeraża owe pierwopłody,
 Jak pięknosć, którą ja poznał z oblicza,
 We mgłach Letejskiej zapomnienia wody.
 Nad nią: dźwięk, duchów girlanda słowicza —
 Pod nią: jakoby złote zejścia schody —
 Na świat daleki i zamglony wiodły —
 Na kwiatki jasne pod ciemnymi jodły.

XII.

Z tych łąk i tych puszczy jakby wiatr poranny,
 Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą.
 Szedłem — choć strzały Numidzkimi ranny —
 Niepewny czy śmierć? czy żywota dziwo?
 Czy Irys, którą na świat znosi szklanny
 Obłok? — a tęcze świecące nad niwą,
 Tyle kolorów i słońce tyle mają,
 Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

XIII.

Ona przedemną do lesistych zacisz
 Weszła, a harfy śpiewały wietrzane:

«Dobrze ją poznaj — bo wkrótce utracisz
 Jak sny, przez dobre duchy malowane;
 Żywoć, tysiącem żywotów zapłacisz —
 A zawsze jedną tę serdeczną ranę
 Przyciśniesz w piersi rękami obiema:
 Tę jedną smętną ranę — że jej nie ma!

XIV.

Sławę ci damy — lecz tobie obrzydnie —
 Serce ci damy, ale spustoszeje!
 Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
 Urażał w Bogu mających nadzieję!»
 Na to ja: niechaj me oczy rozwidnię
 Rubinem, który z jej ust światło leje —
 A nie dbam o to co mię dalej czeka,
 Żywoty ducha? czy męki człowieka?

XV.

W jedną girlandę męki me uwiążę
 Jak człowiek, który za tysiące czuje
 I tą girlandą jako świata książę
 Czoło uwieńczę i ukoronuję;
 Niechaj-że na mnie idą duchy węże!
 Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
 Niech mię ognistą otoczy otchłaniają:
 Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią! —

XVI.

Pamiętam ten głos — i straszne zakłęcie,
 Na które odwrzasł mi duch «to Królowa!»
 I całe mego ducha wniebowzięcie
 Upadło. — A w tem jasność przyszła nowa
 I w tem powietrzu jako w diamencie
 Ukazał się wid — — piękność — córka Słowa,
 Pani któregoś z ludów na północy,
 Jaką Judejscy widzieli prorocy —

XVII.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
 A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
 Szła nad lasami i leciała dołem,
 Nad chaty, jako komeciana miotła.
 Tęcze ją ciąglem oskrzydlały kolew;
 W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
 I na powietrze rzucała niedbale
 Perły-jaśminy i maki-korale.

XVIII.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
 Pełny języków złotych, niby fala —
 Jak atlas, który bierze różne tony
 I drząc, swe hafty gwiazdziste zapala —
 Tak niebo za Nią od północnej strony
 Gwiazdy swojemi łyskające zdala,
 Różnym się dało gwiazdom połączanym
 Ukazać — w ogniu od zorzy rumianym.

XIX.

Więc czego woda Letejska nie mogła,
 To Ona swojem zrobiła zjawieniem;
 Że moja dusza na nowo się wzmogła,
 Loty — i nowym buchnęła płomieniem.
 A jako pierwszy raz ciało przemogła
 I uczyniła swoim wiernym cieniem —
 Opowiem: — Ja Her, powalony grzmotem
 Nagle, gdzieś w puszczy, pod wieśniaczym płotem —

XX.

Budzę się. — Straszna nademną kobieta'
 Śpiewała swoje czarodziejskie runy.

«Ojczyzna twoja — wrzeszczała — zabita —
 Ja jedna żywa — a ty zamiast truny
 Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
 I zapłodniona przez proch i pioruny
 Wydałam cię, abyś był mścicielem!
 Synu popiołów, nazwany Popielem —!

XXI.

Sam jeden jesteś — ale cię przymioty
 Ojców napelnią — a ja dam dwa duchy:
 Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
 Na lewo jeden z krwi i zawieruchy!
 Ci dwaj — ty trzeci i mój głos, jak grzmoty
 Pędzący w zemstę — » To mówiąc, pieluchy
 Moje chwytala, i trzęsąc nad głową,
 Rzuciła dzieckiem jak skrą piorunową.

XXII.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
 Zemsta mi była — a nauką zdrada.
 Często bywało że ktoś włos mi ruszy,
 I we śnie do mnie jak anioł zagada:
 Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
 I w kształt złotego widma wstaje, pada —
 Czasem na moją pierś tumanem runie:
 Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

XXIII.

O! pierwsze mego ducha nawałnice,
 Jakże wy straszne stajecie w pamięci!
 Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
 W której się mój duch niby gołąb kręci;
 Dziś, nieraz, kiedy w czarną okolicę
 I w puszcze wejde, to mię coś tak smęci —
 Że radbym własne wrywał wnętrzności!
 Albo u bólów swych prosił litości!

XXIV.

Do gwiazdzic morskich tajemniczej jaśni,
 Porównywałem to ludu zjawienie,
 Który żył w chatach próżen wszelkiej waśni,
 A miał z jabłoni swój napój i cienie.
 Królowie jemu panowali własni;
 Cudowne jakieś Lecha pokolenie!
 Mające w sobie całe Polski Słowo —
 I moc i różgę cudów Mojżeszową.

XXV.

Teraz wiem jako duch pod ziemią widzi —
 A w ślepych często ten cud ujrzysz dziadu,
 Którego wiejski ci pies nienawidzi. —
 Żurawianemu gdy podobne stadu
 Za nim się wleką duchy: świat zeń szydzi,
 Ale go chłopek czuje królem gadu;
 I wie, że na te źrenicy blachmany,
 Bije świat duchów tęczę malowany.

XXVI.

Te oczy ręką zasłonię Bożą,
 Czasem pod ziemią idą złota żyłą;
 Aż im się ciemne kurhany otworzą,
 Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
 Blachy się złote na wzrok ludzki srożą!
 Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą,
 I w kształt człowieka znowu się układa,
 Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

XXVII.

Oni to widzą, właśnie — gdy gromada
 Urąga, śledząc zamysłone czoło. —

Ta mądrość, która cały świat spowiada,
 Dawniej perłową wieńczona jemiolą,
 Z królem na tronie lub przy królu siada
 I w płomieniste się upiorów koło
 Zamyka: nie czar — nie próżna guślarzka,
 Lecz mądrość — chorób duchownych lekarka.

XXVIII.

Więc w koło — wioski wieńce kaliniane
 Strojne i roki poświęcone duchom,
 Mogiły kozom i pasterzom znane,
 Trzody dziwiące się ptaków rozruchom —
 Mogiły dawne! dawno zapomniane!
 Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
 Z darni odarte, niecnym pełne gadów
 I zardzewiałej krwi męczeńskiej śladów.

XXIX.

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
 Indyjski, nakształt złotego upiora,
 W lasach powstanie. — Kiedy rycerz sławny
 Umrze — to lud go grzebie jak Hektora:
 Dwanaście koni bije i krwią spławny
 Stos, gdzieś pod lasem, pod mgłami wieczora
 Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
 Zamienia w ogień — i w słup purpurowy.

XXX.

Wieszczę się jawią w ogniu i guślarze
 Przepowiadają przyszły świat nieznany.
 Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże,
 Przyprorowadzone na świat przez szatany.
 Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze!
 Część ducha, ducha namiętne kapłany,
 Ktorzy wyroki uprzedzając Boże,
 Dla ciał — nie krzyże mieli — ale noże.

XXXI.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
 A duch upajał jak sok bachusowy.
 Niejedna teraz Druidów mogiła,
 Którą oplata w koło krzew różowy.
 Kiedy ją słońca strzała wskroś przeszyla,
 I przeszył ogień zorzy brylantowy —
 Gdy wejdiesz w ciemne granitowe bramy
 Pokaże ci swe słońca: krwawe plamy —

XXXII.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi?
 A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
 Ale jak żóraw skrzydłami ciężkimi,
 Próbujesz nowej po błękitach drogi.
 Między głazami dawniej czerwonemi,
 Między miesiącem i polnemi głogi,
 Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
 Po których myśli jak sny przelatują.

XXXIII.

W takich kościołach duch z wysokiem czołem,
 Sądząc że nigdy świat się nie odmieni,
 Obecność wtenczas mię dręczącą kłąłem,
 Nogą trącałem czoła tych kamieni — —
 Padajcie głazy! przed ducha aniołem!
 Krzyczałem: jako gromada jeleni —
 Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
 Trupy grobowców tych — gińcie lub wstajcie!

XXXIV.

I nic! — Urażał mi ten świat cichością
 I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi!

Nad południowych gdzieś łąk zielonością —
 Bom przewędrował kraj, który mię rodzi —
 Inaczej z trupów postępował kością
 Lud, który palił umarłego w łodzi!
 I w mgieł krainę posyłał gościnną,
 Z umiłowaną kochanką niewinną — —

XXXV.

Ja — syn wyróżnionych ludów — ja istota
 Nieznana wtenczas na ziemi nikomu —
 Gdy obaczyłem jako ta łódź złota
 Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
 Jak płomień pod nią huczy i druzgota
 Garście suchego liścia, pęki łomu,
 A na te śpiące, we śnie roskochane,
 Rzuca swe straszne jutrzeńki różane —

XXXVI.

Gdym to zobaczył, a wysłuchał śpiewu
 Dziewicy — grobów smętnego słowika —
 Która złotemu się tej łodzi drzewu
 Tak wydawała, jak kwiat słoneczniku,
 A już od krain zaświatnych powiewu
 Brała głos nowy i światłość płomyka —
 Już tchem — już ogniem była — już bez ciała —
 Już mgłą — a jeszcze za światem śpiewała.

XXXVII.

Gdym to obaczył, tom kupcowi temu —
 Bo kupiec jakiś to był, który gorzał —
 Zazdrościł drogi — sam nie wiedząc czemu —
 Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał,
 Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
 Światowi niosa, jak lew nie zesrożał;
 Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
 Ja duch — na czarnej łodzi — bez nikogo — —

XXXVIII.

Przerażon, w lasy wróciłem rodzinne,
 A wkrótce wziął mię Lech król za pacholka.
 Jam oczy groźne miał i ręce czynne,
 I uwiązany cel do wież wierzchołka.
 Trucizny wiano w to serce niewinne!
 A zemsta, jako pierwsza apostołka,
 Ciągłe klóciła mię z ludźmi i z losem —
 A głos jej czasem nie był ludzkim głosem.

XXXIX.

Więc ile razy posłucham jej rady —
 A rada była dla ducha fatalna —
 To widzę, że mi na świecie zawady
 Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
 Na działającą moc patrzałem blady,
 Sądząc że biała mi orlica skalna
 Zlatuje na hełm — usiada na czele —
 I drogę moją piorunami ściele.

XL.

Żądałem wodzem być — i wraz dwa Wodze,
 Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył.
 Ja, co bywało, za stadami chodzę,
 Kiedym się z duchy ciemnymi przymierzył,
 Teraz tak straszny! — że komu ja szkodzę,
 Choćbym się tylko nań myślą zamierzył —
 Choćbym oczyma uderzył po stali —
 W pancerz — i w serce ruszył: wnet się wali.

XLI.

I szczerniał cały świat: a ja, syn borów,
 Patrzałem jako na las do wycięcia.

Z pod przyłbic wielkich bladeść mię upiorów
 Trwożyła. — Byłem pierwszą ręką księcia.
 Przed sobą dalszych nie widziałem torów,
 Ani dalszego już celu do wzięcia.
 W zamku cedrowym nad Gopłową wodą
 Byłem najpierwszym Złotym Wojewodą — —

XLII.

Tu patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
 Jakie okropne zastawiają sidła!
 Raz gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
 A piorunów się różne malowidła
 Przez długi deszczu włos świeciły krwawy:
 Ja i rycerze ujrzelśmy skrzydła
 Orłów pobitych, w tak wielkiej ilości,
 Jak na smętarzach gdzieś Germanów kości.

XLIII.

Pierze leżało zmkłe — lecz niektóre
 Skrzydła sterczały z piasku takiej miary!
 Że gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
 Jedno — to jako wielki upiór szary
 Wierzchem o cimną kity mej purpurę
 Dostało, wstając leniwe z moczary:
 Niby wyzwany czarodziejstwem runów,
 Duch śpiący w błocie przy blasku piorunów.

XLIV.

Taka w tem skrzydle była tajemnica!
 I ludzkość! żem się spytał: Powiedz sępie,
 Czy was na wiatrach paląc, błyskawica
 Rzuciła w takie nic — i w takie strzępie?
 Czyście się bili o państwo księżyca,
 Idąc na siebie zastęp przy zastępie? —
 Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
 O ścierw? — Czy tylko gryźli się dla sławy?!

XLV.

Powiedz: jak nazwać to pamiętne pole,
 Dziś od błyskawic czerwone rumianych?
 Gdzie tyle górnych duchów — dziś na dole!
 I tyle skrzydeł leży połamanych?
 Tom rzekł, w nieszcześnie nauczonej szkole,
 Litować się łez i mógł nieznanym.
 A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
 Skrzydła i wtyka sobie za pancerze.

XLVI.

Widok ten nowy! wspaniały! — czas późny! —
 Błyskawic blaski wszędy! — wojsko w dali:
 Gdzie każdy człowiek był jak upiór groźny —
 Skrzydlaty — w czarnej rozświeconej stali.
 Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
 I krzyknął: «Sława Bogu — świat się wali!
 Ja pierwszy moją piersią go roztrączę!
 Ja duch! — A za mną — wojska latające.»

XLVII.

To mówiąc — skrzydło zmoczone i krwawe
 Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
 Ja biorąc skrzydła — za cel brałem sławę;
 A oni chcieli sobie lotu siłą
 Pomódz do domów. — O! jakże ciekawe
 Powody, które rządzą ciała bryłą!
 O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
 Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią!

XLVIII.

I lecieliśmy do domu weseli,
 Mijając drzewa i sady i chaty.

Rycerze moi przed zamkiem stanęli.

Jam wszedł jak Anioł czarny i skrzydlaty —
Karmazyn, który świat od króla dzieli,

Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się król w odblaskach rubinu —
Spojrzał i berło upuścił z bursztynu.

XLIX.

Widziałem: jako łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, dobroć cicha,
Znikła. — A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał na kształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie do dna:
Żali zwycięstwa mego nagła pycha,
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw? i króla w źrenice nie bodła? —

L.

A on — na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc — które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura —
Pobladł i berłem mię wskazawszy — zwałił.
Wzięto mię. — Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

LI.

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.
Wolałem, że mi jak wielkiemu drzewu
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć;
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać — mój miecz w łono starca wsunąć!
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał nie bronią, lecz wężem?! —

LII.

Wzięto mię — a ja w podziemnej ciemnicy,
 Sam, do filarów przykuty kamiennych,
 Jako pająki, ciemni robotnicy,
 Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych,
 Snuć długie pasma. — Widmo mi przyłbicy,
 Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
 Pokazywało się. Naramiennice
 Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

LIII.

Dusza tak była silna i bogata!
 I taką wielką rządzącielką kości,
 Że ciągle echem duchowego świata
 Gadała — ciągle z jego okropności —
 Z tych głębin — gdzie éma niewidzialnych lata,
 Jasno-czerwonych słów, sztyletowości
 Szepczących — brała straszną siłę sztychu,
 I tę — jak piorun ciskała po cichu.

LIV.

Kto myślał: że mię więzieniem uciszał
 I goił burze ducha? Ten się mylił.
 Z ducha mi ciągle szedł grzmot — a Lech słyszał
 I czuł, żem ja go gryzł — do ziemi chylił.
 Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
 A żadnej mocy ducha nie wysilił;
 Gromadą duchów zarządzałem ciemną;
 I te — jak sługi moje — były ze mną.

LV.

O wy! którzy się nigdy nie spotkacie
 Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża!

Dla których żywot widzialny jest w chacie,
 A Bóg w błękitach próżnych się zanurza;
 Dla was są próżne tych czynów postacie —
 Dla innych — ducha ton i straszna burza
 Owiewającą moją pieśń żalobną,
 Z twarzy do innych rapsodów podobną.

LVI.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny,
 I sądził że tu jakaś mara biała —
 A tam kształt jakiś czarny i niepewny —
 Owdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała:
 Ujrzałem lice przecudne królowny,
 Której z rąk blasku różanego strzała,
 Przez proch więzienia i przez pajęczyny
 Szła — zamieniwszy jej ręce w rubiny.

LVII.

Splecione do nóg złociste jej włosy
 Wlekły się prawie po głazów zieleni,
 Gdzie zakończone jak dwa złote kłosa,
 Kwiatkami z drogich błyszczących kamieni:
 Te kwiatki — rzekłbyś — że dwa żywe losy,
 Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
 Patrzą się w górę — uczepione skrycie
 Do nóg idącej falą amfitrycie.

LVIII.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
 W pamięci mojej przed rysy innemi.
 Reszta mgłą. — A mgły moje tak ją krwawią,
 Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;
 Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawia
 W oczach pamięci duchy — i z białemi
 Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
 Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

LIX.

A ja gdzieś w głębi — do granitnej nory
 Schowany — niby kłęb piekielnych duchów!
 Wyzwany światłem na ohydne kolory,
 Jak zbiorowisko członków i łańcuchów;
 Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory,
 Które my znamy na ziemi z posłuchów,
 Słyszac że niegdyś rodziła natura
 Smoki, w płomienie ubrane i w pióra — —

LX.

Ja — pomny na to: żem tronowi służył,
 A doznał zdrady, choć nie miałem winy;
 Sądząc że mi się Lech aż krwią zadłużył,
 Dotknięty okiem królewskiej dziewczyny,
 Aż skrzydłam na nią moje brudne wzburzył
 I z piór pokazał oczy — cały siny —
 Z takim sił moich gniewnem natężeniem,
 Żem ją mógł wzrokiem spalić jak płomieniem.

LXI.

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
 Brać musim nasze co piękniejsze szaty,
 Oto błyszczący kłęb smok Andromedy!
 Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty!
 Który na słońce idzie w księgach Edy,
 I gwiazdy — niebios lazurowych kwiaty —
 Ogonem zbiera — w swe czerwone płuca
 Wchłania — i ogniem serdecznym wyrzuca.

LXII.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny —
 A tem straszniejszy, żem był nieszczęśliwy —
 Wyiskrzył cały oczu blask północny,
 Więcej wtenczas jej, niż wolności chciwy —

Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
 Otworzył wrota — cichością oliwy
 Do zamilczenia jęków przymuszone —
 Nie wiem — to wszystko poszło w mgły czerwone — —

LXIII.

On jednak — ten duch — nie wiedząc co czyni,
 Jednem niebacznem słowem pchnął mię w górę.
 Ona — ta dziwna na harfach mistrzyni,
 Mająca duchów niebieskich naturę,
 Czytała w jakiejś sybilijnej skrzyni —
 Może przed wieki będąca za córę
 Rzymianom — że jej koronę na głowie
 Zerwą, na koniach lecący orłowie.

LXIV.

A ten sen dziwny tak jasno wyrzucił
 Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
 Że ojcu rzekła — a ojciec zasmucił
 Czoło — i miał już przywołać guślarze,
 Sny tłómaczące. — Gdy ja nagle wrócił —
 Skrzydlaty orzeł i moje husarze
 Przed zamkiem rzędy długimi ustawił
 I sen jak w jasnej błyskawicy zjawił. —

LXV.

To mi nieszczęsna powiedziała Pani,
 Jakoby sama siebie winująca,
 Że wtenczas śniła — gdy w skrzydła ubrani,
 Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca,
 W ogniu piorunów. — Lecz ciemni szatani,
 Których moc jedna mocą ludzi trąca,
 Sprawili: że snu na nią malowidła —
 Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

P I E Ś Ń II.

I.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
 Świeciły jasno na niebios lazurze,
 W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki.
 Zamek stał cichy na piaskowej górze.
 Zimno północne i traw zapach dziki,
 I serce smętnie bijące w naturze,
 Dwa razy mocniej zagadało do mnie,
 Gdy ona przy mnie — i koń był koło mnie.

II.

Na jednym ręku niosła swe warkocze,
 A drugą północ wskazała odludną.
 Na to ja rzekłem: Na północ nie wkroczę,
 Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
 Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę —
 I będę pędził, aż drugą tak cudną
 Jak ty, pokażą mi ziemskie narody,
 Choćby królowę ognia, albo wody!

III.

Jeśli nie — wrócę jak straszdyło krwawe.
 A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
 Cień obalony miesiącem na trawę,
 Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka.
 Miesiąc mu daje tę straszną postawę —
 Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka.
 A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
 Może na powrót grom go tu przypędzi.

IV.

To mówiąc, ręką pogroziłem światu,
 A tem wścieklejszy, że sam i bezsilny.
 Gwiazdy na polach czystego bławatu,
 Oczy otwarte i słuch miałem pilny —
 Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
 Świeciła — szarym równinom omylny
 Kształt nadawając — że pod owe zorze
 Tak się zdawały płynące — jak morze.

V.

Dianna — jak liść wierzby — już zielona,
 Już jako róży liść różano-złota,
 W ogniistych się mgieł zanurzała łona,
 Zmienna, jak w sercu młodzieńczem tęsknota.
 A jam skrzydlate obrócił ramiona
 Wschodowi — cheiwy nowego żywota,
 I uciekałem, jak duch z bladą twarzą,
 Więcej przed myślą moją — niż przed strażą.

VI.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
 Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy
 Jak upior złoty, a we krwi umyty —
 Złotem się dziwu wabił ku zdobycy,
 A krwią ochydział wszelki czar zdobyty,
 Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
 Gdyś go ucisnął — a tarczy błysnieniem
 Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

VII.

Po ciemnych puszczech, gdzie się błakał — gnana
 Wichrami straszna przyszłości orlica!

Kto mię napotkał — myślał że szatana!
 Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica:
 Zbroję i skrzydła i młot u kolana,
 I dzidę, która gorzała jak świeca
 Między sosnami, samych niebios blisko,
 Miedziane mając ostrze — jak ognisko.

VIII.

Na jednym pustym śród sosen smętarzu
 Spotkałem smętne i dzikie Germany —
 O duchu! dawnej przeszłości malarzu!
 Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
 Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu,
 I rzymskie z białych piszczeli kurhany;
 A na nich orły wydarte legionom,
 Podobne lampom złotym i koronom.

IX.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie:
 Kto ci przyczynił głosu i języka?
 Liczni — krzyknąłem — jak gwiazdy na niebie!
 Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
 Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
 Ja, syn popiołów — ojciec mogilnika! —
 Urra ha! — Gwiazdę pokazałem białą
 Dnia wschodzącego lasom. — Wszystko wstało! —

X.

Wszystko! — Dziesiątki całe groźnych kroci
 Wstały, gotowe na rzeź urahanną — —
 Wszystko! — Na boku tylko, śród paproci,
 Białością swoją mię zadziwił szklanną
 Kształt jakiś śpiący, cudownej dobroci
 I ciszy zorzą oświecony ranną;
 Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
 Posąg — w jutrzeńki światłach jak w płomieniu — —

XI.

Rzekłem więc: Czy to jaka jest królowa
 Wyrżniętych ludów? nieskalanej bieli?
 Którą tu smętnie czarujące słowa
 Na fijołkowej uśpiły pościeli?
 Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa
 Jak lampa, która ciemność rozweseli,
 Skoczyła, chwilę na błękanie trwając
 Jak gwiazda — potem błysnęła — spadając — —

XII.

A ja zawrzawszy gniewem — i brzeszczota
 Dobywszy, tego barbarzyńca w czoło
 Tnę tak, że jako grenada się złota
 Rozwalił ów łeb — tu połą — tam połą —
 A ja ów zegar widzący żywota
 Z tajemnicami, żył czerwonych ziolo,
 Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy:
 Porównywałem dwie głów jak dwa duchy.

XIII.

Ledwom uczynił to — nowe mi moce,
 Zapewne męża zwołane zemśczeniem
 Przybiegły w pomoc — tak, że chociaż proce
 Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem —
 Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
 I napełniłem ten lud przerażeniem,
 A w przerażeniu takim wielkim żarem,
 Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

XIV.

Dziś tam głęboki sen w tej puszczy lata!
 A może jeszcze posąg biały leży!

A może jaka nad Istrowa chata
 · Mówi powiastkę moją — i nie wierzy! —
 Ani wie, jako na zniszczenie świata
 Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy?
 I obaczywszy mię jak burzę ciemną —
 Duchy gwiaźdzące zawiesił nademną.

XV.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
 Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie,
 Zebrałem owe duchów miliony?
 Które gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
 Bo ze słońc różnych są i z różnej strony —
 Jako girlandy w chmurach i latarnie
 Pokazują się — kiedy sam nie zdołam
 Czynić, a one na pomoc przywołam.

XVI.

Z barbarzyńcami, sam — na uroczystkach —
 Człowiek-duch — pilnie uważałem cuda,
 Które się jawią przy ludów kołyskach,
 A nikną, gdy się szczep na drzewie uda;
 Lecz zaszczeplone przy piorunnych błyskach,
 Odbite, a strach w powietrzu i nuda,
 Które panują takim chwilom świata,
 Trwożą — jak pianie kurów u Piłata.

XVII.

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją —
 A pianie smutne jest jak krzyk dziecięcy.
 Przed rannym strachem niebios a ciemniejają;
 Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny —
 Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją,
 I przerażeni cichością godziny,
 Gotowi zaprzeć się Bożego ducha —
 Obzierają się jak zbójce — czy słucha?

XVIII.

Jam to czuł, mimo że krew moja była
 Jak piorun w żyłach, że hełm od niej dzwonił;
 Kita się ogniem czerwonym paliła,
 A młot skry takie jak miesiące ronił.
 Koń gadał — dzida rosła — szabla żyła —
 Wiatry dawały rady — obłok bronił —
 O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze —
 O dobrym złote żórawiane klucze.

XIX.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany,
 Wpadłem na ziemię moją nieszcześliwą:
 Lech nie żył; a lud jego zabijany
 W królownę patrzył jako w gwiazdę żywą.
 Ona też pancerz złoty, malowany
 Kwiaty różnemi jak słoneczne dziwo,
 Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
 Podobna białej Anhelicy — sławie.

XX.

Koło niej ciągly tabor z żywych ludzi,
 Zbrój czarnych mieczów, tarcz; nad nią sztandary.
 Ilekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
 To jako ptaki nocne albo mary,
 Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
 Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
 I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą —
 A nic gdy biją, straszniejsi gdy jęczą!

XXI.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
 Różnych narodów i różnych języków —

Gdy te Ludyszcza, przy Wisły korycie
 Przyparłem do fal, falą moich szyków.
 Aż mi o jasnym wyprawili świcie
 Najstarszych z wojska swego tysiączników,
 Prosząc o pokój i o ziemi bryłę.
 Taką — że ledwo dla nich — na mogiłę.

XXII.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
 Siedząc na prostej powózce Germanów,
 Rzekłem: niech pierwaj dziewczęta rozplotą
 Warkocze — córki najpierwszych Supanów —
 Niech sama Wanda płaczem i tęsknotą
 Zmiękczone, przyjdzie nam do roztruchanów
 Nalewać wina. — Niech ją złotowłosą,
 Germany moje na tarczach podniosą:

XXIII.

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
 Królową, z tarczy mosiężnej księżycy
 Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
 I nasze dzikie dusze pozachwyca!
 Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
 Aby zleciała w nie jak gołębica —
 I wyprosiła usta różanemi:
 Co chce!? niebiosy całe — czy pół ziemi?!

XXIV.

Z tem stary Swityn i Czerczach posłowie
 Odeszli. A mnie jej postać wprzód senna
 Zaczęła jaśnieć jako słońce w głowie,
 I coraz bardziej jawić się płomienna.
 Więc potem, kiedy ległem na wezgłowie,
 Cała mi w oczach ognista Gehenna
 Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
 Ciemna, czerwona parami jak huta.

XXV.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
 Ale do łoża byłem jak przykuty:
 Wtem ona weszła w te straszne płomienie,
 Jak duch tęczami różnemi osnuty;
 Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
 Wiązały jedną pieśń na różne nuty —
 Dzwoniące, cudne! jakieś gwiazdy śliczne!
 Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

XXVI.

Słyszac te głosy, z którymi dziewczyna
 Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
 A ona w ogniu czerwona i sina,
 Obracająca powietrznym chorałem,
 Jako skrzydłami powietrznego młyna
 Kręcąc, przywołała duch, że włosy rwałem;
 Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
 Idący za nią w toń — jak zwarzowany —

XXVII.

Jeszcze noc była — a ja: hełm na głowę
 Włożywszy, wsiadłem na koń — pędzę cwałem.
 Pamiętam szare powietrze perłowe
 I zamek wieży, sterczący kawałem
 Nad Wisłą — gdzie lud tę swoją królowę
 Otoczył ludzkim i ceglany m wałem.
 Tam przyleciawszy: w róg mosiężny dzwonię —
 Grzmie — aż mi wszystkie oderwały konie.

XXVIII.

Wychodzi siwy Swityn Wojewoda,
 Ze snu czerwone przeciera źrenice:

Idź — rzekłem bo mi słów wczorajszych szkoda,
 Za nadto ostre pokazałem lice;
 Niech mi królowa wasza jasna, młoda,
 Naleje czary, podniesie przyłbicę,
 A może łatwo ten rozkaz wykona:
 Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona.

XXIX.

Nic nie rzekł Swityn: lecz mię brzegiem wody
 Prowadził, kędy stał tłum ludu mały.
 Rybacy srebrne trzymali niewody:
 Kilka świec, choć już ranek błyszczał biały,
 Nieśli kapłani z lutniami Rapsody!
 Siedli na zrębie jednej małej skały,
 Pod bladą wierzbą, mgłą ranną okryci —
 Na wzgórzach w zmroku zapalone wici.

XXX.

Na łące dziewy i panny służebne
 Ujrzałem, tam i ów się krzątające.
 Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
 Diadematów złotych pół-miesiące;
 Inne — bławatki do wieńca potrzebne
 Zbierały w trawach — kolorów tysiące
 Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
 Niby wiślanym duchom na ofiarę.

XXXI.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
 Lecz ileż razy różaność przed-wschodnia
 I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
 I leśne ptaszki budzące się do dnia
 I tęcze, których do myśli używam,
 Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
 Przypominały obraz on tak rzewny:
 Ubranie martwej na łąkach królowny —!

XXXII.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
 Pierwszą po złotę słońce w dzień jesieni,
 A on się topi w błękitne powietrze
 I lekko swego czoła zarumieni —
 I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
 Drżą liście złote, przy liściach z płomieni:
 Pełny, okrągły, błądy się przemienia
 W mgłę — jak cudowna twarz srebrnego cienia.

XXXIII.

Taka jej bladość! nieco ku błękitom
 Nachylona już zgonu okropnością!
 Takie ust perły! Wisły Amfitrytom
 Z upiorzą niby odśmieczone złością.
 Zresztą — spokojnie się onym kobietom
 Dawala stroić modrzewiów ciemnością,
 Koroną złotą, wieńcami z bursztynu —
 A strach powiększał trupa w oczach gminu! —

XXXIV.

A cóż dopiero! gdy ja groźne lice
 Odkryłem, z hełmu spojrzałem surowo
 I połamawszy miecz mój w błyskawicę,
 Cisnąłem jego kawałki nad głową.
 Nademną ducha mrok złoty i świece
 Miecza — nad kitą moją purpurową,
 Jak zawierucha olimpijska, wstały:
 Mój duch — na hełmie stanął w ogniach cały.

XXXV.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł, zwierzęcy,
 Już niepodobny krzykowi człowieka!

Zbudził Germanów całe sto tysięcy:
 I szli jak morze huczące z daleka.
 Stos wystawiłem okropny! książęcy!
 Taki wysoki! że wiślana rzeka,
 Na białych trupów zatrzymana murze,
 Stała — cała jak upiór w purpurze.

XXXVI.

Lecz pierwej nim ją oddałem płomieniom,
 O! ileż strasznych słyszała lamentów! —
 «O włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
 W ogniu z wiślanych oschnąć diamentów!
 Każę podziemnym zamienić się ceniom
 W gmachy, filarów pełne i zakrętów.
 W alabastrowej cię położę trumnie,
 Każę strzedz wieków śpiewacze — kolumnie

XXXVII.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem,
 Cicho na białych atlasach położę —
 Sam przyjdę — jak lew legnę — i wdychaniem
 Śmiertelnem twój sen spokojny zatrwożę.
 Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
 Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
 I słuch mi weźmiesz w tych podziemnych cieniach,
 Coś czytająca — wiecznie — na kamieniach?

XXXVIII.

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżycy,
 Gdzie wiecznie smętno, posepnie i głucho;
 Ja rycerz, jako śpiąca nawałnica,
 Z otwartą, szklaną źrenicą i suchą:
 A ty — jak moja — smętna czytelnica,
 Perła po perle, ton lejąca w ucho,
 Taka wyrazów i pieśni mistrzyni! —
 Że pieśń z tysiąca lat — chwilę uczyni!»

XXXIX.

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy —
 I głosy. I znów zajęty pożarem,
 Chciałem ją złożyć na gwiazdnicach z mieczy,
 Upowić krwawym rycerskim sztandarem!
 I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
 Słońce — niewczesnym i nieludzkim skwarem,
 Uciec w Islandów wyspę zamrożoną,
 Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną — —

XL.

«Tam ją, krzyczałem, gdzieś na lodowiskach
 Złożę, jako kwiat ujęty w kryształe!
 I przy wulkanów rubinowych błyskach,
 Oplomienioną posadzę na skale! —
 A sam z dzikimi orły na urwiskach,
 Dzikszy niż burze, straszniejszy niż fale,
 Gdy góry będą swoje ognie zionąć:
 Mrozom się dam zgryść! i ogniom pochłonąć!»

XLI.

Tak mój duch w kształty się piramidalne
 Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
 Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
 Targał i piorun zawsze miał pod chmurą. —
 Potem więc Roki się zebrały walne
 I mnie okryły Lechową purpurą.
 Lud cały strachem ohydnie znikczemniał —
 Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

XLII.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
 Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi?

Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
 Uderzyć w niebo tak jak w tarczę z miedzi!
 Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć,
 I kolumnami praw, na których siedzi
 Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
 Aż się pokaże Bóg w niebiosach błady —

XLIII.

A gdy Bóg nad tą żywota fortecą,
 Zgwałconą, twarzy nie pokaże? Przecie
 Komety złote na niebo przylecą
 I bliżej oblicz ukażą na świecie;
 Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
 Jak widma: jedno, i drugie, i trzecie —
 Jeśli nie złknę się, a krew mię splami —
 Kto wie?! — Jak słońca przyjdą tysiącami!

XLIV.

Niebiosa pełne widziadeł i twarzy
 Słonecznych — może z krwawemi oczyma!
 A tu koło mnie powietrze smętarzy
 I ciągną burza, wiatr, ognie i zima.
 Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy —
 Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma —
 Gwiazda zajęczy jaka, lub zaszczeka —
 Wszystko pokaże iż dba o człowieka!

XLV.

Jeśli nie? rzekłem — jeśli z tym motłochem
 Postąpię sobie jak król zwarjowany?
 A żywot, jak wąż, schowa się pod lochem,
 Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany?
 To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
 Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
 A tem straszniejszy — że go własne siły,
 Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.

XLVI.

Zaledwo ta myśl poczęła się we mnie,
 Wzrok zaraz wydał ją — jasny i suchy,
 Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
 Aby tam widział w kościach: czy są duchy?
 Więc najprzód Czerczak, u nóg mi nikiemnie
 Proszący o łeb, pod katów obuchy
 Poszedł, a za nim jacyś dwaj Prorocy,
 Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

XLVII.

Za wojewodą cały dwór i sługi
 Posłałem — niby z nim będące w znowach.
 I z wież patrzałem na ten łańcuch długi,
 Idących na śmierć z świecami — w okowach.
 A niebios? — niebios błękitne framugi,
 Jakby o zdjętych nie wiedziały główach,
 Patrzyły na to ciche, obojętne —
 Mnie się wszelako zdawało: że smętne!

XLVIII.

Ogromny szereg tych wymordowanych
 Poszedł. Myślałem że duchy zobaczę
 Gdzieś, do łabędzi podobne rumianych,
 Od których jęczy powietrze i płacze.
 Albo że ze ścian, ogniem zapisanych,
 Wyjdą pająki z ognia — straszne tkacze!
 Na ściennych ogniach się swych zakolyszą,
 I wyrok jakiś ognisty napiszą — —!

XLIX.

Myślałem — że me noce niespokojne,
 A dnie jak noce bez gwiazd będą czarne!

W ciemnościach jęki, albo chrzęsty zbrojne,
 Tchnienia na czoło chłodne, albo parne?
 I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
 Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
 A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
 Gotów do końca walczyć z Bożą wzgardą —

L.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
 Pierwszego ducha dzieło, z czasów onych,
 Gdy stepy całe dziś w mogiłach widne,
 Wzięły u ludu nazwisko czerwonych —
 Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
 I biorę postać duchów utrapionych.
 Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa:
 A jam był senny jak wąż — gdy poziewa.

LI.

Czasami z góry, na kolec blaszany
 Wieżycy wstąpię: i tak jako owce,
 Najpierwsze państwa Karacze, Supany,
 Każę prowadzić przez różne manowce.
 Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
 Na stos znoszono chwast, czarne jałowce —
 A ja bywało z góry, jak sęp dziki
 Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

LII.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
 Zagore — dziesięć wrzasków razem słyszę;
 I nie podnosi mi się duchem łono,
 Ani się serce strachem zakołysze —
 Jako Lucyfer z błyskotną koroną,
 Stoję — i zbrodni mojej towarzysze
 Na większą, niż te wszystkie okropności
 Patrzą — na mą twarz śmiertelnej bladeści.

LIII.

Dziwią się wszyscy: że jak pies nie szczekam,
 Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam!
 Nie wiedzą, że ja duch natchnięty, czekam
 Gwiazd, deszczówkrwawych — iznów zamieczchwytam,
 I znowu cały świat na siebie wściekam!
 I znów się niebios zamroczonych pytam:
 Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
 Którą tam władzę niebieską przerażam?

LIV.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
 Tom ja na męki wynalazek użył.
 Stosy, na Wiśle splekane okręty,
 Kołowrot, który ciał długość przedłużył —
 Wszystko w męczeństwie ten kraj niepojęty
 Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!
 A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
 Póki kruszyłem duchom: łódź i wiosło.

LV.

Poszedłem dalej — i w męki wyborze,
 Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
 Zacząłem łamać większe prawa Boże,
 Myśląc naturę samą upokorzyć.
 Matkę mi z lasu stawiono na dworze:
 A ja, zamiast się u nóg jej położyć,
 U tej w łachmanach podartej orlicy,
 Ciała użyłem za knot smolnej świecy —

LVI.

Rzekłem ludowi: że mię czarowała,
 Że serce jadła, że żony mi truła. —

Z włosem palącym się, jak ptak, latała —
 I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuka
 I pokazała zielonością ciała,
 Że się duchowi memu szata pruka:
 On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
 W letargu niby i w czarnej chorobie.

LVII.

Raz tylko byłem tak na siebie śmiały,
 Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
 A byłem cały jako trup szczerbiały,
 Który stoletnią miał w ziemi trumnicę;
 A już robaki z niej pouciekały,
 Bojąc się oczu jasnych jak gromnice;
 I czerwonymi przerażone łzami
 Trupa — i kości spruchniałych ogniami.

LVIII.

Lecz co dziwniejsza, że tak pruchniejący,
 Taki upadły — i taki zużyty,
 Czasem się czulem jak Anioł gorący,
 Gotów ukochać świat i nieść w błękitny
 Tę ziemię, jako Anioł wzlatujący
 Z pieśnią, co była jako szklanne zgrzyty
 Harmonik — i szła w ton coraz boleśniej,
 Aż upadała w śmiech: w szaleństwo pieśni! —

LIX.

Gdy mię, bywało, taki czar omami —
 A stoję, ręce wylamawszy z ramion,
 Choć tylko piana toczy się ze łzami,
 A usta milczą — to mój duch omamion,
 Wszystkimi zda się kręci księżycami! —
 A gwiazdy, naksztalt muzykalnych znamion,
 Chwyta — i w głosach tu ziemskich wyraża:
 Tworząc już nie Pieśń Snu, lecz Pieśń Mocarza.

LX.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały —
 Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
 Głosy okropne w niego wlatywały,
 Kości rostrzęsły — pierś mu się popsowała.
 Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
 Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
 Którą muzykant napełnił przelotem
 Tanów — i zamknął napełnioną grzmotem.

LXI.

A tymczasem mię Wielki Pan niebieski
 Ubierał w grozę i w powagę strachu.
 A strach był jakiś ciemny i królewski,
 Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
 Pod stopą moją suche komnat deski
 Grzmiały jak trumny. O komnat zapachu
 Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy:
 Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

LXII.

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
 W podziemnych kuchniach gadano: żem błady
 Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
 W której pływają, gniazdem węzo-gady;
 Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi,
 Purpurowe tu tłoczącego ślady,
 W ciemny kraj — gdzie się wszelka dusza wścięła
 Na króla duchów czerwonych — do piekła!

LXIII.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
 Za siłę — i za strach — i za męczarnie —!

Gdym wyszedł — lud giął przedemną kolano,
 Lud owiec, który ku pasterzom garnie! —
 Przed twarzą moją straszliwą klękano,
 Widząc dwa skrzydła helmu jak latarnie!
 I między niemi w środku zawieszoną
 Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

LXIV.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore;
 Powieki nożem zdają się rozcięte;
 A przez czerwoną rubinową korę
 Patrzy duch — widmo przeszłości przekłete! —
 Przez jakież, Panie, męki i pokorę?!
 Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte,
 Musiałem ścierać strach z mojego czoła?
 Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?!

LXV.

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce
 I meteorów ogniska i burze,
 I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę,
 I chciał zobaczyć sługa — komu służę? —
 Żem chciał zobaczyć Panie! Twoje lice,
 Cztery pioruny Twoje, świata stróże;
 Wszystkie potęgi Twoje, o świat drżące,
 I wszystkie słońca, i wszystkie miesiące:

LXVI.

Tys mną pogardził Panie! i ominął,
 I do straszliwej śmierci doprowadził. —
 Swityn żył jeszcze. Starzec sławą słynął,
 Bił wrogi moje, winy moje gładził;
 Granicę mego królestwa rozwinął,
 Na dwu srebrzystych morzach mię posadził.
 Stary — a miecza do pochwy nie chował:
 Jam go jak ojca kochał — i szanował.

LXVII.

Pamiętam — była północna godzina,
 I konstelacja łabędź, jak krzyż złoty
 Nad wieżą, gdzie był, leciała — jedyna
 Sufitów próżnych lampa wśród ciemnoty:
 Wtem myśl ohydna o śmierci Swityna,
 W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty —
 Z taką potęgą! żem wnet ku niej dłoni
 Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niej.

LXVIII.

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
 Już jako pani mego serca była —
 «Spróbuj, wołała, jeżeli ten skona,
 A żadna zorza by nie zaświeciła?
 A żadna gwiazda z tych gwiazd, przerażona,
 Nie przyleciała? krwi się nie napila? —
 To wtenczas będziesz spokojny o ducha!
 Ziemia proch! — człek z niej jak wulkan wybucha.

LXIX.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach,
 I błyskawicom wolno bić w cnotliwe.
 Za myślą twoją idź — nie myśl o czynach!
 Probuje czy niebo martwe jest, czy żywe?»
 Tak mi ktoś szeptał. — Gdyby w stu Switynach
 Stu ojców moich własnych głowy siwe
 Patrzyły na mnie, z grobu jego wzrokiem —
 Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

LXX.

Wysłałem katy — lecz myśl gdy się kwieci,
 W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.

Posłałem drugie — dwór — żonę i dzieci
 Wyciąć. — Był ciemny dzień i grad z ulewą.
 Czasami słońce ponuro zaświeci —
 I gradem złotym jak zwichrzoną plewą
 O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze —
 Bom stał, czekając tych katów, na wietrze.

LXXI.

U progu mego żebractwo się szare
 Skupiło. Patrzą — król na progu stoi.
 Przez deszczu struny widzą jakąś marę
 Jęczącą, gradem bijącym po zbroi. —
 W tem wyszło do mnie suche widmo stare —
 Żebak — i blisko stanąwszy podwoi,
 Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
 Skościał — i podał mi list od Swityna.

P I E Ś Ń III.

I.

Na dworach wówczas nasze wojewody
 Trzymali sobie nadwornych gęślarzy;
 Ci byli jako rycerstwa Rapsody —
 Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
 Jako pancerze srebrne, długie brody
 Na piersiach mieli, a słoneczność w twarzy.
 Liry nosili małe, ale sławne,
 W korał, lub w srebro, lub w bursztyn oprawne.

II.

W ręku trzymali niby pastorały
 Długie, wierzbowe, ostrugane kije.

Temi, bywało, chłopczyków chorały
 Pędzą — i wiodą takt przez harmonije:
 A kiedy w górę kij podniosą biały,
 Wtenczas z choralnej pieśni piorun bije;
 A kiedy spuszcza na dół berło dziada —
 To na kolana pieśń jak Anioł spada.

III.

O takim kiju z lireczką u pasa,
 Stał stary Rapsod Swityna u proga.
 Na płaszczu, pomnę, była różna krasa
 I łąty różne — zda się, że płaszcz z Boga,
 Na którym zorza w błękitach dogasa
 I różne światła płoną. — Jego noga
 Bosa, dziś świeci przed memi oczyma,
 W obwiąskach, srebrna jak muszla pielgrzyma.

IV.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą
 Podróżny żóraw, na białym kosturze
 Oparty, z twarzą jasną, srebrnowłosą,
 Stał, w płaszczu starym jak w błękitnej chmurze
 I list podawał. — Iryda za kosą
 Wlekąca tęcze, gwiazdzice i róże,
 Nie jest mi piękną tak, gdy z niebios spada,
 Jak to wspomnienie dawne — tego dziada!

V.

O złote serce śpiewaka i sługi,
 Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana!
 Miej grób! którego nie rozorzą pługi,
 Do zakłętego podobny kurhana.
 Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi —
 Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana —
 Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
 Śpiewaj! — a liry też czasem pokręcaj!

VI.

Niech mi przypomni czary tobie znane,
 I słowa dobre na serc otwieranie,
 Porządne, ważne i uszykowane
 Rzędem, jak dźwięku anioły w organie:
 A przebac mi już tę okropną ranę
 I to straszliwe nóg przywiewkowanie,
 Którec odjęło to, coć najboleśniej!
 Twój najpiękniejszy czar — wędrownosć pieśni!

VII.

On mi podawał list, a ja na nodze
 Jego oparłem miecz żelazny, krzywy,
 I czułem że mu między kości wchodzi:
 A on stał — jak Bóg wielki — bo cierpliwy!
 Mieczem przygwożdżon w kamiennej podłodze,
 Którą czerwienił krwawy koral żywy,
 Stał, obwinięty ów żebrak w błękiecie —
 I tak się na mnie patrzył, jak na dziecię.

VIII.

A ja nie zdjąwszy miecza z jego rany,
 Owszem głębiej go zapędzając w koście,
 Czytałem słowa, które jak szatany
 Palily mi mózg i gryzły wnętrzosć.
 Ten list! na sercu mojem zapisany,
 Nad wszystkie ducha mego okropnosć,
 Głębiej swe straszne zarzuty wykował:
 Bo mną ten człowiek gardził, choć miłował!

IX.

«Kacie ojczyzny mojej! i tyranie!
 Mój królu wczoraj! — pisał Swityn stary —

Na dobrowolne poszedłem wygnanie

Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary —
Ty mię wyganiaasz? A ja, o mój Panie!

Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie — sam znikam bez wieści —
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści — —

X.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną

Pod miecz twój; chętnie w ręce twoje złożył

Tę głowę ściętą, ale uśmiechnioną,

Której Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,

Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono,

I nad kośćcami ludzi się nie srożył:

Gardząc miłości ostatniem spojrzaniem,

Mszcząc się nad kością, jak pies nad kamieniem.

XI.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci

We śnie. — Twój sam duch stanął pod kotarą,

Tak jak pochodnia świecąca w wilgoci,

Cały oświecon ogniami i parą.

Tys mię sam ostrzegł! — A to nie z dobroci —

Ale żeś taką dziś stał się poczwara,

Że słyhać ciebie i czuć — choć z daleka —

Kiedy pomyślisz o śmierci człowieka.

XII.

Duch litośniejszy twój jest ci za szpiega;

On najprzód zgniłe twe serce wpyta,

A potem chodzi i ludzi ostrzega,

Gdy twoje ciało spi — a ząb twój zgrzyta.

Duch twój wychodzi i po kraju biega —

I targa włosy — jęczy jak kobieta!

Ty, zmordowany jego lamentami,

Wstajesz, nie wiedząc żeś płakał nad nami —

XIII.

Jakiś cię Anioł okropny odmienił
 I przysłał dzieło wypełniać straszliwe:
 Lud rozhartował — a ciebie skamienił,
 I kazał ludy orać jako niwę —
 Abyś co? — wiatry wiejące spłomienił
 Duchami? — które wyszły z ciał — a żywe,
 Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie —
 Jak wiatr: na ciebie — i przeciwko tobie! —

XIV.

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
 Siłę, która jest w mieczu i toporze —
 Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
 Z tym listem — który w mogiłę położę!
 Czekam za światem ciebie! na wylądzie
 Brzegu — o który grzmi ogniste morze,
 Krwią twoją jasne i zafarbowane! —
 Czekam! — Z tym listem przeciw tobie stanę!

XV.

Tu ci nie błysnie więcej moje lice,
 Choć niedaleko lecę — żóraw szary.
 Pobytu mego mają tajemnicę
 Ja tylko — mój koń — i mój Rapsod stary.
 Prędzej byś zgonił letnią błyskawicę,
 Niż mego konia. — Człowieka zaś wiary,
 Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
 Nie skruszą? — Spróbuj królu, masz go w ręku!

XVI.

Taki był straszny starego Swityna
 List — ja w nim groźbę jęczącą słyszałem,

I opór ducha, który się zaczyna
 Od jęku tylko — a staje się ciałem.
 Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina,
 Z całą wściekłością! z całym ducha szalem!
 Choćby królestwo całe przyszło ruszyć?
 Wszystko! — a złamać harfiarza — lub skruszyć!

XVII.

Stary był — pomnę — Zorjan się nazywał. —
 Gdy go palono, cichszy od owieczki,
 Na lirze sobie czasami podgrywał:
 I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
 Ani klątw rzucał — ani wydobywał
 Głosu wielkiego z małej lirczki:
 Głaskał ją tylko — wyjaśniwszy lice —
 Niby złąknioną, białą gołębicę.

XVIII.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
 Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja:
 «Nie bój się liro! bo śmierć nie jest męką!
 Ani się lękaj cielesnego zboja! —
 Nie bój się moja mała lirenko,
 Nie bój się sestro! nie bój córko moja! —
 A na toż by to nasza mądrość była,
 Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

XIX.

Przyjmowano cię po domach i chatach,
 Pókiś ty ze mną była wędrownicą.
 Bądź-że dziś wdzięczna — a nie płacz przy katach,
 Bo się ucieszą i ton twój pochwyca.
 Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
 Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą! —
 Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
 Harfiarzy, co jak Anioły śpiewają!

XX.

Czekajże liro! — śpij! — Błogosławiona
 Ta błyskawica jasna i rumiana!»
 Tu, wzięty w złote ogniste ramiona,
 Zniknął. — A mój duch uczuł wtenczas Pana!
 Czeluść okropna mych ust otworzona,
 Suchość i jakaś pożarność gardłana —
 Piers, która wiatru się więcej nie bierze,
 Ostrzegły — że już do piekła należą.

XXI.

Dyszząc, na konia siadłem, od popiołów
 Które pożarły pieśń, obsypan — w szale.
 A tłum siepaczy, jakby archaniołów,
 Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
 W skrzydła — w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
 Zaopatrzony — za mną w Wisły fale
 Rzucił się — gotów mordować do końca.
 Wszyscy na koniach jaśniejszych od słońca.

XXII.

Ja przodem. — W czerep czarny, ołowiany,
 Ukrywszy głowę moją jak w kapturze;
 Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany —
 Twarz mieć jak grynszpan, wzrok jak ogień w chmurze.
 Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
 Który zastałem cały już w purpurze —
 Że trupy swoje wyrzeczane chował.
 Duch mój przedemną tam był — i mordował.

XXIII.

I przestraszyłem się — bo mi z pamięci
 Wczoraj wydane rozkazy wypadły. —

Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
 Stali blademi przedemną widziadły.
 Jam wrzeszczał: kto tu prędzej niż me chęci,
 Niż myśli moje? kto srożej zajadły
 Na krew Swityna niż ja, wpadł w pokoje?
 Kto tu wypełnił jak Bóg — myśli moje?

XXIV.

Duchowi memu to przypisać muszę,
 Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
 Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
 Ta wyspa pełna wierzb, olch i słowików;
 Te sionki z cedru, które głosem ruszę,
 A one pełne ech, jęków i krzyków:
 Swityna głosem brzmią na każdym piętrze.
 Jakby starego instrumentu wnętrze!

XXV.

Ja jeden, który do szaleństwa skłonność
 Mam, wpadłem tutaj o jutrzeńki świtach;
 Ani sal cisza, ani belek wonność,
 Ani pieśń rodu, śpiewana w sufitach;
 Ani mię zemsty nieudolnej płonność,
 Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach —
 Nie zatrzymali. — Nic nie ma na niebie!
 Ja sam jak Pan Bóg będę sądził siebie!

XXVI.

To mówiąc kosztur wraziłem okuty
 W ścianę i rzekłem do moich oprawców:
 Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
 Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców.
 Tu zamek cały błysnął nakształt huty
 Ognisk czerwienią. — A ja tych bladawców,
 Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
 Siadłem — trup — jasny pijaka rumieńcem.

XXVII.

I ucztowaliśmy w tym zamku wygodnie.
 Swityna własne nam służyły misy,
 Stągwie, kobierce, czary i pochodnie,
 I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
 Czary nam do rąk podawały Zbrodnie —
 Widma — w płaszczach z krwi, z zielonemi rysy,
 Stojące z boku upiory czerwone,
 Wyraźne — a gdyś spojrział wprost — zniknione.

XXVIII.

A w tem przyleciał giermek zadyszany
 I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
 Panie! ogromny znak jest ukazany!
 Na niebie miotła płomienista gore! —
 Jam zbladł — i kostur wyrwawszy ze ściany,
 Sądząc że widzę ducha, albo zmorę,
 Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka —
 Na wskroś przeszyłem pierś tego człowieka.

XXIX.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
 Z którego widok szedł po okolicy,
 Na drżące wielą gwiazdami błękity,
 Poddane jednej, ogromnej gwiazdziicy. —
 Ta, jako wielki miecz z pochwę dobytą,
 Karbunkuł miała czerwony w główicy;
 A ten się błyskał i mienił na zarzy,
 Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy! —

XXX.

Wtenczas — w tej gwiazdzie oczyma usiadłem,
 I mocowałem się z nią jak z szatanem;

Truciznami ją serdecznemi jadłem,
 Trawiłem jadów duchowych grynszpanem —
 Więc czasem ona — a czasem ja bladłem.
 Ażem nareszcie padł — jednym kolanem
 Przyklękły — dysząc — przejasnemi świty,
 Jak rycerz w szrankach dzidą w pierś przebity.

XXXI.

I obaczyłem w gwiazdzie niby znamię
 Ognistsze — powiek mgnięcie i błysk oka:
 Wtenczas uczułem że mi ducha łamie
 Na wieki, jakaś moc — straszna — głęboka!
 Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
 Twarzy — i palcem ognistego smoka,
 Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
 Wskazując, rzekłem: przyszła z moim zgonem —

XXXII.

Kometa. — I tu, coraz bardziej błady,
 I mieszając się już, rzekłem ponuro:
 Świat zwyciężyłem! i oto są ślady
 Żem duch mający moc — nad tą naturą!
 Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady
 Czym żyw? czy jeszcze okryty purpurą,
 Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
 Niebo się złękło o świat. — To śmierć moja.

XXXIII.

Idźcie. — Już więcej nie jesteście sługi
 Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
 Kupiłem naród krwią — i nad jej strugi
 Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi
 Nie jeden sobie wieśniak wieczór długi
 Umili pieśnią — i tem się rozhardzi
 Że będzie o swych ojcach przypominał,
 Jak śmiało na śmierć szli — gdy król wyrzynał!

XXXIV.

Co do mnie — jam jest bicz okropny, Boży —
 I będę cierpieć, co mi przeznaczono.
 Za chwilę jedną otchłań się otworzy!
 Piorun rozerwie moje wielkie łono!
 Wściekłości — jak psy puszczone z obroży!
 Żądze — jak słońca ogniste rozploną!
 Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie —
 Wszech-miłość zmyta w krwi — i wszech-cierpienie!

XXXV.

Duch mój odpowie — lecz wy jak dzieciątka,
 Jak białych jagniąt jesteście gromada.
 Wszystko com czynił, szło z jednego wątką,
 I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
 W kurhanach tylko zostanie pamiątka,
 I w pieśni długiej wędrownego dziada,
 Żem żył. — Chwasty mi porosną na grobie —
 Inny was Anioł rozmiłuje w sobie.

XXXVI.

Ale po latach —! Chciałem mówić więcej,
 Wtem się zaczęła kości targanina.
 Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
 Szło iskier — topniał na mnie drut i cyna.
 Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
 Lecz tak pękałem się jak w ogniu glina.
 Oczy się chmurą zasłoniły czarną
 I duch się cały skupił w jedno ziarno.

XXXVII.

Nic więcej. — — Straszne zaćmienie i głusza!
 Na sercu ręki Bożej położenie:

Pocisk ostatni — pod którym się dusza
 Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie.
 Więc jako robak co się w ogniu rusza,
 Tak ona, póki w ustach było tchnienie,
 Leżała na dnie swej serdecznej plamy —
 Aż Bóg otworzył jej wieczności bramy.

XXXVIII.

Taki był koniec mojego żywota,
 Śpiewany długo w kraju przez Rapsodów,
 Którzy nie doszli w czem była istota
 Czynów? w czem wyższość od rzymskich Herodów?
 Nademną była myśl słoneczna, złota —
 Do niej moc ciemnych okrwawionych wschodów
 Wiodła mię prosto w złotych celów progi:
 Jam szedł — jak rycerz, krwawo i bez trwogi.

XXXIX.

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
 Moc słyhać było w każdym moim kroku:
 Choć być na takiej drodze? — lepiej w trunie!
 Choć z myślą taką? — lepiej z włócznią w boku!
 Prędej czy później deszcz piorunów lunie
 Na orła, który słońce miał na oku:
 Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją,
 W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją —

XL.

Ale przezemnie ta ojczyzna wzrosła,
 Nazwiska nawet przezemnie dostała;
 I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
 Dotychczas idzie: Polska — na ból skała —
 Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
 I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
 Bezwonne, martwe — lecz com ja wycisnął
 Pod krwią? — tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął! —

XLI.

Śpijże mój kształcie pierwszy — z ducha zdjęty
Świecący w dali jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Kłątwa na ciebie! jak na diamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu —
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury, i w piorum ubrane!

XLII.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem,
I dalej szedłem; a jużem był Boży.
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem! —
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla —
A lat tysiące są jak jedna chwila.

DO

AUTORA TRZECH PSALMÓW



Podług ciebie, szlachciu,
Cnotą naszą, znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu;
Głosem dziecka wołasz czynu —
Czynu — czynu! — Naród czeka —
A ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka! —
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich!

Nie tak — nie tak, mój szlachetny,
Bo czyn ludu nie piosenka.
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór —
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot i kara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy,
Z kochankami mdlejąc, latać,
Włosy spletać i rozplatać,
Tchnienie trącić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać —

Myślą bić, chorągwie rwać,
 Świecić czynu tarczą własną!
 W drogę, choćby niepowrotną,
 Ale prostą — naprzód twarzą,
 Z piersią czystą, choć samotną,
 Choć ją sztyletami rażą! —
 Z twarzą smętną, ale białą,
 Chrystusową, choć zwiędniałą,
 A ciągnącą lud do siebie
 Niesłychanym Bożym czarem.
 Takim duchem i sztandarem,
 Być na ziemi — jest być w niebie.

A ty jasni jakiś Panie,
 Bo cię nie znam, ale słyszę,
 Słyszac twoje wierszowanie,
 Że ktoś jak perłami pisze,
 Że ktoś nakosztalt się proroka
 Stawia ludziom — ale modny,
 Jak historyk świata — chłodny;
 Obejrzawszy świat z wysoka,
 Swoje wiersze, jako cugi
 Posłał na świat równym kłusem
 I napełnił wóz Chrystusem,
 Jak Owidjusz Faetonem —
 I rozesłał swoje sługi,
 Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
 Nowy duch i forma nowa;
 Bo są światu, jak zjawiska,
 Jako jutrznia są różowa —
 Jak ogniste meteory
 Stopom ludzi podesłane,
 By gościńce Jrydjona
 Pielgrzymowi. — A my od nich
 Bierzem ogień i kolory —
 I gwiazd dolatujem wschodnich.

Taką była dawniej dana .
 Poetyczna karm dla ludu.
 Objawienie pełne cudu,
 Myśl, jak mara niespodziana,
 Z piersi naszej wychodziła,
 Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
 Narodowi dźwiękiem miła,
 Ludu sen wspominająca.

To jak słońce w pół-obłoku
 Oczom wychodziła, rosła;
 To jak róża na potoku,
 Albo lekki sylf bez wiosła.
 Jakaż siła niewidzialna,
 Przez poetę na świat lana,
 Wolna — jako Anioł Pana!
 Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
 Każdy patron sam za sobą,
 Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
 Nie z swym duchem, lecz osobą.
 Kiedy gore świat cierpieniem,
 Kiedy wzbiera czynu fala,
 On się kładzie sam kamieniem,
 Na ruch ludzki nie pozwala.
 Chce zawrócić w stare łoże
 Nowe fale — rzeki Boże.
 Do zbolałych serc nie wnika,
 Czynu ludu nie ma w dłoni,
 Ale w uszy formą dzwoni —
 Albo dzwoni, albo syka.
 Jego dźwiękiem, jego mową
 Nie odetchnie pierś szeroka,
 Nie pomyśli jego głową
 Skier nie weźmie z jego oka;
 Tylko, z nędznej szyty płachty,
 Zamiast wieszcza — sztandar jego

Krzyk: «na Boga czerwonego? —
«Ty, kto jesteś! nie rñnij szlachty!!» —

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem?
Możesz spotkał się z upiorem?
Z całem dawnem Zaporozem —
Możesz słyszał pochód głuchy,
Krzyki krwawe, krwi namiętne
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy? —
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej stecki,
Nie ich duchy — lecz mogiły —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Może tylko w noc pół-jasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wrywał
I mgły krwią czerwienił jasną?
Chełm rozpałił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,
A okropne cztery głowy,
Niby perły, zausznice,
Z twarzą nieznajomych plemion,
Gdyby róże — niósł u strzemion? —
A ty zaraz w ręku kord.
W kosach przed nim cała wieś!
«Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!» —
Nie mord, nie rzeź — to z girlandy
Co leciała po-nad Lidą,
Jakiś sługa dziewczki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki,
Z tęczy widzeń oderwany
Znów — poleciał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Skądże w tobie taka trwoga?
 I od ludu rów i przedział?
 Prawdę mówisz? — Nie! na Boga,
 Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
 Tylko jakieś sny czerwone,
 Zaludnione czartów gminem,
 Twych firanek karmazynem,
 Jak róż jasne, jak sen płonne —
 Pełne, mówię, mar szkaradnych.
 Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
 Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
 «Stójmy tak! na Ojców kości! —»
 I twój anioł już w przyszłości
 Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? Ani zamachu —
 Naród cały hasła czeka;
 A krzyk pierwszy z ust człowieka
 Był okropnym krzykiem strachu!
 Bo to sen na końcu pieśni,
 Że magnaty kiedyś staną
 Z wielką tęczą chorągwaną,
 Otrząśnięci z wieków pleśni,
 Z wielką myślą w sercu — głowie —
 Chatom — niby Aniołowie;
 Że bunt święty rozplomienią,
 Że świat cały od nich zgore.
 — W tych magnatach serce chore;
 Proch im sercem i proch rdzenia! —

Kiedyś ze sto was tysięcy
 Było szlachty z serc i z lica;
 Dziś jednogom znał szlachcica —
 Kraj ich cały nie znał więcej.
 Jeden tylko serca męką,
 Zamiarami, choć nie skutkiem,
 Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
 Pełną zawsze darów ręką,

Smętną jakąś; dawną sławą
 Był szlachcicem i miał prawo!
 Dziś i ten nie został z wami
 I godności swej nie trzyma;
 Poszedł gnić między królami —
 Dziś go nie ma i was nie ma!

Bądź że mi weselszej cery,
 Bo cię żywym być przymuszę;
 Wygnaj z myśli Mariusze,
 Cezary i Robespiery.
 Z komet, meteorów cyfer
 Czytaj przyszłość, wieszczu młody;
 Nie bądź w przyszłą noc pogody,
 Jako gwiazda zła — Lucyfer,
 Gdy słoneczny wóz wyciąga,
 W morzu kąpie łeb i szyję,
 A złem skrzy i w oczy bije,
 I bezsennym się urąga. —
 Bo my z bezsennego łoża
 Wzrok rzucamy gorączkowy,
 A ty łyskasz blaskiem noża.
 Dziecko — lub zły duch Jehowy,
 Bo tam tworzysz czarną marę
 I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: Bakka!
 Ten przeklęty — więc się bój!
 Polski lud, to ojciec twój!
 Zeń, jak z cierniowego krzaka,
 Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
 Z wichru uwić twarz i lice,
 I na ciebie, jak na świecę,
 Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój — bo nie ja grożę,
 Marny człowiek i twój brat,

Ale jakiś straszny świat
 I widzialne światła Boże —
 Z ciszą, z wiatrem i z szelestem,
 Rzucające się na lud.
 Strachy, które mówią: cud!
 Ognie, które szepczą: jestem!

Więc się bój — bo duch się wdziera
 I podważa miasta — wieże.
 Słaby, mówisz, rzeź wybiera —
 A czy wiesz, co on wybierze?
 Może ludów zatracenie,
 Może nam przyniesie w dłoni
 Komet, wichry i płomienie,
 W których drży król — matka roni!
 Działa, wozy, hufce, konie,
 Ogień pali, ziemia chłonie,
 A nikt z mogił nie korzysta,
 Jeno wszczynający ruch,
 Wieczny rewolucjonista,
 Pod męką ciał — leżący duch!

Duch, ogień, młodość
 Orla i żywa
 Ogniem porywa
 I z ducha czerpie.
 Nad nią, na sierpnie
 Z blasków księżycy,
 Boga-Rodzica.
 W zorzy czerwonej,
 Na wywróconej
 Tęczy porannej!
 A pod nią mgła
 Z ognia i szkła,
 W grze nieustannej
 Bałwany wznosząca,
 By znieść ją z miesiąca
 Z gwiazdami złotymi

Postawić na ziemi,
 Ogłosić królową:
 Piękność, z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową!

Wyszła, wyszła z za obłoku,
 Ludom się pokaże —
 I na żniwie i na toku
 Ujrzą ją żniwiarze!
 Cała w słońcach, cała w błyskach,
 Z kwiatem złotym w dłoni;
 Pastuszkowie przy ogniskach
 Zaśpiewają o niej! —
 Ujrzą ją na polu trzody
 I smętnie zaryczą;
 Zadrzą drzewa, staną wody,
 Sny z niej tęcz pożyczą!
 W polu zejda się włódarze,
 Z kosami na roli;
 Bo się we snach snu pokaże
 Człowiek dobrej woli.

A tu niżej
 Kilka krzyży —
 Krzyk namiętnych.
 Głos uciszysz,
 A usłyszysz
 Jęki smętnych.
 Zebrzydowscy
 I Zborowscy
 W czerwonych deliach,
 Błyskawice
 I dziewice
 W bladych kameliach.
 Chór przechodzi,
 Zda się w łodzi,
 O brzeg trąca.
 Nad smętnemi
 Lampa ziemi,
 Krąg miesiąca.

Zegar świata,
 Ptak Pilata,
 Godzinę pieje.
 Strach i nudności,
 W grobach drżą kości,
 Bezdech szaleje.
 Duch uciska,
 Mroczy i błyska,
 Aż uzupełni
 Wiek idący,
 Bogiem błyszczący,
 Jak księżyc w pełni. —

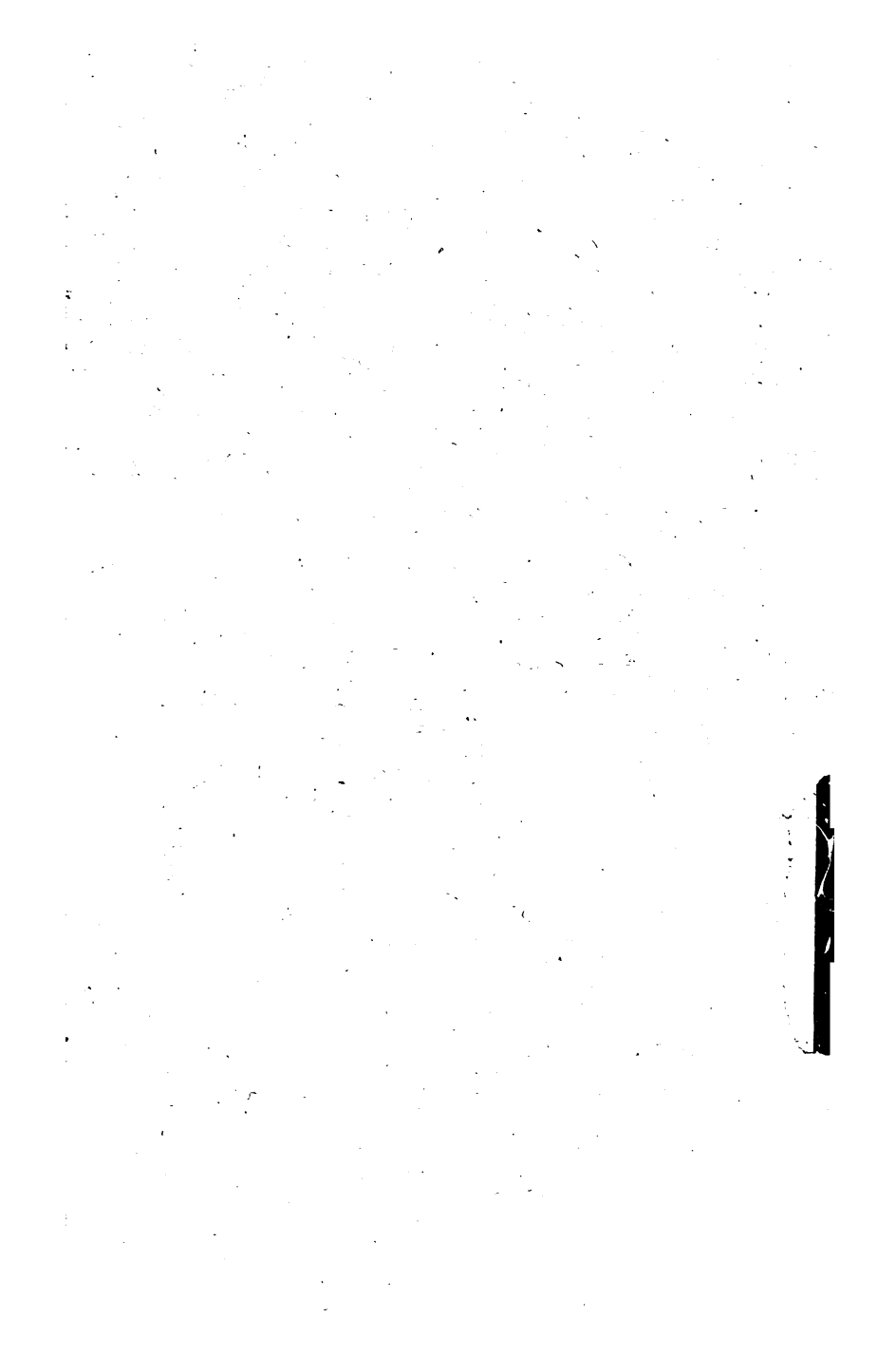
We łzach nasze ręce podnosimy do Ciebie,
 Panie! odpuść nam winy!
 Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
 Przez nas czyn Twoje czyny!
 Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
 Niech się święci trzy razy!
 Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
 Dla wad naszych i zmazy.
 Wspomnij cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
 A ducha-śmy nie dali.
 Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
 Gdyby z grobowca wstali.
 Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
 Jak gołębie: «Nie ciśnij!» —
 Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury,
 Zatrwóż! niech wróca! — błysnij! —
 W tej błyskawicy, Panie, obaczym się z daleka:
 Brat pozna swego brata,
 I wejdzien nieśmiertelność, niby Anioł w człowieka
 I staniem ludem świata! —

W takim hymnie wieszczu stój;
 Bo pieśń taka pójdzie górą,
 Nad podlejszych dusz naturą
 Panująca; Boży strój.

Do którego Bóg nagina
Wszystkie wieku tego struny;
Złączy dźwięki i pioruny
Świat, co kocha i przeklina.
Z błękitów rzuci na tła
Przemienioną krwawość w światła —
Anioł się z aniołem zetrze,
Chrystus wstąpi na ciał łamy,
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac — powietrze! —









This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine of ~~five~~¹⁰ cents a day is incurred
by retaining it beyond the specified
time.

Please return promptly.

~~...~~ OCT - 9 '51

JUL 28 '52 H

~~...~~ NOV 16 '55

~~...~~ 19 '56

~~...~~ SEP - 9 '46

FEB - 5 '53 H

DUE JAN 21 '50

MAR - 5 '53 H

DUE NOV 18 '50

NOV 29 '60 H

DEC 14 '60 H